

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Wiktor Hugo

Nędznicy

Tom 1

Wydawnictwo Tower Press
2001

Jak długo z winy praw i obyczajów istnieć będzie przekleństwo społeczne, tworzące w pełnym rozwoju cywilizacji sztuczne piekła i komplikujące ludzką totalnością przeznaczenie, które jest boskie: jak długo trzy problemy stulecia poniżenie człowieka w egzystencji proletariackiej, upadek kobiety spowodowany głodem, niedorozwój dziecka wśród nocy nie zostaną rozwiązane; jak długo w pewnych rejonach społeczeństwa możliwe będzie działanie sił dusicielskich: albo mówiąc inaczej i z jeszcze wyższego punktu widzenia, jak długo z powierzchni ziemi nie zniknie niewiedza i nędza – książki w rodzaju niniejszej będą mogły być pożyteczne.

Część pierwsza

FANTYNA

Rozdział pierwszy

CZŁOWIEK SPRAWIEDLIWY

Ksiądz Myriel

W roku 1815 ksiądz Karol Franciszek Benvenuto Myriel był biskupem w Digne. Był to starzec lat około siedemdziesięciu pięciu; piastował tę godność od roku 1806.

Chociaż szczegół ten nie dotyczy w żadnym względzie istotnej treści naszego opowiadania, może jednak nie będzie bezużyteczne choćby dla zachowania ścisłej we wszystkim dokładności – wspomnieć tu o pogłoskach i plotkach, jakie krążyły o nim wtedy, kiedy przybył do swej diecezji. To, co się mówi o człowieku – i prawda, i nieprawda – częstokroć w jego życiu, a zwłaszcza w losie, waży tyle co i własne czyny. Ksiądz Myriel był synem radcy parlamentu w Aix; pochodził więc z sędowniczej szlachty. Mówiono, że ojciec, przeznaczając syna na swego następcę na urządzie, ożenił go bardzo wczesnie, w osiemnastym czy też dwudziestym roku życia, wedle zwyczaju dość rozpowszechnionego w rodzinach swego stanu. Jednak mimo tego małżeństwa Karol Myriel dostał się podobno na języki. Był przystojny, choć niewielkiego wzrostu, wytworny, miły, dowcipny; całą pierwszą część swego życia poświęcił światu i miłostkom. Nadeszła rewolucja, wypadki potoczyły się szybko, rodziny dygnitarzy sądowych, zdziesiątkowane, ścigane, rozsypały się po świecie. Karol Myriel już w pierwszych dniach rewolucji wyemigrował do Włoch. Żona umarła mu tam na chorobę piersiową, która ją nękała od dawna. Dzieci nie mieli. Cóż się dalej działo z Karolem Myrielem? Czy rozsypanie się w gruzy dawnego społeczeństwa francuskiego i upadek jego własnej rodziny i tragiczne widowiska 93 roku, okropniejsze może dla emigrantów, którzy na nie patrzyli z daleka przez powiększające szkła przerażenia, sprawiły, że zaczęła w nim kiełkować myśl o odsunięciu się od świata, o samotności? Czy też może wśród rozrywek i uciech, wypełniających mu całe życie, nagle uderzył w niego jeden z tych ciosów tajemnych a okrutnych, co trafiając w serce, obalają nieraz człowieka, którego nie wzruszyły klęski publiczne, pozbawiające go znaczenia i majątku? Nikt tego nie mógłby powiedzieć; wiadano tylko, że kiedy powrócił z Włoch, był już księdzem.

W roku 1804 ksiądz Myriel był proboszczem w Brignolles. Był już stary i żył samotnie, z dala od świata.

Tuż po koronacji musiał pojechać do Paryża w sprawach parafii, nie wiadomo już nawet jakich. Kołatał tam do różnych możliwych osób, poszedł też w interesie swoich parafian do kardynała Fescha. Pewnego razu, kiedy cesarz przyszedł w odwiedziny do swego wuja, zacny proboszcz, oczekujący w przedpokoju, zwrócił na siebie uwagę jego cesarskiej mości. Napoleon, widząc, że starzec przypatruje mu się ciekawie, odwrócił się i rzekł szorstko:

– Cóż to za pocziwina tak mi się przygląda?

– Najjaśniejszy panie – rzekł ksiądz Myriel – wasza cesarska mość widzi pocziwego człowieka, a ja wielkiego. Każdy z nas może na tym zyskać.

Tegoż wieczora cesarz spytał kardynała o nazwisko proboszcza, a wkrótce potem ksiądz Myriel dowiedział się z wielkim zdziwieniem, że mianowano go biskupem w Digne.

Ile zresztą było prawdy w plotkach krążących o pierwszej części życia księdza Myriela? Nikt tego nie wiedział. Niewiele rodzin znało przed rewolucją rodzinę Myrielów.

Ksiądz Myriel dzielił los wszystkich przybyszów w małych miasteczkach, gdzie wiele jest ust, które mówią, a mało głów, które myślą. Musiał ulec temu losowi, chociaż był biskupem, a po części też właśnie dlatego. A opowieści, w których się spotykało jego imię, były to zresztą tylko opowieści, puste gadaniny, mniej nawet niż gadaniny – gadki, jak mówi zwięzły język ludu.

Jakkolwiek tam zresztą było, wszystkie te bałamuctwa – przedmiot rozmów zajmujący w pierwszej chwili małe miasteczka i małych ludzi – po dziewięciu latach rezydencji, na biskupstwie w Digne zostały zupełnie zapomniane. Nikt nie śmiałyby ich powtórzyć, nikt nie śmiałyby nawet przypomnieć ich sobie.

Ksiądz Myriel przybył do Digne w towarzystwie starej panny imieniem Baptistyna; była to jego siostra, młodsza od niego o dziesięć lat.

Służącą mieli jedną tylko, w wieku panny Baptistyny. Pani Magloire – bo tak się nazywała – przedtem była gospodynią proboszcza, teraz używała podwójnego tytułu: pokojowej siostry biskupa i gospodyni jego ekscelencji.

Panna Baptistyna była wysoka, blada, chuda i łagodna; przedstawiała ona ideał tego, co nazywamy osobą „godną”, wydaje się bowiem, że „czcigodną” kobieta stać się może tylko przez macierzyństwo. Nigdy nie była ładna, życie jej snuło się jednym pasmem miłosiernych uczynków i oblekło ją w końcu jakby światłością i bielą; na starość więc ozdobiło ją to, co nazwać by można pięknem dobroci. Szczupła w młodości, z czasem stała się aż przezroczyta, a spoza tej przejrzystości przeglądał anioł. Była bardziej jeszcze duszą niż dziewczyną. Postać jej wydawała się cieniem; zaledwie tyle miała ciała, ile go potrzeba, aby uwydatnić jej pleć; odrobina materii zawierająca światło; wielkie oczy zawsze spuszczone; pretekst po to tylko potrzebny, aby dusza mogła pozostawać na ziemi.

Pani Magloire była małą staruszką, siwą, tłustą, zażywną, wiecznie zajęta, wiecznie zadyszana, gdyż była z natury ruchliwa, a poza tym miała astmę.

Wprowadzono księdza Myriela do pałacu biskupiego z wszelkimi honorami, jakie przepisywały dekry cesarskie, stawiające biskupów w stopniu tuż po marszałkach polnych. Mer i prezydent pierwsi pośpieszyli z odwiedzinami, on zaś ze swej strony złożył pierwszą wizytę generałowi i prefektowi.

Nowy biskup objął więc swą stolicę i miasto oczekiwało ciekawie, jak zacznie rządzić.

Ksiądz Myriel zostaje biskupem Benvenuto

Pałac biskupi w Digne przylegał do szpitala.

Był to pałac piękny i rozległy, zbudowany z kamienia na początku zeszłego stulecia przez księdza Henryka Pugeta, doktora teologii fakultetu paryskiego, opata w Simore i biskupa w Digne w 1712 roku. Pałac ten był siedzibą prawdziwie pańską. Wszystko tu było wspaniałe: pokoje biskupie, salony, pokoje gościnne, rozległy dziedziniec z podcieniami na starą modłę florencką, ogrody pełne przepysznych drzew. W jadalni, długiej i świetnej galerii, znajdującej się na parterze, z drzwiami otwierającymi się na ogrody, ksiądz Henryk Puget wyprawił ceremonialną ucztę 29 lipca 1714 roku dla ich ekscelencji Karola Brûlart de Genlis, księcia arcybiskupa z Embrun, Antoniego Mesgrigny, kapucyna, biskupa z Grasse, Filipa de Vendôme, wielkiego jałmużnika Francji, opata z Saint-Honore de Lerins, Franciszka de

Berton de Grillon, biskupa barona de Vence, Cezara Sabran de Forcalquier, biskupa pana na Glandeve, i Jana Soanen, kapelana i kaznodziei królewskiego, biskupa pana na Senez; portrety tych siedmiu dostojników kościoła ozdabiały salę, a pamiętna data 29 lipca 1714 roku wyryta była złotymi literami na białej marmurowej tablicy.

Szpital był wąskim i niskim domem, z jednym tylko piętrem i małym ogródkiem.

W trzy dni po przyjeździe biskup zwiedził szpital. Po skończonej wizytacji kazał poprosić do siebie dyrektora.

– Panie dyrektorze – zapytał – ilu w tej chwili macie chorych?

– Dwudziestu sześciu, ekscelencjo.

– Właśnie tylu naliczyłem – zauważył biskup.

– Łóżka – dodał dyrektor – stoją bardzo blisko siebie.

– To właśnie mnie uderzyło.

– Sale to są właściwie tylko pokoje i jest w nich bardzo duszno.

– Tak właśnie i mnie się zdaje.

– Prócz tego, kiedy słońce zaświeci, ogród jest za mały dla rekonwalescentów.

– To właśnie mówiłem sobie.

– Z chorób epidemicznych mieliśmy w tym roku tyfus, a przed dwoma laty ospę; zdarza się po stu chorych i nie wiadomo, co robić z nimi.

– Tak też sobie pomyślałem.

– Cóż robić, ekscelencjo, trzeba się poddać losowi.

Rozmowa toczyła się w wielkiej sali jadalnej, owej wspaniałej galerii na parterze.

Biskup myślał przez chwilę, potem nagle obrócił się ku dyrektorowi szpitala:

– Jak pan sądzi – rzekł – ile pomieściłoby się łóżek tu, w tej sali?

– W sali jadalnej waszej ekscelencji? – zawołał dyrektor osłupiały.

Biskup rzucił oczyma po sali; zdawał się mierzyć i obliczać.

– Pomieściłoby się całkiem dobrze dwadzieścia łóżek – rzekł z cicha, jakby mówił do siebie, po czym dodał głośniejszym głosem:

– Tak, panie dyrektorze, widocznie zaszła pomyłka. Macie dwadzieścia sześć osób w pięciu czy sześciu izdebkach. Nas tu jest troje, a mamy miejsca na sześćdziesiąt; zaszła pomyłka, powiadam panu; ja zajmuję wasz dom, a wy mój. Oddajcie mi moje mieszkanie. To jest wasze. Nazajutrz dwudziestu sześciu biednych chorych przeniosło się do pałacu biskupiego, a biskup zamieszkał w szpitalu.

Ksiądz Myriel nie miał majątku; rodzina jego wszystko straciła podczas rewolucji. Siostra miała dożywocie – pięćset franków rocznie – co na plebani wystarczało na jej osobiste wydatki. Ksiądz Myriel, jako biskup, otrzymywał ze skarbu państwa piętnaście tysięcy franków rocznej pensji. Tego samego dnia, kiedy zamieszkał w szpitalu, ustalił raz na zawsze, w jaki sposób używana ma być ta suma. Przepisujemy tu jego własnoręczne obliczenie:

Podział wydatków na mój dom

Na seminarium duchowne	– 1500fr.
Kongregacja misyjna	– 100 fr.
Misjonarze w Montdidier	– 100 fr.
Seminarium misyj zagranicznych w Paryżu	– 200 fr.
Kongregacja Świętego Ducha	– 150 fr.
Zakłady religijne w Ziemi Świętej	– 100fr.
Towarzystwo opieki nad macierzyństwem	– 300 fr.
Ponadto także towarzystwo w Aries	– 50 fr.
Towarzystwo reformy więzień	– 400 fr.
Towarzystwo pomocy więźniom	– 500 fr.
Na wykup ojców rodzin, uwięzionych za długi	– 1000 fr.

Dodatek do pensyj biednych nauczycieli w diecezji	– 2000 fr.
Spichrze zapasowe w Departamencie Górnych Alp	– 100 fr.
Stowarzyszenie dam z Digne, Manosque i Sisteron nauczających bezpłatnie ubogie dziewczęta	– 1500 fr.
Dla biednych	– 6000 fr.
Moje wydatki osobiste	– 1000 fr.
	<hr/>
	Razem: 15000 fr.

Przez cały czas zajmowania stolicy biskupiej w Digne ksiądz Myriel w niczym nie zmienił tego postanowienia. Nazywał je podziałem wydatków na swój dom.

Panna Baptistyna przyjęła to postanowienie z całkowitą uległością. Dla świętej tej dziewczycy biskup Digne był zarazem i bratem, i biskupem, jej przyrodzonym przyjacielem i duchowym zwierzchnikiem. Po prostu kochała go i czciła. Gdy mówił, pochylała głowę, gdy czynił coś, godziła się z tym. Tylko gospodyni, pani Magloire, szemrała nieco. Ksiądz biskup zostawił sobie tylko tysiąc.. franków, co wraz z pensją panny Baptistyny wynosiło tysiąc pięćset franków rocznie. Z tego tysiąca pięciuset franków utrzymywały się obie staruszki i starzec. A kiedy któryś z wiejskich proboszczów przyjechał do Digne, ksiądz biskup mógł go jeszcze ugościć dzięki oszczędności pani Magloire i rozumnemu zarządowi panny Baptistyny.

Pewnego dnia – po trzech miesiącach pobytu w Digne – biskup powiedział:

– Mimo wszystko naprawdę nie starcza mi pieniędzy.

– Ja myślę! – zawołała pani Magloire. – Wasza ekscelencja nie upomniał się nawet w departamencie o pensję na koszt utrzymania powozu w mieście i na objazdy po diecezji. Taki był zwyczaj dawnych biskupów.

– A rzeczywiście – rzekł biskup – masz słusność, pani Magloire.

I upomniał się o te pieniądze.

Wkrótce potem rada departamentalna, wzięwszy pod rozwagę to żądanie, przyznała mu trzy tysiące franków rocznie pod rubryką: Dodatek dla księdza biskupa na koszt powozu, poczty i objazdów pasterskich.

Pani Magloire ucieszyła się wielce.

– No – rzekła do panny Baptistyny – jego ekscelencja zaczął od innych, ale jednak w końcu i o sobie pomyślał. Pozałatwiał swoje miłosierne uczynki. A teraz trzy tysiące franków dla nas. Nareszcie.

Tego samego wieczora biskup napisał i oddał swej siostrze takie oto rozliczenie:

Koszta powozu i objazdów:

Na rosół dla chorych w szpitalu	1500 fr.
Na towarzystwo opieki nad macierzyństwem w Aix	250 fr.
Na towarzystwo opieki nad macierzyństwem w Draguignan	250 fr.
Na podrzutków	500 fr.
Dla sierot	500 fr.
	<hr/>
	Razem: 3000 fr.

Taki był budżet biskupa Myriela.

Co do dochodów kościelnych z ławek kolatorskich, indultów, dyspens, chrztów, kazań, poświęcenia kościołów i kaplic, ślubów itp., biskup tym skwapliwiej brał dary od bogatych, że wszystko oddawał biednym.

Wkrótce zaczęły obficie wpływać ofiary pieniężne. Ci, co mieli, i ci, co nie mieli, stukali do drzwi księdza Myriela; jedni, by złożyć datek, drudzy, by wziąć wsparcie. Nie upłynął rok, a biskup stał się skarbnikiem wszystkich dobrodziejstw i kasjerem wszelakiego niedostatku.

Przez ręce jego przechodziły znaczne sumy, nic jednak nie mogło skłonić go do zmiany sposobu życia i dodania choćby odrobiny zbytku do najkonieczniejszych swoich potrzeb.

Odwrotnie, ponieważ zawsze więcej jest nędzy na dole niż miłosierdzia w górze, wszystko, żeby tak rzec, rozchodziło się, nim jeszcze zostało otrzymane; była to jakby woda lana na suchą ziemię; chociaż ciągle brał pieniądze, nigdy ich nie miał. Wobec tego odejmował sobie.

Był zwyczaj, że biskupi znaczyli swymi chrzestnymi imionami posłania i listy pasterskie; ubodzy mieszkańcy okoliczni, wiedzeni serdecznym instynktem, wybrali z imion biskupa to, którego znaczenie rozumieli, i nazywali go księdzem Benvenuto. Pójdziemy za ich przykładem i tak samo będziemy go nazywać, kiedy to będzie potrzebne. Zresztą imię to podobało się i jemu. „Lubię je – mawiał – Benvenuto poprawia ekszelencję”.

Nie o to nam chodzi, by stworzony tu przez nas portret był prawdopodobny; tyle tylko powiemy, że jest on podobny do oryginału.

Czyny zgodne ze słowami

W rozmowie był przystępny i wesoły. Dopasował się do staruszek, które z nim mieszkały, a kiedy śmiał się, był to śmiech młody, chłopięcy.

Pani Magloire zwykle mawiała do niego: wasza wysokość. Pewnego dnia, wstawszy z fotela, biskup poszedł do biblioteki po jakąś książkę. Książka leżała na jednej z wyższych półek. Biskup był niski, nie mógł jej dosięgnąć.

– Pani Magloire – rzekł – proszę mi przynieść krzesło. Moja wysokość nie sięga do tamtej półki.

Jedna z jego dalekich krewnych, hrabina de Lô, szczególnie chętnie w jego obecności wyliczała to, co nazywała „nadziejami” swoich trzech synów. Miała wielu bliskich krewnych, starych i już nad grobem stojących, których spadkobiercami w prostej linii byli Jej synowie. Najmłodszy miał odziedziczyć po ciotecznej babce okrągłe sto tysięcy franków rocznego dochodu, drugi po stryju otrzymywał tytuł księcia, najstarszy miał być parem po swym dziadzie. Biskup słuchał zwykle w milczeniu tych niewinnych i przebaczalnych przechwałek macierzyńskich. Pewnego razu jednak, kiedy pani de Lô któryś tam już raz opowiadała mu szeroko o tych sukcesjach i „nadziejach”, wydawał się bardziej niż zwykle zamyślony. Przerwała nie bez zniecierpliwienia:

– Mój Boże, o czym kuzyn tak myśli?

– Myślę – odpowiedział biskup – o czymś osobliwym, co, jeśli się nie mylę, można znaleźć w świętym Augustynie: „Nadzieje swoje pokładajcie w tym, po którym nikt nie jest spadkobiercą”.

Innym razem, otrzymawszy zawiadomienie o pogrzebie pewnego miejscowego szlachcica, gdzie prócz godności nieboszczyka wyliczono wszelkie tytuły feudalne i szlacheckie wszystkich jego krewnych, zawołał:

– Jaka śmierć jest wytrzymała! Jaki ciężki ładunek tytułów musi dźwigać bez słowa i jaką to trzeba mieć pomysłowość, żeby tak zużytkować grób dla próżności!

Lubił przy sposobności nieszkodliwy żart, który prawie zawsze ukrywał myśl poważną. W czasie postu pewien młody wikary przyjechał do Digne i miał kazanie w katedrze. Był dość wymowny. Tematem jego kazania było miłosierdzie. Upominał bogatych, aby pomagali biednym, jeśli chcą uniknąć piekła, które odmalował najgroźniej, jak tylko potrafił, i dostać się do nieba, które słowa jego wyposażyły we wszelakie rozkosze i ponęty. Wśród słuchaczy znajdował się pewien bogaty kupiec, co już wycofał się z handlu, lichwiarz po trosze,

nazwiskiem Géborand, który zarobił dwa miliony na wyrabianiu grubych sukien, samodziałów i sukman wieśniaczych. Pan Géborand nigdy w życiu nie dał jałmużny biedakowi. Po owym kazaniu zauważono, że co niedzielę rzuca monetę pięciocentymową starym żebraczkom siedzącym pod portalem katedry. Do podziału było ich sześć. Razu jednego biskup zobaczył, jak pan Géborand daje jałmużnę, i z uśmiechem rzekł do siostry:

– Spójrz, kupuje sobie nieba za pięć centymów. Gdy chodziło o miłosierdzie, nie zrażał się odmową i zawsze potrafił znaleźć słowa, które niejednemu głęboko kazały się zastanowić. Kwestował raz na biednych w jednym z salonów w mieście. Był tam wówczas markiz de Champtercier, stary, bogaty, skąpy, który potrafił być zarazem i ultraroyalistą, i ultrawolterianinem. Zdarza się bowiem i takie połączenie. Biskup podszedł do niego i dotknął jego ramienia:

– Panie markizie – powiedział – daj mi, proszę, cokolwiek.

Markiz odwrócił się i odparł sucho:

– Mam swoich biednych, ekscelencjo.

– To daj mi tych biednych – rzekł biskup.

Pewnego dnia takie miał kazanie w katedrze:

„Kochani bracia moi i przyjaciele, jest we Francji milion trzysta dwadzieścia tysięcy domów włościańskich, które mają tylko po trzy otwory; jest milion osiemset siedemnaście tysięcy takich, które mają po dwa otwory, czyli jedno okno i drzwi, i wreszcie trzysta czterdzieści sześć tysięcy chat, w których jest tylko jeden otwór, to jest drzwi. A to z powodu tego, co nazywają podatkiem od drzwi i okien.

Pomyślcie, że w takich chatach mieszkają ubogie rodziny, staruszki, dzieci, zastanówcie się, ile tam gorączek i chorób! Niestety! Bóg daje ludziom powietrze, prawo je im sprzedaje. Nie oskarżam prawa, ale czczę wolę Boga. W Isère, w Var, w Alpach górnych i dolnych wieśniacy nie mają nawet taczek, nawóz noszą na plecach; nie mają świec, palą łuczywa i postronki maczane w żywicy. To samo jest w całym górnym Delfinacie. Pięką zapas chleba na pół roku na ogniu z suszonego krowiego gnoju. W zimie rąbią siekierą ten chleb i przez dwadzieścia cztery godziny moczą w wodzie, aby można to było jeść. Bracia, miejcie litość, spójrzcie, jak ludzie cierpią dokoła was!”

Prowansalczyk rodem, łatwo przyswoił sobie wszystkie narzecza południowe. Często wtrącał wyrażenia używane w dolnym Langwedoku – czy w górnym Delfinacie, czy też u podnóża Alp.

Podobało się to chłopom i ułatwiało mu przystęp do prostych umysłów. W górach i w chacie wieśniaczej był jak u siebie w domu.

Umiał największe rzeczy wyrazić w najpospolitszym narzeczu.

Znając wszystkie języki, przenikał do wszystkich dusz.

Jednaki był zresztą dla bogaczy i dla ubogich, dla ludzi „z towarzystwa” i dla prostaczków.

Niczego nie potępiał pochopnie, bez uwzględnienia okoliczności. Mawiał: „Trzeba zobaczyć, którądy wcisnął się błąd”.

Kiedy widział, że wszyscy się na coś głośno i łatwo oburzali: Och! och! – mawiał z uśmiechem – widać, że tej wielkiej zbrodni wszyscy się dopuszczają. Patrzajcie, jak przestraszona obłuda zawczasu protestuje, żeby się zasłonić od podejrzeń!

Był pobłażliwy dla kobiet i ubogich, na których ciąży brzemień społeczeństwa. Mówił: „Błędy kobiet, dzieci, sług, słabych, ubogich i ciemnych są błędami mężów, ojców, panów, mocnych, bogatych i uczonych”.

Mówił jeszcze: „Tych, co nie wiedzą, nauczajcie, ile tylko możecie najwięcej: społeczeństwo grzeszy tym, że nie daje nauki bezpłatnie; odpowiedzialne jest za ciemnotę, którą szerzy. Dusza pełna cienia łatwo rodzi grzech. Winny jest nie ten, kto grzeszy, lecz ten, kto roztacza ciemnotę”.

Jak widzimy, miał on dziwny i sobie tylko właściwy sposób osądzania zjawisk tego świata. Podejrzewam, że go zaczerpnął z ewangelii.

Pewnego dnia opowiadano w salonie o sprawie kryminalnej, w której przeprowadzano właśnie śledztwo i która wkrótce miała być rozpatrywana. Jakiś ubogi człowiek, z miłości dla kobiety i dziecka, które z nią miał, przygnieciony niedostatkiem, wziął się do fałszowania monet. W owym czasie fałszerstwo pieniędzy karano śmiercią. Kobieta uwięziona, gdy puszczała w obieg pierwszą sztukę sfabrykowaną przez mężczyznę. Trzymano ją w areszcie, lecz dowody miano tylko przeciwko niej. Ona jedna mogła obwinić kochanka i zgubić go tym wyznaniem. Zaprzeczała. Nalegano. Przeczyła uporczywie. Prokurator królewski wpadł wówczas na pomysł. Udał, jakoby dowiedział się o niewierności kochanka, i zęcnie zestawivszy kawałki różnych listów, wmówił w nieszczęśliwą, że miała rywalkę i że ten mężczyzna ją zdradził. Wówczas, rozjątrzona zazdrością, oskarżyła swego kochanka, wyznała wszystko i wszystkiego dowiodła. Był zgubiony. Wkrótce miano go sądzić w Aix wraz ze współniczką. Opowiadano ten wypadek i wszyscy podziwiali przebiegłość urzędnika sądowego. Poruszywszy sprężynę zazdrości, z gniewu wydobył prawdę, z zemsty – sprawiedliwość. Biskup słuchał w milczeniu. Gdy skończono, zapytał:

- Gdzie będą sądzić tych ludzi?
- W sądzie przysięgłych – odpowiedziano mu. A on zapytał z kolei:
- A gdzie będą sądzić pana prokuratora królewskiego?

O każdej godzinie można było wezwać księdza Myriela do łoża chorych i umierających. Wiedział, że jest to jedna z jego najważniejszych prac, jeden z największych obowiązków. Owdowiałe i osierocone rodziny nie musiały prosić go, sam do nich przychodził. Umiał siedzieć w milczeniu przez długie godziny przy mężu, który utracił ukochaną żonę, przy matce, która straciła dziecko. Wiedział, kiedy trzeba milczeć, wiedział również, kiedy należy przemówić. Jaki niezawodny był z niego pocieszyciel! Nie starał się zetrzeć bóleści zapomnieniem, lecz podnosił ją i udostojniał nadzieją. Mówił: „Zastanów się, jak się zwracasz ku zmarłym. Nie myśl o tym, co gnije, ale patrz uważnie. Ujrzysz w głębi nieba światło żywe – to twój ukochany zmarły”. Wiedział, że wiara jest zdrowa. Starał się uspokoić człowieka zrozpaczonego, ukazując mu palcem człowieka zrezygnowanego; starał się przekształcić bóleści, która patrzy w grób, wskazując jej bóleści, która widzi gwiazdę.

Biskup Benvenuto zbyt długo nosił swe sutanny

Życie prywatne księdza Myriela wypełnione było tymi samymi myślami co i jego życie publiczne. Kto miał sposobność przypatrzeć mu się z bliska, podziwiał i wielbił dobrowolne ubóstwo, w którym żył ksiądz biskup z Digne.

Jak wszyscy starcy i jak wielu myślicieli, sypiał mało. Ten krótki sen był głęboki. Rano rozmyślał godzinę, potem odprawiał mszę w katedrze albo w swojej domowej kaplicy. Po mszy jadł śniadanie składające się z razowego chleba maczanego w mleku od własnych krów. Później pracował.

Biskup jest człowiekiem mającym wiele zajęć; co dzień przyjmuje sekretarza diecezji, którym jest zwykle jeden z kanoników, i prawie co dzień wikariuszy generalnych. Kontroluje zgromadzenia, daje przywileje, przegląda całą księgiarnię duchowną: mszaliki, katechizmy diecezjalne, książki do nabożeństwa itp., pisze listy pasterskie, cenzuruje kazania, godzi proboszczów z merami, prowadzi korespondencję kościelną, korespondencję administracyjną; tu rząd, tam stolica apostolska: tysiące spraw.

Czas pozostały od tych spraw tysiąca, od brewiarza i odprawiania nabożeństwa poświęcał najprzód ubogim, chorym i nieszczęśliwym; czas, który zostawiali ubodzy, nieszczęśliwi i chorzy, oddawał pracy. To kopał w ogrodzie, to czytał i pisał. Dwa te rodzaje pracy określał jednym wyrazem: nazywał je „ogrodnictwem”. „Umysł jest ogrodem” – tak powiadał.

W południe jadł obiad. Obiad podobny był do śniadania.

Koło drugiej, jeśli pogoda była ładna, wychodził i przechadzał się pieszo po wsiach lub mieście, często zaglądając do najędzniejszych domków. Zwykle szedł sam, zamyślony, ze spuszczonej oczyma, opierając się na wysokiej lasce, odziany w ciepłą watowaną pelerynkę fioletowego koloru, w fioletowych pończochach, grubych trzewikach i w płaskim trójgraniastym kapeluszu z trzema złotymi chwastami.

Gdzie się ukazał, radość była wielka. Rzekłbyś, że jego przyście miało w sobie coś rozgrzewającego i rozjaśniającego. Dzieci i chorzy wychodzili przed progi domów do biskupa, jak do słońca. Błogosławił i jego błogosławiono. Pokazywano jego dom każdemu, kto był w potrzebie.

Tu i ówdzie zatrzymał się, zagadywał chłopców i dziewczynki, uśmiechał się do matek. Odwiedzał biednych, dopóki miał pieniądze; gdy mu ich zbrakło, odwiedzał bogatych.

Ponieważ nosił sutanny przez czas bardzo długi, a nie chciał, żeby to spostrzeżono, wychodząc na miasto kładł zwykle na wierzch fioletową pelerynkę. Podczas lata było mu w tym trochę za ciepło.

Wieczorem o wpół do dziewiątej jadł kolację z siostrą, a pani Magloire usługiwała im przy stole. Nic skromniejszego nad ten posiłek. Jeżeli jednak biskup miał na kolacji któregoś z proboszczów, pani Magloire korzystała z tego, by podać jego ekscelencji wyborną rybę z jeziora lub delikatną górską zwierzynę. Każdy proboszcz był pretekstem do lepszej wieczerzy; biskup pozwalał na wszystko. Lecz kiedy gości nie było, kolacja składała się zwykle z gotowanych jarzyn i zupy na oliwie. Mówiono też na mieście: „Kiedy biskup nie je jak proboszcz, to je jak trapista”.

Około dziewiątej wieczór kobiety szły do swoich pokoi na pierwszym piętrze, a on zostawał sam na parterze aż do rana.

I tu należy opisać dokładnie mieszkanie księdza biskupa Digne.

Kto strzegł domu biskupa

Dom, w którym mieszkał, jak powiedzieliśmy, miał tylko parter i jedno piętro. Na parterze znajdowały się trzy pokoje, trzy na piętrze, a nad nimi poddasze. Za domem – ćwierćmorgowy ogród. Kobiety zajmowały pierwsze piętro. Biskup mieszkał na dole. Pierwszy pokój od ulicy był jadalnią, drugi sypialnią, trzeci kapliczką. Żeby wyjść z kapliczki, trzeba było przechodzić przez sypialnię, a z sypialni nie można było wyjść, nie przechodząc przez jadalnię. W głębi kapliczki znajdował się zamykany alkierzyk z łóżkiem dla gościa. Ksiądz biskup zwykł był zapraszać tu na nocleg wiejskich proboszczów, których pilne sprawy lub interesy parafii sprowadzały do Digne.

Aptekę szpitalną, mały budynek przyległy do domu od strony ogrodu, zamieniono na kuchnię i spiżarnię.

Prócz tego stała w ogrodzie obora, niegdyś kuchnia szpitalna, i tu biskup pomieścił swoje dwie krowy. Jakąkolwiek dały ilość mleka, ksiądz biskup niezmiennie co rano wysyłał połowę dla chorych w szpitalu. „Płacę moją dziesięcinę” – mawiał.

Jego pokój był dość obszerny i dość trudny do ogrzania w chłodnej porze roku. Ponieważ drzewo w Digne jest bardzo drogie, wpadł na myśl urządzenia izdebki w obórce, oddzielając

ją przepierzeniem z desek. W tej izdebce przepędzał wieczory w czasie mrozów. Nazywał ją swoim „salonem zimowym”.

W tym salonie zimowym, podobnie jak w jadalni, jedynymi meblami były: kwadratowy stół z surowego drzewa i cztery krzesła wyplatane słomą. Prócz tego w pokoju jadalnym stał stary kredens, malowany na czerwono klejową farbą. Z drugiego podobnego kredensu, przybranego białym obrusem i lichą koronką, biskup zrobił ołtarz w swej kapliczce.

Jego bogate penitentki i pobożne kobiety z Digne często zbierały między sobą składkę na piękny nowy ołtarz do kaplicy jego ekscelencji; biskup brał składkowe pieniądze i za każdym razem oddawał je ubogim. „Najpiękniejszym ołtarzem – mawiał – jest dusza pocieszonego biedaka, który dziękuje Bogu”.

W kapliczce stały dwa krzesła-kłęczniki wyplatane słomą, a w pokoju sypialnym fotel z poręczami, również wyplatany. Gdy zdarzyło się biskupowi przyjmować u siebie siedem lub osiem osób równocześnie – prefekta lub generała, albo sztab stacjonującego w mieście garnizonu, albo kilku kleryków z seminarium – musiano przynosić krzesła z obory, z salonu zimowego, kłęczniki z kaplicy i fotel z sypialni i tym sposobem można było zgromadzić aż jedenaście siedzeń dla gości. Z przybyciem nowych osób ogoławano z mebli jeden pokój.

Niekiedy zeszło się osób dwanaście; wówczas biskup ukrywał kłopotliwą sytuację stojąc przed kominkiem, jeśli była zima, lub proponując przechadzkę po ogrodzie, jeśli było lato.

W zamkniętym alkierzu było także krzesło, ale z plecionką na wpół podartą i o trzech nogach, służyć więc mogło tylko oparte o ścianę. Panna Baptistyna miała co prawda u siebie szeroką kanapę z drzewa, niegdyś złoconego, okrytą jedwabną materią w kwiaty, ale że schody były za wąskie, musiano ją wciągnąć na górę przez okno, nie można jej więc było wykorzystać w tej potrzebie.

Panna Baptistyna marzyła dawniej o sprawieniu kanapy i krzesel mahoniowych, o linii wygiętej w kształt łabędziej szyi, obitych żółtym aksamitem utrechckim w różyczki. Ale to kosztowałoby co najmniej pięćset franków, toteż kiedy stwierdziła, że przez pięć lat udało jej się na ten cel zaoszczędzić zaledwie czterdzieści dwa franki i dziesięć centymów, wyrzekła się wreszcie tego marzenia. Zresztą, któż na świecie urzeczywistnił swój ideał?

Trudno byłoby wyobrazić sobie coś skromniejszego od sypialni biskupa. Oszklone drzwi wychodziły na ogród, naprzeciw nich łóżko, jedno ze szpitalnych, żelaznych łóżek, osłonięte zieloną płócienną kotarą; obok łóżka, za firanką, umywalnia z różnymi przyborami, zdradzającymi dawne wytworne przyzwyczajenia człowieka światowego; dwoje drzwi: jedne przy kominku, prowadzące do kapliczki, drugie przy szafie z książkami, prowadzące do jadalni. Wielka oszklona szafa pełna książek, kominek z malowanego drzewa, imitującego marmur, bez ognia, zazwyczaj w kominku dwa wilki żelazne, ozdobione girlandami i złobieniem niegdyś posrebrzany, co było rodzajem biskupiego zbytku; nad kominkiem krucyfiks miedziany, też niegdyś posrebrzany, przybity na wypłowiałym czarnym aksamicie, w ramach drewnianych z wytartą pozłotą; przy drzwiach od ogrodu duży stół, na nim kałamarz, wiele rozrzuconych papierów i grube księgi. Przed stołem fotel wyplatany słomą. Przed łóżkiem kłęcznik pożyczony z kaplicy.

Wszystkie pokoje, na parterze i na piętrze, bez wyjątku, bielone były wapnem, jak zwykle w szpitalach i koszarach. W ostatnich latach jednak pani Magloire, jak to później zobaczymy, odkryła pod bielonym papierem malowidła, zdobiące apartament panny Baptistyny. Dom ten, nim został szpitalem, był salą posiedzeń rady miejskiej. Stąd ta dekoracja. Posadzki izb były z czerwonej cegły, którą szorowano co tygodnia. Przed łózkami leżały słomiane maty. Mieszkanie to, o które dbały dwie kobiety, było od góry do dołu nieskazitelnie czyste. Był to jedyny zbytek, na jaki biskup zezwalał mawiając: „To niczego nie odbiera ubogim”.

Przyznać jednak trzeba, że z dawnych czasów pozostało mu sześć nakryć srebrnych i łyżka wazowa, która ku co dzień świeżej radości pani Magloire świetnie błyszczała na białym, grubym, płóciennym obrusie. A że malujemy tu biskupa Digne takim, jakim był naprawdę,

musimy dodać, iż nieraz się przyznawał: „Z trudnością odzwyczaiłbym się od jedzenia na srebrze”.

Do tych sreber dodać należy dwa masywne lichtarze, które odziedziczył po ciotecznej babce. Lichtarze te, z woskowymi świecami, stały zwykle na kominku biskupa. Gdy miał kogoś na obiedzie, pani Magloire zapalała obie świece i stawiała lichtarze na stole.

W pokoju biskupa, nad łóżkiem, znajdowała się szafka w murze, do której co wieczór pani Magloire chowała tych sześć srebrnych nakryć i wazową łyżkę. Trzeba dodać, że z zamka szafki nigdy nie wyjmowano klucza.

Ogród, nieco oszpecony brzydkimi budynkami, o których mówiliśmy już, składał się z czterech alei krzyżujących się pod kątem prostym przy studziencie; inna aleja szła wzdłuż białego muru, którym ogród, był otoczony. Między alejami znajdowały się cztery kwatery obsadzone bukszpanem. W trzech pani Magloire sadziła warzywa, w czwartej biskup sadził kwiaty. Rosło tu też kilka drzew owocowych. Razu jednego pani Magloire rzekła do biskupa z łagodną złośliwością: – Wasza wielebność ze wszystkiego umie wyciągnąć pożytek, a ta kwatera jest nieużyteczna. Lepiej byłoby hodować tu jarzyny, a nie kwiaty.

– Myli się pani, pani Magloire – odpowiedział biskup. – Rzecz piękna równie jest potrzebna jak rzecz użyteczna. I dodał po chwili milczenia: – Może nawet i więcej.

W całym domu ani jedne drzwi nie były zamykane na klucz. Drzwi jadalni, wychodzące wprost na plac katedralny, dawniej zaopatrzone były w rygle i zamki, niby więzienne wrota. Biskup kazał wyrzucić to żelastwo i drzwi, tak we dnie, jak w nocy, były zamknięte tylko na klamkę. O każdej godzinie każdy mógł wejść do biskupa, dość było je pchnąć. Z początku te drzwi, nigdy nie zamknięte, były przyczyną wielu niepokojów obu kobiet, ale biskup powiedział im: Jeżeli chcecie, każcie pozakładać rygle w waszych pokojach. – W końcu zaczęły podzielać jego ufność, a przynajmniej tak postępowały, jakby ją podzielały. Tylko pani Magloire bała się czasem. Co do biskupa, myśl jego wyrażały albo przynajmniej wskazywały słowa, które napisał na marginesie Biblii: „Ta jest różnica: drzwi lekarza nie powinny nigdy być zamknięte, drzwi kapłana powinny być zawsze otwarte”.

Na innej książce, pod tytułem: *Filozofia nauki lekarskiej*, napisał taką uwagę: „Czyż nie jestem lekarzem jak oni? Ja także mam swoich chorych; najprzód mam ich chorych, których oni nazywają pacjentami, a dalej mam swoich, których nazywam nieszczęśliwymi”.

Na innej znowu książce napisał: „Nie pytajcie o nazwisko człowieka, który was prosi o nocleg. Ten przede wszystkim potrzebuje schronienia, co się własnego nazwiska lęka”.

Pewien zacny proboszcz, nie pamiętam już z jakiej parafii, Couloubroux – czy Pompierry, pewnego dnia, za namową pani Magloire zapewne, zapytał jego ekscelencji, czy naprawdę jest pewien, że nie popełnia – nieostrożności, zostawiając drzwi dniem i nocą otwarte dla każdego, i czy nie obawia się, że w domu tak mało strzeżonym może się w końcu przytrafić jakieś nieszczęście. Biskup poważnie i łagodnie położył mu rękę na ramieniu i rzekł: *Nisi Dominus custodierit domum, in vanum vigilant, qui custodiunt eam*¹. I zaczął mówić o czym innym.

Chętnie mawiał: „Istnieje odwaga księdza, tak samo jak odwaga pułkownika dragonów. Ale – dodawał – nasza odwaga powinna być spokojna”.

¹ Jeżeli Pan bóg nie ustrzeże domu, na próżno czuwają ci, co go strzegą (łac.)

Cravatte

Tu wypada opowiedzieć wydarzenie, którego nie możemy pominąć, gdyż pokazuje ono znakomicie, jakim człowiekiem był jego ekscelencja biskup Digne.

Po likwidacji bandy Kaspra Bès, która grasowała w wąwozie Ollioules, jeden z pomocników herszta, Cravatte, uszedł w góry. Przez jakiś czas ukrywał się razem z niedobitkami bandy Kaspra Bès w hrabstwie nicejskim, potem przeniósł się do Piemontu i nagle ukazał się znowu we Francji, w okolicach Barcelonnette. Znalazł sobie kryjówkę w pieczarach Joug-de-l'Aigle i stamtąd wąwozami strumieni Ubaye i Ubayette schodził ku wsiom i osadom. Zapisał się aż do Embrun, którejs nocy wtargnął do tamtejszej katedry i obrabował zakrystię. Dawał się boleśnie we znaki całej okolicy. Wysłano przeciw niemu żandarmerię, ale na próżno. Zawsze udawało mu się uciec, czasem nawet stawiał czoło w potyczce. Był to nędznik pełen odwagi. Podczas tej paniki przybył biskup. Odbywał właśnie wizytację pasterską swojej diecezji. W Chastelar zgłosił się do niego mer i zaczął go namawiać, żeby zawrócił z drogi. Cravatte okupował góry aż do Arche i jeszcze dalej. Podróż była niebezpieczna nawet z eskortą. Trzech czy czterech żandarmów tylko by się niepotrzebnie narażało.

– Toteż ja mam zamiar jechać bez eskorty – odparł biskup.

– Czy ekscelencja naprawdę o tym myśli? – zawołał mer.

– Myślę, i to tak dalece, że stanowczo rezygnuję z żandarmów i za godzinę ruszam w drogę.

– W drogę?

– W drogę.

– Sam jeden?

– Sam jeden.

– Nie, ekscelencja tego nie robi.

– Tam w górach – ciągnął biskup jest taka biedna, mała gmina, której nie odwiedzałem już trzy lata. Bardzo się lubimy z jej mieszkańcami. Są to mili i uczciwi pasterze. Na trzydziestu wypada u nich jedna koza. Wyrabiają też śliczne sznurki z kolorowej wełny i grają góralskie piosenki na piszczałkach o sześciu otworach. Oni chcą, żeby od czasu do czasu pogawędzić z nimi o Panu Bogu. Co by powiedzieli o biskupie, który się boi? Co by powiedzieli, gdybym tam nie pojechał?

– Ale bandyci, ekscelencjo! Ekscelencja może natknąć się na bandytów!

– Rzeczywiście, ma pan rację – odrzekł biskup. – Mogę ich spotkać. Oni też na pewno mają ochotę na pogawędkę o Panu Bogu.

– Ekscelencjo, przecież to zbóje, stado wilków.

– Panie merze, może Chrystus chce, żebyśmy został pasterzem właśnie tego stada? Któż przeniknął zrzędzenia Opatrzności?

– Obrabują ekscelencję.

– Ja nic nie mam.

– Mogą zabić.

– Poczciwego starego księdza, który jedzie sobie mamrocząc modlitwy? Cóż by im z tego przyszło?

– Ach, Boże, co to będzie, jeżeli ekscelencja ich spotka?

– Poproszę ich o jałmużnę dla moich biednych.

– Niechże ekscelencja nie jedzie, zaklinam na wszystko. Ekscelencja naraża życie.

– Jeżeli tylko o to chodzi, panie merze, to moim zadaniem na tym świecie nie jest pilnowanie własnego życia, ale ludzkich dusz.

Trzeba było ustąpić. Wyruszył mając za całą asystę małego chłopca, który ofiarował się służyć mu za przewodnika. Wiadomość o jego uporze rozeszła się po okolicy i napelniła wszystkich lękiem.

Biskup nie chciał wziąć ze sobą ani swojej siostry, ani pani Magloire. Przebył góry na mule, nie spotkał nikogo i dotarł zdrów i cały do swoich przyjaciół pasterzy. Został u nich dwa tygodnie, wygłaszając kazania, udzielając sakramentów, nauczając. Kiedy nadchodził dzień wyjazdu, postanowił odśpiewać uroczyste *Te Deum*. Ale jak to urządzić? Nie było szat biskupich. Skromna wiejska zakrystia miała do dyspozycji tylko parę starych ornatów ze zniszczonego atlasu, obszytych nicianymi galonami.

– Trudno – rzekł biskup. – Księżę proboszczu, w każdym razie na kazaniu zapowiemy nasze *Te Deum*. Jakoś się to załatwi.

Przetrzęsnięto okoliczne kościoły. Wszystkie wspaniałości tych biednych parafii, złożone razem, nie wystarczyłyby, żeby godnie przybrać diakona.

Gdy tak wszyscy byli zakłopotani tą sprawą, na plebani zjawili się dwaj nieznani jeźdźcy, zostawili jakąś dużą skrzynię dla księdza biskupa i natychmiast odjechali. Otworzono skrzynię; znajdowała się w niej kapa ze złotogłowiu, infula ozdobiona diamentami, krzyż arcybiskupi, wspaniały pastorał, cały komplet szat pontyfikalnych skradziony miesiąc przedtem w skarbcu Panny Marii z Embrun. W skrzynię była wetknięta kartka ze słowami: *Od Cravatte'a dla Jego Ekscelencji Księdza Biskupa Benvenuto*.

– A mówiłem, że się to jakoś załatwi – rzekł biskup. I dodał z uśmiechem: – Kto poprzestaje na komży proboszcza, temu Bóg zsyła kapę arcybiskupa.

– Ekscelencjo – szepnął proboszcz, potrząsając głową i uśmiechając się – Bóg albo... diabeł.

Biskup popatrzył na niego i oświadczył z powagą:

– Bóg!

W drodze powrotnej i na miejscu w Chastelar spotykał ludzi, którzy schodzili się, żeby mu się przyjrzeć przez ciekawość. Na plebani w Chastelar oczekiwały go panna Baptistyna i pani Magloire.

– No i co, nie miałem racji? – zwrócił się do siostry. – Biedny księżyna pojechał z pustymi rękami do tych biedaków górali i wrócił obładowany. Kiedy stąd wyruszałem, miałem ze sobą tylko ufność w Boga, a przywiozłem skarb katedry.

Wieczorem, przed pójściem spać, powiedział jeszcze:

– Nie lękajmy się nigdy złodziei ani morderców. To są tylko niebezpieczeństwa zewnętrzne, małe niebezpieczeństwa. Lękajmy się nas samych. Przesady – oto złodzieje, występne skłonności – oto mordercy. Wielkie niebezpieczeństwa czają się w naszym wnętrzu. Cóż znaczy niebezpieczeństwo, które zagraża naszej głowie albo naszej sakiewce? Myślmy tylko o tym, co zagraża naszej duszy.

Co do losów „skarbu” katedry w Embrun, byłoby nam bardzo trudno coś o nich powiedzieć. Były to rzeczy bardzo piękne, bardzo kuszące i bardzo się nadające, żeby je ukraść dla nędzarzy. Były już zresztą ukradzione. Połowa malwersacji dokonana się, trzeba było jeszcze tylko zmienić kierunek kradzieży i przedłużyć trochę jej drogę w stronę biednych. Nic zresztą w tej materii nie twierdzimy. W każdym razie wśród papierów biskupa znaleziono dosyć tajemniczą notatkę, która może miała związek z tą sprawą i brzmiała tak: „Pytanie, czy to ma być zwrócone katedrze, czy też szpitalowi”.

Siostra opowiada o bracie

Chcąc dać wyobrażenie o życiu domowym księdza biskupa Digne i o tym, jak obie zacne kobiety dostosowały swe czyny, myśli, nawet trwożliwe instynkty niewieście do zwyczajów i zamiarów biskupa, których nie musiał nawet wyrażać słowami – najlepiej będzie, jeśli przepiszemy tu list panny Baptistyny do wicehrabiny de Boischevron, jej przyjaciółki z dziecinnych lat. List ten wpadł nam w ręce.

Digne, 16 grudnia 18...

Dobra, Kochana Pani, nie ma dnia, żebyśmy o Tobie nie mówiły. Jest to już naszym zwyczajem, a teraz przybył nowy powód. Wyobraź sobie, że pani Magloire myjąc i okurzając sufity i ściany zrobiła odkrycie: dziś dwa nasze pokoje, obite starym bielonym papierem, nie specyłyby pałacu choćby i takiego jak Twój. Pani Magloire zdarła wszystkiek papier. I cóż się ukazało spod obicia! Salon mój, bez żadnych mebli, w którym zwykle suszymy bieliznę, jest na piętnaście stóp wysoki, a szeroki i długi na osiemnaście: sufit ma malowany po staroświecku. ze zloceniami, a belki takie jak u Ciebie. Kiedy był tu szpital, wszystko to zakryto płótnem. Otóż pod spodem były boazerie z czasów naszych prababek. Ale najładniejszy jest mój pokój. Pani Magloire. zdarłszy z dziesięć naklejonych papierów, odkryła wcale niezgorsze malowidła: Telemak pasowany na rycerza przez Minerwę, znów Telemak, w ogrodach – zapomniałam, jak się zwały. Wiesz, tam gdzie damy rzymskie udawały się na jedną noc w roku. Słowem, mam Rzymian, Rzymianki(tu wyraz nieczytelny) z całym orszakiem. Pani Magloire oczyściła wszystko, tego lata naprawi małe uszkodzenia, odnowi całość i mój pokój będzie prawdziwym muzeum. Znalazła także na strychu dwie drewniane konsole staroświeckiej roboty. Żądano dwa talary za odnowienie, lepiej jednak dać je ubogim; zresztą – to brzydkie, wolałabym okrągły mahoniowy stół.

Wciąż jestem bardzo szczęśliwa. Mój brat jest taki dobry. Wszystko, co ma, oddaje ubogim i chorym. Odczuwamy wielkie braki. Zima bywa tu ostra i trzeba wiele pomagać tym. co są w biedzie. My przynajmniej mamy światła i opału prawie pod dostatkiem. Jak widzisz, są to wielkie wygody.

Mój brat ma swoje przyzwyczajenia. Mówi, że biskup powinien być właśnie taki. Wyobraź sobie, że drzwi od dworu nigdy nie są zamykane. Kto chce. wchodzi i zaraz jest u brata. On nie boi się niczego, nawet w nocy. Na tym polega jego odwaga, jak powiada.

Nie życzy sobie, abyśmy z panią Magloire lękały się o niego. Naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa i nie chce, żebyśmy dały poznać po sobie, że to widzimy. Trzeba umieć go zrozumieć.

Wychodzi podczas deszczu, brnie po wodzie, podróżuje w zimie. Nie boi się nocy, niebezpiecznych dróg ani napaści.

Zeszłego roku pojechał sam jeden w okolicę opanowaną przez złodziei. Nie chciał nas zabrać. Nie było go dwa tygodnie. Wrócił i nic mu się nie stało: ludzie myśleli, że już nie żyje, a on był zdrowy i

powiedział „Spójrzcie, jak mnie okradli”. I otworzył walizę, w której były wszystkie drogocенności, które złodzieje ukradli z katedry w Embrun i teraz mu podarowali.

Tym razem w powrotnej drodze, nie mogłam się powstrzymać, żeby go trochę nie połajać, ale starałam się mówić tylko wtedy, kiedy koła powozu głośno turkotały i nikt oprócz niego nie mógł mnie słyszeć.

Z początku myślałam sobie: nie ma niebezpieczeństwa, przed którym on by się cofnął; to jest okropny człowiek. W końcu przyzwyczaiłam się do tego. Daję tylko znak pani Magloire, żeby mu się nie sprzeciwiała. Naraża się, jak tylko chce. Ja zabieram panią Magloire, idę do swojego pokoju, modlę się za niego i usypiam. Jestem spokojna, gdyż wiem, że gdyby go spotkało nieszczęście, byłby to koniec dla mnie. Poszłabym do Boga wraz z moim bratem i biskupem. Pani Magloire trudniej było przywyknąć do tej, jak powiada, jego nierozwagi: ale dziś uległa i ona. Modlimy się obie, lękamy obie i obie zasypiamy. Choćby diabeł wszedł do mieszkania, nikt mu nie przeszkodzi. A zresztą, czego się mamy lękać w tym domu? Zawsze przebywa z nami ktoś, kto jest najmocniejszy. Diabeł może tu wejść, ale Pan Bóg tu mieszka.

To mi wystarcza. Brat nie potrzebuje mi mówić ani słowa. Odgaduję go i bez tego i zdajemy się na łaskę Opatrzności.

Tak to należy żyć z człowiekiem, który jest wielki duchem. Pytałam brata o szczegóły dotyczące rodziny de Faux, których żądasz. Wiadomo Ci, że on wie wszystko i troskliwie przechowuje wspomnienia, bo nie przestał być dobrym rojalistą. Rzeczywiście jest to bardzo starożytna rodzina normandzka z okręgu Caen. Już pięćset lat temu znane było szlachectwo Raula, Jana i Tomasza de Faux, jeden z nich był panem na Rochefort. Ostatni z nich, Iwo-Stefan-Aleksander, był kwatermistrzem i czymś tam jeszcze w lekkiej jeździe bretońskiej. Córka jego, Maria-Ludwika, zaślubiła Adriana-Karola de Gramont, syna księcia Ludwika de Gramont, para Francji, pułkownika gwardii francuskiej i generała-porucznika armii. Piszą się Faux, Fauq i Faoucq.

Kochana Pani, poleć nas modlitwom swego świątobliwego krewnego. księdza kardynała. Kochana Twoja Sywania dobrze robi, że krótkich chwil pobytu przy Tobie nie traci na pisanie do mnie. Jest zdrowa, pracuje podług Twojej woli, kocha mnie zawsze – więcej mi nie trzeba. Cieszy mnie, że jak donosisz, pamięta o mnie. Zdrowie moje niezgorsze, tyle że co dzień bardziej chudnę. Bądź zdrowa, zabrakło mi papieru, muszę cię więc pożegnać. Wszelakiego szczęścia i pomyślności życzę.

Baptystyna

Jak widzimy z tego listu, dwie kobiety umiały się zastosować do sposobu życia biskupa ze zdolnością właściwą kobietom, dzięki której lepiej rozumieją one mężczyzn niż oni sami siebie. Biskup, zawsze tak łagodny, tak prosty, nieraz dokonywał czynów wielkich i odważnych, wspaniałych i jakby sam się tego domyślał. Kobiety drżały o niego, ale nie sprzeciwiały się. Niekiedy pani Magloire próbowała upominać go przedtem – nigdy jednak wtedy, gdy czynił coś, ani też potem. Nigdy nie wtrącały się ani słówkiem, ani najmniejszym znakiem do rozpoczętego dzieła. Były chwile, że chociaż im nie mówił – bo może i sam nie

wiedział o tym, tak prostota jego była doskonała – czuły instynktownie, że postępuje, jak przystało na biskupa; a wtedy nie słyszeć ich było nawet w domu: rzekłbyś – dwa cienie. Służyły mu biernie, a gdy posłuszeństwo wymagało, by zniknąć, znikaly. Wiedzione przedziwną delikatnością instynktu, rozumiały, że niekiedy troskliwość jest natrętna. Toteż i wtedy nawet, kiedy czuły, że grozi mu niebezpieczeństwo, odgadywały, nie powiem – myśl jego, lecz naturę, i potrafiły nie czuwać nad nim zupełnie. Polecały go Bogu.

Zresztą Baptistyna, jak wyczytaliśmy z listu, mówiła, że śmierć jej brata byłaby jej śmiercią. Pani Magloire nie mówiła tego, lecz również to wiedziała.

Biskup w obliczu nieznanego światła

W epoce nieco późniejszej od daty listu, który zacytowaliśmy na poprzednich stronicach, biskup dokonał dzieła, które w przekonaniu miasta było daleko niebezpieczniejsze od wycieczki w góry opanowane przez rozbójników.

Niedaleko od Digne, na wsi, żył samotnie pewien człowiek. Był on, powiedzmy to od razu, dawnym członkiem Konwentu. Nazywał się G.

O członku Konwentu G. w małym świątku miasteczka mówiono z oburzeniem i ze zgrozą. Członek Konwentu, czyż możecie sobie wyobrazić? Postać z tych czasów, kiedy to wszyscy się tykali i mówili sobie: obywatelu. Człowiek ten był czymś na kształt potwora. Wprawdzie nie głosował za śmiercią króla, ale prawie. Był to więc niemal królobójca. Był okrutnikiem. Dlaczego po powrocie prawych panów Francji nie pozwano go przed sąd? Niechby mu byli nie ścinać głowy, jeśli chcecie; trzeba być miłosiernym, słusznie; ale należało mu się dożywotnie wygnanie itd., itd. Choćby dla przykładu! Był to zresztą ateusz, jak ci wszyscy ludzie. – Tak gęsi gęgają o jastrzębiu.

Czy G. był zresztą jastrzębiem? Zapewne, jeśli go sądzić będziemy wedle tego, jak dzięki i całkowite było jego odosobnienie. Ponieważ nie głosował za śmiercią króla, nie podpadał pod wyrok wygnania i mógł pozostać we Francji.

Mieszkał o trzy kwadransy drogi od miasta, z dala od wszelkiej osady, z dala od wszelkiej drogi, w zapadłym zakątku dzikiej doliny. Powiadano, że miał tam jakieś półko, lepiankę, legowisko. Żadnych sąsiadów, nikt nawet tamtędy nie przechodził. Odkąd mieszkał w tej dolinie, ścieżka wiodąca do niej zarosła trawą. O tym miejscu mówiono jak o domu kata.

Biskup jednak zastanawiał się i od czasu do czasu spoglądał w tę stronę, gdzie kępka drzew oznaczała dolinę, w której mieszkał stary członek Konwentu, i szeptał sobie: „Tam jest samotna dusza”.

I w głębi myśli dodawał: „Powiniennem go odwiedzić”.

Przyznajemy jednak, że myśl ta, zrazu naturalna, po chwili rozważenia wydała mu się dziwaczna, niemożliwa, nawet odpychająca. Bo w gruncie rzeczy podzielał mniemanie ogólne, a członek Konwentu, choć sobie z tego nie zdawał sprawy, budził w nim uczucie, które graniczyło z nienawiścią, a które najlepiej wyraża słowo „oddalenie”.

Czy mimo wszystko zapowietrzona owca powinna działać odpychająco na pasterza? Nie. Ale taka owca!...

Pocciwy biskup trwał w niepewności. Czasami kierował się w tamtą stronę i zawracał.

Wreszcie pewnego dnia rozeszła się wieść, że pastuch, chłopak, który posługiwał członkowi Konwentu G. w jego lepiance, przyszedł po doktora, że stary złoczyńca umiera, że go tknął paraliż i że nocy nie przeżyje. – Chwała Bogu! – dodawali niektórzy.

Biskup wziął kij, włożył pelerynę z powodu, jakżeśmy to już mówili, swojej zbyt wytartej sutanny, a także i dla ochrony przed wiatrem wieczornym, który mógł się zerwać już wkrótce, i poszedł.

Słońce schyliło się i już prawie dotykało widnokregu, gdy biskup przybył do wyklętego zakątka. Z bijącym sercem spostrzegł, że kryjówka starca jest już blisko. Przekroczył rów, przeszedł przez żywopłot, podniósł poziomą żerdź zamykającą opuszczone podwórko, postąpił dosyć odważnie kilka kroków i nagle, na skraju ugoru, za kępą krzaków, ujrzał tę jaskinię.

Była to niska chata, nędzna, mała, ale czysta, obrośnięta z przodu winem.

Przed drzwiami, w starym krześle na kółkach, prostej wiejskiej roboty, siedział siwy człowiek i uśmiechał się do słońca.

Obok starca stał chłopiec, pastuszek. Podawał właśnie staremu miskę mleka.

Kiedy biskup tak mu się przypatrywał, starzec odezwał się dość głośno:

– Dziękuję, już mi nic nie trzeba. – I uśmiech jego od słońca zwrócił się ku dziecku.

Biskup zbliżył się. Słyszając jego kroki, starzec odwrócił głowę, a twarz jego wyraziła tyle zdziwienia, ile tylko oblicze ludzkie po długim życiu może jeszcze wyrazić.

– Od kiedy tu jestem, pierwszy raz ktoś do mnie przyszedł. Kim ksiądz jest?

Biskup odpowiedział:

– Nazywam się Benvenuto Myriel.

– Benvenuto Myriel! Gdzieś słyszałem to imię. Czy to księdza lud nazywa biskupem Benvenuto?

– Tak, mnie.

Starzec mówił dalej z półuśmiechem:

– A więc jest ksiądz moim biskupem?

– Trochę.

– Proszę, niech ksiądz wejdzie.

Członek Konwentu wyciągnął rękę do biskupa, ale on jej nie wziął. Rzekł tylko:

– Miło mi jest przekonać się, że mnie wprowadzono w błąd. Nie wygląda pan na chorego.

– Wkrótce wyzdrowieję – odparł starzec.

Przerwał, po czym dodał:

– Za trzy godziny umrę.

I mówił dalej:

– Jestem trochę lekarzem; wiem, jak przychodzi ostatnia godzina. Wczoraj tylko stopy miałem zimne, dziś chłód doszedł do kolan; teraz czuję, jak postępuje aż do pasa; kiedy dojdzie do serca, przyjdzie kres. Słońce świeci, prawda? Więc kazałem się wytoczyć przed chatę, żeby jeszcze raz popatrzeć na świat. Może pan mówić, to mnie nie męczy wcale. Dobrze ksiądz zrobił, że przyszedł popatrzeć na umierającego człowieka. Trzeba, by ta godzina miała świadków. Miewa się czasem śmieszne zachcianki. Chciałem dociągnąć do świtu. Ale wiem, że więcej niż trzy godziny nie pożyję. Będzie właśnie noc. A zresztą, co tam! Koniec to prosta sprawa. Nie trzeba na to koniecznie poranka. Niech i tak będzie. Umrę przy świetle gwiazd.

Starzec obrócił się do pastuszka.

– A ty idź spać. Siedziałeś całą przeszłą noc. Jesteś zmęczony.

Dziecko weszło do chaty.

Stary śledził je oczami i dorzucił jakby sam do siebie:

– Kiedy on będzie spał, ja umrę. Dwa sny mogą trwać w zgodzie obok siebie.

Biskup nie był tak bardzo wzruszony, jak by się można było spodziewać. Zdawało mu się, że w tym sposobie umierania nie czuje obecności Boga; powiedzmy wszystko, bo drobne sprzeczności wielkich serc też trzeba wyjawiać: on, który zawsze uśmiechał się żartobliwie, kiedy go nazywano jego wysokością, czuł się trochę dotknięty tym, że starzec nie nazywa go

ekscelencją, i prawie że chciał mu odpowiadać – obywatelu. Miał ochotę traktować go z szorstką poufałością, dość zwykłą u księży i lekarzy, ale która jemu była dotychczas obca. Ten mimo wszystko człowiek, ten członek Konwentu, ten przedstawiciel ludu był niegdyś jednym z możliwych tego świata. Po raz pierwszy w swoim życiu biskup poczuł potrzebę surowości.

Członek Konwentu przypatrywał mu się tymczasem ze skromną serdecznością, w której odnaleźć może by można było odrobinę pokory, jaka przystoi człowiekowi mającemu za chwilę obrócić się w proch.

Biskup ze swej strony, choć zazwyczaj wystrzegał się ciekawości, która według niego graniczyła z arogancją, nie mógł się powstrzymać od przypatrywania się temu człowiekowi z uwagą, która jako że nie płynęła z sympatii – w każdym innym wypadku obudziłaby w nim zapewne wyrzuty sumienia. Członek Konwentu wydawał mu się trochę istotą wyłączoną spod prawa, nawet spod prawa miłosierdzia.

G., spokojny, prawie wyprostowany, z silnym, dźwięcznym głosem, był jednym z tych osiemdziesięcioletnich starców, którzy zadziwiają fizjologów. Rewolucja wielu miała takich ludzi, stworzonych na miarę epoki. Wyczuwałeś w nim człowieka, który przetrwał wiele prób. Choć tak blisko śmierci, miał jeszcze wszystkie ruchy zdrowego człowieka. W jego jasnym wejrzeniu, w wyraźnej mowie, w silnym ruchu ramion dość było życia, by śmierć zawahała się, niepewna swego. Azrael, mahometański anioł grobów, cofnąłby się, sądząc, że się omylił, że wszedł nie w te drzwi. G. zdawał się umierać dlatego tylko, że sam tego chciał; w agonii jego była jakby jakaś swoboda; tylko nogi miał nieruchome. Ciemność już go za nie objęła. Stopy były zimne i umarłe, a głowa jeszcze żyła całą potęgą życia i zdawała się jaśnieć pełnią światła. G. w tej poważnej chwili podobny był do owego króla ze wschodniej bajki, który od góry był ciałem, a od dołu – marmurem.

Niedaleko leżał kamień. Biskup siadł na nim. Bez żadnych wstępów zaczął rozmowę.

– Winszuję panu – rzekł tonem wymówki. – Nie głosował pan jednak za śmiercią króla.

Członek Konwentu jakby nie zauważył gorzkiej przymówki ukrytej w słowie „jednak”. Odpowiedział. Na twarzy jego nie było uśmiechu:

– Nie winszuj mi nadmiernie, księżę, głosowałem za końcem tyranii.

Surowo brzmiała ta odpowiedź na surowe słowa.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał biskup.

– Rozumiem przez to, że człowiek ma jednego tyrana: ciemnotę. Głosowałem przeciwko temu tyranowi. Z tego to tyrana zrodziła się władza oparta na kłamstwie, tak jak wiedza jest władzą opartą na prawdzie. Tylko wiedza powinna rządzić człowiekiem.

– I sumienie – dodał biskup.

– To to samo. Sumienie – to suma wiedzy wrodzonej, którą każdy z nas ma w sobie.

Ksiądz Benvenuto słuchał, nie bez zdziwienia, tej mowy, tak dla niego nowej.

Członek Konwentu mówił dalej:

– Co do Ludwika XVI, powiedziałem – nie. Nie przyznaję sobie prawa zabijania człowieka, ale wiem, że obowiązkiem moim jest tępienie zła. Więc głosowałem przeciwko tyranii. Czyli przeciwko prostytutce kobiety, przeciwko niewoli mężczyzny, przeciwko ciemnocie dziecka. Głosując za republiką głosowałem przeciw temu. Głosowałem za zgodą, za braterstwem, za świtem nowych dni!

Przyłożyłem się do obalenia przesądów i błędów. Ruina błędów i przesądów sprowadza światło. Przewróciliśmy stary świat, my właśnie, i przewrócony stary świat, naczynie wszelakich nędz, stał się urną radości.

– Radości mieszanej – powiedział biskup.

– Mógłby ksiądz rzec: radości zamaconej, a dziś po nieszczęsnym powrocie przeszłości, który nazywają rokiem 1814, radości, która znikła. Niestety, dzieło było niepełne, przyznaję, obaliliśmy dawny porządek w faktach, nie mogliśmy całkowicie skruszyć go w umysłach. Nie

wystarczy zniszczenie nadużyć; trzeba zmienić obyczaje. Młyna nie ma, ale wieje wiatr, co go obracał.

– Niszczycielcie. Niszczenie może być użyteczne, ale nie ufam niszczeniu, któremu towarzyszy gniew.

– Prawo ma swój gniew, księżu biskupie, a gniew prawa jest czynnikiem postępu. Mniejsza o to, cokolwiek by powiedziano, rewolucja francuska jest największym krokiem naprzód, jaki ludzkość uczyniła od narodzenia Chrystusa. Niepełnym, zgoda, ale wielkim. Rozwiązała ona wszystkie społeczne niewiadome. Złagodziła umysły, uspokoiła, uśmierzyła, oświeciła; spłynęły z niej na świat rzeki cywilizacji. Była dobrodziejstwem. Rewolucja francuska to ukoronowanie ludzkości!

Biskup nie mógł się wstrzymać od mruknięcia:

– Tak? Rok 1793!

Członek Konwentu wyprostował się na krześle z posepną nieomal powagą i o ile umierający krzyknąć może, krzyknął:

– Aha! Właśnie rok 93! Czekałem na to słowo! Chmura zbierała się przez półtora tysiąca lat. I po piętnastu stuleciach – pękła. Wytaczacie proces uderzeniu pioruna.

Biskup uczył, choć się sam do tego nie przyznawał, że coś w nim zostało poruszone. Opanował się jednak. Odrzekł:

– Sędzia przemawia w imię sprawiedliwości, kapłan w imię miłosierdzia, które nie jest niczym innym, jak wyższą formą sprawiedliwości. Piorun nie powinien się mylić.

I dodał wpatrując się bacznie w członka Konwentu:

– A Ludwik XVII?

Starzec wyciągnął rękę i schwycił biskupa za ramię.

– Ludwik XVII! Właśnie! Po kim płaczecie! Czy po niewinnym dziecku? Słusznie, płacząc z wami. Czy po dziecku królewskim? Zastanówmy się. Dla mnie brat Kartusza, dziecko niewinne, powieszona za ręce na placu Grève i umęczona na śmierć za tę jedyną zbrodnię, że było bratem Kartusza, jest czymś równie bolesnym co wnuk Ludwika XV, niewinne dziecko, zamęczone w wieży Temple za to tylko, że było wnukiem Ludwika XV.

– Panie – rzekł biskup – nie podoba mi się takie zestawienie imion.

– Kartusz? Ludwik XV? Za którym z nich się ksiądz ujmuje? Nastąpiła chwila milczenia. Biskup żałował prawie, że przyszedł, a jednak czuł, że jest poruszony w jakiś dziwny, nieokreślony sposób.

Członek Konwentu mówił dalej:

– Tak, mości księżu, nie lubisz surowej prawdy. Ale Chrystus ją miłował. Brał różgę w rękę i oczyszczał świątynię. Jego bicz, siejący błyskawicę, głosił wszelką najbardziej gorzką prawdę. Księżu, niewinność jest sama sobie koroną. Niewinności tytułów nie trzeba. Jest równie dostojna w łachmanach jak w purpurze.

– To prawda – rzekł biskup cicho.

– Proszę posłuchać – mówił dalej starzec. – Wspomniał ksiądz imię Ludwika XVII. Porozumiejmy się. Czy oplakujemy wszystkich niewinnych, wszystkich męczenników, wszystkie dzieci, wysoko i nisko urodzone? Zgoda, czynię to razem z wami. Ale jeżeli tak, mówiłem już. sięgnijmy dalej niż rok 93; płacz nasz powinien się zacząć na długo przed Ludwikiem. Będę z księdzem chętnie płakał nad dziećmi królewskimi, ale niech ksiądz zapłacze ze mną nad dziećmi ludu.

– Ja płacząc nad wszystkimi – powiedział biskup.

– Jednakowo! – zawołał G. A jeżeli ma się przechylić szala, to na stronę ludu. On dawniej cierpi.

Znowu nastąpiło milczenie. Przerwał je członek Konwentu. Podźwignął się na łokciu, ujął w dwa palce policzek, jak machinalnie czyni człowiek, który pyta i sądzi, i zapytał biskupa,

przeszywając go wzrokiem, w którym była cała energia ostatniej godziny życia. Był to wybuch nieledwie:

– Tak, księżę, lud cierpi już od dawna. A zresztą nie ma o czym mówić. Po co przychodzisz mnie badać i mówisz mi o Ludwiku XVII? Ja księdza nie znam. Odkąd jestem w tej okolicy, żyję tu, w tym ustroniu, sam, nigdzie nie wychodząc i nie widując nikogo prócz tego dziecka, które mi pomaga. Imię księdza, to prawda, doszło aż do mnie, i to, przyznać muszę, życzliwie wspominałem, ale to nic nie znaczy. Zręczni ludzie tak dobrze potrafią zwodzić ten poczciwy lud. A właśnie, nie słyszałem turkotu powozu księdza; pewnie pozostał za laskiem, u rozstajnej drogi. Powtarzam, nie znam księdza. Powiedział mi ksiądz, że jest biskupem, ale mnie to o moralnej wartości księdza nic nie mówi. Powtarzam więc pytanie: Kim ksiądz jest? Jest ksiądz biskupem, czyli księciem Kościoła, jednym z tych ludzi pozłoconych, zdobnych w herby, zasobnych w renty, którzy mają tłuste dochody – biskupstwo Digne: piętnaście tysięcy dochodu stałego, dziesięć tysięcy dochodów ubocznych, razem dwadzieścia pięć tysięcy franków – którzy mają kuchnie, liberie, stół wyśmienity, którzy w piątek zajadają kurki wodne i paradują z lokajami na przedzie, z lokajami z tyłu, w galowych powozach, mają pałace i rozjeżdżają karetami w imię Jezusa Chrystusa, lokaje, dobry stół, wszystkie uciechy życia, ma je ksiądz jak inni i jak inni ich używa, bardzo to pięknie, ale to za mało jeszcze albo za wiele; nie mówi mi to nic o wartości osobistej, istotnej księdza, który przychodzi do mnie prawdopodobnie po to, żeby mi przynieść mądrość. Z kim mówię? Kim ksiądz jest?

Biskup schylił głowę i rzekł:

– *Vermis sum*².

– Robakiem w karcie! – mruknął członek Konwentu.

Zmieniły się role i teraz członek Konwentu przemawiał wyniośle, a biskup odpowiadał mu z pokorą.

Biskup rzekł cicho:

– Tak, panie. Ale wytłumacz mi, jakim to sposobem moja karetka, która tam stoi, o dwa kroki stąd, za drzewami, mój dobry stół i owe kurki wodne, które jadam w piątek, jakim to sposobem moje dwadzieścia pięć tysięcy franków dochodu, mój pałac i moi lokaje dowodzą, że litość nie jest cnotą, że miłosierdzie nie jest obowiązkiem i że rok 93 nie był bezlitosny?

Członek Konwentu przesunął dłonią po czole, jakby zeń chciał odsunąć chmurę.

– Nim odpowiem – rzekł – proszę, niech mi ksiądz przebaczy. Zbłądziłem, wyznaję. Jest ksiądz moim gościem; winienem księdzu uprzejmość. Ksiądz roztrząsa moje poglądy, jak powinienem ograniczyć się do zbijania jego rozumowań. Bogactwo i używanie życia są to argumenty, które mam przeciw księdzu, ale dobry smak zakazuje mi korzystania z nich. Przrzekam, że nie będę się już nimi posługiwał.

– Dziękuję panu – rzekł biskup.

G. mówił dalej:

– Wróćmy do wyjaśnienia, którego ksiądz żąda ode mnie. Na czym żeśmy stanęli? Co mi ksiądz mówił? Że rok 93 był bezlitosny?

– Bezlitosny, tak! – powtórzył biskup. – Cóż sądzi pan o Maracie oklaskującym gilotynę?

– A co pan sądzi o Bossuecie celebrującym *Te Deum* po zwycięstwie prześladowań religijnych?

Odpowiedź była twarda, ale trafiała w cel jak stalowe ostrze szpady. Biskup zadrżał, nie przysłała mu na myśl żadna odpowiedź, ale uczył się obrażony takim sposobem wyrażania się o Bossuecie. Najlepsze umysły też miewają swoje bożki i nieraz czują się boleśnie dotknięte brakiem szacunku, jaki właściwy jest logice.

² Robakiem jestem (łac.)

Członek Konwentu zaczynał ciężko dyszeć; astma konania, która utrudnia oddech ostatnich chwil, przerywała mu głos, lecz oczy jego wyrażały całkowitą jasność myśli. Mówił dalej:

– Powiedzmy sobie jeszcze słów kilka o tym i o owym; tam chcę jeszcze porozmawiać. Odłożywszy na bok rewolucję, która wzięta w całości jest olbrzymim potwierdzeniem człowieczeństwa, rok 93, niestety, był tylko odpowiedzią. Uważa go ksiądz za bezlitosny? A cała monarchia? Żal mi Marii Antoniny arcyksiężniczki i królowej, ale żal mi również tej biednej hugonotki karmiącej dziecko, którą w r. 1685, za Ludwika Wielkiego przywiązano do słupa nagą po pas, a dziecko trzymano z daleka... Pierś jej wzdymała się pokarmem, serce wypełniało boleścią; niemowlę wygłodniałe i blade widziało pierś matki, konało i krzyczało... a kat mówił do kobiety, matki, karmicielki: Wyrzecz się! – dając jej do wyboru albo śmierć dziecka, albo zabicie własnego sumienia. Co ksiądz mówi o tej męce Tantalą zastosowanej do matki? Niech ksiądz to sobie dobrze zapamięta: Rewolucja francuska miała swe przyczyny; przyszłość uniewinni jej gniew. A skutek jej – to lepszy świat. Z jej najstraszliwszych uderzeń powstaje pieśczęta dla ludzkości. Streszczam się. Kończę już, bo mam zbyt wielką przewagę. A zresztą umieram.

I odwróciwszy oczy od biskupa, członek Konwentu dokończył swoje myśli kilku spokojnymi słowami:

– Tak, gwałty postępu noszą nazwę rewolucji. A gdy ustaną, oto co stwierdzić można: że ludzkością potrząśnięto, aby poszła naprzód.

Starzec nie domyślał się, że zdobywał po kolei wszystkie szanse, którymi się biskup we wnętrzu swoim obwarował; pozostał wszakże jeszcze jeden i spoza ostatniego okopu biskupa Benvenuto padło słowo, w którym znów zadźwięczały wszystkie ostre zgrzyty początku ich rozmowy:

– Postęp musi wierzyć w Boga. Dobro nie może mieć bezbożnej sługi. Ateusz złym jest przewodnikiem rodzaju ludzkiego.

Sędziwy przedstawiciel ludu nic nie odpowiedział. Zadrzał tylko. Spojrzał w niebo i łza powoli narodziła się w jego spojrzeniu. Gdy powieki napełniły się, łza spłynęła po jego bladym policzku i starzec przemówił zająkując się nieco, cicho i jakby do siebie, ze spojrzeniem zatopionym w głębinach:

– O, Ty! Doskonałości! Ty jedna istniejesz!

Biskup doznał nie dającego się opisać wzruszenia.

Po chwili milczenia starzec podniósł palec ku niebu i rzekł:

– Nieskończoność istnieje. Jest tam! Gdyby nieskończoność nie miała swojej indywidualności, moja indywidualność byłaby jej granicą. Nie byłaby nieskończona, czyli że nie istniałaby... lecz ona istnieje! Więc nieskończoność ma swoje *ja*, którym jest Bóg.

Umierający wyrzekł te ostatnie wyrazy głosem donośnym, drżącym z zachwyconego uniesienia, jak gdyby kogoś widział. A gdy dokończył, zamknęły mu się powieki. Wysilek wyczerpał go. Widocznym było, że w tej jednej chwili przeżył kilka godzin, które mu jeszcze pozostały. To, co wyrzekł, zbliżyło go do Tego, który jest w śmierci. Zbliżała się chwila ostatnia.

Biskup zrozumiał to, był już czas – przybył tu przecie jako kapłan. Z zupełnej oziębłości przeszedł stopniowo do niezmiernego wzruszenia; spojrzawszy na te oczy zamknięte, ujął tę pomarszczoną i zimną dłoń i pochylił się nad konającym.

– Ta godzina należy do Boga. Czy nie sądzi pan, że szkoda by było, gdybyśmy się spotkali na próżno?

Członek Konwentu otworzył oczy. Powaga i cień jakiś rozpostarły się na jego twarzy.

– Księżę biskupie – rzekł z powolnością, która płynęła bardziej chyba z godności ducha niż z osłabienia ciała – spędziłem życie na rozmyślaniu, badaniu, kontemplacji. Miałem lat sześćdziesiąt, gdy kraj mój powołał mnie i kazał wmieszać się w swoje sprawy. Były

nadużycia – walczyłem z nimi; były tyranie – niszczyłem je; były prawa i zasady – głosiłem je i wyznawałem. Ziemia nasza została napadnięta przez wroga – broniłem jej; Francja była zagrożona nastawiłem piersi. Nie byłem bogaty, dziś jestem ubogi. Byłem jednym z władców państwa; piwnice skarbcza były przepełnione kruszcem tak, że trzeba było podpierać ściany, aby nie runęły pod ciężarem srebra i złota, jadałem w garkuchni przy ulicy Suchego Drzewa za dwadzieścia su od osoby. Pomagałem uciśnionym, niosłem ulgę cierpiącym. Podarłem obrus z ołtarza, to prawda, ale po to, żeby opatrzyć rany ojczyzny. Wspierałem zawsze pochód ludzkości ku światłu, czasem opierałem się bezlitosnemu postępowi. Zdarzało mi się też chronić moich własnych przeciwników, was właśnie. W Peteghem we Flandrii, tam gdzie królowie z rodu Merowingów mieli swój pałac, jest klasztor urbanistów, opactwo św. Klary w Beaulieu, które ocaliłem w r. 1793. Obowiązek mój spełniałem wedle sił, robiłem tyle dobrego, ile tylko mogłem. Potem zostałem wygnany, ścigany, prześladowany, oczerniony, wyśmiany, spotwarzony, przeklęty, skazany. Od wielu już lat, mając siwe włosy, czuję, że wiele ludzi sądzi, iż ma prawo mną gardzić; dla biednego, ciemnego tłumu mam twarz potępieńca i nie nienawidząc nikogo, przyjąłem odosobnienie nienawiści. Teraz mam osiemdziesiąt sześć lat, umieram. Po co przychodzisz do mnie?

– Przychodzę po twe błogosławieństwo! – rzekł biskup.

I ukląkł.

Gdy biskup podniósł głowę, oblicze członka Konwentu przybrało wyraz dostojęstwa. Skonał.

Biskup powrócił do domu głęboko pogrążony w myślach nie znanych nikomu. Całą noc spędził na modlitwie. Nazajutrz kilku ciekawych śmiałków próbowało zagadywać go o członka Konwentu G. – wskazał im tylko na niebo.

Od tej chwili czułość jego i braterska miłość dla ubogich i cierpiących podwoiła się.

Wszelkie przypomnienie „tego starego zbrodniarza G.” wprowadzało go w jakąś dziwną zadumę. Nikt by nie umiał powiedzieć, czy przejście obok tego ducha, czy odblask tego wielkiego sumienia nie przyczynił się do przybliżenia go do doskonałości.

Te „odwiedziny pasterskie” stały się naturalnie przyczyną wielu rozmów w miejscowych koteryjkach czy wezłowie takiego konającego było miejscem stosownym dla biskupa? Tam nie można było spodziewać się nawrócenia. Wszyscy ci rewolucjoniści są niepoprawni. Więc po cóż było chodzić? Czego tam szukał? Widocznie bardzo był ciekawy, jak to wygląda, kiedy diabeł przychodzi po duszę.

Któregoś dnia pewna wdowa, z tych, co to uważają impertynencję za dowcip, odezwała się do niego:

– Ekscelencjo! pytają się, kiedy wasza wielebność włoży czerwoną czapkę frygijską?

– O! o! To jaskrawy kolor! – odparł biskup. – Na szczęście ci, co nim gardzą we frygijskiej czapce, czczą go w kardynalskim kapeluszu.

Zastrzeżenie

Grubo omyliłby się ten, kto by stąd wywnioskował, że biskup Benvenuto był „biskupem filozofem” lub „proboszczem patriotą”. Jego spotkanie, rzec by można prawie jego połączenie się w duchu z członkiem Konwentu G. zdziwiło go tylko nieco i uczyniło jeszcze łagodniejszym. To wszystko.

Chociaż ksiądz Benvenuto nie był zgoła czynnym politykiem, nie od rzeczy będzie wskazać tu w kilku słowach, jaką zachowywał postawę wobec wypadków ówczesnych,

założywszy, że ksiądz Benvenuto w ogóle myślał kiedykolwiek o zajmowaniu jakiejś postawy.

Cofnijmy się wstecz o lat kilka.

W pewien czas po wyniesieniu księdza Myriela na biskupstwo cesarz mianował go baronem Cesarstwa, razem z kilku innymi biskupami. Jak wiadomo, w nocy z dnia 5 na 6 lipca 1809 r. uwięziono papieża; z tej okazji Napoleon powołał księdza Myriela do Paryża na synod biskupów francuskich i włoskich. Zgromadzenie zebrało się w katedrze Notre-Dame i po raz pierwszy odbyło posiedzenie 15 czerwca 1811 roku pod przewodnictwem kardynała Fescha. Ksiądz Myriel był jednym z dziewięćdziesięciu pięciu obradujących biskupów. Ale obecny był tylko na jednym posiedzeniu i na trzech czy czterech konferencjach. Biskup górskiej diecezji, zbliżony do przyrody, żyjący w ubóstwie wieśniaczym, zdawał się wnosić między tych dostojników myśli, które zmieniały temperaturę zgromadzenia. Prędko też wrócił do Digne. Zapytany, dlaczego tak spiesznie opuścił stolicę, odpowiedział: „Przeszkadzałem im. Przeze mnie szło na nich świeże powietrze. Sprawiałem wrażenie otwartych drzwi”.

Innym razem mówił: „Cóż chcecie? Te wielebności to książęta. A ja jestem tylko ubogim chłopskim biskupem”.

W istocie, nie podobał się. Wśród wielu niezwykłych rzeczy, pewnego wieczora, gdy był u jednego z najdostojniejszych swych kolegów, wyrwały mu się takie słowa: „Piękne zegary! piękne dywany! piękne liberie! Jakie to musi być uciążliwe! O, nie chciałbym mieć tych zbytków, które nieustannie wrzeszczałyby mi w ucho: tyle ludzi jest głodnych, tylu ludziom jest zimno, tyle jest ubogich, tyle ubogich!”

Powiedzmy mimochodem, że nienawiść do przepychu nie jest nienawiścią rozsądną. Mieści ona bowiem w sobie nienawiść do sztuki. A jednak u duchownych, jeśli wyłączymy obrządki kościelne i reprezentację, przepych jest wadą. Zdaje się zdradzać skłonności nie całkiem zgodne z pojęciem miłosierdzia. Bogaty kapłan to sprzeczność. Kapłan powinien być blisko ubogich. A czyż można dotykając w dzień i w nocy wszystkich nieszczęść, nędz i niedoli – nie pokryć się samemu owym świętym ubóstwem, niby kurzem pracy? Czy można wyobrazić sobie człowieka, który stoi przy rozpalonym piecu i nie rozgrzeje się? Czy można wyobrazić sobie robotnika, co pracuje jako palacz, a nie ma ani jednego osmalonego włosa, ani brudu za paznokciami, ani potu na czole, ani odrobiny popiołu na twarzy? Pierwszym dowodem miłosierdzia w księdzu, zwłaszcza w biskupie, jest ubóstwo.

Tak też zapewne myślał ksiądz biskup Digne.

Nie należy sądzić zresztą, że w pewnych punktach drażliwych podzielał to, co byśmy nazwali „ideami wieku”. Mało się wdawał w ówczesne spory teologiczne i milczał o kwestiach, w których Kościół ścierał się z państwem; gdyby nań jednak bardzo nalegano, okazałoby się, że jest raczej ultramontanem niż gallikanem. Ponieważ robimy portret i nie chcemy ukrywać niczego, musimy dodać, że z chłodną obojętnością patrzył na upadek Napoleona. Od roku 1813 brał udział we wszystkich nieprzyjaznych mu manifestacjach lub je przynajmniej pochwalał. Nie chciał go widzieć, gdy przejeżdżał powracając z Elby, wstrzymał się od nakazania w swej diecezji modłów publicznych za cesarza podczas Stu Dni.

Oprócz siostry, panny Baptistyny, miał biskup dwóch braci, generała i prefekta. Dosyć często pisywał do obydwóch. Stosunki z pierwszym na pewien czas ochłodziły, dlatego że generał, który dowodził w Prowansji, w epoce wyładowania w Cannes, na czele tysiąca dwustu ludzi tak ścigał cesarza, jakby umyślnie chciał go wypuścić z rąk. Serdeczniejszy w korespondencji był z drugim bratem, emerytowanym prefektem, poczciwym i zacnym człowiekiem, który mieszkał w Paryżu przy ulicy Cassette.

Tak więc ksiądz Benvenuto też miał swoją chwilę stronniczości, swoją chwilę gorczy, swoją chmurę. Cień namiętności epoki przemknął przez ten umysł łagodny i wielki, zajęty sprawami wiecznymi. Zaiste, człowiek taki zasługiwałby na nieposiadanie poglądów politycznych. Niechaj myśl nasza nie zostanie źle zrozumiana; nie utożsamiamy tego, co się

zowie „opinią polityczną”, z wielką miłością postępu, ze szczytną wiarą patriotyczną, demokratyczną i ludzką, która za dni naszych musi być podstawą każdego szlachetnego umysłu. Nie zagłębiając się w zagadnienia, które z tą książką są związane jedynie pośrednio, powiemy po prostu tyle tylko: pięknie by było, gdyby ksiądz Benvenuto nie był rojalistą i gdyby wzrok jego ani na chwilę nie odrywał się od pogodnej kontemplacji, wśród której widać wyraźnie, jak ponad złudzeniami i nienawiściami tego świata, ponad burzliwym zamętem ludzkich spraw promienieją trzy czyste światła: Prawda, Sprawiedliwość i Miłosierdzie.

Przyznając, że Bóg nie stworzył księdza Benvenuto do działalności politycznej, zrozumielibyśmy i podziwiali protest w imię prawa i wolności, dumną opozycję, opór niebezpieczny a sprawiedliwy przeciw wszechpotężnemu Napoleonowi. Ale to, co się nam podoba, gdy odnosi się do tych, co idą w górę, mniej się nam wydaje pochlebne, kiedy dotyczy upadających. Lubimy walkę, dopóki łączy się ona z niebezpieczeństwem; a w każdym razie tylko ci, co walczyli od pierwszej chwili, mają prawo zadawania ostatniego ciosu. Kto nie oskarżał uporczywie w czasie pomyślności, powinien milczeć w chwili upadku.

Wyjawszy to jedno, biskup był we wszystkim sprawiedliwy, szczerzy, wyrozumiały, rozumny, pokorny i godny; dobroczynny i życzliwy, co jest podwójną dobroczynnością. Był to kapłan, mędrzec i człowiek. A nawet trzeba przyznać, że w tym politycznym poglądzie, który wymówiliśmy mu przed chwilą i który nieomal że surowo musimy osądzić, był wyrozumiały i względny, bardziej może od nas, którzy to opowiadamy. Odźwierny przy ratuszu otrzymał swoje miejsce od cesarza. Był to stary podoficer starej gwardii, legionista spod Austerlitz, bonapartysta jak orzeł z chorągwi cesarskich. Biedakowi wyrzywały się nieraz słowa nieroztropne, które ówczesne prawo nazywało „buntowniczymi”. Od kiedy profil cesarski znikł z Krzyża Legii Honorowej, nigdy nie ubierał się w mundur, aby nie być zmuszonym do włożenia swego orderu. Sam z religijną czcią zdjął wizerunek cesarski z krzyża, który mu przypiął do piersi Napoleon; została po nim dziura, ale niczym nie chciał jej zapęłnić. „Raczej umrzeć – mówił – niżli nosić na sercu trzy ropuchy!” Chętnie drwił głośno z Ludwika XVIII. „Stary podagryk w angielskich kamaszach! Niech rusza sobie do Prus ze swoją salsefią”. Był szczęśliwy, że w jednym przekleństwie udało mu się połączyć dwie rzeczy, których nienawidził najbardziej: Prusy i Anglię. Póty gadał, aż stracił pracę. Został bez chleba, na bruku, z żoną i dziećmi. Biskup przywołał go, łagodnie wyłajał i mianował szwajcarem – w katedrze.

Ksiądz Myriel był w diecezji prawdziwym pasterzem, wszystkich darzącym przyjaźnią.

W ciągu lat dziewięciu biskup Benvenuto świętością swoich postępów i słodczą obejścia obudził w mieszkańcach Digne cześć czulą i synowską. Nawet jego stosunek do Napoleona przyjęty został i jakby milcząco wybaczony przez lud, stado dobre i słabe, które ubóstwiała swego cesarza, lecz kochało swego biskupa.

Rozdział drugi

UPADEK

Wieczór po dniu podróży

W pierwszych dniach października 1815 roku, na godzinę przed zachodem słońca, jakiś człowiek, podróżujący pieszo, wszedł do miasteczka Digne. Nieliczni mieszkańcy siedzący w owej chwili w oknach lub na progach domów spoglądali na wędrowca z pewnym niepokojem. Trudno było spotkać przechodnia o nędzniejszym wyglądzie. Był to mężczyzna średniego wzrostu, kępy i mocny, w sile wieku. Mógł mieć czterdzieści sześć do czterdziestu ośmiu lat. Czapka z opuszczonym daszkiem skórzanym zasłaniała mu część twarzy ogorzałej na słońcu i wietrze i złanej potem. Koszula z grubego żółtego płótna, spięta u szyi srebrną kotwiczką, nie zakrywała obrośniętej piersi. Miał krawat skręcony w sznurek, spodnie z niebieskiego drelichu, zniszczone i stare, wytarte na jednym kolanie, dziurawe na drugim, szarą obszarpaną bluzę, na jednym łokciu załataną zielonym sukniem przyszytym grubymi ściegami; na plecach żołnierski tornister, wypakowany, dobrze zapięty i całkiem nowy; w ręku gruby kij; na nogach bez pończoch podkute trzewiki. Głowę miał ostrzyżoną i długą brodę.

Pot, upał, podróż piesza i kurz dziwnie wstrętną czyniły tę obdartą postać.

Jego włosy, choć zgolone, jeżyły się, zaczynały już bowiem odrastać i widać było, że ich od pewnego czasu nie strzyżono.

Nikt go nie znał. Widocznie był to tylko przechodzień. Skąd szedł? Z południa. Może znad morza. Wszedł bowiem do Digne tą samą ulicą, która przed siedmiu miesiącami widziała cesarza Napoleona przejeżdżającego z Cannes do Paryża. Człowiek ten musiał iść cały dzień. Wydawał się bardzo zmęczony. Kobiety ze starego miasta, dolnej dzielnicy Digne, widziały, jak zatrzymał się pod drzewami bulwaru Gassendiego i pił ze studni znajdującej się przy końcu spacerowej alei. Musiał mieć wielkie pragnienie, bo dzieci, które biegły za nim, widziały, jak zatrzymał się raz jeszcze i pił ze studni na rynku, o dwieście kroków dalej.

Doszedłszy do rogu ulicy Poichevert zawrócił na lewo, zmierzając do ratusza. Wszedł i wyszedł po kwadransie. Przed bramą na kamiennej ławce, z której 4 marca generał Drouot odczytał przerażonym mieszkańcom Digne proklamację z zatoki Juan, siedział żandarm. Człowiek zdjął czapkę i pokornie ukłonił się żandarmowi.

Żandarm, nie odpowiedział na ukłon, przyjrzał się mu uważnie, czas pewien śledził go oczyma, a potem wszedł do ratusza.

Była wówczas w Digne zacna oberża pod „Krzyżem Kolbasa”. Szykarzem w niej był Jakub Labarre, człowiek poważany w mieście z powodu pokrewieństwa z innym Labarre'em, który miał w Grenobli oberżę pod „Trzema Delfinami”, a dawniej był przewodnikiem w górach. Po wylądowaniu cesarza krążyły po kraju różne pogłoski o tej oberży pod „Trzema Delfinami”. Opowiadano, że generał Bertrana”, przebrany za furmana, często do niej zajeżdżał w styczniu i rozdawał Krzyże Zasługi żołnierzom, a garście napoleonów

mieszczanom. To jedno jest prawdą, że cesarz, wszedłszy do Grenoble, nie chciał zająć mieszkania w pałacu prefektury, że dziękując merowi powiedział: „Zamieszkać u człowieka, którego znam dobrze” – i udał się pod „Trzy Delfiny”. Blask tej sławy Labarre’a spod „Trzech Delfinów” padał poprzez dwadzieścia pięć mil na Labarre’a spod „Krzyża Kolbasa”. Mówiono o nim w mieście: „To krewny tego z Grenoble”.

Podróżny skierował kroki ku tej oberży, najlepszej w całej okolicy. Wszedł do kuchni wychodzącej wprost na ulicę. Paliło się we wszystkich paleniskach. Wielki ogień płonął wesoło w kominku. Gospodarz i kucharz zarazem chodził od rondli do ogniska, bardzo zajęty pilnowaniem doskonałego obiadu dla woźniców, których wesołe śmiechy i krzyki dochodziły z sąsiedniej izby. Ktokolwiek podróżował, wie, że nikt lepiej nie jada od woźniców. Tłusty susel, białe kuropatwy i cietrzewie obracały się na długim różnie nad ogniem; na blasze smażyły się dwa duże karpie z jeziora Lauzet i pstrąg z jeziora Alloz.

Oberżysta słysząc, że się drzwi otworzyły i ktoś wchodzi, rzekł nie odrywając oczu od pieca:

- Czego pan sobie życzy?
- Jeść i spać – odpowiedział podróżny.
- Nic łatwiejszego – powiedział gospodarz.

W tej chwili odwrócił głowę, jednym rzutem oka obejrzał podróżnego i dodał: – ...za pieniądze.

Mężczyzna wyjął z kieszeni bluzy dużą sakiewkę skórzaną i odpowiedział:

- Mam pieniądze.
- W takim razie służę – rzekł gospodarz.

Mężczyzna schował sakiewkę do kieszeni, zdjął plecak, położył go na ziemi przy drzwiach i z kijem w ręku usiadł na niskiej ławce przed ogniem. Digne leży w górach. Wieczory październikowe bywają tu chłodne.

Tymczasem gospodarz, krzątając się, co chwila spoglądał na podróżnego.

- Prędko będzie obiad? – zapytał nieznajomy.
- Za chwilę – odrzekł gospodarz.

Kiedy nowo przybyły grzał się przy ogniu, odwrócony plecami do drzwi, zacny oberżysta Jakub Labarre wyjął z kieszeni ołówek i urwał kawałek papieru ze starej gazety leżącej na stole przy oknie. Na białym marginesie napisał parę słów, złożył nie pieczętując i oddał świsstek chłopcu, który jak się zdaje, służył u niego i za kuchcika, i za lokaja. Oberżysta szepnęła coś do ucha kuchcika i chłopak pobiegł pędem ku ratuszowi.

Podróżny nie widział tego.

Zapytał raz jeszcze:

- Prędko będzie obiad?
- Za chwilę – rzekł oberżysta.

Chłopiec powrócił. Odniósł ten sam papier. Gospodarz rozłożył go pośpiesznie, jak ktoś, kto czeka na odpowiedź. Zdawał się czytać z uwagą, potem kiwnął głową i na chwilę zamyślił się. Na koniec podszedł do podróżnego, który zdawał się być pogrążony w jakichś niewesołych dumaniach.

– Panie – rzekł – nie mogę cię przenocować. Podróżny wyprostował się nieco.

– Dlaczego? Czy się pan boi, że nie zapłacę? Czy pan chce, żebym zapłacił z góry? Mam przecież pieniądze.

- Nie o to chodzi.
- O cóż więc?
- Ma pan pieniądze...
- Mam – rzekł człowiek.
- Ale ja – powiedział gospodarz – nie mam izby.

Podróżny odpowiedział spokojnie.

– Mogę przenocować w stajni.
– To niemożliwe.
– Dlaczego?
– Konie zajmują calusieńką stajnię.
– No to w jakimś kącie na strychu – rzekł nieznajomy. – Na wiązce słomy; zobaczymy po obiedzie.

– Nie mogę panu dać obiadu.

Oświadczenie to, wyrzeczone głosem spokojnym, lecz mocnym, wydało się nieznajomemu poważne. Wstał.

– Ależ ja umieram z głodu. Szedłem od wschodu słońca, zrobiłem dwanaście mil. Płacę. Chcę jeść.

– Nic nie mam – rzekł gospodarz.

Człowiek parsknął śmiechem i pokazał na kominek i kuchnię.

– Nic! A to co?

– To zamówione.

– Przez kogo?

– Przez panów woźniców.

– Ilu ich jest?

– Dwunastu.

– Tu jest jedzenia dla dwudziestu.

– Zamówili wszystko i zapłacili z góry. Człowiek usiadł i rzekł nie podnosząc głosu:

– Jestem w oberży, jestem głodny i zostaję. Wówczas gospodarz nachylił się do jego ucha i rzekł tonem, który go przejął dreszczem:

– Wynoś się stąd.

Podróżny, pochylony przed kominkiem, poprawiał właśnie ogień końcem swego kija okutego żelazem; obrócił się żywo i kiedy otwierał już usta do odpowiedzi, gospodarz bystro nań spojrział i dodał po cichu:

– No, dość tego gadania. Chcesz, abym ci powiedział, jak się nazywasz? Nazywasz się Jan Valjean. A teraz czy chcesz, żebym ci powiedział, kim jesteś? Zobaczywszy, jak wchodziś, domyśliłem się czegoś i posłałem do ratusza; patrz, co mi odpowiedzieli. Umiesz czytać?

Mówiąc to podsunął przed oczy podróżnego papier, który odbył drogę z oberży do ratusza i z ratusza do oberży. Człowiek spojrział na kartkę. Oberżysta znów się odezwał po chwili milczenia:

– Mam zwyczaj obchodzić się grzecznie ze wszystkimi. Idź sobie precz.

Człowiek spuścił głowę, podniósł z ziemi plecak i poszedł. Zawrócił na główną ulicę. Szedł, nie wiedząc dokąd, tuż pod ścianami domów, jak człowiek upokorzony i smutny. Nie odwrócił się ani razu. Gdyby się był odwrócił, zobaczyłby, jak oberżysta spod „Krzyża Kolbasa”, stojąc przed progiem, otoczony gośćmi z oberży i przechodniami, żywo rozprawia i wskazuje na niego palcem; z przerażonych i nieufnych spojrzeń tłumu byłby odgadł, że wkrótce jego przybycie stanie się wydarzeniem znanym całemu miastu.

Nic z tego nie widział. Znekani ludzie nie oglądają się w tył. Aż nadto dobrze wiedzą, że ściga ich zły los.

Szedł tak przez pewien czas po różnych ulicach, których nie znał, zapominając o znużeniu, co zdarza się czasem w smutku. Nagle poczuł dokuczliwy głód. Noc się zbliżała. Spojrzął dokoła, czy nie znajdzie gdzie miejsca na nocleg.

Piękna oberża zamknęła się przed nim; szukał więc jakiej lichej karczmy, jakiejś ubogiej lepianki.

Właśnie u końca ulicy zapaliło się światło; wiecha sosnowa, zawieszona na żelaznym słupie, rysowała się na białym tle wieczornego nieba; poszedł w tę stronę.

W istocie, była to karczma. Karczma przy ulicy Chaffaut.

Podróżny zatrzymał się na chwilę, zajrzał przez szybę do niskiej izby, oświetlonej lampką stojącą na stole i wielkim ogniem z komina. Piło tam kilku ludzi. Gospodarz grzał się przy ogniu. Nad ogniem bulgotało coś w żelaznym garnku zawieszonym na haku.

Karczma miała dwa wejścia: jedno od ulicy, drugie od podwórka pełnego gnoju.

Podróżny nie śmiał wejść drzwiami od ulicy. Wsunął się na podwórze, znów przystanął, bojaźliwie ujął klamkę i otworzył drzwi.

– Kto tam? – zapytał gospodarz.

– Ktoś, kto chciałby zjeść i przespać się.

– No to dobrze, tu można zjeść i można się przespać.

Wszedł. Ludzie pijący przy stole obrócili się ku niemu. Lampa świeciła go z jednej strony, ogień z drugiej. Przypatrywano mu się, kiedy zdejmował plecak. Gospodarz rzekł do niego:

– Oto ogień. Wieczera gotuje się w garnku. Ogrzej się, przyjacielu.

Usiadł przy kominie. Wyciągnął w stronę ognia nogi obolałe ze zmęczenia. Przyjemny zapach zalatywał z garnka. Twarz nieznajomego, w części tylko widoczna spod nasuniętego daszka czapki, przybrała wyraz błędnego zadowolenia, zakłóconego jakimś żalnym piętnem, jakie pozostawia długotrwałe cierpienie, do którego człowiek zdołał przywyknąć.

Rysy jego zresztą były wydatne, energiczne i smutne. Fizjonomia ta była dziwnie ukształtowana: z początku wydawała się pokorna, później okazywała się surowa. Spojrzenie błyskało spod brwi jak ogień spod krzaka.

Jeden z siedzących przy stole, handlarz ryb, zanim przyszedł do karczmy przy ulicy Chaffaut, zostawił swego konia w stajni u Labarre'a. Przypadek zdarzył, że rano spotkał tego nieznajomego o podejrzanym wyglądzie na drodze między Bras d'Asse i... (zapomniałem nazwy; zdaje się, że Escoublon). Otóż spotkawszy go, podróżny, który zdawał się już bardzo zmęczony, prosił, aby ten wziął go na konia; za całą odpowiedź przekupił zaciął szkapę i puścił się kłusem. Przed półgodziną ów handlarz ryb znajdował się wśród gromady otaczającej Jakuba Labarre'a i sam opowiadał o nieprzyjemnym rannym spotkaniu ludziom w oberży pod „Krzyżem Kolbasa”. Teraz skinął nieznacznie na karczmarza. Ten podszedł do niego. Zamienili kilka słów po cichu. Nieznajomy siedział zamyślony.

Karczmarz podszedł do komina, chwycił nieznajomego za ramię i rzekł:

– Wyjdź stąd w tej chwili.

Nieznajomy obejrzał się i odpowiedział cicho:

– Aha, więc wiecie?...

Tak.

– Wypędzili mnie z tamtej oberży.

– I z tej też cię wyganiają.

– Gdzie mam pójść?

– Gdzie indziej.

Podróżny wziął swój kij, wziął plecak i poszedł.

Gdy wychodził, dzieci, które szły za nim od oberży pod „Krzyżem Kolbasa” i zdaje się, czekały na niego, zaczęły weń rzucać kamieniami. Odwrócił się z gniewem i pogroził im kijem; wtedy rozpierzchły się jak stado ptactwa.

Przechodził koło więzienia. Przy bramie wisiał żelazny łańcuch przyczepiony do dzwonka. Zadzwoił.

Otworzyło się okienko.

– Panie odźwierny – rzekł zdejmując z uszanowaniem czapkę czy nie byłbyś łaskaw otworzyć i przyjąć mnie na noc?

Głos odpowiedział:

– Więzienie to nie oberża. Niech cię zaaresztują, wtedy otworzymy.

I okienko zamknęło się.

Wszedł w małą uliczkę między ogrodami. Niektóre otoczone były tylko żywopłotem; wyglądało to wesoło i ładnie. Wśród tych ogrodów i płotów ujrzał parterowy domek z oświetlonym oknem. Jak przedtem w karczmie, zajrzał przez szybę. Zobaczył obszerną izbę z bielonymi ścianami, łóżko przykryte drukowanym perkalikiem, kołyskę w kącie, kilka drewnianych krzeseł i dubeltówkę na ścianie. Pośrodku izby stał nakryty stół. Miedziana lampa oświetlała gruby obrus z białego płótna, cynowy dzban, błyszczący jak srebrny, pełen wina, i glinianą wazę, nad którą unosiła się para. Przy stole siedział mężczyzna lat około czterdziestu, z twarzą wesołą i otwartą, i huśtał na kolanach dziecko. Obok niego młoda kobieta karmiła drugie dziecko. Ojciec śmiał się, dziecko się śmiało, matka uśmiechała się.

Nieznajomego rozmarzył na chwilę ten widok miły i kojący. Co się w nim działo? Sam tylko mógłby to powiedzieć. Pomyślał zapewne, że ten dom radosny – kto wie – może okazać się również i gościnny i że tam, gdzie zobaczył tyle szczęścia, znajdzie może choć odrobinę litości.

Cichutko zapukał w szybę.

Nie usłyszano.

Zapukał po raz drugi.

Usłyszał, jak kobieta odezwała się:

– Słuchaj, zdaje się, że ktoś stuka.

– Nie – odpowiedział mąż.

Zapukał po raz trzeci.

Mężczyzna podniósł się, wziął lampę, podszedł do drzwi i otworzył.

Był to człowiek wysoki, pół wieśniak, pół rzemieślnik. Miał na sobie obszerny fartuch skórzany, sięgający lewego ramienia, za pasem nosił młotek, czerwoną chustkę, rozek z prochem i inne przedmioty, które tkwiły tam jak w kieszeni. Przechylił głowę w tył; z otwartej koszuli wychylała się szyja, naga, biała i potężna. Miał gęste brwi, ogromne czarne faworyty, wylupiaste oczy, dół twarzy naprzód wysunięty, a nade wszystko nie dający się opisać wyraz twarzy człowieka, który się czuje u siebie w domu.

– Panie – rzekł podróżny – przepraszam. Czy nie moglibyście, za zapłatą, dać mi talerz zupy i kąć do przespania się w tej szopie w ogrodzie? Powiedzcie, czy moglibyście? Za zapłatą.

– Kto pan jest? – zapytał gospodarz.

Podróżny odpowiedział:

– Idę z Puy-Moisson. Szedłem przez cały dzień. Zrobiłem dwanaście mil. Czy moglibyście? Za zapłatą.

– Nie odmówiłbym – rzekł wieśniak – przyjęcia na noc uczciwego człowieka, który by zapłacił. Ale dlaczego nie idzie pan do oberży?

– Nie ma miejsca.

– Ba! To nie może być. Dziś nie ma ani jarmarku, ani targu. Byliście u Labarre'a?

– Byłem.

– I cóż?

Podróżny odpowiedział z zakłopotaniem:

– Nie wiem, nie przyjął mnie.

– A chodziliście do tego tam przy ulicy Chaffaut?

Zakłopotanie nieznajomego wzrastało; bąknął:

– I ten mnie nie przyjął.

Twarz wieśniaka przybrała wyraz nieufności, zmierzył nowo przybyłego od stóp do głów i nagle zadrzał cały i zawołał:

– A może ty jesteś tym człowiekiem?!

Znów spojrzął na nieznajomego, cofnął się o trzy kroki, postawił lampę przy stole i zdjął dubeltówkę ze ściany.

Tymczasem na okrzyk wieśniaka: „Może ty jesteś tym człowiekiem” kobieta podniosła się, chwyciła w objęcia swe dzieci, skryła się szybko za męża i z obnażoną piersią, przerażonym wzrokiem patrzyła na nieznanego szepcząc:

– Złodziej.

Odbyło się to wszystko tak szybko, że więcej czasu trzeba by na to, aby sobie tę scenę wyobrazić. Popatrzawszy przez chwilę na „tego człowieka” wzrokiem, jakim się patrzy na zmię, gospodarz domu wrócił do drzwi i rzekł:

– Idź precz!

– Przez litość – błagał człowiek – szklanek wody.

– Strzelę ci w łeb! – odpowiedział wieśniak.

Zatrzasnął drzwi z łoskotem i podróżny usłyszał, jak zamknął je na dwa spusty. Po chwili zamknęły się okiennice i aż na dworze słychać było hałas zasuwanej sztaby.

Noc stawała się coraz głębsza. Wiał chłodny alpejski wiatr. Przy świetle konającego dnia nieznanemu ujrzał w jednym z ogrodów, otaczających ulicę, budkę obłożoną darnią. Bez namysłu przeskoczył drewniany płot i znalazł się w ogrodzie. Zbliżył się do budki; zamiast drzwi miała wąski, niski otwór i podobna była do szałasów, które stawiają sobie robotnicy przy drogach. Pomyślał pewnie, że to mieszkanie robotnika drogowego; dokuczało mu zimno i głód, na głód nie mógł zaradzić, ale chciał się schronić choć przed zimnem. Tego rodzaju schronienia bywają zazwyczaj puste w nocy. Położył się na brzuchu i wśliznął do budki. Było tam ciepło, znalazł nawet niezłe posłanie ze słomy. Na chwilę wyciągnął się na tym łożu, nie mogąc zrobić ani jednego ruchu, tak był znużony. Później, ponieważ zawadzał mu tłumok na plecach, który zresztą znakomicie mógł posłużyć za poduszkę, zaczął odpinać rzemienie. W tej samej chwili rozległo się gniewne warczenie. Podniósł oczy. Łeb ogromnego brytana ukazał się w mroku w otworze budy.

Była to buda psa.

Podróżny był silny i odważny; uzbroił się w kij, tłumokiem zasłonił jak tarczą i jakoś wy dostał się wreszcie z budy, jeszcze bardziej rozdzierając swe łachmany.

Wyszedł w końcu z ogrodu, ale tyłem, gdyż chcąc utrzymać brytana w należytej odległości, zmuszony był używać kija sposobem, który mistrzowie w tym rodzaju fechtunku zwą „różą”.

Kiedy nie bez trudu przelał przez płot i znalazł się znów na ulicy, sam, bez przytułku, bez dachu nad głową, wygnany nawet i z tego nędznego legowiska, padł raczej, niż usiadł na kamieniu. Podobno ktoś, kto tamtędy przechodził właśnie, usłyszał, jak krzyknął: – Nie jestem nawet psem!

Wkrótce podniósł się i znowu zaczął iść. Wyszedł za miasto, spodziewając się napotkać w polu jakie drzewo lub stóg i tam się schronić.

Szedł tak czas jakiś, ze spuszczoną głową. Gdy już był daleko od mieszkań ludzkich, podniósł oczy i poszukał dokoła. Był w polu; miał przed sobą jedno z tych wzgórz pokrytych rżyskami, które po żniwach podobne są do krótko ostrzyżonej głowy.

Widnokrąg był już czarny; czarny nie tylko ciemnym nocą. Niskie chmury, zawisłe tuż nad pagórkami i podnoszące się coraz wyżej, wypełniły całe niebo. Księżyc wzejść miał już wkrótce, w zenicie przetrwała jeszcze resztką jasności zmierzchu i chmury te tworzyły w głębi nieba jakieś białawe sklepienie, z którego na ziemię padał blask.

Ziemia była więc jaśniejsza od nieba, co czyni zwykle szczególnie posępne wrażenie, a wzgórze słabym, wątlym konturem rysowało się niewyraźnie na mrocznym widnokręgu. Cały ten widok był przykry, straszny, ponury, zamknięty. Na polu i na wzgórzu pustka, jedno tylko niekształtne drzewko stało, drżąc, o kilka kroków od podróżnego.

Człowiek ten daleki był od wykwinnych nawyków umysłu i ducha, mało wrażliwy na nastrojowe widoki; jednakże w tym niebie, w tym pagórku, równinie i jedynym drzewie było

coś tak głęboko rozpaczliwego, że pozostał przez chwilę bez ruchu, w zadumie, i nagle zawrócił. Są chwile, w których przyroda wydaje się wrogiem człowieka.

Wrócił tą samą drogą. Bramy w Digne były pozamykane. Miasto Digne, które podczas wojen religijnych przetrwało kilka oblężeń, jeszcze w roku 1815 otoczone było starymi murami z kwadratowymi basztami, już teraz zburzonymi. Przeszedł przez wylom w murze i wrócił do miasta.

Była już pewnie ósma wieczorem. Nie znając ulic, począł znowu chodzić na chybił trafił.

Doszedł do prefektury, potem do seminarium. Przechodząc przez plac katedralny, pogroził pięścią kościołowi.

W rogu tego placu jest drukarnia. Tam po raz pierwszy wydrukowano proklamacje cesarza i gwardii cesarskiej do armii, przywiezione z wyspy Elby i podyktowane osobiście przez Napoleona.

Wyczerpany znużeniem i niczego się już nie spodziewając, położył się na kamiennej ławie stojącej u wrót tej drukarni.

Jakaś staruszka wyszła właśnie z kościoła. Zobaczyła człowieka leżącego w ciemności.

– Co tu robisz, przyjacielu? – zapytała.

Odpowiedział niechętnie i gniewnie:

– Widzicie przecie, dobra kobieto, że kładę się spać.

Dobra kobieta, rzeczywiście godna tej nazwy, była margrabiną de R.

– Na tej ławie? – rzekła.

– Przez dziewiętnaście lat miałem materac z drewna – odparł człowiek. – Dziś mam materac kamienny.

– Byliście żołnierzem?

– Tak, dobra kobieto, żołnierzem.

– Dlaczego nie idziecie do oberży?

– Bo nie mam pieniędzy.

– Niestety – rzekła pani de R. – mam w woreczku tylko cztery su.

– Daj pani i to.

Człowiek wziął cztery su. Pani de R. ciągnęła dalej: – Za te kilka groszy nie dostaniecie miejsca w zajeździe. Ale czyście próbowali? Niepodobna, żebyście tak spędzić mieli noc. Pewnie wam zimno i jesteście głodni. Mogliby was przyjąć z dobrego serca.

– Stukałem do wszystkich drzwi.

– I cóż?

– Wszędzie mnie odpędzano.

„Dobra kobieta” dotknęła ramienia człowieka i wskazała mu po drugiej stronie placu domek obok pałacu biskupiego.

– Stukaliście – powtórzyła – do wszystkich drzwi?

– Tak.

– A do tych stukaliście?

– Nie.

– No to zastukajcie.

Ostrożność doradzana mądrości

Tego wieczora ksiądz biskup Digne po przechadzce w mieście siedział do późna, zamknąwszy się u siebie. Pisał wielkie dzieło *O obowiązkach*, które na nieszczęście pozostało nie skończone.

Pracował jeszcze o ósmej wieczór, pisząc dość niewygodnie na małych ćwiartkach, z grubą księgą rozłożoną na kolanach, gdy weszła pani Magloire, by jak zwykle wyjąć srebro stołowe z szafki nad łóżkiem. W kilka minut potem biskup, domyślając się, że już nakryto do kolacji i że siostra pewnie czeka, zamknął księgę, wstał od stołu i poszedł do jadalni.

Jadalnia był to pokój podłużny, z kominkiem, z drzwiami otwierającymi się wprost na ulicę (mówiliśmy już o tym), i z oknem na ogród.

Pani Magloire rzeczywiście kończyła nakrywać.

Krzążąc się rozmawiała z panną Baptistyną.

Lampa stała na stole, stół przy kominku, w którym płonął spory ogień.

Panna Baptistyna tyle razy później opowiadała, co się działo tego wieczora w mieszkaniu biskupa, że kilka osób, żyjących jeszcze, po dziś dzień pamięta każdy najdrobniejszy szczegół.

Kiedy biskup wszedł, pani Magloire coś mówiła z ożywieniem. Rozmawiała z „panienką” na ulubiony temat, do którego biskup przywykł już. Chodziło o zamek u drzwi wejściowych.

Jak się zdaje, kupując coś do wieczerzy na mieście, pani Magloire nasłuchiwała się różnych plotek. Mówiono o włóczędze z podejrzaną miną; że wszedł do miasta i gdzieś się ukrywał i że tych, którzy będą dziś późno wracać do domu, może po drodze spotkać coś złego. Że zresztą policja jest bardzo niedbała, bo prefekt poróżnił się z merem i chcieli sobie nawzajem zaszkodzić, wywołując nieprzyjemny jakiś wypadek. Że więc ludzie rozsądni sami powinni sobie zastąpić policję, strzec się dobrze, zaryglować i zabarykadować dom jak należy i „dobrze pozamykać drzwi”.

Pani Magloire z naciskiem wymówiła ostatnie wyrazy; ale biskup przyszedł ze swego pokoju, gdzie było dość zimno, usiadł więc przed kominkiem i grzał się, a przy tym myślał o czym innym. Słowa pani Magloire nie znalazły pożądanego oddźwięku. Powtórzyła je raz jeszcze. Wtedy panna Baptistyna, żeby zadowolić panią Magloire nie naprzykrzając się bratu, pozwoliła sobie odezwać się nieśmiało:

– Słyszysz, bracie, co mówi pani Magloire?

– Nie bardzo słyszałem – odpowiedział biskup. I obracając się z krzesłem i kładąc obie ręce na kolanach, podniósł ku starej służącej swą serdeczną i skłoną do uśmiechu twarz, z dołu oświetloną przez ogień. – No, co takiego? Co się stało? Czy zagraża nam jakieś wielkie niebezpieczeństwo?

Wtedy pani Magloire rozpoczęła na nowo całą historię, nieświadomie przesadzając trochę. Podobno jakiś Cygan, jakiś obdartus, jakiś niebezpieczny żebrak przebywa właśnie w mieście. Chciał przenocować u Jakuba Labarre’a, ale oberżysta go nie przyjął. Widziano, jak przyszedł przez bulwar Gassendiego i jak o zmroku krążył po ulicach. Jakiś zbój i złoczyńca z przerażającą twarzą.

– Doprawdy? – zapytał biskup.

To, że zapytał, ośmieliło panią Magloire; wywnioskowała stąd, że biskup jest bliski strachu; mówiła dalej z triumfem:

– A tak, wasza wielbność. Tak właśnie. Tej nocy będzie w mieście jakieś nieszczęście. Wszyscy to mówią. A do tego policja jest tak niedbała (pożyteczne powtórzenie). Mieszkać w kraju górzystym i żeby nawet latarni nie było w nocy na ulicach! Wychodzisz ciemno jak w kominie. Toteż właśnie mówię, proszę waszej wielbności, i panienka zgadza się ze mną...

– Ja nic nie mówię – przerwała siostra. – Cokolwiek czyni mój brat, jest słuszne.

Pani Magloire mówiła dalej, jakby nie usłyszała protestu:

– Więc mówimy właśnie, że ten dom wcale nie jest bezpieczny, i jeżeli wasza ekscelencja pozwoli, pobiegnę do Pawła Musebois, ślusarza, żeby z powrotem przybił stare zasuwki do drzwi; są w domu, zrobi to w jednej chwili; bo, proszę waszej ekscelencji, zasuwki są koniecznie potrzebne choćby tylko na tę noc; bo powiadam, nic strasniejszego od drzwi, które pierwszy lepszy otwiera od ulicy, byle tylko klamką ruszył; zwłaszcza że wasza

wielebność zawsze mówi: proszę wejść! A zresztą, o mój Boże, w nocy nikt nie potrzebuje nawet prosić o pozwolenie...

W tej chwili ktoś mocno zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – rzekł biskup.

Heroizm biernego posłuszeństwa

Drzwi się otworzyły.

Otworzyły się prędko, na oścież, jak gdyby ktoś je otworzył z energią i zdecydowaniem.

Wszedł jakiś mężczyzna.

Znamy go już. Jest to ów podróżny, którego widzieliśmy przed chwilą, jak błąkał się szukając schronienia.

Wszedł, postąpił krok naprzód i zatrzymał się, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Miał tłumok na plecach, kij w ręku, a wyraz oczu ponury, zuchwały, znużony i gwałtowny. Ogień z kominka oświetlił go. Wyglądał wstrętnie. Było to ponure zjawisko.

Pani Magloire nie miała nawet siły, by krzyknąć. Drżała, stojąc z otwartymi ustami.

Panna Baptistyna odwróciła się, ujrzała wchodzącego człowieka i przerażona, na pół podniosła się z krzesła, później zwracając z wolną głowę ku kominkowi, popatrzyła na brata i twarz jej stała się zupełnie pogodna i jasna.

Biskup utkwiał w przychodniu spokojne spojrzenie.

Gdy już otwierał usta, zapewne po to, by zapytać nowo przybyłego, czego sobie życzy, tamten wsparł obie ręce na kiju, spojrzał na starca, na kobiety i nie czekając, co powie biskup, rzekł donośnym głosem:

– Powiem krótko. Nazywam się Jan Valjean. Jestem galernikiem. Byłem dziewiętnaście lat w więzieniu. Przed czterema dniami zwolniono mnie i jestem w drodze do Pontarlier, miejsca mego przeznaczenia. Już cztery dni idę z Tulonu. Dziś zrobiłem dwanaście mil pieszo. Wieczorem przyszedłem do tego miasta, wstąpiłem do oberży; wyrzucili mnie z powodu mojego żółtego paszportu, który pokazałem w ratuszu. Musiałem to zrobić. Byłem w innej oberży. Powiedzieli mi: „Idź precz!” Byłem i tu, i tam. Nikt mnie nie chciał przyjąć. Zaszedłem do więzienia. Odźwierny nie chciał mi otworzyć. Wlazłem do psiej budy. Pies ugryzł mnie i wygnał, jakby też był człowiekiem. Jakby wiedział, kim jestem. Poszedłem w pole przespać się pod gołym niebem. Niebo się zachmurzyło. Pomyślałem, że będzie deszcz i że nie ma Pana Boga, aby go wstrzymał, i wróciłem do miasta, żeby poszukać jakiejś wnęki w bramie. Tam, na placu Już się kładłem na kamieniu. Jakaś dobra kobieta pokazała mi wasz dom i rzekła: „Zastukaj tam”. Co tu jest? Czy – macie tu oberżę? Mam pieniądze. Sto dziewięć franków piętnaście su, zarobione na galerach dziewiętnastoletnią pracą. Zapłacę. Co mi to znaczy! Mam pieniądze! Jestem bardzo zmęczony; dwanaście mil pieszo. Jestem bardzo głodny. Czy mogę tu zostać?

– Pani Magloire – powiedział biskup – proszę dodać jedno nakrycie.

Człowiek postąpił naprzód i zbliżył się do lampy stojącej na stole.

Słuchajcie – mówił dalej, jakby niedobrze zrozumiał. Nie o to chodzi. Czyście mnie dobrze słyszeli? Jestem galernik. Kajdaniarz. Wracam z galer. – Wyjął z kieszeni duży arkusz żółtego papieru i rozłożył go. – Oto mój paszport. Żółty, jak widzicie. Służy on do tego, aby mnie zewsząd wypędzano. Chcecie przeczytać? Ja umiem czytać. Nauczyłem się w więzieniu. Jest tam szkoła dla chętnych. O, posłuchajcie, co napisano w paszporcie: *Jan Valjean, skazaniec uwolniony, rodem z...* – to was nie obchodzi... – *był dziewiętnaście lat na*

galerach. Pięć lat za kradzież z włamaniem. Czternaście za czterokrotne próby ucieczki. Człowiek bardzo niebezpieczny.

Słyszycie? Wszyscy mnie wyrzucili za drzwi. A wy chcecie mnie przyjąć? Czy to oberża? Chcecie dać mi jeść i przespać się? Czy macie stajnię?

– Pani Magloire – rzekł biskup – proszę położyć świeże prześcieradła na łóżku w alkierzu.

Wy tłumaczyliśmy już, jakiej natury było posłuszeństwo obu kobiet.

Pani Magloire wyszła, by wykonać polecenia.

Biskup obrócił się do przybysza:

– Niech pan usiądzie i ogrzeje się. Za chwilę podadzą do stołu, a nim zjemy wieczerzę, pościelą panu łóżko.

Tym razem podróżny zrozumiał nareszcie. Wyraz jego twarzy, dotychczas ponury i zły, przybrał odcień zdumienia, zwątpienia, radości, stał się niezwykły. Zaczął bełkotać jak wariat:

– Doprawdy? Jak to? Przyjmujecie mnie? Nie wypędzacie? Kajdaniarza! Nazywacie mnie „panem”! Nie mówicie mi „ty”! Nie mówicie mi: precz, psie! jak to mi wszędzie mówią! Byłem pewny, że mnie wypędzicie. I dlatego od razu powiedziałem, kto jestem. O, pocziwa kobieta, co mi pokazała drogę! Jedzenie! Łóżko z materacem i prześcieradłem! Jak wszyscy! Łóżko! Od dziesiętnastu lat nie spałem w łóżku! Pozwalacie, żebym został. Zaczni ludzie. Zresztą, mam pieniądze. Dobrze zapłacę. Z przeproszeniem, panie oberżysto, jak godność pańska? Zapłacę, cokolwiek zechcecie. Zaczni z pana człowiek. Jesteś pan oberżystą? Prawda?

– Jestem – rzekł biskup – księdzem, który tutaj mieszka.

– Książd! – powtórzył człowiek. – O! zacny księżu! A więc nie żadasz ode mnie pieniędzy? Proboszcz, prawda? Proboszcz tego wielkiego kościoła? No, właśnie, jaki ja głupi! Nie zauważyłem księżej piuski!

I mówiąc tak, złożył plecak i kij w kącie, schował paszport do kieszeni i usiadł. Panna Baptystyna patrzyła na niego łagodnie. Mówił dalej:

– Jesteś ludzki, księżu proboszczu. Nie pogardzasz ludźmi. To dobrze być dobrym księdzem. A więc nie potrzebujesz zapłaty?

– Nie – rzekł biskup – niech pan schowa pieniądze. Ile pan ma? Mówił pan, zdaje się, że sto dziewięć franków.

– I piętnaście su – dodał.

– Sto dziewięć franków piętnaście su. A ile to czasu pracował pan, żeby je zarobić?

– Dziewiętnaście lat.

– Dziewiętnaście lat!

Biskup ciężko westchnął.

Przybysz mówił dalej:

– Mam jeszcze wszystkie pieniądze. Przez cztery dni wydałem tylko dwadzieścia pięć su, które zarobiłem w Grasse, pomagając przy wyładunku towarów. Ponieważ pan jest księdzem, powiem panu, że mieliśmy kapelana na galerach. A jednego dnia widziałem biskupa. Ekscelecję, jak to go nazywają. Był to biskup de la Majore, z Marsylii. Taki proboszcz, co to jest nad wszystkimi proboszczami. Książd wie, przepraszam, pewnie mówię nie tak, jak trzeba, ale dla mnie to takie obce. – Rozumie pan, dla nas! – Odprawiał mszę w środku galer na ołtarzu, a na głowie miał coś takiego spiczastego ze złota. W południe, na słońcu, to bardzo błyszcząło. Staliśmy w szeregach, z trzech stron, a naprzeciw nas armaty z zapalonymi lontami. Niedobrześmy widzieli. Mówił, ale był od nas za daleko, nie słyszeliśmy. O, to jest właśnie biskup.

Kiedy on mówił, biskup poszedł zamknąć drzwi, które pozostały szeroko otwarte.

Wróciła pani Magloire. Przyniosła nakrycia i położyła je na stole.

– Pani Magloire – rzekł biskup – proszę położyć to nakrycie jak najbliżej ognia. I obracając się do gościa, dodał: Wiatr nocny jest w Alpach bardzo zimny. Pewnie pan zmarzł?

Ilekoć biskup wymówił wyraz „pan”, tonem tak łagodnie poważnym, tak wykwintnie grzecznym, twarz przybysza rozjaśniała się. Powiedzieć „panie” skazańcowi z galer, to podać szklankę wody rozbitkowi z „Meduzy”. Ludzie pozbawieni czci są spragnieni szacunku.

– Ta lampa – odezwał się znów biskup – za słabo świeci.

Pani Magloire zrozumiała; poszła do sypialni biskupa, wzięła dwa srebrne lichtarze z kominka i postawiła je, zapalone, na stole.

– Księżę proboszczu – rzekł człowiek jesteś dobry, nie gardzisz mną. Przyjmujesz mnie u siebie, zapalasz dla mnie świece. A jednak nie ukryłem przed tobą, skąd przychodzę i że jestem człowiekiem nieszczęśliwym.

Biskup siadł przy nim i z lekka dotknął jego ręki.

– Mógł mi pan nie mówić, kim jest. To nie mój dom, to dom Jezusa. Te drzwi nie pytają wchodzącego, jak się nazywa, ale co mu dolega. Pan cierpi; chce jeść, chce pić: a więc proszę, witaj. I proszę nie dziękować mi, nie mówić, że pana przyjmuję u siebie. Nikt tu nie jest u siebie, prócz tego, który potrzebuje schronienia. Mówię to panu, przechodniowi, że jesteś tu u siebie bardziej niż ja sam. Cokolwiek jest tutaj – jest twoje. Po co mi znać pana nazwisko? Zresztą, nim mi je pan powiedział, już wiedziałem, jak się pan nazywa.

Podróżny otworzył zdumione oczy:

– Naprawdę? Wiedział ksiądz, jak się nazywam?

– Wiedziałem – odrzekł biskup. – Nazywa się pan moim bratem.

– Ach, księżę proboszczu! – zawołał przybysz. – Byłem strasznie głodny, gdy tu przyszedłem, ale ksiądz jest tak dobry, że teraz sam nie wiem, co się ze mną stało. Już mi się nie chce jeść.

Biskup popatrzył nań i zapytał:

– Wycierpiał pan wiele?

– O! Czerwona kurta, kula u nogi, deska za posłanie, skwar, zimno, praca, loch, razy, podwójne kajdany za byle co, karcer za byle słowo, nawet i w chorobie, w szpitalu – kajdany. Psy, psy są szczęśliwsze! Dziewiętnaście lat! A mam czterdzieści sześć. A teraz żółty paszport. Tak!

– Tak – powtórzył biskup – wychodzisz z miejsca niedoli. Posłuchaj. Więcej radości sprawi w niebie widok zalanej łzami twarzy jednego żałującego grzesznika niż białe szaty stu sprawiedliwych. Jeżeli to miejsce boleści opuściłeś z nienawiścią i gniewem do ludzi, godny jesteś litości; ale jeżeli wychodzisz stamtąd z myślą życzliwą, dobrą i spokojną, więcej wart jesteś od każdego z nas.

Tymczasem pani Magloire podała zupę na wodzie zrobioną z oliwy, chleba i soli, skrawek słoniny, kawałek baraniny, figi, ser i duży bochenek razowego chleba. Z własnego natchnienia dodała do zwykłej wieczerzy biskupa butelkę starego wina z Mauves.

Twarz biskupa przybrała nagle wyraz wesołości, tak znamiennej dla ludzi gościnnych. – Do stołu! – zawołał żywo, jak to zwykle czynił, kiedy na wieczerzy miał gościa; posadził przybysza przy sobie, z prawej strony. Panna Baptistyna, spokojna i naturalna, zajęła miejsce po jego lewej ręce.

Biskup odmówił modlitwę, potem według swego zwyczaju sam rozlał zupę. Podróżny zabrał się łapczywie do jedzenia.

Nagle biskup odezwał się:

– Zdaje mi się, że czegoś brakuje na stole.

W istocie, pani Magloire położyła tylko trzy niezbędne nakrycia. Było zaś zwyczajem w domu, że gdy ksiądz biskup miał kogoś na wieczerzy, kładziono na obrusie wszystkie sześć srebrnych nakryć; niewinny to był popis. Wdzięczny ten pozór zbytku był rodzajem miłego

dzieciństwa w tym cichym i surowym domu, gdzie ubóstwo wzniosło się do wyżyn dostojności.

Pani Magloire pojęła, o co chodzi, wyszła bez słowa i po chwili trzy srebrne nakrycia, o które się biskup upomniął, błyszcząły na obrusie, symetrycznie ustawione przed każdym z trojga biesiadników.

Szczegóły dotyczące serowni w Pontarlier

Teraz zaś, aby dać wyobrażenie o tym, co się działo przy stole, najszlachetniej chyba postąpimy, przepisując tu ustęp z listu panny Baptistyny do pani Boischevron, w którym z naiwną dokładnością opowiedziana została rozmowa galernika z biskupem.

... Człowiek ten na nikogo nie zwracał uwagi. Jadł z żarłocznością głodomora. Lecz po wieczerzy powiedział:

– Księżę proboszczu boży, wszystko to jest dla mnie aż za dobre; ale muszę przyznać, że furmani, którzy nie chcieli pozwolić mi jeść ze sobą, odżywiają się lepiej niż ksiądz.

Mówiąc między nami, przykro mi się zrobiło – słysząc tę uwagę.

Brat odpowiedział:

– Ciężej też ode mnie pracują.

– Nie odparł ten człowiek mają więcej pieniędzy. Ksiądz jest ubogi, widzę przecie. Może ksiądz nie jest nawet proboszczem. Czy ksiądz jest naprawdę proboszczem? Do licha, gdyby Pan Bóg był sprawiedliwy, powinien ksiądz być proboszczem.

– Pan Bóg jest więcej niż sprawiedliwy — odpowiedział mój brat.

I po chwili dodał:

– Panie Janie Valjean, pan idzie do Pontarlier?

– Mam tam przymusowe skierowanie.

Zdaje mi się, że powiedział coś w tym rodzaju. Później mówił dalej:

– Muszę wyruszyć w drogę jutro o świcie. Ciężko iść teraz pieszo. Noce chłodne, a dni gorące.

– Idzie pan – odparł mój brat – w dobre strony. Podczas rewolucji rodzina moja straciła wszystko; schroniłem się naprzód do FrancheComte, gdzie przez pewien czas żyłem z pracy rąk. Nie brakło mi dobrej woli. Znalazłem zajęcie. Roboty było do wyboru. Są tam papiernie, garbarnie, destylarnie, olejarnie, wielkie fabryki zegarów, odlewnia stali, miedzi, ze dwadzieścia chyba hut – żelaza, z których cztery, w Lods, w Châtillon, w Audincourt i w Beure, są bardzo duże.

Chyba się nie pomyliłam, chyba te właśnie nazwy wymienił mój brat: później przerwał i zwrócił się ku mnie:

- Kochana siostró – rzekł – czy nie mamy przypadkiem krewnych w tamtej okolicy?

Odpowiedziałam:

– Mieliliśmy. Między innymi pana de Lucenet, dowódcę straży bram w Pontarlier za dawnego rządu.

– Tak – mówił dalej brat – ale w roku 1793 nie miało się już krewnych, miało się tylko własne ręce. Pracowałem. W okolicy Pontarlier, dokąd pan idzie, panie Valjean, istnieje przemysł bardzo patriarchalny i bardzo miły, droga siostró. Są to wytwórnie serów.

I brat mój, nie przestając częstować owego człowieka, opowiedział mi dokładnie, co to było takiego te wytwórnie w Pontarlier; że rozróżniano dwa ich rodzaje: „wielkie szopy”, należące do bogatych, gdzie jest czterdzieści lub pięćdziesiąt krów, które dają podczas lata, siedem do ośmiu tysięcy serów, i „serownie stowarzyszone”, które należą do biednych: są to

wieśniacy mieszkający u podnóża gór, którzy trzymają swoje krowy we wspólnym stadzie i dzielą się produktami. Najmują oni człowieka, który zajmuje się wyrobem serów”, nazywają go „starszym”: „starszy” trzy razy dziennie otrzymuje mleko od stowarzyszonych, odmierza je i zapisuje, ile kto dostarczył: pod koniec kwietnia rozpoczyna się robota w serowniach, w połowie czerwca wyprowadzają krowy w góry.

Człowiek ów jadł tymczasem i ożywiał się coraz bardziej. Brat dolewał mu dobrego wina z Mauves, którego sam nie pija, utrzymując, że jest za drogie, i opowiadał mu te wszystkie szczegóły ze znaną Ci niewymuszoną wesołością, wtrącając gdzieniegdzie uprzejme słówko dla mnie. Często wracał w opowiadaniu do dobrego zajęcia „starszego”, jak gdyby nic mu niby wprost nie doradzając pragnął, aby ten człowiek zrozumiał, że byłby to dla niego los korzystny i bezpieczny. Jedna rzecz mnie uderzyła. Człowiek ten był tym, czym ci mówiłam. Otóż mój brat w czasie kolacji cały wieczór, z wyjątkiem kilku słów o Chrystusie, wyrzeczonych, gdy przyszedł, nie powiedział ani jednego słowa, które by mu mogło przypomnieć lub też dało poznać, do kogo trafił. Zdawałoby się, że nastęrczała się dobra sposobność do wygłoszenia kazania, że należało dać odczuć galernikowi, iż ma do czynienia z biskupem, aby pozostał ślad tego spotkania. Komu innemu wydałoby się pewnie, że mając nieszczęśliwego tak blisko, należy jednocześnie nakarmić i jego duszę nie tylko ciało – i zrobić mu trochę wyrzutów, zaprawionych nauką moralną i radami, lub też okazać trochę współczucia upominając go, aby się lepiej prowadził na przyszłość. Mój brat nie zapytał go nawet, skąd pochodzi i jakie były jego dzieje. W tych dziejach bowiem popełnił kiedyś przestępstwo, a brat zdawał się unikać wszystkiego, co by mu je przypomnieć mogło. Tak dalece, że mówiąc o góralach w Pontarlier, którzy mają „spokojną pracę blisko nieba” i jak mówił, „są szczęśliwi, bo niewinni”, nagle zamilkł, jakby obawiając się, że słowo, które mu się wyrwało, może zadraskać tego człowieka. Długo zastanawiałam się nad tym i zdaje mi się, że rozumiałam, co się działo w sercu mego brata. Myślał zapewne, że człowiek ten, nazywający się Janem Valjean, aż nazbyt miał przytomną w myśli swoją nędzę i że lepiej było oderwać go raczej od niej i rozmawiając z nim jak z jakimkolwiek innym człowiekiem, wmówić w niego, choćby na chwilę, że jest taki sam jak inni. Czyż nie jest to rzeczywiście dobrze rozumiane miłosierdzie? Czy nie ma, Droga Pani, czegoś prawdziwie ewangelicznego w tej delikatności, co unika strofowań, moralów i przymówek? I czy nie najlepszym miłosierdziem względem człowieka jest wcale nie dotykać miejsca, które go boli? Zdawało mi się, że taka była chyba utajona myśl mego brata. W każdym razie mogę powiedzieć, że jeśli miał takie myśli, to ich wcale nie dał poznać nawet mnie; przez cały czas był taki sam jak każdego innego wieczora i wieczerzał z Janem Valjean z równą swobodą i serdecznością jak z księdzem Gedeonem Le Prévost lub z księdzem proboszczem.

Pod koniec wieczerzy, gdyśmy jedli figi, zastukano do drzwi. Weszła matka Gerbaud z dzieckiem na ręku. Brat pocałował dziecię w czoło i pożyczył ode mnie piętnaście su, które miałam przy sobie, aby dać je matce Gerbaud. Tamten człowiek ledwie że to wszystko zauważył. Przestał mówić i wydawał się bardzo zmęczony. Gdy biedna stara Gerbaud odeszła, brat zmówił modlitwę dziękczynną, potem odwrócił się do tego człowieka i rzekł: „Zapewne bardzo pan już chciałby się położyć”. Pani Magloire prędko sprzątnęła ze stołu. Zrozumiałam, że trzeba już odejść, by dać możliwość spoczynku podróżnemu, i obie poszłyśmy na górę. Posłałam jednak jeszcze przez panią Magloire z mojego pokoju sarnią skórę z Czarnego Lasu na łóżko tego człowieka. Noce są zimne, a taka skóra grzeje. Szkoda, że już jest stara; całkiem wyleniała. Brat kupił ją w Niemczech, w Totllingen, niedaleko źródeł Dunaju, ją i nożyk z rączką ze słoniowej kości, którego używam przy stole.

Pani Magloire wróciła prawie natychmiast, odmówiłyśmy modlitwy w salonie, w którym się suszy bielizna, i później każda z nas poszła do swego pokoju, więcej już nie rozmawiając.

Spokój

Powiedziawszy dobranoc siostrze, ksiądz Benvenuto wziął ze stołu jeden srebrny lichtarz, drugi wręczył gościowi i rzekł:

– Zaprowadzę pana do pańskiego pokoju.

Jan Valjean poszedł za nim.

Jak czytelnik pamięta z tego, cośmy wyżej powiedzieli, rozkład mieszkania był taki, że chcąc wejść do kaplicy, w której znajdowała się alkowa, lub też wyjść z niej, trzeba było przejść przez sypialnię biskupa.

Kiedy przechodzili przez ten pokój, pani Magloire chowała srebro w szafce nad łóżkiem. Była to ostatnia jej czynność gospodarska przed pójściem spać.

Biskup wprowadził gościa do alkowy. Łóżko zasłane było białą, świeżą pościelą. Przybysz postawił świecznik na stoliku.

– No – rzekł biskup – dobrej nocy. Jutro rano przed odejściem napije się pan ciepłego mleka prosto od krowy.

– Dziękuję księdzu – odpowiedział.

A ledwie wymówił te spokojne słowa, nagle i nie wiadomo skąd uczynił dziwny ruch, który by lodem ściął krew w dwóch pocziwych kobietach, gdyby były obecne przy tej scenie. I dziś jeszcze trudno nam zdać sobie sprawę, co nim powodowało. Czy chciał przestrzec, czy zagrozić? A może usłuchał po prostu jakiegoś instynktownego popędu, nie znanego nawet i sobie? Znienacka obrócił się ku starcowi, skrzyżował ręce na piersiach, utkwiał dzikie spojrzenie w gospodarzu i zawołał ochryplym głosem:

– No, no! Ładne rzeczy! Dajecie mi nocleg tak blisko siebie!

Zatrzymał się i dodał ze śmiechem, w którym brzmiało coś potwornego:

– Czy się ksiądz dobrze zastanowił? A skąd ksiądz wie, czy nie jestem mordercą?

Biskup odpowiedział mu:

– To już sprawa Pana Boga.

I poruszając wargami, jakby modlił się, lub też mówił coś do siebie, z powagą złożył dwa palce prawej ręki i pobłogosławił człowieka, który się nie pochylił, po czym, nie odwracając głowy i nie oglądając się, odszedł do swego pokoju.

Gdy ktoś spał w alkwie, ołtarz w kaplicy był zasłonięty wełnianą kotarą. Biskup, przechodząc, ukląkł przed tą kotarą i pomodlił się chwilę.

Nieco później był już w swym ogrodzie, przechadzał się, marzył, rozmyślał; dusza jego i umysł wybiegały ku tym wielkim i tajemniczym rzeczom, które Bóg w nocy ukazuje oczom, co pozostały otwarte.

A co do podróżnego, ten był tak znużony, że nawet nie skorzystał ze świeżej pościeli. Zdmuchnął świecę nosem, jak to czynią galernicy, rzucił się w ubraniu na łóżko i natychmiast zasnął głęboko.

Północ biła, gdy biskup powrócił z ogrodu do swego pokoju.

W kilka minut później wszyscy spali w małym domku.

Jan Valjean

W połowie nocy Jan Valjean obudził się.

Jan Valjean pochodził z biednej chłopskiej rodziny w Brie. W dzieciństwie nie nauczył się czytać. Gdy doszedł lat męskich, zajmował się przyszydzaniem drzew w Faverolles. Matka jego nazywała się Joanna Mathieu, ojciec Jan Valjean albo Jan Vlajean; prawdopodobnie powstało to przezwisko ze skróconego *Voila Jean*³.

Jan Valjean był z usposobienia powolny, małowówny, ale nie smutny; takie bywają natury uczuciowe. Ale Jan Valjean, z pozoru przynajmniej, był jakiś senny, nijaki. W bardzo wczesnym dzieciństwie utracił ojca i matkę. Matka umarła z zaniedbanej gorączki pokarmowej. Ojciec, jak on ogrodnik, zabił się spadając z drzewa. Pozostała mu tylko starsza siostra, wdowa z siedmiorgiem dzieci. Ta siostra wychowała młodszego brata i dopóki żył jej mąż, karmiła go i odziewała. Mąż umarł. Najstarsze z siedmiorga dzieci miało osiem lat, najmłodsze rok. Jan Valjean skończył wtedy dwadzieścia pięć lat. Zastąpił im ojca i z kolei zaczął pomagać siostrze, która go wychowała. Jan Valjean wypełniał ten swój obowiązek z prostotą, jako rzecz zwykłą, a nawet z pewną opryskliwością. Tak upływała mu młodość na ciężkiej i źle płatnej pracy. Nikt w okolicy nie słyszał, żeby chodził z dziewczyną. Nie miał czasu na kochanie się.

Wieczorem wracał zmordowany i zjadał swoją porcję zupy, nie mówiąc ani słowa. A kiedy jadł, siostra Joanna nieraz wyjmowała z jego miski najlepszy kąsek, kawałek mięsa, większą skwarę słoniny, głąb kapusty, i dawała to któremuś z dzieci; on jadł, schylony nad stołem, z głową prawie że w misce, z włosami opadłymi na oczy, i zdając się nie widzieć tego, pozwalał się objadać. W Faverolles, niedaleko od chaty Jana Valjean, po drugiej stronie uliczki, mieszkała bogata chłopka, zwana Marią Klaudią. Dzieci, zawsze głodne, nieraz chodziły do Marii Klauдії, w imieniu matki pożyczwały garnek mleka i wypijały go za płotem lub w krzakach, wydzierając sobie naczynie, i to tak łakomie, że dziewczynki rozlewały mleko na fartuszki. Gdyby matka wiedziała o tej psocie, na pewno surowo ukarałaby winowajców; Jan Valjean, porywczy, zrządny, za plecami matki płacił Marii Klauдії należność za mleko i dzieci unikały kary.

W porze strzyżenia drzew zarabiał osiemnaście su dziennie, później najmował się do żniwa, za robotnika, za parobka, za pastucha, do wszelkiej roboty. Robił, co mógł. Siostra jego także pracowała, ale co miała począć z siedmiorgiem dzieci? Żalną tę gromadkę ujęła w swe kleszcze nędza i dławiła powoli. Nastąpiła bardzo ostra zima. Jan nie miał roboty. Rodzina nie miała chleba. Ani kawałka. Dosłownie. Siedmioro dzieci.

Pewnej niedzieli wieczorem Maubert Isabeau, piekarz przy placu kościelnym w Faverolles, zabierał się do snu, gdy usłyszał gwałtowne uderzenie w okratowaną i oszkloną wystawę sklepu. Zeskoczył z łóżka i ujrzał rękę wsuniętą przez wybitą dziurę. Ręka porywała bochenek chleba i uniosła go. Isabeau wybiegł, złodziej uciekał co tchu. Dogonił go i przytrzymał. Złodziej rzucił chleb, ale rękę miał zakrwawioną. Był to Jan Valjean.

Działo się to w roku 1795. Jan Valjean postawiony został przed sądem „za kradzież z włamaniem, w nocy, w zamieszkałym domu”. Miał strzelbę, był świetnym strzelcem i trochę kłusownikiem; to mu zaszkodziło. Prawo jest źle usposobione wobec kłusowników. Kłusownik, a także przemytnik, to coś bliskiego rozbójnikowi.

A jednak, powiedzmy nawiasem, cała przepaść dzieli ludzi tego rodzaju od ohydnych miejskich morderców. Kłusownik żyje w lasach, przemytnik w górach lub na morzu. Miasta

³ Oto Jan

tworzą ludzi okrutnych, bo tworzą ludzi zepsutych. Góry, morze, lasy tworzą ludzi dzikich. Rozwijają srogość, często jednak nie niszcząc uczuć ludzkich.

Jan Valjean uznany został za winnego. Artykuł kodeksu brzmiał wyraźnie. Bywają w cywilizacji naszej groźnej godziny: chwile w których prawo orzeka wyrok potępienia. Jakże żalobna, jakże posepna jest minuta, w której społeczeństwo odsuwa się i na zawsze porzuca istotę myślącą! Jan Valjean skazany został na pięć lat galery.

Dnia 22 kwietnia 1796 roku obwoływano w Paryżu zwycięstwo pod Montenotte, odniesione przez generała, głównodowodzącego armią włoską, którego list Dyrektoriatu do Rady Pięciuset, z dnia 2 Floreala IV roku, nazywa Buona-Partem; tegoż dnia skuto wielki łańcuch w Bicêtre. Jan Valjean należał do niego. Stary odźwierny więzienia, dziś liczący lat dziewięćdziesiąt, przypomina sobie jeszcze doskonale tego biedaka, którego przykuto do końca czwartego szeregu, w północnym rogu dziedzińca. Siedział na ziemi, jak wszyscy inni. Zdawał się nie pojmować swego położenia, tyle tylko, iż wiedział, że jest ono straszne. Możliwe, że rozumiał także, poprzez mętne myśli ciemnego, nieuczonego biedaka, że to, co go spotykało, było nadmierną karą. Gdy ciężkimi uderzeniami młota skuwano za nim jego kunę żelazną, płakał, łzy go dławili, tamowały mowę; i tylko od czasu do czasu udawało mu się wyszeptać: „Byłem ogrodnikiem w Faverolles”. Potem, łkając, wznosił prawą rękę i stopniowo zniżał ją siedem razy, jak gdyby kolejno dotykał siedmiu coraz to niższych głów. Z tego gestu można się było domyślić, że wszystko, co robił, robił po to, aby przyrodzić i wyżywić siedmioro małych dzieci.

Odjechał do Tulonu. Przybył tam po dwudziestosiedmiodniowej podróży na wózku, z łańcuchem u szyi. W Tulenie ubrano go w czerwoną kurtę. Zatarło się wszystko, co było jego życiem, nawet nazwisko; przestał być Janem Valjean – był numerem 24601. Co się stało z jego siostrą? Co się stało z siedmiorgiem dzieci? Kogóż to obchodzi? Co się dzieje z liśćmi młodego drzewa ściętego u dołu pnia?

Dzieje się zawsze to samo. Te biedne istoty, stworzenia boskie, bez pomocy odtąd, bez opieki, bez schronienia, poszły przed siebie kto wie, może każde w inną stronę – i zanurzyły się powoli w tej zimnej mgle, która pochłania samotne losy, w tych posepnych cieniach, gdzie w ponurym pochodzie ludzkości znika kolejno tyle nieszczęśliwych głów. Opuściły okolicę. Dzwonnica ich rodzinnej wioski zapomniała o nich; kamień graniczny na polu, które było ich polem, też o nich zapomniał; po kilku latach pobytu na galerach zapomniał o nich sam Jan Valjean. W sercu jego, tam, gdzie była rana, utworzyła się blizna. I to już wszystko. Raz tylko przez cały czas pobytu w Tulenie usłyszał o swojej siostrze. Było to, zdaje mi się, pod koniec czwartego roku odbywania kary. Nie wiem już, jaką drogą doszła doń ta wiadomość. Ktoś, co znał ich w stronach rodzinnych, widział jego siostrę. Była w Paryżu. Mieszkała na biednej ulicy Geindre, blisko kościoła św. Sulpicjusza. Miała przy sobie tylko jedno dziecko, chłopca, najmłodszego. Gdzie się podziało sześcioro? Może sama nie wiedziała? Codziennie rano chodziła do drukarni przy ulicy Sabot numer 3, gdzie składała i broszurowała. Musiała tam być o szóstej rano, w zimie na długo przed świtem. W tym samym domu, co drukarnia, była szkoła; do tej szkoły prowadziła ze sobą siedmioletniego chłopczyka. Ale że do drukarni chodziła na szóstą, a szkołę otwierano dopiero o siódmej, dzieciak musiał godzinę czekać na podwórzu; zimą – godzinę w nocy, pod gołym niebem. Nie pozwalano mu wchodzić do drukarni, bo mówiono, że zawadza. Robotnicy przechodząc rano widzieli malca, Jak siedział na bruku, upadając z senności, lub też jak spał, w ciemnościach, skulony na swoim koszyku. Gdy deszcz padał, stara dozorczyńca litowała się nad nim; brata go do swojej komórki, gdzie stał tapczan, kołowrotek i dwa drewniane krzesła, i malec zasypiał w kącie, tuląc się do kota, żeby mu było cieplej. O siódmej szkołę otwierano i chłopiec mógł wejść do niej. Tyle dowiedział się Jan Valjean. Raz tylko powiedziano mu o nich, była to jedna chwila, błyskawica, niby okno nagle otwarte na losy tych kochanych istot; potem wszystko zamknęło

się, nigdy już więcej o nich nie usłyszał. Nigdy ich nie zobaczył, nigdy nie spotkał i w dalszym ciągu tej bolesnej opowieści nie spotkamy ich już nigdy.

Pod koniec tego czwartego roku Jan Valjean spróbował ucieczki. Dopomogli mu towarzysze, jak to zwykle się dzieje w tym smutnym miejscu. Uciekł. Przez dwa dni błąkał się na swobodzie po polach, jeżeli można nazwać swobodnym człowieka, którego ścigają, który musi się oglądać co chwila, który drży przy lada szeleście i lęka się wszystkiego: i dymu z komina, i przechodzącego człowieka, szczekającego psa, i cwałującego konia, bijącego zegara, i dnia, bo widno, i nocy, bo ciemno, i drogi, i ścieżki, i krzaka, i snu. Schwytano go na drugi dzień wieczorem. Trzydzieści sześć godzin nie jadł i nie spał. Sąd morski skazał go za zbrodnię ucieczki na trzyletnie przedłużenie kary, co razem stanowiło osiem lat. Szóstego roku znowu przyszła na niego kolej ucieczki; skorzystał z tego, ale mu się nie udało. Nie stanął do apelu. Strzelano z działa i z nastaniem nocy wartownicy znaleźli go pod kadłubem budującego się okrętu; stawiał zacięty opór straży więziennej, nim go ujęła. Ucieczka i bunt. Występek – przewidziany w osobnym paragrafie – ukarany został przedłużeniem więzienia do lat pięciu, z tych dwa lata w podwójnych kajdanach. Trzydzieści lat. Dziesiątego roku znowu przyszła jego kolej i skorzystał z niej znowu. I tym razem udało się nie lepiej. Trzy lata więzienia za nową próbę. Szesnaście lat. Na koniec trzynastego roku, jeśli się nie mylę, po raz ostatni próbował uciec, lecz go schwytano po czterech godzinach nieobecności. Za te cztery godziny dostał trzy lata. Dziewiętnaście lat. W październiku 1815 roku został zwolniony; zamknięto go w 1786 roku za wybicie szyby i zabranie bochenka chleba.

Tu, w nawiasie, słów kilka. Po raz drugi to, badając sprawy karne i potępiające wyroki prawa, autor tej książki spotyka się z kradzieżą chleba, która stała się przyczyną całkowitego upadku człowieka. Klaudiusz Nędzarz ukradł bochenek chleba. Statystyka angielska wykazuje, że na pięć kradzieży w Londynie bezpośrednią przyczyną czterech jest – głód.

Jan Valjean drżał i płakał, gdy wszedł na galery; wyszedł z nich nieczuły. Wszedł rozpaczony, wychodził ponury.

Co stało się tej duszy?

Wnętrze rozpaczy

Spróbujmy to opowiedzieć.

Spółczesność powinno te rzeczy zobaczyć – bo są one przecież jego dziełem.

Jan Valjean był człowiekiem ciemnym, ale nie głupim. W umyśle jego płonęło przyrodzone światło. Nieszczęście, które też w pewnym stopniu oświeca, bardziej rozwidniło ten umysł. Pod batem, pod ciężarem kajdan, w więzieniu i znoju, pod gorącym niebem galer, na więziennej drewnianej pryczy wchodził w swoje sumienie i zastanawiał się.

Mianował się sędzią.

Rozpoczął od osądzenia siebie samego.

Przyznał, że nie był niewinnym, ukaranym niesprawiedliwie. Przyznał, że popełnił czyn gwałtowny i naganny; że być może, gdyby poprosił, nie odmówiono by mu chleba, że w każdym razie lepiej było poczekać, aż da mu go miłosierdzie lub praca; że powiedzenie, iż nie można czekać, kiedy się jest głodnym, nie jest argumentem całkowicie niezbitym, że, przede wszystkim, rzadko dosłownie umiera się z głodu; że, dalej, na szczęście czy też na nieszczęście, człowiek może cierpieć długo i wiele, moralnie i fizycznie, i nie umiera; że więc trzeba było mieć cierpliwość; że nawet wyszłoby to na korzyść biednym dzieciom; że było szaleństwem ze strony nieszczęśliwego biedaka chwytać za kark całe społeczeństwo i

wyobrażać sobie, iż kradzieżą wydobędzie się z nędzy; że w każdym razie wychodzi się z nędzy nie tymi drzwiami, które prowadzą do hańby; że po prostu nie miał racji.

Następnie zadał sobie pytanie:

Czy w tej fatalnej historii tylko on jeden nie miał racji? Czy przede wszystkim nie było poważną sprawą, że on, człowiek pracowity, nie miał chleba? Czy dalej, po popełnieniu występku i przyznaniu się do winy, kara nie była za surowa i za wielka. Czy nie większe nadużycie popełniło prawo przez swą karę niż winowajca Przez swój występki? Czy na szali sprawiedliwości nie przeważał grzechu ciężar pokuty? Czy nadmiar kary był tylko zniweczeniem występku, czy nie doprowadził do odmiany położenia, na miejsce błędu winowajcy przesuwał błąd kary, z przestępcy czyniąc ofiarę, z dłużnika wierzyciela i ostatecznie stawiając prawo po stronie tego, który je pogwałcił? Czy ta kara, pomnażana wskutek kolejnych usiłowań ucieczki, nie stała się w końcu zamachem silniejszego na słabszego, gwałtem dokonany przez społeczeństwo na jednostce, zbrodnią popełnianą codziennie, zbrodnią, która trwała dziewiętnaście lat? Czy nie jest potworne, że społeczeństwo obchodzi się w ten sposób właśnie ze swymi członkami najgorzej potraktowanymi przy rozdziale dóbr. którego dokonuje przypadek, a co za tym idzie najgodniejszymi pobbazania?

Zadał sobie te pytania, a gdy je rozwiązał, osądził społeczeństwo i potępił.

Skazał je na swą nienawiść.

Uczylił je odpowiedzialnym za swój los i powiedział sobie, że kiedyś może zażąda od niego rachunku. Powiedział sobie, że nie ma równowagi między szkodą, którą on wyrządził, a szkodą, którą jemu wyrządzono; orzekł wreszcie, że jego kara wprawdzie nie jest niesprawiedliwością, lecz niewątpliwie jest niegodziwością.

Gniew może być szalony i bezsensowny, zirytować się można niesłusznie, ale oburzamy się wtedy tylko, gdy choć w części mamy rację. Jan Valjean czuł oburzenie.

A przy tym od społeczeństwa ludzkiego doznał tylko krzywd, oglądał tylko jego rozgniewane oblicze, które ono nazywa swą Sprawiedliwością i ukazuje tym, w których uderza. Ludzie podeszli doń po to tylko, aby go zmiażdżyć. Każde zetknięcie się z nimi było! dla niego ciosem. Nigdy, od dzieciństwa, od utraty matki, od rozstania się z siostrą, nie usłyszał dobrego słowa, nie spotkał życzliwego spojrzenia. Brnąc z cierpienia w cierpienie, doszedł w końcu do przekonania, że życie jest wojną i że w tej wojnie on był zwyciężonym. Jedyńą jego bronią była nienawiść. Postanowił wyostrzyć ją w więzieniu i wychodząc zabrać ze sobą na drogę. Była w Tulonie szkoła dla więźniów, utrzymywana przez księży zgromadzenia św. Jana: udzielano w niej początków nauki tym nieszczęśnikom, którzy mieli dobrą wolę uczyć się. Jan Valjean miał dobrą wolę. Poszedł do szkoły w czterdziestym roku życia i nauczył się czytać, pisać, rachować. Czuł, że umacniając umysł, umacniał swą nienawiść. W pewnych wypadkach wykształcenie i oświata mogą posłużyć do przedłużenia zła.

Smutno wspominać o tym: osądziwszy społeczeństwo, które go skrzywdziło, osądził także Opatrzność, która stworzyła społeczeństwo, i również ją potępił.

Tak więc przez te dziewiętnaście lat męczarni i niewoli dusza jego podnosiła się i upadała jednocześnie. Jedną stroną wchodziło w nią światło, drugą ciemność.

Jan Valjean, jak widzieliśmy, nie był zły z natury. Wchodząc do więzienia był jeszcze dobry. Tam potępił społeczeństwo i uczuł, że staje się zły; potępił Opatrzność i uczuł, że staje się bezbożny.

Właściwością kar tej natury – w których przeważa to, co bezlitosne, a więc to, co znikczemiające – jest, że powoli, w jakimś tępych procesie przeobrażenia, zmieniają człowieka w dzikiego zwierza. Czasami nawet w zwierza okrutnego. Próby ucieczki Jana Valjean, kolejne a uporczywe, są wystarczającym świadectwem tego, jak dziwacznie prawo urabia ludzką duszę. Jan Valjean ponawiałby te usiłowania, nieużyteczne i szalone, ilekroć

nastęczałyby się po temu sposobność, ani chwili nie myśląc o następstwach lub o poczynionych już doświadczeniach. Wyrwał się gwałtownie jak wilk, gdy widzi, że otwarto klatkę. Instynkt mówił mu: Uciekaj! Rozsądek rzekłby mu: Zostań! Ale wobec tak silnej pokusy zniknął rozsądek, zostawał tylko instynkt. Działo tylko zwierzę. A gdy chwymano go, nowe kary sprawiały tyle tylko, że rosło przerażenie i dzikość.

Szczegółem, którego pominąć nie sposób, jest, że miał on siłę fizyczną, której żaden z więźniów nie dorównał. Przy ciężkiej pracy, przy ściąganiu liny, przy wyciąganiu windy, Jan Valjean starczał za czterech ludzi. Podnosił i dźwigał ogromne ciężary na plecach i w potrzebie zastępował lewar. Towarzysze przewalili go Janem Dźwigiem. Razu pewnego, kiedy naprawiano balkon ratusza w Tulonie, jedna z cudownych kariatyd Pugeta, które podpierają ten balkon, oblużowała się i już miała runąć. Jan Valjean, który był w pobliżu, podtrzymał ramieniem kariatydę, dopóki nie nadbiegli inni robotnicy.

Zręczność jego przewyższała jeszcze siłę. Niektórzy galernicy, wiecznie marzący o ucieczce, dochodzą w końcu do prawdziwego kunsztu w łączeniu zręczności i siły. Jest to kunszt mięśni. Cała statyka, tajemnicza a ćwiczona przez więźniów, tych wiecznych zazdrośników much i ptaków. Wspinać się po pionowej ścianie, znajdować punkty oparcia w miejscach, gdzie ledwie widać występ muru – to była dla Jana Valjeana igraszka. Po kancie muru, zdany tylko na siłę swojego grzbietu i swoich kolan, wpierając się łokciami i piętami w chropowatość cegieł, potrafił jakby magiczną sztuką dotrzeć do wysokości trzeciego piętra. Czasami wchodził w ten sposób na dach więzienia.

Mówił mało. Nie śmiał się wcale. Trzeba było jakiegoś niezwykłego wstrząsu, żeby mu wyrwać, raz albo dwa razy do roku, ten ponury wybuch śmiechu galernika, brzmiący jak echo śmiechu szatana. Wyglądał, jak gdyby wciąż był pochłonięty wpatrywaniem się w coś strasznego.

Było w istocie coś, co go pochłaniało.

Poprzez chorobliwe wrażenia niekompletnej natury i znękanego umysłu czuł na sobie niewyraźnie jakąś rzecz potworną. Ilekroć obracał głowę i próbował podnieść oczy do góry w tym ciemnym i sinym półmroku, w którym pełzał, widział z rozpaczą i wściekłością, jak rośnie, spiętrza się i wznosi nad nim w nieskończoność niesamowicie stromy, straszliwy stos rzeczy, praw, przesądów, ludzi i wydarzeń, którego konturów nie mógł objąć spojrzeniem, którego ogrom przerażał go, a który nie był niczym innym, jak olbrzymią piramidą zwaną cywilizacją. Rozróżniał tu i ówdzie w tej rojącej się bezkształtnej masie, raz blisko siebie, to znowu daleko, na niedostępnych kondygnacjach, jakąś grupę ludzką, jakiś szczegół jasno oświetlony – dozorcę więziennego z kijem w ręku, żandarma z szablą, dalej arcybiskupa w infule, a na samym szczycie, jak słońce, cesarza w koronie i olśniewającym blasku. Zdawało mu się, że ten daleki przepych nie tylko nie rozpraszał jego nocy, ale ją czynił jeszcze bardziej grobową i bardziej czarną. Wszystko to – prawa, przesady, wydarzenia, ludzie, rzeczy – poruszało się nad nim w rozmaitych kierunkach, po zawiłych i tajemniczych torach, jakie Bóg wyznacza cywilizacji, deptało go i miażdżyło z jakimś spokojnym okrucieństwem i z nieubłaganą obojętnością. Dusze upadłe na samo dno niedoli, nieszczęśnicy zagubieni w najniższych kręgach piekieł, gdzie już nikt nie zagląda, wzgardzeni przez prawo, czują na swoich głowach cały ciężar społeczeństwa ludzkiego, tak groźnego dla tych, którzy są poza nim, i tak strasznego dla tych, którzy są pod nim.

W takim położeniu Jan Valjean rozmyślał; jakież to mogły być rozmyślenia?

Gdyby ziarno prosa pod młyńskim kamieniem umiało myśleć, myślałoby niewątpliwie to, co myślał Jan Valjean.

Wszystkie te rzeczy – rzeczywistość pełna upiorów, majaki pełne rzeczywistości – wytworzyły w nim w końcu jakiś stan wewnętrzny, którego prawie nie można wyrazić.

Niekiedy stawał wśród swej pracy galerniczej. Zamyślał się. Rozum jego, dojrzały i zarazem bardziej niż niegdyś zmacony, buntował się. Wszystko, co go spotkało, wydawało

mu się nedorzeczne: to sen. Patrzył na dozorcę stojącego tuż, o kilka kroków, dozorca wydawał mu się widmem; nagle – widmo to uderzało go batem.

Świat widzialny prawie nie istniał dla niego. Można by niemal powiedzieć, że dla Jana Valjean nie było ani słońca, ani pięknych dni letnich, ani jasnego nieba, ani świeżych kwietniowych poranków. Zazwyczaj jakieś piwniczne okienko oświetlało tę duszę.

Na zakończenie, streszczając to, co ze słów tutaj powiedzianych da się streścić i pokazać w konkretnych faktach – tyle tylko powiemy, że po dziewiętnastu latach Jan Valjean, nieszkodliwy ogrodnik z Faverolles, groźny galernik z Tulonu, dzięki sposobowi, w jaki go więzienie ukształtowało, stał się zdolnym do dwojakiego rodzaju występków: po pierwsze, do złego czynu, nagłego, nie przemyślanego, popełnionego lekkomyślnie, instynktownie, będącego niby odwetem za wycierpiane zło; po wtóre, do złego czynu ciężkiego, poważnego, dokonanego świadomie i obmyślonego za pomocą fałszywych pojęć, które mogą powstawać w człowieku pod wpływem podobnego nieszczęścia. Wszystko, co obmyślał, przechodziło trzy kolejne fazy, pewnym tylko naturom właściwe: rozumowanie, wolę i upór. Bódcem było mu nieustanne oburzenie, gorycz duszy, głębokie poczucie wycierpianych krzywd, sprzeciw, nawet wobec dobrych, niewinnych i sprawiedliwych, jeżeli są tacy. Punktem wyjścia i celem wszystkich jego myśli była nienawiść do ludzkiego prawa, nienawiść, która jeżeli jej rozwojowi nie powstrzyma jakieś opatrnościowe wydarzenie, staje się po pewnym czasie nienawiścią do wszelkiego stworzenia, i wyraża się w nieustannej i brutalnej żądzy szkodenia; komukolwiek, jakiejkolwiek żyjącej istocie. Jak widzimy, nie bez powodu paszport nazywał Jana Valjean „człowiekiem bardzo niebezpiecznym”.

Rok po roku dusza ta wysychała coraz bardziej, z wolna, ale nieuniknienie. Gdy suche serce – suche i oko. Wychodząc z więzienia, od dziewiętnastu już lat nie uronił ani jednej łzy.

Fala i mrok

Człowiek za burzą!

Co z tego? Statek nie zatrzymuje się. Jest wiatr i ten spowity zmierzchem statek ma marszrutę, której musi przestrzegać. Płyne dalej.

Człowiek znika, po chwili zjawia się, zanurza i znowu wraca na powierzchnię; statek, miotany przez huragan, jest zajęty manewrowaniem, marynarze i pasażerowie nawet już nie widzą tonącego, jego nieszczęsna głowa stała się już tylko punktem wśród bezmiaru fal.

Człowiek rzuca w otchłań okrzyki rozpacz. Jakim strasznym widmem jest ten znikający żagiel! Patrzy na niego, patrzy nieprzytomnie. Ale żagiel oddala się, szarzeje, jest coraz mniejszy. Człowiek jeszcze tak niedawno był tam, należał do załogi, tak jak inni chodził po pokładzie, do niego, tak jak do nich, należało powietrze i słońce, był wśród żyjących. A teraz co się stało? Pośliznął się, upadł i wszystko skończone.

Jest w potwornej wodzie. Pod stopami ma już tylko coś, co ucieka i usuwa się. Podarte i poszarpane przez wiatr morze otacza go koszmarnie, rozkołysana otchłań wciąga, niezliczone łachmany odmetu powiewają nad jego głową, ohydne zbiegowisko fal pluje na niego, jakieś otwory o niewyraźnych konturach szczerzą ku niemu swoje paszcze; za każdym razem, kiedy się zanurza, widzi czeluście pełne nocy; nieznanne, straszliwe rośliny chwytają go, oplatają mu nogi, ciągną ku sobie; człowiek czuje, że staje się otchłanią, zamienia się w pianę, fale rzucają go sobie jak piłkę, każą mu pić gorycz, podły ocean znęca się nad tonącym, bezmiar igra z jego agonią. Cała ta woda wygląda, jak przelewająca się nienawiść.

Człowiek jednak walczy, próbuje bronić się i utrzymać na powierzchni, natęży mięśnie, pływa. On, ta nędzna siła, która tak szybko się wyczerpuje, walczy z niewyczerpanym żywiołem.

A gdzie się podział statek? Jest tam, daleko. Ledwo dostrzegalny w szarych ciemnościach na horyzoncie.

Wraca atak wichru, ulewna piana rzuca się na swoją ofiarę. Człowiek podnosi oczy w górę i nie widzi nic oprócz siności chmur. Nim skona, musi być świadkiem gigantycznego ataku szaleńcy, który wstrząsa morzem. Ta orgia jest dla niego torturą. Słysząc nieludzkie głosy, które zdają się dochodzić spoza ziemi, z jakiejś przerażającej przestrzeni zewnętrznej.

Między chmurami są ptaki, nad niedolą ludzką są anioły, ale co one tu mogą zrobić? Te latające istoty śpiewają, unosząc się w przestworzach, a on rzezi.

Czuje, jak go jednocześnie ogarniają dwie nieskończoności, oceanu i nieba; jedna jest grobem, druga śmiertelnym całunem.

Noc zapada, po godzinach pływania siły go opuszczają, statek, ta rzecz daleka i niosąca na sobie ludzi, zniknął zupełnie. On więc został sam w niesamowitej jaskini zmroku, opada, pręży się i wije, czując pod sobą bezkształtne potwory rejonów niewidzialnego: woła.

Nie ma już ludzi. Gdzie jest Bóg?

Człowiek wota: Ratunku! Ratunku! I znowu woła.

Na horyzoncie nic nie widać. I na niebie nie.

Człowiek błaga przestrzeń, fale, algi, rafę wszystko jest głuche. Zaklina o pomoc burzę – burza jest niewzruszona, uznaje tylko rozkazy nieskończoności.

Dokoła niego ciemność, mgła, samotność, tumult gwałtowny i bezduszny, rozbiegające się gdzieś fałdy drapieżnych wód. W nim groza i zmęczenie. Pod nim upadek. Żadnego punktu oparcia. Człowiek myśli o ciemnych przygodach martwego ciała w mroku bez granic. Bezdenne zimno obezwładnia go. Jego dłonie zamykają się kurczowo i chwytają nicłość. Wichry, chmury, wiry, powiewy, bezużyteczne gwiazdy! Co robić? Zrozpaczony rezygnuje, ze zmęczenia godzi się na śmierć, jest mu już wszystko jedno, niech będzie, co będzie, poddaje się i oto opada na zawsze w czarną toń zagłady.

Okrucieństwo idących przed siebie społeczeństw ludzkich. Ilu ludzi, ile dusz ginie po drodze. W jaki ocean wpada wszystko, co prawo odtrąca! Jak strasznie cofa się pomocna ręka! O śmierci duchowa!

Morze to nieubłagana noc społeczna, w którą system karny rzuca swoich potępieńców. Morze to bezgraniczna nędza.

Dusza, unoszona przez tę otchłań, może stać się trupem. Kto ją wskrzesi?

Nowe krzywdy

Kiedy nadszedł dzień opuszczenia galer, kiedy Jan Valjean usłyszał obce jego uszom słowa: „Jesteś wolny”, wydało mu się to niepodobieństwem, rzeczą niesłychaną; żywy blask, promień prawdziwego światła żyjących, nagle przeniknął do jego wnętrza. Promień ten jednak wkrótce zbladł. Myśl o swobodzie olśniła Jana Valjean. Uwierzył w nowe życie. Wkrótce poznał, czym jest swoboda, której dano żółty paszport.

A iluż goryczy stało się to powodem. Obrachował, że zarobek jego za cały czas pobytu w więzieniu wyniesie sto siedemdziesiąt jeden franków. Sprawiedliwie przyznać trzeba, że w rachunku swym zapomniał odjąć przymusowy odpoczynek w niedziele i święta, co w ciągu lat dziewiętnastu zmniejszyło sumę blisko o dwadzieścia cztery franki. W każdym razie przez

różne odtrącenia zarobek zmniejszył się do stu dziewięciu franków i piętnastu su, które mu wyliczono przy wyjściu z więzienia.

Nic z tego nie zrozumiał i uważał się za pokrzywdzonego. Powiedzmy po prostu: za okradzionego.

Nazajutrz po uwolnieniu, w Grasse, przed bramą destylarni olejku pomarańczowego zobaczył ludzi zdejmujących paki. Ofiarował swe usługi. Śpieszono się z wyładunkiem, więc go przyjęto. Zabrał się do roboty. Był pojętny, silny i zręczny; pracował gorliwie: właściciel destylarni zdawał się być zadowolony. W czasie roboty przechodził żandarm, zauważył go i zapytał o papiery. Trzeba było pokazać żółty paszport, po czym Jan Valjean znów zabrał się do pracy. Na krótko przedtem zapytał jednego z robotników, ile im płacą dziennie; usłyszał, że trzydzieści su. Wieczorem, ponieważ musiał rano ruszyć w drogę, poszedł do właściciela destylarni i poprosił o zapłatę. Właściciel nie powiedział ani słowa i dał mu piętnaście su. Zaprotestował. Odpowiedziano mu: „Dla ciebie i to za dużo”. Nalegał. Właściciel spojrzął mu w oczy i rzekł: „A do lochu”.

I tu również wydało mu się, że go okradli.

Spółczeństwo, państwo, uszczuplając jego zarobek więzienny, okradło go hurtownie. Teraz przyszła kolej na jednostkę, która go okradła detalicznie.

Uwolnienie nie jest wyzwoleniem. Wychodzi się z więzienia, nie wychodzi się spod wyroku.

Oto, co go spotkało w Grasse. Widzieliśmy, w jaki sposób przyjęto go w Digne.

Człowiek obudzony

A więc kiedy na zegarze katedralnym biła godzina druga, Jan Valjean obudził się.

Obudziło go zbyt dobre posłanie. Od lat blisko dwudziestu nie spał na łóżku, a chociaż się nie rozebrał, uczucie było zbyt nowe, by mogło nie zakłócić mu snu.

Spał przeszło cztery godziny. Znużenie minęło. Był przyzwyczajony do krótkiego odpoczynku.

Otworzył oczy, popatrzył chwilę w ciemność dokoła i znowu je zamknął, aby zasnąć.

Kto doznał we dnie wielu różnych wrażeń, kto umysł ma zajęty wieloma sprawami, ten zasypia wprawdzie, ale obudziwszy się nie usnie już powtórnie. Sen łatwiej przychodzi niż wraca. Tak też stało się i z Janem Valjean. Nie mógł zasnąć po raz drugi i zaczął rozmyślać.

Była to u niego jedna z tych chwil, kiedy myśli ludzkie są niejasne i chaotyczne. Przez mózg przepływały mu nieustannie najrozmaitsze wątki. Wspomnienia, dawne i świeże, pływały tam, zmieszane, krzyżując się co chwila, tracąc kształty, olbrzymiejąc potwornie i nagle znikając niby w jakiejś wodzie błotnistej i wzburzonej. W całym tym tłoku jedna myśl nieustannie powracała i odganiała inne. A oto i ona: zauważył sześć nakryć srebrnych i wazową łyżkę, które pani Magloire położyła na stole.

Te sześć srebrnych nakryć opętały go. Były tuż. O kilka kroków. Kiedy przechodził przez sąsiedni pokój, idąc do alkowy, gdzie miał nocować, stara służąca kładła je do szafki umieszczonej w głowach łóżka. Dobrze zapamiętał tę szafkę. Na prawo, idąc z jadalni. Masywne srebro. I stare. Wraz z łyżką wazową można by za to dostać co najmniej dwieście franków. Dwa razy więcej niż to, co zarobił przez dziewiętnaście lat. Prawda, że zarobiłby więcej, gdyby go „administracja” nie „okradła”.

Godzinę całą umysł jego wahał się wśród tych myśli, nie bez pewnej walki. Wybiła trzecia. Otworzył znowu oczy, podniósł się nagle na posłaniu, wyciągnął rękę, poszukał

swego plecaka, który rzucił w kąt alkowy, potem zwiesił nogi, dotknął nimi podłogi i nie wiedząc prawie w jaki sposób, usiadł na łóżku.

Pewien czas siedział zamyślony, w pozycji, która mogła się wydać złowrogą temu, kto by go ujrzał tak w ciemnościach, rozbudzonego w domu, w którym wszyscy spali. Nagle schylił się, zdjął trzewiki, ostrożnie postawił je na pleciance przy łóżku, po czym wrócił do poprzedniej pozycji i trwał bez ruchu, w zamyśleniu.

Wśród tych ohydnych rozważań, myśli, o których wspomnieliśmy, snuły mu się nieustannie po głowie, wchodziły, wychodziły, wracały, jak gdyby naciskały na niego, prócz tego zaśnie pojmując dlaczego, z jakąś mechaniczną uporczywością pólśnu – stawał mu ciągle przed oczyma poznany w więzieniu galernik nazwiskiem Brevet, którego spodnie trzymały się na jednej bawełnianej szelce. Kraciasty deseń tej szelki uparcie powracał mu w pamięci.

Siedział tak bez ruchu i zapewne przetrwałby w tej pozycji do świtu, gdyby zegar nie wybił raz jeden – kwadrans czy też pół godziny. Zdawać by się mogło, że to uderzenie mówiło mu: Do roboty.

Wstał, zawahał się jeszcze chwilę i zaczął nasłuchiwać: cisza w całym domu; podszedł ostrożnymi krokami ku oknu, które jaśniało w ciemności. Noc nie była bardzo głęboka: świecił księżyc w pełni i gnane wiatrem obłoki przelatowały przez niego. Było więc na dworze to ciemniej, to widniej, były zaćmienia i przejaśnienia, a pokój zalegał jakby zmrok. Zmrok ten, dostateczny do rozeznania się, przerywany zupełną ciemnością, gdy chmury zasłoniły księżyc, przypominał blade światło wpadające do piwnicy przez okienko, przed którym przechodzą ludzie. Podszedłszy do okna, Jan Valjean przyjrzał mu się uważnie. Nie miało krat, wychodziło na ogród i według miejscowego zwyczaju zamknięte było tylko na haczyk. Otworzył je, lecz gdy do pokoju wpadł powiew powietrza, zimny i przejmujący, zamknął zaraz. Spojrzał na ogród tym bystrym wzrokiem, który raczej bada, niż patrzy. Ogród otaczał niski mur, łatwy do przesadzenia. Dalej, za murem, spostrzegł wierzchołki równo rozstawionych drzew, co wskazywało, że tuż za ogrodem znajduje się droga lub uliczka wysadzana drzewami.

Rozejrzawszy się tak w otoczeniu, zrobił ruch człowieka zdecydowanego. cofnął się w głąb alkowy, wziął plecak, otworzył, pogrzebał w nim, wyjął coś i położył na łóżku, schował trzewiki do jednej z kieszeni plecaka, zamknął i zarzucił go na plecy, włożył czapkę, nasunął daszek na oczy, po omacku odszukał kij, postawił go w kącie okna, później powrócił do łóżka i szybko chwycił przedmiot, który położył na nim. Było to podobne do krótkiej sztaby żelaznej, na jednym końcu zaostrzonej jak oszczep.

Trudno było rozpoznać w ciemności, do czego miał służyć ten kawałek żelaza. Może był to lewar? Może maczuga?

Przy świetle można by było zobaczyć, że narzędzie to jest po prostu lichtarzem górniczym. Więźniów używano wówczas czasami do wydobywania kamieni z wysokich skał otaczających Tulon i często dawano im narzędzia górnicze. Takie lichtarze są z lanego żelaza, zaostrzone i spiczaste z jednej strony, aby je można było wbijać w skałę.

Wziął lichtarz w prawą rękę i wstrzymując oddech, tłumiąc odgłos kroków, skierował się ku drzwiom sąsiedniego pokoju, jak wiemy, sypialni biskupa. Gdy stanął u tych drzwi, przekonał się, że były uchylone. Biskup ich nie zamknął.

Co uczynił zbudzony człowiek

Jan Valjean nasłuchiwał. Żadnego szmeru.

Pchnął drzwi.

Pchnął je końcem palca, lekko, szybko, jak wchodzący do pokoju kot.

Drzwi ustąpiły i odsunęły się nieznacznie i cicho, rozszerzając wejście.

Począł chwilę, po czym pchnął drzwi powtórnie, śmiejąc.

Znowu ustąpiły cicho. Otworzyły się na tyle, że mógłby już przejść. Ale tuż przy drzwiach stał stolik i zagrażał drogę.

Jan Valjean spostrzegł przeszkodę. Należało jeszcze za wszelką cenę rozszerzyć otwór.

Zdecydował się i pchnął drzwi po raz trzeci, silniej niż za poprzednich dwóch razy. Tym razem zardzewiała zawiasa zaskrzypiała w ciemnościach nagle, ostro i przeciągle.

Jan Valjean zadrżał. Skrzyp zawiasy zabrzmiał w jego uszach głośno i przeraźliwie niby trąba sądu ostatecznego.

W pierwszej chwili zdawało się jego podnieconej wyobraźni, że ta zawiasa ożyła jakimś strasznym życiem i szczeka jak pies, by przestrzec wszystkich, by zbudzić uspiomych ludzi.

Zatrzymał się, drżący, przerażony, i z czubków palców opadł na pięty. Słyszał tętno skroni bijące jak dwa kowalskie młoty, zdawało mu się, że oddech wydobywa się z jego piersi z hałasem wypadającego z jaskini wichru. Był pewny, że okropny krzyk rozdrażnionej zawiasy poruszył cały dom niby wstrząs trzęsienia ziemi; drzwi, pchnięte przez niego, wołały na pomoc; starzec wstanie już za chwilę, obie staruszki zaczną krzyczeć, ludzie przybiegną; nim kwadrans minie – stanie na nogi całe miasto i cała żandarmeria. Przez chwilę zdawało mu się, że przepadł.

Stał, skamieniały jak posąg soli, nie śmiejąc się ruszyć. Upłynęło kilka minut. Drzwi otwarte były na oścież.

Ośmielił się zajrzeć do pokoju. Nic się w nim nie poruszyło. Nastawił ucha: w całym domu nic się nie ruszało. Skrzyp zardzewiałych zawias nie zbudził nikogo.

Pierwsze niebezpieczeństwo minęło, ale czuł w sobie straszny zamęt. Nie cofnął się jednak. Nie cofnął się przecież i wtedy, kiedy mu się wydawało, że jest zgubiony. Myślał tylko o tym, żeby skończyć jak najprędzej. Postąpił krok naprzód i wszedł do pokoju.

Pokój pograżony był w głębokiej ciszy. Tu i ówdzie widniały jakieś niepewne kształty – we dnie były to papiery rozrzucone na stole, grube otwarte tomy, książki złożone na stolku, fotel z porzuconym ubraniem, klęcznik; w tej nocnej godzinie były to tylko ciemne kąty i miejsca bielejące. Jan Valjean stapał ostrożnie, aby nie zawadzić o meble. Z głębi pokoju słyszał równy i spokojny oddech śpiącego biskupa.

Nagle zatrzymał się. Był przy łóżku. Stał przy nim prędzej, niż się spodziewał.

Niekiedy przyroda z jakąś ponurą trafnością i rozumem dostosowuje swe widoki i efekty do naszych czynów, jakby chciała nas skłonić do zastanowienia się. Od pół godziny już gęsta chmura zasłaniała niebo. W chwili gdy Jan Valjean zatrzymał się naprzeciw łóżka, chmura rozdarła się, jakby naumyślnie, i promień księżyca, padając przez wysokie okno, oświetlił nagle bladą twarz biskupa. Spał spokojnie. Leżał w łóżku prawie że odziany, z przyczyny chłodnych nocy alpejskich; miał na sobie kaftan z brunatnej wełny, który okrywał mu ręce aż do dłoni. Głowa jego spoczywała na poduszce, ułożona wygodnie; z łóżka zwisała ręka ozdobiona pasterskim pierścieniem, ręka, z której tyle wyszło dobrych i świętych uczynków. Cała twarz jaśniała nieokreślonym wyrazem zadowolenia, nadziei i zachwytu. Było to więcej niż uśmiech, prawie że promienność. Na jego czole jaśniało niewypowiedziane odbicie niewidzialnego światła. Dusza sprawiedliwych ogląda we śnie niebo pełne tajemnic.

Odblask tego nieba legł na biskupie.

A równocześnie była to jakby jakaś prześwielona przejrzystość, gdyż to niebo było w nim. Tym niebem było jego sumienie.

W chwili gdy promień księżycy swoim światłem powlókł – żeby tak rzec – tę jasność wewnętrzną, śpiący biskup ukazał się jak w aureoli. Jakiś niewysłowny półcień otaczał cały obraz. Ten księżyc na niebie, ta natura uśpiona, ten ogród bezszelestny, ten dom tak spokojny, ta pora nocna, ta cisza dodawały czegoś niewymownie uroczystego czcigodnemu spoczynkowi tego człowieka i otaczały majestatyczną i jasną glorią te białe włosy i te oczy zamknięte, tę twarz tętnącą ufnością i nadzieją, tę głowę starca i ten sen dziecka.

Było coś prawie boskiego w tym człowieku, dostojnym w tej chwili tak całkiem nieświadomie.

A Jan Valjean stał w cieniu, z żelaznym lichtarzem w prawej ręce, nieruchomy, strwożony widokiem jaśniejszego starca. Nic podobnego nigdy jeszcze nie spotykał. Przeraziła go ta ufność. Świat ducha nie zna potężniejszego objawienia niż takie właśnie sumienie, zmieszane i niespokojne, które stojąc na samej krawędzi złego czynu, ogląda sen sprawiedliwego.

Ten sen, w tym odosobnieniu i z takim jak on sąsiadem, miał w sobie coś wzniosłego; Jan Valjean czuł to, niewyraźnie, ale silnie.

Nikt, nawet on sam, nie potrafiłby powiedzieć, co się w nim działo. Kto by chciał zdać sobie z tego sprawę, musiałby wyobrazić sobie to, co najgwałtowniejsze, postawione wobec tego, co najłagodniejsze. Z twarzy jego nie można by wyczytać nic pewnego. Było to niby jakieś nieprzytomne zdumienie. Patrzył. To wszystko. Lecz co myślał? Odgadnąć niepodobna. Widoczne było jedno – że jest wzruszony i wstrząśnięty. Lecz jakiego rodzaju było to wzruszenie?

Nie spuszczał oka ze starca. Z postawy jego i fizjonomii jedno tylko wynikało niewątpliwie – jakaś dziwna niepewność. Rzekłbyś, że waha się między dwiema przepaściami: tą, w której się ginie, i tą, w której się znajduje ocalenie. Zdawało się, że gotów jest strzaskać tę czaszkę lub ucałować tę rękę.

Po kilku chwilach powoli podniósł lewą dłoń ku czołu, zdjął czapkę, opuścił rękę równie wolno i trzymając czapkę w lewej, a maczugę w prawej dłoni, z włosami jeżącymi się na dzikiej głowie, Jan Valjean zamyślił się znowu.

Biskup ciągle spał w głębokim spokoju pod tym strasznym spojrzeniem.

Blask księżycy pozwalał rozpoznać nad kominkiem krucyfiks, jakby wyciągający ramiona ku obu, z błogosławieństwem dla jednego, z przebaczeniem dla drugiego.

Nagle Jan Valjean włożył czapkę i nie patrząc na biskupa, szybko przeszedł koło łóżka, wprost ku szafce widocznej u wezglowia; podniósł żelazny lichtarz, jakby chciał wyważyć zamek; w zamku tkwił klucz; otworzył i od razu zobaczył koszyk ze srebrem; wziął go, przeszedł przez pokój wielkimi krokami, nieostrożnie, nie troszcząc się o hałas, dopadł drzwi, wszedł do kapliczki, otworzył okno, schwycił kij, przesadził framugę, schował srebro do plecaka, odrzucił kosz, przebiegł przez ogród, jak tygrys przeskoczył mur i uciekł.

Biskup pracuje

Nazajutrz o wschodzie słońca ksiądz Benvenuto przechadzał się po ogrodzie. Przybiegła doń pani Magloire cała poruszona.

– Ekscelencjo, ekscelencjo – zawołała – czy nie wie wasza wielebność, gdzie jest koszyk od srebra?

– Wiem – odpowiedział biskup.

– Chwała Bogu – rzekła. – Nie wiedziałam, co się z nim stało.

Biskup właśnie przed chwilą podniósł koszyk z grządki. Podał go pani Magloire.

– Oto jest.

– No? I nic w środku? A srebro?

– A! – odparł biskup – to o srebro pani chodzi? Nie wiem, gdzie jest srebro.

– Wielki Boże! Ukradzione! To ten człowiek, co przyszedł wczoraj wieczór, ukradł je!

W mgnieniu oka, z żywością starczego popłochu, pani Magloire pobiegła do kaplicy, zajrzała do alkowy i wróciła do biskupa. Biskup schylił się i patrzył, wzdychając, na gałązkę kochlerii, którą złamał koszyk rzucony na grzędę. Wyprostował się, słysząc krzyk pani Magloire.

– Ekscelencjo, ten człowiek poszedł sobie! Srebro ukradzione!

Wołając tak spojrzała w róg ogrodu i dostrzegła świeże ślady przechodzenia przez mur. Gzyms był oberwany.

– O! Tamtędy przeszedł! Wskoczył na ulicę Cocheilet. Co za okropność! Ukradł nam srebro!

Biskup milczał przez chwilę, później podniósł swój poważny wzrok i rzekł łagodnie do pani Magloire:

– Przede wszystkim – czy to srebro było nasze?

Pani Magloire umilkła, zdumiona. Milczenie trwało przez chwilę, po czym znów odezwał się biskup:

– Pani Magloire, niesłusznie i bezprawnie trzymałem tak długo to srebro. Należało do ubogich. A kimże był ten człowiek? Ubogim, oczywiście.

– Miły Boże – odparła pani Magloire. – Toć nie dla mnie ani dla panienki. Nam wszystko jedno. To dla waszej wielbności. Na czym teraz ksiądz biskup będzie jeść?

Biskup spojrział na nią zdziwiony.

– A, o to chodzi! A czyż nie ma cynowych nakryć?

Pani Magloire wzruszyła ramionami.

– Cyna ma przykry zapach.

– A więc talerze żelazne.

Pani Magloire skrzywiła się znacząco.

– Żelazo ma wstrętny smak.

– A więc – rzekł biskup – drewniane.

Wkrótce podano śniadanie na tym samym stole, przy którym siedział wczoraj Jan Valjean. Jedząc ksiądz Benvenuto mówił z wesołym uśmiechem do milczącej siostry i do pani Magloire, która pomrukiwała z cicha, że niepotrzebna jest ani łyżka, ani widelec, nawet i drewniany, aby umaczać kawałek chleba w filiżance mleka.

– Świetny pomysł! – mówiła do siebie pani Magloire, przechadzając się tam i z powrotem.

– Wpuszczać do domu takiego człowieka! I kłaść go na noc tuż przy sobie! Wielkie to jeszcze szczęście, że tylko okradł. O, mój Boże! Drzę na samą myśl!

Brat i siostra wstawali właśnie od stołu, kiedy zapukano do drzwi.

– Proszę! – rzekł biskup.

Drzwi otworzyły się. Na progu ukazało się dziwne a hałaśliwe towarzystwo. Trzech ludzi trzymało za kołnierz czwartego człowieka. Trzej – to byli żandarmi, czwartym był Jan Valjean.

Wachmistrz, który ich widocznie prowadził, stanął w drzwiach. Wszedł zbliżył się do biskupa i rzekł, salutując:

– Ekscelencjo...

Na te słowa Jan Valjean, posepny i przybity, nagle podniósł głowę ze zdziwieniem.

– Ekscelencjo! – szepnął. – Więc to nie proboszcz...

– Milczeć! – przerwał żandarm. – To ksiądz biskup.

Tymczasem biskup Benvenuto podbiegł ku nim tak szybko, na ile tylko pozwolił mu jego podeszły wiek.

– A, jest pan wreszcie! – zawołał patrząc na Jana Valjean. – Rad jestem, że pana widzę. Jak to, darowałem panu przecież również i lichterze, które są też ze srebra i za które dostałbyś co najmniej dwieście franków. Czemu nie zabrałeś ich razem z nakryciem?

Jan Valjean otworzył oczy i patrzył na czcigodnego biskupa wzrokiem, którego żaden język nie wysłowi.

– Ekscelencjo – odezwał się wachmistrz żandarmów – a więc to prawda, co mówił ten człowiek? Spotkaliśmy go na drodze. Szedł tak, jakby uciekał. Zatrzymaliśmy go i przejrzeliliśmy jego rzeczy. Miał przy sobie to srebro...

– I powiedział wam – przerwał z uśmiechem biskup – że mu je dał stary poczciwiec, ksiądz, u którego nocował? Rozumiem, o co chodzi. I przyprowadziliście go tutaj? To pomyłka.

– A więc – odrzekł wachmistrz – możemy go puścić?

– Oczywiście – odpowiedział biskup.

Żandarmi puścili Jana Valjean, a on cofnął się.

– Czy naprawdę puszczają mnie? – rzekł niewyraźnie, jakby mówił przez sen.

– Tak, puszczają cię, czy nie słyszysz?

– Przyjacielu – odezwał się biskup – oto twoje lichterze. Weź je.

Zdjął z kominka dwa srebrne lichterze i przyniósł Janowi Valjean. Kobiety patrzyły na to bez słowa, ani ruchem, ani spojrzeniem nawet nie powstrzymując biskupa.

Jan Valjean drżał cały. Wziął dwa świeczniki, machinalnie, z nieprzytomnym wyrazem twarzy. – A teraz – rzekł biskup – niech pan odejdzie w spokoju. A gdybyś chciał kiedy wrócić tutaj, przyjacielu, nie trzeba przechodzić ogrodem. Zawsze możesz i wejść, i wyjść przez drzwi od ulicy. Zamknięte są tylko na klamkę, i w dzień, i w nocy.

I odwracając się do żandarmów, dodał:

– Możecie się oddalić, panowie.

Żandarmi odeszli.

Jan Valjean był bliski omdlenia. Biskup podszedł do niego i rzekł cicho:

– Nie zapomnij, nie zapomnij nigdy, coś mi obiecał: że użyjesz tego srebra, aby stać się uczciwym człowiekiem.

Jan Valjean, który nie przypominał sobie, by cokolwiek obiecywał, milczał zdumiony.

Biskup wymówił te słowa z naciskiem. Po czym dodał uroczyście:

– Janie Valjean, bracie mój, odtąd nie należysz już do zła, lecz do dobra. Kupuję twoją duszę; wydieram ją czarnym myślom i duchowi zatracenia i oddaję ją Bogu.

Gerwazek

Jan Valjean wyszedł z miasta, jakby uciekał. Zaczął iść przez pola szybko, byle dalej przed siebie, jakąkolwiek ścieżką, jakąkolwiek miedzą, nie spostrzegając nawet, że krąży w kółko. Błąkał się tak aż do południa, nie jedząc i nie czując nawet głodu. Tłumy nowych uczuć wypełniły jego duszę. Rosła w nim niby złość, nie wiedział na kogo. Nie potrafiłby powiedzieć, czy jest wzruszony, czy upokorzony. Nachodziły go chwile dziwnego rozczulenia, lecz walczył z nim, przeciwstawiając mu zatwardziałość swych ostatnich dwudziestu lat. Stan taki męczył go. Widział z trwogą, że w duszy jego zakłócony został ów straszliwy spokój, który dała mu niesprawiedliwość jego nieszczęścia. I pytał, co mu go teraz zastąpi. Chwilami doprawdy wolałby siedzieć w więzieniu, z żandarmami, byleby nie stało

się to, co się stało; doznałby mniejszego wstrząsu. Chociaż była to już późna jesień, tu i ówdzie pod płotami kwitły jeszcze spóźnione kwiaty, a kiedy przechodził obok, zapach ich przypominał mu dzieciństwo. Wspomnienia te były prawie nie do zniesienia, tak dawno już w nim nie odżywały.

Przez cały dzień zbierały się w nim myśli, których opisać niepodobna.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wydłużając na ziemi cień najmniejszego nawet kamyczka, Jan Valjean siedział pod krzakiem, na rudej, zupełnie pustej równinie. Przed nim, na widnokręgu, widać było tylko Alpy. I nic więcej, nawet dzwonnicy dalekiej wioski. Miejsce to mogło być oddalone od Digne o jakie trzy mile. Ścieżka, która przecinała równinę, biegła tuż obok krzaka.

Wśród tych rozważań, które każdego, kto by go spotkał, bardziej by mogły przerazić od jego lachmanów, usłyszał jakiś wesóły hałas.

Obrócił głowę i ujrzał na ścieżce małego Sabaudczyka, który szedł śpiewając; miał może z dziesięć lat, kobzę pod pachą, a w pudełku na plecach morską świnkę. Jedno z tych miłych i wesółych dzieci, co wędrują z miejsca na miejsce, świecąc nagimi kolanami przez podarte spodnie.

Chłopczyna, nie przerywając piosenki, przystawał czasami i bawił się, rzucając niby kostki kilka pieniążków, zapewne cały swój majątek. Była między nimi jedna srebrna moneta dwufrankowa.

Chłopiec, nie widząc Jana Valjean, zatrzymał się przy krzaku i podrzucił w górę swoje pieniądze, które dotychczas zręcznie chwycił wszystkie na grzbiet dłoni.

Tym razem srebrny pieniążek wymknął mu się i potoczył ku krzakom, aż do Jana Valjean.

Jan Valjean postawił na nim nogę.

Chłopiec śledził pieniążek wzrokiem i spostrzegł to.

Nie zląkł się wcale i podszedł do siedzącego mężczyzny.

Miejsce to było zupełnie samotne. Jak wzrok sięgał, nie widać było nikogo na równinie ani na ścieżce. Dochodził tylko daleki, cichy krzyk wędrownego ptactwa, przelatującego stadem wysoko pod niebem. Chłopiec obrócił się tyłem do słońca, które ozłociło mu włosy i rzuciło krwawe światło na dziką twarz Jana Valjean.

– Proszę pana – rzekł mały Sabaudczyk z tą dziecinną ufnością, na którą składa się nieświadomość i niewinność – gdzie mój pieniążek?

– Jak się nazywasz? – zapytał Jan Valjean.

– Gerwazek, proszę pana.

– Idź precz – rzekł Jan Valjean.

– Proszę – odezwał się znowu dzieciak – niech mi pan odda mój pieniążek.

Jan Valjean spuścił głowę i nie odpowiedział. Chłopiec powtórzył jeszcze raz:

– Mój pieniążek, panie!

Jan Valjean nie odrywał oczu od ziemi.

– Mój pieniążek! – zawołał malec. – Mój srebrny pieniążek!

Jan Valjean zdawał się nie słyszeć. Chłopiec pociągnął go za kołnierz bluzy, a jednocześnie usiłował zepchnąć ze swego skarbu grubą, podkutą trzewik.

– Oddaj mój pieniążek! Moje dwa franki.

Płakał. Jan Valjean podniósł głowę. Nie wstawał. Spojrzenie jego było mętne. Popatrzył na dziecko jakby ze zdziwieniem, potem wyciągnął rękę po kij i zawołał strasznym głosem:

– Kto to?!

– Ja, panie – odpowiedział chłopczyna. – To ja! ja! Gerwazek. Oddaj mi moje dwa franki, podnieś nogę, bardzo proszę!

I choć taki mały, prawie że zaczął grozić z oburzenia:

– No, podniesiesz nogę? Podnieśże nogę, no!

– A, to jeszcze ty? – rzekł Jan Valjean i nagle podniósł się, stanął prosto i nie zdejmując nogi z pieniądza, zawołał: – Pójdiesz ty sobie precz?

Przerazony chłopiec spojrział na niego, zadrzał i po chwili osłupienia uciekł co tchu, nie śmiać się obejrzeć ani krzyknąć.

A kiedy już odbiegł daleko i zdyszał się, przystanął – i Valjean usłyszał poprzez swoją zadumę, że płacze.

Po chwili dziecko znikło.

Słońce zaszło.

Zmrok zapadał dokoła Jana Valjean. Nie jadł przez cały dzień; zapewne miał gorączkę.

Stał w miejscu, nie ruszał się od chwili, kiedy chłopiec uciekł. Oddychał ciężko, nierówno. Utkwił spojrzenie w ziemi i zdawał się przypatrywać z głęboką uwagą starej fajansowej skorupie niebieskiego koloru, leżącej tuż przed nim w trawie. Nagle zadrzał; przejął go wieczorny chłód.

Poprawił czapkę na czole, zgarnął bluzę na piersi i zapiął lepiej, postąpił krok naprzód i schylił się, aby podnieść kij.

W tej chwili między kamykami błysnął mu srebrny pieniądz na wpół wciśnięty nogą w ziemię. I doznał nagle jakby galwanicznego wstrząśnięcia.

– Co to jest? – szepnął przez zaciśnięte zęby.

Cofnął się i znów przystanął, nie mogąc oderwać spojrzenia od miejsca, które przed chwilą rozdeptał stopą, jak gdyby ta błyszcząca w zmroku moneta była otwartym okiem utkwionym w niego.

Po kilku chwilach konwulsyjnie rzucił się na pieniądz, schwycił go, wyprostował się i zaczął się rozglądać po równinie, hen dookoła, wszędzie, drżąc jak spłoszone zwierzę szukające schronienia.

Nic nie zobaczył. Noc zapadała, równina była zimna i mglista, fioletowe opary wstawały w półmroku wieczornym.

Rzekł: – O! – i poszedł szybko tam, gdzie zniknęło dziecko. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymał się, rozejrzał, lecz nic nie zobaczył.

Wtedy zawołał z całej siły:

– Gerwazek! Gerwazek!

Umilkł i słuchał.

Nikt nie odpowiadał.

Na polu było pusto i głucho. Otaczała go zewsząd przestrzeń. Dokoła tylko ciemność, w której wzrok jego gubił się, tylko cisza, w której ginął jego głos.

Powiał mroźny wiatr, nadając jakieś ponure życie otaczającym go przedmiotom. Karłowate krzaki poruszały wychudłymi rękami z niebywałą wściekłością. Zdawały się grozić i ścigać kogoś.

Zaczął iść znowu, potem zaczął biec, zatrzymując się niekiedy i wołając wśród tej samotności głosem potężnym i pełnym rozpacz:

– Gerwazek! Gerwazek!

Gdyby go dziecko nawet usłyszało, pewnie by się przeleknęło tego głosu i schowało choćby w mysią dziurę. Ale dziecko było już na pewno daleko.

Spotkał księdza jadącego konno. Podszedł do niego i zapytał:

– Księżę proboszczu, czy nie widział ksiądz przechodzącego chłopca?

– Nie – odparł ksiądz.

– Ma na imię Gerwazek.

– Nie widziałem nikogo.

Wyjął z sakiewki dwie pięciofrankówki i dał je księdzu.

– Księżę proboszczu, to dla ubogich. Księżę proboszczu, to był chłopiec może dziesięcioletni, miał morską świnkę i kobzę, chyba szedł tędy. Taki mały Sabaudczyk, wie ksiądz.

– Nie widziałem go wcale.

– Gerwazek. Czy nie mieszka tu gdzie w okolicy? Proszę mi powiedzieć.

– Jeżeli wyglądał, jak powiadasz, przyjacielu, to jest to jakieś obce dziecko, nietutejsze, wędrowne. Kto by tam go znał.

Jan Valjean znów dobył porywczu z kieszeni dwie sztuki pięciofrankowe i dał księdzu.

– To dla biednych – rzekł.

I dodał obłąkanym głosem:

– Każ mnie aresztować, księżę dobrodzieju. Jestem złodziejem.

Ksiądz zaciął konia i uciekł bardzo wystraszony. Jan Valjean pobiegł w poprzednio obranym kierunku. Biegł długo, rozglądał się, wołał, krzyczał, lecz nie spotkał nikogo.

Kilka razy pędził po równinie ku czemuś, co wydawało mu się postacią ludzką skuloną na ziemi, lecz był to zawsze albo krzak, albo kamień. Wreszcie, tam gdzie krzyżowały się trzy ścieżki, zatrzymał się. Wszedł księżyc. Jan Valjean wytężył wzrok i ostatni raz zawołał:

– Gerwazek! Gerwazek! Gerwazek!

Głos zginął we mgle, nie wydawszy echa. Szepnął jeszcze: Gerwazek – ale cicho, niewyraźnie. Był to ostatni wysięk. Nogi ugięły się pod nim nagle, jak gdyby niewidzialna jakaś potęga przywaliła go całym ciężarem jego nieczystego sumienia; wyczerpany, padł na wielki kamień, rękami chwycił się za włosy, ukrył twarz między kolanami i zawołał:

– Jestem nędznikiem!

Wtedy rozdarło mu się serce i zaczął płakać.

Płakał po raz pierwszy od dziewiętnastu lat.

Kiedy Jan Valjean opuszczał dom biskupa, jak widzieliśmy, uczucia jego niepodobne były do niczego, co doświadczał do tej pory. Nie potrafił zdać sobie sprawy z tego, co się z nim działo. Czuł w sobie opór, bunt przeciwko anielskiemu uczynkowi i łagodnym słowom starca: „Obiecałeś mi stać się uczciwym człowiekiem. Kupuję twoją duszę. Wydieram ją duchowi przewrotności i oddaję Bogu”. Brzmiało mu to w uszach nieustannie. Tej pobłażliwości niebiańskiej przeciwstawił pychę, która jest w nas niby forteca zła. Czuł niejasno, że przebaczenie tego księdza było najsilniejszym szturmem, najcięższym atakiem, jaki do tej fortecy przypuszczono, czuł, że jeżeli zdoła oprzeć się tej łaskawości, zatwardziałość zła stanie się w nim ostateczna; że jeśli ustąpi, będzie musiał wyrzec się tej nienawiści, którą czyni innych ludzi od tylu lat napełniały jego duszę i którą upodobał sobie; że tym razem trzeba zwyciężyć lub poddać się i że złość, która w nim była, i dobroć, która była w tamtym człowieku, stanęły oto do walki, walki ogromnej i ostatecznej.

Wśród tych przeblysków szedł jak pijany. A kiedy szedł tak, z obłąkanym spojrzeniem, czy mógł mieć dokładne pojęcie o tym, co wyniknąć dlań może z przygody w Digne? Czy słyszał tajemnicze szepty, które w pewnych chwilach życia przestrzegają lub też niepokoją ducha? Czy mówił mu do ucha jakiś głos, że minęła właśnie uroczysta godzina jego przeznaczenia, że teraz nie ma już dla niego pośredniej drogi, że jeżeli odtąd nie będzie najlepszym z ludzi, to będzie najgorszym, że musi teraz wznieść się wyżej od biskupa lub też spaść niżej od galernika; że jeżeli chce zostać dobrym, musi stać się aniołem; że jeśli chce zostać złym, musi stać się potworem?

Tu po raz wtóry postawić trzeba pytanie, które raz już zadawaliśmy sobie, czy przesunął mu się przez głowę choćby cień tych prawd? Niewątpliwie, nieszczęście, jakieśmy to już powiedzieli, kształci inteligencję; wątpliwe jednak, czy Jan Valjean był w stanie uświadomić sobie to wszystko. Jeśli nawet nawiedziły go te myśli, to raczej przeczuwał je niejasno, niż widział, i sprawiły tyle tylko, że powstał w nim zamęt nie do zniesienia i prawie bolesny. U wyjścia ze szpetoty i ciemności, którym na imię galery, biskup zadał taki ból jego duszy, jaki

jasność zbyt żywa zadałaby oczom przywykłym do mroku. Przyszłe życie, życie możliwe a czyste i promienne, przenikało go dreszczem i obawą. Naprawdę nie wiedział już, co się z nim dzieje. Jak sowa, która ujrzy nagły wschód słońca, galernik został olśniony i prawie oślepiony przez cnotę.

To pewna, że choć się nie domyślał, stał się innym człowiekiem; że wszystko się w nim zmieniło; że nie mógł już wymazać ze swego życia słów biskupa i tego, że go te słowa poruszyły.

W takim stanie ducha spotkał Gerwazka i ukradł mu dwa franki. Dlaczego? Niewątpliwie nie umiałby wytłumaczyć; był że to ostatni skutek i jakby ostateczny wysiłek myśli wyniesionych z więzienia, resztką rozpędu, który mu nadano, wynik tego, co w statyce nazywa się „siłą nabytą”? Zapewne, a może i nie tyle nawet. Powiedzmy po prostu: to nie on ukradł, to nie człowiek, lecz zwierzę, które z przyzwyczajenia, z instynktu, bezmyślnie postawiło nogę na pieniądzu, wówczas gdy umysł bił się z mnóstwem myśli nowych i natrętnych. A kiedy zbudziła się świadomość i ujrzała postępek zwierza, Jan Valjean cofnął się pełen lęku i wydał okrzyk przerażenia.

Albowiem – niezwykle to zjawisko i możliwe jedynie w położeniu, w jakim się znajdował – kradnąc pieniądze dziecku dopuścił się czynu, do którego już nie był zdolny.

Tak czy inaczej, ten ostatni zły czyn wywarł wpływ decydujący: przebił nagle chaos, który powstał w jego umyśle, i rozproszył go, po jednej stronie kładąc gęste ciemności, a po drugiej światło, i działając na jego duszę tak, jak pewne czynniki chemiczne działają na mętną mieszaninę, osadzając jeden pierwiastek, a klarując drugi.

W pierwszej chwili, bez namysłu, ogłuszony, jak człowiek szukający ocalenia, starał się odnaleźć dziecko, aby oddać mu pieniądze, później, gdy zobaczył, że jest to daremne i niemożliwe, zatrzymał się zrozpaczony. Kiedy zawołał: „Jestem nędznikiem!”, ujrzął się takim, jakim był, a do tego stopnia stał się już od siebie samego oddzielony, że sam sobie wydał się tylko widziadłem, a przed nim jak gdyby stał prawdziwy, z krwi i kości, w bluzie, z tłumokiem pełnym skradzionych rzeczy na plecach, z twarzą zaciętą i ponurą, z umysłem pełnym obmierzłych zamierzeń, ohydny galernik Jan Valjean.

Nadmiar nieszczęścia, jak widzimy, uczynił z niego w pewnej mierze wizjonera. Bo było to jak przywidzenie. Rzeczywiście widział przed sobą tego Jana Valjean, tę posępną postać. Nieomal że chciał już zapytać siebie, kim jest ten człowiek, który tak wielką przejął go zgrozą.

Mózg jego przeżywał jedną z tych chwil gwałtownych a zarazem straszliwie spokojnych, kiedy zamyślenie staje się tak głębokie, że pochłania rzeczywistość. Człowiek nie dostrzega wtedy przedmiotów, które ma przed sobą, a to, co istnieje tylko w jego umyśle, widzi zewnątrz siebie.

Przyglądał się więc sam sobie, oko w oko, i równocześnie, poprzez ten sen na jawie, widział w tajemniczych głębiach jakieś światło, które zrazu wziął za pochodnię, lecz przypatrując się uważniej temu światłu, które się objawiało jego sumieniu, poznał, że miało ono kształt ludzkiej postaci i że pochodnią tą był biskup.

Świadomość jego oglądała kolejno tych dwu ludzi, przed sobą postawionych: biskupa i Jana Valjean. Tylko tamten mógł tego zwyciężyć. Sposobem dziwnym a właściwym tego rodzaju złudzeniom wyobraźni, im dłużej trwał w ekstatycznym rozmarzeniu, tym bardziej biskup olbrzymiał i jaśniał w jego oczach, tym bardziej Jan Valjean malał, ginął. W pewnej chwili stał się tylko cieniem. I nagle znikł. I pozostał jedynie biskup.

Wypełniał całą duszę tego nędznika promienną jasnością.

Jan Valjean płakał długo. Płakał gorącymi łzami, szlochając, słabszy niż kobieta, bardziej wylękniony niż dziecko.

Kiedy tak płakał, coraz bardziej rozwidniało się w jego umyśle, oświeciło go dziwne światło, światło zachwycające i straszne zarazem. Minione życie, pierwszy błąd, długa

pokuta, zewnętrzne zbydlęcenie, zatwardziałość wewnętrzna, wypuszczenie na wolność osłodzone tyloma planami zemsty, to, co się zdarzyło u biskupa, i to, co ostatnio uczynił, skradzenie dwóch franków dziecku, zbrodnia tym nikczemniejsza, tym potworniejsza, że nastąpiła po przebaczeniu biskupa, wszystko to wróciło do niego i wszystko to ujrzał jasno, lecz w świetle, którego nigdy jeszcze dotąd nie widział. Spojrzał na swoje życie i wydało mu się potworne; na swoją duszę i własna dusza wydała mu się straszna. A jednak – to życie i tę duszę oświetliło łagodne światło. Wydało mu się, że ogląda szatana w świetle dnia rajskiego.

Ile godzin tak płakał? Co później uczynił? Dokąd poszedł? Nie dowiedziano się nigdy. To jedno zdaje się pewne, że tej samej nocy woźnica dyliżansu kursującego wówczas między Grenoble i Digne, mijając o trzeciej z rana plac katedralny, widział człowieka klęczącego na bruku i modlącego się w ciemności przed drzwiami biskupa Benvenuto.

Rozdział trzeci

W ROKU 1817

Rok 1817

Rok 1817 był tym rokiem, który Ludwik XVIII z pewną królewską zuchwałością, nie pozbawioną dumy, nazywał dwudziestym drugim latem swego panowania. Wszystkie sklepy fryzjerskie, w nadziei na powrót pudru i „królewskiego ptaka”, upstrzyły się w lilie burbońskie na błękitnym polu. Były to czasy niewinne, kiedy hrabia Lynch, jako kolator parafii Saint-Germaindes-Pres, siadał co niedziela w kościele na ławce kolatorskiej, w mundurze para Francji, z czerwoną wstęgą, długim nosem i tym majestatycznym profilem, właściwym człowiekowi, co dokonał świetnego czynu. Świetny czyn pana Lyncha był taki: w roku 1814 dnia 12 marca, będąc merem Bordeaux, poddał miasto księciu d'Angoulême cokolwiek za wcześnie. Dzięki temu został parem. W r. 1817 moda ubrała chłopców od lat czterech do sześciu w ogromne czapki safianowe z nausznikami, bardzo podobne do eskimoskich kołpaków. Armia francuska przybrała się białą, na wzór austriackiej; pułki nazywały się legionami i zamiast liczby nosiły nazwy departamentów. Napoleon siedział na Wyspie Świętej Heleny, a ponieważ Anglia odmówiła mu zielonego sukna, kazał przenicować stare mundury.

Akademia Francuska ogłosiła konkurs na temat: „O szczęściu, które dają studia”. Instytut wykreślił ze swej listy akademika Napoleona Bonaparte. Na rozkaz królewski powstała w Angoulême szkoła marynarki, gdy bowiem książę d'Angoulême był wielkim admirałem, rzecz oczywista, że i miasto Angoulême miało prawo do mianowania się portem morskim, ponieważ inaczej zachwiałyby się zasady monarchizmu. Na radzie ministrów roztrząsano kwestię, czy można pozwalać na to, żeby na afiszach cyrku Franconiego były wizerunki skoczków, przed którymi gromadziła się gawieź uliczna.

W zaprzędanych dziennikach redaktorzy-nierządniczy lżyli wygnańców z r. 1815. David nie miał już talentu, Arnault dowcipu, Camot – prawości, Soult już nie wygrał żadnej bitwy; prawda, że i Napoleon nie miał już wówczas geniuszu. Jedni mówili „królobójcy”, inni „głosujący”; jedni „nieprzyjaciele”, inni „alianci”; jedni „Napoleon”, inni „Bonaparte” – i wyrażenia te dzieliły dwóch ludzi głębiej niż przepaście. Każdy rozsądny wyznawał, że Ludwik XVIII, nazwany „nieśmiertelnym autorem Konstytucji”, na zawsze zamknął erę rewolucyj. Na tarasie Nowego Mostu wryto wyraz *Redi vivus*⁴ na piedestale, na którym miał stanąć posąg Henryka IV. Kontrwywiad zamkowy denuncjował jej królewskiej wysokości, bratowej króla, że w sklepach wystawiano wizerunki księcia Orleańskiego, który lepiej wyglądał w mundurze pułkownika huzarów niż książę de Berry w mundurze pułkownika dragonów; poważne uchybienie! Miasto Paryż własnym kosztem ozłociło kopułę Inwalidów.

⁴ Zmartwychwstały (łac.)

Saint-Simon, nieznany, budował swą szczytną utopię. W Akademii Nauk był sławny Fourier, o którym zapomniła potomność, nie wiemy już, na jakim poddaszu ukrywał się inny Fourier, o którym wspomną przyszłe wieki. Zaczynał się lord Byron; przypisek do wiersza Millevoye zapoznawał z nim Francję tymi słowy: Niejaki lord Baron... Ksiądz Caron mówił z wielkimi pochwałami na wielkim zebraniu seminarzystów w zaułku fejlantynek o nieznanym księdzu Felicjanie Robercie, który później zasłynął jako Lamennais. Coś dymiącego i pluskającego po Sekwanie jak pies, który pływa, przesuwało się pod oknami Tuileriów od mostu Królewskiego do mostu Ludwika XV i z powrotem; była to maszynka do niczego niezdatna, rodzaj zabawki, pomysł jakiegoś fantasty, utopia statek parowy. Paryżanie obojętnie patrzyli na tę rzecz nieużyteczną.

Oto macie bezładny szkic tych spraw, które się jeszcze pamięta z roku 1817, dziś zapomnianego. Historia odrzuca te drobiazgi i nie może czynić inaczej; zalałaby ją nieskończoność. Jednak szczegółły te, które niesłusznie zwą małymi – nie ma małych faktów w historii ludzkości, nie ma w roślinności małych listków – są użyteczne. Z fizjonomii lat tworzy się oblicze wieków.

W tym to właśnie roku 1817 czterej młodzi paryżanie zdobyli się na „dobry kawał”.

Podwójny kwartet

Paryżanie ci pochodzili: jeden z Tuluzy, drugi z Limoges, trzeci z Cahors, czwarty z Montauban; ale byli studentami, a student to paryżanin; uczyć się w Paryżu – to tyle samo co się w Paryżu urodzić.

Czterej ci młodzieńcy nie odznaczali się niczym; pełno takich wszędzie; cztery próbki pierwszego lepszego przechodnia; ani dobrzy, ani źli, ani wykształceni, ani nieucy, ani geniusze, ani głupcy: piękni tym urokiem kwietniowym, któremu na imię: dwadzieścia lat. Rzekłbyś po prostu: czterech jakichś tam Oskarów; bo w owym czasie Arturów jeszcze nie było. *Pal dla niego kadzidła Arabii* – wołała popularna pieśń. – *Oskar idzie, Oskar! Ujrzę więc Oskara!* Poezja Osjana była w modzie; elegancja była skandynawska i kaledońska, czysty rodzaj angielski przeważał dopiero później, a pierwszy z Arturów, Wellington, zaledwie wówczas wygrał bitwę pod Waterloo.

Oskarowie ci nazywali się: jeden, Feliks Tholomyès z Tuluzy; drugi, Listolier z Cahors; trzeci, Fameuil z Limoges; ostatni, Blachevelle z Montauban. Każdy miał naturalnie kochankę! Blachevelle kochał Favourite, nazywaną tak, bo jeździła do Anglii; Listolier uwielbiał Dalię, która za imię wzięła sobie nazwę kwiatu; Fameuil ubóstwiał Zefinę, co było skrótem Józefiny; Tholomyès miał Fantynę, zwaną złotowłosą z powodu pięknych włosów barwy słońca.

Favourite, Dalia, Zefina i Fantyna były to cztery prześliczne dziewczyny, świeże, promienne, po trosze jeszcze robotnice, bo nie całkiem zarzuciły igły, już zaprzątnięte miłośkami, ale jeszcze z resztą pogody, jaką daje praca, na twarzy, a w duszy z tym kwiatem uczciwości, który w kobiecie zawsze przetrwa pierwszy upadek. Jedną z nich nazywano małą, gdyż była najmłodsza, inną starą; stara miała dwadzieścia trzy lata. By nic tu nie ukrywać, trzy pierwsze miały większe doświadczenie, były bardziej lekkomyślne i bardziej przyzwyczajone do zgiełku życia niż złotowłosa Fantyna, która przeżywała właśnie swoje pierwsze złudzenie.

Ponieważ młodzi ludzie byli kolegami, więc dziewczęta przyjaźniły się. Takie miłostki zawsze są połączone z takimi przyjaźniami.

Cnota i filozofia to dwie różne sprawy; najlepszym dowodem, że Favourite, Zefina i Dalia, mimo swych wolnych związków, były filozofkami, a Fantyna dziewczyną cnotliwą.

„Cnotliwą – powie kto. – A Tholomyès?” – Salomon odpowiedziałby, że miłość jest częścią mądrości. My odpowiemy tylko, że miłość Fantyny była miłością pierwszą, jedyną i wierną.

Jej jednej z czterech dziewcząt jeden tylko mężczyzna mówił po imieniu.

Fantyna była jedną z tych istot, które żeby tak rzec, rozkwitają gdzieś wśród głębin ludu. Wyszedłszy z nieprzeniknionych gęstw społecznej nocy, miała na czole znamię tajemnicy i bezimienności. Urodziła się w Montreuil-sur-mer. Z jakich rodziców? Któż to wiedzieć może? Nikt nie znał jej ojca ani matki. Nazywała się Fantyna. Dlaczego Fantyna? Nikt nie słyszał, by zawołano na nią innym imieniem. Urodziła się za Dyrektoriatu. Nie miała nazwiska, bo nie miała rodziny; nie miała imienia chrzestnego, bo nie było tam kościoła. Nazywała się tak, jak ją nazwał pierwszy przechodzień, co spotkał maleństwo boso idące po ulicy. Imię spadło na nią, jak spadał na jej czoło deszcz z chmurnego nieba. Nazywano ją małą Fantyna. Nikt nie wiedział o niej nic więcej. Tak się zjawiała w życiu ta ludzka istota. Mając lat dziesięć, Fantyna opuściła miasto i najęta się do służby u chłopów w okolicy. W piętnastym roku przyjechała do Paryża „szukać szczęścia”. Fantyna była piękna i pozostała czysta, jak mogła najdłużej. Była to śliczna blondynka z pięknymi zębami. Miała w posagu złoto i perły; ale jej złoto było na głowie, a jej perły w ustach.

Pracowała, aby żyć, później – również aby żyć, bo i serce bywa głodne – pokochała.

Pokochała Tholomyèsa.

Dla niego miłośćka, dla niej namiętność. Ulice dzielnicy łacińskiej, rojne i gwarne od studentów i gryzetek, oglądały początek tego snu. W labiryncie na wzgórzu Panteonu, gdzie tyle przygód zaczyna się i kończy, Fantyna długo uciekała Tholomyèsowi, tak jednak, żeby go spotykać ciągle. Pewien sposób unikania podobny jest do szukania. Słowem, odbyła się sielanka.

Blachevelle, Listolier i Fameuil trzymali się zawsze razem, a głową paczki był Tholomyès. Miał dowcip za wszystkich.

Tholomyès był doskonałym typem „wiecznego studenta”, był bogaty; miał cztery tysiące franków renty. Cztery tysiące franków renty – to wielki skandal na Wzgórzu Świętej Genowefy. Tholomyès był trzydziestoletnim hulaką, dobrze już zniszczonym. Twarz miał w bruzdach, brakowało mu kilku zębów; łysiał, a o głowie swojej sam mawiał bez smutku: czaszka w trzydziestym roku, kolano w czterdziestym. Słabo trawił i jedno oko zawsze miał załzawione. Ale im bardziej gasła młodość, tym jaśniej świeciła jego wesołość, koncepty zastąpiły mu zęby, zamiast włosów miał uciechy, ironię zamiast zdrowia, a płaczące oko śmiało się nieustannie. Był sterany, lecz kwitł. Młodość, uciekając przedwcześnie, przeprowadzała odwrót w porządku, parskając śmiechem, strzelając ognistymi salwami. Napisał sztukę, którą w teatrze „Wodewil” odrzucono. Czasami układał wierszyki. Prócz tego powątpiewał wyniosłe o wszystkim; w oczach słabych wielka to siła. A więc, że był ironiczny i łysy, przewodził swym kolegom. *Iron* to słowo angielskie, a znaczy ono „żelazo”. Czyżby stąd pochodziła ironia?

Pewnego dnia Tholomyès wziął na bok trzech kolegów, przybrał stosowną pozę i rzekł tonem wyroczeni:

– Blisko od roku Fantyna, Dalia, Zefina i Favourite upominają się o niespodziankę. Obiecaliśmy im ją uroczyście. Ciągłe o niej mówią, a osobliwie mnie. Jak te staruszki w Neapolu, co wołają do św. Januarego: *Faccia gialluta, fa o miracolo!* zżółkłe lica, uczynicie cud! – tak nasze bogdanki wołają nieustannie: „Tholomyès, kiedyż urodzisz swoją niespodziankę?” A jednocześnie – listy od rodziców. Z obu stron piła. Zdaje mi się, że nadeszła chwila. Pogadajmy.

Tu Tholomyès zniżył głos i tajemniczo wyszeptał coś tak wesołego, że naraz czworo ust parsknęło wielkim i entuzjastycznym śmiechem, a Blachevelle zawołał: – Oto mi myśl!

A że właśnie znalazła się na ich drodze jakaś zadymiona kawiarnia, weszli i dalszy ciąg narady zginął w mroku wnętrza.

Z mroków tych wynikała olśniewająca wycieczka podmiejska, na którą czterech młodzieńców zaprosiło cztery dziewczyny w następną niedzielę.

W cztery pary

Trudno jest dziś wyobrazić sobie, czym były te wiejskie zabawy studentów i gryzetek przed czterdziestu pięciu laty. Paryż inne ma już okolice; wygląd tego, co nazwać by można życiem podparyskim, całkowicie odmienił się w ciągu pół wieku; gdzie kukała kukułka, dziś huczą wagony; gdzie był prom, dziś jest parostatek. Paryż 1862 roku to miasto, którego przedmieściem jest cała Francja.

Cztery pary sumiennie dopełniły wszelkich możliwych wówczas szaleństw wiejskich. Zaczynały się wakacje, dzień był letni, ciepły, pogodny. W wilię tego dnia Favourite, jedyna, która umiała pisać, napisała do Tholomyèsa w imieniu wszystkich czterech: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. Dlatego też wstali już o piątej. Pojechali do Saint-Cloud koczem, obejrzeni wyschnięty wodotrysk, wołając z podziwem: To musi być piękne, kiedy napuszczają wody! – Śniadanie jedli pod Czarną Głową; gonili do pierścienia pod drzewami sadzonymi w szachownicę przy wielkim basenie, wchodzili na latarnię Diogenesa, grali w ruletę na sewrskim moście o makaroniki, zbierali kwiaty w Puteaux, kupili fujarki w Neuilly, wszędzie jedli ciastka z jabłkami i byli najzupełniej szczęśliwi.

Po śniadaniu cztery pary poszły obejrzeć w tak zwanej kwaterze królewskiej roślinę świeżo sprowadzoną z Indii, której nazwa wymknęła się z naszej pamięci; w owym czasie ściągała ona wszystkich mieszkańców Paryża do Saint-Cloud; był to krzew dziwaczny i śliczny: na wysokiej łodydze wyrastało mnóstwo gałązek cienkich jak nici, splątanych, bezlistnych a pokrytych milionami małych białych kwiatków: krzew ten przypominał włosy osypane kwieciami. Otaczał go zawsze tłum podziwiałych.

Obejrzawszy drzewko, Tholomyès zawołał: – Funduję osły! Wytargował się z oślarzem, po czym wrócili przez Vanves i Issy.

Po przejażdżce na osłach nowa przyjemność; przepłynęli Sekwanę w czólnie, a z Passy piechotą doszli do rogatek koło Etoile. Byli na nogach już od piątej rano, ale „w niedzielę nie ma zmęczenia – mówiła Favourite – w niedzielę zmęczenie nie pracuje”. Około trzeciej popołudniu cztery pary, upojone szczęściem, zbiegały z ruskich gór, dziwacznej budowli wznoszącej się wówczas na wzgórzach Beaujon, a której węzowate linie widniały z daleka nad drzewami Pól Elizejskich.

Co pewien czas Favourite wołała:

– A niespodzianka? Żądam niespodzianki!

– Cierpliwości – odpowiedział Tholomyès.

Wybawiwszy się do syta na ruskich górach, pomyślano o obiedzie i promienna ósemka, nareszcie zmęczona nieco, wstąpiła do gospody Bombardy, filii, założonej na Polach Elizejskich przez słynnego restauratora Bombardę, którego szyld widniał wówczas na ulicy Rivoli koło pasażu Delorme.

Izba wielka, ale brzydka, z alkierzem i łóżkiem w głębi (zważywszy na zapelnienie gospody w niedzielę, nie robiło się ceremonii); dwa okna, skąd można było patrzeć przez klony na bulwar i na rzekę: wspaniałe sierpniowe słońce zagładające przez szyby; dwa stoły: na jednym stole triumfalny stos bukietów pomieszanych z męskimi i damskimi kapelusami, przy drugim stole cztery pary dookoła wesołej obfitości półmisek, talerzy, szklanek i

butelek, dzbanki z piwem między flaszkami wina; niewiele ładu na stole, trochę nieładu pod stołem.

Oto gdzie doszła o wpół do piątej po południu sielanka rozpoczęta o piątej rano. Słońce zachodziło, apetyt nasycił się.

Pola Elizejskie, pełne słońca i tłumy, były tylko światłem i pyłem, dwiema rzeczami, z których składa się sława. Konie z Marly i te rżące marmury, wspinały się w złotym obłoku. Przejeżdżały karety. Szwadron świetnej gwardii przybocznej z trębaczem na przedzie wyłonił się z alei Neuilly; biała chorągiew, poróżnowiała lekko w blasku zachodzącego słońca, powiewała na kopule Tuileriów. Plac Zgody, który wówczas znowu stał się placem Ludwika XV, pełen był zadowolonych spacerujących ludzi. Gdzieniedzie, wśród przechodniów, co stawiali i klaskali, dziewczynki, wzięwszy się za ręce, tańczyły w koło śpiewając na starofrancuską melodię pieśń burbońską, słynną wówczas, a wymierzoną przeciwko Stu Dniom, w której powracał refren:

*Powróćcie nam naszego ojca z Gandawy,
Powróćcie nam naszego ojca.*

Świątecznie wystrojeni mieszkańcy przedmieścia gonili do pierścienia lub kręcili się na drewnianych konikach karuzeli; inni pili; czeladnicy drukarscy, w papierowych czapkach, śmiali się hałaśliwie. Wszystko było wesołe, radosne. Był to czas niewątpliwego pokoju i doskonałego samopoczucia monarchii; była to epoka, kiedy tajny raport prefekta policji Angles o przedmieściach Paryża, zdany królowi, kończył się tymi słowami: „Wszystko dobrze zważywszy, najjaśniejszy panie, nie ma się czego obawiać tych ludzi. Są beztroscy i obojętni jak koty. Pospółstwo prowincjonalne jest ruchliwe, paryskie bynajmniej. Wszyscy drobni, cherlawi. Najjaśniejszy panie, dwóch razem zesztukować by trzeba, żeby zrobić jednego z twoich grenadierów. Ze strony stołecznego motłochu niczego obawiać się nie należy. Godne jest uwagi, że wzrost tej ludności zmalał jeszcze od lat pięćdziesięciu; lud przedmieść Paryża jest drobniejszy, niż był przed rewolucją. Nie jest on niebezpieczny. Słowem – to poczciwa hołota”.

Żeby kot mógł się zmienić w lwa – to się prefektom policji nigdy nie wyda możliwe, a jednak tak bywa i to jest właśnie cud ludu paryskiego. Zresztą ów kot, tak pogardzony przez hrabiego Angles, był czczony w starożytnych republikach; był w ich oczach symbolem wolności i niby równoważnik bezskrzydłej Ateny w Pireusie, na placu publicznym w Koryncie stał kolosalny posąg kota ze spiżu. Naiwna policja Restauracji widziała lud paryski w kształcie niezbyt pięknym. Nie jest to zgoła, jak by przypuścić można, „poczciwa hołota”. Paryżanin jest tym wśród Francuzów, czym ateńczyk jest wśród Greków; nikt lepiej od niego nie śpi, nikt nie jest szczerzej od niego płochy i leniwy, nikt prędzej, na pozór, nie zapomina, lecz nie wolno temu zbyt ufać: potrafi być bardzo nonszalancki, kiedy jednak zobaczy przed sobą sławę, gotów jest na wszelkie szaleństwo. Daj mu lancę, dokona 10 Sierpnia; daj mu karabin, wygra bitwę pod Austerlitz. On jest punktem oparcia Napoleona i źródłem potęgi Dantona. Ojczyzna w niebezpieczeństwie? – zaciąga się. Wolność zagrożona? – stawia barykady. Biada wrogom! Epickie są jego pełne gniewu włosy, bluza jego drapuje się w chlamidę! Strzeżcie się! Z pierwszej lepszej ulicy Grénétat uczyni widły kaudyńskie. Gdy wybije godzina, ten mieszkanić przedmieścia urośnie, ten cherlak dźwignie się i spojrzy ci strasznie w oczy, i jego oddech stanie się burzą, i z tej wątlej piersi wydobędą się wichry zdolne zmienić kształty Alp. Dzięki mieszkańcowi paryskiego przedmieścia rewolucja, zmieszana z armią, zdobywa Europę. Śpiewa, w tym jego uciecha. Dajcie mu pieśń na miarę jego natury, a ujrzycie! Dopóki nuci tylko *Karmaniołę*, obala tylko Ludwika XVI – lecz niech zaśpiewa Marsylianę, a wyzwoli świat.

Napisawszy te uwagi na marginesie raportu Anglesa, powracamy do naszych czterech par. Jakiś powieździeli, obiad się kończył.

Śmierć konia

– U Edona lepsza kuchnia niż u Bombardy – zawołała Zefina.
– Wolę Bombardę niż Edona – oświadczył Blachevelle. – U niego przepych większy, prawdziwie azjatycki. Przypatrz się sali na dole. Na ścianach są lustra.
– Ja wolę dobre lody na talerzu od lusterek na ścianach – powiedziała Favourite.
Blachevelle nalegał:
– Spójrz na noże. U Bombardy ręczki są srebrne, a u Edona kościane. Przecież srebro cenniejsze jest od kości.
– Tylko nie dla tych, którzy mają srebrną szczękę – zauważył Tholomyès.
Patrzył w tej chwili na kopułę Inwalidów, widoczną z okien Bombardy.
Umilkli na chwilę.
– Tholomyès – zawołał Fameuil – Listolier i ja prowadziliśmy spór.
– Dobra rzecz spór – odpowiedział Tholomyès – kłótnia jeszcze lepsza.
– Rozprawialiśmy o filozofii.
– Pięknie.
– Kogo wolisz, Kartezjusza czy Spinozę?
– Wolę Désausiersa – rzekł Tholomyès.
Po wydaniu tego wyroku wychylił kieliszek i dodał:
– Zgadzam się żyć. Nie wszystko się skończyło na ziemi, skoro można jeszcze bredzić od rzeczy. Składam za to dzięki bogom nieśmiertelnym. Człowiek łże, ale się śmieje. Twierdzi, ale wątpi. Z sylogizmu wytryskuje niespodzianka. To piękne. Są jeszcze na tym padole śmiertelni, co umieją otwierać i zamykać puszkę niespodzianych paradoksów. To, co w tej chwili pijecie tak spokojnie, moje panie, to wino Madera, moszcz wyciśnięty w Coural das Freiras, które wznosi się trzysta siedemnaście sążni nad poziom morza. Baczność w picciu. Trzysta siedemnaście sążni. A pan Bombarda, dostojny restaurator, daje wam trzysta siedemnaście sążni za cztery franki i pięćdziesiąt centymów.
Tholomyès, raz zacząwszy, nie skończyłby tak łatwo, gdyby w tej właśnie chwili na bulwarze nie padł koń. I wóz, i mówca zatrzymali się od razu. Była to klacz z Beauce, stara, chuda i warta już tylko raka, a ciągnęła ciężki wóz. Przed domem Bombardy zmęczona i nadmiernie obciążona szkapą stanęła i nie chciała ruszyć. Wydarzenie to zgromadziło tłum ciekawych. Woźnica, klnąc ze złości, ledwie zdążył z odpowiednią wyrazistością wymówić sakramentalne słowo „cholera”, podkreślone bezlitosnym uderzeniem bata, gdy biedna kobyła padła i już się nie podniosła więcej. Na krzyk przechodniów weseli słuchacze Tholomyèsa odwrócili głowy, a Tholomyès skorzystał z tego, aby przemówienie swe zakończyć strofą pełną melancholii:

*Żyła tu, gdzie karocom ten sam los wypada.
Który i bryczki zabiera.
Gniada żyła na świecie. Ile żyje gniada?
Tyle, ile trwa słowo: cholera.*

– Biedny koń, westchnęła Fantyna.
A Dalia zawołała:

– Patrzajcie! Fantyna zaraz zacznie żałować koni. Zrobiła się taka głupia, że trudno z nią wytrzymać.

W tej chwili Favourite, złożywszy ręce i w tył przechylając głowę, spojrzała wyzywająco na Tholomyès'a i zapytała:

– A niespodzianka?

– Ano właśnie. Chwila nadeszła – odpowiedział Tholomyès. Panowie, wybiła godzina zadziwienia naszych dam. Piękne panie, zaczekajcie na nas momencik!

– Zaczniemy od pocałunku – rzekł Blachevelle.

– W czoło – dodał Tholomyès.

Każdy poważnie złożył pocałunek na czole swej kochanki, potem jeden za drugim, wszyscy czterej, odeszli ku drzwiom, kładąc na ustach palec.

Kiedy tak wychodzili, Favourite klasnęła w dłonie.

– To już jest zabawne – rzekła.

– Wracajcie prędko – szepnęła Fantyna: – Czekamy.

Wesoły koniec radości

Dziewczęta zostały same; stanęły w oknach po dwie i oparłszy się łokciami o framugę, gwarzyły ze sobą, wychylając się na zewnątrz.

Widziały, jak młodzi ludzie wychodzili z gospody Bombardy, trzymając się pod ręce; odwrócili się, skinęli im śmiejąc się i znikli w kurzu i tłoku niedzielnym, którym zapelniają się co tydzień Pola Elizejskie.

– Wracajcie prędko! – wołała Fantyna.

– Co oni nam przyniosą? – zapytała Zefina.

– Na pewno coś ładnego – rzekła Dalia.

– Ja – wtrąciła Favourite – chciałabym, żeby to było ze złota.

Wkrótce ruch nadržeczny, który widziały poprzez gałęzie wielkich drzew, zajął całą ich uwagę. O tej godzinie odjeżdżały karetki, pocztowe i dylizanse. Prawie wszystkie wozy pocztowe z południa i zachodu przejeżdżały wówczas przez Pola Elizejskie. Większość z nich dążyła bulwarem ku rogatce Passy. Co minutę prawie jakiś ogromny powóz, malowany żółto i czarno, ciężko wyładowany, z, hałaśliwym zaprzęgiem, z kuframi, walizkami i tłumokami spiętrzonymi na dachu, pełen głów, które wychylały się przez okienka i znikwały natychmiast, przetaczał się ciężko, środkiem, między tłumem, po szosie, zamieniając kamienie jej bruku w krzesiwa, sypiąc iskrami niby z kuźni, w tumanie kurzu niby w kłębie dymu, z jakąś wściekłą furią. Ten zgiełk bawił dziewczęta. Favourite zawołała:

– Co za harmider! Jakby całe kupy łańcuchów żelaznych ulatywały w górę.

Jeden z tych powozów, które trudno było dojrzeć wyraźnie przez rozłożyste gałęzie klonów, zatrzymał się na chwilę, potem ruszył cwałem. Spostrzegła to Fantyna.

– Dziwne! – powiedziała. – Zdawało mi się, że dylizanse nigdy się nie zatrzymują.

Favourite wzruszyła ramionami.

– Ta Fantyna jest nadzwyczajna. Cudo prawdziwe, patrzę na nią i napatrzeć się nie mogę. Zdumiewają ją najprostsze rzeczy. Przypuśćmy, że jestem podróżnym; mówię do konduktora: „Pójdę pieszo naprzód, przejeżdżając zabierzesz mnie pan z bulwaru”. Dylizans jedzie, konduktor mię spostrzega, zatrzymuje się i zabiera. To się codziennie zdarza. Nie znasz życia, moja droga.

Upłynęło tak chwil kilka. Nagle Favourite uczyniła gest, jak ze snu zbudzona:

– A gdzie niespodzianka?

– Prawda – dodała Dalia. – Sławna niespodzianka?

– Tak ich długo nie widać! – rzekła Fantyna.

Ledwie Fantyna domówiła tych słów, wszedł chłopiec, który usługiwał do stołu. Trzymał w ręku coś, co przypominało list.

– Co to jest? – zapytała Favourite. Chłopiec odpowiedział:

– Papier, który ci panowie zostawili dla pań.

– Czemużeś go zaraz nie przyniósł?

– Bo panowie – odrzekł chłopiec – kazali to oddać paniom dopiero po godzinie.

Favourite wyrwała papier z rąk chłopca. Był to rzeczywiście list.

– Patrzajcie! – rzekła. – Bez adresu. Ale napisali na wierzchu: *To jest niespodzianka.*

Szybko rozpieczętowała list, otworzyła i przeczytała (umiała czytać):

O nasze kochanki!

Wiedźcie, że mamy rodziców. Co to są rodzice, o tym wiecie niewiele. Tak nazywają się ojcowie i matki w kodeksie cywilnym, dziecinny i uczciwym. Otóż ci rodzice szlochają, ci staruszkowie wzywają nas do siebie, ci szlachetni mężczyźni i te dobre kobieciny zwą nas marnotrawnymi synami, pragną naszego powrotu i obiecują zabić tłuste cielecia na nasze przyjęcie. W chwili gdy wy to będziecie czytać, pięć rączych rumaków odwozić nas będzie na łona naszych tatusiów i mamus. Odjeżdżamy! Odjechaliśmy! Dylizans do Tuluzuryrywa nas z przepaści, a tą przepaścią wy jesteście, piękne dziewczynki! Wracamy do społeczeństwa, do obowiązku i porządku, wracamy dobrym klusem, z szybkością trzech mil na godzinę. Ojczyźnie zależy na tym, abyśmy, jak wszyscy, byli prefektami, ojcami rodzin, rolnikami i radcami stanu. Szanujcie nas. Czynimy ofiarę. Opłaccie nas szybko i szybko znajdźcie następców na nasze miejsce. Jeśli ten list rozdziera wam serca, to odpląćcie mu rozdzierając go. Bywajcie zdrowe.

Blisko dwa lata czyniliśmy was szczęśliwymi. Nie miejcież do nas o to żalu.

Blachevelle

Fameuil

Listolier

Feliks Tholomyès

Postscriptum: Obiad zapłacony.

Cztery dziewczyny spojrzały na siebie. Favourite pierwsza przerwała milczenie.

Ha! – zawołała – jednak to dobry kawał.

– Bardzo śmieszne – rzekła Zefina.

– To pewnie Blachevelle wpadł na ten koncept – mówiła Favourite. – Czuję, że go za to kocham. Ledwie odjechał, już go pokochałam. Ot i cała historia.

– Nie – powiedziała Dalia – to pomysł Tholomyèsa. Łatwo poznać.

– W takim razie – odparła Favourite – niech licho weźmie Blachevella, niech żyje Tholomyès.

– Wiwat Tholomyès – zawołały Dalia i Zefina.

I wybuchnęły śmiechem.

Fantyna śmiała się razem z nimi.

W godzinę później, gdy wróciła do swego pokoju, zapłakała. Była to przecież jej pierwsza miłość; oddała się temu Tholomyèsowi jak mężowi i – biedactwo – miała dziecko.

Rozdział czwarty

POWIERZYĆ – TO CZASAMI TYLE CO RZUCIĆ NA PASTWĘ

Matka spotyka matkę

W pierwszej ćwierci bieżącego stulecia był w Montfermeil pod Paryżem lichy szynk, dziś już nie istniejący. Utrzymywali go niejacy Thénardierowie, mąż i żona. Szynk znajdował się przy ulicy Piekarskiej. Nad drzwiami widniała deska przybita do muru. Na tej desce było wymalowane coś na kształt człowieka, niosącego na plecach drugiego człowieka w wielkich złożonych szlifach generalskich z posrebrzanymi gwiazdkami; czerwone plamy wyobrażały krew; reszta obrazu składała się z dymu i przedstawiała prawdopodobnie bitwę. U dołu przeczytać można było napis: „Pod Sierżantem spod Waterloo”.

Nic pospolitszego nad wóz lub wózek stojący przed drzwiami oberży; ale wehikuł, a raczej część wehikułu, tarasująca ulicę przed szynkiem „Pod Sierżantem spod Waterloo” pewnego wiosennego wieczoru 1818 roku, niezawodnie zwróciłaby uwagę malarza, gdyby przechodził tamtędy.

Był to przód jednego z tych ogromnych wozów, których używają w okolicach leśnych do przewożenia tarcic i kłoców. Gruba żelazna oś na sworzniu, z ciężkim dyszlem, osadzona była na ogromnych kołach. Wszystko razem było potężne, ciężkie i niekształtne. Wyglądało na lawetę działa olbrzyma. Koleiny dróg pokryły koła, dzwony, piasty, osie i dyszel warstwą gliny żółtawej, wstrętnej, podobnej w kolorze do zaprawy, którą chętnie przyozdabiano wówczas ściany katedralnych kościołów. Drzewo znikło pod błotem, a żelazo pod rdzą. Pod wozem zwisał gruby łańcuch, godny Goliata skazanego na galery. Łańcuch ten przywodził na myśl nie belki, do których prze noszenia służył, ale przedpotopowe mamuty, które by można zaprząć nim do wozu; wyglądał jak kajdany, ale nadludzkie, cyklopowe. zdjęte z jakiegoś potwora. Homer związałyby z nim Politema, Szekspir – Kalibana.

Dlaczego ten przód wozu ciężarowego stał w tym miejscu na ulicy? Naprzód, żeby hamować ruch: po wtóre, żeby rdza do reszty zjadła żelazo. W starym porządku społecznym mnóstwo jest instytucji, które tak samo spotykasz w biały dzień na swej drodze, a które również nie mają innych przyczyn istnienia.

Środek łańcucha zwisał pod osią tuż nad ziemią i na jego zwisie, niby na linie huśtawki, siedziały tego wieczoru dwie dziewczynki, mające jedna półtrzecia roku, a druga półtora. Większa trzymała mniejszą na rękę. Chustka, przemyślnie związana, chroniła je od upadku. Jakaś matka, zobaczywszy ten przerażający łańcuch, powiedziała sobie: „O! doskonała zabawka dla moich dzieci”.

Dwie dziewczynki, dość ładnie i starannie odziane, jaśniały zdrowiem; rzekłbyś, dwie róże wśród żelastwa; oczy ich promieniały, śmiały się świeże policzki; jedna była szatynką, druga

brunetką. Ich naiwne twarzyczki wyobrażały dwa zachwycone zdziwienia: krzak kwitnący niedaleko słał przechodniom zapach, zdający się od nich pochodzić; półtoraroczna pokazywała obnażony brzuszek z niewinnym bezwstydem dzieciństwa. Ponad tymi drobnymi główkami, ulepionymi ze szczęścia i zanurzonymi w świetle, olbrzymi przód wozu, poczerniały od rdzy, straszny prawie, pogięty i połamany dziwacznie, tworzył jakby sklepienie pieczary. Tuż obok, przysiadłszy na progu oberży, matka, kobieta niezbyt miła z wyglądu, ale wzruszająca w tej chwili, huśtała dzieci, pociągając za długi sznur i patrząc, by im się nie przytrafiło co złego, z tym wyrazem zwierzęcym, a niebiańskim, który jest właściwy matkom; za każdym poruszeniem potworny łańcuch wydawał przeraźliwy skrzyp, podobny do gniewnego wrzasku; dziewczynki były wniebowzięte, zachodzące słońce przydawało swego blasku tej radości i trudno byłoby wyobrazić sobie coś wdzięczniejszego nad kaprys przypadku, który zamienił łańcuch w huśtawkę cherubinów.

Kołysząc swe córeczki, matka nuciła fałszywym głosem sławną wówczas piosenkę:

...Tak trzeba ,rycerz rzekł z zapalem...

Rozśpiewana i zaopatrzona w córki, nie widziała i nie słyszała, co się działo na ulicy.

Tymczasem, gdy rozpoczynała pierwszą strofę pieśni, ktoś podszedł do niej i nagle tuż nad uchem usłyszała głos mówiący:

– Ma pani dwoje ślicznych dzieci.

Do jasnowłosej słodkiej Imogeny

odpowiedziała matka śpiewając dalej, po czym odwróciła się.

O kilka kroków przed nią stała kobieta. I ona miała dziecko, które trzymała na ręku.

Niosła również duży worek podróży. Jak się wydawało, bardzo ciężki.

Dziecko tej kobiety było najcudowniejszym stworzeniem, jakie można sobie wyobrazić. Była to dziewczynka dwu lub najwyżej trzyletnia. Mogła śmiało współzawodniczyć kokieterią ubrania z tamtymi dwiema. Sukienka z cienkiego płótna, wstążka u kaftanika, czepeczek obszyty koroneczką. Podwinięta spódniczka odsłaniała jej białe, kształtne i twarde uda. Była prześlicznie rumiana i zdrowa. Brała chętnie, by ukąsić jabłka jej policzków. O oczach tyle tylko powiedzieć można było, że musiały być duże i że miały wspaniałe rzęsy. Spała.

Spała ufnym snem swych młodziutkich lat, właściwym jej wiekowi. Nie ma nic bardziej miękkiego niż ramiona matki; dzieci zasypiają w nich głęboko.

Matka wyglądała ubogo i smutnie. Ubrana była jak robotnica, która usiłuje na powrót zostać chłopką. Była młoda. Czy była ładna? Może. Ale w tym stroju nie wydawała się ładna. Włosy, bujne najwidoczniej, ukryte były surowo pod zakonnym czepkiem, obcisłym, brzydkim, pod brodą związanym, i tylko jeden jasny pukiel wymknął się spod niego. Piękno zębów ocenić można w uśmiechu, ale ona nie śmiała się. Oczy jej wyschły, zdawało się, niedawno. Była blada, wyglądała na bardzo zmęczoną i trochę chorą; patrzyła na śpiącą w jej ramionach córeczkę tym szczególnym wzrokiem matki, która wykarmiła swoje dziecko. Szeroka niebieska chustka, w jaką zwykli ucierać nosy inwalidzi, złożona w trójkąt, okrywała niezgrabnie jej ramiona i piersi. Ręce miała opalone i pokryte piegami, palec wskazujący stwardniały i pokłuty igłą, ciemną salopę z grubej wełny, suknię płócienną i grube trzewiki. Była to Fantyna.

Była to Fantyna. Odmieniona nie do poznania. A jednak przypatrując się uważnie, można było jeszcze dostrzec jej urodę. Smutny fałd, niby pierwsze znamię goryczy i zawodu, zmarszczył jej prawy policzek. A jej strój? Ów eteryczny strój z muślinów i wstążek, który zdawał się być uszyty z wesołości, szału i muzyki, rozdzwoniony i pachnący bzami, znikł jak

owe piękne, błyszczące szrony, co wydają się w słońcu niby brylanty; szrony topnieją, zostaje naga, czarna gałązka.

Dziesięć miesięcy minęło od „dobrego kawału”.

Co się działo przez te dziesięć miesięcy? Łatwo odgadnąć.

Po opuszczeniu – niedostatek. Fantyna szybko zgubiła z oczu Favourite, Zefinę i Dalię; związek, zerwany przez mężczyzn, rozluźnił się też między kobietami. I już w dwa tygodnie później zdziwiłyby się wielce, gdyby ktoś im powiedział, że były przyjaciółkami; przyjaźń straciła swą rację istnienia. Fantyna została sama. Kiedy ojciec jej dziecka odjechał – niestety, zerwania takie są nieodwołalne – została zupełnie sama, tyle tylko, że odwykła od pracy, a polubiła rozrywki. Zajęta Tholomyèsem, zaniedbała swe rzemiosło, straciła stosunki, które jej dostarczały roboty – zupełnie się pozrywały. Nie było z czego żyć. Fantyna ledwie że umiała czytać; pisać nie umiała; w dzieciństwie nauczono ją tylko podpisywać się swym imieniem; pisarz uliczny napisał jej list do Tholomyèsa, jeden, drugi, trzeci. Tholomyès na żaden z nich nie odpowiedział. Pewnego dnia Fantyna usłyszała, jak przekupki mówiły, spoglądając na jej córeczkę: „Alboż kto bierze na serio takie dzieci? Na takie dzieci macha się ręką!”. Pomyślała o Tholomyèsie, który machnął ręką na jej dziecko i nie brał na serio tej niewinnej istoty; i serce jej zamknęło się dla tego człowieka. Co jednak począć? Nie wiedziała już, do kogo się zwrócić. Popeniła błąd, ale istotą jej natury, pamiętamy przecie, była wstydlivość i cnota. Przeczuciwała niewyraźnie, że ją czeka nędza, że się ześlizguje w to, co najgorsze. Trzeba było odwagi – miała ją, nie załamała się. Przyszło jej na myśl, by wrócić do rodzinnego miasta, do Montreuil-sur-mer. Tam ją może kto pozna i da robotę; tak, ale trzeba będzie ukryć swój grzech. I przewidywała niejasno konieczność rozstania, boleśniejszego jeszcze niż pierwsze. Ścisnęło się jej serce, ale zdecydowała się. Fantyna, jak zobaczymy, miała dziką odwagę życiową.

Mężnie wyrzekła się strojów, ubrała się w płótno, a we wszystkie swe jedwabie, we wszystkie szmatki, we wszystkie wstążki i we wszystkie koronki przystroiła swą córeczkę jedyną próżność, jaka jej pozostała, święta próżność. Sprzedała wszystko, co miała, za dwieście franków; po zapłaceniu drobnych długów pozostało jej tylko osiemdziesiąt franków. Pięknego poranka wiosennego opuściła Paryż w dwudziestym drugim roku życia, niosąc na plecach dziecko. Kto by je spotkał po drodze, ten uczułby litość. Ta kobieta miała na całym świecie tylko to dziecko, a ono miało tylko ją. Fantyna wykarmiła swoją córeczkę; to zmęczyło jej piersi i kaszlała trochę.

Nie zdarzy się już sposobność, by mówić o panu Feliksie Tholomyès. Powiedzmy więc tylko, że w dwadzieścia lat później, za króla Ludwika Filipa, był poważnym adwokatem na prowincji. wziętym i bogatym, roztropnym wyborcą i bardzo surowym sędzią przysięgłym, a zawsze lubiącym rozkosze życia.

Przesiadając się kilkakrotnie z wozu na wóz – były to tak zwane wówczas „małe powozy”, które za opłatą kilku su za milę podwoziły podróżnych w okolicach Paryża – Fantyna około południa znalazła się w Montfermeil na ulicy Piekarskiej.

Kiedy przechodziła koło szynku Thénardierów – dwie dziewczynki, bujające się w zachwyceniu na potwornej huśtawce, stały się dla niej jakby nagłym olśnieniem i przystanąła na widok tego radosnego zjawiska. Uroki istnieją. Te dwie dziewczuszki rzuciły urok na tę matkę.

Patrzyła na nie wzruszona. Obecność aniołów zwiastuje bliskość raj. Zdało jej się, że widzi nad oberżą tajemnicze: TUTAJ, wypisane ręką Opatrzności. Dwie dziewczynki były tak niewątpliwie szczęśliwe. Patrzyła na nie zachwycona i tak bardzo wzruszona, że gdy ich matka nabierała oddechu między dwoma wierszami piosenki, wyrwały się jej słowa, któreśmy już przeczytali:

– Ma pani dwoje ślicznych dzieci.

Najokrutniejsze nawet stworzenie rozbroi czułość dla jego potomstwa.

Matka podniosła głowę, podziękowała i poprosiła przechodzącą, aby usiadła na ławce przy drzwiach; sama siedziała na progu. Obie kobiety zaczęły rozmawiać,
– Nazywam się Thénardierowa – rzekła matka dwóch dziewczynek. – Mamy tu oberżę.
Potem, wracając do swej piosenki, zanuciła:

*.... Tak trzeba, jestem rycerzem.
Jadę do Palestyny...*

Owa pani Thénardier była kobietą rudą, tłustą, potężnych kształtów, typ istnej markietanki w całej swej szpetocie. I rzecz dziwna, była przy tym pretensjonalna w zachowaniu, dzięki czytaniu romansów. Mizdrząca się herod-baba. Takie są skutki otarcia się starych powieści o wyobraźnię karczmarek. Była jeszcze młoda, miała zaledwie trzydzieści lat. Gdyby ta siedząca w tej chwili kobieta wstała, jej ogromny wzrost i kolosalne kształty, godne jarmarcznej olbrzymki, przstraszyłyby może podróżną, może znikłoby jej zaufanie, może nie zdarzyłoby się to, co mamy opowiedzieć. Czasem los człowieka zależy od tego, czy kto stoi, czy siedzi.

Podróżna opowiedziała swą historię, zmieniając ją nieco.

Była robotnicą, mąż jej zmarł, w Paryżu nie mogła znaleźć roboty i idzie szukać jej gdzie indziej, w swoich stronach; dziś rano opuściła Paryż, piechotą; zmęczyła się niosąc dziecko i wsiadła na wózek jadący do Villemomble; z Villemomble piechotą przyszła do Montfermeil; jej mała szła trochę, ale niewiele – takie to małe, że trzeba było ją wziąć na ręce, i aniołek usnął.

Tak mówiąc namiętnie pocałowała córkę i obudziła ją tym pocałunkiem. Dziecko otworzyło oczy, wielkie oczy, niebieskie jak u matki, i popatrzyło. Na co? Na nic, na wszystko, z tą miną poważną, czasem nawet surową, która jest tajemnicą świetlanej niewinności dzieci wobec naszych zmierzających cnót. Rzekłbyś, że czują się aniołami, a o nas wiedzą, żeśmy ludzie. Później dziewczynka roześmiała się i chociaż matka ją zatrzymywała, zląła na ziemię z tą nieposkromioną energią maleństwa, które chce biegać. Nagle spostrzegła dwie dziewczynki na huśtawce, zatrzymała się i wysunęła język na znak podziwu.

Thénardierowa odwiązała córki, zsadziła je z huśtawki i powiedziała:

– Bawcie się we trzy.

W tym wieku znajomość łatwo się zawiera; po chwili małe Thénardierówny bawiły się z nowo przybyłą w kopaniu dołków w ziemi: rozkosz niewymowna!

Nowo przybyła była bardzo wesoła; dobroć matek wyraża się w wesołości ich dzieci; wzięła patyczek i jak łopatą, energicznie, jęła kopać dołek dobry w sam raz dla muchy. Robota grabarza, wykonywana przez dziecko, staje się radosna.

Dwie kobiety rozmawiały:

– Jak małej na imię?

– Kozeta.

– Ile ma?

– Trzeci rok.

– To jak moja starsza.

Tymczasem dziewczynki stanęły w kółko; patrzyły w ziemię przstraszone i uszczęśliwione; wielkie wydarzenie: tłusty robak wychodził z ziemi; i bały się, i zachwyciły.

Pochyliły się ku sobie trzy jasne czoła; rzekłbyś, trzy głowy w aureoli.

– Dzieci, to raz, dwa i już się znają! – zawołała Thénardierowa. – Przysiągłbyś, że trzy siostry.

Słowa te były iskrą, której zdawała się czekać druga matka. Schwyciła rękę Thénardierowej, spojrzała jej w oczy i rzekła:

– Niech pani przyjmie moją córkę.

Thénardierowa poruszyła się ze zdziwieniem, nie wyrażającym ani zgody, ani odmowy.

Matka Kozety mówiła dalej:

– Bo to, widzi pani, nie mogę ze sobą zabierać dziecka. Robota nie pozwala. Z dzieckiem trudno znaleźć miejsce. W moich stronach tacy są śmieszni. Pan Bóg mię natchnął, żebym się tu zatrzymała. Kiedym zobaczyła pani dzieci, takie ładne, schludne i szczęśliwe, coś się we mnie poruszyło. Pomyślałam sobie: „Muszą mieć dobrą matkę”. Tak, będą jak trzy siostry. A zresztą niedługo wrócę. Weźmie pani moje dziecko pod opiekę?

– Trzeba się namyślić – rzekła Thénardierowa.

– Dam sześć franków za miesiąc.

Tu męski głos zawołał z głębi szynku:

– Najmniej siedem franków i za sześć miesięcy z góry.

– Sześć razy siedem – czterdzieści dwa – rzekła Thénardierowa.

– Dam – powiedziała matka.

– Prócz tego piętnaście franków na pierwsze koszty – dodał męski głos.

– Razem pięćdziesiąt siedem franków – rzekła pani Thénardier.

I wymieniając te cyfry zanuciła cicho:

Tak trzeba, rycerz rzekł – z zapalem...

– Dam – rzekła matka – mam osiemdziesiąt franków. Zostanie mi jeszcze trochę na podróż. Pójdę piechotą. Tam zarobię i gdy trochę uzbieram, powrócę po mego aniołka.

Odezwał się głos męski:

– Czy mała ma wyprawkę?

– To mój mąż – powiedziała Thénardierowa.

– Rozumie się, że ma wyprawkę, biedny skarb. Domyśliłam się, że to pani mąż. I to piękną wyprawkę! Wspaniałą! Wszystkiego tuzinami: i suknie jedwabne jak dama. Mam to wszystko w worku.

– Trzeba dać – odparł męski głos.

– Pewnie, że dam! To by dopiero było dziwne, gdybym zostawiła córkę nagą.

Ukazała się twarz szynkarza.

– A więc zgoda – rzekł.

Dobito targu. Matka spędziła noc w oberży, oddała pieniądze i zostawiła dziecko, zawiązała swój worek, który opróżniono z wyprawki jakże teraz lekki – i nazajutrz rano puściła się w drogę, myśląc o rychłym powrocie. Rozstania takie odbywają się spokojnie, ale ileż rozpaczy jest w sercu.

Jedna z sąsiadek Thénardierów spotkała ją na drodze i mówiła potem:

– Widziałam, jak jakaś kobieta płakała na ulicy; rozdzierający widok.

Kiedy matka Kozety odeszła, mąż rzekł do żony:

– Mam teraz czym zapłacić weksel. Sto dziesięć franków, a termin mija jutro. Brakowało mi pięćdziesięciu franków. Czy wiesz, że miałbym proces i komornika? Zastawiłaś dobrą pułapkę tymi małymi.

– Anim się tego domyślała – rzekła żona.

Pierwszy szkic dwóch wstrętnych figur

Myszka złapała się dość mizerna, ale kot rad i z chudej myszy.

Co za jedni byli ci Thénardierowie?

Powiemy o nich kilka słów; później ten szkic uzupełnimy.

Istoty te należały do owej klasy mieszanej, złożonej z prostych dorobkiewiczów i ludzi wykształconych, lecz którym się nie powiodło; klasy pośredniej między średnią a niższą, która łączy w sobie niektóre przywary drugiej i wszystkie przywary pierwszej, a brak jej szlachetnego gestu robotnika i uczciwej rządności mieszczanina.

Były to natury karłowate z tych, co jeśli przypadkiem rozgrzeje je jakiś ogień ponury, stają się łatwo potwornymi. Kobieta była w gruncie rzeczy bydłkiem, w mężczyźnie był materiał na łajdaka.

Zwłaszcza Thénardier przeraziłby fizjonomistę. Na pewnych ludzi dość jest spojrzeć, żeby nabrać do nich nieufności, czuje się bowiem, że otacza ich zewsząd mrok. Za nimi – niepokój, przed nimi – groźba. Są w nich nieznanne obszary. Nie można ręczyć za to, co robili; ani za to, co mogą zrobić. Cień, który mają w oczach, zdradza ich. Z jednego ich słowa, z jednego gestu domyślasz się ponurych sekretów ich przeszłości i ponurych tajemnic ich przyszłości.

Ów Thénardier, jeśli jego słowa zasługiwały na wiarę, był żołnierzem, sierżantem, jak mawiał; prawdopodobnie odbył kampanię 1815 roku i, jak się zdaje, bił się nawet dzielnie. Później zobaczymy, ile jest w tym prawdy. Szyld jego karczmy miał wyobrażać jeden z jego czynów wojennych; wymalował go sam, bo umiał wszystko po trosze i wszystko źle.

W owym czasie dawny romans klasyczny, który z *Klelii* stał się już tylko *Lodoviską*, zawsze szlachetny, ale coraz bardziej gminny, rozpałał czułe dusze stróżek paryskich i czynił nawet pewne spustoszenie w podmiejskich okolicach. Pani Thénardier miała tyle właśnie wykształcenia, ile potrzeba do czytania tego rodzaju książek. Karmiła się nimi. Utopiła w nich cały swój rozum. I stąd to właśnie w jej wczesnej młodości – a nawet i później nieco – rozmarzone, zadumane pozy, jakie przybierała u boku męża, hultaja nie pozbawionego rozsądku, niedouka, prostackiego i sprytnego zarazem, w dziedzinie uczuć zaś – czytelnika Pigault-Lebruna i „w tym, co się tyczy płci pięknej”, jak zwykł był mawiać, pospolitego i kompletnego grubianina. Żona była młodsza od niego o jakie dwanaście lub piętnaście lat. Później nieco, gdy jej romantycznie rozpuszczone włosy zaczęły siwieć, Thénardierowa stała się po prostu wielką, grubą złośnicą, nafaszerowaną głupimi romansami. Nie można bezkarnie czytać głupstw. Skutek tej lektury był taki, że starsza córka została nazwana Eponiną. Jeśli zaś o młodszą chodzi nieszczęsne dziecko już już stać się miało Gulnarą, na szczęście dzięki jakiemuś romansowi Ducray-Duminila, który się zjawił w porę, została tylko Anzelmą.

Zresztą, mówiąc mimochodem, nie wszystko jest śmieszne i powierzchowne w tej ciekawej epoce, którą nazwać by można anarchią chrzestnych imion. Obok czynnika romansowego, o którym wspomnieliśmy właśnie, mamy tu i wyraźny objaw społeczny. Nietrudno dziś spotkać na wsi parobka mającego imię Artur, Alfred lub. Alfons, a wicehrabiego – jeśli są dziś wicehrabowie – z imieniem Tomasz, Piotr lub Jacek. To przesunięcie, które imię „eleganckie” daje chłopu, a imię wiejskie – arystokracie, jest wynikiem zawieruchy niosącej równość. Nowy powiew, który przeniknął wszędzie, przeszedł i tędy. Pod pozorną niezgodnością leży rzecz wielka i głęboka: rewolucja francuska.

Skowronek

Być złym człowiekiem – to jeszcze nie dosyć, żeby zdobyć dobrobyt. Szynek nie prosperował.

Dzięki pięćdziesięciu siedmiu frankom podróży Thénardier uniknął procesu i zadośćuczynił zobowiązaniu. Następnego miesiąca znowu potrzebowali pieniędzy: oberżystka udała się do Paryża i za sześćdziesiąt franków zastawiła wyprawkę Kozety w lombardzie. A gdy małżonkowie Thénardier wydali i tę sumę, zaczęli patrzeć na dziewczynkę jak na dziecko wzięte z litości i traktować je stosownie do tego mniemania. Ponieważ nie miała już wyprawki, ubierano ją w stare koszule i sukienki małych Thénardier, czyli w łachmany. Karmiono ją resztkami pozostałymi po wszystkich, nieco lepiej niż psa, nieco gorzej niż kota. Zresztą pies i kot zwykle razem z nią jadały pod stołem, z takiej samej drewnianej miseczki.

Matka, która jak później zobaczymy, osiadła w Montreuil-sur-mer, pisywała, a raczej kazała pisać listy co miesiąc, aby mieć wiadomość o swojej córce. Thénardierowie odpowiadali niezmiennie „Kozeta chowa się doskonale”.

Po upływie pierwszych sześciu miesięcy matka wysłała siedem franków za siódmy miesiąc i w dalszym ciągu płaciła dość regularnie. Przed końcem roku Thénardier powiedział: „Wielką łaskę nam robi. Cóż to jest, te jej siedem franków?” – i napisał żądając dwunastu franków. Matka, która była przekonana, że jej dziecko jest szczęśliwe i dobrze się miewa, zgodziła się i przysłała dwanaście franków.

Pewne natury nie potrafią kochać jednego, nie nienawidząc drugiego. Thénardierowa namiętnie kochała swe córki, nienawidziła więc obcej dziewczynki. Smutno pomyśleć, że miłość macierzyńską miewa również swoje szpetne strony. Thénardierowej wydawało się, że Kozeta odbiera jej dzieciom nawet i tę odrobinę miejsca, które u nich zajmowała, że ujmuje powietrza, którym one oddychają. Jak wiele kobiet tego rodzaju, miała ona codziennie do rozdania pewną ilość pieśzcot i pewną ilość przekleństw i szturchańców. Gdyby nie było Kozety, córkom, choć tak ubóstwianym, dostawałoby się na pewno i jedno, i drugie; obca dziewczynka wyświadczyła im przysługę, ściągając razy na siebie. Córkom przypadły w udziale same pieśzczoty. Na Kozetę za lada poruszeniem spadał grad srogich i niezasłużonych kar. Biedna, słaba istota, nieustannie karana, łajana, potrącana, bita – patrzyła na dwa inne stworzenia, żyjące w jasnej radości, i nie mogła zrozumieć nic z tego świata i z Boga.

Ponieważ Thénardierowa była zła dla Kozety, więc Eponina i Anzelma także były złe. Dzieci w tym wieku są drugim wydaniem matki. Tylko tyle, że w mniejszym formacie.

Upłynął rok, później drugi.

Mówiono we wsi: „Pocziwi ludzie ci Thénardierowie. Sami niebogaci, a wychowują biedne dziecko, które im ktoś podrzucił”.

Myślano, że matka zapomniała o swej Kozecie.

Tymczasem Thénardier, dowiedziawszy się jakąś drogą, że dziecko prawdopodobnie było nieślubne i że matka nie mogła się przyznać do niego, zażądał piętnastu franków miesięcznie, powiadając, że „stworzenie rośnie i je dużo, i grożąc, że je odeśle. „Niech mnie nie zezłości! – wołał – bo jej cisnę bachora w sam środek jej wszystkich kombinacji. Musi dopłacić”. Matka zapłaciła piętnaście franków.

Rok po roku dziecko rosło, a jego nędza wraz z nim.

Dopóki Kozeta była mała, znosiła szturchańce za dwoje innych dzieci; gdy trochę podrosła, nie skończywszy nawet pięciu lat, stała się służącą do wszystkiego.

Pięć lat, powie ktoś, to niemożliwe. Niestety, to prawda. Cierpienie społeczne zaczyna się w każdym wieku. Alboż nie czytaliśmy niedawno o procesie Dumolarda, sieroty, co stał się

rozbójnikiem i od piątego roku życia, jak powiadają dokumenty urzędowe, sam jeden na świecie, „pracował na swoje utrzymanie i kradł”...

Używano Kozety do posyłek, kazano jej zamiatać izby, podwórko, ulicę, zmywać naczynia, nawet dźwigać ciężary. Małżonkowie Thénardier czuli się tym bardziej upoważnieni do takiego postępowania, że matka, która nadal mieszkała w Montreuil-sur-mer, zaczęła źle płacić. Zalegała za kilka miesięcy.

Gdyby ta matka wróciła po trzech latach do Montfermeil, nie poznałaby swego dziecka. Kozeta, tak ładna, kiedy wchodziła do tego domu, teraz była chuda i blada. W ruchach miała coś niespokojnego. „Skryta!” – mówili Thénardierowie.

Niesprawiedliwość uczyniła ją klótniwą, a nędza brzydką. Pozostały jej tylko piękne oczy, na które przykro było patrzeć, gdyż wydawało się, że po to tylko są tak duże, by pomieścić w sobie tym więcej smutku.

Żal ściszał serce, kiedy się widziało, jak w zimie, przed wschodem słońca, to biedne, nie mające jeszcze sześciu lat dziecko, drżąc pod płóciennymi dziurawymi łachmanami, zamiatało ulicę ogromną miotłą trzymaną w posiniałych rączkach, ze łzami w dużych oczach.

We wsi przezwano ją „Skowronkiem”. Lud, lubiący obrazowość nazwał tak tę drobną istotę, niewiele większą od ptaka, zawsze drżącą, wylekłą i zziębniętą, która co rano pierwsza budziła się w domu i w całej wiosce i była na ulicy lub w polu jeszcze przed świtem.

Tylko że ten biedny Skowronek nigdy nie śpiewał.

Rozdział piąty

POCHYŁOŚĆ

Historia postępu w wyrabianiu czarnego szkła

Co się stało z tą matką, która, jak mówili wieśniacy z Montfermeil, porzuciła swe dziecko? Gdzie się podziała? Co robiła?

Zostawiwszy małą Kozetę u Thénardierów, puściła się w dalszą drogę i przybyła do Montreuil-sur-mer.

Było to, jak sobie czytelnik przypomina, w roku 1818.

Fantyna opuściła swe rodzinne strony dziesięć lat temu. Miasto Montreuil-sur-mer zmieniło postać. Kiedy Fantyna z wolna wpadała w coraz głębszą nędzę, jej miasto rodzinne rosło w pomyślność.

Mniej więcej przed dwoma laty dokonało się tam jedno z tych wydarzeń przemysłowych, które mają ogromne znaczenie dla małych miasteczek.

Szczegół ten jest ważny i trzeba omówić go bliżej, dokładniej, rzekłbym prawie: z naciskiem.

Od niepamiętnych czasów miasto Montreuil-sur-mer trudniło się naśladowaniem angielskich dżetów i czarnego szkła niemieckiego. Przemysł ten nigdy nie mógł zakwitnąć, bo cena materiałów wpływała hamująco na rzemiosło. Kiedy Fantyna powróciła do Montreuil-sur-mer, zaszła niesłychana zmiana w tej produkcji „czarnych artykułów”. Pod koniec 1815 roku osiadł w mieście jakiś nieznajomy i wpadł na pomysł używania do tej fabrykacji gumy zamiast żywicy, a do bransoletek kółek blaszanych, po prostu zginanych, zamiast kółek lutowanych. Ta niewielka zmiana była wielką rewolucją.

Ta niewielka zmiana bowiem niezmiernie obniżyła cenę surowca, co pozwoliło: po pierwsze – podnieść płacę robotnikom, co jest dobrodziejstwem dla ludności, po wtóre – polepszyć wyroby, co jest korzyścią dla kupujących, a po trzecie – taniej je sprzedawać, w trójnasób zwiększając dochód, co jest korzyścią dla właściciela manufaktury.

Tak więc jedna myśl dała wynik potrójny.

W ciągu trzech lat wynalazca został bogaczem, co jest dobrą rzeczą, i zubożył wszystkich dookoła, co jest rzeczą jeszcze lepszą. Był to człowiek nietutejszy. O jego pochodzeniu nic nie wiadano; o początkach bardzo mało.

Opowiadano, że przyszedł do miasta z niewielką sumą pieniędzy, co najwyżej z jakimiś kilkuset frankami.

Z tego to kapitaliku, użytego na urzeczywistnienie szczęśliwego pomysłu, użyźnionego rozumem i porządkiem, wyciągnął swą fortunę i dobrobyt całej okolicy.

Kiedy przybył do Montreuil-sur-mer, z ubioru, postawy i mowy był prostym robotnikiem.

Zdaje się, że w dniu, w którym cichaczem wszedł do miasteczka Montreuil-sur-mer z tłumoczkami na plecach i z sękatym kijem w ręku, o grudniowym zmroku, wybuchł w ratuszu wielki pożar. Człowiek ten rzucił się w ogień i z narażeniem życia ocalił dwoje dzieci – jak

się okazało, dzieci kapitana żandarmerii. Z tego też powodu zapomniano zapytać go o paszport. Później dopiero dowiedziano się jego nazwiska. Nazywał się ojciec Madeleine.

Pan Madeleine

Był to człowiek już pięćdziesięcioletni chyba, nieustannie czymś zajęty i bardzo dobry. Oto i wszystko, co by o nim można powiedzieć.

Dzięki szybkiemu rozwojowi przemysłu, który przekształcił tak wspaniale, Montreuil-sur-mer stało się ważnym ogniskiem handlu. Hiszpania, zużywająca wiele czarnych dżetów, corocznie zakupywała je za znaczne sumy. W tej gałęzi handlu miasteczko Montreuil-sur-mer prawie że stanowiło konkurencję dla Londynu i Berlina. Zyski ojca Madeleine były tak duże, że już w drugim roku mógł zbudować wielką fabrykę z dwoma warsztatami: jednym dla mężczyzn, drugim dla kobiet. Ktokolwiek był głodny, mógł tam przyjść i na pewno znajdował i pracę, i chleb. Ojciec Madeleine żądał od mężczyzn dobrej woli, od kobiet czystości obyczajów, a od wszystkich – uczciwości. Podzielił warsztaty, żeby kobiety i dziewczęta, odłączone od mężczyzn, łatwiej mogły zachować swą cnotę. W tym punkcie był nieugięty. I tu też jedynie bywał niewyrozumiały. Surowość tym bardziej uzasadniona, że w Montreuil-sur-mer, mieście garnizonowym, nie brakło okazji do rozpusty. Zresztą, przybycie jego było dobrodziejstwem, obecność – opatrnością. Przed przybyciem ojca Madeleine ubóstwo było ogólne; teraz wszystko tchnęło zdrowym życiem pracy. Szybka cyrkulacja ogrzewała wszystko i docierała wszędzie. Nie znano bezrobocia i nędzy. W najuboższej nawet kieszeni można było znaleźć choć trochę grosza, w najuboższym nawet domu – choć odrobinę radości.

Ojciec Madeleine zatrudniał każdego. A wymagał tylko jednej rzeczy, bądź uczciwym mężczyzną, bądź uczciwą dziewczyną.

Jak powiedzieliśmy, wśród tej działalności, której był główną przyczyną i osią, ojciec Madeleine dorabiał się majątku, ale – rzecz dość niezwykła u prostego przemysłowca – nie było to zgoła jego główną i jedyną troską. Zdawało się, że myślał wiele o innych, a mało o sobie. W roku 1820 było wiadomo, że miał złożone na swe imię u Laffitte'a sześćset trzydzieści tysięcy franków; ale nim te tysiące zachował dla siebie, wydał więcej niż milion na miasto i biednych.

Szpital był źle wyposażony; ufundował dziesięć łóżek. Montreuil-sur-mer dzieli się na miasto górne i dolne. Dolna część, w której mieszkał, miała jedną tylko szkołę, w nędznym, walcącym się domku; kazał zbudować dwie: jedną dla dziewcząt, drugą dla chłopców. Z własnych funduszy wyznaczył dla dwóch nauczycieli dodatek dwa razy większy od lichej pensji rządowej i gdy ktoś się temu dziwił, odpowiadał: „Najważniejsi urzędnicy państwowi to piastunka i nauczyciel”. Własnym kosztem założył ochronkę, rzecz wówczas prawie we Francji nie znaną, i kasę zapomogową dla starych i chorych robotników. Ponieważ manufaktura jego stała się ośrodkiem całego miasta, wkrótce koło niej powstała nowa dzielnica, zamieszkała przez wiele ubogich rodzin; założył tam bezpłatną aptekę.

W początkach, patrząc, jak zaczyna, poczciwe dusze mówiły: „To zuch, który chce się wzbogacić”. Kiedy się przekonano, że przede wszystkim wzbogaca całą okolicę, o siebie samego najmniej dbając, te same poczciwe dusze mówiły: „To człowiek ambitny”. Wydawało się to tym prawdopodobniejsze, że człowiek ów był religijny, a nawet praktykujący w pewnej mierze, co w owym czasie nadzwyczaj dobrze było widziane. Co niedziela regularnie uczęszczał na cichą mszę. Miejscowy deputowany, wszędzie wietrzący konkurencję, zląkł się tej pobożności. Deputowany ten był członkiem ciała prawodawczego za Cesarstwa i podzielał

poglądy religijne księdza ze zgromadzenia oratorianów, znanego jako Fouche, księżę Otranto, którego był kreaturą i przyjacielem. Przy drzwiach zamkniętych śmiał się po cichu z Pana Boga. Ale kiedy zobaczył, że bogaty fabrykant Madeleine co niedziela chodzi o siódmej rano na cichą mszę, przeczuł w nim kandydata i postanowił go prześcignąć, wziął sobie spowiednika jezuitę i bywał na sumie i na nieszpiorach. Ambicją owych czasów było – w dosłownym tego znaczeniu – urządzenie wyścigów do dzwonnicy. Nie tylko Pan Bóg, lecz i biedni, skorzystali na tym lęku, gdyż zacny deputowany ufundował też dwa łóżka w szpitalu, co uczyniło razem dwanaście.

Tymczasem w roku 1819 rozeszła się dnia pewnego po mieście pogłoska, że na wniosek prefekta i ze względu na usługi wyświadczone krajowi ojciec Madeleine mianowany zostanie przez króla merem miasta Montreuil-sur-mer. Ci, co nazywali nowo przybyłego „ambitnym”, skwapliwie pochwycili sposobność, zawsze tak bardzo przez ludzi upragnioną, by zawołać: „A nie mówiliśmy?” Całe Montreuil-sur-mer poruszone było tą nowiną. Pogłoska była uzasadniona.

W kilka dni później nominacja pojawiła się w „Monitorze”. Nazajutrz ojciec Madeleine odmówił jej przyjęcia.

Tegoż roku 1819 wyroby wykonane sposobem wynalezionym przez Madeleine’a znalazły się na wystawie przemysłowej; wskutek decyzji jury król mianował wynalazcę kawalerem Legii Honorowej. Znowu poruszenie w miasteczku. Aha! Chciał orderu! Ojciec Madeleine nie przyjął orderu.

Naprawdę, ten człowiek był zagadką. Poczciwe dusze poradziły sobie z tym, mówiąc: „W gruncie rzeczy to jakiś awanturnik”.

Wiedziano, że kraj wiele mu zawdzięczał, że ubodzy zawdzięczali mu wszystko; był tak bardzo użyteczny, że w końcu musiano zacząć go szanować, i był tak dobry, że w końcu musiano go pokochać; szczególnie go wielbili jego robotnicy, a on przyjmował to uwielbienie z melancholijną powagą. Gdy się przekonano, że jest bogaty, „osoby z towarzystwa” kłaniały mu się na ulicy i nazywały panem Madeleine; ale robotnicy i dzieci nie przestawali nazywać go ojcem Madeleine, co najwyraźniej sprawiało mu większą przyjemność. Im wyżej się wznosił, tym więcej zaproszeń sypało się na niego. „Towarzystwo” pragnęło go coraz goręcej. Eleganckie salony miasteczka Montreuil-sur-mer, które – ma się rozumieć – dawniej byłyby zamknięte dla rzemieślnika, teraz otwierały się na oścież dla milionera. Robiono mu tysiące uprzedzających grzeczności. Odrzucał je.

I tym razem poczciwe dusze dały sobie radę: „To prostak bez wychowania. Nie umiałby znaleźć się w świecie. Nie jest nawet pewne, czy umie czytać”.

Widząc, że zarabia dużo pieniędzy, ludzie mówili: „to kupiec”. Widząc, że je rozdaje, mówili: „ambitny”. Gdy dowiedzieli się, że nie przyjmuje urzędów i zaszczytów, mówili: „awanturnik”. Na koniec, gdy poznali, że stroni od świata, powiedzieli: „to prostak”.

W roku 1820, w pięć lat po przybyciu do Montreuil-sur-mer, tak głośne stały się jego zasługi wobec kraju, tak jednomyślne były życzenia całej okolicy, że król powtórnie mianował go merem miasta. I teraz odmówił, lecz prefekt się uparł, wszystkie znakomitości urzędowe przysły go prosić, prości ludzie zaczepiali go i błagali o to na ulicy, naleganie było tak silne, że zgodził się wreszcie. Zauważono, że do przyjęcia urzędu szczególnie go skłoniło gniewne prawie odezwanie się starej kobiety z gminu, która zawołała do niego od progu swego domu: „Dobry mer jest potrzebny. Czy wolno cofać się przed dobrem, które można czynić?”

Była to trzecia faza jego powodzenia. Ojciec Madeleine został panem Madeleine; pan Madeleine został panem merem.

Sumy złożone u Laffitte'a

Zachował zresztą tę samą prostotę co pierwszego dnia. Włosy miał szpakowate, spojrzenie poważne, śniadą i ogorzałą cerę robotnika, myślącą twarz filozofa. Nosił zwykle kapelusz z szerokim rondem i długi surdut z grubego sukna, zapięty pod szyję. Sprawował urząd mera, ale poza tym żył samotnie. Mało z kim rozmawiał. Unikał grzeczności, kłaniał się mijając spieszenie, uśmiechał się, żeby nie rozmawiać, dawał, żeby się nie uśmiechać. Kobiety mówiły o nim: „Pocziwy niedźwiedź”. Największą jego przyjemnością były przechadzki po polach.

Jadał zawsze sam, czytając otwartą przed sobą książkę. Miał bibliotekę niewielką, lecz starannie dobraną. Kochał książki; książki to przyjaciele, chłodni i pewni. Z pomnażaniem się majątku miał coraz więcej wolnego czasu, który poświęcał kształceniu swego umysłu. Od kiedy był w Montreuil-sur-mer, zauważono, że z każdym rokiem mowa jego stawała się bardziej elegancka, wyszukana i łagodna.

Chętnie brał na przechadzkę strzelbę, ale używał jej rzadko. Jeśli przypadkiem zdarzyło mu się strzelić, strzał jego był aż przerażająco celny. Nigdy nie zabił nieszkodliwego zwierzęcia. Nigdy nie strzelił do ptaka.

Choć już nie był młody, opowiadano, że miał zdumiewającą siłę. Nieraz pomógł dźwignąć wielki ciężar, podnosił konie, wyciągał koło uwięzie w błocie, przytrzymał za rogi uciekającego byka. Kiedy wychodził, miał kieszenie pełne drobnych pieniędzy, kiedy wracał, kieszenie były puste. Gdy przechodził przez wioskę, obdarte dzieciaki biegły za nim wesoło i otaczały go niby chmara muszek.

Ludzie przypuszczali, że kiedyś musiał żyć na wsi, znał bowiem tysiące użytecznych sekretów, których uczył wieśniaków. Uczył, jak niszczyć mola zbożowego, skraplając spichrz i zalewając szczeliny podłogi solą kuchenną rozpuszczoną w wodzie; jak odganiać wołki zawieszając wszędzie na ścianach, na dachach i wewnątrz domów kwitnącą bylinę. Miał „recepty” na tępienie kąkolów, śniedzi, wyki, lisiogonów i wszelkich pasożytniczych roślin zżerających zboże. Dla odstraszania szczurów od królikami radził trzymać tam świnkę morską, której woni szczury nie znoszą.

Pewnego dnia ujrzał wieśniaków zajętych rwaniem pokrzyw, spojrzął na stos tych roślin, wyrwanych z korzeniem i już wyschłych, po czym rzekł:

– To już suche. A jednak byłoby dobrze, gdyby umiano się z tym obchodzić. Kiedy pokrzywa jest młoda, z liści jej można mieć wyborną jarzynę; gdy dojrzeje, ma włókna jak len i konopie. Płótno z pokrzywy jest tyle samo warte co płótno z konopi. Posiekana pokrzywa jest dobra jako pokarm dla drobiu, tłuczona – dla krów. Ziarna pokrzywy zmieszane z obrokiem dają bydłu połyskującą sierść; korzeń zmieszany z solą daje ładny kolor żółty. Poza tym jest to doskonale siano, które można kosić dwa razy. A czegoż potrzeba pokrzywie? Niewiele ziemi, żadnej uprawy, żadnego starania. Tyle tylko, że ziarno wypada zaraz po dojrzeniu i trudno je zebrać. Oto i wszystko. Zadać sobie tę odrobinę trudu i pokrzywa będzie pożyteczna. Lecz nikt nie zadba o nią i pokrzywa staje się szkodliwa. I wówczas tępi się ją. Ileż ludzi podobnych jest pokrzywie. I dodał po chwili milczenia: – Przyjaciele, zapamiętajcie to sobie: nie ma ani złych roślin, ani złych ludzi. Są tylko źli ogrodnicy.

Dzieci kochały go jeszcze za to, że umiał robić śliczne zabawki ze słomy i z orzechów kokosowych.

Kiedy widział drzwi kościoła obite kirem, wchodził; nie omijał pogrzebów, jak inni nie omijają chrczin. Wdowieństwo i nieszczęście innych ludzi przyciągało ku sobie jego wielką dobroć; łączył się z przyjaciółmi w żałobie, z rodzinami ubranymi czarno, z kapłanami zawodzącymi nad trumną. Zdawał się chętnie brać za przedmiot swych rozmyślań te psalmy żałobne, pełne wizji innego świata. Z oczyma utkwionymi w niebo, jakby tęskniąc do

tajemnic nieskończoności, słuchał tych smutnych głosów, które śpiewają nad brzegiem ciemnej przepaści śmierci.

Świadczył potajemnie mnóstwo dobrodziejstw, kryjąc się z nimi, jakby to były przestępstwa. Wieczorami wchodził ukradkiem do domów. Cichaczem przebiegał schody. Jakiś biedak, wróciwszy na swoje poddasze, zastawał drzwi otwarte, niekiedy nawet siłą, w czasie jego nieobecności. Nieborak wołał: „Złodziej się zakradł!” Wchodził i pierwszą rzeczą, którą spostrzegł, był złoty pieniądz zostawiony na stole. Złodziejem był ojciec Madeleine.

Był uprzejmy i smutny. Lud mawiał: „To ci człowiek. Bogaty, a nie dumny, szczęśliwy, a ma smutną minę”.

Niektórzy widzieli w nim coś tajemniczego i twierdzili, że nikomu nie wolno było wchodzić do jego pokoju, prawdziwej celi pustelnika, ozdobionej skrzydlatymi klepsydrami, skrzyżowanymi piszczelami i trupimi głowami. Tyle o tym mówiono, że kilka młodych, trzpiotowatych elegantek z Montreuil-sur-mer przyszło do niego prosząc: „Panie merze, pokaże nam swój pokój. Powiadają, że to pieczara”. Uśmiechnął się i natychmiast zaprowadził je do tej „pieczary”. Ciekawość srodze została ukarana. Był to pokój, którego umeblowanie składało się z całkiem zwyczajnych mahoniowych foteli i krzeseł, brzydkich raczej, jak większość mebli w tym rodzaju, ściany były wyklejone papierową tapetą po dwanaście su. Spostrzegły tam tylko na kominku dwa lichtarze staroświeckiego kształtu, które zdawały się być srebrne, „były bowiem stemplowane”. Spostrzeżenie godne umysłów z małego miasteczka.

Mimo wszystko w dalszym ciągu mówiono, że nikt nie wchodził do tego pokoju i że była to pieczara pustelnika, jaskinia, nora, grób.

Szeptano także, iż miał „kolosalne” sumy złożone u Laffitte’a z tym szczególnym zastrzeżeniem, że zawsze były do jego rozporządzenia, tak iż pan Madeleine mógł przyjść pewnego ranka do Laffitte’a, podpisać kwit i w dziesięć minut zabrać swoje dwa czy trzy miliony. W rzeczywistości tymi dwoma czy trzema milionami było, jak powiedzieliśmy, sześćset trzydzieści czy czterdzieści tysięcy franków.

Na początku 1821 roku dzienniki doniosły o śmierci księdza Myriela, biskupa w Digne, zwanego księdzem Benvenuto, który zmarł *in odore sanctitatis*⁵ przeżywszy lat osiemdziesiąt dwa.

Wiadomość o śmierci powtórzył miejscowy dziennik w Montreuil-sur-mer. Pan Madeleine ukazał się nazajutrz ubrany czarno i z krepą na kapeluszu.

Zauważono w mieście tę żalobę, zawrzało od plotek. Zdawała się ona rzucać światło na pochodzenie pana Madeleine. Wnoszono, że był jakoś spokrewniony z czcigodnym biskupem. „Uczernił się po biskupie Digne” – mówiono w salonach; podniosło to wielce znaczenie pana Madeleine, nagle i od razu dodało mu powagi w dobrze urodzonym towarzystwie miasta Montreuil-sur-mer. Mikroskopijne miejscowe przedmieście Saint-Germain postanowiło przerwać odosobnienie pana Madeleine, skoro prawdopodobnie był kuzynem biskupa. Pan Madeleine wyrósł w ich oczach; poznał to po grzeczniejszych ukłonach starszych pań, po miłszych uśmiechach młodszych. Pewnego wieczoru seniorka tego małomiasteczkowego wielkiego świata, korzystając dla zaspokojenia ciekawości z przywilejów starszeństwa, ośmieliła się zadać mu pytanie:

– Pan mer jest pewno krewnym nieboszczyka biskupa z Digne?

Odparł:

– Nie, pani.

– Ale – mówiła bogata wdowa – nosi pan po nim żalobę?

Odrzekł:

– Bo w młodości służyłem za lokaja w ich rodzinie.

⁵ W sławie świętości

Zauważono również, że ilekroć zjawiał się w mieście mały Sabaudczyk, który wędrował po okolicy czyszcząc kominy, pan mer wołał go do siebie, pytał o imię i dawał trochę pieniędzy. Mali Sabaudzcy opowiadali sobie o tym i wielu ich przechodziło tamtędy.

Pierwsze błyski na widnokręgu

Stopniowo, w miarę jak czas płynął, niechęć ustawała. Naprzód, zgodnie z prawem, któremu podlegają wszyscy wznoszący się w górę, miotano na pana Madeleine oszczerstwa i potwarze; później zaczęto się ograniczać do złośliwości, wreszcie odzywano się o nim już tylko z przekąsem, a w końcu i to się skończyło: szacunek stał się zupełny, jednomyślny, serdeczny i pod koniec roku 1821 nadszedł wreszcie czas, kiedy to słowa: „pan mer” wymawiano w Montreuil-sur-mer prawie tym samym tonem, jakim w roku 1815 w Digne wyrazi: „ksiądz Benvenuto”. Przybywano z miejscowości odległych o dziesięć mil, by zasięgać rady pana Madeleine. Kończył spory, nie dopuszczał do procesów, godził powaśnionych. Każdy go obierał sędzią swojej sprawy. Zdawało się, że jego dusza była księgą prawa przyrodzonego. Jakby jakaś epidemia uwielbienia w ciągu sześciu czy siedmiu lat rozciągnęła się powoli nad całą okolicą.

Jeden tylko człowiek w mieście i w okręgu uniknął całkowicie tej epidemii i mimo wszystkich czynów ojca Madeleine uparcie pozostał jego przeciwnikiem, jak gdyby go budził i niepokoił jakiś instynkt, niczym nie dający się zagłuszyć. Zdawałoby się w istocie, że istnieje u pewnych ludzi instynkt prawdziwie zwierzęcy, czysty i nieskażony, jak wszelki instynkt, z którego powstają sympatie i antypatie, który raz na zawsze oddziela jedną naturę od drugiej, który się nie zawaha, nie spieszy, nie ucichnie, nie oszuka się nigdy, jasny, mimo że ciemny, nieomylny, rozkazujący, opierający się wszelkim radom rozumu i wszystkim odczytnikom rozsądku, który jakkolwiek ukształtowałyby się losy, przestrzega potajemnie człowieka psa przed człowiekiem kotem, a człowieka lisa przed człowiekiem lwem.

Często, gdy pan Madeleine przechodził ulicą, spokojny, serdeczny, otoczony błogosławieństwami wszystkich, zdarzało się, że mężczyzna słusznego wzrostu, w długim szarym surducie, z grubą łaską w ręku, w kapeluszu naciśniętym na oczy, porywczo obracał się za nim i śledził go spojrzeniem, dopóki nie zniknął, krzyżując ręce na piersiach, potrząsając głową i unosząc w górę obie wargi w znaczącym grymasie, który tak oto oddać by można słowami: „Któż to jest, u licha? Na pewno gdzieś tego człowieka widziałem. W każdym razie nie dam mu się oszukać”.

Nazywał się Javert i pracował w policji.

W Montreuil-sur-mer sprawował przykre, ale pożyteczne obowiązki inspektora. Nie był świadkiem początków pana Madeleine. Posadę inspektora Javert zawdzięczał protekcji pana Chabouillet, sekretarza ministra stanu hrabiego Anglès, podówczas prefekta policji w Paryżu. Kiedy Javert przybył do Montreuil-sur-mer, fortuna wielkiego fabrykanta była już ustalona i ojciec Madeleine stał się panem Madeleine.

Javert urodził się w więzieniu, był synem kabalarki, której męża skazano na galery. Dorastając zdał sobie sprawę, że znajduje się poza społeczeństwem i nie ma nadziei, by mógł kiedykolwiek wrócić do niego. Spostrzegł, że społeczeństwo usuwa poza swój obręb, nie wybacząc im nigdy, dwie klasy ludzi: tych, którzy je napastują, i tych, którzy go pilnują; mógł wybierać tylko między tymi dwiema klasami; równocześnie czuł, że nosi w sobie jakiś silny podkład surowości, uczciwości i porządku, połączonych z niewysłowioną nienawiścią dla tej rasy cygańskiej, z której się sam wywodził.

Wstąpił do policji. Powiodło mu się; w czterdziestym roku życia był już inspektorem.

Za młodu pracował jako dozorca więzienny na południu Francji.

Człowiek ten składał się z dwóch uczuć bardzo prostych i właściwie dobrych, które jednak uczynił złymi, wyolbrzymiając je przesadnie: z poszanowania władzy i nienawiści do buntu. W jego oczach kradzież, zabójstwo i wszelkie zbrodnie były tylko odmianami buntu. Ślepo i głęboko wierzył we wszystko, co sprawuje jakikolwiek urząd w państwie, od pierwszego ministra do polnego strażnika. Gardził, nienawidził, brzydził się wszystkim, co raz przekroczyło legalny próg złego. Był bezwzględny i nie dopuszczał wyjątków. Z jednej strony mówił: „Urzędnik nie może się omylić, sędzia nigdy nie błądzi”. – Z drugiej strony utrzymywał: „Ci są zgubieni nieodwoalnie. Nic dobrego z nich nie będzie”. – W zupełności podzielał opinie tych skrajnych umysłów, które przypisują prawu ludzkiemu niesłychaną władzę czynienia lub, jeśli wolicie, wykrywania szatanów, i umieszczają Styks u spodu społeczeństwa. Był stoicki, poważny, surowy; smutny marzyciel; pokorny i wyniosły jak wszyscy fanatycy. Spojrzenie miał niby świder, zimne i przeszywające. Całe jego życie zamykało się w tych dwóch słowach: czuwać i pilnować. Wprowadził linię prostą w to, co najzawilsze na świecie. Był przekonany o swej użyteczności, czuł religijne poszanowanie dla swego urzędu i był szpiclem tak, jak się jest kapłanem. Biada temu, kto wpadł w jego ręce! Aresztowałby rodzzonego ojca, uciekającego z galer, zadenuncjowałby matkę, gdyby zbiegła z więzienia. Uczyniłby to z wewnętrznym zadowoleniem, jakie daje cnota. A przy tym życie pełne wyrzeczeń, wstrzeźliwość, samotność, czystość obyczajów, żadnej rozrywki. Był to nieubłagany obowiązek, policja tak pojęta, jak Spartanie pojmwali Spartę; bezlitosna warta, drapieżna uczciwość, szpicel z kamienia, Brutus w ciele Vidocqa.

Cała postać Javerta wyrażała człowieka, który śledzi i kryje się. Mistyczna szkoła Józefa de Maistre, która wówczas przyprawiała wysoką kosmogonią reakcyjne dzienniki, niechybnie by powiedziała, że Javert jest symbolem. Nie widać było jego czoła skrytego pod kapeluszem, nie widać było jego oczu gubiących się pod brwiami, nie widać było jego brody zanurzonej w kołnierzu, nie widać było jego rąk ginących w rękawach, nie widać było jego laski, którą nosił pod surdudem. Ale gdy się zdarzyła sposobność, nagle, jak z zasadzki, ukazywało się z cienia czoło wąskie i guzowate, złowrogie spojrzenie, groźna broda, ogromne ręce i olbrzymia pałka.

W chwilach wypoczynku, bardzo rzadkich, czytał, choć nienawidził książek; dzięki temu nie był zupełnie bez wykształcenia. Można to było poznać po przesadzie, z jaką się wysławiał.

Powiedzieliśmy już, że nie miał żadnych nałogów, żadnych wad. Kiedy był z siebie zadowolony, pozwalał sobie na szczyptę tabaki. To jedno nadawało mu cechę człowieczeństwa.

Łatwo zrozumieć, że Javert był postrachem całej klasy ludzi, których statystyka roczna ministerstwa sprawiedliwości zamieszcza pod rubryką: bez określonego zajęcia. Płoszyło ich samo nazwisko Javerta; ujrawszy jego oblicze, drętwieli.

Takim był ten straszliwy człowiek.

Javert ciągle miał na oku pana Madeleine. Na oku pełnym podejrzeń i domysłów. Pan Madeleine spostrzegł to w końcu, ale nie zdawał się zwracać uwagi. Nie zadał żadnego zapytania Javertowi, nie szukał go, nie unikał, znosząc spokojnie ten wzrok kłępujący, prawie ciężki. Traktował Javerta jak i wszystkich, swobodnie i z dobrocią.

Z kilku słów, które się wyrwały Javertowi, odgadywano, że z tą rasową ciekawością, na którą składa się tyleż instynktu co i woli, szukał potajemnie wszelkich śladów przeszłości, jakie mogły pozostać gdzieś po panu Madeleine. Wydawało się, że coś wie, i niekiedy mówił półsłówkami, że ktoś zasięgnął pewnych informacji w pewnej okolicy o pewnej zaginionej rodzinie. Jednego razu zdarzyło mu się powiedzieć głośno do siebie: „Zdaje mi się, że go mam”. – Później trzy dni chodził zamyślony, nie odzywając się ani słowem. Widocznie nie, której już był pewien, urwała się.

Zresztą – koniecznie musimy sprostować zbyt bezwzględne znaczenie, jakie mogłyby mieć pewne wyrazy – w istocie ludzkiej nie ma nic całkowicie nieomylnego i właściwością instynktu jest to właśnie, że może się zmieszać, oszukać lub dać wywieść w pole. Inaczej byłby wyższy od rozumu, a zwierzę byłoby bardziej oświecone niż człowiek.

Doskonały spokój i naturalność pana Madeleine bez wątpienia zbijały z tropu Javerta.

Pewnego dnia wszakże dziwne jego zachowanie zrobiło pewne wrażenie na panu Madeleine. A oto przy jakiej się to stało okazji.

Ojciec Fauchelevant

Pan Madeleine przechodził pewnego ranka nie brukowaną uliczką miasteczka Montreuil-sur-mer; nagle usłyszał krzyki i ujrzał przed sobą jakieś zbiegowisko. Podeszedł. Starzec zwany ojcem Fauchelevant wpadł właśnie pod wóz, a koń zaprzęzony do wozu przewrócił się.

Ów Fauchelevant należał do nielicznych wrogów, których miał jeszcze w owym czasie pan Madeleine. Kiedy Madeleine przybył w te strony, Fauchelevant, dawny pisarz, włościanin dość wykształcony, posiadał sklepik, który zaczynał właśnie podupadać. Fauchelevant patrzył, jak ten prosty robotnik wzbogaca się, kiedy on, gospodarz, niszczy coraz bardziej. Obudziło to w nim zazdrość i przy każdej sposobności, jak mógł, szkodził Madeleine'owi. Nadeszło w końcu ostateczne bankructwo i starzec, samotny zresztą, bezdzietny, któremu został tylko wóz i koń, musiał zarabiać na życie jako woźnica.

Koń złamał obydwie nogi i nie mógł się podnieść. Starzec został uwięziony pod kołami. Upadek był tak niefortunny, że ciężar całego wozu ugniatał jego pierś. Wóz był dość ciężko naładowany. Ojciec Fauchelevant jęczał okropnie. Próbowano go wydobyć, ale nadaremnie. Jedno niezręczne szarpnięcie, jeden fałszywy ruch, jedno niewłaściwe wstrząśnięcie wozem mogło go dobić. Wydobyć go można było tylko unosząc wóz od spodu. Javert, który nadbiegł w momencie wypadku, posłał po lewar.

Nadszedł pan Madeleine. Rozstąpiono się z uszanowaniem.

– Pomocy! – wołał stary Fauchelevant. – Czy nie znajdzie się poczciwy chłopak, który ocali życie staremu?

Pan Madeleine zwrócił się do obecnych:

– Macie lewar?

– Już posłano – odpowiedział jakiś wieśniak.

– Jak prędko przyniosą?

– Najbliżej stąd jest do Flachot, gdzie jest kowal, i tam poszli; ale zawsze upłynie dobry kwadrans, nim wrócą.

– Kwadrans! – zawołał Madeleine.

Poprzedniego dnia padał deszcz, grunt rozmókł, wóz z każdą chwilą zagłębiał się w ziemię i coraz silniej przygniatał pierś starego woźnicy. Oczywiście było, że nim pięć minut upłynie, będzie miał połamane żebra.

– Niepodobna czekać kwadransa – rzekł Madeleine do przyglądających się wieśniaków.

– Trzeba!

– Ależ będzie za późno! Nie widzicie, że wóz grzęźnie w ziemi?

– Do licha!

– Słuchajcie – mówił Madeleine – jest jeszcze dość miejsca pod wozem, może się tam wsunąć jeden człowiek i podnieść wóz plecami. Tylko pół minuty, a wyciągnie się biedaka. No co, czy jest tu kto z mocnym krzyżem i dobrym sercem? Zarobi pięć złotych luidorów.

Nikt z gromady nie poruszył się.

– Dziesięć luidorów – rzekł Madeleine.

Obecni spuścili oczy. Jeden z nich szepnął:

– Trzeba być diabelnie mocnym. A przy tym wóz może na śmierć przygnieść!

– No! – namawiał Madeleine – dwadzieścia luidorów!

Milczenie.

– Na pewno nie zbywa im na dobrej woli – odezwał się głos z tyłu.

Pan Madeleine obrócił się, poznał Javerta. Nie spostrzegł go w pierwszej chwili. Javert mówił dalej: – Ale zbywa na sile. Trzeba być pierwszorzędnym siłaczem, żeby podnieść na plecach taki wóz.

I utkwivszy wzrok w panu Madeleine mówił dalej, kładąc nacisk na każde słowo:

– Panie Madeleine, znałem tytko jednego człowieka, który zdolny był zrobić to, czego pan żąda.

Madeleine zadrżał.

Javert dodał obojętnie, nie spuszczać jednak oczu z Madeleinea:

– Był to galernik.

– O! – rzekł Madeleine.

– Na galerach tulońskich.

Madeleine zbladł.

Tymczasem wóz z wolna zagłębiał się dalej.

Ojciec Fauchelevent rzęził i krzyczał:

– Duszę się! Łamie mi żebra! Lewar, byle co! Ach!

Madeleine spojrział dokoła:

– Nikt więc nie chce zarobić dwudziestu luidorów i ocalić życia biednemu starcowi?

Żaden z obecnych nie ruszył się. Javert powtórzył.

– Znałem tylko jednego człowieka, który mógł zastąpić lewar. Był to galernik.

– Ach! Zgniata mnie! – krzyczał starzec.

Madeleine podniósł głowę, spotkał sokoli wzrok Javerta, ciągle w nim utkwiony, spojrział na nieruchomych wieśniaków i uśmiechnął się smutnie. Potem, nie rzekłszy słowa, upadł na kolana i nim osłupiały tłum zdążył wydobyć z siebie jeden okrzyk, był już pod wozem.

Nastąpiła straszna chwila oczekiwania i ciszy.

Madeleine leżał na brzuchu pod tym strasznym ciężarem i dwa razy na próżno usiłował przysunąć łokcie ku kolanom. Wołano na niego: – Ojczy Madeleine! Wyjdźcie spod wozu! Wyjdźcie! – Sam stary Fauchelevent mówił: – Panie Madeleine, idź pan! Widać sążone mi jest umierać. Zostaw mnie! Wóz zgniecie i pana!

Madeleine nie odpowiadał.

Obecni wstrzymali oddech. Koła jeszcze bardziej zagłębiały się w błoto i zdawało się już niepodobieństwem, żeby Madeleine mógł wydobyć się spod wozu.

Nagle ogromna masa poruszyła się; wóz podnosił się z wolna, koła na pół wyszły z kolein. Usłyszano zdławiony głos: – Śpieszcie się! Pomagajcie! – To Madeleine uczynił ostatni wysiłek.

Rzucili się do wozu. Poświęcenie jednego dodało siły i odwagi wszystkim. Dwadzieścia ramion podniosło wóz. Stary Fauchelevent był uratowany.

Madeleine podniósł się. Był blady, choć kroplisty pot spływał mu z czoła. Ubranie miał podarte i zabłocone. Wszyscy płakali. Starzec całował mu kolana i nazywał go Panem Bogiem. On zaś miał w twarzy nie dający się opisać wyraz niebiańskiego, szczęśliwego cierpienia i spokojnym okiem patrzył na Javerta, który przyglądał mu się bez przerwy.

Fauchelevant zostaje ogrodnikiem w Paryżu

Fauchelevant podczas tego wypadku zwichnął jabłko w kolanie. Ojciec Madeleine kazał go przenieść do infirmerii, którą urządził dla robotników w samym gmachu fabryki, a którą prowadziły dwie siostry miłosierdzia. Nazajutrz rano starzec znalazł na swym stoliku banknot tysiącfrankowy i kartkę z tymi słowami, napisaną ręką ojca Madeleine: *Kupuję od was konia i wóz. Wóz był połamany, koń martwy. Fauchelevant wyzdrowiał, ale kolano pozostało bezwładne.* Pan Madeleine, uzyskawszy dla starca rekomendację siostr i miejscowego proboszcza, umieścił go jako ogrodnika w żeńskim klasztorze na przedmieściu św. Antoniego w Paryżu.

Wkrótce potem pan Madeleine został mianowany merem. Gdy Javert po raz pierwszy ujrzał pana Madeleine przepasanego szarfą, która dawała mu władzę nad miastem, wstrząsnął nim dreszcz, niby brytanem, który by zwietrzył wilka pod odzieżą swego pana. Od tej chwili unikał go najstaranniej. Kiedy obowiązki służby koniecznie tego wymagały i musiał osobiście stawiać się u pana mera, odzywał się do niego z głębokim szacunkiem.

Pomyślność miasta Montreuil-sur-mer, dzieło ojca Madeleine, oprócz widomych oznak, któreśmy wyżej wskazali, miała jeden skutek, niewidzialny wprawdzie, ale niemniej przeto znamienity. I który nigdy nie omyli. Kiedy ludność cierpi, kiedy braknie pracy, kiedy nie ma handlu, podatnicy z biedy nie płacą podatków, zaległości rosną i państwo wydaje dużo pieniędzy na przymusowe ich ściąganie. Kiedy pracy jest pod dostatkiem, kiedy kraj jest szczęśliwy i bogaty, podatek łatwo wpływa do kasy i mało państwo kosztuje. Rzec można, że nieomylnym termometrem nędzy i bogactwa publicznego są koszty egzekucji podatkowej. W ciągu siedmiu lat w okręgu Montreuil-sur-mer koszty egzekucji podatków zmniejszyły się o trzy czwarte; z tego powodu pan de Villèle, ówczesny minister skarbu, często stawiał ten okręg za wzór.

Takie było położenie tej okolicy, gdy Fantyna do niej powróciła. Nikt już jej sobie nie przypominał. Szczęściem, drzwi fabryki pana Madeleine były niby twarz przyjazna i znajoma. Poszła tam i przyjęto ją do warsztatu kobiecego. Rzemiosło było zupełnie nowe dla Fantyny, nie miała jeszcze dość wprawy, zarabiała więc niewiele; wystarczało to jednak i zagadnienie zostało rozwiązane: mogła zapracować na życie.

Pani Victurnien wydaje trzydzieści pięć franków na moralność

Fantyna ucieszyła się widząc, że może żyć. Życie uczciwie z własnej pracy – co za łaska niebios! Zasmakowała w pracy naprawdę. Kupiła lusterko, z radością przyglądała się swej młodości, pięknym włosom, pięknym zębom, zapomniała o wielu rzeczach, myślała jedynie o swej Kozecie, o widokach na przyszłość i była prawie szczęśliwa. Wynajęła mały pokój i umeblowała go na kredyt, na rachunek przyszłego zarobku; pozostałość lekkomyślnych nawyknień.

Nie mogąc powiedzieć, że była zameżna, starannie ukrywała przed wszystkimi, że ma córeczkę.

W tym pierwszym okresie, jak widzieliśmy, regularnie płaciła Thénardierom. Umiała tylko podpisać się, musiała więc dyktować listy publicznemu pisarzowi.

Listy te były częste, zauważono je. W warsztacie kobiecym szeptano po cichu, że Fantyna „pisuje listy” i że ona „coś tam ma”.

Niektóre osoby są złe tylko przez gadatliwość. Ich rozmowy, w salonach nazywane pogawędkami, w przedpokojach paplaniną, są jak te piece, co prędko zużywają drzewo; trzeba im dużo paliwa, a tym paliwem jest bliźni.

Zaczęto więc śledzić Fantynę.

Prócz tego niejedna zazdrościła jej pięknych jasnych włosów i białych zębów.

Spostrzeżono, że pracując z innymi w warsztacie, często odwracała głowę, by otrzeć łzę. Były to chwile, kiedy myślała o swoim dziecku, może i o mężczyźnie, którego kochała.

Zrywanie ponurych więzów z przeszłością to bolesna praca.

Spostrzeżono, że pisywała najmniej dwa razy na miesiąc; zawsze pod tym samym adresem, i że frankowała listy. Zdobyto więc adres. *Do pana Thénardier, oberżysty w Montfermeil*. Zaproszono do karczmy pisarza publicznego i wyciągnięto na słówka; wiedziano, że stary poczciwina, napełniając żołądek winem, opróżnia swe kieszenie ze wszystkich sekretów. Krótko mówiąc, dowiedziano się, że Fantyna ma dziecko. „Musiała widać być taką”. Znalazła się kuma, która umyślnie pojechała do Montfermeil, pomówiła z Thénardierami i powróciwszy rzekła: – Kosztowało mnie to trzydzieści pięć franków, ale zrzuciłam kamień z serca. Widziałam dziecko!

Kuma, która zrobiła to odkrycie, była to jędra zwana panią Victurnien, stróżka i odzwierna cnoty całego świata. Pani Victurnien miała pięćdziesiąt sześć lat i była równie szpetna, jak stara. Głos beczący ze starości jak u barana, w głowie pomysły młodej kozy. Rzecz dziwna, ta baba była niegdyś młoda. W młodości, w roku 1793, zaślubiła mnicha, który zbiegł z klasztoru w czerwonej frygijce i z bernardyna stał się jakobinem. Sucha, szorstka, cierpka, kolczasta, ciernista, prawie jadowita, często przypominała sobie mnicha, po którym owdowiała i który jej dobrze przytarł rogow. Była to pokrzywa zgnieciona habitem. Podczas Restauracji została dewotką, i to tak zapamiętała, że księża przebaczyli jej mnicha. Miała mająteczek, który z wielkim hałasem zapisała jakiemuś zgromadzeniu zakonnemu. Była bardzo dobrze widziana w konsystorzu w Arras. To ta właśnie pani Victurnien jeździła do Montfermeil i wróciwszy powiedziała: „Widziałam dziecko”.

Wszystko to zajęło sporo czasu; Fantyna już przeszło od roku pracowała w fabryce, gdy pewnego ranka nadzorczyni warsztatu wręczyła jej pięćdziesiąt franków od pana mera, oznajmiając, że już nie będzie pracować w warsztacie, i w imieniu pana mera wzywając, by opuściła miasto.

Właśnie w tym samym miesiącu Thénardierowie podniósłszy uprzednio opłatę z sześciu franków na dwanaście, zażądali z kolei piętnastu franków.

Fantyna była zrozpaczona. Nie mogła opuścić miasta, bo winna była za meble i za komorne. Pięćdziesiąt franków nie wystarczyło na pokrycie tego długu. Wybąkała kilka błagalnych słów. Nadzorczyni oznajmiła, że natychmiast ma opuścić warsztat. Fantyna była zresztą tylko mierną robotnicą. Zgnębiona jeszcze bardziej wstydem niż rozpaczą, opuściła warsztat i wróciła do swej izby. A więc wszyscy już wiedzieli o jej grzechu!

Nie miała siły wyrzec ani słowa. Doradzono jej udać się do mera, nie śmiała. Mer dał jej pięćdziesiąt franków, ponieważ był dobry, i wygnał ją, bo był sprawiedliwy. Podała się wyrokowi.

Powodzenie pani Victurnien

Wdowa po mnichu przydała się więc na coś.

Zresztą pan Madeleine nic o tym wszystkim nie wiedział. Podobnych splotów wypadków pełno jest w życiu ludzkim. Pan Madeleine z zasady nigdy prawie nie wchodził do kobiecego

warsztatu. Zarząd tego warsztatu powierzył starej pannie poleconej mu przez proboszcza; pokładał w niej zupełne zaufanie, bo rzeczywiście osoba ta była szanowna, sprawiedliwa, nieugięta, prawa, pełna miłosierdzia polegającego na dawaniu pomocy, ale w znacznie mniejszej mierze powodująca się miłosierdziem, które polega na zrozumieniu i przebaczeniu. Pan Madeleine ufał jej we wszystkim. Nieraz najlepsi ludzie muszą składać swą władzę w cudze ręce. Mając tedy jego pełnomocnictwo i przekonanie, że dobrze postępuje, nadzorczyni wytoczyła proces, osądziła, wydała wyrok i wykonała go na Fantynie.

Owe pięćdziesiąt franków dała z sumy, którą jej powierzył pan Madeleine na jałmużny i wsparcie dla robotników, a z której nie musiała się wyliczać.

Fantyna chciała znaleźć sobie miejsce służącej; zaczęła pytać po domach. Nikt jej nie przyjął. Miasta opuścić nie mogła, gdyż tandeciarz, u którego wzięła na kredyt nędzne meble, zapowiedział jej: „Jeżeli wyjedziesz z miasta, każę cię aresztować, jak złodziejkę”. Właściciel domu, któremu winna była za komorne, powiedział: „Jesteś młoda i ładna, możesz płacić”. – Podzieliła pięćdziesiąt franków między właściciela i tandeciarza, oddała mu prawie wszystkie meble, zatrzymawszy tylko rzeczy niezbędne, i znalazła się bez pracy, bez środków do życia, mając tylko łóżko oraz dług około stu franków.

Zaczęła więc szyć grube koszule dla żołnierzy z garnizonu, czym zarabiała dwanaście su dziennie. Córeczka kosztowała ją dziesięć. Wtedy to właśnie zaczęła nieregularnie płacić Thénardierom.

Tymczasem staruszka, która jej zapalała świecę, gdy wracała wieczorem, uczyła ją sztuki życia w nędzy. Za „życiem z małego” leży „życie z niczego”. Są to dwa pokoje: pierwszy jest ciemny, drugi czarny.

Fantyna nauczyła się, jak się obywać bez ognia w zimie, jak się wyrzec ptaka, który w dwa dni zjadał za szeląg prosa, jak ze spódnicy robić kołdrę, a z kołdry spódnicę, jak oszczędzać świecy jedząc wieczorem przy świetle z okna sąsiadów. Nie wiemy nawet, ile niektóre istoty słabe, co zestarzały się w nędzy i uczciwości, umieją wydobyć z jednego grosza. Oszczędność staje się talentem. Fantyna nabyła tego szczytnego talentu i nabrała nieco odwagi.

W owym czasie mówiła do sąsiadki: – Ba! Powiadam sobie, śpiając tylko pięć godzin, resztę czasu poświęcając na sycie, zawsze jakoś zarobię na kawałek chleba. A przy tym, kiedy człowiek jest smutny, to jada niewiele. A więc cierpienie, niepokój, trochę chleba i zmartwienia – to wszystko mnie wyżywi.

W tej rozpaczliwej doli byłoby dla niej wielkim szczęściem mieć przy sobie córeczkę. Myślała, jakby ją sprowadzić. Ale cóż! Miałaby dzielić z nią jej nędzę? A przy tym zadłużyła się u Thénardierów! Jak zapłacić dług? A droga? Skąd wziąć na drogę?

Staruszka, która udzielała jej tego, co nazwać by można lekcjami życia w niedostatku, była to stara panna świętej dobroci, imieniem Małgorzata, szczerze pobożna, biedna, miłosierna dla ubogich, a nawet i dla bogatych, umiejąca tylko podpisać swoje imię: „Małgorzata” i wierząca w Boga, co jest wiedzą.

Te cnoty nie są rzadkie w najniższych warstwach społeczeństwa, pewnego dnia znajdą się na wierzchu. Takie życie ma przed sobą przyszłość.

W pierwszym okresie po wypędzeniu z fabryki Fantyna tak się wstydziła, że nie śmiała wyjść na ulicę.

Kiedy szła przez miasto, odgadywała, że ludzie oglądają się za nią i pokazują palcami; wszyscy na nią patrzyli, a nikt nie przywitał; ciepka i zimna wzgarda przechodniów jak mroźny wiatr przejmowała jej ciało i przenikała do duszy.

W małym miasteczku nieszczęśliwa kobieta jest niby obnażona wobec szyderstw i ciekawości wszystkich. W Paryżu przynajmniej nikt jej nie zna i ta obcość jest jak ubranie. O, jakżeby chciała wrócić do Paryża! Niepodobna.

Trzeba było przywyknąć do tej wzgardy, jak przywykła do nędzy. I to powoli się udało. Po dwóch czy trzech miesiącach strząsnęła z siebie wstyd i zaczęła wychodzić, jakby nic nie zaszło: „Wszystko mi jedno” – mówiła.

Wychodziła i wracała z podniesioną głową, z gorzkim uśmiechem, i czuła, że się staje bezczelna.

Pani Victurnien widziała czasem, jak przechodzi koło jej okna, dostrzegając smutek tego „stworzenia”, które dzięki niej „postawiono na swoim miejscu”, i szczerze sobie wieszowała. Żli ludzie mają czarne szczęście.

Nadmiar pracy męczył Fantynę, coraz częściej powracał suchy kaszel. Czasami mówiła do sąsiadki Małgorzaty: – Zobaczcie, jakie mam rozpalone ręce.

Rankiem tylko, czesząc starym, połamanym grzebieniem swe piękne włosy, spływające jak jedwabne włókno, uśmiechała się przez chwilę zalotnie i radośnie.

Dalszy ciąg powodzenia

Odprawiono ją z warsztatu pod koniec zimy; lato minęło, lecz zima wróciła. Dni krótkie, mniej roboty. W zimie nie ma ciepła, nie ma światła, nie ma słońca; wieczór styka się z porankiem, mgła, zmrok, okno szare, nic nie widać. Niebo jak okienko sutereny. Dzień niby piwnica. Słońce wygląda jak nędzarz. Straszna pora! Zima zmienia w kamień wodę nieba i serce człowieka. Wierzycciele dokuczali.

Fantyna zarabiała za mało. Długi urosły. Thénardierowie, źle opłacani, pisywali często listy, których treść ją smuciła, a opłaty pocztowe rujnowały. Pewnego dnia napisali, że Kozeta jest zupełnie naga w tę ostrą zimę, że trzeba jej sprawić wełnianą sukienkę i że matka musi przysłać na to co najmniej dziesięć franków. Cały dzień miała w ręku ten nieszczęsny list. Wieczorem poszła do fryzjera, mieszkającego na rogu ulicy, i rozpuściła warkocz. Prześliczne jasne włosy sięgały kolan.

- Piękne włosy! – zawołał fryzjer.
- Co mi pan da za nie? – zapytała.
- Dziesięć franków.
- Niech pan tnie.

Kupiła trykotową sukienkę i wysłała do Thénardierów. Małżonkowie Thénardier wściekli się ze złości. Chcieli pieniędzy, a nie sukienki. Oddali ją Eponinie. Biedny Skowronek po dawnemu drżał z zimna.

Fantyna myślała: Moje dziecko nie marznie. Odziałam je własnymi włosami. – Ostrzyżoną głowę kryła w okrągłych czepeczkach, w których była jeszcze ładna.

W sercu Fantyny dokonywała się posępna praca. Kiedy ujrzała, że nie ma już co czesać, zienawidziła wszystko dookoła. Długo, jak wszyscy inni, czciła ojca Madeleine, ale powtarzając sobie nieustannie, że to on ją wygnał, że on był sprawcą jej nieszczęścia, powzięła w końcu nienawiść i ku niemu również, ku niemu przede wszystkim. Przechodząc koło fabryki w godzinach, kiedy robotnicy wychodzili, udawała, że się śmieje i śpiewa.

Pewna stara robotnica, patrząc na jej śmiech i śpiewanie, powiedziała: – Oj, ta dziewczyna źle skończy.

Wzięła sobie kochanka, pierwszego z brzegu, którego wcale nie kochała; na złość innym, z wściekłością w sercu. Był to nędzarz, rodzaj żebrzącego muzykanta, próżniak i łotr, który ją bił i który ją tak opuścił, jak ona go wzięła, z obrzydzeniem.

Fantyna ubóstwiała swoje dziecko.

Im niżej spadała, im głębsza dokoła niej robiła się ciemność, tym jaśniej ten mały anioł promieniał w jej duszy. Mówiła: – Kiedy będę bogata, Kozeta będzie ze mną – i śmiała się. Kaszel nie ustawał, zimny pot często występował jej na plecy.

Pewnego dnia otrzymała od Thénardierów list następującej treści:

Kozeta zasłabła na chorobę grasującą w okolicy. Nazywają to ospą wietrzną. Potrzeba jej drogich lekarstw. Nie mamy już pieniędzy i nie możemy ich kupować. Jeśli w ciągu tygodnia nie przyślesz nam czterdziestu franków, mała umrze.

Fantyna roześmiała się głośno i rzekła do starej sąsiadki: – Dobre sobie! Czterdzieści franków! Tylko tyle. Dwa napoleony! A skąd je mam wziąć! Głupi chłopci!

Wyszła jednak na schody i przy świetle padającym z małego okienka powtórnie przeczytała list.

Potem zbiegła ze schodów, podskakując i dalej się śmiejąc.

Jakiś przechodzień ją zapytał:

– A czemuż to tak ci wesoło?

Odrzekła:

– Dostałam list ze wsi. Świetny żart! Żądają ode mnie czterdziestu franków. Oj ci chłopci!

Przechodząc przez rynek, zobaczyła tłum ludzi otaczający wózek dziwaczego kształtu; na koźle stał jakiś człowiek cały czerwono ubrany i coś prawił. Był to wędrowny kuglarz-dentysta, który zachwalał publiczności całe szczęki, lekarstwa, proszki i eliksiry.

Fantyna przyłączyła się do tłumu i śmiała się z innymi, słuchając przemówienia, w którym koncepty dla gawiedzi mieszały się z wyszukаныmi wyrażeniami przeznaczonymi dla słuchaczy z lepszych sfer. Wyrwacz zębów zobaczył tę ładną, roześmianą dziewczynę i nagle zawołał:

– Panienska ma śliczne zęby. Sprzedaj mi dwie swoje palety, a dam za każdą złotego napoleona.

– Co to znaczy moje palety? – zapytała Fantyna.

– Palety – objaśnił profesor-dentysta. są to zęby przednie górne, o, te dwa.

– Okropność! – zawołała Fantyna.

– Dwa napoleony! – mruknęła jakaś bezzębna staruszka. – To mi dopiero szczęśliwa dziewczyna!

Fantyna uciekła zatkawszy uszy, żeby nie słyszeć schrypniętego głosu kuglarza, który wołał za nią: – Zastanów się, ślicznotko! Dwa napoleony mogą się przydać. Jak się namyślisz, to przyjdź wieczorem do gospody „Pod Srebrnym Pomostem”. Tam mnie znajdziesz.

Fantyna wróciła do domu oburzona, wściekła i opowiadała poczciwej sąsiadce Małgorzacie: – Jak wam się zdaje? Czy to nie obrzydliwiec? Że też takim ludziom pozwalają włóczyć się po kraju? Wyrwać mi moje dwa przednie zęby! Okropność! Zgroza! Włosy odrosną, ale zęby! Ach, potwór, nie człowiek! Wołałabym się rzucić na bruk z piątego piętra głową na dół! Powiedział, że dziś wieczór będzie „Pod Srebrnym Pomostem”.

– A ile dawał? – zapytała Małgorzata.

– Dwa napoleony.

– To jest czterdzieści franków.

– Tak – rzekła Fantyna – to jest czterdzieści franków.

Zamyśliła się i zabrała do roboty. Po kwadransie rzuciła szycie i poszła na schody, by przeczytać list Thénardierów.

Wróciwszy rzekła do Małgorzaty, która pracowała obok:

– Co to jest takiego: wietrzna ospa? Nie wiecie?

– Wiem – odpowiedziała staruszka. – To taka choroba.

- I tak dużo na to lekarstw potrzeba?
- O, i to mocnych lekarstw!
- A skąd się tego dostaje?
- A tak się łapie i już.
- A czepia się to dzieci?
- Przede wszystkim dzieci.
- Umierają od tego?
- Bardzo często – rzekła Małgorzata.

Fantyna wyszła i jeszcze raz przeczytała list na schodach.

Wieczorem widziano, jak szła w stronę ulicy Paryskiej, gdzie są oberże.

Nazajutrz rano, gdy Małgorzata weszła przed świtem do pokoju Fantyny, zawsze bowiem pracowały razem, by zaoszczędzić świecy, zastała Fantynę siedzącą na łóżku, bladą, zmarzniętą. Tej nocy wcale nie kładła się spać. Czepek spadł jej na kolana. Świeca paliła się całą noc i został z niej tylko niedopałek.

Małgorzata przystanęła na progu, zdumiona tym niezwykłym nieładem, i zawołała:

- Chryste Panie! Cała świeca wypalona! Coś się musiało stać!

I spojrzała na Fantynę, która obróciła ku niej swą ostrzyżoną głowę.

Od wczoraj Fantyna postarzała się o lat dziesięć.

- Jezus Maria! – krzyknęła Małgorzata. – Co ci jest, Fantyno?

– Nic – odpowiedziała Fantyna. – Przeciwnie. Moje dziecko nie umrze na tę straszną chorobę, z braku pomocy. Jestem zadowolona.

Mówiąc to pokazała staruszce dwa napoleony, które błyszczały na stole.

- Święty Boże! Ależ to cały majątek! Skąd wzięłaś te dukaty?
- Dostałam – odpowiedziała Fantyna.

I uśmiechnęła się. Blask świecy padł na jej twarz. Był to krwawy uśmiech. Czerwonawa ślina plamiła kąty warg, między którymi ziała czarna dziura. Dwa zęby były wyrwane. Wysłała czterdzieści franków do Montfermeil. Był to zresztą podstęp Thénardierów, żeby wydobyć pieniądze. Kozeta nie była chora.

Fantyna wyrzuciła swoje lustro za okno. Od dawna już przeniosła się z pokoiku na drugim piętrze do zamykanej na zasuwkę ciupki na strychu; było to poddasze, którego pułap tworzył kąt z podłogą i co chwila uderzało się o niego głową. Biedak i w głąb swojej izby, i w głąb swego przeznaczenia może wejść tylko pochylając się coraz niżej. Nie miała łóżka, pozostał jej nędzny łachman, który nazywała kołdrą, siennik na ziemi i krzesło bez plecionki. Krzak róży, który hodowała, usechł i stał w doniczce w kącie izby, zapomniany. W drugim kącie dzban na wodę; zimna woda zamarzała w nim, a kręgi lodowe, które pozostawały we wnętrzu, długo wskazywały, do jakiej wysokości go napełniano. Straciła już wstyd, teraz straciła zalotność. Znak to ostatni. Wychodziła w brudnych czepkach; z braku czasu, a może dlatego, że było jej wszystko jedno, nie naprawiała bielizny. Kiedy pięty pończoch zdzierały się, wsuwała je głębiej w trzewiki. Poznać to można było po charakterystycznych prostopadłych fałdach. Łatała stary zużyty stanik kawałkami perkaliku, który darł się za lada poruszeniem. Ludzie, u których miała długi, robili jej ciągle „sceny” i nie dawali chwili wytchnienia. Spotykała ich na ulicy, spotykała ich na swoich schodach. Po całych nocach płakała i rozmyślała. Oczy jej błyszczały, czuła nieustanny ból w lewej łopatce. Męczył ją kaszel. Głęboko nienawidziła ojca Madeleine i nie skarżyła się. Szyła po siedemnaście godzin dziennie; ale pewien przedsiębiorca robót więziennych, któremu aresztanci szyli za bezcen, sprawił, że ceny nagle spadły tak, iż wolne robotnice mogły zarobić tylko dziewięć su dziennie. Siedemnaście godzin pracy za dziewięć su! Wierzyciele stali się bardziej niemiłosierni niż kiedykolwiek. Tandeciarz, który odebrał wszystkie meble, mówił jej nieustannie: Kiedy mi zapłacisz, hultajko? – Boże drogi, czegoż od niej chcą? Czuła się zaszczuta i zaczęło się w niej budzić coś z dzikiego zwierzęcia. W tym to właśnie czasie

Thénardier napisał, że doprawdy za wiele okazywał dobroci czekając tak długo i że musi przysłać natychmiast sto franków, bo inaczej wyrzuci za drzwi Kozetę, przychodzącą do zdrowia po ciężkiej chorobie; że wypędzi ją na mróz, na gościniec, niech się z nią stanie, co chce, niech zdycha.

Sto franków – pomyślała Fantyna. – Ale czym można by zarobić choć sto su dziennie?

– Trudno – rzekła – sprzedajmy i resztę!

I została, nieszczęsna, dziewczyną uliczną.

Pan Bamatabois nudzi się

We wszystkich miasteczkach, a w Montreuil-sur-mer w szczególności, jest klasa młodzieży przepuszczającej na prowincji swoje tysiąc pięćset franków rocznego dochodu zupełnie tak samo, jak złota młodzież paryska pożera swoje dwieście tysięcy rocznie. Są to istoty z wielkiego gatunku stworzeń nijakich; próżniaki, pasożyty, zera, z kawałkiem ziemi, sporą dozą głupoty i szczyptą dowcipu, byliby parobkami w salonie, a mają się za paniczów w karczmie; na ustach wiecznie: moje pola, moje lasy, moi chłopci; wygwizdują aktorki w teatrze, żeby dać dowód wykwintnego gustu; urządzają burdy z oficerami garnizonu, żeby dać dowód męstwa, polują, ćmią fajki, ziewają, piją, czuć ich tytoniem, grają w bilard, przyglądają się podróżnym wysiadającym z dylizansu, wycierają kąty w kawiarni, jedzą w oberży, mają psa, który ogryza kości pod stołem, i kochankę, która stawia półmiski na stole, targują się o każdy grosz, przesadzają w modnym ubraniu, podziwiają tragedię, gardzą kobietami, dodzierają stare buty, małpują Londyn na wzór paryski i Paryż na wzór Pontamousson, niedołączniają na starość, nic nie robią, na nic nie są przydatni i nie bardzo są szkodliwi.

Gdyby pan Feliks Tholomyès został na prowincji i nigdy nie widział Paryża, należałby do takich ludzi.

Gdyby byli bogatsi, powiedziano by: „To eleganci”. Gdyby byli ubożsi, powiedziano by: „To próżniacy”. Po prostu są to ludzie zajęci zabijaniem czasu. Znajdziesz między nimi nudnych, znudzonych, marzycieli i kilku błaznów.

W owym czasie na eleganta składał się ogromny kołnierzyk, suty halsztuk, zegarek z brelokami, trzy kamizelki różnego koloru, włożone jedna na drugą, spodem niebieska, na niej czerwona, surdut oliwkowy z krótkim stanem i rybem ogonem z tyłu, z podwójnym rzędem srebrnych guzików, przyszytych jeden przy drugim i sięgających aż na ramiona, spodnie też oliwkowe, jaśniejsze nieco, z ogromną liczbą lampasów z obu stron szwów, zawsze nieparzysta, poczynając od jednego aż do jedenastu, która to granica nigdy jeszcze nie została przekroczona. Dodajcie do tego buty z żelaznymi podkówkami, cylinder z wąskim rondem, włosy fryzowane, potężną laskę i rozmowę zaprawną kalamburami Potiera. Na tym wszystkim – ostrogi i wąsy. W owym czasie wąsy oznaczały mieszczaucha, a ostrogi piechura.

Elegant prowincjonalny nosił dłuższe ostrogi i groźniejsze wąsy.

W owym czasie były się rzeczypospolite Ameryki Południowej z królem hiszpańskim, Boliwar przeciw Morillowi. Kapelusze z wąskimi rondami były rojalistyczne i zwały się „morillo”; liberałowie nosili kapelusze z szerokim rondem, zwane „boliwarami”.

Otóż w osiem czy dziesięć miesięcy po tym, cośmy opowiedzieli na poprzednich kartach, w pierwszych dniach stycznia 1823 roku, pewnego śnieżnego wieczoru, jeden z tych elegantów zabijających czas, widać, że „dobrze myślący”, bo był w kapeluszu morillo, ciepło otulony wielkim płaszczem, dopełniającym w zimie modnego kostiumu, zabawiał się dokuczaniem dziewczynie, która w balowej sukni, wygorsowana, z kwiatami na głowie,

przechadzała się pod oknami kawiarni oficerów. Elegant palił cygaro, gdyż wymagała tego moda.

Ile razy dziewczyna przechodziła koło niego, elegant ciskał jej kłęb dymu z cygara i kilka docinków, które mu się wydawały dowcipne i wesołe, np. „Aleś szpetna! Schowaj się lepiej! Szczerbata!” itd. itd. Jegomość ten nazywał się pan Bamatabois. Kobieta, smętnie strojne widziadło, chodzące tam i z powrotem po śniegu, nie odpowiadała, nie spojrzała nań nawet, tylko w milczeniu, z ponurą regularnością, co pięć minut wracała pod szyderstwa, jak skazany żołnierz pod różgi. Ta obojętność na jego koncepty ubodła widocznie próżniaka; korzystając z momentu, w którym kobieta odwróciła się, pobiegł za nią na palcach, tłumiąc śmiech, podniósł z ziemi garść śniegu i zniecka wrzucił jej za gors, między dwie obnażone łopatki. Dziewczyna wrzasnęła, odwróciła się, skoczywszy jak pantera, rzuciła się na mężczyznę i wpiła mu paznokcie w policzki, klnąc najstraszniejszymi słowy, jakie mogłyby paść w ryszotok z kordegardy. Te przekleństwa, plwane głosem ochrypłym od wódki, padały obrzydliwie z ust, w których rzeczywiście brakowało dwóch przednich zębów. Była to Fantyna.

Na ten hałas wszyscy oficerowie wyszli z kawiarni, przechodnie zatrzymali się i utworzyło się wielkie koło widzów śmiejących się, przyklaskujących tej walce dwóch istot, w których z trudnością można było poznać mężczyznę i kobietę; mężczyzna bronił się, zgubiwszy kapelusz, kobieta biła go nogami i pięściami, rozczochrana, wyjąca, bez zębów i bez włosów, sina z wściekłości, ohydna.

Nagle jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu wyszedł z tłumu, chwycił kobietę za atlasowy stanik pokryty błotem i rzekł: – Za mną!

Kobieta podniosła głowę; wściekły jej głos umilkł nagle. Oczy stały się szklane, zbladła jak trup, zatrzęsała się z przerażenia. Poznała Javerta.

Elegant, korzystając z tego wydarzenia, umknął czym prędzej.

Rozwiązanie niektórych zagadnień policji municypalnej

Javert rozsunał ciekawych, rozerwał krąg i zaczął iść wielkim krokiem, ciągnąc za sobą nieszczęśliwą w kierunku biura policji, które znajdowało się w drugim końcu rynku. Fantyna dała się prowadzić bez oporu. Ani on, ani ona nie wyrzekli słowa. Tłum ciekawych w najwyższej radości szedł za nimi, zasypując ich konceptami. Skrajna nędza nastęrcza świetną sposobność do bezwstydných dowcipów.

Kiedy przybyli do biura policji, niskiej sali ogrzanej piecem i pilnowanej przez strażnika, z oszklonymi i okratowanymi drzwiami od ulicy, Javert otworzył drzwi, wszedł z Fantyną i zamknął drzwi za sobą, ku wielkiemu niezadowoleniu ciekawych, którzy wspinając się na palce i wyciągając szyje usiłowali coś dojrzeć przez zabrudzone szyby. Ciekawość to łakomstwo. Patrzanie to pożeranie.

Wszedłszy Fantyna padła w kącie, nieruchoma, milcząca i skurczona jak pies, który się boi.

Dyżurny podoficer postawił na stole zapaloną świecę. Javert usiadł, wyjął z kieszeni arkusz papieru stemplowanego i zaczął pisać.

Prawa francuskie całkowicie oddają kobiety tej klasy na łaskę i niełaskę policji. Czyni ona z nimi, co chce, karze, jak się jej podoba, zabierając im wedle woli te dwie smutne rzeczy, które nazywają swoim przemysłem i swoją wolnością. Javert miał minę obojętną, jego poważna twarz nie zdradzała żadnego wzruszenia. Był jednak wielce i głęboko zafrasowany. Była to jedna z chwil, kiedy bez kontroli, ale z wszelką skrupulatnością surowego sumienia,

wykonywał swą straszliwą władzę. Czuł, że w takiej chwili stołek urzędnika policyjnego jest trybunałem. Sądził i skazywał. Zwoływał wszystkie myśli, jakie miał w głowie, aby mu pomogły w wielkim dziele, którego dokonywał. Im więcej zastanawiał się nad postępkami tej dziewczyny, tym bardziej był oburzony. Niewątpliwie, był przed chwilą świadkiem zbrodni. Zobaczył tam, na ulicy, społeczeństwo, uosobione w postaci właściciela wyborcy, zelżone i sponiewierane przez stworzenie stojące poza wszystkim. Nierządnicą podniosła rękę na obywatela. On, Javert, to widział. Pisał w milczeniu.

Gdy skończył, podpisał, złożył papier i oddał naczelnikowi warty mówiąc: – Weź trzech żołnierzy i zaprowadź tę dziewczkę do więzienia. Następnie, obracając się do Fantyny, dodał: – Posiedzisz za to pół roku.

Nieszczęsna zadrżała:

– Pół roku! Sześć miesięcy więzienia! – krzyknęła. – Przez sześć miesięcy będę zarabiać tylko siedem su dziennie. A co się stanie z Kozetą? Moja córka! Moja córka! Ale ja jeszcze jestem winna przeszło sto franków Thénardierom. Czy wie pan o tym, panie inspektorze?

Złożywszy dłonie poczołgała się, sunąc na kolanach po podłodze ubłoconej butami tych ludzi:

– Panie Javert – mówiła – łaski! Zapewniam pana, że to nie moja wina. Gdyby pan widział początek, sam by pan zrozumiał! Na Pana Boga przysięgam, że to nie moja wina. To ten wielmożny pan, którego nie znam, rzucił mi śniegu za suknię. Czy ma kto prawo rzucać nam śnieg za suknię, kiedy przechodzimy sobie spokojnie nikomu nie robiąc nic złego? To mi odebrało rozum. Bo, widzi pan, jestem trochę chora. A przy tym już spory czas ten pan gadał mi różne głupstwa. „Jesteś brzydka, nie masz zębów”. Wiem dobrze, że nie mam już moich zębów. Ja mu nic nie zrobiłam, powtarzałam sobie: „Ten pan się bawi”. Byłam z nim grzeczna, nie powiedziałam ani słówka. A on wtedy rzucił we mnie śniegiem. Panie Javert, dobry panie inspektorze, czy nie ma nikogo, co by panu powiedział, że to wszystko prawda? Może niepotrzebnie się rozgniewałam. Wie pan, w pierwszej chwili człowiek sam nie wie, co robi. Taki poryw złości. A przy tym ten śnieg był taki strasznie zimny i ten pan tak niespodzianie wrzucił mi go za kołnierz. Źle zrobiłam, że mu zniszczyłam kapelusz. Dlaczego od razu poszedł? Przeprosiłabym go. Mój Boże, dlaczego żebym go nie miała przeprosić? Przebacz mi ten jeden jedyny raz, panie Javert. Pan pewnie nie wie, że w więzieniach zarabia się tylko siedem su, nie jest to wina rządu, ale zarabia się tylko siedem su, a niech pan pomyśli, że muszę zapłacić sto franków, bo inaczej wypędzą moją małą! O mój Boże! Nie mogę jej trzymać przy sobie. To takie okropne, co ja robię. O, moja Kozeto, o, mój aniołku Przenajświętszej Panny, co się z nią, biedactwem, stanie! Widzi pan, ci Thénardierowie, oberżędzy, chłopcy, to nie mają wyrozumienia. Trzeba im pieniędzy. Niech mnie pan nie wsadza do więzienia! Widzi pan, to małe biedactwo wyrzucą za drzwi, na ulicę, w zimie; trzeba ulitować się nad tym, dobry panie Javert! Gdyby to było większe, zarobiłoby na życie, ale w tym wieku to nie może. Nie jestem w gruncie rzeczy złą kobietą. Nie podłość lub łakomstwo zrobiły ze mnie to, czym jestem. Piłam wódkę, ale z nędzy. Nie lubię tego, ale to odurza. Kiedy byłam szczęśliwsza, trzeba było zajrzeć do moich szuflad; łatwo było poznać, że nie jestem zalotnica i niechluj. Miałam bieliznę, dużo bielizny. Niech się pan zlituje nade mną, panie Javert!

Tak mówiła zgięta wpół, wstrząsana łkaniem, oślepiąca przez łzy, z obnażonymi ramionami, łamiąc ręce, kaszląc suchym i krótkim kaszlem, szepcząc cichutko zamierającym głosem. Wielka boleść jest promieniem boskim i straszliwym, który przeobraża nędzarzy. W tej chwili Fantyna znowu stała się piękną. Niekiedy milkła i tklawie całowała surdut policjanta. Rozczuliłaby serce z granitu; ale drewnianego serca nic nie rozczuli.

– No! – rzekł Javert – wysłuchałem cię. Nagadałaś się dosyć? Ruszaj teraz! Posiedzisz sześć miesięcy! Sam Ojciec Przedwieczny nic tu nie poradzi.

Po tych uroczystych słowach: „Sam Ojciec Przedwieczny nic tu nie poradzi” zrozumiała, że wyrok zapadł. Pochyliła się jeszcze niżej, szepcząc:

– Łaski!

Javert odwrócił się tyłem. Żołnierze schwycili ją za ręce.

Już przed chwilą niepostrzeżenie wszedł jakiś człowiek. Zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i wysłuchał rozpaczliwych błagań Fantyny.

Kiedy żołnierze schwycili nieszczęśliwą, która nie chciała się podnieść, postąpił krok naprzód, wynurzył się z cienia i powiedział:

– Proszę zaczekać!

Javert podniósł oczy i poznał pana Madeleine. Zdjął kapelusz i uklonił się niezgrabnie i gniewnie.

– Przepraszam pana mera...

Ten wyraz mer sprawił niezwykle wrażenie na Fantynie. Wyprostowała się nagle jak widmo wychodzące spod ziemi, rękami odepchnęła żołnierzy, podeszła do pana Madeleine, zanim ją można było zatrzymać, i patrząc na niego obłąkanym wzrokiem, zawołała:

– A więc ty jesteś panem merem!

Wybuchnęła śmiechem i plunęła mu w twarz. Pan Madeleine otarł twarz i rzekł:

– Inspektorze Javert, proszę puścić wolno tę kobietę.

Javertowi wydało się, że dostaje pomieszania zmysłów. Doświadczył w tej chwili, raz po razie, prawie równocześnie, dwu najgwałtowniejszych wzruszeń, jakich mu się kiedykolwiek w życiu przydarzyło doznać. Nierządnicą plująca w twarz merowi wydała mu się czymś tak potwornym, że samo przypuszczenie czegoś podobnego uważałby za świętokradztwo. Z drugiej strony, w głębi swej świadomości, czuł jakąś wstrętną bliskość tego, czym była ta kobieta, i tego, czym mógł być ten mer, i ze zgrozą widział w tym niesłychanym zamachu postępek całkiem naturalny. Ale kiedy ten mer, ten urzędnik, spokojnie otarłszy twarz, powiedział: „Proszę puścić wolno tę kobietę” – poraziło go jak gdyby osłupienie, powstała pustka, zabrakło mu słów i myśli; miara zdumienia przebrała się. Milczał.

Fantynę te słowa wtrąciły w nie mniejsze zdumienie. Podniosła obnażone ramię i uczepiła się gzymsu pieca, jakby niepewna swych nóg. I rozglądała się dookoła, szepcząc półgłosem, jakby do siebie:

– Puścić wolno! Puścić wolno mnie! Nie zamykać na sześć miesięcy do więzienia! Kto to powiedział? To niemożliwe, chyba nikt tego nie wymówił. Zdawało mi się. Bo przecie nie ten potwór mer. Czy to pan powiedział, dobry panie Javert, żeby mnie wypuszczono na wolność? O, właśnie, powiem coś panu i puści mnie pan na pewno. Ten potwór mer, ten zbrodniarz mer jest przyczyną wszystkiego. Niech pan sobie wyobrazi, panie Javert, wypędził mnie z warsztatu przez plotki kilku głupich bab. Czy to nie wstrętne! Wypędzać biedną dziewczynę, która pracowała uczciwie! Nie mogłam potem zarobić, ile mi było potrzeba, i stąd całe nieszczęście. Panowie z policji jedno powinni by poprawić przede wszystkim: nie pozwalać przedsiębiorcom więzić krzywdzić biednych ludzi. Zaraz to panu wytłumaczę: zarabia się dwanaście su na koszulach, tymczasem cena spada na dziewięć su i już nie można żyć. I człowiek ima się wszystkiego. Ja miałam moją małą Kozetę i musiałam pójść na ulicę. Rozumie pan teraz, że to ten niegodziwiec mer jest winowajcą? Później podeptałam kapelusz tego wielmożnego pana przed kawiarnią oficerską. Ale on zniszczył mi śniegiem całą suknię. Takie kobiety jak ja mają tylko jedną jedwabną suknię na wieczorne chodzenie. Więc, widzi pan, że nie zrobiłam nic złego naumyślnie, tyle jest kobiet daleko gorszych ode mnie i na pewno szczęśliwszych. O, panie Javert, to pan powiedział, żeby mnie wypuszczono, prawda? Niech się pan dowie, niech pan zapyta mojego gospodarza; teraz płacę komorne, powie panu, że jestem akuratna. O mój Boże! przepraszam, przez nieuwagę dotknęłam się drzwiczek od pieca i nadymiałam.

Pan Madeleine słuchał z głęboką uwagą. Kiedy mówiła, pogrzebał w kamizelce, wyjął sakiewkę, otworzył. Była pusta. Schował ją do kieszeni. Rzekł do Fantyny:

– Ile jesteś dłużna?

Fantyna, która patrzyła tylko na Javerta, odwróciła się ku niemu:

– Czy ja do ciebie mówię?

Potem zwracając się do żołnierzy:

– Powiedźcie no, widzieliście, jak mu plunęłam w twarz? A, stary draniu merze, przyszedłeś mnie tu nastraszyć, ale ja się ciebie nie boję. Boję się tylko pana Javerta. Boję się dobrego pana Javerta.

I mówiąc tak, zwróciła się do inspektora:

– Bo przecież trzeba być sprawiedliwym, panie inspektorze. Rozumiem, pan jest sprawiedliwy, pewnie, to przecież takie proste, mężczyzna wrzucił trochę śniegu za suknię kobiecie i to rozśmieszyło panów oficerów, trzeba się czymś zabawić, a od czegoż my jesteśmy, jeżeli nie od bawienia panów, pewnie! I pan nadszedł właśnie, a inspektor musi przestrzegać porządku, więc pan zabrał kobietę, która zawiniła, ale po rozwadze, ponieważ pan jest dobry, każe mnie pan puścić na wolność, przez wzgląd na małą, bo przez sześć miesięcy więzienia nie miałabym czym żywić dziecka. Tylko żebyś mi tu więcej nie wróciła, hultajko! O, już nie wrócę, panie Javert! Niech teraz robią ze mną, co zechcą, ani pisnę. Tylko dziś, widzi pan, krzyczałam, bo mi się zrobiło niedobrze, nie spodziewałam się, że mi ten pan wrzuci śnieg za suknię, a przy tym powiedziałam panu, jestem trochę chora, kaszlę, coś mnie pali w żołądku, a doktor mi mówi: „Dbaj o swoje zdrowie”. Niech pan da rękę, niech pan dotknie, niech pan się nie boi, to tutaj.

Nie płakała już, głos jej stał się pieszczotliwy, przyłożyła do swej białej delikatnej piersi grubą i szorstką rękę Javerta i patrzyła na niego z uśmiechem.

Nagle poprawiła żywo swą zgniecioną suknię, wygładziła spódnicę, która podniosła się prawie do kolan, kiedy czołgała się po ziemi, ruszyła ku drzwiom i powiedziała półgłosem do żołnierzy, przyjacielsko kiwając im głową:

– Żołnierzyki, pan inspektor kazał mnie puścić, do widzenia!

Położyła rękę na klamce. Jeszcze jeden krok i byłaby na ulicy.

Aż do tej chwili Javert stał nieruchomo, z oczami utkwionymi w ziemię, niby posąg, który by ktoś na chwilę postawił pośrodku izby, aby go później sprzątnąć.

Obudził go hałas poruszonej klamki. Podniósł głowę z wyrazem najwyższej władzy, wyrazem zawsze tym straszniejszym, im niżej władza ta jest położona, srogim w dzikim zwierzu, okrutnym w człowieku bez znaczenia.

– Sierzancie! – zawołał – czy nie widzicie, że szelma ucieka? Kto wam kazał ją puścić?

– Ja – rzekł Madeleine.

Fantyna zadrżała na głos Javerta i puściła klamkę, jak schwytywany złodziej wypuszcza przedmiot, który ukradł. Na głos Madeleine'a obróciła się i odtąd bez słowa, nie śmiać nawet odetchnąć swobodnie, wodziła oczami kolejno od Madeleine'a do Javerta i od Javerta do Madeleine'a, zatrzymując się na tym z nich, który mówił.

Niewątpliwie, Javert musiał, jak powiadają, „wyjść z siebie”, kiedy tak pozwolił sobie zbesztać sierżanta po rozkazie mera, by wypuścić na wolność Fantynę. Czyżby aż do tego doszło, że zapomniał o obecności pana mera? Czy też może wmówił sam w siebie, że „władza” nie mogła wydać podobnego rozkazu i że niewątpliwie mer pomylił się, że chciał powiedzieć co innego? Lub też, będąc od dwóch godzin świadkiem rzeczy tak niezwykłych, może powiedział sobie, że należy zdobyć się na krok stanowczy, z małego stać się wielkim, ze szpicla sędzią, ze sługi policyjnego urzędnikiem sprawiedliwości, i że w tej przedziwnej a ostatecznej chwili porządek, prawo, moralność, całe społeczeństwo uosobiło się w nim tylko, w Javercie?

Jakkolwiek tam z nimi było, kiedy pan Madeleine wyrzekł to „ja”, inspektor policji Javert obrócił się nagle ku panu merowi, blady, chłodny, z posiniałymi wargami, ze spojrzeniem pełnym rozpaczy, i z ciałem wstrząsanym niewidzialnym dreszczem i – rzecz niesłychana – spuszczać oczy wprawdzie, ale stanowczym głosem rzekł mu:

– Panie merze, to nie może być.

– Co? – zapytał pan Madeleine.

– Ta nieszczęsna znieważyla mieszkańca naszego miasta.

– Inspektorze Javert – odparł pan Madeleine tonem pojednawczym i spokojnym – chciej posłuchać. Jesteś człowiekiem uczciwym, więc chętnie panu to wyjaśnię. Oto prawda: przechodziłem przez rynek, gdy pan prowadził tę kobietę; rozpytałem się zgromadzonych ludzi i dowiedziałem się o wszystkim; to tamten ją skrzywdził i w myśl przepisów porządku publicznego on by powinien być aresztowany.

Javert odpowiedział:

– Ta nędznica zelżyła pana mera.

– To już moja sprawa – odrzekł pan Madeleine. – Obelga mnie wyrządzona do mnie chyba należy. Mogę z nią zrobić, co zechcę.

– Bardzo przepraszam pana mera. Ta obelga nie do niego należy, lecz do wymiaru sprawiedliwości.

– Inspektorze Javert – odparł pan Madeleine. – Pierwszym wymiarem sprawiedliwości jest sumienie. Słyszałem to, co mówiła ta kobieta. Wiem, co robię.

– A ja, panie merze, nie rozumiem tego, co widzę.

– Więc słuchaj nie rozumiejąc.

– Jestem posłuszny obowiązkowi. Mój obowiązek wymaga, aby ta kobieta odsiedziała sześć miesięcy w więzieniu.

Pan Madeleine odpowiedział łagodnie:

– Niech pan posłucha uważnie: nie będzie w więzieniu ani jednego dnia.

Na te stanowcze słowa Javert ośmielił się uważnie spojrzeć na mera i – zawsze tym samym tonem najgłębszego uszanowania rzekł:

– Jestem w rozpaczy, że pierwszy raz w życiu nie mogę być posłuszny panu merowi, raczy mi jednak pan mer pozwolić na uwagę, że działam w zakresie moich uprawnień, ponieważ pan mer tego żąda, mówię tylko o sprawie z tym panem. I ja tam byłem. Ta dziewczyna rzuciła się na pana Bamatabois, wyborcę i właściciela tego pięknego domu z balkonem na rogu esplanady, o trzech piętach, z ciosowego kamienia. Sprawa jest przecież jasna jak dzień! A w każdym razie, panie merze, wszelkie wypadki na ulicy należą do policji, wobec czego zatrzymuję kobietę Fantynę.

Wówczas pan Madeleine założył ręce na piersi i rzekł głosem surowym, jakiego nigdy nikt jeszcze nie słyszał w mieście:

– Wypadek, o którym pan mówi, należy do jurysdykcji policji municypalnej. Według artykułów: 9, 11, 15 i 68 kodeksu karnego ja jestem jej sędzią. Rozkazuję natychmiast uwolnić tę kobietę.

Javert zaryzykował ostatnią próbę:

– Ależ panie merze...

– Przypominam panu artykuł 81 ustawy z 13 grudnia 1799 roku o samowolnym aresztowaniu.

– Pan mer pozwoli...

– Ani słowa.

– Wszelako...

– Proszę wyjść! – rzekł pan Madeleine.

Javert przyjął cios na stojąco, bez zmrużenia oka, prosto w pierś, jak rosyjski żołnierz. Ukłonił się panu merowi aż do ziemi i wyszedł.

Kiedy wyszedł, pan Madeleine obrócił się ku Fantynie i zaczął mówić powoli, z trudnością, jak poważny człowiek, który nie chce się rozplakać.

– Słyszałem twoje słowa. Nic o tym wszystkim nie wiedziałem. Zdaje mi się, że mówisz prawdę, czuję, że mówisz prawdę. Nie wiedziałem nawet, że opuściłaś moje warsztaty. Dlaczego nie zwróciłaś się do mnie? A teraz posłuchaj: zapłacę twoje długi, sprowadzę dziecko albo ty pojedziesz do dziecka. Zamieszkaż tu, w Paryżu czy gdzie zechcesz. Ja się zajmę tobą i twoim dzieckiem. Jeżeli nie będziesz chciała, możesz nie pracować. Dam ci tyle pieniędzy, ile będzie trzeba. Znowu będziesz uczciwą, stając się szczęśliwą. A nawet, słuchaj, powiadam ci to już teraz, że jeżeli, o czym nie wątpię, wszystko, co mówisz, jest prawdą, nigdy nie przestałaś być cnotliwą i świętą w obliczu Boga! O, biedna kobieto!

Było to więcej, niż biedna Fantyna mogła znieść. Mieć Kozetę! Wydobyć się z tego haniebnego życia! Przyszłość swobodna, dostatnia, szczęśliwa, uczciwa, z Kozetą! Ujrzała nagle, jak wśród jej nędzy rozkwitają wszystkie rzeczywistości raj! Błędnyimi oczami patrzyła na tego człowieka, który mówił do niej, i nie mogła nic powiedzieć, tylko raz czy dwa razy zaszlochała:

– Och! och! och! – Zachwiały się pod nią nogi. Ukłękła przed panem Madeleine i nim zdołał zapobiec temu, uczuł, że chwyta jego rękę i przyciska ją do warg.

A potem zemdląa.

Rozdział szósty

JAVERT

Początek odpoczynku

Pan Madeleine kazał przenieść Fantynę do szpitala, który znajdował się w jego własnym domu. Powierzył ją opiece sióstr miłosierdzia, a te położyły ją do łóżka. Nastąpiła silna gorączka. Przez całą noc Fantyna majaczyła głośno. Wreszcie usnęła.

Nazajutrz koło południa obudziła się, usłyszawszy czyjś oddech tuż przy swoim łóżku, odsłoniła firankę i ujrzała pana Madeleine, który stojąc patrzył na jakiś przedmiot ponad jej głową. Spojrzenie jego wyrażało litość, niepokój i błaganie. Zwróciła oczy w tym kierunku i zobaczyła, że spojrzenie to utkwione było w krucyfiks wiszący na ścianie.

Pan Madeleine zmienił się w oczach Fantyny. Zdawało jej się, że go otacza światłość. Był pogrążony jakby w modlitwie. Długo mu się przypatrywała, nie śmiać przerwać. Na koniec odezwała się nieśmiało:

– Co pan tu robi?

Pan Madeleine stał tu już od godziny. Czekał, aż się Fantyna obudzi. Wziął ją za rękę, dotknął puls i odpowiedział:

– Jak się czujesz?

– Dobrze – rzekła – spałam, zdaje się, że mi jest lepiej. Nic mi nie będzie.

Madeleine, odpowiadając na pierwsze jej pytanie, jakby w tej chwili uczynione, rzekł:

– Modliłem się do męczennika, który jest w niebiosach.

I dodał w duchu: Za męczennicę, która jest tu, na ziemi.

Pan Madeleine całą noc i cały ranek zbierał informacje. Teraz wiedział już wszystko. Znał w najdrobniejszych szczegółach historię Fantyny. Mówił dalej:

– Wiele wycierpiałaś, biedna matko. O, nie uskarżaj się. czeka cię nagroda wybranych. W ten sposób ludzie czynią aniołów. Nie ich to wina, że nie umieją robić tego inaczej. Widzisz, to piekło, z którego wychodzisz, jest pierwszą postacią niebios. Trzeba było zacząć od tego.

Westchnął głęboko. Ona zaś uśmiechnęła się do niego niewypowiedzianym uśmiechem, któremu brakowało dwu zębów.

Tej samej nocy Javert napisał list. Nazajutrz rano sam zaniósł go na pocztę w Montreuil-sur-mer. Adres był taki: *Do pana Chabouille, sekretarza pana prefekta policji w Paryżu*. Pogłoski o zajściu w kordegardzie rozeszły się po mieście, więc urzędnicy pocztowi i osoby, które list widziały i poznały na kopercie charakter pisma Javerta, domyśliły się, że posyłał swoją dymisję.

Pan Madeleine natychmiast napisał list do Thénardierów. Fantyna była im winna sto dwadzieścia franków. Postał im trzysta franków, polecając potrącić z tej kwoty dług, a za resztę bezzwłocznie przywieźć dziecko do Montreuil-sur-mer, do chorej matki.

Ołśniło to Thénardiera. – Do licha! – rzekł – nie puszczajmy dziecka. Ten chudy Skowronek staje się dojną krową. Zgadłem. Jakiś głupiec rozkochał się w matce.

W odpowiedzi posłał bardzo szczegółowy rachunek na pięćset kilkanaście franków. Wstawił tu przede wszystkim najprawdziwsze pozycje: koszty doktora i koszty aptekarza, z których jeden leczył, a drugi dawał lekarstwa podczas dwóch przewlekłych chorób Eponiny i Anzelmy. Kozeta, jak powiedzieliśmy, nigdy nie chorowała. Trzeba było zmienić tylko imiona, nic więcej. Thénardier napisał u spodu. *Otrzymano a conto trzysta franków.*

Pan Madeleine bezzwłocznie posłał jeszcze trzysta franków i napisał: *Spiesznie przywoźcie Kozetę.*

– Do pioruna! – rzekł Thénardier. – Nie puszczajmy dziecka.

A tymczasem Fantyna bynajmniej nie wracała do zdrowia. Ciągle leżała w szpitalu.

Z początku siostry ze wstrętem przyjęły i pielęgnowały „taką dziewczynę”. Kto widział płaskorzęby z Reims, ten przypomina sobie, z jakim wyděciem dolnej wargi panny mądre patrzą na panny głupie. Ta starożytna wzdarda westalek dla ladacznic jest jednym z najgłębiej zakorzenionych instynktów godności niewieściej; doznawały jej siostry, wzmożonej podwójnie przez religię. Ale po kilku dniach Fantyna rozbroiła je. Mówiła z taką słodyczą i pokorą, a macierzyństwo jej rozrzewniało. Pewnego dnia siostry usłyszały, jak mówiła w gorączce: – Byłam grzesznicą, ale gdy będę miała dziecko przy sobie, to będzie znak, że mi Pan Bóg przebaczył. Kiedy źle czyniłam, nie ośmieliłabym się mieć przy sobie Kozety, nie zniósłabym widoku jej zdziwionych i smutnych oczu. Ale przecież to dla niej tylko grzeszyłam i dlatego Bóg mi przebaczy. Poczuję błogosławieństwo boskie, gdy Kozeta będzie tutaj. Spojrzę na nią i widok jej niewinności uzdrowi mnie. Ona nic nie wie. Widzicie, moje siostry, to aniołek. W tym wieku jeszcze nie opadły skrzydła.

Pan Madeleine przychodził dwa razy dziennie i za każdym razem pytała go:

– Czy prędko zobaczę moją Kozetę?

Odpowiadał:

– Może jutro rano. Spodziewam się jej lada chwila.

Błada twarz matki promieniała.

– O! – mówiła – jaka będę szczęśliwa.

Jak powiedzieliśmy, nie wracała do zdrowia. Przeciwnie, stan jej pogarszał się z tygodnia na tydzień. Ta garść śniegu, położona na obnażoną skórę między dwie łopatki, nagle przerwała transpirację, skutkiem czego początki choroby, tkwiące w niej od kilku lat, rozwinęły się nagle i gwałtownie. Lekarz osłuchiwał Fantynę i potrzęsnał głową.

Pan Madeleine zapytał lekarza:

– I cóż?

– Ma podobno dziecko, które pragnie widzieć – powiedział doktor.

– Ma.

– A więc trzeba je sprowadzić jak najspieszniej.

Pan Madeleine drgnął.

Fantyna zapytała:

– Co powiedział doktor?

Pan Madeleine zdobył się na uśmiech:

– Powiedział, żeby prędko sprowadzić twoje dziecko. To ci wróci zdrowie.

– O! – zawołała – on ma słuszość! Ale dlaczego ci Thénardierowie zatrzymują Kozetę? O, ona przyjedzie! Widzę nareszcie, że szczęście jest już blisko.

Tymczasem Thénardier „nie wypuszczał dziecka”, zmyślając setki przyczyn. Kozeta była trochę niezdrowa i nie mogła podróżować zimą. A przy tym pozostało trochę drobnych, lecz pilnych długów, których zestawienia przygotowywał.

– Poślę kogoś po Kozetę – rzekł ojciec Madeleine. – A jeżeli będzie trzeba, sam pojedę.

I pod dyktando Fantyny napisał następujący list, który dał jej do podpisania.

*Panie Thénardier! Oddasz pan Kozetę oddawcy tego listu.
Zapłaci panu wszystkie drobne długi.
Mam zaszczyt pozdrowić pana z szacunkiem
Fantyna.*

Wśród tych przygotowań zdarzył się ważny wypadek. Daremnie staramy się jak najostrożniej ociosywać tajemniczy blok, z którego zrobione jest nasze życie, zawsze w nim się ukazuje czarna żyłka przeznaczenia.

W jaki sposób Jan może stać się Champ

Pewnego ranka pan Madeleine pracował w swoim gabinecie mera, zajęty załatwianiem zawczasu pilnych spraw urzędowych na wypadek, gdyby sam musiał jechać do Montfermeil, kiedy mu oznajmiono, że inspektor policji Javert pragnie z nim mówić. Usłyszawszy to nazwisko, pan Madeleine nie mógł się obronić od przykrego uczucia. Od czasu zajścia w biurze policji Javert staranniej niż kiedykolwiek unikał go i pan Madeleine nie widział inspektora ani razu.

– Prosić – rzekł.

Javert wszedł do gabinetu.

Pan Madeleine siedział blisko kominka, z piórem w ręku, z oczami zwróconymi na akta, które przeglądał i opatrywał adnotacjami; były to protokoły przestępstw ulicznych. Nie oderwał się od roboty po wejściu Javerta. Nie umiał powstrzymać myśli o biednej Fantynie i było mu wygodniej okazać lodowaty chłód.

Javert z uszanowaniem skłonił się przed merem, który siedział obrócony tyłem. Pan mer nie spojrzał na niego, lecz dalej robił adnotacje na aktach.

Javert postąpił kilka kroków i zatrzymał się, nie przerywając milczenia.

Fizjonomista oswojony z naturą Javerta, z dawna obserwujący tego dzikusa na usługach cywilizacji, tę dziwną mieszaninę Rzymianina, Spartanina, mnicha i kaprała, tego szpicla niezdolnego do kłamstwa, tego policjanta czystego niby dziewica, fizjonomista, który by znał jego tajemną długotrwałą niechęć do pana Madeleine, jego starcie z merem z powodu Fantyny, i który by w tej chwili spojrzał na Javerta, mimo woli zapytałby: Co się stało? – Widoczne było dla każdego, kto znał to sumienie proste, jasne, szczerze, uczciwe, surowe i dzikie, że w Javercie dokonało się jakieś wielkie wewnętrzne wydarzenie. Cokolwiek działo się w duszy Javerta, odbijało się na jego twarzy. Jak wszyscy ludzie gwałtowni, podlegał on nagłym przemianom. Nigdy też fizjonomia jego nie była dziwniejsza i bardziej nieoczekiwana. Wchodząc skłonił się przed panem Madeleine, a w jego spojrzeniu nie było ani urazy, ani gniewu, ani nieufności; zatrzymał się za krzesłem mera w odległości kilku kroków i stał tam wyprostowany, wyciągnięty jak żołnierz, z naiwną i chłodną niezdarnością człowieka, który nigdy nie był łagodny, a za to zawsze cierpliwy; czekał, nie odzywając się ani słowem, nie poruszając się, ze szczerą pokorą i spokojną rezygnacją, aż panu merowi spodoba się odwrócić, spokojny, poważny, z kapeluszem w ręku, ze spuszczonej oczami, z wyrazem twarzy, który by można umieścić między miną żołnierza stojącego przed oficerem i winowajcy stojącego przed sędzią. Znikły wszystkie uczucia i wszystkie wspomnienia, o które go można było posądzić. Na tej twarzy, niedocieczonej i prostej jak granit, malował się tylko ponury smutek. Cała jego postać wyrażała pokorę i stanowczość oraz jakieś mężne przygnębienie.

Na koniec pan mer odłożył i odwrócił się na wpół.

– No cóż tam, Javert? Co się stało?

Javert milczał przez chwilę, jakby zbierał myśli, a potem odezwał się głośno, ze smutnym namaszczeniem, nie bez pewnej prostoty wszakże:

– Panie merze, popełnione zostało przestępstwo.

– Jakie przestępstwo?

– Niższy urzędnik władz porządkowych uchybił wysokiemu urzędnikowi w sposób bardzo poważny. Przychodzę z obowiązku zawiadomić o tym pana mera.

– Któryż to urzędnik zawinił? – zapytał pan Madeleine.

– Ja – rzekł Javert.

– Pan?

– Ja.

– A jakież to urzędnik może się skarżyć na pana?

– Pan, panie merze.

Pan Madeleine wyprostował się na krześle. Javert mówił dalej z miną surową, ze spuszczonego wzrokiem:

– Panie merze, przychodzę prosić, aby pan raczył zażądać od wyższej władzy usunięcia mnie ze służby.

Pan Madeleine, zdumiony, już otwierał usta, żeby się odezwać.

Javert przerwał mu:

– Powie pan, że mogłem sam podać się do dymisji; ale tego nie dosyć. Podać się do dymisji to rzecz zaszczytna. Zawiniłem ciężko, powinienem być ukarany. Trzeba mnie wydalic z służby.

I po chwili milczenia dodał:

– Panie merze, był pan niedawno surowy względem mnie niesprawiedliwie. Proszę, by był pan surowy dzisiaj – sprawiedliwie.

– Jak to? Dlaczego? – zawołał pan Madeleine. – Nie rozumiem. Co się stało? W czym pan zawinił wobec mnie? Co mi pan zrobił? Jaką wyrządził krzywdę? Oskarżasz się, chcesz być przeniesiony...

– Wypędzony – rzekł Javert.

– Wypędzony, zgoda. Bardzo dobrze. Nic zgoła nie rozumiem.

– Zaraz pan zrozumie, panie merze.

Javert westchnął z głębi piersi i mówił dalej, wciąż obojętnie i smutnie:

– Panie merze, przed sześcioma tygodniami, po scenie z tą dziewczyną, byłem tak wściekły, że zadenuncjowałem pana.

– Zadenuncjowałeś?

– Do prefektury policji paryskiej.

Pan Madeleine, który nie częściej się śmiał od Javerta, parsknął śmiechem.

– Jako mera wkraczającego w kompetencje policji?

– Jako dawnego galernika.

Mer zbladł.

Javert nie podnosząc oczu, mówił dalej:

– Tak mi się zdawało. Od dawna powziąłem podejrzenie. Podobieństwo rysów twarzy, wiadomości, jakich pan zasięgał w Faverolles, pańska zdumiewająca siła, przygoda ze starym Fauchelevent, pańska celność strzału, jedna noga nieco utykająca i Bóg wie co, głupstwa! Dość, że brałem pana za niejakiego Jana Valjean.

– Za kogo?... Powtórz pan to nazwisko.

– Jan Valjean. Jest to galernik, którego widziałem przed dwudziestu laty, gdym był pomocnikiem nadzorcy więźniów w Tulenie. Wychodząc z galer Jan Valjean, jak się zdaje, okradł biskupa, później znów popełnił kradzież: z bronią w ręku na publicznej drodze napadł

na małego Sabaudczyka. Od ośmiu lat ukrywał się nie wiadomo gdzie; wszędzie go szukano. Uroiłem sobie... I wreszcie to zrobiłem. W gniewie zdecydowałem się. Zadenuncjowałem pana do prefektury.

Pan Madeleine, który od pewnego czasu zatopił wzrok w papierach, zapytał tonem najzupełniej obojętnym:

– I cóż panu odpowiedziano?

– Że zwariowałem.

– No i?

– No i mieli rację.

– Prawdziwe szczęście, że sam pan to przyznaje!

– Niepodobna nie przyznać, skoro prawdziwy Jan Valjean znalazł się.

Papier wypadł z rąk pana Madeleine, podniósł głowę, uważnie spojrzął na Javerta i rzekł nie dającym się opisać tonem:

– O!

Javert mówił dalej:

– Rzecz ma się tak, panie merze. Zdaje się, że gdzieś pod Aillyle-Haut-Clocher mieszkał pewien człeczyna, którego zwano ojcem Champmathieu. Nędzarz nie wadził nikomu. Nie zwracano na niego uwagi. Tego rodzaju ludzie żyją nie wiadomo z czego. Aż wreszcie, tej jesieni, ojciec Champmathieu został przytrzymany za kradzież jabłek na jablecznik, popełnioną u... Mniejsza u kogo, dość, że ukradł, przelał przez mur, połamał gałęzie drzewa. Złapano tego Champmathieu. Miał jeszcze w rękę gałąź jabłoni. Pakują hultaja do kozy. Dotychczas cała sprawa należała do policji poprawczej. Ale oto zrzządzenie Opatrzności. Więzienie było w złym stanie, więc sędzia śledczy uznał, że należy przenieść Champmathieu do Arras, gdzie jest więzienie departamentalne. W więzieniu w Arras siedzi dawny galernik nazwiskiem Brevet, zatrzymany nie wiem już za co; teraz zrobiono go odźwiernym, bo się dobrze sprawuje. Panie merze, ledwie Champmathieu wszedł do więzienia, ów Brevet, ujrzawszy go, zawołał: „Ależ, znam tego człowieka. Stary kajdaniarz. Przypatrz no mi się, stary! Jesteś Jan Valjean!” „Jan Valjean! Kto to jest Jan Valjean?” – Champmathieu udaje zdziwionego. „No, no, nie udawaj – rzekł Brevet. – Jesteś Janem Valjean! Byłeś na galerach tulońskich przed dwudziestu laty. Byliśmy tam razem”. – Champmathieu zaprzecza. Do licha! Pan mer pojmuję chyba. Zarządzają śledztwo; zaczynają szukać... I cóż się okazuje? Ów Champmathieu przed trzydziestu laty był chłopcem u ogrodnika w wielu miejscach, był i w Faverolles. Dalej ślad jego znika. O wiele, wiele później pojawia się w Owernii, potem w Paryżu, gdzie, jak mówi, był woźnicą i miał córkę praczkę, ale to rzecz nie dowiedziona, na koniec przybywa w te okolice. Otóż czym był Jan Valjean, nim dostał się na galery za kradzież z włamaniem? Ogrodnikiem. Gdzie? W Faverolles. Drugi fakt. Jan Valjean miał imię chrzestne Jan, a jego matka nazywała się z domu Mathieu. Cóż naturalniejszego niż pomysł, żeby po wyjściu z więzienia ukryć się pod nazwiskiem matki i nazwać się Janem Mathieu? Idzie do Owernii. A tam Jan wymawiają Chan, nazywają go więc Chan Mathieu. A naszemu znajomemu w to graj, i oto przemienił się w ojca Champmathieu. Pan mer słucha mnie, prawda? Wypytują się w Faverolles. Rodzina Jana Valjean już tam nie mieszka. Nie wiadomo, gdzie się podziała. W tej sferze, wie pan przecież, często całe rodziny giną gdzieś bez śladu. Szukasz i nic nie znajdujesz. Ci ludzie to kurz, jeżeli nie błoto. A przy tym, ponieważ początek tej historii miał się lat temu trzydzieści, nie ma już w Faverolles nikogo, kto by znał Jana Valjean. Wypytują się w Tulenie. Prócz Breveta tylko dwóch galerników widziało Jana Valjean; są to skazani na dożywotnie więzienie Cochepaille i Chenildieu. Wyciągają ich z galer, przywożą i stawiają wobec mniemanego Champmathieu. Jak Brevet, bez wahania powiadają, że to Jan Valjean. Ten sam wiek, ma pięćdziesiąt cztery lata, wzrost, postawa, słowem – ten sam człowiek. Wtedy to właśnie wysłałem denuncjację do prefektury paryskiej. Odpowiedziano mi, że chyba oszalał, bo Jan Valjean jest w Arras, w rękę

sprawiedliwości. Łatwo pan mer pojmie, jak to mnie zdziwiło, mnie, com sądził, że przyłapałem tu tego właśnie Jana Valjean! Napisałem do sędziego śledczego. Kazał mi przyjechać, przyprowadzają mi Champmathieu...

– I cóż? – przerwał pan Madeleine.

Javert odpowiedział ze swym smutnym i nieprzekupnym wyrazem twarzy:

– Panie merze, prawda jest prawdą. Przykro mi bardzo, ale tamten człowiek rzeczywiście jest Janem Valjean... Ja go również poznałem.

– Jesteś pan tego pewien? – zapytał cicho pan Madeleine.

Javert roześmiał się śmiechem bolesnym, który towarzyszy głębokiemu przekonaniu:

– O, pewien!

Milczał chwilę zamyślony, machinalnie biorąc z pudełka stojącego na stole szczyptę piasku do suszenia atramentu, i dodał:

– A nawet teraz, gdy poznałem prawdziwego Jana Valjean, nie pojmuję, jak mogłem się tak pomylić. Przepraszam pana, panie merze.

Błagając z taką powagą tego, który przed sześciu tygodniami upokorzył go wobec żandarmów i rzekł: „Proszę wyjść!”, Javert, człowiek dumny, był sam, nie wiedząc o tym, pełen prostoty i godności. Pan Madeleine w odpowiedzi na jego prośbę zapytał porywczo:

– A co mówi ten człowiek?

– A, do licha, panie merze, to zła sprawa. Jeśli to Jan Valjean, więc recydywa. Przeskoczyć mur, złamać gałąź, ściągnąć jabłka to swawola u małego chłopca; u dojrzałego mężczyzny to występki; u galernika to zbrodnia. To już należy nie do policji poprawczej, ale do sądu przysięgłych. To już nie kilka dni aresztu, to dożywotnie galery. A dalej sprawa z małym Sabaudczykiem, jak się spodziewam, także wyjdzie na stół. Do diaska! Jest z czego się wykręcać, prawda? Tak, ale nie dla Jana Valjean. Jan Valjean to wytrawna sztuka. Po tym go także poznaję. Inny czułby, czym to pachnie. Wyrabiałby sceny, krzyczał. Ogień pali, woda kipi. Nie chciałbym być Janem Valjean et caelera. On zaś udaje, że nic nie rozumie, i mówi: „Jestem Champmathieu i od tego nie odstąpię”. Udaje zdziwionego, głupca, to daleko dowcipniej. O, łotr jest przebiegły! Ale nic nie pomoże, są dowody. Poznały go cztery osoby, stary hultaj będzie skazany. Sprawę przekazano sądowi przysięgłych w Arras. Mam tam jechać na świadka.

Pan Madeleine na powrót zabrał się do pracy; przewracał spokojnie akta, notował, czytał i pisał jak człowiek bardzo zajęty.

Nagle obrócił się do Javerta i rzekł:

– Dość tego, mój Javercie. Prawdę mówiąc, te szczegóły niewiele mnie obchodzą. Tracimy czas, a mamy pilne sprawy. Javert, udasz się pan bezzwłocznie do pewnej kobieciny Buseaupied, która sprzedaje warzywa na rogu ulicy Saint-Saulve. Powiedz jej pan, żeby złożyła skargę na woźnicę Piotra Chesnelong. To brutal, o mało nie zabił tej kobiety i jej dziecka. Trzeba go ukarać. Dalej, pójdiesz pan do pana Charcellay, ulica Montre-de-Champigny. On się skarży, że z rynny sąsiedniego domu ścieka do niego deszcz i podmywa fundamenty jego kamienicy. Następnie sprawdzisz pan wykroczenia porządkowe, o których mi doniesiono, na ulicy Guibourg u wdowy Doris i na ulicy Garraud-Blanc u pani Renée le Bossé, i spiszesz protokół. Ale daję panu za wiele roboty. Pan wyjeżdża, prawda? Wszak mówiłeś, że się udajesz do Arras za tydzień czy za dziesięć dni?

– Wcześniej, panie merze.

– Kiedy?

Zdaje mi się, że powiedziałem panu merowi, iż sprawa będzie sądzona jutro i że dziś w nocy odjeżdżam dylizansem.

Pan Madeleine poruszył się nieznacznie.

– A jak długo potrwa proces?

– Najwyżej jeden dzień. Najdalej jutro w nocy zapadnie wyrok. Nie będę jednak czekał wyroku, który jest wiadomy z góry. Jak tylko złożę zeznanie, wrócę.

– Dobrze – powiedział pan Madeleine.

I skinieniem ręki pożegnał Javerta.

Javert nie wyszedł jednak.

– Przepraszam pana mera, ale...

– Cóż tam znowu? – zapytał pan Madeleine.

– Panie merze, muszę przypomnieć panu jedną rzecz.

– Jaką?

– Że powinienem być wydalony ze służby.

Pan Madeleine podniósł się.

– Javert, jest pan człowiekiem honorowym i mam dla pana szacunek. Przesadzasz swoją winę. Zresztą, jest to także obraza mnie dotycząca. Javert, zasługujesz raczej na awans niż na dymisję. Zależy mi na tym, abyś pozostał na swojej posiadzie.

Javert spojrzał na pana Madeleine swą niewinną źrenicą, w głębi której zdawało się widnieć mało oświecone, ale surowe i czyste sumienie, i rzekł spokojnie:

– Panie merze, nie mogę się na to zgodzić.

– Powtarzam panu – odparł Madeleine – że to moja rzecz.

– Panie merze, pozostaję w służbie, dopóki nie otrzymam zastępcy.

Wyszedł. Pan Madeleine zamyślił się słuchając, jak rozległy się po posiadce korytarza jego pewne i mocne kroki.

Rozdział siódmy

SPRAWA CHAMPMATHIEU

Siostra Symplicja

Nie wszystkie zdarzenia, które opowiemy niżej, znane były w Montreuil-sur-mer. I to jednak, co doszło do wiadomości miasta, wyryto tak niezatarte wspomnienie, że książka nasza byłaby niepełna, gdybyśmy nie opowiedzieli ich z najdrobniejszymi szczegółami.

W szczegółach tych czytelnik spotka się z dwiema lub trzema okolicznościami nieprawdopodobnymi, które jednak zachowaliśmy przez szacunek dla prawdy.

Po południu, które nastąpiło po rozmowie z Javertem, pan Madeleine o zwykłej godzinie poszedł odwiedzić Fantynę.

Nim wszedł do jej sali, kazał prosić siostrę Symplicję.

Dwie zakonnice, które pracowały w szpitalu, panny zgromadzenia św. Wincentego a Paulo, jak wszystkie siostry miłosierdzia, nazywały się: siostra Perpetua i siostra Symplicja.

Siostra Perpetua była to prosta wieśniaczka, chłopska siostra miłosierdzia, która wstąpiła do klasztoru jak na służbę. Została zakonnicą, jak inna kucharką. Typ to dość pospolity. Zgromadzenia zakonne chętnie przyjmują tę ciężką glinę wieśniaczą, z której łatwo wyrabia się kapucynów i urszulanki. To prostactwo używane jest do grubych robót klasztornych. Przemiana parobka w kapucyna odbywa się bez żadnych wstrząsów; jeden staje się drugim bez wielkiego zachodu, wspólny podkład ciemnoty wiejskiej i ciemnoty klasztornej jest gotowy i od razu czyni z chłopca mnicha. Nieco obszerniejsza siermięga – macie habit. Siostra Perpetua była to krzepka zakonnica z Marines pod Pontoise, mówiąca z chłopską, śpiewająca psalmy, zręczna, słodząca ziółka według stopnia bigoterii lub obłądy pacjenta, burcząca na chorych, opryskliwa z umierającymi, rzucająca im prawie w twarz Pana Boga, kamieniująca agonię gniewnymi modłami, śmiała, poczciwa i czerwona.

Siostra Symplicja była biała białością wosku. Przy siostrze Perpetui wyglądała jak gromnica przy łożówce. Św. Wincenty a Paulo określił postać siostry miłosierdzia w boskich i godnych podziwu słowach, w których łączy tyleż wolności, co poddaństwa: „Klasztorem ich będzie szpital, całą wynajęta izba, kaplicą kościół parafialny, klauzurą ulice miasta i sale szpitalne, zamknięciem posłuszeństwo, kratą bojaźń Boga, welonem skromność”. Ten ideał żył w siostrze Symplicji. Nikt nie mógł określić lat siostry Symplicji; nigdy nie była młoda i zdawało się, że nigdy się nie zestarzeje. Była to osoba – nie śmiemy powiedzieć kobieta – łagodna, surowej pobożności, dobrze wychowana, chłodna i która nigdy nie skłamała. Nadzwyczaj cicha, zdawała się wątpa, a była wytrzymała jak granit. Dotykała nieszczęśliwych ślicznymi, delikatnymi palcami. W jej słowach, żeby tak rzec, mieszkano milczeniem; mówiła tyle tylko, ile wymagała konieczność; dźwięk jej głosu zadowoliłby konfesjonał i zachwycił salon. Delikatność jej wybornie się zgadzała z grubą suknią zakonną, znajdując w szorstkim zetknięciu nieustanne przypomnienie nieba i Boga. Jeden szczegół trzeba podkreślić. Nigdy

nie skłamać, nie powiedzieć dla żadnej przyczyny, a nawet i bez przyczyny czegoś, co nie byłoby prawdą, świętą prawdą – oto znak szczególny siostry Symplicji, oto znamię tej cnoty.

Świątobliwa panna polubiła Fantynę, przeczuwając w niej zapewne ukrytą cnotliwość, i prawie wyłącznie zajęła się jej pielęgnowaniem.

Pan Madeleine odprowadził na bok siostrę Symplicję i polecił jej Fantynę z jakimś szczególnym akcentem, który siostra przypomniała sobie później.

Pożegnawszy siostrę poszedł do Fantyny.

Fantyna codziennie wyglądała pojawienia się pana Madeleine, jak się wygląda promienia ciepła i radości. Mówiła do sióstr: Żyję tylko wtedy, kiedy pan mer jest tutaj.

Tego dnia miała silną gorączkę. Ujrzawszy pana Madeleine, zapytała:

– A Kozeta?

Odpowiedział z uśmiechem:

– Już niedługo!

Pan Madeleine rozmawiał z Fantyną jak co dzień. Tylko zamiast pół godziny, został przy niej przez całą godzinę, ku wielkiemu jej zadowoleniu. Wszystkich napominał tysiąckrotnie, aby niczego chorej nie brakowało. Zauważono, że była taka chwila, kiedy twarz jego stała się bardzo ponura. Ale wytłumaczono to sobie dowiedziawszy się, że lekarz nachylił się mu do ucha i szepnął:

– Coraz gorzej z nią.

Następnie wrócił do biura i służący widział, jak z wielką uwagą wpatrywał się w mapę dróg Francji, która wisiała w jego gabinecie. Zapisał ołówkiem kilka cyfr na kawałku papieru.

Przenikliwość majstra Scaufflaire

Z biura poszedł na koniec miasta do Flamandczyka, majstra Scaufflaier, z francuska Scaufflaire, który wynajmował konie i kabriolety.

Najkrótszą drogą do Scaufflaire'a była mało uczęszczana ulica, przy której stała plebania parafii pana Madeleine. Proboszcz jej, jak mówiono, był człowiekiem zacnym, szanowanym i dającym dobre rady. Kiedy pan Madeleine mijał plebanie, na ulicy był tylko jeden przechodzień i ten przechodzień zauważył, że pan mer, minawszy plebanie, zatrzymał się, stał chwilę bez ruchu, później wrócił do drzwi mieszkania proboszcza, ujął za kołatkę i podniósł ją, potem się zatrzymał znowu i po kilku sekundach, zamiast opuścić kołatkę z hałasem, po cichu odsunął ją na miejsce i poszedł dalej, jeszcze spieszniej chyba.

Pan Madeleine zastał majstra Scaufflaire zajętego naprawianiem uprzęży.

– Majstrze Scaufflaire – zapytał – czy masz dobrego konia?

–Panie merze – odpowiedział Flamandczyk – moje konie wszystkie są dobre. Co pan nazywa dobrym koniem?

– Konia, który może zrobić dwadzieścia mil jednego dnia.

– Do licha! – rzekł Flamandczyk. – Dwadzieścia mil!

– Tak.

– Zaprzężony do kabrioletu?

– Tak.

– A jak długo odpocznie po tej drodze?

– W razie potrzeby będzie musiał wyruszyć nazajutrz.

– Żeby odbyć z powrotem tę samą drogę?

– Tak.

– Do diabła! Czy na pewno dwadzieścia mil?

Pan Madeleine wyjął z kieszeni papier, na którym zapisał ołówkiem cyfry. Pokazał go Flamandczykowi. Stały tam liczby 5, 6, 8, 1/2.

– Widzicie – rzekł. – Razem dziewiętnaście i pół, czyli, można powiedzieć, dwadzieścia.

– Panie merze – odpowiedział Flamandczyk – mam, czego panu trzeba. Mój biały konik. Pewnie go pan widział. Pochodzi z dolnego Boulonnais. Bardzo ognisty. Chcieli z niego zrobić wierzchowca. Ale cóż, wierzgał i zrzucał wszystkich. Myśleli, że narowisty, nie wiedzieli, co z nim począć. Kupiłem go. Zaprząłem do kabrioletu. Panie merze, tego mu właśnie było trzeba; łaskawy jak panienka, a pędzi jak wicher. Naturalnie na grzbiet mu nie wolno siadać. Postanowił sobie, że nie będzie koniem pod wierzch. Każdy ma swoją ambicję. Ciągnąć – i owszem, nosić – nie; widać musiał to sobie przysiąc.

– I robi tę drogę?

– Pańskie dwadzieścia mil? Całą klusem w niespełna osiem godzin. Ale pod pewnymi warunkami.

– Mówcie.

– Naprzód, pozwoli mu pan wytchnąć godzinę w połowie drogi; będzie jadł, a pan będzie pilnował, żeby chłopak z oberży nie wykradł mu owsa, bo zauważyłem, że w oberżach owies częściej przepijają chłopcy, niż zjadają konie.

– Będę doglądał.

– Po wtóre... czy to dla pana mera ten kabriolet?

– Tak.

– Czy pan mer umie powozić?

– Tak.

– A więc, pan mer pojedzie sam, bez bagaży, żeby nie obciążać konia.

– Zgoda.

– Ale pan mer, nie mając nikogo ze sobą, będzie musiał sam przypilnować owsa.

– Naturalnie.

– Zapłaci mi pan po trzydzieści franków dziennie. Za dni odpoczynku to samo. Ani szeląga mniej, a żywienie konia na koszt pana mera.

Pan Madeleine wyjął z sakiewki trzy napoleony i położył na stole.

– Proszę za dwa dni z góry.

– Po czwarte, do takiej jazdy kabriolet byłby za ciężki i zmęczyłby konia. Trzeba, żeby pan mer zgodził się podróżować w małym tilbury.

– Zgadza się.

– Jest lekkie, ale otwarte.

– Wszystko mi jedno.

– Czy pan mer zastanowił się, że mamy zimę?

Pan Madeleine nie odpowiedział; Flamandczyk mówił dalej:

– Że jest bardzo zimno?

Pan Madeleine milczał. Majster Scaufflaire ciągnął dalej:

– Że może deszcz padać?

Pan Madeleine podniósł głowę i rzekł:

– Tilbury i koń mają być jutro przed moimi drzwiami o wpół do piątej z rana.

– Dobrze, panie merze – odpowiedział Scaufflaire, po czym zdrapując paznokciem wielkiego palca płamę ze stołu, mówił dalej tym tonem niby obojętnym, którym Flamandzycy umieją pokrywać swą przebiegłość:

– Ale, dopierom teraz sobie przypomniał! Pan mer nie powiedział mi, dokąd jedzie. A gdzie to pan mer się wybiera?

Od początku rozmowy o niczym innym nie myślał, ale jakoś, nie wiedząc dlaczego, nie śmiał zadać pytania.

– Czy wasz koń ma mocne przednie nogi? – zapytał pan Madeleine.

– Doskonale, panie merze. Z góry trzeba go trochę ściągać. A dużo tam będzie jazdy z góry po drodze do tej miejscowości?

– Nie zapomnij pan przyprowadzić konia punkt o wpół do piątej rano – odpowiedział pan Madeleine i wyszedł.

Flamandczyk „zglupiał”, jak później sam opowiadał.

Pan mer wyszedł już przed kilkanaście minutami, kiedy znowu drzwi się otworzyły; był to pan mer.

Wciąż miał tę minę niewzruszoną i zafrasowaną.

– Panie Scaufflaire – zapytał – ile wart jest koń razem z bryczką?

– Tyle samo co bryczka razem z koniem – zawołał Flamandczyk ze śmiechem.

– A więc?

– Czy pan mer chce je kupić?

– Nie, ale na wszelki wypadek chcę, żebyś nie miał straty. Za moim powrotem oddasz mi pieniądze. Na ile oceniasz konia i bryczkę?

– Pięćset franków, panie merze.

– Masz tu pięćset franków.

Pan Madeleine położył na stole banknot i wyszedł; tym razem już nie wrócił więcej.

Majstrowi Scaufflaire zrobiło się bardzo żal, że nie powiedział tysiąc. Zresztą koń i tilbury warte były razem pięćset franków. Flamandczyk zawołał żonę i opowiedział całą sprawę.

– Dokąd, u diabła, pan mer może jechać? – Zaczęli się zastanawiać. – Jedzie do Paryża – powiedziała żona. – Ej, chyba nie – odparł mąż. Pan Madeleine zapomniał na kominku papier, na którym zapisał cyfry. Flamandczyk wziął go i rozważał. – Pięć, sześć, osiem i pół – to znaczy stacje pocztowe. – Odwrócił się do żony. – Zgadłem! W jaki sposób? – Stąd jest pięć mil do Hesdin, z Hesdin sześć do Saint-Pol, osiem i pół z Saint-Pol do Arras. Jedzie do Arras.

Tymczasem pan Madeleine wrócił do domu.

Wychodząc od majstra Scaufflaire, obrał najdłuższą drogę, jak gdyby drzwi plebani były dla niego pokusą, której się starał uniknąć. Wszedł do swego pokoju i zamknął się, co wydało się bardzo naturalne, zwykle bowiem chodził spać wcześniej. Wszelako odzwiertna fabryki, która zarazem była jedyną służącą pana Madeleine, zauważyła, że zgasił światło o pół do dziewiątej, i powiedziała to wracającemu kasjerowi dodając:

– Może pan mer zachorował? Miał jakiś dziwny wyraz twarzy.

Kasjer mieszkał na dole, właśnie pod pokojem pana Madeleine. Nie zwrócił uwagi na słowa odzwiernej, położył się i zasnął. Około północy nagle obudził się; przez sen usłyszał hałas nad głową, zaczął słuchać. Słyszał kroki oddalające się i powracające, jak gdyby ktoś chodził po pokoju na górze. Przysłuchując się uważniej, poznał kroki pana Madeleine. Zdziwiło go to, bo zwykle aż do rana w pokoju pana Madeleine panowała zupełna cisza. Po chwili usłyszał coś jakby otwieranie i zamykanie szafy. Później przesunięto ciężki mebel, nastąpiła cisza i znowu rozpoczęło się chodzenie. Kasjer wybił się ze snu, usiadł na łóżku, spojrzął przez okno i zobaczył na murze naprzeciwko czerwone odbicie światła z okna. Sądząc po kierunku padania promieni, światło wychodziło z okna pokoju pana Madeleine. Jasny odbłask drgał, jakby w pokoju palił się ogień, a nie świeca. Ramy szyb nie rzucały cienia, co wskazywało, że okno było szeroko otwarte. Okno otwarte na taki chłód – była to rzecz zastanawiająca. Kasjer usnął. W parę godzin obudził się znowu. To samo regularne stapanie rozlegało się nad głową. Odblask światła wciąż rysował się na murze, ale teraz był błady i spokojny jak odbicie lampy albo świecy. Okno było ciągle otwarte.

A oto, co się działo w pokoju pana Madeleine.

Burza pod czaszką

Czytelnik odgadł niewątpliwie, że pan Madeleine nie był nikim innym niż Janem Valjean.

Zagląдалиśmy już w głąb tego sumienia; nadeszła chwila, by zajrzeć tam raz jeszcze. Czynimy to nie bez wzruszenia i nie bez drżenia. Nie ma nic straszniejszego nad tego rodzaju badania. Oko ducha nigdzie nie znajduje tyle światła i tyle ciemności co w człowieku; nigdzie nie napotka rzeczy, która byłaby bardziej groźna, bardziej zawiła, bardziej tajemnicza i bardziej nieskończona. Jest widok ogromniejszy od widoku morza – niebo; jest widok ogromniejszy od widoku nieba – wewnątrz ludzkiej duszy.

Aby napisać poemat ludzkiego sumienia, choćby tylko z powodu jednego człowieka, choćby z powodu najnędzniejszego z ludzi, trzeba by zlać wszystkie epepeje w jedną, najwznioślejszą i ostateczną. Sumienie to odmet urojeń, pożądań i pokus, to piec ognisty marzeń, jaskinia myśli, których się wstydzimy; to pandemonium sofizmatów, to pole bitwy namiętności. Przeniknijcie wskroś bladą twarz zamyślnego człowieka, w pewnych chwilach zajrzyjcie do jego wnętrza, zajrzyjcie w głąb duszy, zajrzyjcie w te mroki. Znajdziecie tam, pod powłoką zewnętrznego milczenia, walki olbrzymów jak w Homerze, starcia smoków z hydrami, chmary widm jak w Miltonie, wężownice widziadeł jak w Dantem. Ponura jest ta nieskończoność, którą każdy człowiek nosi w sobie, z rozpaczą przymierzając do niej wolę swego mózgu i czyny swego żywota.

Pewnego dnia Alighieri natrafił na drzwi złowrogie, przed którymi zawahał się. Takie to drzwi znajdują się przed nami i wahamy się u ich progu. Wejźmy jednak.

Niewiele możemy dorzucić do tego, co już czytelnik wie o losach Jana Valjean od czasu przygody z Gerwazkiem. Od tamtej chwili, jak widzieliśmy, stał się innym człowiekiem. Stał się takim właśnie, jakim biskup chciał go uczynić. Nie była to zmiana, było to przemienienie.

Udało mu się zniknąć, sprzedał srebra biskupa, zachował tylko świeczniki na pamiątkę, prześlizgiwał się z jednego miasta do drugiego, przewędrował całą Francję, przybył do Montreuil-sur-mer, wpadł na szczęśliwy pomysł, o którym już opowiedzieliśmy, zdołał stać się nieujętym i niedostępnym, i odtąd, osiadłszy w Montreuil-sur-mer szczęśliwy, że sumienie jego smuciła tylko przeszłość, że druga część życia zaprzeczyła pierwszej – żył spokojnie, bezpiecznie, pełen nadziei, dwiema tylko zajęty myślami: jak ukryć swoje nazwisko i jak uświętować swoje życie; jak wymknąć się ludziom, a wrócić do Boga.

Dwie te myśli tak ściśle były związane w jego umyśle, że stały się jedną; obie były jednakowo naglące i pochłaniające i kierowały jego każdym, najnieznaczniejszym nawet czynem. I zazwyczaj zgodnie kształtowały jego postępowanie: kazały mu kryć się w cieniu; być zyczliwym i prostym, doradzały jedno i to samo. Wszelako niekiedy ścierały się z sobą. W takich razach, jak widzieliśmy, człowiek, którego cała okolica Montreuil-sur-mer nazywała panem Madeleine, nie wahał się poświęcić pierwszej dla drugiej, swego bezpieczeństwa dla swej cnoty. Tak, na przekór wszelkiej ostrożności, zachował lichtarze biskupa, nosił po nim żałobę, wołał do siebie i rozpytywał małych wędrownych Sabaudczyków, dowiadywał się o swą rodzinę w Faverolles i ocalił życie staremu Fauchelevant, nie zważając na niepokojące podejrzenia Javerta. Zdawało się, że na wzór wszystkich mędrców świętych i sprawiedliwych sądził, że najpierwszy jego obowiązek nie był względem siebie.

Jednakże przyznać trzeba, nigdy nie znalazł się w takim położeniu jak tego dnia. Nigdy dwie myśli rządzące nieszczęśliwym człowiekiem, którego cierpienia opowiadamy, nie wydały sobie tak zaciętej walki. Zrozumiał to niejasno, ale głęboko zaraz po pierwszych słowach Javerta. W chwili gdy w tak dziwny sposób wyrzeczone zostało nazwisko, które zakopał starannie i głęboko, osłupiał, jakby oszołomiony dziwaczością swego losu, i zadrżał, jakby przeczuwając straszne wstrząsy; pochylił się jak dąb przed nadchodzącą burzą, jak żołnierz przed atakiem. Czuł, że nad jego głową przeciągają chmury pełne piorunów i

błyskawic. Kiedy słuchał słów Javerta, pierwszą jego myślą było iść, pobiec, zadenuncjować się, wydobyć Champmathieugo z więzienia i samemu zająć jego miejsce; myśl bolesna, dojmująca jak cięcie w żywe ciało; ale to przeszło i rzekł do siebie: – Zobaczymy! zobaczymy! – Stłumił pierwszy, szlachetny popęd i cofnął się przed bohaterstwem.

Byłoby rzeczą piękną niewątpliwie, gdyby po świętych słowach biskupa, po tylu latach żalu za winy i zaparcia się siebie, wśród pokuty tak pięknie rozpoczętej, człowiek ten nie zawahał się ani chwili, nawet wobec tak strasznej przyszłości, i dalej szedł tym samym krokiem ku otwartej przepaści, na której dnie było niebo. Byłoby to pięknie, ale tak się nie stało. Trzeba nam opowiedzieć o wszystkim, co się działo w tej duszy, i to tylko nam wolno. Pierwsze zwycięstwo odniósł instynkt samozachowawczy; naprędce zebrał myśli, stłumił wzruszenie, zważył niebezpieczeństwo obecności Javerta, odroczył wszelkie postanowienia ze stanowczością strachu, zagłuszył się robotą i odzyskał spokój, osłonił się nim, jak bojownik osłania się tarczą.

W takim stanie znajdował się przez resztę dnia, z nawałnicą w duszy, z głębokim spokojem na twarzy; przedsięwziął jedynie to, co by nazwać można „środkami zapobiegawczymi”. Wszystko jeszcze mieszało się i ścierało w jego mózgu; zamęt był tak wielki, że nie odróżniał kształtu żadnej myśli i chyba to jedno mógłby powiedzieć o sobie, że dosięgnął go śmiertelny cios. Jak zwykle poszedł do Fantyny, przedłużył wizytę wiedziony instynktem dobroci, mówiąc sobie, że należy tak postąpić, i polecił ją opiece sióstr na wypadek swej nieobecności. Niejasno przeczuwał, że może wypadnie mu udać się do Arras, i bynajmniej nie zdecydowany jeszcze na tę podróż, powiedział sobie, że będąc zupełnie wolny od wszelkich podejrzeń, mógł bez narażenia się być świadkiem tego, co się tam będzie działo; dlatego zamówił tilbury u Scaufflaire’a, aby przygotować się na wszelki wypadek.

Zjadł obiad z nie najgorszym apetytem.

Wróciwszy do pokoju zebrał myśli.

Rozważył położenie i wydało mu się ono niesłychane, tak dalece niesłychane, że pogrążony w rozmyślaniach, pod wpływem jakiejś prawie niewytłumaczalnej obawy, podniósł się z krzesła i zasunął zasuwkę drzwi. Bał się, żeby nie weszło jeszcze coś nowego.

Po chwili zgasił świecę. Przeszkadzała mu.

Zdawało mu się, że go mogą zobaczyć.

Zobaczyć? Kto?

Niestety! To, przed czym zamykał drzwi, weszło; to, przed czym chciał się ukryć, patrzyło nań – jego sumienie.

Jego sumienie – to znaczy Bóg.

A jednak w pierwszej chwili łudził się jeszcze; poczuł się bezpieczniejszy w samotności; zasunął rygiel i zdawało mu się, że jest nieujęty; zgasił świecę i miał się za niewidzialnego. A wówczas opanował się, wsparł łokciami na stole, głowę ukrył w dłoniach i zaczął myśleć w ciemnościach.

Gdzie jestem? Czy śnię może? Co to mi powiedziano? Czy to prawda, że widziałem Javerta i że on mi mówił to wszystko? Co za jeden ten Champmathieu? Więc jest do mnie podobny? Czy to być może? Ach! Wczoraj jeszcze byłem tak spokojny, niczego się nie domyślałem! Co robiłem wczoraj o tej samej godzinie? Co wyniknie z tego zdarzenia? Jak się rozwiąże? Co czynić?

Jakże wielka była jego udręka. Umysł jego nie miał już siły, by powstrzymać myśli; przesuwały się jak fale; ujął czoło w obie dłonie jakby je chciał złapać.

Z tego zgielku, burzącego wolę i rozum, na próżno usiłował wysnuć myśl jasną i mocne postanowienie; wydobywała się tylko śmiertelna trwoga.

Głowa mu płonęła. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko. Na niebie nie było gwiazd. Wrócił i usiadł przy stole.

Tak upłynęła pierwsza godzina.

Zrozumiał wreszcie, że choć znalazł się w położeniu tak niezwykłym, tak krytycznym – był jego całkowitym panem.

Myśli rozjaśniały się. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, co się stało.

Wydawało mu się, że się obudził z jakiegoś snu i że sunie oto w dół, po pochyłości, wśród nocy, stojąc, drżąc, na próżno próbując cofnąć się, nad samym brzegiem przepaści. I wyraźnie widział w mroku nieznanego, obcego człowieka, którego los za niego wziął i na jego miejsce pchał w przepaść. Bo żeby otchłań zamknęła się, trzeba było, by ktoś wpadł w nią, on albo tamten.

Dość będzie, jeśli zachowa się biernie – zginie nie on, lecz tamten.

Myśli rozjaśniły się do reszty; poznał, że jego miejsce na galerach było wolne, że cokolwiek uczyni, nie uniknie kajdan, że okradzenie Gerwazka wtrąca go na powrót do więzienia, że to próżne miejsce na galerach będzie dopóty czekać na niego i przyciągać, aż on je zajmie, że taki los jego, nieuchronny i fatalny. A potem powiedział sobie, że w tej chwili miał zastępcę, że jakiemuś Champmathieu przypadł ten smutny los w udziale, on zaś, odtąd obecny na galerach w osobie tego Champmathieu i obecny w społeczeństwie pod nazwiskiem pana Madeleine, nie miał się już czego obawiać, jeśli nie przeszkodzi ludziom przypiętować głowy owego Champmathieu kamieniem hańby, który jak kamień grobowy spada raz i nigdy się nie podnosi.

Wszystko to było tak gwałtowne i tak dziwne, że nagle w jego duszy powstał jakiś ruch nieopisany, którego żaden człowiek nie doświadcza więcej niż dwa lub trzy razy w życiu; coś na kształt konwulsji sumienia, poruszających wszystkie wątpliwości serca, konwulsji pełnych ironii, radości i rozpacz, które nazwać by można wewnętrznym wybuchem śmiechu. Zerwał się z krzesła i zapalił świecę.

A więc rzekł do siebie: czegoż się lękam? Po co te rozmyślania? Ocalałem. Wszystko skończone! Były tylko jedne uchylone drzwi, którymi przeszłość moja mogła wdrzeć się do teraźniejszości.

Drzwi te zamurowano na zawsze! Ten Javert, który mnie od dawna niepokoi, ten straszny instynkt, który zdawał się mnie odgadywać, przebóg! – który mnie odgadł i który mnie ścigał wszędzie, ten tropiący pies gończy, został dziś zmylony, oszukany, zwabiony gdzie indziej, zupełnie zgubił ślad! Nasycił się i da mi spokój, bo trzyma swego Jana Valjean! Kto wie, może nawet zechce opuścić miasto! I to wszystko stało się beze mnie, bez żadnego udziału z mej strony! Tak, ale dlaczegoż upatruję w tym jakieś nieszczęście? Kto by mnie ujrzał, na honor, pomyślałby, że dotknęła mnie katastrofa. Zresztą, jeżeli spotyka kogo nieszczęście, nie moja to bynajmniej wina. Opatrzność tak zrządziła! Widocznie sama chce tego. Czyż mam prawo niweczyć jej zrządzenie? O cóż mi teraz chodzi, w co się chcę mieszać? To nie moja sprawa. Jak to! Nie jestem zadowolony? Więc czegoż mi trzeba więcej? To bezpieczeństwo, cel, ku któremu od tylu lat dążę, marzenie bezsennych nocy, przedmiot gorących modłów, urzeczywistnia się! Bóg tak chce! Nie mogę się przeciwstawić woli bożej. A dlaczego Bóg tak chce? Abym prowadził dalej to, co rozpocząłem, abym dobrze czynił, abym kiedyś stał się przykładem wielkim i zachęcającym, aby powiedziano, że odrobina szczęścia należy się pokucie, którą odbyłem, i cnocie, do której wróciłem. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego przed chwilą bałem się wejść do pocziwego proboszcza, opowiedzieć mu wszystko jak spowiednikowi i prosić go o radę; oczywiście byłby mi powiedział to samo. Rzec postanowiona! Zostawmy wypadki ich biegowi, niech się dzieje wola boża!

Tak mówił do siebie w głębinach sumienia, pochylony nad tym, co by nazwać można przepaścią własnej duszy. Podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. – No – rzekł – nie myślmy już o tym. Postanowienie powzięte. – Nie czuł jednak żadnej radości.

I znów rozważać zaczął to swoje „postanowienie”. Wyznał przed sobą, że wszystko, co ułożył w duchu, było potworne, że zostawić wypadki ich biegowi i zdać się na boskie zrządzenie – było rzeczą po prostu straszną. Pozwolić spełnić się tej pomyłce losów i ludzi,

nie przeszkodzić, poprzeć swym milczeniem, nic nie czynić, było to uczynić wszystko! Był to ostatni stopień obłudnej niegodziwości, była to zbrodnia podła, nikczemna, skryta, podstępna, ohydna.

Po raz pierwszy od ośmiu lat nieszczęśliwy człowiek poczuł gorzki smak złej myśli i złego czynu.

Wypluł go ze wstrętem.

Badał się znowu. Zapytał surowo, co rozumiał mówiąc, że osiągnął swój cel. Powiedział sobie, że życie jego ma rzeczywiście cel. Ale jaki? Czy ukrywanie nazwiska? Oszukiwanie policji? Więc wszystko, co dotąd czynił, czynił dla błażej rzeczy? Nie miał innego celu, który był rzeczywiście wielki, który był prawdziwy? Zbawić nie osobę, ale swoją duszę, stać się uczciwym i dobrym, być sprawiedliwym – oto, czego zawsze pragnął, co mu zalecił biskup! Zamknąć drzwi za swą przeszłością. Ależ ich nie zamykał, wielki Boże! Otwierał je postępkami haniebnymi, stawał się znowu złodziejem, najniegodziwszym ze złodziejów, kradł innemu jego był, jego życie, spokój, miejsce pod słońcem! Stawał się mordercą, zabijał, zabijał moralnie niewinnego człowieka, zadawał mu tę straszną śmierć za życia, tę śmierć pod gołym niebem, którą nazywają galerami! Przeciwnie, wydać się, ocalić człowieka jęczącego pod ciosem złowrogiego błędu, wrócić do swego nazwiska, stać się z poczucia obowiązku galernikiem Janem Valjean – to byłoby rzeczywistym dokonaniem zmartwychwstania, to na zawsze zamknęłoby piekło, z którego wychodził! Na pozór powróci do piekła, a w rzeczywistości wyjdzie z niego. Tak należy uczynić; dotychczas nie uczynił nic dobrego. Jeżeli tego nie zrobi, całe jego życie było bezużyteczne, cała pokuta stracona i tylko trzeba by zapytać, na co to wszystko było? Czuł, że biskup stoi przed nim, tym bardziej obecny, że umarły, że biskup patrzy na niego uważnie; czuł, że mer Madeleine ze wszystkimi swoimi cnotami był mu obmierzły, a galernik Jan Valjean stanie się czysty i godny podziwu. Że ludzie widzą jego maskę, ale biskup widzi jego twarz. Że ludzie widzą jego życie, ale biskup widzi jego sumienie. Trzeba było więc jechać do Arras, uwolnić domniemanego Jana Valjean, zadenuncjować prawdziwego! Niestety! Była to największa z ofiar, a najboleśniejsze zwycięstwo, ostatni krok do przebycia, ale trzeba go było uczynić. O losie okrutny! Nie mógł zostać świętym w oczach Boga, nie wróciwszy do hańby w oczach ludzi.

– A więc – rzekł – zdecydujemy się, że spełnimy naszą powinność. Ocalmy tego człowieka.

Wyrzekł te słowa głośno, nawet tego nie spostrzegając.

Wziął swe księgi, sprawdził rachunki i uporządkował je. Rzucił w ogień paczkę rewersów od niezamożnych sklepikarzy. Napisał list i zapieczętował; gdyby ktoś był w tej chwili w jego pokoju, mógłby przeczytać adres na kopercie. *Do pana Laffitte'a, bankiera, ulica Artois w Paryżu.*

Wyjął z biurka pugilares, zawierający kilka banknotów, i paszport, z którym brał udział w tegorocznych wyborach.

Kto by go zobaczył, kiedy wypełniał te różnorodne czynności wśród głębokiego zamyślenia, aniby się domyślił, co się w nim działo. Czasem tylko poruszył ustami lub podniósł głowę i utkwiał wzrok w jakiś punkt na ścianie, jakby tam właśnie widział to, co chciał wyjaśnić, o co chciał zapytać.

Napisawszy list do Laffitte'a, włożył go do kieszeni wraz z pugilaresem i znowu zaczął chodzić.

Myśli jego nie przestały krążyć koło jednego przedmiotu. Widział jasno swój obowiązek, napisany ognistymi głoskami, które błyszczały przed jego oczami wszędzie, gdzie spojrział: *Idź! Wydadź się. Oskarż się!*

Tymczasem gorączka, uśmierzona na chwilę, zaczynała wracać. Tysiące myśli snuły się po głowie, ale wszystkie umacniały go tylko w postanowieniu.

W pewnej chwili powiedział sobie, że może zbyt gorąco bierze do serca tę sprawę, że przecież ten Champmathieu nie zasługiwał na poświęcenie, że wreszcie – był złodziejem.

I odpowiedział: – Jeżeli ten człowiek rzeczywiście ukradł kilka jabłek, posiedzi za to miesiąc w więzieniu. Krótki areszt to nie galery. Kto wie zresztą, czy dowiedziono, że ukradł? Cięży na nim nazwisko Jana Valjean i to zwalnia od dowodów. Przecież prokuratorowie królewscy zwykle tak postępują. Mają go za złodzieja, bo wiedzą, że był galernikiem.

W innej chwili przyszła mu jeszcze myśl, że gdy sam się oskarży, uwzględnią może heroizm jego postępków, jego siedmioletnie uczciwe życie, usługi wyświadczone krajowi, i ułaskawią.

Przypuszczenie to jednak wkrótce znikło i uśmiechnął się z goryczą, pomyślawszy, że ukradzenie Gerwazkowi dwóch franków zrobiło z niego recydywistę, że sprawa ta wypłynie na pewno i według wyraźnego brzmienia prawa skazany zostanie na dożywotnie galery.

Poruszając tyle czarnych myśli, nie stracił odwagi, ale umysł jego znużył się. Mimo woli zaczynał myśleć o czym innym, o rzeczach obojętnych.

Tętna były mu gwałtownie w skroniach. Przechadzał się wciąż tam i z powrotem. Północ wybiła na zegarze kościoła parafialnego, potem na ratuszu. Liczył do dwunastu uderzenia obydwóch zegarów i porównywał dźwięki obu dzwonów.

Zmarzł. Zapalił ogień na kominku. Nie przyszło mu na myśl, żeby zamknąć okno.

I znów wpadł w odrętwienie. Musiał zdobyć się na wielki wysiłek, by przypomnieć sobie, o czym to myślał przed północą.

Udało mu się wreszcie.

– A, prawda! – rzekł. – Postanowiłem się oskarżyć.

I nagle przyszła mu na myśl Fantyna.

– Właśnie! – zawołał – a ta biedna kobieta?

Nastąpiło nowe przesilenie.

Fantyna ukazała się nagle w jego zadumie jak promień niespodziewanego światła. Wszystko dokoła niego zdawało się przybierać inną postać. Zawołał:

– Ależ tak! Dotychczas myślałem tylko o sobie, o tym, co dla mnie będzie dogodniejsze. Czy przemilczę, czy też wyjawię moje nazwisko, czy ukryję mą osobę, czy też zbawię mą duszę, czy będę godnym wzgardy, a szanowanym urzędnikiem, czy też galernikiem pozbawionym czci, ale jej godnym, zawsze to ja i tylko ja! Ależ, mój Boże, przecież to egoizm. Różne formy egoizmu, ale zawsze egoizm! Gdybym tak pomyślał trochę o innych? Pierwszy warunek świętości to myśleć o innych. Zobaczmy, rozważmy! Usuńmy moje ja, zniszczmy je, zapomnijmy o nim, cóż zostanie z tego wszystkiego? Jeżeli się oskarżę, aresztują mnie, wypuszczą owego Champmathieu, wsadzą mnie znowu na galery; bardzo dobrze; i co dalej? Co się stanie tutaj? A tutaj jest kraj, miasto, fabryki, przemysł, robotnicy, mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, tylu biedaków! Ja stworzyłem to wszystko, żyją dzięki mnie. Gdziekolwiek dymi się komin, to ja położyłem drewno na palenisko, ja włożyłem mięso do garnka, stworzyłem pomyślność, ruch w handlu, kredyt. Przedemną nic nie było. Ja dźwignąłem, ożywiłem, użyźniłem, zbogaciłem całą okolicę; jeśli mnie zabraknie, zabraknie duszy. Odejdę, wszystko umrze. A ta kobieta, co tyle wycierpiała, co ma tyle zasług w swym upadku, której nieszczęść byłem mimowolnym sprawcą? A to dziecko, po które mam pojechać, które obiecałem matce? Czy nie jestem obowiązany wynagrodzić tej kobiecie zło, jakie jej wyrządzono? Jeżeli zniknę, co się stanie? Matka umrze, dziecko, nie wiadomo, co będzie z dzieckiem. A gdybym się nie oskarżył? Zastanówmy się, gdybym się nie oskarżył?

Kiedy sobie zadał to pytanie, zatrzymał się przez chwilę, jakby wahał się i drżał, ale chwila ta trwała krótko i odpowiedział sobie spokojnie:

– Tak, ten człowiek pójdzie na galery, to prawda, ale cóż, przecież ukradł! Próżno wmawiam sobie, że nie ukradł, ukradł! Ja pozostaję tutaj i pracuję dalej. Za dziesięć lat zarobię dziesięć milionów, włożę je w kraj, dla siebie nic nie zatrzymam, bo po co mi one? Przecież nie dla siebie pracuję! Pomyślność wszystkich wzrasta, przemysł rozwija się, ożywia konkurencja, mnożą się fabryki i huty, rodziny, setki rodzin, tysiące rodzin są szczęśliwe i

okolica zaludnia się; powstają wsie z folwarków, powstają folwarki na pustkowiach, nędza znika, a wraz z nędzą znikają rozpusta, nierząd, kradzież, zabójstwo, wszystkie występki, wszystkie zbrodnie! Ta biedna matka chowa swoje dziecko! Kraj cały bogaty i uczciwy! O, tak! byłem wariatem, byłem głupcem, jakże mogłem myśleć o oskarżeniu siebie? Ta biedna Kozeta ma tylko mnie jednego na świecie i zapewne w tej chwili drży zsiniała z zimna w budzie tych Thénardierów! Ci też kanalie! I zaniedbam obowiązki względem tylu ubogich stworzeń? I oskarżę się. Zrobię takie niedorzeczne głupstwo! Przypuśćmy najgorsze: że nie postąpię źle i że sumienie kiedyś mi to wyrzuci; dla dobra bliźnich przyjąć wyrzuty mnie tylko obciążające, przyjąć zły postępek szkodzący tylko mojej duszy, ależ to poświęcenie, to cnota!

Podniósł się i znowu zaczął chodzić. Tym razem wydało mu się, że jest zadowolony.

Diamenty znaleźć można tylko w ciemnym wnętrzu ziemi, prawdę znaleźć można tylko w głębinach myśli. Zdawało mu się, że zstąpiwszy w te głębiny, długo, po omacku szukając w najgęstszych ciemnościach, wynalazł na koniec jeden z tych diamentów, jedną z tych prawd, i trzyma ją w ręku; olśnił go jej widok.

Tak – pomyślał – to właśnie to! Znalazłem prawdę. Rozwiązałem zagadkę. Trzebaż w końcu na coś się zdecydować. Powziąłem postanowienie. Co miało się stać, niech się stanie! Nie wahajmy się już, nie cofajmy. Tego wymaga interes wszystkich, nie mój. Jestem Madeleine i pozostanę nim. Biada temu, kto jest Janem Valjean! To już nie ja. Nie znam tego człowieka, nie wiem, co to za jeden; jeżeli przypadkiem jest ktoś w tej chwili Janem Valjean, niech sobie radzi! Mnie to nie obchodzi. To fatalne nazwisko zawisło gdzieś w mrokach, jeśli spadnie na czyjąś głowę, tym gorzej dla niej.

Przejrzał się w lusterku stojącym na kominku i powiedział:

– Ach, powzięcie postanowienia przyniosło mi ulgę. Teraz zupełnie inaczej wyglądam.

Postąpił kilka kroków i nagle się zatrzymał:

– No! Nie trzeba się cofać przed żadnym następstwem powziętego postanowienia. Są jeszcze nici wiążące mnie z tym Janem Valjean. Trzeba je zerwać! Nawet tu, w tym pokoju, znajdują się przedmioty, które oskarżyłyby mnie, nieme rzeczy, które by mogły być świadkami; słowo się rzekło, trzeba, żeby to wszystko znikło.

Sięgnął do kieszeni, wydobył sakiewkę, otworzył i wyjął z niej kluczyk.

Włożył kluczyk do zamka, którego ledwie widzialna dziurka ginęła w najciemniejszym miejscu desenia tapety. Otworzyła się skrytka, rodzaj szafki w murze, umieszczona pomiędzy rogiem ściany a kapturem kominka. W skrytce tej były tylko łachmany, bluza z niebieskiego płótna, stare spodnie, stary plecak i gruby sękaty kij, na obu końcach okuty żelazem. Ci, co widzieli Jana Valjean w październiku 1815 roku, kiedy przechodził przez miasto Digne, łatwo poznaliby wszystkie szczegóły tego nędznego odzienia.

Zachował je, podobnie jak i srebrne lichtarze, aby mu zawsze przypominały, od czego zaczynał. Tyle tylko, że starannie ukrył to, co pochodziło z katoggi, a na widocznym miejscu ustawił świeczniki, pochodzące od biskupa.

Ukradkiem spojrzął na drzwi, jakby w obawie, aby się nie otwały, choć zasuwa była zasunięta; potem szybkim, nagłym ruchem schwycił łachmany, kij i plecak i nie spojrzawszy nawet na rzeczy, które z takim nabożeństwem przechowywał przez tyle lat i tyle ryzykując, za jednym zamachem rzucił wszystko w ogień.

Zamknął skrytkę i podwajając ostrożność, teraz już zbyteczną, bo przecież schowek był próżny, starannie zasłonił drzwiczki, przy suwając do nich ciężką komodę.

Po kilku sekundach czerwona drżąca luna oświeciła pokój i mur naprzeciwno. Wszystko płonęło. Sosnowy kij trzaskał i pryskał iskrami aż na środek pokoju.

Gdy spalił się plecak i wstrętne szmaty, które się w nim znajdowały, coś zabłyszczało w popiele. Schyliwszy się, łatwo by było rozpoznać srebrną monetę. Zapewne dwa franki skradzione małemu Sabaudczykowi.

Ale on nie patrzył na ogień, tylko przechadzał się tam i z powrotem jednostajnym krokiem. Nagle spojrzenie jego padło na dwa srebrne lichtarze na kominku, słabo połyskujące w blasku ogniska.

Ba! – pomyślał – cały Jan Valjean jeszcze w nich siedzi. Trzeba i to zniszczyć.

Zdjął lichtarze z kominka.

Ogień był dość silny, mógł łatwo je przetopić na sztabę, w której by ich nikt nie rozpoznał.

Nachylił się ku ognisku i grzał się przy nim chwilę. Poczł miłe ciepło.

– Jak przyjemnie – rzekł.

Poruszył jednym z lichtarzy rozżarzone węgle.

Jeszcze chwila, a obydwa miały się znaleźć w ogniu.

Nagle wydało mu się, że słyszy wewnętrzny głos wołający: „Janie Valjean! Janie Valjean!”

Włosy zjeżyły mu się na głowie, wyglądał na człowieka, który słucha jakichś potworności.

„Tak jest, kończ, kończ! – mówił głos. – Dokonaj dzieła. Zniszcz te świeczniki. Zniwecz tę pamiątkę. Zapomnij o biskupie. Zapomnij o wszystkim! Zgub tego Champmathieu! Dalejże, dalej! Przykłaśnij sobie! Więc to już ułożone, postanowione, powiedziane; ów człowiek, starzec, który nie wie, czego od niego chcą, który może nic nie zawinił, niewinny, którego wpędza w nieszczęście twoje nazwisko, które ciąży na nim jak zbrodnia, starzec, którego za ciebie i skazają, żeby zakończył dni swoje w sromocie i zgrozie – to dobrze, tak, tak trzeba. A ty bądź uczciwym człowiekiem. Pozostań panem merem, pozostań szanowny i szanowany, wzbogacaj miasto, karm nędzarzy, wychowuj sieroty, żyj szczęśliwy, cnotliwy i podziwiany, a kiedy ty będziesz tutaj opływał w radość i sławę – ktoś inny włoży za ciebie czerwoną bluzę, będzie nosić twe sromotne imię i brząkać na galerach twoimi kajdanami. Tak, to świetnie obmyśłone. O, nędzniku!”

Pot kroplami ściekał mu z czoła. Obląkanymi oczami patrzył na świeczniki. Lecz nie był to jeszcze koniec. Wewnętrzny głos mówił dalej:

„Janie Valjean! Dokoła ciebie hałaśliwe głosy błogosławić cię będą, ale jeden głos, którego nikt nie usłyszy, nie przestanie przeklinać cię w ciemnościach. Więcej, słuchaj, nikkzemniku! Wszystkie te błogosławieństwa spadną na ziemię, nie osiągnąwszy niebios, a tylko przekleństwo przedrze się do Boga!”

Głos ten, z początku słabo dobywający się z najodleglejszej kryjówki sumienia, stopniowo stawał się coraz donośniejszy i teraz słyszał go już przy samym uchu. Zdawało mu się, że głos wyszedł z niego i teraz przemawia do niego z zewnątrz. Ostatnie wyrazy usłyszał tak wyraźnie, że z przerażeniem powiódł oczami po pokoju. Czy jest tu kto? – zawołał obląkanym głosem.

Po czym dodał, śmiejąc się jakimś dziwnym śmiechem idioty:

– Jakież ze mnie głupiec! Nie może tu być nikogo. Był jednak ktoś; ale nie należał do istot, które ludzkie oko może oglądać.

Postawił lichtarze na kominku.

Znowu rozpoczął swoją przechadzkę, jednostajną i ponurą, która zakłóciła sen i rozbudziła człowieka śpiącego w pokoju na dole.

Przechadzka sprawiała mu ulgę i odurzała go zarazem. Czasami w sytuacjach ostatecznych wydaje się, że człowiek zaczyna chodzić z miejsca na miejsce po to, by pytać o radę wszystko, co spotyka na swej drodze. Po kilku chwilach sam już nie wiedział, na czym zatrzymał się w swoich rozważaniach.

Z równym przerażeniem uciekał teraz od obu postanowień, które powziął kolejno. Słuchał natchnienia dwóch myśli i obydwie zdawały się doradzać zgubę. Co za fatalność! Co za zbieg okoliczności – ów Champmathieu, którego biorą za niego. Gubił go ten właśnie wypadek, który w pierwszej chwili wydawał się niby umyślnie zesłany przez Opatrzność dla jego ocalenia.

Wybiła trzecia po północy: już pięć godzin tak chodził prawie bez przerwy; wreszcie znużony upadł na krzesło. Zasnął i miał sen.

Ten sen, jak większość snów, miał związek z jego sytuacją tylko przez coś nieokreślonego, co w nim było złowieszcze i przejmujące, ale zrobił na nim wrażenie. Wrażenie tego koszmaru było tak wielkie, że go później zapisał. Jest to jeden z pozostawionych przez niego rękopisów. Uważamy za swój obowiązek dosłownie powtórzyć jego treść:

„Znajdowałem się na polu. Na jakimś wielkim, smutnym polu bez trawy. Nie było to, jak mi się zdawało, ani we dnie, ani w nocy.

Spacerowałem z moim bratem, bratem z czasów młodości, o którym – muszę przyznać – nigdy nie myślę i którego prawie wcale: już nie pamiętam.

Rozmawialiśmy i spotykaliśmy na drodze przechodniów. Mówiliśmy o naszej sąsiadce z dawnych czasów, która zawsze, odkąd zamieszkała na naszej ulicy, pracowała przy otwartym oknie. Kiedyśmy tak rozmawiali, było nam zimno od tego otwartego okna.

Na polu nie rosły żadne drzewa.

Zobaczyliśmy człowieka, który się do nas zbliżył. Był on nagi, koloru popiołu, jechał na koniu barwy ziemi. Nie miał włosów, było widać jego czaszkę i na niej żyły. Trzymał w ręku różdżkę giętką jak pęd winorośli i ciężką jak żelazo. Minął nas, nie mówiąc nam ani słowa. Mój brat powiedział do mnie: – Chodźmy dołem.

Poszliśmy drogą prowadzącą przez parów, gdzie nie było ani jednego krzaka i ani źdźbła mchu. Wszystko było koloru ziemi, nawet niebo. Kiedy zrobiłem kilka kroków, na moje słowa nikt już nie odpowiadał. Zauważyłem, że mój brat zniknął.

Wszedłem do wsi, którą zobaczyłem przed sobą. Pomyślałem sobie, że to chyba jest Romainville (dlaczego Romainville?).

Pierwsza ulica, w którą się skierowałem, była pusta. Wszedłem w drugą. Za rogiem, który tworzyły te ulice, stał pod ścianą człowiek. Zapytałem go: – Co to za miejsce? Gdzie ja jestem? – Człowiek nie odpowiedział. Ujrzałem otwarte drzwi jakiegoś domu. Wszedłem do środka.

Pierwszy pokój był pusty. Wszedłem do drugiego. Za drzwiami przy ścianie stał człowiek. Zapytałem go: – Czyj to dom? Gdzie ja jestem? – Człowiek nie odpowiedział. Za domem był ogród.

Opuściłem dom i wszedłem do tego ogrodu. Był pusty. Za pierwszym drzewem znalazłem stojącego człowieka. Zapytałem go: – Co to za ogród? Gdzie ja jestem? – Człowiek nie odpowiedział.

Zacząłem błądzić po wsi i zauważyłem, że to jest miasto. Wszystkie ulice były puste, wszystkie drzwi otwarte. Nie było żywego ducha na ulicach, nikt się nie poruszał w pokojach ani nie spacerował w ogrodach. Ale za każdym rogiem, za każdymi drzwiami, za każdym drzewem stał człowiek, który milczał. Naraz można było widzieć tylko jednego. Ci ludzie przyglądali mi się, kiedy przechodziłem.

Wyszedłem z miasta i zacząłem iść polami. Po pewnym czasie odwróciłem się i zobaczyłem wielki tłum, który szedł za mną. Poznałem tych wszystkich ludzi, których widziałem w mieście. Mieli dziwne głowy. Szli jak gdyby bez pośpiechu, a jednak prędzej niż ja. Idąc nie robili żadnego hałasu. Ten tłum dogonił mnie i otoczył w ciągu jednej chwili. Twarze tych ludzi były koloru ziemi.

I wtedy ten pierwszy, którego spotkałem i zapytałem przy wejściu do miasta, powiedział do mnie: – Dokąd idziesz? Czy nie wiesz, że już dawno temu umarłeś?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale zauważyłem, że dookoła mnie nie było nikogo”.

Obudził się. Cały zdrętwiał z zimna. Chłodny wiatr poranny poruszał w zawiasach otwarte ramy okna. Ogień zgasł. Świeca się dopalała. Była jeszcze ciemna noc.

Podniósł się i podszedł do okna. Na niebie wciąż ani jednej gwiazdy.

Z okna widać było podwórze i ulicę. Nagle hałas ostry i słuch ściągnął na dół jego spojrzenie.

Spuścił oczy i ujrzał dwie czerwone gwiazdy, których promienie dziwacznie przedłużały się i skracały w ciemności.

Ponieważ myśl jego była jeszcze na poły pogrążona we mgłę sennych majaczeń, powiedział do siebie: – To dziwne, nie ma ich na niebie. Są teraz na ziemi.

Drugi łoskot, podobny do pierwszego, rozbudził go do reszty, spojrzął i poznał, że dwie gwiazdy były latarniami powozu. W świetle ich udało mu się rozpoznać jego kształt. Było to tilbury zaprzężone w białego konika. Łoskot, który usłyszał, był to stuk kopyt końskich o bruk.

– Co to za powóz? – rzekł do siebie. – Kto to przyjechał tak wcześniej?

W tej chwili zapukano lekko do drzwi. Zadrżał od stóp do głów i zawołał straszonym głosem:

– Kto tam?!

Ktoś odpowiedział:

– Ja, panie merze.

Poznał głos swojej starej odźwiernej.

– A co tam? – zapytał.

– Panie merze, już zaraz piąta.

– No i co z tego?

– Panie merze, kabriolet już jest.

– Jaki kabriolet?

– Tilbury.

– Co za tilbury?

– Czy pan mer nie zamówił dla siebie tilbury?

– Nie – powiedział.

– Furman powiada, że przyjechał po pana mera.

– Co za furman?

– Od pana Scaufflaire.

– Od pana Scaufflaire?

Na to nazwisko zadrżał, jakby błyskawica mignęła mu przed oczyma.

– A tak! – rzekł – od pana Scaufflaire.

Gdyby stara odźwierna widziała go w tej chwili, ogarnąłby ją strach.

Nastało długie milczenie. Bezmyślnie wpatrywał się w płomień świecy, odrywał wosk stopiony dookoła knota i gniótł go w palcach. Staruszka czekała. Na koniec odważyła się odezwać jeszcze raz:

– Panie merze, co mam odpowiedzieć?

– Powiedzcie, że dobrze, że zaraz zejść na dół.

Kije między szprychami

Tej nocy karetka pocztowa, wjeżdżając do Montreuil-sur-mer drogą z Hesdin, zaczepiła na zakręcie o małe tilbury, zaprzężone w białego konia, które pędziło w przeciwną stronę, powożone przez mężczyznę owiniętego w płaszcz. Kabriolet pocztowy silnie uderzył o koło tilbury. Pocztylion wołał na mężczyznę, aby się zatrzymał, ale podróżny nie słuchał i pędził szybkim kłusem.

– Diabelnie mu się śpieszy! – rzekł pocztylion.

Człowiek, który tak się śpieszył, był tym samym, którego przed chwilą widzieliśmy, jak łamał się wśród konwulsji, zaiste godny litości.

Dokąd jechał? Sam nie umiałby powiedzieć. Dlaczego się śpieszył? Nie wiedział. Jechał bez celu, gdzie oczy poniosą. Dokąd? Zapewne do Arras, lecz może i gdzie indziej. Chwilami czuł to i drżał.

Zanurzał się w tę noc jak w przepaść. Coś go pchało, coś ciągnęło w tył. Niepodobna opisać, co się w nim działo, ale każdy to zrozumie. Komuż nie zdarzyło się choćby raz w życiu wejść do tej posępnej pieczary nieznanego?

Zresztą nie zdecydował się na nic, nic nie postanowił, nic nie uczynił. Żaden z ataków jego sumienia nie był ostateczny. Znowu nic nie wiedział, jak na początku.

Dlaczego jechał do Arras?

Powtarzał sobie to, co już myślał, wynajmując kabriolet u Scaufflaire'a, że cokolwiek by się miało stać, mógł przecie, nie popełniając żadnej nieostrożności, zobaczyć na własne oczy, samemu przekonać się i osądzić – że nawet było to roztropnie, że powinien dowiedzieć się, co się stanie – że niczego nie można postanowić nie widząc i nie badając osobiście – że z daleka zawsze z igły robi się widły – że wreszcie, gdy zobaczy tego Champmathieu, zapewne jakiegoś łotra, z lżejszym sumieniem dopuści, by poszedł zamiast niego na galery że wprawdzie będą tam Javert i ten Brevet, ten Chenildieu, ten Cochepaille, dawni galernicy, którzy go znali, ale z pewnością teraz go nie poznają. Skądże znowu? Javert był o sto mil od tego przypuszczenia, wszystkie domysły i poszlaki wskazywały na owego Champmathieu, a nic nie bywa bardziej uparte nad poszlaki i domysły; nie było więc żadnego niebezpieczeństwa.

Niewątpliwie była to czarna chwila, lecz wyjdzie z niej szczęśliwie – zresztą, jakkolwiek złowrogi jest los, ma go w swym ręku, jest jego panem. I uczeplił się tej myśli.

W głębi duszy, jeśli wyznać mamy całą prawdę, wolałby nie jechać do Arras. Ale jechał.

Wśród tych rozmyślań zaciął konia, który przebiegał wybornym i pewnym kłusem półtrzcicia mili na godzinę.

Im dalej pędził powozik tym wyraźniej czuł Jan Valjean jak coś się w nim cofało.

O świcie znalazł się na otwartym polu: miasto Montreuil-sur-mer zostało daleko w tyle. Patrzył na rozwidniający się horyzont, patrzył, nie widząc, na przesuwane przed oczami chłodne kształty zimowego świtu. Ranek ma swoje, widziadła jak wieczór. Nie dostrzegał ich, ale mimo jego wiedzy, jakimś sposobem, prawie fizycznym, te czarne sylwetki drzew i pagórków złowrogo i posępnie oddziaływały na ciężki stan jego duszy.

Ilekoć przejeżdżał koło jednego z tych domów, które samotnie stoją przy drogach, mówił sobie: – A jednak tam mieszkają ludzie. którzy śpią.

Koń bił kopytem, u chomała brzęczały dzwonki, koła turkotały monotonnie po kamieniach – dźwięki miłe dla wesołych, posępne dla smutnych.

Rozwidniało się już, zupełnie, kiedy przyjechał do Hesdin. Zatrzymał się przed oberżą, by pozwolić wytchnąć koniowi i dać mu owsa.

Koń, jak powiedział Scaufflaire, był z drobnej rasy bulońskiej. miał dużą głowę, duży brzuch, krótką szyję, ale pierś mocną i zad szeroki, cienkie i suche nogi, silne kopyta: rasa brzydka, ale wytrzymała i zdrowa. To dobre zwierzę przebiegło pięć mil w dwie godziny i nie widać było na nim kropli potu.

Nie wysiadł z tilbury. Chłopiec stajenny, który przyniósł owsa, schylił się nagle i popatrzył na lewe koło.

– Czy pan z daleka tak jedzie? – zapytał.

Pograżony w swych myślach, odparł mu roztargnionym głosem:

– Dlaczego?

– Czy z daleka pan jedzie? – powtórzył chłopiec.

– Ujechałem pięć mil.

- Ho, ho!
- Dlaczego się dziwisz?

Chłopiec znowu się schylił, milczał przez chwilę. wlepiwszy oczy w koło, potem podniósł głowę i rzekł:

- Może to koło i przejechało pięć mil. ale teraz na pewno nie ujedzie ani ćwierci. Zeskoczył z tilbury.

- Co mówisz, przyjacielu?

– Mówię, że to cud prawdziwy, że pan przejechał pięć mil, nie zwaliwszy się razem z koniem w jaki rów przy szosie. Niech pan popatrzy.

Rzeczywiście, koło było bardzo uszkodzone. Uderzenie pocztowego powozu złamało dwie szprychy i rozsadziło piastę tak, że kurczaba ledwie się trzymała.

- Przyjacielu – rzekł do chłopca – macie tu stelmacha?

- Mamy, panie.

- Bądź łaskaw, zawołaj go.

- Jest tu, o dwa kroki. Hej, majstrze Bourgaillard!

Majster Bourgaillard stał na progu swojego mieszkania. Przyszedł, obejrzał koło i skrzywił się, jak chirurg patrzący na złamaną nogę.

- Czy możecie mi zaraz naprawić to koło?

- Mogę, panie.

- Kiedy będę mógł jechać dalej?

- Jutro.

- Jutro?

- Jest roboty na cały dzień. Czy panu bardzo pilno?

- Bardzo. Muszę odjechać najdalej za godzinę.

- To niemożliwe, panie.

- Zapłacę, ile żądacie.

- Niemożliwe.

- No! Za dwie godziny.

– Niepodobna dziś. Trzeba dać dwie nowe szprychy i piastę. Musi się pan zatrzymać do jutra.

- Nie mogę czekać do jutra. A gdyby, zamiast naprawienia, dać inne koło?

- Jak to?

- Przecież jesteście stelmachem?

- Ma się rozumieć, panie.

- Więc może macie koło do sprzedania? Odjechałbym natychmiast.

- Koło na zmianę?

- A tak.

Nie mam gotowego koła do pańskiego kabrioletu. Dwa koła to para. Dwa koła nie dobrane nie pójną razem.

- W takim razie sprzedajcie mi dwa koła.

- Panie, nie każde koło przystanie do osi.

- Spróbujcie jednak.

– Nie ma po co próbować, panie. Mam tylko proste koła do chłopskich wozów. To przecie mała wioszczyzna.

- A może macie kabriolet do wynajęcia?

Stelmach od pierwszego spojrzenia poznał, że tilbury było wynajęte. Wzruszył ramionami i odparł:

– Ślicznie się pan obchodzi z najętymi kabrioletami! Choćbym miał, tobym panu nie wynajął.

- No, a na sprzedaż?

– Nie mam.

– Co, żadnego wózka? Przecie widzicie, że się nie targuję.

– U nas to mała dziura; mam tam wprawdzie w szopie stary kocz jednego kupca z miasteczka, który mi go dał pod opiekę i jeździ nim, ale rzadko. Wynająłbym go panu, co mi to szkodzi? Ale nie chciałbym, żeby się kupiec o tym dowiedział, a przy tym to kocz, trzeba zaprząć dwa konie.

– Wezmę konie pocztowe.

– A dokąd pan jedzie?

– Do Arras.

– I dziś pan tam chce jechać?

– Tak.

– Pocztowymi końmi?

– Czemu nie?

– A czy nie dość będzie panu stanąć w Arras jutro o czwartej rano?

– Nie.

– Bo to widzi pan, biorąc konie na poczcie... czy pan ma paszport?

– Mam.

– Otóż biorąc konie pocztowe, nie dojedzie pan do Arras przed jutrem. Nie jesteśmy przy głównym trakcie. Na stacjach pocztowych obsługa jest niedbała, konie w polu. Zaczęła się orka; trzeba mocnego sprzężaju, więc biorą wszystkie konie, nawet pocztowe. Na każdej stacji poczeka pan trzy albo cztery godziny. A przy tym konie idą stępa. Droga górzysta.

– No to pojedę wierzchem. Odprzążcie konia. Chyba sprzedadzą mi tu siodło?

– Rozumie się, sprzedadzą, ale czy koń przyzwyczajony do siodła?

– Aha, prawda! Zapomniałem, że nie znosi siodła.

– Więc...

– Chyba we wsi znajdzie się koń do wynajęcia?

– Co? Żeby jednym tchem szedł aż do Arras?

– Tak.

– Takich koni nie ma w naszej okolicy. Najprzód trzeba by go kupić, bo nikt pana nie zna. Ale czy nająć, czy kupić, ani za pięćset, ani za tysiąc franków nie znajdzie go pan!

– Więc co zrobić?

– Najlepiej, słowo uczciwego człowieka, zaczekać do jutra, a ja tymczasem naprawię koło.

– Jutro będzie za późno.

– Do licha!

– Przecież do Arras jeździ poczta? Kiedy przejeżdża tędy?

– W nocy. Poczta w obie strony przejeżdża nocą.

– Więc potrzebujecie całego dnia na naprawienie tego koła?

– Caluteńkiego!

– A gdyby wziąć dwóch czeladników?

– Choćby dziesięciu.

– Gdyby postronkami przymocować szprychy?

– Szprychy można, ale nie piastę. A przy tym obręcz też uszkodzona.

– Nie wynajmuje kto powozów w mieście?

– Nie.

– A drugiego stelmacha nie ma?

Chłopiec z oberży i majster odpowiedzieli razem, potrząsając głową:

– Nie.

Poczuł ogromną radość.

Najwidoczniej wmieszała się w to Opatrzność. Ona strzaskała koło tilbury i zatrzymała go w drodze. Nie poddał się jej pierwszemu wezwaniu; owszem, robił wszystko, żeby pojechać

dalej; uczciwie i skrupulatnie wyczerpał wszelkie środki; nie zraziła go ani ostra pora roku, ani zmęczenie, ani wydatki; nie miał sobie nic do wyrzucenia. Jeżeli nie pojedzie dalej, to już nie jego wina! To już nie sprawa jego sumienia, a zrządzenie Opatrzności.

Odetchnął. Odetchnął swobodnie, pełną piersią, po raz pierwszy od rozmowy z Javertem. Wydało mu się, że puściły żelazne kleszcze, które mu ścisnęły serce od dwudziestu godzin.

Zdawało mu się, że Bóg wziął oto jego stronę i oświadczał się za nim.

Powiedział sobie, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, i że teraz pozostaje mu tylko powrócić spokojnie do domu.

Gdyby rozmowa jego ze stelmachem odbyła się w izbie oberży, nie miałaby świadków, nikt by jej nie usłyszał, wszystko by się na tym zakończyło i prawdopodobnie nie moglibyśmy opowiedzieć wypadków, o których niżej będzie mowa; ale rozmawiano na ulicy. Wszelka rozmowa na ulicy nieuchronnie ściąga ciekawych. Zawsze się znajdują chętni gapie. Kiedy wypytywał stelmacha, zatrzymało się kilku przechodniów. Posłuchawszy kilka minut, jakiś chłopiec, na którego nikt nie zwracał uwagi, odłączył się od gromady i ciekawych i gdzieś pobiegł.

Kiedy podróżny, zakończywszy wewnętrzne rozumowanie, o którym tylko co mówiliśmy, postanowił zawrócić do domu, nadbiegł ów chłopiec. Za nim szła starsza kobieta.

– Panie – rzekła kobieta – mój chłopiec mówi, że pan życzy sobie wynająć kabriolet?

Na te proste słowa, wyrzeczone przez staruszkę, którą prowadził chłopiec, zimny pot wystąpił mu na plecy. Czuł, że ręka, która go wypuściła ze swego uścisku, znów wyłania się z cienia, gotowa, by go schwycić z powrotem. Odpowiedział:

– Tak, dobra kobieto, chciałbym wynająć kabriolet. – I dodał śpiesznie: – Ale tu u was nie można dostać.

– Można – rzekła stara.

– Gdzie? – zapytał stelmach.

– U mnie – odpowiedziała staruszka.

Zadrzał. Fatalna dłoń schwyciła go.

Rzeczywiście staruszka miała w szopie rodzaj kariolki koszykowej. Stelmach i chłopak z oberży, zmartwieni, że tracą klienta, zaprotestowali:

– To szkaradna bryka, osadzona po prostu na osi, bez resorów, chociaż siedzenie z desek wisi na rzemieniach. Nie ma zasłony od deszczu, koła zardzewiały, zniszczone przez wilgoć; nie pojedzie dalej jak tilbury – prawdziwy stary gruchot. Na pana miejscu nigdy bym w nią nie wsiadał – itd., itd.

Wszystko to było prawdą, lecz ta bryka, ten gruchot, to coś, jakie ono tam było, toczyło się na kołach i mogło pojechać do Arras.

Zapłacił, co żądano, tilbury zostawił u stelmacha do naprawy, żeby je zabrać wracając, kazał zaprząć białego konia do kariolki, wsiadł i ruszył w drogę rozpoczętą o świcie.

Kiedy bryczka ruszyła, przyznał się, iż przed chwilą ucieszyła go myśl, że nie dojedzie na miejsce. Z gniewem wspomniawszy tę radość i wydała mu się niedorzeczna. Dlaczego cieszyć się z powrotu? Przecież w końcu odbywał tę podróż dobrowolnie. Nikt go do tego nie zmuszał.

I na pewno nic się nie stanie, czego by sam nie zechciał. Kiedy wyjeżdżał z Hesdin, usłyszał za sobą głos wołający: Niech pan poczeka! – Żywym ruchem, w którym było jeszcze coś gorączkowego, co przypominało nadzieję, zatrzymał konia. Był to chłopiec od staruszki.

– Panie, to ja panu naraiłem bryczkę.

– Więc co z tego?

– Pan mi nic nie dał.

On, który tak chętnie dawał wszystkim, oburzył się, jakby to było jakieś niesłychane żądanie.

– A, to ty, hultaju? – zawołał. – Nic nie dostaniesz!

Zaciał konia i odjechał szybkim kłusem.

W Hesdin zmitrężył dużo czasu, chciał to powetować. Dziarski konik ciągnął za dwóch, ale było to w lutym, deszcz padał, drogi rozmiękły. Prócz tego nie było to już tilbury, lecz ciężka bryka, a okolica górzysta. Blisko cztery godziny jechał z Hesdin do Saint-Pol. Pięć mil w cztery godziny.

W Saint-Pol wyprzągnął konia przed pierwszą napotkaną oberżą i kazał go zaprowadzić do stajni. Jak obiecał Scaufflaire'owi, sam stał przy żłobie, gdy koń jadł owies. Myśli jego były smutne i bezładne.

Do stajni weszła żona oberżysty.

– Czy pan nie będzie jadł śniadania?

– Prawda – rzekł – jestem nawet bardzo głodny.

Poszedł za kobietą, która twarz miała świeżą i wesołą. Zaprowadziła go do niskiej izby, gdzie stały stoły nakryte ceratą.

– Proszę się śpieszyć – rzekł – pilno mi, muszę zaraz odjechać.

Tęga dziewczyna, Flamandka, szybko postawiła przed nim nakrycie. Patrzył na dziewczynę z uczuciem zadowolenia.

Tego mi było trzeba – pomyślał. – Nie jadłem śniadania.

Kiedy je podano, rzucił się na chleb, ugryzł kawałek, potem z wolna położył na stole i więcej nie ruszył.

Jakiś woźnica jadł przy drugim stole. Rzekł do niego:

– Dlaczego tu chleb taki gorzki?

Woźnica był Niemcem i nie zrozumiał.

Powrócił do stajni, do konia.

W godzinę później opuścił Saint-Pol, kierując się ku Tinques, miejscowości odległej o pięć mil od Arras.

Zmierzchało już, kiedy dzieci wychodzące ze szkoły zobaczyły podróżnego wjeżdżającego do Tinques. Prawda, że były to krótkie dni zimowe. Nie zatrzymał się w Tinques. Gdy wyjeżdżał z wioski, kamieniarz naprawiający szosę podniósł głowę i rzekł:

– A to zmęczona szkapa!

W istocie, biedny konik ledwie mógł iść, i to stępa.

– Czy pan jedzie do Arras? – zapytał kamieniarz.

– Tak.

– Jeżeli tak dalej będzie pan jechał, to nie dojedzie pan prędko.

Zatrzymał konia i zapytał:

– Ile mil jeszcze do Arras?

– Dobrych siedem mil.

– Co znowu? Mapa pocztowa podaje pięć mil i ćwierć.

– A! – odparł kamieniarz – to pan nie wie, że szosa jest w naprawie. Za kwadrans stąd zobaczy pan, że ją zamknęli. Nie można jechać dalej.

– Naprawdę?

– Musi pan zawrócić na lewo, do Carency, przeprawić się przez rzekę, a kiedy pan będzie już w Camblin, znowu zawrócić na prawo; będzie to droga z Mont-Saint-Eloy, prowadząca do Arras.

– Noc zapada, jeszcze zbłądzę.

– Pan nie zna tych stron?

– Nie.

– A tu same boczne drogi. Chce pan posłuchać mojej rady? – ciągnął kamieniarz. – Koń jest zmęczony; niech pan wróci do Tinques. Jest tam dobra oberża. Przenocuje pan i jutro pojedzie do Arras.

– Muszę tam być dziś wieczór.

– To co innego. Ale i tak niech pan wróci do oberży i weźmie innego konia. Chłopak od koni poprowadzi pana po bocznych drogach.

Usłuchał rady kamieniarza, zawrócił i w pół godziny potem przejeżdżał przez to samo miejsce dobrym kłusem, mając najętego konia na zmianę. Chłopak stajenny, tytułujący się pocztylionem, powoził bryczką.

Mimo to Jan Valjean czuł, że traci czas.

Ściemniło się zupełnie.

Zjechali z głównego gościńca. Droga stała się okropna. Kariolka z jednej koleiny wpadała w drugą. Powiedział do pocztylionia:

– Jedź ciągle dobrym kłusem, dostaniesz podwójny napiwek.

Na jakimś wyboju pękł orczyk.

– Panie – rzekł pocztylion – orczyk złamany, nie wiem, jak przyprząc konia, droga tutaj zła po nocy, gdybyśmy zawrócili do Tinques. moglibyśmy jutro wczesnym rankiem zajeżdżać do Arras.

Odpowiedział:

– Masz postronek i nóż?

– Mam, panie.

Uciał gałąź i zrobił z niej orczyk.

Nowa strata dwudziestu minut; ale teraz ruszyli galopem.

Ciemności zaległy równinę. Mgły niskie, poszarpane i czarne pełzały po wzgórzach i odrywały się od nich niby kłęby dymu. Smugi bladego światła przeświecały przez chmury. Silny wiatr wiejący od morza dął i szumiał na całym widnokręgu, jakby ktoś przesuwał sprzęty. Wszystko, co można było dostrzec, miało wyraz grozy. Ileż rzeczy drżało w tym szerokim oddechu nocy!

Przejmował go chłód. Przez cały dzień nic nie jadł. Przypomnił sobie inną wędrówkę nocną, na wielkiej płaszczynie w okolicach Digne, przed ośmiu laty; zdawało mu się, że to było wczoraj.

Gdzieś na dalekiej dzwonnicy wybiła godzina.

Zapytał chłopca:

– Która to już?

– Siódma, panie, o ósmej będziemy w Arras. Zostało tylko trzy mile.

W tej chwili po raz pierwszy zdał sobie sprawę – i zdziwił się, że już wcześniej o tym nie pomyślał – że może daremnie się trzusi, że nie wie nawet, o której godzinie miał się rozpocząć proces, że należało przynajmniej spytać się o to, że puszczać się w drogę, nie wiedząc, czy jest po co – to dziwactwo. I zaczął rachować w myśli: zazwyczaj posiedzenia sądów przysięgłych rozpoczynają się o dziewiątej rano; ta sprawa nie mogła trwać długo; kradzież jabłek osądzą prędko; dalej tylko sprawa tożsamości osoby; cztery lub pięć zeznań, krótkie przemówienia adwokatów; przyjedzie, kiedy będzie już po wszystkim.

Pocztylion zaciął konie. Przejechali przez rzekę, zostawiając za sobą Mont-Saint-Eloy.

Noc stawała się coraz głębsza.

Siostra Symplicja wystawiona na próbę

A tymczasem o tejże samej porze Fantyna przeżywała wielką radość.

Noc miała bardzo złą. Straszliwy kaszel, wzrost gorączki; bredziła przez sen. Rano, kiedy przyszedł doktor, była nieprzytomna. Poczciwy lekarz zaniepokoił się i polecił, żeby go uprzedzić, jak tylko przyjdzie pan Madeleine.

Całe rano Fantyna, smutna, małowówna, zamyślona, marszczyła palcami kołdrę szepcząc do siebie, jakby rachowała jakieś odległości. Oczy miała zapadnięte, nieruchome. To wydawały się zgasłe, to zapalały się i błyszczały niby gwiazdy. Kiedy nadchodzi już posepna godzina, zdaje się, że światło niebios napełnia tych, których opuszcza światło ziemskie.

Ilekoć siostra Symplicja zapytywała ją, jak się czuje, odpowiadała niezmiennie: – Dobrze. Chciałabym widzieć pana Madeleine.

Kilka miesięcy temu, kiedy Fantyna straciła ostatni wstyd niewieści i ostatnią swą radość, była tylko cieniem siebie; teraz wyglądała jak własne widmo. Choroba fizyczna dopełniła zniszczenia moralnego. Ta dwudziestopięcioletnia kobieta miała czoło pomarszczone, policzki obwisłe, spiczasty nos, zęby obnażone z dziąseł, ołowianą cerę, wyschlą szyję, wystające kości obojczyków, wychudłe członki, ziemistą skórę, a jej jasne włosy odrastały zmieszane z siwymi. Ach, jak choroba improwizuje starość!

W południe powrócił doktor, zalecił to i owo, zapytał, czy pan mer był w szpitalu, i potrząsnął głową.

Pan Madeleine przychodził zwykle do chorej o trzeciej po południu. W takich wypadkach dobroć to tyle co akuratność, był więc akuraty.

Około wpół do trzeciej Fantyna zaczęła się niepokoić. W ciągu dwudziestu minut z dziesięć razy zapytywała zakonnicę: – Siostrzo, która godzina?

Wybiła trzecia. Za trzecim uderzeniem Fantyna usiadła na łóżku – ona, która przecież ledwie się mogła poruszać konwulsyjnie załamała wychudłe i żółtkłe ręce i siostra Symplicja usłyszała, jak westchnęła głęboko, niby zrzucając kamień z serca. Odwróciła się i patrzyła na drzwi.

Nikt nic wszedł: drzwi się nie otworzyły.

Siedziała tak przez kwadrans z oczami utkwionymi w drzwiach, wstrzymując oddech, bez ruchu. Siostra nie śmiała się odezwać do niej. Na kościele katedralnym wybiło kwadrans na czwartą. Fantyna upadła na poduszkę.

Nic nie mówiła i znowu zaczęła miąć kołdrę.

Upłynęło pół godziny, potem godzina. Nikt nie przychodził; ilekoć zadzwonił zegar, Fantyna podnosiła się, patrzyła na drzwi i znowu padała na pościel.

Widziało się jasno jej myśl, lecz nie odzywała się ani słowem, nie skarżyła się, nie obwiniała. Tylko kasłała ponuro. Wydawać się mogło, że coś czarnego opadało na nią. Była sina, usta miała niebieskie.

Wybita piąta. Wtedy siostra usłyszała, jak mówiła bardzo cicho i łagodnie:

– Jednak to nieładnie, że on dziś nie przychodzi, skoro ja jutro mam odejść.

Siostra Symplicja sama była zdziwiona, że pan Madeleine się spóźnia.

Zegar wybił szóstą. Fantyna jak gdyby nie usłyszała. Zdawała się nie zwracać już uwagi na to, co się działo dokoła niej.

Siostra Symplicja wysłała służącą do odźwiernej fabryki, żeby się dowiedziała, czy pan mer już wrócił i czy prędko przyjdzie do infirmerii. Dziewczyna wróciła po kilku minutach.

Fantyna, wciąż nieruchoma, wydawała się pogrążona we własnych myślach.

Służąca opowiedziała po cichu siostrze Symplicji, że pan mer mimo takiego zimna wyjechał przed szóstą rano małym tilbury, zaprzężonym w białego konia; że pojechał sam, nawet bez woźnicy, nie wiadomo dokąd; że widziano go, jak zawracał na drogę do Arras, a inni zapewniali, że go widzieli na drodze do Paryża, że odjeżdżając był jak zwykle spokojny i uprzejmy, tylko powiedział odźwiernej, żeby go nie czekała na noc.

Kiedy dwie kobiety tak szeptały, tyłem obrócone do łóżka Fantyny, ta, z gorączkową żywnością pewnych chorób organicznych, w których zdrowa sprawność ruchów towarzyszyły śmiertelnemu wychudzeniu, uklękła na pościeli, oparła na poduszce zaciśnięte pięści i wysunawszy głowę przez szczelinę w zasłonie nad łóżkiem, słuchała. Nagle krzyknęła:

– Mówicie o panu Madeleine! Dlaczego szepcecie? Co się z nim stało? Dlaczego nie przychodzi?

Głos jej stał się tak mocny i ostry, że obie kobiety wzięły go za głos mężczyzny i obróciły się przerażone.

– Odpowiadajcie! – wołała Fantyna.

Służąca wyjąkała:

– Odźwierna powiedziała mi, że dzisiaj nie może przyjść.

– Moje dziecko – rzekła siostra – uspokój się i połóż.

Fantyna, nie zmieniając pozycji, odparta głosem donośnym, groźnym i rozdzierającym zarazem:

– Nie może przyjść? Dlaczego nie może? Wy znacie przyczynę. Szepcacie o tym przed chwilą. Chcę wiedzieć! Służąca powiedziała spieszenie do ucha zakonnicy:

– Niech siostra powie, że jest zajęty w merostwie.

Siostra Symplicja z lekka się zarumieniła – służąca doradzała kłamstwo. Z drugiej strony prawda, powiedziana chorej, zadałaby jej straszny cios, a w tym stanie byłoby to niebezpieczne. Rumieniec znikł prędko. Siostra, podnosząc na Fantynę wzrok spokojny i smutny, powiedziała:

– Pan mer wyjechał.

Fantyna wyprostowała się i przysiadła na piętach. Oczy jej zabłysły. Niewymowna radość promieniała z całej jej zbolalej twarzy.

– Wyjechał! – zawołała. – Pojechał po Kozetę!

I wyciągnęła obie ręce ku niebu, a oblicze jej przybrało wyraz nie do opisania. Wargi poruszały się; modliła się po cichu. Kiedy skończyła modlitwę, powiedziała:

– Siostrze, chętnie położę się i zrobię wszystko, co zechcecie; przed chwilą byłam zła, przepraszam cię, siostrze, że mówiłam tak głośno, ja wiem, że to źle, ale widzicie, jestem taka szczęśliwa. Pan Bóg jest dobry, pan Madeleine jest dobry; wyobraź sobie, siostrze, że pojechał po moją Kozetę do Montfermeil.

Fantyna położyła się. Pomogła zakonnicy poprawić poduszki i ucałowała srebrny krzyżyk, który miała na szyi – podarunek siostry Symplicji.

– Moje dziecko – rzekła siostra – uspokój się teraz, odpocznij i przestań mówić.

Fantyna wzięła w swe wilgotne dłonie rękę siostry, która przestraszyła się tego potu.

– Pojechał dziś rano do Paryża. Niepotrzebnie nawet jechał na Paryż, bo Montfermeil leży trochę na lewo. Czy siostra przypomina sobie, co mówił wczoraj, kiedy go pytałam o Kozetę: „już niedługo, niedługo!” – Chce mi zrobić niespodziankę. Wie siostrze? Kazał mi podpisać list, żeby ją odebrać od Thénardierów. Nie mogą się sprzeciwiać, prawda? Oddadzą Kozetę. Zapłaci im przecież. Władze nie pozwolą, żeby zatrzymać dziecko, kiedy już się zapłaciło. Siostrze, nie kiwaj na mnie, że powinnam przestać mówić. Jestem taka szczęśliwa, mam się dobrze, jestem zupełnie zdrowa, zobaczę Kozetę, nawet mi się jeść zachciało. Już pięć lat jej nie widziałam. O, siostrze, nie wyobrażasz sobie, co to są dzieci! Ona będzie taka miła i grzeczna, zobaczysz! Gdyby siostra wiedziała, jakie ma śliczne, różowe paluszki! O, będzie miała piękne ręce. Kiedy miała rok, jej rączki były malutkie, ot, takie! Teraz pewnie już jest duża. Ma siedem lat, to cała panna. Mówią na nią Kozeta, ale ona ma na imię Eufrazja. Powiem coś siostrze: dziś rano patrzyłam na kurz na kominku i coś mi szepnęło, że wkrótce zobaczę Kozetę. Mój Boże, jak to niegodziwie lata całe nie widzieć swego dziecka! Trzeba pomyśleć, że życie nie trwa wiecznie! O, jaki pan mer jest dobry, że pojechał! Na dworze tak zimno! Czy wziął przynajmniej płaszcz? Jutro przyjedzie, prawda? To będzie radość! Jutro rano siostrze mi przypomni, żebym włożyła czepeczek z koronkami. Montfermeil to daleko. Kiedyś przeszłam tę drogę piechotą i dla mnie to było bardzo ciężko. Ale dyliżanse prędko chodzą; jutro przyjedzie z Kozetą. Ile stąd mil do Montfermeil?

Siostra nie miała żadnego wyobrażenia o odległościach, więc odpowiedziała:

– O, na pewno już jutro może być z powrotem.

– Jutro! jutro! – rzekła Fantyna. – Jutro zobaczę Kozetę! Czy kochana siostra wie, że już nie jestem chora? Oszalałam z radości. Tańczyłabym, gdyby mi ktoś kazał.

Kto by ją widział kwadrans temu, nie pojąłby tej przemiany. Była rumiana, mówiła głośno, swobodnie i naturalnie, cała jej twarz była uśmiechem. Chwilami śmiała się, szepcząc coś do siebie. Radość matki – to radość prawie dziecinna.

– Teraz, kiedy jesteś szczęśliwa – rzekła zakonnica – bądź posłuszna i przestań mówić.

Fantyna położyła głowę na poduszkę i powiedziała półgłosem:

– Tak, leż spokojnie, bądź grzeczna, bo masz zobaczyć swoje dziecko. Siostra Symplicja ma rację. Wszyscy tutaj mają rację.

Później, nie ruszając się, nie podnosząc głowy, wodziła dokoła wielkimi promieniejącymi radością oczami – i nie wyrzekła już ani słowa.

Siostra Symplicja zasunęła firanki nad łóżkiem, spodziewając się, że usnie.

Między siódmą a ósmą przyszedł doktor. Nie słysząc żadnego szmeru, sądził, że Fantyna śpi, i na palcach zbliżył się do łóżka.

Odsłonił firanki i przy świetle nocnej lampy ujrzał zwrócone na siebie wielkie, spokojne oczy Fantyny.

Powiedziała mu:

– Panie doktorze, prawda, że pozwolą jej spać przy mnie na małym łóżeczku?

Lekarz myślał, że bredzi.

Fantyna dodała:

– Niech pan spojrzy, akurat będzie miejsce na łóżeczko.

Lekarz odprowadził na stronę siostrę Symplicję, która wyjaśniła mu, co się stało: pan Madeleine na parę dni gdzieś wyjechał i postanowiono nie wyprowadzać z błędu chorej, której się zdaje, że pan mer pojechał do Montfermeil; kto wie zresztą, może zgadła. Lekarz przytaknął siostrze.

Zbliżył się do łóżka Fantyny, która mówiła dalej:

– Bo to, widzi pan, rano, kiedy się obudzi, powiem dzień dobry temu biednemu kotkowi, a w nocy nie śpię, więc będę słuchać, jak ona śpi. Jej spokojny oddech dobrze mi robi.

– Proszę mi dać rękę – rzekł doktor.

Wyciągnęła ramię i śmiejąc się zawołała:

– Ba, prawda! Pan nic nie wie! Ja już zupełnie wyzdrowiałam. Kozeta przyjeżdża jutro.

Lekarz zdumiał się. W istocie czuła się lepiej. Oddech był swobodniejszy. Puls mocniejszy. Świeży przypływ życia nagle poruszył tę biedną, wyczerpaną istotę.

– Panie doktorze – rzekła – czy siostra powiedziała panu, że pan mer pojechał po moje złotko?

Lekarz zalecił spokój, milczenie i unikanie wszelkich przykrych wzruszeń. Przepisał chininę i na wypadek gorączki w nocy napój chłodzący. Odchodząc rzekł do siostry: – Doprawdy, ma się lepiej. Jeżeli szczęśliwym przypadkiem pan mer rzeczywiście przywiezie jutro dziecko – kto wie, bywają przesilenia tak zdumiewające. Zdarzało się nieraz, że wielka radość nagle zatrzymywała choroby; wiem dobrze, że ta choroba jest organiczna i bardzo rozwinięta, ale człowiek to taka tajemnica! Może ją jeszcze uratujemy.

Przybyły na miejsce podróży przygotowuje sobie odjazd

Była już ósma wieczorem, kiedy bryczka, którą zostawiliśmy na drodze, wjechała w bramę hotelu pocztowego w Arras. Człowiek, któremu towarzyszyliśmy dotychczas, wysiadł, z roztargnieniem odpowiadał na zapytania służby w oberży, odesłał przyprzężonego konia, sam zaprowadził do stajni białego konika: potem wszedł do sali bilardowej na dole, usiadł i wsparł się łokciami o stół. Czternaście godzin trwała podróż, którą spodziewał się odbyć w ciągu sześciu. Oddawał sobie sprawiedliwość, że nie było to jego winą: ale w głębi ducha nie gniewał się na opóźnienie. Weszła właścicielka hotelu.

– Czy pan nocuje? Czy podać wieczerzę?

Odmownie potrząsnął głową.

– Stajenny powiada, że koń pański jest bardzo zmęczony.

Podróżny przerwał milczenie:

– Czy koń nie będzie mógł iść w drogę jutro rano?

– Ach, panie, najmniej dwa dni musi odpoczywać.

Zapytał:

– Tu jest poczta, prawda?

– Tak, proszę pana.

Gospodyni zaprowadziła go do biura; pokazał paszport i zapytał, czy nie można by tejże nocy powrócić do Montreuil-sur-mer powozem pocztowym: miejsce obok pocztyliona nie było jeszcze zajęte, zamówił je i zapłacił.

– Panie – rzekł urzędnik pocztowy – niech pan nie zapomni być tu przed pierwszą po północy.

Załatwiwszy to wyszedł z hotelu i zaczął chodzić po mieście. Nie znał Arras, na ulicach było ciemno, szedł więc na chybił trafił. Jakby umyślnie nie pytał przechodniów o drogę. Przeszedł przez rzeczkę Crinchon i zabłąkał się w labiryncie małych uliczek. Jakiś człowiek przechodził z latarką. Po pewnym wahaniu zdecydował się zapytać go. spojrzawszy wprzód dokoła, jakby się obawiał, żeby kto nie usłyszał, co mówi.

– Panie – powiedział – przepraszam, gdzie jest gmach sądu?

– Pan nietutejszy? – odpowiedział przechodzień, mężczyzna już podeszłego wieku. Chodź pan ze mną. Właśnie idę w stronę sądu, to jest w stronę pałacu prefektury. Teraz naprawiają gmach sądowy i trybunały odbywają posiedzenia w prefekturze.

– Czy to tam jest sąd przysięgłych?

– Naturalnie. Widzi pan, dzisiejsza prefektura była przed rewolucją pałacem biskupim. Pan de Conzie, który był biskupem w 1782 roku, kazał tam zbudować wielką salę. W tej właśnie sali odbywają się posiedzenia sądu.

Poszli: po chwili obywatel miasta Arras odezwał się znowu:

– Jeżeli chce pan widzieć proces, to trochę za późno. Posiedzenia kończą się zwykle o szóstej.

Tymczasem weszli na wielki plac i przewodnik pokazał mu na fasadzie obszernego ciemnego gmachu cztery ogromne oświetlone okna.

Dalibóg, panie, przychodzi pan na czas, ma pan szczęście. Te cztery okna to sąd przysięgłych. Świeci się. Więc sprawa nie skończona. Widać przeciągnęło się i odbywają posiedzenie wieczorne. Pana ta sprawa obchodzi? Czy to proces kryminalny? Czy jest pan świadkiem?

Odpowiedział:

– Nie sprowadza mnie żadna sprawa, chciałem tylko rozmówić się z jednym adwokatem.

– To co innego – rzekł nieznamy. – Widzi pan drzwi? Tam, gdzie stoi szyldwach? Tamtędy i na górę po schodach.

Postąpił według wskazówek spotkanego na ulicy człowieka i w kilka minut później znalazł się w wielkiej sali pełnej ludzi; tu i tam grupki obstępowały adwokatów w togach, szepcząc po cichu.

Jakże ściska się serce na widok tych ludzi, czarno ubranych, naradzających się cichym szeptem na progu sal, w których wymierzana jest sprawiedliwość. Miłosierdzie i litość rzadko bywają wynikiem tych narad. Najczęściej z góry wydany zostaje wyrok potępienia. W oczach przelotnego, zamyślnego obserwatora gromadki te wydają się niby posępne ule, w których szmerzące duchy wspólnie budują najprzeróżniejsze mroczne konstrukcje.

Ta sala, obszerna i jedną tylko lampą oświetlona, była dawniej przedpokojem biskupim, a dziś stała się poczekalnią. Wielkie drzwi dwuskrzydłowe, w tej chwili zamknięte, prowadziły do sali, w której zasiadał sąd przysięgłych.

Było tu tak ciemno, że odważył się zaczepić pierwszego z brzegu adwokata.

– Panie – zapytał – jak stoi sprawa?

– Już skończona – rzekł adwokat.

– Skończona!

Słowo to powtórzone zostało takim tonem, że adwokat odwrócił się.

– Przepraszam pana – rzekł – może pan krewny?

– Nie. Nie znam tu nikogo. Skazano?

– Oczywiście. Nie mogło być inaczej.

– Na ciężkie roboty?...

– Na dożywocie.

Zapytał raz jeszcze, słabym, ledwie dosłyszalnym głosem:

– Więc stwierdzono tożsamość osoby?

– Jaką tożsamość? – odpowiedział adwokat. – Nie trzeba było sprawdzać tożsamości. Sprawa prosta: ta kobieta zabiła swoje dziecko, dzieciobójstwo zostało dowiedzione; sąd przysięgłych nie dopatrzył się premedytacji i skazał ją na dożywocie.

– A więc to kobieta? – zapytał.

– Rozumie się, że kobieta. Nazwiskiem Limosin. A o kogo panu chodzi?

– O nikogo, ale kiedy sprawa skończona, dłaczegoż w sali jeszcze się świeci?

– Bo przed dwiema godzinami rozpoczęto inną sprawę.

– Jaką inną sprawę?

– O, i ta bardzo prosta. Jakiś hukaj, recydywista, galernik, który popełnił kradzież. Nie pamiętam nazwiska. Z miną bandyty. Za samą gębę już bym go posłał na galery.

– Panie – zapytał – czy nie można by wejść na salę?

– Wątpię. Tłok niezmierny. Ale posiedzenie jest zawieszona. Niektórzy powychodzili. Kiedy rozpocznie się znowu, może pan spróbować.

– Którędy się wchodzi?

– Tymi dużymi drzwiami.

Adwokat odszedł. W kilku chwilach doznał prawie jednocześnie, prawie razem, wszystkich możliwych wzruszeń. Obojętne słowa adwokata przeszywały go jak ogniste ostrza, to jak igły lodu. Dowiedziawszy się, że sprawa nie jest jeszcze skończona, odetchnął; nie umiałby jednak powiedzieć, czy czuł zadowolenie, czy ból.

Zbliżył się do kilku grup i nasłuchiwał, co mówiono. Uzbierało się wiele spraw i przewodniczący wyznaczył na ten dzień dwa procesy proste i krótkie. Rozpoczęto od dzieciobójstwa, teraz przyszła kolej na galernika, niepoprawnego recydywistę, który wracał za kratki. Niby to skradł jabłka, ale mu tego nie dowiedziono; za to dowiedziono, że był już na galerach w Tulonie. To pogarszało jego sprawę. Zresztą skończyły się już badania oskarżonego i zeznania świadków, ale pozostawała jeszcze obrona adwokata i wnioski prokuratora; nie skończy się to przed północą. Prawdopodobnie człowiek ten będzie skazany; prokurator jest bardzo zdolny – i nie chybia swoich oskarżonych; to człowiek młody, utalentowany, pisze nawet wiersze.

Przy drzwiach stał woźny, pilnując wejścia do sali rozpraw.

Zapytał go:

- Przepraszam, czy prędko drzwi się otworzą?
- Nie otworzą się wcale – odparł woźny.
- Jak to? Nie otworzą się z rozpoczęciem posiedzenia? Przecież jest teraz przerwa.
- Sesja już się rozpoczęła po przerwie, ale drzwi nie otworzą się.
- Dlaczego?
- Bo sala jest przepełniona.
- Co? Ani jednego wolnego miejsca?
- Ani jednego. Drzwi są zamknięte; nikt już więcej nie wejdzie.

Po chwili milczenia woźny dodał:

– Są wprawdzie dwa czy trzy miejsca za panem przewodniczącym, ale pan przewodniczący wpuszcza tam tylko urzędników. To rzekłszy woźny odwrócił się do niego tyłem. Odszedł ze spuszczoną głową, minął przedpokój i powoli zstępował ze schodów, jakby wahając się przy każdym kroku. Prawdopodobnie odbywał naradę z sobą samym. Nie skończyła się jeszcze gwałtowna walka, która trwała w nim od wczoraj; co chwila przechodził jakąś nową próbę. Zszedł na sam dół schodów, oparł się o poręcz i skrzyżował ręce na piersiach. Nagle rozpiął surdut, wyjął pugilares, wydarł kartkę, dobył ołówka i przy świetle latarni ulicznej napisał te słowa: Pan Madeleine, mer miasta Montreuil-sur-mer, potem wielkimi krokami przebiegł schody, przedarł się przez tłum, podszedł wprost do woźnego i oddał mu kartkę, mówiąc rozkazującym tonem:

- Proszę to oddać panu przewodniczącemu.

Woźny wziął papier, rzucił nań okiem i spełnił rozkaz.

Wejście dla osób uprzywilejowanych

Mer miasta Montreuil-sur-mer, nie domyślając się nawet tego, zdobył sobie swego rodzaju sławę. Od lat siedmiu rozgłos jego cnót napełniał całą okolicę dolnego Boulonnais, przekroczył granice szczupłego okręgu i przeniknął do kilku sąsiednich departamentów. Oprócz usług oddanych głównemu miastu przez rozwinięcie przemysłu czarnych szkielek, nie było ani jednej wśród stu czterdziestu gmin okręgu Montreuil-sur-mer, która by mu czegoś nie zawdzięczała. W potrzebie umiał nawet dopomóc przemysłowi innych okręgów. Tak to w pewnej chwili poparł swym kredytem i funduszami fabrykę tiulów bulońskich, mechaniczną przędzalnię lnu w Frevent i wodną manufakturę płócien w Bourbers-sur-Canche. Wszędzie z czcią wymawiano nazwisko pana Madeleine. Arras i Douai zazdrościły mera szczęśliwemu miasteczku Montreuil-sur-mer.

Radca sądu królewskiego w Douai, który przewodniczył temu posiedzeniu sądu przysięgłych w Arras, znał, jak wszyscy, to nazwisko otoczone głębokim i tak powszechnym szacunkiem. Kiedy woźny po cichu otworzywszy drzwi, łączące pokój narad z salą posiedzeń, pochylił się nad krzesłem przewodniczącego i podał mu papier z nazwiskiem pana Madeleine, dodając, że ten pan życzy sobie asystować na posiedzeniu, przewodniczący poruszył się skwapliwie, porwał za pióro, napisał kilka słów u spodu i podał papier woźnemu mówiąc: – Prosić!

Nieszczęśliwy człowiek, którego historię opowiadamy, pozostawał przy drzwiach sali, w tym samym miejscu i w tej samej postawie, co i przed chwilą, kiedy woźny odszedł z kartką. Pograżony w myślach, usłyszał czyjś głos: – Czy byłby pan łaskaw pójść za mną? Był to ten sam woźny, który tak niedawno odwrócił się do niego plecami, a teraz kłaniał się do ziemi. Woźny jednocześnie oddał mu papier. Rozłożył kartkę, a że lampa była blisko, mógł przeczytać:

Przewodniczący sądu przysięgłych przesyła swoje uszanowanie panu Madeleine.

Zmiał papier w rękę, jakby te kilka słów miało dla niego jakiś smak dziwny a gorzki.

Poszedł za woźnym.

W kilka minut później był sam w gabinecie o ścianach wyłożonych marmurem, umeblowanym w sposób poważny i surowy i oświetlony dwiema świecami, stojącymi na stole przykrytym zielonym sukniem. W uszach brzmiały mu jeszcze ostatnie słowa woźnego, który odszedł przed chwilą: „Jest pan w izbie narad; niech pan obróci mosiężną gałkę u tych drzwi, a znajdzie się pan w sali posiedzeń, za krzesłem pana przewodniczącego”. Te słowa łączyły się w jego myśli z mglistym wspomnieniem wąskich korytarzy i schodów, którymi przechodził przed chwilą.

Woźny zostawił go samego. Nadeszła chwila ostateczna. Chciał zebrać myśli, lecz nie mógł. Wszystkie nici myśli rwą się w mózgu wtedy przede wszystkim, kiedy człowiek najbardziej potrzebuje związania ich z bolesną rzeczywistością życia. Znalazł się tam właśnie, gdzie sędziowie naradzają się i skazują. Z bezmyślnym spokojem patrzył na tę izbę cichą i straszną, gdzie zdruzgotano tyle istnień, gdzie za chwilę będzie rozbrzmiewać jego nazwisko, a do której wprowadził go właśnie jego los. Patrzył na ściany, a potem spojrzął na siebie dziwiąc się, że to ten pokój właśnie, że to on sam tu jest we własnej osobie.

Nie jadł od dwudziestu czterech godzin, umęczyła go droga w trzęsącym wózku, ale nie czuł tego; zdawało mu się, że w ogóle nic nie czuje.

Wśród tego zamyślenia obrócił się i wzrok jego padł na mosiężną gałkę drzwi oddzielających go od sali posiedzeń. Prawie że zapomniał o tych drzwiach. Spojrzenie, zrazu spokojne, zatrzymało się tam, na tej miedzianej gałce, i zmieniało się powoli, i napełniał je strach coraz bardziej obłądny. Krople potu ściekały mu z włosów na skronie.

W pewnej chwili uczynił ruch władczy i zbuntowany zarazem; ruch nie do opisania, który wyrazić ma i który tak świetnie wyraża:

„Do diabła, któż mnie właściwie do tego zmusza?” – Później odwrócił się szybko, ujrzał przed sobą drzwi, przez które wszedł tutaj, podszedł do nich, otworzył je i wyszedł. Był już za progiem tego pokoju; wyszedł na korytarz długi, wąski, przerywany schodkami i drzwiczkami, pełen zakrętów, tu i ówdzie oświetlony latarnią, przypominającą lampę przy łóżku chorego; na ten sam korytarz, którym przyszedł. Odetchnął i przez chwilę nasłuchiwał; żadnego szmeru, ani za nim, ani przed nim; zaczął uciekać, jakby go kto gonił.

Kiedy minął już kilka zakrętów, zatrzymał się i znowu zaczął nasłuchiwać. Ta sama cisza i ciemność dokoła. Zabrakło mu tchu, zachwiał się i oparł o ścianę. Od zimnego muru pot zlodowaciał mu na czole; wyprostował się drżąc.

Tak stojąc, sam w ciemnościach, drżąc z zimna, a może i z innej przyczyny, myślał.

Myślał już przedtem całą noc i cały dzień, a teraz słyszał tylko wewnątrz głos wołający: Niestety!

Tak minął kwadrans. Na koniec pochylił głowę, westchnął ciężko i boleśnie, opuścił ręce i zawrócił. Szedł powoli, znekany. Można by pomyśleć, że ktoś go schwycił uciekającego i prowadzi siłą.

Wszedł do izby narad. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była gałka u drzwi. Ta gałka, okrągła, gładka, mosiężna, błyszczała przed nim niby jakaś gwiazda straszliwa. Patrzył na nią, jak owca patrzyłaby w oko tygrysa.

Nie mógł od niej oderwać wzroku.

Co pewien czas robił krok naprzód i zbliżał się do drzwi.

Gdyby słuchał, usłyszałby jakiś pomieszany szmer – hałas z sali sąsiedniej; ale nie słuchał i nie słyszał nic.

Nagle, sam nie wiedząc jak, znalazł się przy drzwiach, konwulsyjnie chwycił gałkę; drzwi się otworzyły.

Był w sali posiedzeń.

Miejsce, gdzie się tworzą przekonania

Uczynił krok naprzód, machinalnie zamknął drzwi i stanął patrząc na to, co widział przed sobą.

Była to sala obszerna, źle oświetlona, to pełna wrzawy, to ponurego milczenia, w której aparat procesu kryminalnego roztaczał się przed oczami tłumu z całą swą powagą, drobiazgową i posępną.

W końcu sali, tam gdzie się znajdował, siedzieli sędziowie w wyszarzanych togach, roztargnieni, ogryzając paznokcie lub drzemiąc; w przeciwległym końcu – obszarpana ciżba; adwokaci w przeróżnych postawach, żołnierze o obliczach uczciwych i bezwzględnych; stare, poplamione boazerie, brudny sufit, stoły pokryte pożółkłym zielonym suknem, drzwi poczernione od śladów rąk; na gwoździach, wbitych w nitowania, lampy jak w szynkowniach, więcej wydające dymu niż światła; na stołach świece łojowe w mosiężnych lichtarzach; wszędzie ciemno, brzydko, smutnie. Wszystko to jednak przejmowało zgrozą i poszanowaniem, bo czuć tu było wielką rzecz ludzką zwaną prawem i wielką rzecz boską zwaną sprawiedliwością.

Nikt w tym tłumie nie zwrócił na niego uwagi. Wszystkie spojrzenia utkwione były w jeden przedmiot, w ławkę stojącą przy ścianie, przysuniętą do małych drzwiczek, na lewo od przewodniczącego. Na tej ławce, na którą padało światło kilku świec, siedział człowiek między dwoma żandarmami.

Był to właśnie ten człowiek.

Nie szukał go, zobaczył natychmiast. Oczy jego padły na niego od razu, jakby zawczasu wiedziały, gdzie mają znaleźć tę twarz.

Zdawało mu się, że ujrzał siebie samego, podstarzałego, niezupełnie wprawdzie podobnego z twarzy, ale w tej samej postawie, ze zjeżonymi włosami, z dziką i niespokojną żrenicą, w swej bluzie, takiego, jakim był, kiedy wchodził do Digne, z wyrazem nienawiści w twarzy, kryjąc w głębi duszy ohydny skarb strasznych myśli, które przez lat dziewiętnaście zbierał na więziennym bruku.

Drżąc rzekł do siebie: – O Boże! Czyż znów będę taki?

Człowiek ten zdawał się mieć lat około sześćdziesięciu; miał w sobie coś szorstkiego, głupowatego i przerażonego.

Na odgłos otwierających się drzwi usunięto się, by zrobić miejsce, przewodniczący odwrócił głowę i domyślając się, że wchodzącym był pan mer z Montreuil-sur-mer, skłonił mu się uprzejmie. Prokurator, który widział pana Madeleine w Montreuil-sur-mer, dokąd nieraz powoływały go obowiązki urzędu, poznał go i także powitał. On ledwie to spostrzegł. Jak urzeczony, patrzył przed siebie.

Sędziowie, pisarz, żandarmi, mnóstwo głów tak okrutnie ciekawych – wszystko to widział już raz przed dwudziestu siedmiu laty. Znowu spotyka te rzeczy złowrogie; stoją przed nim, ruchliwe, żywe; to prawdziwi żandarmi, prawdziwi sędziowie, prawdziwy tłum prawdziwych ludzi z ciała i kości. Stało się; dokoła niego ukazały się i odżyły z całą straszną rzeczywistością potworne widma przeszłości.

Wszystko to czyhało na niego.

Zgroza go przejęła, zamknął oczy i zawołał w najskrytszych głębiach swej duszy: Nigdy!

Dziwnie tragiczną igraszką losów, przywodzącą go do szaleństwa. drugi on stał przed nim. Wszyscy nazywali sądnego Janem Valjean.

Niesłychany miał widok przed oczami: był niby na przedstawieniu najokropniejszej sceny ze swego życia, granej przez własne widmo.

Wszystko jak dawniej: ten sam aparat, ta sama nocna godzina, te same prawie twarze sędziów, żołnierzy i widzów. Tylko nad głową przewodniczącego wisiał krucyfiks, którego nie było w trybunałach wówczas, kiedy zapadał wyrok na niego. Kiedy on był sądnony. Bóg był nieobecny.

Za nim stało krzesło; padł na nie, przerażony myślą, że go mogą dojrzeć. Usiadłszy ukrył twarz przed salą za stosem akt leżących na stole sędziów. Mógł teraz widzieć, nie będąc widzianym. Powoli oprzytomniał. Wróciło mu poczucie rzeczywistości. O tyle już był spokojniejszy, że mógł słuchać.

Wśród sędziów przysięgłych był pan Bamatabois. Szukał Javerta, ale go nie spostrzegł. Stół pisarza zasłaniał świadków. A przy tym, jak już powiedzieliśmy, sala była źle oświetlona.

Kiedy wszedł, adwokat oskarżonego kończył obronę. Sprawa trwała od trzech godzin i publiczność słuchała jej z wyteżoną uwagą. Od trzech godzin na oczach ciekawego tłumu ugiął się pod brzemieniem strasznego prawdopodobieństwa człowiek nieznamy, jakiś nędznik, niezwykle głupi albo głęboko przebiegły. Był włóczęgą, którego schwytano na polu, niosącego gałąź z dojrzałymi jabłkami, złamaną w sąsiednim ogrodzie, zwanym sadem Pierrona. Co to za jeden? Zarządzono śledztwo, przesłuchano świadków, wszyscy zeznali jednomyślnie i prawda się wyświetliła. Oskarżenie brzmiało:

Trzymamy w rękę nie tylko złodzieja owoców, włóczęgę, trzymamy nadto bandytę, recydywistę, dawnego galernika, najniebezpieczniejszego zbrodniarza, złoczyńcę nazwiskiem Jan Valjean, którego sprawiedliwość od dawna poszukuje, który przed ośmiu laty, opuściwszy galery tulońskie, dopuścił się na gościńcu rozboju na osobie małego Sabaudczyka imieniem Gerwazek, zbrodni przewidzianej w artykule 383 kodeksu karnego, za którą odpowiadać będzie później, gdy tożsamość osoby sądnownie zostanie udowodniona. Teraz popełnił nową kradzież. Jest to więc recydywa. Ukarzcie go za nowe przestępstwo, później się go osądzi za dawniejsze. – Wobec takiego oskarżenia i wobec jednomyślności świadków oskarżony nie tyle się bronił, ile raczej okazywał wielkie zdziwienie. To czynił ruchy przeczące oskarżeniu, to gapił się na sufit. Mówił z trudnością, odpowiadał zakłopotany, ale cała jego postać od stóp do głów przeczyła. Był niby idiotą w porównaniu z umysłami, które się dookoła niego ustawiły w szyku bojowym, i wydawał się zupełnie obcy w tym społeczeństwie, które go pojmało. A jednak chodziło o najgroźniejszą dla niego przyszłość, prawdopodobieństwo co chwila zdawało się większe, tłum ciekawych z większą niż on obawą czekał wyroku pełnego klęski zawieszanej nad jego głową. Przewidywano nawet karę śmierci zamiast galer, gdy dowiedziona zostanie tożsamość osoby i jeśli sprawa Gerwazka zakończy się nowym wyrokiem skazującym. Co to był za człowiek? Co znaczyła jego obojętność? Byłaż to chytrość czy niedołęstwo? Czy rozumiał aż zbyt wiele, czy też zgoła nic? Takie pytania zadawali sobie widzowie i jak się zdaje, takie wątpliwości różniły opinię sędziów przysięgłych. W procesie tym było i to, co przeraża, i to, co zaciekawia; dramat był nie tylko ponury, ale ponadto ciemny i zawikłany.

Adwokat nieźle bronił owym stylem prowincjonalnym, od dawna będącym znamieniem wymowy sądowej, która niegdyś właściwa adwokatom zarówno Paryża jak lada lichej miłośnicy, dziś stała się wymową klasyczną i jest wyłącznie używana przez mówców urzędowych, którym przystoi krasomówstwo poważne i majestatyczne. W tym stylu mąż zowie się małżonkiem, żona – małżonką, Paryż – ogniskiem sztuk i cywilizacji, król – monarchą, biskup świętym kapłanem, prokurator – wymownym tłumaczem mściwej Sprawiedliwości, obrona – głosami przed chwilą słyszanyymi, wiek Ludwika XIV – wielkim

stuleciem, teatr – świątynią Melpomeny, rodzina panująca – dostojną krwią naszych królów, koncert – uroczystością muzyczną, generał dowodzący załogą w departamencie znakomitym wojownikiem, który itd., alumni seminarium – młodocianymi lewitami, błędy przypisywane dziennikom – fałszem, który przepoił trucizną kolumny tych organów itd. itd.

Otóż adwokat rozpoczął mowę od wyłuszczenia sprawy kradzieży jabłek – co jest rzeczą bardzo niedogodną przy tym pięknym stylu; ale sam wielki Bossuet zmuszony był raz podczas mowy pogrzebowej wspomnieć o kurze i z pompą wybrnął z kłopotu. Adwokat utrzymywał, że kradzież jabłek materialnie nie była dowiedziona. Nikt nie widział, żeby jego klient, którego jako obrońca nie przestawał nazywać Champmathieu, przeskoczył mur i złamał gałąź. Wprawdzie schwytano go z gałęzią (adwokat chętniej nazywał ją „gałązką”) w ręku, ale zeznał przecież, że ją podniósł z ziemi. Przeciwnego dowodu nie było. Nie ulegało wątpliwości, że gałąź była odłamana z jabłoni i wyniesiona z ogrodu przez złodzieja, który później, przestraszony, rzucił ją na ziemię. Nic jednak nie dowodziło, że tym złodziejem był Champmathieu. Pozostawał jedyny zarzut; że był dawniej galernikiem. Adwokat nie przeczył, że na nieszczęście rzecz zdawała się dowiedziona, oskarżony mieszkał w Faverolles, był tam ogrodnikiem, nazwisko Champmathieu mogło początkowo brzmieć Jan Mathieu, to prawda; wreszcie czterech świadków bez wahania zeznało, że ów Champmathieu był galernikiem Janem Valjean; przeciw tym zeznaniom i świadectwom adwokat mógł postawić tylko zaprzeczenie niestety interesowne; ale przypuśćmy nawet, że był galernikiem Janem Valjean – czyż dowodziło to, że kradł jabłka? Prosty domysł, bez dowodu. Wprawdzie obrońca musiał przyznać „szczerze mówiąc”, że oskarżony przyjął „zły system obrony”. Uporczywie przeczył wszystkiemu: i kradzieży, i swej przeszłości na galerach. Niewątpliwie lepiej byłoby przyznać się do ostatniego punktu; to by mu zjednało pobłażanie sędziów; sam adwokat tak mu doradzał, ale oskarżony uporczywie sprzeciwiał się, sądząc zapewne, że wszystko ocali nie przyznając się do niczego. Był to błąd. Ale czyż nie należało uwzględnić ograniczenia jego umysłu? Człowiek ten najwidoczniej jest idiotą. Długoletnie nieszczęścia na galerach, długa nędza po wyjściu z galer ogłupiły go itd.; źle się bronił, ale to nie jest dostateczną przyczyną, aby go skazać. Co do sprawy z Gerwazkiem, adwokat jej nie tykał, gdyż nie należała ona do procesu. W zakończeniu błagał prześwieitny sąd, aby zastosował do niego karę policyjną za opuszczenie miejsca wyznaczonego na mieszkanie zamiast strasznej kary spadającej na galernika recydywistę.

Prokurator odpowiedział na obronę. Jak zwykle prokuratorowie, był gwałtowny i kwiecisty.

Powinszował obrońcy jego „lojalności” i z ręcznie z niej skorzystał. Wszystkich ustępstw adwokata użył jako broni przeciw oskarżonemu. Adwokat zdawał się skłaniać do przypuszczenia, że oskarżony mógł być Janem Valjean. Prokurator uznał to za fakt. Człowiek ten był więc Janem Valjean. To już nie ulegało zaprzeczeniu. Tu, używając zręcznego zwrotu retorycznego, od szczegółu przechodząc do ogółu, od pojedynczego faktu do źródeł występku, prokurator piorunował przeciw niemoralności szkoły romantycznej, powstającej podówczas pod nazwą „szkoły szatańskiej”, jak ją ochrzciły krytyki „Gazety Codziennej” i „Oriflammy”, i nie bez wielkiego prawdopodobieństwa przypisał wpływowi tej nowej literatury szkaradny występki Champmathieu, a raczej Jana Valjean. Wyczerpawszy te uwagi, przeszedł do samego Jana Valjean. Kto to był Jan Valjean? Tu jego opis: potwór, którego wyzionęły piekła itd. Słuchacze i sędziowie „zadrżeli”. Dokonawszy opisu prokurator mówił dalej, używając krasomówczego zwrotu, który nazajutrz miał w najwyższym stopniu obudzić entuzjazm „Dziennika Prefektury”. I taki to człowiek itd., itd., włóczęga, żebrak bez środków do życia itd., itd., przeszłością całą wdrożony do występku, którego nie poprawił pobyt na galerach, jak tego dowodzi zbrodnia popełniona na Gerwazku itd., taki to człowiek, ujęty na publicznej drodze na gorącym uczynku kradzieży, o kilka kroków od muru, który przeskoczył ze skradzionym przedmiotem w ręku, zaprzecza kradzieży. zaprzecza

wszystkiemu, wypiera się wszystkiego aż do swego nazwiska, aż do tożsamości osoby! Oprócz tysiąca innych dowodów, których tu nie przytaczamy, poznają go czterej świadkowie: Javert, nieskazitelny inspektor policji Javert. i trzej dawni towarzysze sromoty, galernicy: Brevet. Chenildieu i Cochepaille. Cóż przeciwstawia on tej piorunującej jednomyślności? Zaprzeczenie. Cóż za zatwardziałość! Panowie przysięgli, wymierzcie sprawiedliwość itd., itd. – Gdy tak prawił prokurator, oskarżony słuchał, otworzywszy usta ze zdziwieniem, w którym było również nieco podziwu. Najwidoczniej zdumiewało go, że można mówić w taki sposób. Czasami w „najenergiczniejszych” momentach oskarżycielskiego przemówienia – kiedy niepohamowana wymowa wzbierała potokiem hańbiących przymiotników i jak nawałnica zalewała oskarżonego poruszał powoli głową, w proteście smutnym i niemym, poza który nie posunął się od początku rozprawy. Bliżej stojący widzowie słyszeli kilkakrotnie, jak mówił półgłosem: – Wszystko dlatego, że nie zapytałem się pana Baloup! – Prokurator zwrócił uwagę sędziów przysięgłych na tę bezmyślną postawę, widocznie wyrachowaną, która świadczyła nie o głupocie, lecz o przebiegłości, podstępnie, chytrą i wprawie w oszukiwaniu sądów i która w jasnym świetle ukazywała „głębką przewrotność” tego człowieka. Zakończył zastrzeżeniem w sprawie Gerwazka i żądaniem surowego wyroku.

Na razie, jak wiemy, chodziło tylko o skazanie na dożywotnie ciężkie roboty.

Podniósł się obrońca, zaczął od kilku grzeczności dla pana prokuratora, chwalił jego „wspaniałe krasomówstwo” i odpowiedział, jak mógł, ale argumentował coraz słabiej; czuł, że nie ma na czym oprzeć obrony.

System zaprzeczeń

Zbliżała się chwila zamknięcia obrad. Przewodniczący kazał oskarżonemu powstać i według zwyczaju zapytał: – Czy oskarżony ma coś do powiedzenia na swoją obronę?

Ten, stojąc, miał w rękach bardzo zniszczoną czapkę i zdawał się nie słyszeć.

Przewodniczący powtórzył pytanie.

Tym razem usłyszał. Zdawało się, że zrozumiał. Zrobił ruch, jakby się budził ze snu, powiódł dokoła oczami, spojrzął na publiczność, na żandarmów, na swego adwokata, na sędziów, na prezesa, wsparł swą ogromną pięść na krawędzi kratki przed ławą, rozejrzał się raz jeszcze i nagle, utkwivszy wzrok w prokuratorze, zaczął mówić. Był to jakby wybuch wulkanu. Zdawało się, że wyrazy gwałtowne, niezgodne i bezładne tłoczyły mu się w gardle, jakby chciały się wydostać wszystkie równocześnie. Mówił.

– Mam do powiedzenia to. Byłem stelmachem w Paryżu, u pana Baloup. Ciężki to zarobek rzemiosło stelmacha: pracujesz cały dzień pod gołym niebem, u lepszego majstra pod szopą, nigdy w zamkniętych warsztatach, bo to, proszę panów, potrzeba dużo miejsca. W zimie człowiek tak marznie, że musi bić rękami na rozgrzewkę, ale majstrowie i na to nie pozwalają mówiąc, że traci się czas. Ciężka rzecz obrabiać żelazo, kiedy lód stoi w szparach bruku. Człek prędko się zużywa. Choć młody, starzeje się od tej pracy. Kiedy ma czterdzieści lat, już jest do niczego. A ja miałem pięćdziesiąt trzy i jeszcze pracowałem. A potem, zły to naród, robotnicy! Jak już człowiek niemłody, wyśmiewają go, nazywają starym jołopem, starym osłem! Zarabiałem ledwie trzydzieści su dziennie; majstrowie, korzystając z mojego wieku, płacili mi jak najmniej. Prócz tego miałem córkę, która prała bieliznę w rzeczce. I ona trochę zarabiała; jakoś się żyło we dwoje. I jej też było ciężko! Cały dzień na kładce, na deszczu, na śniegu, wiatr smaga po twarzy; mróz – nie mróz, trzeba pracować; wiele ludzi ma mało bielizny i czeka na nią, jeśli nie wypierzesz na czas, stracisz klientów. Deski źle spojone, woda cieknie, zalewa spódnicę, człowiek przemaka do nitki. Pracowała też w pralni „Czerwonych Dzieci”

gdzie woda płynie z kranu. Nie trzeba stać na kładce. Pierze się pod kranem, a płucze w balii. Pralnia zamknięta, więc nie tak zimno. Ale para od gorącej wody wyżera oczy. Wracła o siódmej wieczór i zaraz kładła się spać, taka była zmordowana. Mąż ją bił. Umarła. Nie byliśmy szczęśliwi. Była z niej dobra dziewczyna, nie wiedziała, co zabawa, spokojna jak trusia. Pamiętam raz, w tłusty czwartek, położyła się spać o ósmej wieczór. Oto cała prawda. Zapytajcie, kogo chcecie. Właśnie! Zapytajcie jaki ja głupi! Bo kogo wy się zapytacie? Paryż jest jak morze. Któż by tam znał ojca Champmathieu? Ale mówiłem przecie o panu Baloup. Zapytajcie pana Baloup. A teraz, już nie wiem, czego chcecie ode mnie.

Oskarżony zamilkł i wciąż stał. Powiedział to wszystko donośnie, prędko, głosem ostrym, ochryplym, surowym, z jakąś szczerością gniewną i dziką. Raz przerwał, by uklonić się komuś w tłumie. Niby z czkawką, wyrwały mu się słowa, którym towarzyszyły gesty drwala rąbiącego kolce. Gdy skończył, publiczność śmiała się do rozpuku. Kiedy na nią spojrzął i spostrzegł ten ogólny śmiech, nic nie zrozumiał i sam się zaczął śmiać.

Przewodniczący, człowiek rozważny i sprawiedliwy, zabrał głos.

Przypomniał „panom sędziom przysięgłym”, że majster Baloup, stelmach, u którego oskarżony pracował, jak powiada, był na próżno wzywany na świadka. Zbankrutował i nie można go było odnaleźć.

Potem, zwracając się do oskarżonego, wezwał go, aby uważnie słuchał, co mu powie, i dodał:

– Powinieneś się dobrze zastanowić nad twoim położeniem. Ciężą na tobie poważne podejrzenia i mogą mieć najzgubniejsze następstwa. Oskarżony, we własnym interesie twoim wzywam cię po raz ostatni, wytłumacz się jasno z tych dwóch rzeczy: naprzód – czy przelałeś, czy też nie przelałeś przez mur ogrodu Pierrona, czy złamałeś gałąź i ukradłeś jabłka, to jest, czyś popełnił kradzież połączoną z włamaniem. Po wtóre, tak czy nie, jesteś zwolnionym galernikiem Janem Valjean?

Oskarżony potrząsnął głową, jak człowiek, który dobrze zrozumiał i wie, co ma odpowiedzieć. Otworzył usta, obrócił się do prezesa i rzekł:

– Naprzód...

Potem spojrzął na swą czapkę, na sufit i zamilkł.

– Oskarżony – odezwał się surowym tonem prokurator – uważaj, co czynisz. Nie odpowiadasz na zapytanie. Pomieszanie twoje potępia cię. Widoczne jest, że nie nazywasz się Champmathieu, że jesteś galernikiem Janem Valjean, ukrywałeś się od początku pod nazwiskiem Mathieu, po matce; byłeś w Owernii, urodziłeś się w Faverolles, gdzie byłeś ogrodnikiem. Niewątpliwie ukradłeś jabłka w ogrodzie Pierrona, przeskoczywszy mur. Panowie przysięgli osądzą.

Oskarżony usiadł, ale gdy prokurator skończył, zerwał się z miejsca i zawołał:

– Jest pan bardzo zły, panie! To chciałem powiedzieć. Ale mi nie przyszło na myśl od razu. Nic nie ukradłem. Tacy ludzie jak ja nie co dzień jedzą. Szedłem z Ailly, właśnie było po ulewie, bagna wylały, całe pole było żółte od piasku, ledwie że czasem jakieś źdźbło trawki sterczało przy drodze, znalazłem na ziemi gałąź odłamana z jabłkami, podniosłem ją nie wiedząc, że mnie za to spotka nieszczęście. Od trzech miesięcy włóczę mnie po więzieniach i sądach. Dalibóg, nie wiem, co gadać; świadczą przeciw mnie, mówią: „Odpowiadaj”. Żandarm, poczciwe człeczysko, trąca mnie łokciem i szepcze: „Mówże!” – Nie umiem się tłumaczyć, nie jestem piśmienny, nie uczyłem się, jestem biedny człowiek. Złe bardzo, że tego panowie nie widzą. Nie kradłem, podniosłem z ziemi, co leżało. Mówicie Jan Valjean. Jan Mathieu! Nie znam tych ludzi. To pewnie chłopci. Ja pracowałem u pana Baloup, na bulwarze Hôpital. Nazywam się Champmathieu. Bardzoście przenikliwi, odgadując, gdzie się urodziłem, bo ja tego nie wiem. Nie każdy ma dom do rodzenia się. To byłoby zbyt wygodne. Zdaje mi się, że mój ojciec i moja matka tułali się po drogach: więcej nie wiem. Kiedy byłem dzieckiem, nazywano mnie „Mały”, teraz wołają na mnie „Stary”. To są moje

chrzestne imiona. Wybierajcie, które się wam podoba. Byłem w Owernii, byłem i w Faverolles. Jak to, czy nie można być w Owernii lub w Faverolles i nie być na galerach? Powiadam wam, że nie kradłem i że jestem ojciec Champmathieu. Byłem u pana Baloup, u niego mieszkałem. Nudzicie mnie już tymi bzdurstwami! Nie rozumiem, dlaczego tak się wszyscy na mnie uwzięli.

Prokurator stał podczas tego przemówienia; gdy oskarżony umilkł, zwrócił się do przewodniczącego:

– Panie przewodniczący, wobec zagmatwanych, ale bardzo zręcznych zaprzeczeń oskarżonego, który widocznie chce uchodzić za idiotę, ale mu się to nie uda – o czym go uprzedzamy – żądamy, aby pan i prześwietny sąd raczyli powołać świadków: więźniów Breveta, Cochepaille’a, Chenildieugo oraz inspektora policji Javerta, i raz jeszcze wezwać ich do oświadczenia się co do tożsamości oskarżonego z galernikiem Janem Valjean.

– Zwrócę uwagę pana prokuratora – odpowiedział przewodniczący – że inspektor policji, Javert, którego obowiązki powoływały do stolicy sąsiedniego okręgu, bezzwłocznie po złożeniu zeznania opuścił sesję i miasto. Upoważniliśmy go do tego za zgodą pana prokuratora i obrońcy oskarżonego.

– To prawda, panie przewodniczący – odparł prokurator. – W nieobecności inspektora Javerta czuję się w obowiązku przypomnieć panom przysięgłym, co powiedział on w tym samym miejscu przed kilkoma godzinami. Javert jest człowiekiem szanowanym, surowością i ścisłością wykonywania służby przynosi zaszczyt swemu urzędowi, podrzędnemu wprawdzie, ale wielkiej wagi. Oto są słowa jego zeznania: „Nie potrzebuję domysłów moralnych i dowodów materialnych, zadających fałsz przeczeniom oskarżonego. Poznają go doskonale. Człowiek ten nie nazywa się Champmathieu: to dawny galernik, bardzo niebezpieczny i bardzo groźny, nazwiskiem Jan Valjean. Był skazany na dziewiętnaście lat galer za kradzież z włamaniem. Pięć czy sześć razy usiłował zbiec. Oprócz kradzieży u Gerwazka i w ogrodzie Pierrona, mam podejrzenie, że okradł jego ekscelencję nieboszczyka biskupa w Digne. Często go widywałem będąc pomocnikiem nadzorca więzień w Tulonie. Powtarzam, że poznają go doskonale”.

To oświadczenie, tak dobitne, silnie podziało na przysięgłych i na publiczność. Prokurator nalegał, aby w nieobecności Javerta przywołano trzech świadków, Breveta, Chenildieugo i Cochepaille’a, i zapytano ich uroczyście.

Przewodniczący wydał rozkaz woźnemu i wkrótce otworzyły się drzwi do izby świadków. Woźny w towarzystwie żandarma, gotowego dać w razie potrzeby czynną pomoc, wprowadził skazanego Breveta. Publiczność zamilkła, wszystkie piersi drżały, jakby bito w nich jedno serce.

Były galernik Brevet miał na sobie kurtkę pół czarną, pół szarą, jaką noszą w domach poprawy. Miał lat około sześćdziesięciu, twarz handlarza, a minę oszusta. Zdarzają się czasem takie połączenia. W więzieniu, do którego się dostał za nowe łotrystwa, był czymś w rodzaju stróża. Nadzorcy mawiali o nim: „Stara się być użyteczny”. Kapelani chwalili jego pobożność. Nie należy zapominać, że działo się to za Restauracji.

– Brevet – rzekł przewodniczący – skazany jesteś z pozbawieniem praw i nie możesz złożyć przysięgi...

Brevet spuścił oczy.

– Jednakże – mówił dalej przewodniczący – nawet w człowieku potępionym przez prawo, jeśli miłosierdzie boskie dozwoli, może powstać jakieś poczucie honoru i słuszności. Do tego to uczucia odwołuję się w tej stanowczej godzinie. Jeżeli masz je, jak się spodziewam, zastanów się, nim odpowiesz, rozważ, że jedno twoje słowo może zgubić człowieka, że z drugiej strony może ono oświecić sprawiedliwość. Chwila jest uroczysta, jeszcze masz czas odwołać zeznanie, jeżeli sądzisz, że się omyliłeś. Oskarżony, proszę powstać. Brevet, przypatrz się

dobrze oskarżonemu, zbierz swe wspomnienia i sumiennie powiedz, czy i teraz poznajesz, że ten człowiek jest dawnym twoim towarzyszem z więzienia, Janem Valjean?

Brevet spojrział na oskarżonego, potem obrócił się do sądu i rzekł:

– Tak, panie przewodniczący. Ja pierwszy go poznałem i obstałem przy swoim. Człowiek ten jest Janem Valjean, który wszedł do Tulonu w 1796 roku, a wyszedł w 1815. Ja opuściłem galery w rok później. Dziś wygląda na niedołęgę, widać wiek przytepił mu pomyślunek, bo na galerach był chytry. Poznaję go stanowczo.

– Usiądź – rzekł przewodniczący. – Oskarżony, proszę jeszcze stać.

Wprowadzono Chenildieugo, galernika skazanego dożywotnio, co można było poznać po czerwonej kurcie i zielonej czapce. Odsiadywał karę w Tulonie, skąd go przywieziono na tę sprawę. Był to niski człowiek, lat około pięćdziesięciu, żwawy, pomarszczony, szczupły, poźółkły, bezczelny, zapalczywy; całe jego ciało, cała osoba wyrażały chorowitą niemoc, a spojrzenie bezmierną siłę.

Przewodniczący skierował do niego prawie te same słowa co do Breveta. W chwili gdy mu przypominał, że pozbawienie praw nie pozwala mu na składanie przysięgi, Chenildieu podniósł głowę i zuchwale spojrział na widzów. Przewodniczący wezwał go, żeby się zastanowił, i zapytał, jak Breveta, czy i teraz poznaje oskarżonego.

Chenildieu wybuchnął śmiechem:

– Do diabła! Czy go poznaję! Przez pięć lat byliśmy przykuci do jednego łańcucha. Dąsasz się, stary?

– Proszę usiąść – rzekł przewodniczący.

Woźny przyprowadził Cochepaille'a. Również skazany na dożywotnią katorgę i ubrany czerwono, jak Chenildieu, Cochepaille był wieśniakiem z Lurdes i pirenejskim półmiedźwiedziem. Pasał bydło w górach i z pastucha stał się rozbójnikiem. Cochepaille był równie dziki jak oskarżony, a zdawał się jeszcze bardziej tępy. Był to jeden z tych nieszczęśliwych ludzi, których natura stwarza na podobieństwo dzikich zwierząt, a społeczeństwo wykształca na galerników.

Przewodniczący starał się go poruszyć kilku patetycznymi i poważnymi słowami i zapytał, jak tamtych, czy i teraz twierdzi bez wahania i nieodmiennie, że poznaje stojącego przed nim człowieka.

– To Jan Valjean – rzekł Cochepaille. – Ten sam, którego nazywano „Janem Dźwigiem”, taki był mocny.

Za każdym potwierdzeniem tych trzech ludzi, widocznie czynionym z dobrą wiarą, rozlegał się między widzami szmer, złowróźbny dla oskarżonego; szmer ten wzrastał i przedłużał się po każdym powtórzeniu zeznania. Oskarżony słuchał ich ze zdumieniem, które według aktu oskarżenia było jego głównym środkiem obrony. Po pierwszym zeznaniu żandarmi, stojący przy nim, słyszeli, jak mrucał pod nosem: – Ładne rzeczy! – Po drugim rzekł nieco głośniejszym głosem, z miną prawie zadowoloną: – Dobrze! – Za trzecim zawołał: – Świetnie!

Przewodniczący zapytał go:

– Czy oskarżony słyszał? Czy chce jeszcze coś powiedzieć?

Odpowiedział:

– Chcę powiedzieć: Świetnie!

Między publicznością wszczęła się wrzawa, która ogarnęła nawet ławę przysięgłych. Nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek był zgubiony.

– Woźni – rzekł przewodniczący – przywrócić ciszę. Zaraz zamknę posiedzenie.

W tej chwili ktoś poruszył się tuż obok przewodniczącego i usłyszano okrzyk:

– Brevet, Chenildieu, Cochepaille! Spójrzcie no tu!

Wszyscy, którzy usłyszeli ten głos, zmartwieli, tak był rozpaczliwy i straszny. Zwrócono oczy w stronę, skąd pochodził. Jakiś człowiek, siedzący wśród widzów uprzywilejowanych, za sędziami, powstał, pchnął drzwiczki kratki oddzielających trybunał od sali posiedzeń i

wyszedł na środek. Przewodniczący, prokurator, pan Bamatabois i ze dwudziestu innych poznali go i zawołali razem:

– Pan Madeleine!

Coraz większe zdziwienie ojca Champmathieu

On to był w istocie. Lampa ze stołu pisarza oświetlała jego twarz. Trzymał kapelusz w ręku, żadnego nieładu w ubraniu, surdut miał starannie zapięty pod szyję. Był bardzo blady i trochę drżał. Jego włosy, szpakowate jeszcze, gdy przyjechał do Arras, teraz zupełnie zbieleły. Osiwiał przez godzinę pobytu w tym miejscu.

Wszystkie głowy podniosły się. Wrażenie było nie do opisanego. Przez chwilę malowało się na wszystkich twarzach wahanie i niepewność. Głos był tak przenikający, człowiek, który stał tam, wydawał się tak spokojny, że z początku sala nie zrozumiała. Pytano, kto krzyknął. Nikt nie chciał wierzyć, żeby ten człowiek, tak spokojny, zawołał tak przeraźliwie.

Niepewność ta trwała tylko kilka sekund. Nim przewodniczący i prokurator wyrzekli słowo, nim poruszyli się żandarmi i woźni, człowiek, którego wszyscy jeszcze w tej chwili nazywali panem Madeleine, zbliżył się do świadków Cochepaille'a, Breveta i Chenildieugo.

– Nie poznajecie mnie? – powiedział.

Wszyscy trzej, zdumieni, milczeli i tylko skinieniem głowy wyrażali, że go nie poznają. Cochepaille, onieśmielony, zsalutował przed nim po wojskowemu. Pan Madeleine obrócił się do przewodniczącego i sędziów przysięgłych i rzekł cicho:

– Panowie przysięgli, każcie uwolnić oskarżonego. Panie przewodniczący, każ mnie aresztować. Nie on, ja jestem człowiekiem, którego szukacie. Jestem Janem Valjean.

Nikt nie oddychał. Po pierwszym wstrząsie zdumienia nastąpiło grobowe milczenie. Czuli się na sali religijną grozę, która zdejmuje tłumy, gdy spełnia się coś wielkiego.

Tymczasem twarz przewodniczącego przybrała wyraz współczucia i smutku, mrugnął na prokuratora i szepnął coś asesorom. Zwrócił się do publiczności i zapytał tonem, który wszyscy zrozumieli:

– Czy nie ma tu lekarza?

Prokurator zabrał głos:

– Panowie przysięgli, dziwny i niespodziewany wypadek, przerywający posiedzenie, budzi w nas, zarówno jak w was, uczucia, których wyrażać nie widzimy potrzeby. Wszyscy znacie, przynajmniej z rozgłosu, szanownego pana Madeleine, mera Montreuil-sur-mer. Jeżeli między publicznością jest lekarz, przyłączam się do prośby pana przewodniczącego i wzywam, aby dał pomoc lekarską panu Madeleine i odprowadził go do domu.

Pan Madeleine nie dał dokończyć prokuratorowi. Przerwał mu tonem łagodnym, lecz władczym. Oto są jego słowa; przytaczamy je dosłownie, jak były spisane zaraz po sesji przez jednego ze świadków tej sceny, jak brzmią jeszcze w uszach tych, co je słyszeli przed czterdziestu laty:

– Dziękuję panu, panie prokuratorze, ale ja nie zwariowałem. Zaraz to zobaczycie. O mało nie popełniliście wielkiego błędu. Wypuście na wolność tego człowieka; spełniam obowiązek, ja jestem tym nieszczęśliwym skazanym. Ja tu jeden widzę jasno i mówię prawdę. Na to, co czynię w tej chwili, patrzy Bóg z nieba i to mi wystarcza. Możecie mnie uwięzić, ponieważ tu jestem. A jednak postępowałem, jak mogłem najlepiej. Ukryłem się pod innym nazwiskiem, zostałem bogaty, zostałem merem; chciałem wrócić do grona uczciwych ludzi. Widać, że to niemożliwe. Zresztą, wielu rzeczy powiedzieć nie mogę, nie będę opowiadał mego życia, kiedyś dowiedzą się o nim. Okradłem księdza biskupa, to prawda, okradłem

Gerwazka – i to prawda. Słusznie wam powiedziano, że Jan Valjean był złoczyńcą bardzo niebezpiecznym. Ale może niecała wina na niego spada. Słuchajcie, panowie sędziowie. Człowiek tak ponizony, jak ja, nie powinien czynić wyrzutów Opatrzności ani dawać rad społeczeństwu, ale widzicie, hańba, z której się chciałem wydobyć, jest rzeczą szkodliwą. Galery tworzą galernika. Zapamiętajcie to sobie, jeśli chcecie. Przed pójściem do galer byłem biednym chłopem, nierozgarniętym, prawie matolkiem; galery mnie zmieniły. Byłem głupi – stałem się zły; byłem kłosem – stałem się rozpaloną głownią. Później ocaliły mnie pobłażania i dobroć, tak jak zgubiła surowość. Ale przepraszam, panowie tego nie zrozumiecie. W moim mieszkaniu znajdziecie na kominku w popiele monetę dwufrankową, którą przed siedmiu laty skradłem Gerwazkowi. Nie mam nic więcej do dodania. Uwięźcie mnie! Mój Boże! Pan prokurator porusza głową i mówi; „Pan Madeleine oszalał”. Nie wierzycie mi. Rzecz to smutna. Przynajmniej nie skazujcie tego człowieka! Tak! I ci mnie nie poznają. Chciałbym, żeby tu był Javert. O, ten by mnie poznał!

Niepodobna wyrazić, ile było łagodnej i przejmującej melancholii w głosie, którym te słowa były wymówione.

Odwrócił się do trzech galerników i powiedział:

– Nie poznajecie mnie, ale ja was poznaję! Brevet! Przypomnij no sobie...

Umilkł, zawahał się chwilę i dodał:

– Czy przypominasz sobie włóczkowe szelki w kratkę, które nosiłeś na galerach?

Brevet wstrząsnął się ze zdumienia i obejrzał go przerażonym wzrokiem od stóp do głowy. On mówił dalej:

– Chenildieu, masz całe prawe ramię przypalone głęboko, boś jednego dnia przyłożył je do piecyka z rozżarzonymi węglami, by zniszczyć trzy litery T.F.P., które jednak mimo to widać. Odpowiedz, czy to prawda?

– Prawda – rzekł Chenildieu.

Zwrócił się do Cochepaille’a:

– Cochepaille, masz przy łokciu lewej ręki datę wypaloną na niebiesko prochem. Jest to data wylądowania cesarza w Cannes, pierwszego marca 1815 roku. Odwiń rękaw.

Cochepaille odwinął rękaw, wszystkie spojrzenia zwróciły się na jego obnażone ramię. Żandarm poświecił lampą; data była tam wypalona.

Nieszczęśliwy człowiek zwrócił się ku widzom i sędziom z uśmiechem, od którego tym, co go widzieli, jeszcze dziś słabo się robi, gdy sobie przypomną. Był to uśmiech triumfu i zarazem uśmiech rozpaczny.

– A więc – widzicie – rzekł – że jestem Janem Valjean.

W zgromadzeniu tym nie było już ani sędziów, ani oskarżycieli, ani żandarmów! Były tylko wzruszone serca i oczy w jeden przedmiot utkwione. Każdy zapomniał o roli, jaką miał odegrać; prokurator zapomniał, że jest tu, by żądać wymiaru sprawiedliwości, przewodniczący – żeby przewodniczyć, obrońca – żeby bronić. Rzecz zdumiewająca: nie zadano żadnego zapytania, nie wmieszała się żadna władza. Taka jest właściwość podniosłych widowisk, że porywają wszystkie dusze i świadków czynią widzami. Nikt może nie zdawał sobie sprawy z tego, czego doświadczał, nikt bez wątpienia nie powiedziałby, że ujrzał tam wielkie światło, ale wszyscy czuli się oślepieni w swoim wnętrzu.

Nie ulegało wątpliwości, że stoi przed nimi Jan Valjean. To było jasne. Ukazanie się tego człowieka wystarczyło, by rozwikłać sprawę tak ciemną przed chwilą. Nie potrzebując już żadnego objaśnienia, wszyscy obecni, jakby pod wpływem elektrycznego wstrząsu, pojęli natychmiast, od jednego rzutu oka, tę prostą a wspaniałą historię człowieka, który się oddawał po to, aby inny człowiek nie został skazany zamiast niego. Szczegóły, wahania, drobne a możliwe zarzuty ginęły w tym wielkim, pełnym światła zjawisku.

Wrażenie, które przeminęło prędko, ale w tej chwili działało nieodparcie.

– Nie chcę dłużej przerywać sesji – ciągnął Jan Valjean. – Odchodzę, skoro mnie nie aresztują. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Pan prokurator wie, kim jestem, wie, dokąd jadę, i każe mnie uwięzić, kiedy zechce.

I skierował się ku drzwiom wyjściowym. Żaden głos się nie odezwał, żadna ręka nie wyciągnęła, by go zatrzymać. Wszyscy się rozstąpili. Miał w tej chwili w sobie coś boskiego, co sprawia, że tłumy cofają się i stają w szeregu przed jednym człowiekiem. Wolnym krokiem przeszedł przez izbę. Nie dowiedziano się nigdy, kto otworzył drzwi, ale to pewne, że otworzyły się przed nim na oścież. Doszedłszy do nich, odwrócił się i rzekł:

– Panie prokuratorze, jestem do pańskiego rozporządzenia.

Potem dodał zwracając się do publiczności.

– Wy wszyscy, którzy tu jesteście, macie mnie za godnego politowania, nieprawdaż? Boże mój! Gdy pomyślę, czym przed chwilą mogłem się stać, uważam się za godnego zazdrości. Ale stokroć bym wołał, żeby się to wszystko nie wydarzyło.

Wyszedł, drzwi zamknęły się za nim, podobnie jak się otworzyły, bo ci, którzy dokonują wielkich czynów, mogą być pewni, że zawsze im usłuży ktoś z tłumu.

W niespełną godzinę potem wyrok sędziów przysięgłych uwolnił od wszelkiej winy oskarżonego Champmathieu; Champmathieu, bezzwłocznie zwolniony, odchodził osłupiały, przekonany, że wszyscy powariowali, i nic nie rozumiejący z tego całego widowiska.

Rozdział ósmy

KONSEKWENCJE

W jakim zwierciadle pan Madeleine ogląda swoje włosy

Świtało. Fantyna spędziła noc bezsenną, w gorączce, pełną zresztą radosnych majaczeń; nad ranem zasnęła. Czuwająca przy niej siostra Symplicja skorzystała z tego snu, żeby przygotować jej nową porcję chininy. Zaczyna siostra od kilku minut zajęta była w apteczce i pochylona wpatrywała się z bliska we flaszeczki i proszki, aby widzieć wyraźnie w tej mgle, którą rozsnuwa na przedmiotach poranny brzask. Nagle odwróciła głowę i krzyknęła z cicha. Przed nią stał pan Madeleine. Niedosłyszalnie wszedł do pokoju.

– Ach, to pan, panie merze! – zawołała siostra.

Odpowiedział szeptem:

– Jak się ma ta biedna kobieta?

– W tej chwili nieźle. Ale byliśmy bardzo niespokojne.

Opowiedziała mu, co zaszło, że Fantyna wczoraj była bardzo chora, że teraz ma się lepiej, gdyż zdaje się jej, że pan mer pojechał po jej dziecko do Montfermeil. Siostra nie śmiała pytać pana mera, ale poznała po jego twarzy, że nie stamtąd przybywał.

– Bardzo dobrze – rzekł. – Siostra miała rację, nie wyprowadzając jej z błędu.

– Ale teraz – mówiła dalej siostra – gdy ujrzy pana mera, a nie ujrzy dziecka, co jej powiemy?

Myślał przez chwilę.

– Bóg nas natchnie – powiedział.

– Ale przecież nie można będzie skłamać – szepnęła półgłosem siostra.

Rozwidniało się w pokoju. Światło dzienne padło na twarz pana Madeleine. Siostra przypadkiem podniosła oczy.

– O mój Boże! – zawołała. – Co się panu stało? Ma pan włosy zupełnie siwe!

– Siwe? – powtórzył.

Siostra Symplicja nie miała zwierciadła; poszukała w pudełku i wyjęła lusterko, którego lekarz używał dla przekonania się, że chory umarł i już nie oddycha. Pan Madeleine wziął lusterko, obejrzał w nim swoje włosy i powiedział:

– Rzeczywiście!

Wymówił to słowo obojętnie, jakby myślał o czym innym. Siostrę przejął mróz, jak gdyby w tym wszystkim przeczuwała coś nieznanego. Zapytał:

– Czy mogę ją zobaczyć?

– Czy pan mer nie sprowadzi jej dziecka? – ośmieliła się zapytać siostra.

– Niewątpliwie, ale na to potrzeba najmniej dwóch lub trzech dni.

– Gdyby teraz nie zobaczyła pana mera – rzekła nieśmiało siostra – nie wiedziałyby, że pan mer powrócił; łatwiej byłoby zalecić jej cierpliwość, a gdy przywiozą dziecko, pomyśli sobie po prostu, że pan mer przyjechał razem z nim. Uniknie się tym sposobem kłamstwa.

Pan Madeleine zamyślił się i rzekł po chwili ze spokojną powagą:

– Nie, siostrze, muszę ją widzieć. Czasu mam, być może, niewiele.

Zakonnica nie spostrzegła chyba tego „być może”, które nadawało jakieś tajemnicze i osobliwe znaczenie słowom mera. Odpowiedziała z uszanowaniem i spuszczać oczy:

– W takim razie, proszę. Ona wprawdzie śpi, ale pan mer może wejść.

Zwrócił uwagę, że drzwi źle się domykają i że skrzypienie może rozbudzić chorą, po czym wszedł do pokoju Fantyny, zbliżył się do łóżka i odsłonił firanki. Spała. Oddech wychodził z jej piersi z tragicznym świstem, który jest właściwy tego rodzaju chorobom i rozdziera serca matek czuwających w nocy nad snem dziecka, które ma umrzeć.

Pan Madeleine stał czas pewien nieruchomo przy tym łóżku, patrząc to na chorą, to na krucyfiks, podobnie jak przed dwoma miesiącami, kiedy po raz pierwszy odwiedził ją w tym schronieniu. Ona spała, on modlił się; tylko że teraz, po dwóch miesiącach, jej włosy zaczęły siwieć, a jego stały się całkiem białe.

Siostra nie weszła z nim. Stał przy łóżku, z palcem na ustach, jakby komuś w sali nakazywał milczenie.

Fantyna otworzyła oczy, ujrzała go i zapytała spokojnie, z uśmiechem:

– A Kozeta?

Fantyna szczęśliwa

Odpowiedział coś, czego nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć.

Na szczęście uprzedzony przez siostrę lekarz przyszedł z pomocą panu Madeleine.

– Moje dziecko – rzekł – uspokój się. Twoja córka jest tutaj.

Oczy Fantyny rozjaśniły się i rozświetliły całą jej twarz. Złożyła ręce jak do modlitwy, wyrażającej wszystko, co może być najmocniejszego i najładniejszego zarazem.

– Ach! – zawołała – przynieście mi ją!

Tkliwe złudzenie matki! Kozeta wciąż była dla niej małym dzieckiem, które trzeba nosić.

– Jeszcze nie teraz – odparł lekarz – jeszcze nie w tej chwili. Masz gorączkę. Widok dziecka wzruszyłby cię i zaszkodził. Trzeba się najprzód wyleczyć.

Przerwała mu gwałtownie:

– Przecież już jestem zdrowa! Powiadam panu, że wyzdrowiałam! Co za osioł z tego doktora! Chcę zobaczyć moje dziecko!

– A co – rzekł doktor – widzisz, jak się unosisz? Dopóki tak będziesz postępować, nie pozwolę ci zobaczyć dziecka. Nie dość je widzieć, trzeba żyć dla niego. Gdy będziesz rozsądna, sam je przyprowadzę.

Biedna matka spuściła głowę.

– Panie doktorze, przepraszam, bardzo pana przepraszam. Dawniej nigdy bym tak nie powiedziała jak teraz, ale tyle przeszłam nieszczęść, że już czasami nie wiem, co mówię. Rozumiem, obawia się pan wzruszenia, będę czekała tak długo, jak pan każe, ale przysięgam panu, że nie zaszkodzi mi widok mojej córki. Widzę ją, od wczoraj wieczór nie spuszcza jej z oczu. Wie pan, gdyby mi ją teraz przyniesiono, mówiłabym do niej jak najspokojniej. Tak. To przecież zwyczajna rzecz, że chcę zobaczyć moje dziecko, po które trzeba było specjalnie jechać do Montfermeil, ale się nie gniewam. Wiem dobrze, że będę szczęśliwa. Całą noc oglądałam jakieś białe przedmioty i ludzi, którzy się do mnie uśmiechali. Kiedy pan doktor

zechce, przyniesie mi Kozetę. Nie mam już gorączki, bo jestem zdrowa. Czuję, że mnie już nic nie boli; ale będę leżała, jakbym była chora; ani się ruszę, żeby się przypodobać tym tutejszym paniom. Kiedy się przekonają, że jestem spokojna, powiedzą: „Trzeba jej oddać dziecko”.

Pan Madeleine usiadł na krześle przy łóżku. Odwróciła się ku niemu, widocznie usiłując okazać się „grzeczną”, jak mówiła osłabiona chorobą, która zbliża ludzi do dzieciństwa; spodziewała się, że gdy ją zobaczą tak spokojną, przyprowadzą jej Kozetę. Ale choć chciała, nie mogła się powstrzymać od zadania tysiąca pytań panu Madeleine.

– Czy szczęśliwie pan odbył podróż, panie merze? O, jaki pan dobry, że pan po nią jeździ! Niech mi pan przynajmniej powie, jak ona wygląda? Czy jej nie zmęczyła podróż? Ach, nie pozna mnie! Zapomniał mnie już dawno biedny robaczek! Dzieci nie mają pamięci. Jak ptaszki. Dziś widzą to, jutro tamto i nie myślą o niczym. Czy miała świeżą bieliznę? Czy ci Thénardierowie czysto ją trzymali? Jak ją karmili? Ach, ile wycierpiałam, żeby pan wiedział, zadając sobie te wszystkie pytania wtedy, kiedy byłam w nędzy. Ale teraz to już minęło! Jestem szczęśliwa! O, jakbym chciała ją zobaczyć! Panie merze, jaka ona, czy ładna? Prawda, że moja córka jest piękna? Pewnie bardzo zmarzył pan w dylizansie! Czyby nie można przyprowadzić jej chociaż na chwileczkę? Zaraz by ją zabrali z powrotem! Niech pan powie, przecież pan jest tu gospodarzem. Niech pan każe!

Wziął ją za rękę.

– Kozeta jest piękna – rzekł. – Kozeta ma się dobrze, wkrótce ją zobaczysz, ale trzeba się uspokoić. Za dużo mówisz, wyciągasz rękę spod kołdry, a to wywołuje kaszel.

Rzeczywiście, Fantyna kaszlała krztusząc się prawie za każdym słowem.

Usłuchała bez sprzeciwu, gdyż bała się, że jeśli będzie nalegać zbyt gwałtownie, przestaną ufać jej opanowaniu i uważać ją za zdrowszą. Zaczęła mówić o rzeczach obojętnych.

– Prawda, że Montfermeil to ładna miejscowość? W lecie przyjeżdżają tam na wycieczki. Czy Thénardierom dobrze się powodzi? Mało kto tamtędy jeździ. Ich oberża to raczej garkuchnia.

Pan Madeleine ciągle trzymał ją za rękę i patrzył na nią z trwogą; najwidoczniej po to przyszedł, żeby jej coś powiedzieć, ale teraz zawahał się. Po skończonej wizycie lekarz odszedł. Została z nimi tylko siostra Symplicja.

Po chwili milczenia Fantyna zawołała nagle:

– Słyszę ją, mój Boże, słyszę ją!

Wyciągnęła rękę ruchem nakazującym milczenie, wstrzymała oddech i zaczęła słuchać w zachwycie.

Jakieś dziecko bawiło się na podwórzu; dziecko odzwiernej lub też może jakiejś robotnicy. Przypadki takie zdarzają się często, biorąc udział w tajemniczej reżyserii złowrogich wydarzeń. Dziecko dziewczynka – biegało, może dla rozgrzewki, śmiało się i śpiewało głośno. Niestety! Wśród jakże smutnych nieraz wydarzeń bawią się dzieci! Tę to dziewczynkę usłyszała Fantyna.

– O – mówiła dalej – to moja Kozeta, poznaję jej głos.

Dziecko oddaliło się gdzieś, głos zamilkł. Fantyna słuchała jeszcze, potem twarz jej zachmurzyła się i pan Madeleine usłyszał, jak szepnęła cicho:

– Niegodziwy lekarz, nie pozwala mi zobaczyć mojej córeczki. Ten człowiek ma bardzo złą twarz.

Wkrótce jednak wróciły wesołe myśli. I znowu mówiła do siebie, leżąc z głową na poduszce:

– O, będziemy szczęśliwi! Najprzód dostaniemy mały ogródek! Pan Madeleine nam obiecał. Moja córka będzie się bawić w ogródku. Pewnie już zna abecadło, ja ją nauczę sylabizować. Będzie gonić motyle po trawie. A ja będę na nią patrzeć. Później przystąpi do pierwszej komunii. Kiedy będzie jej pierwsza komunia?

Zaczęła rachować na palcach.

– ...Jeden, dwa, trzy, cztery... ma siedem lat. Za pięć lat. Będzie miała biały welon, ażurowe pończoszki, będzie wyglądać jak mała kobieta. O, moja dobra siostrze, nie wiesz nawet, jaka ja jestem głupia, już myślę o pierwszej komunii mojej córki.

I zaczęła się śmiać.

Puścił rękę Fantyny. Słuchał jej słów, niby wiejącego wiatru, ze spuszczoną głową, pogrążony w myślach bez dna. Nagle przestała mówić; machinalnie podniósł głowę i spojrział. Fantyna stała się przerażająca.

Nie mówiła już, nie oddychała; na wpół podniosła się na pościeli, wychudłe ramię ukazało się spod koszuli, jej twarz, przed chwilą promienna, zbladła trupio, zdawała się widzieć coś potwornego przed sobą, w drugim końcu sali, oczami rozszerzonymi strachem.

– Boże mój! – zawołał. – Co ci jest, Fantyno?

Nie odpowiedziała, nie oderwała wzroku od tego czegoś, co zdawała się widzieć, jedną ręką dotknęła jego ramienia, a drugą dała znak, żeby się obejrzał.

Odwrócił się i ujrzał Javerta.

Javert zadowolony

Oto, co się stało.

Było pół do pierwszej po północy, gdy pan Madeleine opuścił salę posiedzeń sądu w Arras. Wrócił do oberży w sam czas, by odjechać dylizanssem, w którym, jak pamiętamy, zamówił miejsce. Przed szóstą rano przyjechał do Montreuil-sur-mer, oddał na pocztę list do pana Laffitte'a i poszedł do szpitala odwiedzić Fantynę.

Tymczasem, zaledwie opuścił salę sądu, prokurator, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zabrał głos, ubolewał nad szaleństwem szanownego mera miasta Montreuil-sur-mer, oświadczył, że ten dziwaczny wypadek, który się później wyjaśni, w niczym nie zmieni jego przeświadczenia i żądał skazania Champmathieu, prawdziwego Jana Valjean oczywiście. Upór prokuratora był w widocznej sprzeczności z uczuciami wszystkich – i publiczności, i sądu, i sędziów przysięgłych. obrońca z łatwością zbił wnioski prokuratora, twierdząc, że zeznanie pana Madeleine, to jest prawdziwego Jana Valjean, zmieniło zupełnie postać rzeczy i że przysięgli mają teraz przed sobą człowieka niewątpliwie niewinnego. Zakończył kilkoma ustępami, nienowymi niestety, o pomyłkach sądowych itd., itd. Przewodniczący, streszczając przebieg procesu, stanął po stronie obrońcy i w kilka minut później ława przysięgłych uwolniła oskarżonego Champmathieu.

Ale prokuratorowi potrzebny był Jan Valjean i nie mając już Champmathieu, chwycił się Madeleine'a.

Bezzwłocznie po uwolnieniu Champmathieu zamknął się w pokoju narad z przewodniczącym sądu. Naradzali się „nad potrzebą ujęcia osoby pana mera miasta Montreuil-sur-mer”. To zdanie, z nadmierną ilością drugich przypadków, prokurator napisał własnoręcznie w raporcie do prokuratora generalnego. Gdy pierwsze wzruszenie przeminęło, przewodniczący nie bardzo się opierał. Sprawiedliwość musiała iść swoim torem. A przy tym, jeśli mamy wyznać całą prawdę, przewodniczący był człowiekiem dobrym i dość rozumnym, lecz zarazem zapalonym rojalistą i uraziło go wielce, że mer miasta Montreuil-sur-mer, mówiąc o wyładowaniu w Cannes, powiedział: cesarz, a nie Buonaparte.

Wysłano więc nakaz aresztowania. Prokurator wysłał go przez umyślnego kuriera, polecając wykonanie inspektorowi policji Javertowi.

Wiemy, że Javert powrócił do Montreuil-sur-mer zaraz po złożeniu zeznania.

Wstawał właśnie, gdy kurier wręczył mu rozkaz uwięzienia i dostawienia pana Madeleine.

Kurier, człek rozgarnięty, należał sam do policji i w kilku słowach objaśnił Javerta o tym, co zaszło w Arras. Rozkaz aresztowania, podpisany przez prokuratora, brzmiał, jak następuje: Inspektor Javert uwięzi osobnika Madeleine'a, mera Montreuil-sur-mer, w którym na sesji dzisiejszej rozpoznano uwolnionego galernika Jana Valjean.

Kto by nie znał Javerta i zobaczył go w chwili, gdy wchodził do przedsionka szpitala, wcale by się nie domyślił tego, co zaszło, i powiedziałaby, że ma minę najpospolitszą w świecie. Był chłodny, spokojny, szpakowate włosy miał gładko zaczesane na skroniach, wszedł na schody powoli, jak zwykle. Lecz zdrząłby ten, kto by go znał bliżej, przypatrzwszy mu się z uwagą. Zapinka jego skórzanego kołnierzyka, zamiast być na karku, przesunęła się pod lewe ucho. Był to znak niesłychanego wzburzenia.

Javert, regularny jak zegarek, nie dopuszczał zaniedbania ani w obowiązkach, ani w umundurowaniu; surowy dla zbrodniarzy, był tak samo nieubłagany dla guzików swojego surduta. Żeby źle zapiąć kołnierz, musiał doznać wielkiego wzruszenia, które by nazywać można wewnętrznym trzęsieniem ziemi.

Przyszedł całkiem zwyczajnie, wziął po drodze z odwachu kaprała i czterech żołnierzy, pozostawił ich na podwórku i zapytał o pokój Fantyny odźwierną, która nie zaniepokoiła się wcale, przyzwyczajona do widoku ludzi uzbrojonych pytających o pana mera.

Stanąwszy pod drzwiami pokoju Fantyny, Javert przekręcił klucz, otworzył je z ostrożnością właściwą pielęgniarzom i szpiclom i wszedł.

Dokładnie mówiąc, nie wszedł. Stał w drzwiach na pół otwartych, w kapeluszu na głowie, z dłonią założoną za surdut zapięty pod szyję. Pod pachą dostrzec można było ołowianą gałkę ogromnej laski, ukrytej za plecami.

Stał tak przez chwilę i nikt nie spostrzegł jego obecności. Nagle Fantyna podniosła oczy, ujrzała go i pokazała panu Madeleine.

Kiedy spojrzenie pana Madeleine spotkało wzrok Javerta, Javert, milczący, nieruchomy, nie postępując ni krokiem naprzód, stał się straszny. Najbardziej przerażającym uczuciem ludzkim bywa czasem radość. Była to twarz szatana, który odnalazł swego potępieńca.

Javert, choć tak przerażający, zgoła nie wyglądał nikczemnie.

Prawość, szczerłość, otwartość, przekonanie i poczucie obowiązku to uczucia, które źle skierowane, mogą stać się ohydne, ale przy całej ohydzie nie przestają być wielkie; ich majestat, właściwy sumieniu ludzkiemu, trwa i wśród potworności. Są to cnoty, które zbłądziły, i to jest ich przywarą. Nieubłagana, uczciwa radość fanatyka wśród najsroźszego okrucieństwa zachowuje blask posepnie szanowny. Ani się domyślał Javert, że w swym wspaniałym szczęściu był godzien litości, jak każda triumfująca ciemnota. Nic bardziej przejmującego i nic straszniejszego od tej twarzy, która była obrazem tego, co można by nazwać całym złem dobra.

Władza odzyskuje swe prawa

Fantyna nie widziała Javerta od dnia, w którym pan mer wyrwał ją ze szponów tego człowieka. Jej chory mózg nic nie rozumiał, ale nie wątpiła, że przychodzi po nią. Nie mogąc znieść widoku tej strasznej postaci, czuła, że umiera; ukryła twarz w dłoniach i zawołała z rozpaczą:

– Panie Madeleine, niech mnie pan ratuje!

Jan Valjean – odtąd inaczej nazywać go nie będziemy – wstał. Odezwał się do Fantyny najspokojniejszym, najłagodniejszym głosem:

– Nie obawiaj się. On nie przyszedł po ciebie.

Potem obrócił się do Javerta i rzekł:

– Wiem, czego pan tu szuka.

Javert odpowiedział:

– No, prędko!

Słowa te wyrzekł z jakimś akcentem nieokielznanym i frenetycznym. Nie był to głos ludzki. Był to ryk.

Nie postąpił według zwyczaju, nie wyłuszczył powodu przyścia; nie pokazał nakazu aresztowania. Dla niego Jan Valjean był tajemniczym i nie ujętym przeciwnikiem walki, piekielnym atletą, z którym pasował się od pięciu lat, nie mogąc go powalić. To aresztowanie było nie początkiem, lecz końcem. Ograniczył się więc do powiedzenia: „No, prędko!”

Tak mówiąc nie postąpił ani kroku, rzucił tylko na Jana Valjeana spojrzenie niby harpun, którym zwykł był gwałtownie przyciągać ku sobie swe ofiary.

Takie to właśnie spojrzenie padło przed dwoma miesiącami na Fantynę i przeniknęło ją do szpiku kości.

Na krzyk Javerta Fantyna otworzyła oczy. Ale pan mer był przy niej, czegóż miała się lękać?

Javert postąpił na środek pokoju i wrzasnął:

– No, idziesz czy nie?!

Nieszczęśliwa rozejrzała się dokoła. Nie było nikogo prócz zakonnic i pana mera. Do kogo mogło się stosować to poniżające tykanie? Tylko do niej. Zadrżała.

Wówczas ujrzała rzecz niesłychaną, tak niesłychaną, że nic podobnego nie zjawilo się jej nawet w najczarniejszych gorączkowych majaczeniach.

Ujrzała, jak szpicel Javert chwycił za kołnierz pana mera; widziała, jak pan mer schylił głowę. Zdawało się jej, że świat się wali.

Rzeczywiście, Javert wziął Jana Valjeana za kołnierz.

– Panie merze! – zawołała Fantyna.

Javert parsknął śmiechem, strasznym śmiechem, który obnażył jego wszystkie zęby.

– Nie ma tu już pana mera!

Jan Valjean nie usiłował uwolnić się od ręki trzymającej go za kołnierz, rzekł tylko:

– Javert...

Javert przerwał.

– Nazywaj mnie panem inspektorem.

– Panie – rzekł Jan Valjean – chciałbym powiedzieć panu słowo na stronie.

– Głośno! Mów głośno! – odpowiedział Javert. – Do mnie mówi się tylko głośno!

Jan Valjean mówił dalej zniżonym głosem:

– Mam do pana prośbę...

– Powiadam ci, mów głośno.

– Kiedy to tylko dla pana uszu...

– Co mnie to obchodzi? Nie będę słuchał!

Jan Valjean zwrócił się do niego i rzekł prędko i po cichu:

– Niech mi pan da trzy dni! Trzy dni, żebym mógł sprowadzić dziecko tej nieszczęśliwej kobiety! Zapłacę, ile będzie trzeba! Może mi pan towarzyszyć.

– Kpisz, czy co? – krzyknął Javert. – Patrzajcie go! Nie myślałem, żeś taki głupi! Chcesz, abym ci dał trzy dni czasu do ucieczki! Powiadasz, że pojedziesz po dziecko tej Fantyny! Ach! To wyborne! To wspaniale!

Fantyna wstrząsnął dreszcz.

– Po moje dziecko! – zawołała. – Po moje dziecko! Więc jej tu nie ma! Siostrzo, odpowiedz, gdzie Kozeta! Chcę widzieć moje dziecko! Panie Madeleine! Panie merze!

Javert tupnął nogą.

– Teraz ta znowu! Będziesz ty milcząca, hultajko? Przeklęty kraj, gdzie galernicy są urzędnikami, a nierządnicę pielęgnuje się jak hrabiny! Tak, ale to się zmieni; czas był wielki!

Spojrzał uważnie na Fantynę i dodał chwytając garścią za chustkę, koszulę i kołnierz surduta Jana Valjean:

– Powiadam ci, że nie ma już pana Madeleine, że nie ma już pana mera. Jest tylko złodziej, rozbójnik, galernik nazwiskiem Jan Valjean; jego trzymam w ręku, rozumiesz?

Fantyna zerwała się z łóżka i wsparłszy się o poręcz wychudłymi rękami, patrzyła na Jana Valjean, patrzyła na Javerta, patrzyła na zakonnice; otworzyła usta, jakby chciała mówić, rżenie wydarło jej się z gardła, zęby zazgrzytały, konwulsyjnie wyciągnęła ramiona, otworzyła dłonie i zaczęła poruszać nimi dookoła, jak ktoś, kto tonie, a potem nagle opadła na poduszki. Głowa jej uderzyła o krawędź łóżka i opadła na pierś, usta pozostały otwarte, powieki podniesione, oczy zgasłe.

Była martwa.

Jan Valjean położył rękę na ręce Javerta, który go trzymał za szyję, otworzył ją jak rękę dziecka i powiedział:

– Zabiłeś tę kobietę.

– Czy się to wreszcie skończy?! – krzyknął Javert wściekły. – Nie po to przyszedłem, żeby słuchać gadania. Nie traćmy czasu; straż jest na dole, ruszajmy zaraz albo łańcuszki!

W kącie pokoju stało stare żelazne łóżko, dość zniszczone, na którym sypiały siostry, gdy czuwały w nocy. Jan Valjean podszedł do łóżka, rozbił je w mgnieniu oka – zadanie jakże łatwe dla takich, jak jego, mięśniaków – ujął dłonią najgrubszy pręt i spojrzał na Javerta.

Javert cofnął się ku drzwiom.

Jan Valjean, trzymając sztabę żelazną w dłoni, szedł z wolna do łóżka Fantyny. Stanąwszy przy nim, obrócił się do Javerta i rzekł ledwie dosłyszalnym głosem:

– Nie radzę panu przeszkadzać mi teraz.

To pewne, że Javert w tej chwili drżał.

Przyszło mu na myśl, żeby wyjść i zawołać wartę, ale Jan Valjean mógł skorzystać z tej chwili i uciec. Pozostał więc, ujął swą laskę za cieńszy koniec i oparł się o ramę drzwi, nie spuszczając z oczu Jana Valjean.

Jan Valjean wsparł łokieć na krawędzi łóżka, a czoło na dłoni i patrzył na nieruchomo leżącą Fantynę. Stał tak, pogrążony w zadumie, milcząc i najwidoczniej rozmyślając nie o rzeczach tego świata. I twarz jego, i postawa wyrażały tylko niewymowną litość. Dumał tak przez chwilę, a potem pochylił się ku Fantynie i przemówił do niej cicho.

Co jej powiedział? Co mógł powiedzieć ten wyrzutek społeczeństwa tej umarłej kobiecie? Jakie to były słowa? Nikt na ziemi nie usłyszał ich. Czy słyszała je umarła? Istnieją rozrzewniające złudzenia, które – kto wie – są może wzniosłymi prawdami! To jedno nie ulega wątpliwości, że siostra Symplicja, jedyny świadek tego, co się działo, często powtarzała, że w chwili gdy Jan Valjean szeptał do ucha Fantyny, widziała wyraźnie, jak na jej bladych wargach i w zamglonych źrenicach, pełnych grobowego zdziwienia, wykwitł cudowny uśmiech.

Jan Valjean ujął w obie ręce głowę Fantyny i ułożył ją na poduszce, jak matka układa głowę dziecka, potem zawiązał tasiemkę przy jej koszuli i wsunął włosy pod czepek. To uczyniwszy zamknął jej powieki.

Twarz Fantyny wydała się w tej chwili jakby oświetlona.

Śmierć – to wejście do wielkiej światłości.

Ręka Fantyny zwisała z łóżka.

Jan Valjean ukląkł, podniósł ją ostrożnie i ucałował.

Potem powstał i obracając się do Javerta, powiedział:

– Teraz jestem do dyspozycji.

Grób przyzwoity

Javert zamknął Jana Valjean w więzieniu miejskim. Aresztowanie pana Madeleine wywołało w Montreuil-sur-mer wielkie wrażenie, a ściśle mówiąc – niezwykle wstrząs. Ze smutkiem atoli wyznać musimy, że na to jedno tylko słowo: „był galernikiem”, opuścili go prawie wszyscy. W ciągu niespełna dwóch godzin zapomniano wszystko, cokolwiek dobrego uczynił, i stał się on już tylko galernikiem. To prawda, że nie znano jeszcze szczegółowo wydarzenia w Arras. Przez cały dzień słychać było we wszystkich dzielnicach miasta rozmowy tego rodzaju:

– Wie pani? To dawny galernik! – Kto taki? – Mer. – Jak to? Pan Madeleine? – A tak. – Doprawdy? – Nie nazywa się Madeleine: ma jakieś okropne nazwisko, Bejean, Bojean. – O, mój Boże! – Aresztowany! Siedzi w więzieniu miejskim, dopóki go nie przeniosą! Dopóki go nie przeniosą? Więc go przeniosą gdzie indziej? Dokąd? Stanie przed sądem za dawno popełniony rozbój. – Ja się tego domyślam. Zanadto był dobry, zanadto doskonały, zanadto słodki. Nie przyjął orderu, dawał pieniądze wszystkim małym hultajom, których spotkał na drodze. Zawsze mi na myśl przychodziło, że kryje się pod tym jakąś paskudna historia.

Zwłaszcza „salony” były na ten temat jednomyślne. Pewna stara dama, prenumeratorka dziennika „Biała Chorągiew”, uczyniła uwagę, której głębi przeniknąć niepodobna:

– Wcale mnie to nie smuci. Będzie to nauka dla bonapartystów!

Tak znikło w Montreuil-sur-mer widmo, które się zwało panem Madeleine. Tylko kilka osób pozostało wiernych jego pamięci. Do tej liczby należała jego stara odźwierna.

Wieczorem tego dnia zacna staruszka siedziała w swej stancji, przerażona, rozmyślając smutnie. Fabryka cały tydzień była zamknięta, brama zasunięta ryglami, ulica pusta. W domu były tylko dwie zakonnice: siostra Perpetua i siostra Symplicja, czuwające przy ciele Fantyny.

Gdy zbliżyła się godzina, w której pan Madeleine zwykle powracał do domu, pocziwa odźwierna machinalnie się podniosła, wzięła z szalki klucz i świecę, którą mu podawała, gdy wchodził na górę do siebie; klucz zawiesiła na gwoździu i postawiła obok świecę, jakby go oczekiwała. Później usiadła na krześle i pogrążyła się w rozmyślaniach. Biedna staruszka czyniła to wszystko nie zdając sobie sprawy.

Upłynęło przeszło dwie godziny, gdy się ocknęła i zawołała:

– Chryste Panie! Zawiesiłam na gwoździu jego klucz!

W tej chwili otworzyło się okienko stróżówki, przez otwór wsunęła się ręka, wzięła klucz, świecę i zapaliła ją od łójówki stojącej obok.

Odźwierna podniosła oczy, otworzyła usta, krzyk zamarł jej w gardle.

Znała tę rękę, to ramię, ten rękaw surduta. To był pan Madeleine.

Przez kilka sekund nie mogła wyrzec słowa, jakby porażona, jak mówiła później, opowiadając swoją przygodę.

– Mój Boże, panie merze – zawołała na koniec – myślałam, że pan jest...

Zatrzymała się, koniec zdania zaprzeczyłby bowiem pełnemu szacunku początkowi. Jan Valjean na zawsze pozostał w jej oczach panem merem.

Dokończył za nią:

– W więzieniu. Byłem tam. Wyłamałem kratę w oknie, skoczyłem z dachu i jestem tutaj. Idę do mojego pokoju, proszę poprosić do mnie siostrę Symplicję. Zapewne czuwa przy tej nieszczęśliwej kobiecie.

Staruszka pośpiesznie wykonała polecenie.

Niczego jej nie nakazywał, był pewny, że strzec go będzie lepiej, niżby on sam siebie strzec umiał.

Nigdy nie dowiedziano się, w jaki sposób wszedł na podwórko nie otwierając bramy. Wprawdzie miał zawsze przy sobie klucz do małych, bocznych drzwi, ale zapewne zrewidowano go w więzieniu i odebrano mu go. Rzecz ta nie została wyjaśniona.

Wszedł na schody prowadzące do jego pokoju. Kiedy znalazł się na górze, pozostawił lichtarz na ostatnim stopniu schodów, otworzył drzwi i po omacku zamknął okno i okiennice, potem powrócił po świecę i wszedł do pokoju.

Ostrożność ta była konieczna: pamiętamy przecież, że z ulicy można było widzieć jego okno.

Popatrzył dokoła, na stół, na krzesło, na łóżko, od trzech dni nie słane. Nie było śladów nieporządku przedwczorajszej nocy. Odźwierna sprzątnęła pokój. Wyjęła tylko z popiołu i położyła na stole dwie żelazne skuwki kija i monetę, dwa franki szerniałe w ogniu.

Wziął arkusz papieru i napisał na nim: „Oto dwie skuwki mego kija i dwa franki skradzione Gerwazkowi, o których mówiłem w sądzie przysięgłych” i położył pieniądz i dwa kawałki żelaza tak, by wzrok wchodzącego do pokoju od razu padł na te przedmioty. Wyjął z szafy starą koszulę, podarł ją na kawałki i zawinął w nie dwa srebrne świeczniki. Zresztą nie śpieszył się, nie objawiał podniecenia. Okręcając płótnem świeczniki biskupa, gryzł kawał czarnego chleba. Prawdopodobnie był to chleb więzienny, który zabrał uciekając. Przekonano się o tym później z okruszyn, znalezionych na podłodze, gdy sąd nakazał rewizję w mieszkaniu.

Ktoś dwa razy lekko zastukał do drzwi.

– Proszę wejść – rzekł.

Była to siostra Symplicja. Błada, z czerwonymi oczami, trzymała lichtarz w drżącej ręce. Gwałty losu mają tę właściwość, że choćbyśmy byli najdoskonalsi – lub zupełnie chłodni – wyciągają na zewnątrz naturę ludzką i zmuszają ją do ujawnienia się. Po wzruszeniach dnia zakonnica stała się znowu kobietą. Płakała i drżała. Jan Valjean napisał kilka słów na papierze, który podał zakonnicy mówiąc:

– Siostro, proszę to oddać księdzu proboszczowi.

Papier nie był zabezpieczony. Rzuciła na niego okiem.

– Może siostra przeczytać – rzekł.

Przeczytała: „Proszę księdza proboszcza, by czuwał nad wszystkim, co tu pozostawiam. Proszę o opłacenie kosztów mego procesu i kosztów pogrzebu kobiety, która dziś umarła. Reszta na biednych”.

Siostra chciała coś powiedzieć, ale wyszeptała tylko kilka niezrozumiałych wyrazów. Na koniec zdobyła się na te słowa:

– Czy pan mer nie chce zobaczyć raz jeszcze tej biedaczki?

– Nie – odpowiedział – poszukuj mnie. Mogliby mnie tam aresztować, to by zakłóciło jej spokój.

Ledwie wymówił te słowa, gdy na schodach wszczął się wielki hałas. Usłyszano kroki kilku osób i głos starej odźwiernej, która krzyczała, jak mogła najgłośniej:

– Przysięgam panu, że nikt tu nie wchodził ani przez cały dzień, ani wieczorem, że na krok nie odchodziłam od drzwi!

Jakiś mężczyzna odpowiedział:

– A jednak w pokoju pali się światło.

Poznali głos Javerta.

Rozkład izby był taki, że drzwi otwierając się zasłaniały róg z prawej strony. Jan Valjean zgasił świecę i ukrył się w tym rogu. Siostra Symplicja padła na kolana przy stole.

Drzwi się otworzyły.

Wszedł Javert.

Słychać były szepty kilku ludzi i protesty odźwiernej na korytarzu.

Zakonnica nie podniosła oczu. Modliła się.

Świeca stojąca na kominku słabo oświetlała pokój.

Javert zobaczył siostrę i zatrzymał się zdumiony.

Pamiętamy, że istotą charakteru Javerta, jego żywiołem i duszą prawie, była cześć dla wszelkiej władzy, cześć bezwzględna, nie dopuszczająca zarzutów i ograniczeń. Ma się rozumieć, władzę kościelną uważał za najpierwszą ze wszystkich; był pobożny, powierzchowny i poprawny w tym względzie, jak i we wszystkich innych. W jego oczach kapłan był duchem nieomylnym, zakonnica istotą bezgrzeszną. Były to dusze odgródzone od świata, z jedynymi drzwiami, otwierającymi się po to tylko, by dać świadectwo prawdzie.

Zobaczywszy siostrę, w pierwszej chwili chciał się cofnąć. Ale inny obowiązek pchał go naprzód. Zdecydował się zostać i przynajmniej zapytać.

Miał przed sobą siostrę Symplię, która nigdy w życiu nie skłamała. Javert wiedział o tym i szczególnie ją szanował z tego powodu.

– Siostro – rzekł – czy siostra jest sama w tym pokoju?

Nastała straszna chwila, podczas której biedna odzwierna czuła, że nogi się pod nią uginają.

Siostra podniosła oczy i odpowiedziała:

– Tak.

– Mimo to – mówił dalej Javert – niech siostra wybaczy moją natrętność, obowiązek mi nakazuje zapytać raz jeszcze, czy siostra nie widziała tego wieczoru kogoś, człowieka. Uciekł i szukamy go. Tego Jana Valjean, czy go siostra nie widziała?

Siostra odpowiedziała:

– Nie.

Skłamała. Skłamała dwa razy z rzędu, bez wahania, z pośpiechem poświęcenia.

– Przepraszam – rzekł Javert i odszedł, kłaniając się nisko.

O święta dziewico! Od wielu już lat nie należysz do tego świata, połączyłaś się w wiekuiestej światłości z siostrami-dziewicami i braćmi-aniołami: oby to kłamstwo policzono ci w niebiesiech!

Twierdzenie siostry było dla Javerta czymś tak niewątpliwym, że nawet nie zwrócił uwagi na zgaszony knot świecy woskowej, który dymił na stole.

W godzinę później jakiś mężczyzna szedł szybko, oddalając się od Montreuil-sur-mer w stronę Paryża. Mężczyzną tym był Jan Valjean. Z zeznań dwóch czy trzech furmanów, którzy go spotkali na drodze, stwierdzono, że niósł zawiniątko i miał na sobie bluzę. Skąd wziął bluzę? Nigdy się nie dowiedziano. Przed kilkoma dniami umarł w infirmerii fabrycznej pewien stary wyrobnik i została po nim tylko bluza. Może to była ta sama?

Jeszcze ostatnie słowo o Fantynie.

Wszyscy mamy matkę, ziemię. Wrócono Fantynę tej matce.

Proboszcz sądził, że uczyni dobrze – i zapewne dobrze uczynił zachowując z tego, co mu Jan Valjean zostawił, jak najwięcej pieniędzy dla ubogich. Bo i zresztą o kogóż chodziło? O galernika i dziewczynę uliczną. Dlatego też uprościł pogrzeb Fantyny i ograniczył go do tego, co było niezbędne, a co się nazywa wspólnym grobem.

Pogrzebano ciało Fantyny w bezpłatnym kącie cmentarza, przeznaczonym dla wszystkich i dla nikogo, tam gdzie grzebie się ubogich. Na szczęście Bóg wie, gdzie odnaleźć duszę. Położono Fantynę w mrok grobu między pierwsze lepsze kości: doznała cudzołóstwa popiołów. Wrzucono ją do publicznego dołu. Jej grób był podobny do jej łoża.

Część druga

KOZETA

Rozdział pierwszy

WATERLOO

18 czerwca 1815 roku

Korzystając z przywilejów powieściopisarza, wrócimy do roku 1815, do czasu poprzedzającego nieco epokę, w której rozpoczyna się historia opowiedziana w pierwszej części tej książki.

Gdyby w nocy z 17 na 18 czerwca 1815 roku nie spadł deszcz, inna byłaby przyszłość Europy. Kilka kropel wody rozstrzygnęło o sprawie Napoleona. Opatrzność potrzebowała tylko trochę deszczu na to, aby Waterloo zakończyło Austerlitz, i dość było chmury, wbrew przewidywaniu pojawiającej się na niebie o tej porze roku, żeby zawałił się cały jeden świat.

Bitwa pod Waterloo mogła się rozpocząć dopiero o wpół do dwunastej i to pozwoliło Blucherowi zdążyć na plac boju. Dlaczego? Bo ziemia była wilgotna. Należało czekać, aż obесhnie nieco, aby artyleria mogła działać.

Napoleon był oficerem artylerii i zawsze o tym pamiętał. Wszystkie plany jego bitew układane były dla pocisku armatniego. Skierować cały ogień z dział na obrany punkt – oto klucz jego zwycięstw. Strategię nieprzyjacielskiego generała traktował niby fortecę i robił w niej wyłom. Na słabe miejsce ciskał grad kartaczy; armatą rozpoczynał i rozwiązywał bitwy. W jego geniuszu było coś z wystrzału. Rozbić czworobok, rozsypać w proch pułki, złamać linie, zgnieść na miazgę i rozproszyć masy – na tym u niego polegało wszystko; uderzać, uderzać nieustannie; i tę robotę powierzał pociskom armatnim. Metoda straszliwa, która w połączeniu z geniuszem uczyniła niezwyciężonym przez lat piętnaście tego posępnego atlete wojennych zapasów.

Dnia 18 czerwca 1815 roku tym pewniej rachował na artylerię, że przewagę liczby miał po swojej stronie. Wellington miał tylko sto Pięćdziesiąt dziewięć armat, Napoleon – dwieście czterdzieści.

Gdyby ziemia była sucha, można by było przetaczać armaty i działania rozpoczęłyby się o szóstej rano. Bitwa byłaby wygrana i skończona o drugiej, na trzy godziny przed nagłym powikłaniem, wywołanym przybyciem Prusaków.

Ile było winy Napoleona w przegraniu tej bitwy? Czy sternikowi można przypisać odpowiedzialność za rozbięcie okrętu?

Czy do widocznego osłabnięcia sił fizycznych w Napoleonie przyłączało się w owym czasie pewne osłabienie ducha? Czy dwudziestoletnie boje starły klingę, tak jak i pochwałę, zużyły duszę, tak jak zużywają ciało? Czy w wodzu już się zaczynał zjawiać weteran? Słowem, czy geniusz ten, jak utrzymuje wielu znakomitych historyków, już gasł? Czy wpadał w szaleństwo, usiłując ukryć przed sobą samemu swoje osłabienie? Czy zaczynał się wahać i błąkać na los szczęścia? Czy stawał się nieświadomy niebezpieczeństwa, rzecz nie do darowania u wodza? Czy i dla klasy tych ludzi, wielkich w dziedzinie materialnej, których

nazwać by można olbrzymami czynu, nadchodzi wiek, kiedy przytępie się wzrok geniuszu? Starość nie ma władzy nad geniuszami ideału; dla Dantów i Michałów Aniołów starzeć się – to rosnąć; czyżby dla Hannibalów i Bonapartów starzeć się – znaczyło tyle co niedołączyć, maleć? Czy Napoleon utracił instynkt zwycięstwa? Czy upadł tak nisko, że nie rozpoznawał przeszkody, nie odgadywał zasadzki i nie dostrzegał zapadającego się brzegu przepaści? Czyżby utracił węch wykrywający klęskę? On, który znał niegdyś wszystkie drogi triumfu i z wysokości swego wozu ognistego wskazywał je wszechwładnym palcem – czyżby teraz, w złowrogim zaślepieniu, wiódł swój tłumny zaprząg legionów ku przepaści? Czy go porwał szał ostateczny w czterdziestym szóstym roku życia? Czyżby ten tytaniczny woźnica losu stał się już tylko olbrzymim wartogłowem?

Nie sądzimy tak.

Zdaniem wszystkich, jego plan bitwy był arcydziełem. Uderzyć w sam środek linii sprzymierzonych, zrobić wyłom w nieprzyjacielu, przeciąć go na dwoje, pchnąć połowę angielską na Hal, a połowę pruską na Tongres, rozłamać wrogą armię Wellingtona i Bluchera, zdobyć Mont-Saint-Jean, zająć Brukselę, zepchnąć Niemca w Ren, a Anglika w morze. Taki był sens tej bitwy dla Napoleona. O reszcie pomyślałby później.

Nie pretendujemy zgoda do opisywania tutaj historii bitwy pod Waterloo. Jedna ze scen dających początek dramатовi, który opowiadamy, łączy się z tą bitwą; ale historia nie jest naszym przedmiotem; zresztą historia ta już jest napisana, i to napisana po mistrzowsku, z jednego punktu widzenia przez Napoleona, z drugiego zaś przez Charrasa. Niechaj ścierają się ze sobą ci dwaj historycy; my jesteśmy tylko dalekim świadkiem, przechodniem po równinie, badaczem pochylonym nad tą ziemią wymieszaną z ludzkim ciałem, świadkiem, który, być może, pozory bierze za rzeczywistość; nie mamy prawa stawić czoła w imieniu nauki ogółowi faktów, w których niewątpliwie znajdują się i złudne zjawiska; nie mamy ani doświadczenia wojskowego, ani kompetencji strategicznej, które by nas uprawniały do tworzenia uogólnień; naszym zdaniem, szereg przypadkowych zdarzeń góruje pod Waterloo nad planami obydwóch wodzów; a gdy chodzi o los, tego tajemniczego winowajcę, sądzimy jak lud, ten prostoduszny sędzia.

Ten, kto by pragnął dokładnie przedstawić sobie plan bitwy pod Waterloo, niechaj w myśli nakreśli na ziemi wielką literę A. Lewe ramię litery A jest drogą z Nivelles, ramię prawe drogą z Genappe, łącznik A drogą poprzeczną z Ohain do Braine-l'Alleud. Wierzchołek A to Mont-Saint-Jean, tu stał Wellington; dolny koniec lewego ramienia to Hougomont, tu stał Reille z Hieronimem Bonaparte, dolny koniec prawego ramienia to Belle-Alliance, tu stał Napoleon. Nieco poniżej punktu, w którym poprzeczka przecina prawe ramię, mamy Haie-Sainte. W samym środku poprzeczki znajduje się punkt, w którym wyrzeczone zostało ostatnie słowo tej bitwy. Tu właśnie postawiono lwa, mimowolny symbol najwyższego bohaterstwa cesarskiej gwardii.

Trójkąt zawarty między ramionami a cięciwą tego A jest wyniosłą płaszczyzną Mont-Saint-Jean. Cała bitwa była walką o opanowanie tej płaszczyzny.

Skrzydła dwóch armii ciągnęły się po prawej i po lewej stronie dwóch dróg z Genappe i Nivelles; d'Erlon stał naprzeciw Pictona, Reille naprzeciw Hilla.

Obaj generałowie z uwagą oglądali płaszczyznę Mont-Saint-Jean, dziś zwaną płaszczyzną Waterloo. Już w poprzednim roku Wellington badał ją ze swą bystrą przezornością, przewidując, że będzie kiedyś polem wielkiej bitwy. Na tym terenie, w tym pojedynku dnia 18 czerwca, Wellington miał dobrą pozycję, Napoleon złą. Armia angielska stała na górze, francuska – w dole.

Po cóż by opisywać, jak wyglądał Napoleon o świcie 18 czerwca 1815 roku, na koniu, z lunetą w rękę, na wzgórzu Rossomme? Nim się go zdąży pokazać, już go widzą wszyscy. Ten spokojny profil pod małym kapeluszem szkoły w Brienne 125, ten zielony uniform, gwiazda

pod białą klapą, szary surdut kryjący epolety, końce czerwonej wstęgi pod kamizelką, spodnie łosiowe, koń biały w czapraku z purpurowego aksamitu, z literą N, z koroną i orłami po bokach, buty z szerokimi cholewami na jedwabistych pończochach, srebrne ostrogi, spada spod Marengo; cała postać ostatniego Cezara przytomna jest w każdej wyobraźni; jedni ją ubóstwiają, drudzy nań patrzą surowo.

Postać ta długo cała była w jasnym świetle; sprawiał to pewien półmrok legendy, którym otacza się większość bohaterów, a który zawsze, raz dłużej, raz krócej, zasłania prawdę; ale dziś już świta historia sprawiedliwe światło dzienne.

Historia to światło nieubłagane. Ma ona tę dziwną i boską właściwość, że jakkolwiek jest światłem i dlatego że jest światłem, często rzuca cień tam, gdzie widziano promienie; z jednego i tego samego człowieka tworzy dwa odrębne widma i pasują się one ze sobą, i jedno drugiemu wymierza sprawiedliwość, i mroki despotyzmu tyrana walczą ze światłem sławy wodza. Stąd słusniejsza miara ostatecznej oceny ludów. Pogwałcony Babilon pomniejsza Aleksandra; Rzym okuty w łańcuchy pomniejsza Cezara; wymordowana Jerozolima pomniejsza Tytusa. Tyrania idzie w ślad za tyranem. Nieszczęściem dla człowieka jest pozostawienie poza sobą mroku, który przybrał kształt jego postaci.

Wszyscy znają pierwszą fazę tej bitwy, jej początek niejasny, niepewny, wahający się i groźny dla obu stron, ale bardziej jeszcze dla Anglików niż dla Francuzów.

Deszcz padał przez całą noc; ulewa rozmyła ziemię; tu i ówdzie woda zebrała się w zagłębieniach płaszczyzny niby w miskach; w niektórych miejscach ciężkie wozy grzęzły aż po osie; z uprzęży koni ściekały krople błota; gdyby nie zgniecione ciężarem jadących wozów zboże, które wypełniło koleiny i podścieliło się pod koła, wszelki ruch, zwłaszcza w dolinie od strony Papelotte, byłby niemożliwy.

Akcja bojowa rozpoczęła się późno; Napoleon – wytłumaczyliśmy dlaczego – miał zwyczaj trzymania pod ręką całej artylerii niby pistoletu, celując to w ten, to w ów punkt bitwy, i chciał czekać, aż zaprężone baterie będą mogły swobodnie przetaczać się i przejeżdżać w galopie; do tego potrzebne było, aby słońce pokazało się i osuszyło ziemię. Ale słońce się nie pokazywało. Nie było to już spotkanie pod Austerlitz. Kiedy zagrzmiała pierwsza armata, angielski generał Colville spojrzął na zegarek i przekonał się, że było trzydzieści pięć minut po godzinie jedenastej.

Uderzenie lewego skrzydła francuskiego na Hougomont rozpoczęło walkę z większą może wściekłością, niż tego cesarz sobie życzył. Jednocześnie Napoleon zaatakował środek, rzucając brygadę Quiota na Haie-Sainte, a Ney posunął prawe skrzydło francuskie ku lewemu skrzydłu angielskiemu, opierającemu się o Papelotte.

Atak na Hougomont był do pewnego stopnia pozorny; zwabić Wellingtona, przerzucić go ku lewej stronie – taki był plan. I plan ten byłby się udał, gdyby nie to, że cztery kompanie gwardii angielskiej i dzielni Belgowie dywizji Perponchera dzielnie trwali na swych stanowiskach; dzięki temu Wellington, zamiast skoncentrować tam wszystkie swe siły, mógł poprzestać na posłaniu posiłków z czterech kompanii gwardii i batalionu brunszwickiego.

Głównym uderzeniem był atak prawego skrzydła francuskiego na Papelotte; złamać lewe skrzydło angielskie, przeciąć drogę do Brukseli, nie dopuścić do połączenia się z Prusakami, którzy mogli jeszcze nadciągnąć, zdobyć Mont-Saint-Jean, zepchnąć Wellingtona do Hougomont, stąd do Braine-l'Alleud i dalej, na Hal – oto plan jasny i prosty. Z wyjątkiem drobnych incydentów atak powiódł się. Wzięto Papelotte, zdobyto Haie-Sainte.

Po wzięciu Haie-Sainte bitwa się zachwiała.

W dniu tym okres od południa do godziny czwartej jest niejasny, trudny do wytłumaczenia; środek tej bitwy jest niewyraźny, jak najposepniejsza chwila bojowej zawieruchy. Zrobiło się ciemno. W tym zmroku dostrzegaliśmy unoszące się w powietrzu potworne widma, zjawiska przyprawiające o zawrót głowy, ówczesny sprzęt wojenny, dziś prawie nie znany: ogniste kołpaki, luźne ładownice, posplatane lederwerki, huzarskie

dolmany, czerwone buty o tysiącnych zmarszczkach, ciężkie czapki z frędzlami, prawie czarna piechota brunszwicka zmieszana ze szkarłatną piechotą angielską, żołnierze angielscy z epoletami otoczonymi grubym, białym wąłkiem, lekka jazda hanowerska w podłużnych kaskach skórzanych z miedzianymi podpinkami i czerwonymi kitami z końskiego włosia. Szkoci w pledach, z nagimi kolanami, wielkie białe kamasze francuskich grenadierów – to obrazy, nie linie strategiczne, to dla Salvatora Rosy, nie dla Gribeauvala.

Czwarta po południu

Okolo czwartej położenie armii angielskiej było groźne. Księżę Orański dowodził środkiem, Hill prawym skrzydłem, Picton lewym. Księżę Orański, nieustraszony i nieprzytomny, wołał na Holendrów i Belgów: „Nassau! Brunszwik! Nie cofać się za nic!” – Hill, osłabiony, wsparł się na Wellingtonie, Picton zginął. W chwili gdy Anglicy zabrali Francuzom chorągiew 105 pułku liniowego, Francuzi zabili Anglikom generała Pielona kulą, która przebiła mu głowę. Bitwa miała dla Wellingtona dwa punkty oparcia; Hougomont i Haie-Sainte; Hougomont trzymało się jeszcze, ale płonęło; Haie-Sainte zdobyli Francuzi.

Środek armii angielskiej, nieco wklęsły, gęsty i zwarty, zajmował silną pozycję. Stał na płaszczyźnie Mont-Saint-Jean, w tyle miał wioskę, przed sobą dość spadzistą wówczas pochyłość. Opierał się o mocny dom z kamienia, który w owym czasie należał do dóbr koronnych Nivelles i stał u rozstaju dróg; mury jego, zbudowane w szesnastym wieku, były tak twarde i mocne, że kule od nich odskakiwały. Dokoła płaszczyzny Anglicy wycięli żywopłoty, zrobili otwory w tarninie, ustawili armaty, paszcze ich zakryli gałęzmi. Artyleria ich stała za krzakami w zasadzce. Ten punicki podstęp, niewątpliwie dopuszczalny w czasie wojny, był tak udatny, że Haxo, wysłany przez cesarza o dziewiątej rano dla wyśledzenia nieprzyjacielskich baterii, nic nie zobaczył i powróciwszy powiedział Napoleonowi, że nie ma żadnych przeszkód oprócz dwóch barykad tarasujących drogi do Nivelles i do Genappe.

Okolo czwartej linia angielska cofnęła się. Nagle na szczycie wzgórza ujrzano tylko artylerię i tyralierów, reszta znikła; pułki, kryjąc się przed granatami i kartaczami francuskimi, cofały się w dolinę, którą dziś jeszcze przecina ścieżka prowadząca do folwarku Mont-Saint-Jean; rozpoczął się ruch odwrotowy, czoło armii angielskiej skryło się, Wellington cofnął się.

– Zaczyna się odwrót! – zawołał Napoleon.

Kiedy Wellington zaczął się cofać, Napoleon zadrzał z radości. Ujrzał nagle odsłaniające się wzgórze Mont-Saint-Jean i znikające czoło armii angielskiej. Zbierała się, ale się kryła. Cesarz wspinał się w strzemiionach. Przez oczy jego przebiegła błyskawica zwycięstwa.

Zapędzić Wellingtona do lasu Soignes i zgnieść go – byłoby to ostatecznym porażeniem Anglii przez Francję.

Rozmyślając nad straszliwym ciosem, cesarz ostatni raz powiódł lunetą po wszystkich punktach pola bitwy. Za nim jego gwardia z bronią u nogi spoglądała nań z dom w religijnym skupieniu. Myślał; przyglądał się z uwagą wzgórzom i zboczom, badał kępy drzew, łany zbóż, drożyny; zdawał się rachować każdy krzaczek. Długo przyglądał się barykadom angielskim na obu gościńcach – ogromnym stosom zrąbanych drzew; u barykady na drodze do Genappe, nieco powyżej Haie-Sainte, ustawiono dwie armaty, jedyne w całej artylerii angielskiej, które mogły dosięgnąć głębi pola bitwy; u barykady na drodze do Nivelles połyskiwały bagnety holenderskie brygady Chasse. Zauważył przy tej barykadzie starą kaplicę Świętego Mikołaja, pomalowaną na białą. Pochylił się i szepnął coś do przewodnika Lacoste. Przewodnik zrobił głową znak przeczenia, zapewne zdradziecki.

Cesarz wyprostował się i zamyślił.
Wellington się cofał. To cofanie należało już tylko zakończyć pogromem.
Napoleon odwrócił się nagle i wysłał do Paryża gońca z wiadomością, że bitwa wygrana.
Napoleon był jednym z tych geniuszów, które rzucają gromy.
Znalazł właśnie swój piorun.
Wydał rozkaz kirasjerom Milhauda: zdobyć płaszczyznę Mont-Saint-Jean.

Niespodzianka

Było ich trzy tysiące pięciuset. Front rozciągał się na ćwierć mili. Ludzie-olbrzymy na koniach-kolosach. Tworzyli dwadzieścia sześć szwadronów. W odwodzie postępowała za nimi dywizja Lefebvre-Desnouettesa – sześciuset wyborowych żołnierzy, strzelcy gwardii tysiąc stu dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi i lansjerzy gwardii osiemset osiemdziesiąt lanc. Mieli kaski bez włosia, stalowe pancerze, pistolety w olstrach i długie pałasze. Rankiem podziwiała ich cała armia, gdy o dziewiątej przy odgłosie trąb i pieśni: Czuwajmy nad Cesarstwem przybyli zwartą kolumną, z jedną baterią z boku, drugą w środku, i rozwinęli się w dwóch szeregach między drogą Genappe i Frischemont, zajmując miejsce przeznaczone sobie w tej potężnej, drugiej linii, która tak uczenie ułożona przez Napoleona, mając w krańcu lewym kirasjerów Kellermanna, na prawym kirasjerów Milhauda, zdawała się mieć dwa skrzydła z żelaza.

Adiutant Bernard przyniósł im rozkaz cesarza. Ney dobył szabli i stanął na czele. Poruszyły się olbrzymie szwadrony.

Wówczas ujrzano grozą przejmujące widowisko. Cała ta jazda, z dobytymi szablami, z rozpuszczonymi na wiatr sztandarami i podniesionymi trąbami, zwarta oddziałami w kolumny, runęła ze wzgórza Belle-Alliance jednym rzutem, jak jeden człowiek, z matematyczną dokładnością spiżowego taranu szczerbiącego wyłom, zatopiła się w straszną głęb, gdzie już tyle padło ludzi, zniknęła tam w dymie, potem wydostawszy się z ciemności ukazała się po drugiej stronie doliny i wciąż zwarta, w ściśniętych szeregach, kłusowała pędem wśród gradu lecących na nią kartaczy i po stromym i błotnistym zboczu płaszczyzny Mont-Saint-Jean. Sunęli pod górę, poważni, groźni, spokojni, niezachwiani; kiedy milkł na chwilę ryk dział i huk karabinowych strzałów, słychać było ogromny tętent końskich kopyt. Podzieleni na dwie dywizje, tworzyli dwie kolumny; dywizja Wathiera była po prawej, dywizja Delorda po lewej stronie. Zdawało się, że ku szczytowi płaszczyzny pełzną dwa olbrzymie stalowe węże. Jak niezziemskie zjawisko przemknęli przez bitwę.

Za szczytem wzgórza, w cieniu zamaskowanej baterii, piechota angielska, ustawiona w trzynastu kwadratach po dwa bataliony, w dwóch liniach, siedem w pierwszej, sześć w drugiej, z kolbą przy twarzy, celując do mogącego się zbliżyć nieprzyjaciela, czekała spokojna, milcząca i nieruchoma.

Nie widziała kirasjerów, a kirasjerzy jej nie widzieli. Przysłuchiwała się przyplływającym wezbranym falom ludzi. Słyszała wzrastający hałas trzech tysięcy koni, kolejne i symetryczne uderzenia kopyt w wielkim kłusie. Zgrzytanie pancerzy, szczęk szabel i jakby oddech ogromny i dziki. Nastąpiła straszna chwila milczenia, potem nagle długi rząd podniesionych rąk, potrząsając szablami, ukazał się na szczycie wzgórza i z trzech tysięcy ust pod siwiejącymi wąsami wydarł się jeden okrzyk: „Niech żyje cesarz!” Cała ta konnica wjechała na szczyt z hukiem podobnym trzęsieniu ziemi.

Nagle stało się coś niesamowitego – po lewej stronie angielskiej, po prawej naszej, czoło kolumny kirasjerów ugięło się z przerażającym wrzaskiem. Dobiegłszy do samego szczytu,

pędząc naprzód jak szaleni, jak wściekli, by zniszczyć wrogie szeregi i armaty ujrzeni kirasjerzy między sobą i Anglikami rów, jar. Był to wąwóz, którego dnem szła droga do Ohain.

Straszna to była chwila. Wąwóz, niespodziany, stromy, rozwarł się nagle tuż pod kopytami koni, głęboki na dwa sążnie; drugi rząd jeźdźców pchnął pierwszy, trzeci pchnął drugi; konie wspinały się dęba, szarpały w tył, padały na wznak i ześlizgiwały się w dół, nogami do góry, gniotąc i zrzucając jeźdźców; niepodobna cofać się, cała kolumna była jak pocisk w locie; siła przeznaczona do zmiżdżenia Anglików miażdżyła Francuzów; nieubłagana przepaść mogła poddać się tylko pełna aż po brzegi; jeźdźcy i konie potoczyli się w nią, gniotąc się nawzajem, tworząc jakieś jedno ciało w tej czeluści, a gdy rów napelnił się żywymi ludźmi, reszta przejechała po nich. Prawie trzecia część brygady Dubois zwała się w tę przepaść.

Tak się zaczęła przegrana.

Miejscowa wieść gminna, przesadna na pewno, powiada, że dwa tysiące koni i tysiąc pięćset ludzi zginęło w wąwozie Ohain. Prawdopodobnie liczba ta obejmuje również wszystkie trupy, które na drugi dzień po bitwie wrzucono do wąwozu.

Napoleon, wydając kirasjerom Milhauda rozkaz szarżowania, starannie zbadał pole bitwy, ale nie mógł zobaczyć wąwozu, który nie znaczył się najlżejszym nawet śladem na powierzchni równiny. Wszelako obudziła w nim pewną nieufność mała biała kapliczka stojąca przy gościńcu z Nivelles i prawdopodobnie zapytał przewodnika Lacoste, czy nie ma tam jakiej przeszkody. Przewodnik odpowiedział, że nie ma. Można by rzec prawie, że z tego skinienia głowy wieśniaka zrodził się upadek Napoleona.

Czy było możliwe, aby Napoleon wygrał bitwę? Odpowiadamy, że nie. Dlaczego? Przez Wellingtona? Przez Blüchera? Nie – z woli Boga.

Bonaparte zwycięzcą pod Waterloo – to by sprzeciwiało się prawom dziewiętnastego wieku. Przygotowywał się już inny ciąg wydarzeń i nie było w nich miejsca dla Napoleona. Zła wola wypadków była rzeczą wiadomą już od dawna.

Nadszedł czas, żeby ten olbrzymi człowiek padł.

Nadmierny ciężar tego męża na szali losu ludzkości psuł równowagę. Ta jednostka ważyła więcej niż wszyscy inni ludzie. Nadmiar żywotności całego społeczeństwa skupiony w jednej głowie, to uderzenie całego świata na mózg jednego człowieka – stałoby się śmiertelne dla cywilizacji, gdyby, potrwało dłużej. Nadeszła chwila, w której musiała wkroczyć najwyższa, nieprzekupna sprawiedliwość. Czuły się pewno dotknięte zasady i żywioły, które rządzą prawidłowym ciężeniem ciał w ładzie moralnym tak samo jak i w ładzie materialnym. Dymiąca krew, przepelnione cmentarze, łzy matek – to groźni oskarżyciele. Kiedy ziemia cierpi pod ciężarem, dobywają się z mroków tajemnicze jęki, które słyszy przepaść.

Napoleon został oskarżony przed Nieskończonością i postanowiony był jego upadek.

Przeszkadzał Bogu.

Waterloo to nie bitwa; to zmiana frontu wszechświata.

Wzgórze Mont Saint-Jean

I wąwóz, i bateria odsłoniły się równocześnie. Sześćdziesiąt armat i trzynaście czworoboków otwarto ogień do kirasjerów. Nieustraszony generał Delord zasalutował baterii angielskiej.

Cała polowa artyleria angielska cwałem powróciła do czworoboków. Kirasjerzy nie zatrzymali się ani chwili. Nieszczęsny wąwóz zdziesiątkował ich, lecz nie osłabił odwagi. Byli to ludzie, co malejąc liczbą, rośli męstwem.

Wszystkie czoła czworoboków angielskich zostały zaatakowane równocześnie. Otoczył je wściekły wir. Piechota angielska stała chłodna i nieporuszona. Pierwszy szereg, przyklęknąwszy, przyjmował kirasjerów bagnetami, drugi strzelał; za drugim kanonierzy nabijali działa, czoło czworoboku otwierało się, przepuszczało wybuch kartaczy i zamykało się znowu. Kirasjerzy na ogień odpowiadali naporem. Olbrzymie ich konie, wspiąwszy się na tylnych nogach, przeskakiwały przez szeregi, przez bagnety i padały ogromnymi cielskami w sam środek tych czterech żywych ścian. Kule dziurawiły szeregi kirasjerów, kirasjerzy bili wyłomy w czworobokach. Rzędy piechurów znikwały pod końmi. Bagnety zanurzały się w brzuchach tych centaurów. Stąd potworność ran, jakich może nigdy dotąd nie widziano. Czworoboki, przebite przez tę rozwścieczoną jazdę, zamykały się, nie ustępując ze stanowiska. Wciąż nowe kartacze wybuchały wśród napadających. Walka była potworna. Te czworoboki to były już nie bataliony, lecz ogniste kraterzy; ci kirasjerzy byli już nie jazdą, lecz burzą. Każdy czworobok był wulkanem napadniętym przez chmurę; lawa walczyła z piorunem.

Kirasjerzy, stosunkowo nieliczni, uszczupleni katastrofą w wąwozie, mieli tu przeciw sobie prawie całą armię angielską; ale zwielokrotnili się; każdy stał za dziesięciu. Już kilka hanowerskich batalionów ustąpiło z placu. Zobaczył to Wellington i pomyślał o swej konnicy. Gdyby Napoleon w tej chwili pomyślał o swej piechocie, wygrałby bitwę. To zapomnienie było jego błędem wielkim i nieodwracalnym.

Armia angielska została mocno nadszarpnięta tą walką. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie straszna klęska w wąwozie, kirasjerzy złamaliby jej środek i rozstrzygnęli o zwycięstwie. Ta nadzwyczajna kawaleria zdumiała Clintona, który przecie widział Talaverę i Badajoz. Wellington, w trzech czwartych zwyciężony, podziwiał ją heroicznie, mówiąc półgłosem: „Wspaniale!”

O piątej wieczór Wellington spojrzął na zegarek i usłyszano, jak szepnął te posepne słowa: „Blücher lub noc!”

I właśnie w tej samej chwili długi rząd bagnetów zabłysnął na wzgórzach od strony Frischemont.

Było to rozwiązanie olbrzymiego dramatu.

Wiadomo, jak bolesnego zawodu doznał Napoleon; oczekiwał Grouchy’ego, nadszarpnął Blücher; śmierć zamiast życia.

Przeznaczenie płała takie psoty: spodziewał się tronu świata, a ujrzał Świętą Helenę.

Wkrótce potem dywizje Losthina, Hillera, Hackego i Ryssela rozwinęły się przed korpusem Lobau, jazda księcia Wilhelma Pruskiego wysunęła się z Paryskiego Lasku, Plancenoit ogarnęły płomienie, a kule pruskie spadły jak grad na szeregi gwardii stojącej w odwodzie za Napoleonem.

Wiadomo, co było dalej: niespodzianie wpada trzecia armia, rozprzega bitwę, osiemdziesiąt armat nagle odzywa się, Pirch przebiega z Bulowem, sam Blücher prowadzi jazdę Zietena, Francuzi odepchnięci, Marcognet zmieciony z płaszczyzny Ohain, Durutte wyparty z Papelotte, Donzelot i Quiet cofają się, Labau napadnięty z ukosa; o zmroku rozpoczyna się bitwa z naszymi rozbitymi pułkami, cała linia angielska posuwa się naprzód i działa angielskie i pruskie wspólnym wysiłkiem dokonują olbrzymiego wyłomu w armii francuskiej, rzeź, klęska od przodu, klęska po bokach i gwardia idąca do walki z tym straszliwym natarciem.

Czując, że idzie na śmierć, podniosła okrzyk: „Niech żyje cesarz!” Historia nie zna nic bardziej wzruszającego niż ta agonია wybuchająca okrzykiem.

Niebo było pochmurne przez cały dzień. Nagle, w tej właśnie chwili – była już ósma wieczór – na widnokręgu rozdarły się chmury i przez gałęzie wiązków stojących przy drodze do Nivelles ukazała się złowroga, krwawa czerwień zachodzącego słońca. To samo, które wschodziło pod Austerlitz.

W tym ostatnim momencie każdym batalionem gwardii dowodził generał. Byli to: Friant, Michel, Roguet, Harlet, Mallet i Poret de Morvan. Gdy w kurzu walki ukazały się wysokie bermyce grenadierów gwardii z szerokimi blachami z orłami, wyrównane, symetryczne, spokojne, nieprzyjaciel mimo woli uczuł szacunek dla Francji; zdawał się widzieć dwadzieścia bogiń zwycięstwa wstępujących na pole bitwy z rozwianymi skrzydłami – i zwycięzca cofnął się myśląc, że jest zwyciężony; ale Wellington zawołał: „Gwardziści powstać i dobrze celować!” Czerwony pułk gwardii angielskiej, leżący za krzakami, podniósł się, chmura kartaczy poszarpała trójkolorowy sztandar, powiewający koło naszych orłów, wszyscy runęli ku sobie i rozpoczęła się rzeź ostateczna. Gwardia cesarska poczuła, że w otaczającej ją ciemności armia ucieka, że rozpoczyna się ogólny paniczny odwrót; słyszała: „Uciekajcie!” zamiast „Niech żyje cesarz!” – i mając za sobą ucieczkę, zimna, spokojna, postępowała naprzód, z każdym krokiem gęściej padając pod gromami nieprzyjaciół. Nie było ani wahających się, ani bojaźliwych. Każdy żołnierz gwardii był tak samo bohaterski jak generał. Ani jeden nie cofnął się przed samobójstwem.

Katastrofa

Zamęt na tyłach gwardii był przerażający. Armia zachwiała się nagle ze wszystkich stron naraz, od Hougomont, Haie-Sainte, Papelotte, Plancenoit. Po okrzyku „Zdrada!” nastąpił okrzyk: „Uciekaj, kto może!” Rozsypana się armia jest jak odwilż. Wszystko się ugina, pęka, trzeszczy, pada, toczy się, zderza, śpieszy i gna na oślep. Rozkład nieprawdopodobny. Ney bierze nowego konia, wskakuje na niego i bez kapelusza, bez krawata, bez szpady staje w poprzek szosy brukselskiej, tarasując drogę jednocześnie Anglikom i Francuzom. Chce zatrzymać wojsko, przywołuje do porządku, miota obelgi, wpija się kurczowo w ten chaos. Ale lawina go zagarnia. Żołnierze uciekają przed nim wołając: „Niech żyje marszałek Ney!” Dwa pułki Durutte’a pędzą tam i z powrotem, przerażone, odbijane jak piłka przez szable ułanów i ogień brygad Kempta, Besta, Packa i Rylandta. Rozsypka – to najokrutniejsza walka; przyjaciele zabijają się nawzajem, żeby uciekać; szwadrony i bataliony druzgoczą się jeden o drugi i rozplývają w niesamowicie obfitą pianę bitwy. Fala porywa ze sobą na jednym krańcu Lobau, na drugim Reille’a. Daremnie Napoleon wznosi zapory z resztek gwardii, na próżno zmusza do ostatniego wysiłku swoje przyboczne szwadrony. Quiot cofa się przed Vivianem, Kellermann przed Yandeleurem, Lobau przed Bülowem, Morand przed Pirchem, Domon i Subervic przed księciem Wilhelmem Pruskim. Guyot, który prowadził do ataku cesarskie szwadrony, pada pod kopytami konnicy angielskiej. Napoleon galopuje obok uciekających, przemawia, nalega, grozi, błaga. Wszystkie te usta, które jeszcze rano krzychały „Niech żyje cesarz!”, teraz są nieme; żołnierze ledwo go poznają. Kawaleria pruska, dopiero co przybyła, rzuca się naprzód, rąbie, tnie, siecze, morduje. Artyleria gna przed siebie, żołnierze odprzegają jaszczyki i zabierają konie do ucieczki; przewrócone do góry kołami furgony zamykają drogę i powodują masakrę. Ludzie tłoczą się, miażdżą, chodzą po martwych i po żywych. Ramiona miotają się w powietrzu. Zawrotny tłum pokrywa drogi, ścieżki, mosty, równiny, wzgórza, wąwozy i lasy zatłoczone przez ten wylew czterdziestu tysięcy ludzi. Krzyki, rozpacz, tornistry i strzelby rzucone w żyto, ciosy szabli torujące przejście; ani śladu koleżeństwa, nie ma już oficerów, nie ma już generałów, zostało jedynie niewypowiedziane przerażenie. Zieten może siekać Francję na strzępy, ile tylko zapagnie. Lwy zamieniły się w samy. Taka była ta ucieczka.

Gdy noc zapadła, na polu pod Genappe Bernard i Bertrand schwycili za poły surduta i zatrzymali człowieka z dzikim wejrzeniem, zamyślonego, ponurego, który niesiony

dotychczas prądem ucieczki, zeskoczył wreszcie na ziemię, lejce konia zarzucił na ramię i z obłąkanym wzrokiem powracał sam do Waterloo. Był to Napoleon; chciał jeszcze iść naprzód, tytaniczny lunatyk snu, który na zawsze zapadł się w nicość.

Powrót do prawa boskiego

Skończyła się dyktatura. Runął cały system europejski. Cesarstwo rozwiało się w ciemnościach podobnych do zmierzchu świata rzymskiego. Znowu ukazała się otchłań, jak w czasach barbarzyńców. Ale barbarzyństwo z roku 1815, które trzeba nazwać po imieniu kontrewolucją, miało krótki oddech, zadyszało się prędko i ustało. Wyznajemy, że oplakiwano upadek Cesarstwa: oplakiwały go oczy bohaterów. Jeżeli chwała – to miecz zamieniony w berło, Cesarstwo było uosobioną chwałą. Rozlało ono na ziemi całe światło, jakie tylko może dać tyrania: światło ponure. Więcej powiedzmy, ciemne światło. Porównane z prawdziwym dniem było ono nocą. A jednak to zniknięcie nocy wyglądało na zaćmienie słońca.

Ludwik XVIII powrócił do Paryża. Korowody z 8 lipca zatarły entuzjazmy 20 marca. Korsykanin stał się antytezą Bearneńczyka. Na kopule tuileryjskiej powiewała biała chorągiew. Wygnanie zasiadło na tronie. Sosnowy stół z Hartwel stanął przed zdobionym w lilie burbońskie fotelem Ludwika XIV. Mówiono o Bouvines i Fontenoy jak o wypadkach wczorajszych, bo Austerlitz już się postarzało. Ołtarz i tron bratały się majestatycznie. Jedną z najbardziej niewątpliwych form ocalenia społecznego w wieku dziewiętnastym ustaliła się we Francji i na całym kontynencie. Europa przystroiliła się w białą kokardę. Treillaillon stał się sławny. Dewiza: *Non pluribus impar*⁶ ukazała się znowu w promieniach kamiennych wyobrażających słońce na fasadzie koszar na Quai d'Orsay. Gdzie stała gwardia cesarska, teraz mieszkali muszkietierowie. Łuk karuzeli, dźwigający żenujące zwycięstwa, obcy wśród tych nowości, wstydził się może za Marengo i Austerlitz i wybrnął z kłopotu dzięki posagowi księcia d'Angoulême. Cmentarz Magdaleny, straszny wspólny dół z 93 roku, pokrył się marmurem i jaspisem, bo wśród tych prochów były także kości Ludwika XVI i Marii Antoniny. Nad dołem w Vincennes sterczała teraz kolumna grobowa, przypominająca, że książę d'Enghien umarł tegoż miesiąca, w którym Napoleon został ukoronowany. Papież Pius VII, który dokonał koronacji tak bliskiej owej śmierci, spokojnie błogosławił upadkowi, jak błogosławił wyniesieniu. Istniał w Schönbrunnie mały, czteroletni cień; za buntownika miano każdego, kto go nazywał królem rzymskim.

Rok 1815 był jakimś ponurym kwietniem. Stare prawdy, niezdrowe i trujące pokryły się pozorem nowości. Kłamstwo poślubiło rok 1789, „prawo boskie” zamaskowało się kartą konstytucji, fikcje stały się konstytucyjne, przesady i ukryte myśli, z artykułem 14 w sercu, polakierowały się liberalizmem. Tak węże zmieniają skórę.

Przez Napoleona człowiek został i powiększony, i pomniejszony równocześnie. Ideał przybrał pod tym panowaniem pysznej materii dziwną nazwę ideologii. Nieroztropnością wielkiego męża jest wyśmiać przyszłość. Ale ludy, to armatnie mięso rozkochane w kanonierze, szukały go oczami. Gdzie się obraca? Co czyni? „Napoleon umarł” – powiedział raz przechodzień do inwalidy spod Marengo i Waterloo. „Umarł? – zawołał żołnierz. – A to go dobrze znasz!” Wyobraźnie ubóstwiały tego powalonego człowieka. Po Waterloo dno Europy było ciemne. Przez długi czas po zniknięciu Napoleona pozostała olbrzymia próżnia.

⁶ Niczemu więcej nie ustępujący (łac.)

W próżnię tę weszli królowie. Skorzystała z tego stara Europa i zabrała się do reform. Nastąpiło Święte Przymierze, zapowiedziane już przez fatalne pole pod Waterloo, Belle-Alliance.

W obliczu i naprzeciwko tej odbudowanej starej Europy uwydatniły się pierwsze zarysy nowej Francji. Zjawiała się przyszłość, z której cesarz szydził. Na jej czole jaśniała gwiazda, wolność. Płonące oczy młodych pokoleń zwróciły się ku niej. Rzecz dziwna, wszyscy razem rozkochali się w tej przyszłości – w wolności, i w przeszłości w Napoleonie. Klęska spotęgowała wielkość zwyciężonego. Bonaparte w upadku zdawał się wyższym od Napoleona u szczytu potęgi. Ci, co zatriumfowali, przelękli się. Na rozkaz Anglii pilnował go Hudson Lowe, na rozkaz Francji szpiegował go Montchenu. Jego skrzyżowane ręce stały się niepokojem tronów. Aleksander nazwał go: „Moja bezsenność”. Ten lęk pochodził od tego, co nosił on w sobie z rewolucji. To tłumaczy i usprawiedliwia liberalizm bonapartystyczny. Ciążył ten chwał starym światem. Królom panowało się niewygodnie ze skałą Świętej Heleny na horyzoncie.

Gdy Napoleon dogorywał w Longwood, sześćdziesiąt tysięcy ludzi gniło spokojnie na poboju Waterloo i spokój ich grobu rozlał się na cały świat. Kongres Wiedeński zrobił z tego traktat 1815 roku, a Europa nazwała to Restauracją.

Oto czym było Waterloo.

Ale co to wszystko znaczy dla Nieskończoności? Cała ta burza, chmura, wojna, a potem ten pokój – wszystek ten cień ani na chwilę nie zamącił blasku potężnego Oka, przed którym mszyca przeskakująca z jednego źdźbła trawy na drugie dorównuje orłowi, który na katedrze Notre-Dame przelatuje z wieży na wieżę.

Pobojowisko w nocy

Powróćmy, bo zmusza nas do tego ta książka, na fatalne pole bitwy.

18 czerwca 1815 roku świecił księżyc w pełni. Ta jasność sprzyjała srogiej pogoni Blüchera, wskazywała ślady zbiegów, wydawała na pastwę zażartej jazdy pruskiej tę nieszczęsną masę i dopomogła rzezi. Niekiedy zdarza się w katastrofach taka tragiczna usłużność nocy.

Gdy umilkł ostatni strzał armatni, płaszczyzna Mont Saint-Jean opustoszała.

Księżyc oświecał ją złowrogo.

Okolo północy jakiś człowiek wałęsał się, lub może raczej czołgał, brzegiem wąwozu Ohain. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to jeden z ciurów, ani Anglik, ani Francuz, ani wieśniak, ani żołnierz, nienasycony zwierz, który zwąchał poległych i uważając kradzież za zwycięstwo, przyszedł splądrować Waterloo. Nosił bluzę podobną trochę do surduta, był niespokojny i zuchwały, szedł przed siebie, a patrzył za siebie. Co to był za człowiek? Zdaje się, że noc więcej o nim wiedziała niż dzień. Worka nie miał, za to obszerne kieszenie pod bluzą. Od czasu do czasu zatrzymywał się, rozglądał po płaszczyźnie, jakby chciał się przekonać, czy go nikt nie widzi, wreszcie pochylał się nagle, poruszał na ziemi coś milczącego i nieruchomego, potem prostował się i zmykał.

Z daleka dochodził głuchy szmer krążących patroli i rontów obozu angielskiego.

Hougomont i Haie-Sainte płonęły jeszcze, tworząc na zachodzie i na wschodzie dwie ogniste łuny, z którymi, niby rozpięty naszyjnik rubinów z karbunkułami u dwóch końców, łączył się sznur ogni angielskiego biwaku, rozłożonego ogromnym półkolem na pagórkach widnokregu.

Tam gdzie niedawno rzeziła przerażająca kłęska, teraz już wszystko milczało. Strome skarpy drogi idącej dnem wąwozu wypełnione były końmi i jeźdźcami, nawarstwionymi nierozzerwalnie w strasliwym pomieszczeniu. Skryły się skarpy, trupy wyrównały wgłębienie aż po same brzegi, jak dobrze odmierzony korzec jęczmienia. U góry stos martwych ciał, w dole rzeka krwi – taka była ta droga wieczorem 18 czerwca 1815 roku. Krew wypłynęła aż na gościniec prowadzący do Nivelles i pod pniami zrąbanych drzew zagradzających szosę utworzyła szeroką kałużę w miejscu, które dziś jeszcze pokazują. Po drugiej stronie, jak to wiemy, koło szosy, która wiedzie do Genappe, runęli w wąwóz kirasjerzy. Grubość pokładu trupów odpowiednia była głębokości parowu. Ku środkowi, gdzie było płycej, gdzie przeszła dywizja Delorda, pokład martwych ciał był cieńszy.

Włóczęga nocny, który ukazał się już czytelnikowi, szedł w tę właśnie stronę. Grzebał w tym ogromnym grobie. Patrzył. Odbywał jakiś ohydny przegląd poległych. Nogami brodził we krwi. Nagle zatrzymał się.

Na kilka kroków przed nim, w tym miejscu parowu, gdzie stos trupów kończył się, spod nagromadzenia ludzi i koni sterczała jakaś otwarta ręka, oświetlona blaskiem księżyca.

Na palcu tej ręki błyszczało coś, co było złotym pierścieniem. Człowiek schylił się, przykucnął na chwilę, a gdy się podniósł, pierścienia nie było już na palcu.

Ścisłe mówiąc, nie podniósł się; trwał w postawie dzikiej i wylęknionej, obrócony tyłem do stosu trupów, badając widnokrąg, palcami rąk opierając się o ziemię, głowę wysunawszy poza brzeg wąwozu. Do pewnych czynności przydają się cztery łapy szakala.

Wreszcie zdecydował się i wstał.

W tej samej chwili drgnął. Uczuł, że z tyłu coś go trzyma.

Odwrócił się; to ta ręka otwarta zamknęła się i chwyciła go za połą.

Człowiek uczciwy przestraszyłby się. Ten się roześmiał.

– No! – rzekł – to tylko nieboszczyk. Wolę upiora od żandarma.

Tymczasem ręka osłabła i wypuściła połą. Siły w grobie szybko się wyczerpują.

– A może – dodał włóczęga – ten nieboszczyk jeszcze żyje? Zobaczmy.

Pochylił się znowu, zaczął grzebać w stosie trupów, odsunął to, co przeszkadzało, schwycił rękę, szarpnął za ramię, oswobodził głowę, wydobyl ciało i po kilku chwilach ciągnął w cieniu parowu nieruchomego, co najmniej omdłego człowieka. Był to kirasjer, nawet oficer wyższej rangi: grube złote szlify sterczały spod pancerza; nie miał już kasku. Straszna szrama od cięcia szabli zalała mu krwią całą twarz. Zdawało się zresztą, że nie doznał żadnego złamania; na szczęście – jeśli można użyć tu takiego wyrazu – trupy utworzyły nad nim jakby sklepiony łuk i uchroniły od zgniecenia. Oczy miał zamknięte.

Na pancerzu miał srebrny Krzyż Legii Honorowej.

Włóczęga oderwał go i krzyż znikł w jednej z otchłani ukrytych pod jego płaszczem.

Potem obszukał kurtkę oficera, wymacał zegarek i zabrał go. Następnie przeszukał kamizelkę, znalazł sakiewkę i schował ją do kieszeni.

Kiedy tyle już pomocy udzielił umierającemu, oficer otworzył oczy.

– Dziękuję – rzekł słabym głosem.

Szorstkie ruchy człowieka, który ciągnął go i obszukiwał, chłód nocy i świeże powietrze, którym oddychał swobodnie, obudziły go z letargu.

Włóczęga nie odpowiedział. Podniósł głowę. Gdzieś na równinie słyhać było kroki; zapewne zbliżał się jakiś patrol.

Oficer szepnął głosem, w którym było jeszcze coś z konania:

– Kto wygrał bitwę?

– Anglicy – odpowiedział włóczęga.

Oficer mówił dalej:

– Poszukaj w moich kieszeniach. Znajdziesz sakiewkę i zegarek. Weź je.

To było już zrobione. Włóczęga udał, że szuka, i rzekł:

- Nic nie ma.
 - Okradziono mnie – odrzekł oficer. – Szkoda. Byłoby dla ciebie.
- Coraz wyraźniej słyhać było kroki patrolu.
- Nadchodzą – rzekł włóczęga, czyniąc ruch jak do ucieczki.
- Oficer z trudnością podniósł rękę i zatrzymał go:
- Ocaliłeś mi życie. Kto jesteś?
- Włóczęga odpowiedział prędko i po cichu:
- Należałem jak i pan do francuskiej armii. Muszę uciekać. Gdyby mnie schwytano, byłbym rozstrzelany. Ocaliłem panu życie. Teraz radź pan sobie sam, jak możesz.
- Jaki masz stopień?
 - Sierżanta.
 - Jak się nazywasz?
 - Thénardier.
 - Nie zapomnę tego nazwiska – rzekł oficer.
 - Zapamiętaj moje. Nazywam się Pontmercy.

Rozdział drugi

OKRĘT „ORION”

Numer 24601 staje się numerem 9430

Jan Valjean został ponownie ujęty.

Czytelnik będzie nam pewnie wdzięczny, że nie zatrzymamy się długo przy tych bolesnych szczegółach. Ograniczymy się do przepisania dwóch artykułów ogłoszonych w ówczesnych gazetach w kilka miesięcy po dziwnych wypadkach w Montreuil-sur-mer.

Wyjmujemy pierwszy, z „Białej Chorałwi”. Nosi on datę 25 lipca 1823 roku.

Jeden z okrętów w Pas-de-Calais stał się widownią nadzwyczajnych wypadków. Pewien człowiek, obcy w tym departamencie, nazwiskiem Madeleine, stosując od kilku lat nowe pomysły, dźwignął starodawny przemysł miejscowy, wyrób dżetów i czarnych świecidełek. Dorobił się majątku i dodać należy, wzbogacił okolicę. W nagrodę za te zasługi mianowano go merem. Policja odkryła, że pan Madeleine był nie kim innym, tylko dawnym galernikiem, który nie stawiał się w miejscu wyznaczonym mu na zamieszkanie: nazywał się Jan Valjean, w 1796 roku był skazany za kradzież. Jan Valjean znowu został odesłany na galery. Zdaje się, że przed aresztowaniem udało mu się podnieść złożoną u pana Laffitte'a sumę, przeszło pół miliona, którą zresztą, jak powiadają, bardzo uczciwie zapracował w swoim przedsiębiorstwie. Nie zdołano się dowiedzieć, gdzie Jan Valjean ukrył tę sumę przed powrotem na galery do Tulonu.

Drugi artykuł trochę bardziej szczegółowy, zamieścił „Dziennik Paryski” z tego samego dnia:

Dawny galernik nazwiskiem Jan Valjean, stanął w tych dniach przed sądem kryminalnym w Var, w sprawie, która powinna obudzić ciekawość publiczności. Zbrodniarz ten potrafił zwieść czujność policji, zmienił nazwisko i dokazał tego, że mianowany został merem w jednym z miasteczek na północy. Założył w tym miasteczku pokaźne przedsiębiorstwo. Ale w końcu poznano go i uwięziono dzięki czujności władz. Miał za konkubinę dziewczynę publiczną, która umarła z przestrawu w chwili jego aresztowania. Nędznik ten, obdarzony herkulesową siłą, zdołał uciec, ale w trzy lub cztery dni

później policja schwytala go w Paryżu, w chwili gdy wsiadał do dyliżansu kursującego między stolicą a wioską Montfermeil (Seine-et-Oise). Powiadają, że korzystając z tych kilku dni swobody podniósł znaczną sumę, ulokowaną u jednego z największych naszych bankierów. Liczą ją na sześćset do siedmiuset tysięcy franków. Jeśli mamy dać wiarę aktowi oskarżenia, zakopał ją w miejscu sobie tylko wiadomym i nie można było położyć na niej aresztu. W każdym razie ów Jan Valjean stanął przed sądem kryminalnym departamentu Var jako oskarżony o kradzież zbrojną ręką, dokonaną na gościńcu przed ośmiu laty na osobie jednego z tych poczciwych dzieciaków, które jak powiada patriarcha z Ferney w nieśmiertelnych wierszach:

Z Sabaudii corocznie przychodzą
I lekko czyszczą drobnymi rączyni
Zatkane sadzą ogromne kominy.

Bandyta nie chciał się bronić. Zręczny i wymowny prokurator dowiódł, że kradzież miała współników, że Jan Valjean należał na południu do bandy rozbójników. Uznany za winnego, Jan Valjean skazany został na śmierć. Zbrodzień nie chciał apelować. Ale król w niewyczerpanej swej łasce raczył zmienić karę śmierci na dożywotnie galery. Jan Valjean bezzwłocznie wysłany został do Tulonu.

Nie zapomniano też, że Jan Valjean był bardzo pobożny w Montreuil-sur-mer. Niektóre dzienniki, między innymi „Constitutionnel”, upatrzyły w złagodzeniu kary triumf stronnictwa klerykalnego.

Jan Valjean zmienił numer na galerach. Nazywał się 9430.

Zresztą – powiedzmy od razu, by więcej o tym nie wspominać – wraz z panem Madeleine zniknęła pomyślność Montreuil-sur-mer. Ziściło się wszystko, co przewidział owej nocy gorączki i wahania; gdy go zabrakło, zabrakło „duszy”. Po jego upadku nastąpił w Montreuil-sur-mer ów egoistyczny podział wielkich fortun ludzi, którzy upadli, owe fatalne rozszarpanie rzeczy kwitnących, które codziennie dokonywa się po cichu wśród społeczeństwa ludzkiego, a które historia zauważyła raz tylko, bo dokonało się po śmierci Aleksandra. Namiestnicy przywłaszczają sobie korony, czeladnicy kreują się fabrykantami. Powstają zawistne współzawodnictwa. Obszerne warsztaty pana Madeleine zostały zamknięte; zwały się budynki, robotnicy rozpierzchli się. Jedni opuścili okolicę, inni porzucili rzemiosło. Odtąd wszystko, zamiast na wielką, robiło się na małą skalę; dla zysku osobistego, nie dla pomyślności ogólnej. Nie było ośrodka; została tylko zawzięta konkurencja. Pan Madeleine stał nad wszystkim i kierował. Po jego upadku każdy ciągnął wodę na swój młyn; miejsce wspólnej pracy zajęła walka, miejsce serdeczności – zawiść, miejsce życzliwości założyciela, równej dla wszystkich – nienawiść jednych ku drugim; nici zawiązane przez pana Madeleine poplątały się i porwały; zaczęto fałszować sposoby, używać podlejszych materiałów, zabito zaufanie; zmniejszył się zbyt, zmałyły obstalunki, płaca zniżyła się, warsztaty opustoszały, przyszło bankructwo. I nic już nie zostało ubogim. Wszystko znikło jak dym.

Dwuwersz pochodzący może od diabła

=

Nim posuniemy się dalej, wypada nam opowiedzieć z pewnymi szczegółami dość dziwny wypadek, który jakoś w tym samym czasie zdarzył się w Montfermeil i który, być może, nie jest całkiem bez związku z pewnymi domysłami prokuratorii.

W wiosce Montfermeil z dawnych czasów istnieje przesąd, tym ciekawszy i szacowniejszy, że w sąsiedztwie Paryża przesąd ludowy jest jak aloes na Syberii. Należymy do ludzi, którzy szanują każdą rzadką roślinę. Otóż w okolicach Montfermeil istnieje przesąd: wierzą tam, że diabeł od niepamiętnych czasów wybrał sobie las na miejsce, w którym zwykł zakopywać skarby. Poczciwe kumoszki utrzymują, że nieraz po zachodzie słońca spotkać można w gęstwinie czarnego człowieka, wyglądającego na woźnicę lub na drwala, w drewnianych trepach, w siermiędze i spodniach płóciennych; poznaje się go po tym, że zamiast czapki czy kapelusza ma na głowie dwa ogromne rogi. Po takim znaku w istocie łatwo go poznać. Człowiek ten zwykle kopie dół.

Ludzie śmiali, których pociąga każda przygoda, często, jak upewniają, odkopywali doły wygrzebane przez czarnego człowieka, próbując okraść diabła. Zdaje się jednak, że interes nie bardzo jest korzystny. Przynajmniej tak głosi podanie, a również i zagadkowy dwuwersz w kuchennej łacinie, który w tej kwestii po sobie pozostawił niejaki Tryphon, zbiegły mnich normandzki, podobno czarnoksiężnik. Ten Tryphon leży pochowany w opactwie Świętego Jerzego z Bocherville pod Rouen i na grobie jego rodzą się ropuchy.

*Fodit, et in fossa thesauros condit opaca,
As, nummos, lapides, cadaver, simulacra, nihilque⁷.*

Otóż w tym mniej więcej czasie, kiedy to prokuratorii zdawało się, że były galernik Jan Valjean, korzystając z kilkudniowej swobody po ucieczce z więzienia, krążył w okolicach Montfermeil, zauważono w tejże samej wiosce, że pewien stary dróżnik nazwiskiem Boulatruelle zbyt często chadza do lasu. Wiedziano, że Boulatruelle był niegdyś na galerach i zostawał pod nadzorem policyjnym, a że nigdzie nie mógł znaleźć roboty, administracja przyjęła go za zniżoną płacą na dróżnika bocznego gościńca pomiędzy Gagny i Lagny. Mówiono we wsi; „Na pewno diabeł gdzieś się pokazał. Boulatruelle widział go i teraz szuka. Bo też i jest jakby stworzony po to, żeby znaleźć skarb Lucypera”. Wolterianie dodawali: „Ciekawa rzecz, kto kogo porwie, czy Boulatruelle diabła, czy diabeł Boulatruelle’a?” Stare baby żegnały się odganiając lichy.

Tymczasem Boulatruelle zaniechał włóczęgi po lesie i wrócił do roboty. Przeszono o tym mówić.

Ale niektórzy byli jeszcze ciekawi, myśląc, że prawdopodobnie nie chodziło o bajeczne skarby legendy, ale o lepszą, bardziej namacalną gratkę niż diabelskie banknoty i że dróżnik wpadł pewnie na ślad jakiejś tajemnicy. Najbardziej zaciekawieni byli nauczyciel i kramarz Thénardier, który żył w przyjaźni ze wszystkimi i nie gardził kompanią Boulatruelle’a.

Razu pewnego przydybali we dwóch starego dróżnika i zaczęli go poić. Boulatruelle pił bardzo dużo, ale mówił mało. Z przedziwną sztuką i w niezwyklej proporcji łączył pragnienie pijaka z małomównością sędziego. Wszelako szturmując nieustannie, nauczyciel i Thénardier wydobyli z niego kilka niejasnych słów, które zestawione i roztrzęsione dokładnie, dały obraz mniej więcej taki.

⁷ Kopie i z ciemnego dołu wydobywa skarby: grosz albo większe monety, kamienie, trupa, ślady upiora i zgoła nic (łac)

Pewnego ranka Boulatruelle, idąc o świcie do roboty, zdziwił się zobaczywszy w lesie pod krzakami motykę i łopatę, „rzekłbyś, że ukryte”. Pomyślał jednak, że zapewne woziwoda, stary Six Fours, zostawił w lesie swą łopatę i motykę, i zapomniał o tym. Ale wieczorem tegoż dnia ujrzał, sam pozostając w ukryciu, bo schował się za grubym drzewem, jak drogą prowadzącą do najgęstszej części lasu szedł jakiś jegomość, nie z tych stron, ale którego Boulatruelle znał doskonale”. (Przekład Thénardiera: „Towarzysz z galer”). Boulatruelle za nic w świecie nie chciał powiedzieć jego nazwiska. Jegomość ten niósł jakieś kwadratowe zawiniątko: albo pudło, albo skrzynkę. Zdumiało to Boulatruelle’a. Ale dopiero w siedem czy osiem minut później przyszło mu do głowy, żeby pójść śladem owego „Jegomościa”. Było już za późno, jegomość wszedł w gęstwinę, noc zapadła i Boulatruelle nie mógł go dogonić. Postanowił czekać na skraju lasu. Księżyc świecił. W dwie lub trzy godziny później Boulatruelle ujrzał wychodzącego z gęstwiny owego jegomościa; nie miał już przy sobie skrzynki, tylko motykę i łopatę. Boulatruelle dał mu przejść spokojnie i nie zaczął go, bo powiedział sobie, że tamten był trzy razy mocniejszy od niego, uzbrojony w motykę i prawdopodobnie by go zabił, gdyby poznał go i spostrzegł, że jest poznany. Wzruszająca tkliwość dwóch dawnych towarzyszy spotykających się po długiej rozłące. Ale łopata i motyka stały się dla Boulatruelle’a niby błysk światła; pobiegł do miejsca, gdzie je widział rano, i nie znalazł ani łopaty, ani motyki. Wywnioskował stąd, że jegomość, wszedłszy w gęstwinę, wykopał dół motyką, włożył kuferek i zasypał go łopatą. Kuferek był za mały, by pomieścić trupa, zawierał więc pieniądze. Boulatruelle rozpoczął poszukiwania. Przeszukał cały las, kopał wszędzie, gdzie tylko wydało mu się, że ziemia jest świeżo poruszona. Na próżno.

Nic nie „wywąchał”. W Montfermeil przestano o tym myśleć. Tylko niektóre kumoszki mówiły: „Możecie być pewni, że dróżnik z Gagny nie na próżno tak kręcił się po lesie; był diabeł, ani chybi”.

Łańcuch kajdan musiał być zawczasu poddany jakimś zabiegom, żeby tak pękł od jednego uderzenia młotkiem

Pod koniec października tegoż roku 1823 mieszkańcy Tulonu ujrzeli wchodzący do portu – z powodu złej pogody, jaka panowała na morzu, i dla naprawy kilku urządzeń – okręt „Orion” z eskadry Morza Śródziemnego, który później został szkolnym okrętem w Breście.

Rok 1823 nazywała Restauracja „epoką wojny hiszpańskiej”.

Wojna ta w jednym zdarzeniu wiele zawarła zdarzeń i niemało osobliwości. Była to ważna sprawa rodzinna dla domu Burbonów; linia francuska dawała pomoc i opiekę linii madryckiej, czyli korzystała z praw starszeństwa; był to pozorny powrót do naszych tradycji narodowych, z dodatkiem niewoli i uległości względem zagranicznych gabinetów. Książę Angoulême, nazywany przez dzienniki liberalne „bohaterem spod Andujar”, w triumfalnej postawie, nieco sprzecznej z jego spokojną miną, streszczał w sobie stary i aż nadto rzeczywisty terror Świętej Inkwizycji, walczący z rzekomym terrorem liberałów.

W czasie działań armii, którą dowodził książę – wódz naczelny jakaś eskadra krążyła po Morzu Śródziemnym. Jak powiedzieliśmy, „Orion” należał do tej eskadry i burza zapędziła go do portu tulońskiego.

„Orion” był to statek od dawna już chory. W dawniejszych podróżach grube pokłady muszli zebrały się u spodu i o połowę zmniejszyły jego szybkość; poprzedniego roku wprowadzono go do doków, oskrobano z muszli i znowu spuszczone na morze. Ale skrobanie

popsuło dyelowanie spodu. Przy Wyspach Balearskich deski się rozpadły, a że wówczas nie obijano spodu żelazną blachą, okręt zaczął przepuszczać wodę. Nadszedł gwałtowny wiatr, strzaskał mostek, burty i strzelnice i uszkodził drabinki masztów; z powodu tych uszkodzeń „Orion” wpłynął do portu w Tulonie.

Zarzucił kotwicę przy Arsenale. Wciągnięto go do doku dla naprawy. Wierzch prawego boku nie był uszkodzony, ale tu i ówdzie, wedle zwyczaju, deski w pomoście usunięto dla przepuszczania powietrza do środka kadłuba.

Pewnego poranka tłum gapiów stał się świadkiem wypadku.

Żałoga okrętu zajęta była przywiązywaniem żagli do rei. Majtek, który miał umocować ożaglowanie na prawym maszcie, stracił równowagę. Ujrzano, że zachwiał się na nogach, tłum stojący na brzegu pod Arsenalem wydał okrzyk przerażenia, głowa pociągnęła w dół całe ciało i marynarz stoczył się z rei, wyciągając ręce ku przepaści; spadając schwycił za sznurową drabinę, wpiersz jedną, potem drugą ręką i zawisł w powietrzu. Pod nim, w dole, było głębokie morze. Gwałtowność upadku rozhuściła linę. Człowiek kołysał się na końcu sznura niby kamień w procy.

Biec na ratunek oznaczałoby narażać się na niechybną śmierć.

Żaden z majtków, a byli to wszystko nadmorscy rybacy, świeżo zaciągnięci do marynarki, nie odważył się na to. Tymczasem nieszczęśliwy majtek tracił siły; niepodobna było dojrzeć trwogi na jego twarzy, ale w ruchach ciała widać było wyczerpanie.

Kurczył ramiona w potwornym natężeniu. Każdy jego wysiłek, żeby posunąć się ku górze, tylko silniej rozhuściwał drabinę. Nie krzyczał bojąc się, aby nie utracił reszty sił. Czekano już tylko chwili, kiedy puści linę, i odwracano głowy, żeby nie widzieć, jak będzie spadał. Są chwile, kiedy koniec liny, tyczka, gałąź drzewa staje się samym życiem i strasznie jest patrzeć, jak żywa istota odrywa się od niej i spada niby dojrzały owoc.

Nagle ujrzano człowieka, który wdrapywał się w górę po drabinach ze zwinnością tygrysa. Miał on na sobie czerwoną opończę był więc galernikiem; nosił zieloną czapkę – był zatem skazany na dożywocie. Gdy dostał się na szczyt bocianiego gniazda, wicher zerwał tę czapkę i ujrzano głowę zupełnie siwą; nie był to człowiek młody.

Rzeczywiście, pewien galernik, pracujący pod strażą na pokładzie okrętu, już w pierwszej chwili podbiegł do oficera i wśród powszechnej trwogi i wahania, gdy marynarze drżeli i cofali się przed niebezpieczeństwem, poprosił o pozwolenie ocalenia majtka z narażeniem własnego życia. Na zezwalający znak oficera jednym uderzeniem młotka skruszył łańcuch przymocowany do żelaznej obręczy na jego nodze, schwycił sznur i rzucił się ku wantom. Nikt w tej chwili nie zwrócił uwagi na łatwość, z – jaką rozbił kajdany. Dopiero później przypomniano sobie tę okoliczność.

W mgnieniu oka stanął na rei. Zatrzymał się na chwilę i zdawał się mierzyć ją wzrokiem. Te sekundy, podczas których wiatr kołysał majtkiem na końcu liny, wydały się patrzącym długie jak wieczność. Na koniec galernik wzniosł oczy ku niebu i postąpił krok naprzód. Tłum odetchnął. Pędem przebiegł reję i stanąwszy na jej skraju przywiązał do niej koniec sznura, który miał z sobą, drugi koniec spuścił w dół, a potem począł zsuwać się po nim na rękach; niewysłowna trwoga i niepokój ogarnęły tłum, gdyż zamiast jednego człowieka, zawieszono przed przepaścią, ujrzano dwóch.

Rzekłbyś, pajak zbliżający się, by pochwycić muchę; ale ten pajak niósł nie śmierć, lecz życie. Dziesięć tysięcy spojrzeń śledziło ich obu. Nie słyszałeś ani jednego krzyku, ani jednego słowa; to samo drżenie zmarszczyło wszystkie brwi. Wszystkie usta wstrzymały oddech, jakby lękały się najłżejszym tchnieniem powiększyć wiatr miotający tamtymi dwoma nieszczęśnikami.

Tymczasem galernik zsunął się po linie aż do majtka. Czas był wielki; jeszcze minuta, a człowiek ten, wyczerpany i zrozpaczony, spadłby w przepaść; galernik jedną ręką trzymając się liny, drugą przywiązał go mocno do jej końca. I ujrzano wreszcie, jak znów wdrapał się na

reję i wciągnął za sobą majtkę, przystanął na chwilę, podtrzymując go, by odzyskał siły, potem wziął na ręce i zszedł po rei do masztu aż na sam dół i oddał go towarzyszom.

W tej chwili rozległy się w tłumie oklaski; widziano starych dozorców więzienia we łzach, kobiety całowały się nad brzegiem, ze wszystkich piersi wydarł się głos gniewu i zarazem tkliwości: „Łaski, dla tego człowieka!”

On tymczasem schodził, chcąc jak najspieszniej powrócić do straży. Aby przybyć prędzej, zsunął się po drabinach i jął biec po niskiej rei. Śledziły go wszystkie oczy. W pewnej chwili ludzi ogarnął lęk; bądź ze znużenia, bądź z zawrotu głowy zawahał się, zachwiał. Nagle tłum wydał okrzyk przerażenia: galernik wpadł do morza.

Upadek był niebezpieczny. Fregata „Algeziras” stała na kotwicy przy „Orionie” i biedny galernik wpadł między dwa okręty. Łatwo mógł znaleźć się pod którymś z nich. Czterech ludzi rzuciło się z pośpiechem do łodzi. Tłum ich zachęcał, trwoga znowu napełniła wszystkie serca. Człowiek nie ukazał się na powierzchni. Zniknął w morzu bez śladu, nie zrobiwszy ani jednej zmarszczki w wodzie, jakby wpadł w beczkę oliwy. Sondowano, nurkowano. Nadaremnie. Szukano aż do wieczora, nie znaleziono nawet ciała.

Nazajutrz w „Dzienniku Tulońskim” wydrukowano krótką wzmiankę:

17 listopada 1823 roku. – Wczoraj galernik pracujący na pokładzie „Oriona”, po okazaniu pomocy marynarzowi, wpadł w morze i utopił się. Zwłok nie odnaleziono. Przypuszcza się, że wpadł pod pale nasypu koło Arsenалу. Człowiek ten zapisany był w księdze więziennej pod numerem 9430 i nazywał się Jan Valjean.

Rozdział trzeci

SPEŁNIENIE OBIETNICY UCZYNIONEJ ZMARŁEJ

Kwestia wody w Montfermeil

Montfermeil leży pomiędzy Livry i Chelles, na południowym brzegu wyniosłej płaszczyny, która dzieli Ourcq od Marny. Dziś jest to spore miasteczko, ozdobione przez okrągły rok białymi willami, a w każdą niedzielę tłumami mieszczan radujących się wypoczynkiem. W roku 1823 nie było jeszcze w Montfermeil ani tylu białych domów, ani tylu zadowolonych mieszczan. Miałeś tu tylko wioskę stojącą wśród lasu. Tu i ówdzie widniały letnie domki z ubiegłego stulecia, które poznać było można po pańskim wyglądzie, balkonach z kutego żelaza i podłużnych oknach, których małe szyby mieniały się na bieli zamkniętych okiennic różnymi odcieniami zieleni. Lecz mimo tych domów Montfermeil było wioską. Zakątku tego nie odkryli jeszcze wzbogaceni kupcy sukienni i dymisjonowani obrońcy sądowi. Miejsce było spokojne i urocze, położone z dala od ruchliwych traktów; żyło się tu tanio życiem wieśniaczym łatwym a obfitym. Tylko o wodę było trudno z powodu wyniosłości płaskowzgórza.

Trzeba było chodzić po nią dość daleko. Mieszkańcy od strony Gagny czerpali wodę we wspaniałych stawach, które tam są w lesie; mieszkający w przeciwnym końcu, przy kościele od strony Chelles, chodzili po wodę do picia o kwadrans drogi od Montfermeil, do źródła przy drodze z Chelles.

Ciężka to więc była rzecz dla gospodarstwa zaopatrzyć się w wodę. Lepsze domy, arystokracja (należał do niej i szynk Thénardiera), płaciły szeląga od wiadra wody człeczynie, któremu rzemiosło woziwody w Montfermeil przynosiło dochodu około ośmiu su dziennie; ale człeczyna ów pracował tylko do siódmej wieczór latem, a do piątej zimą; kiedy noc zapadła, kiedy w parterowych domkach pozamykano okiennice, kto nie miał wody do picia, ten sam musiał po nią iść albo się bez niej obejść.

Było to codzienne przerażenie dla biednej istoty, której czytelnik może jeszcze nie zapomniał, dla małej Kozety. Przypominamy, że Kozeta przydatna była Thénardierom na dwa sposoby: matce kazali płacić, a dziecku obsługiwać się. Toteż kiedy matka zupełnie przestała płacić – a dlaczego, to wiemy już z poprzednich rozdziałów – Thénardierowie zatrzymali Kozetę. Zastępowała im służącą. Ona to więc biegła po wodę, gdy jej zabrakło. Toteż dziecko, truchlejąc na samą myśl chodzenia po nocy do źródła, pamiętało zawsze, aby w domu nie zabrakło wody.

Boże Narodzenie 1823 roku było szczególnie świetne w Montfermeil. Początek zimy był łagodny, ani mrozów, ani śniegu. Kuglarze z Paryża otrzymali od mera pozwolenie wystawienia baraków na głównej ulicy wioski i cała gromada wędrownych kramarzy, której

pan mer również tej łaski udzielił, rozstawiła swoje kramy na placu kościelnym i dalej, aż do ulicy Piekarskiej, przy której, jak sobie może przypominacie, znajdował się szynk Thénardierów.

Wieczorem w Wigilię Bożego Narodzenia kilku mężczyzn, furmanów i kramarzy, siedziało za stołem i piło przy paru palących się świecach w gościnnej izbie oberży Thénardiera. Izba podobna była do wszystkich izb gościnnych w karczmach; stoły, dzbany cynowe, butelki, pijacy, dym tytoniu; mało światła, dużo wrzawy. A że działo się to w roku 1823, poznać można było po dwóch stojących na stole przedmiotach, modnych wówczas u mieszczan, a mianowicie po kalejdoskopie i lampie z kolorowej blachy. Thénardierowa pilnowała wieczerzy, piekającej się na dobrym ogniu, mąż jej pił z gośćmi i rozmawiał o polityce.

Kozeta siedziała w zwykłym miejscu, na poprzeczce łączącej nogi kuchennego stołu, tuż przy kominie. Odziana była w łachmany, miała drewniane trepy na bosych nogach i przy świetle ogniska robiła na drutach wełniane pończochy dla córek Thénardierów. Malutki kotek bawił się pod krzesłami. Z sąsiedniej izby dochodziły śmiechy i szczebiotanie dwóch świeżych głosów dziecięcych, były to Eponina i Anzelma.

Przy kominie wisiała na gwoździu dyscyplina. Czasami krzyk małego dziecka z jakiejś oddalonej izby przebijał się przez hałasy karczmy. Był to chłopczyk, najmłodsze dziecko, które Thénardierowa powiła jednej z poprzednich zim, „nie wiadomo dlaczego – mówiła – chyba z zimna”; miał niespełna trzy lata. Matka wykarmiła go, ale nie pokochała. Gdy zawzięty krzyk dziecka stawał się nieznośny, Thénardier odzywał się do żony: Twój syn wrzeszczy, zobacz tam, czego chce. – Ech! – odpowiadała matka – nudzi mnie. I opuszczony dzieciak dalej krzyczał gdzieś w ciemności.

Uzupełnienie dwóch portretów

Dotychczas oglądaliśmy w tej książce Thénardierów tylko z profilu; nadeszła chwila, by obejść tę parę dokoła, by przyjrzeć się jej ze wszystkich stron.

Thénardier skończył lat pięćdziesiąt; pani Thénardier zbliżała się do czterdziestki, która jest pięćdziesiątką dla kobiety; tym sposobem lata ich równoważyły się.

Zapewne czytelnik zachował w swej pamięci tę Thénardierowa, która już na chwilę pojawiła przed jego oczami – wysoką, jasnowłosą, czerwoną, tłustą, mięsistą, kościstą, ogromną i ruchliwą; jak powiedzieliśmy już, należała ona do plemienia owych dzikich kolosów, które na jarmarkach uginają się pod ciężarem kamieni zawieszonych na włosach. Ona była w domu panią, ona robiła wszystko słała, sprzątała, prała, gotowała, wszystko też zależało od jej widzimisie. Jedyłą jej pomocą w gospodarstwie była Kozeta. Mysz na służbie u słonia. Na jej głos drżało wszystko: szyby, sprzęty i ludzie. Szeroka jej twarz, upstrzona piegami, wyglądała jak warząchew. Miała brodę. Był to ideał tragarza przebranego za kobietę. Klęła niesamowicie. Chępiła się, że jednym uderzeniem pięści gniecie orzech. Gdyby nie romanse, które czytała i które nadawały jej dziwaczną postać mizdrzącej się ludożerczyni, nikomu by nie przyszło do głowy powiedzieć o niej: to kobieta. Thénardierowa była jakby owocem panny zaszczepionej na przekupce. Gdy odezwała się, mówiono: „To żandarm”; gdy piła, wołano: „To woźnica”, gdy biła Kozetę, szeptano; „To kat”. Gdy usnęła, jeden ząb sterczał jej z ust. Thénardier był to mężczyzna niski, chudy, blady, suchy, kościsty, wątpy, wyglądał na chorego, a zdrów był jak ryba, i tu już zaczynał się w nim oszust. Zwykle uśmiechał się przez ostrożność, był grzeczny prawie ze wszystkimi, nawet z żebrakiem, któremu odmawiał szeląga. Spojrzenie miał kuny, a minę literata. Bardzo był podobny do

portretów księdza Delille. Dla przypodobania się pijał z furmanami. Nikt nigdy go nie mógł spoić. Palił ogromną fajkę. Nosił bluzę, a pod nią stare, czarne ubranie. Miał pretensje do literatury i do materializmu. Na poparcie czegokolwiek, co mówił, chętnie przywoływał pewne nazwiska: Woltera, Raynala, Parny'ego i rzecz dziwna, św. Augustyna. Twierdził nawet, że ma „swoją system”. Zresztą oszust. Filut-filozof. Zdarzają się i takie odmiany. Czytelnik przypomina sobie, iż utrzymywał, jakoby służył w wojsku; opowiadał z niemałą swadą, że pod Waterloo, będąc sierżantem w szóstym czy dziewiątym jakimś lekkim pułku, sam przeciw całemu szwadronowi huzarów śmierci osłaniał swą piersią wśród gradu kul i ocalił” niebezpiecznie ranionego generała”. Stąd ów płomienny szyld i nazwa karczmy „Pod Sierżantem spod Waterloo”. był liberałem, klasykiem i bonapartystą. Podpisał składkę na Przytułek Inwalidów. W wiosce mówiono, że się uczył niegdyś na księdza.

Sądźmy jednak, że uczył się raczej w Holandii na oberżystę. Łotr ten, skomplikowanej natury, według wszelkiego prawdopodobieństwa był Flamandczykiem we Flandrii, Francuzem w Paryżu, Belgiem w Belgii, wygodnie rozsiadł się okrakiem na obu granicach. Znamy jego rycerski czyn pod Waterloo. Widzimy więc, że przesadzał nieco. Wszelka sytuacja niepewna, zawita, wszelka awantura, była jego żywiołem; kto ma sumienie w strzępach, ten i życie ma nieporządne i zapewne w burzliwej epoce 18 czerwca 1815 roku Thénardier należał do rzeszy kramarzy-włóczęgów, snujących się wszędzie, tu sprzedających, tam kradnących, ciągnących z żoną i dziećmi w jakiej starej dryndulce z wojskiem w pochodzie, z instynktu czepiając się zawsze armii zwycięskiej. Po skończonej kampanii, mając, jak mówił *certum quantum*⁸, założył szynk w Montfermeil.

Nie powiodło mu się zgoła. Ten wielki talent nie znalazł sceny godnej siebie. Thénardier rujnował się w Montfermeil, jeżeli można się rujnować nie mając nic. W Szwajcarii lub w Pirenejach ten hołysz stałby się milionerem. Ale oberżysta tam musi skubać swoją trawkę, gdzie go los rzuci.

W roku 1823 Thénardier miał blisko tysiąc pięćset franków naglających długów i wiele z tego powodu zmartwienia.

Choć los był względem niego tak uporczywie niesprawiedliwy, Thénardier należał do ludzi, którzy głęboko i w sposób całkiem nowoczesny pojmują gościnność, cnotę u ludów barbarzyńskich, a towar u ludów cywilizowanych. był on również dobrym kłusownikiem, znanym z celności strzału. Czasem śmiał się zimno i spokojnie, co było szczególnie niebezpieczne.

Niekiedy wytryskiwała z niego błyskawicami teoria prowadzenia oberży. Miał swoje zawodowe aforyzmy, które wpajał w umysł swej połowicy. – Obowiązkiem oberżysty jest – mówił do niej pewnego dnia gwałtownie i po cichu – sprzedać pierwszemu lepszemu jadło, spoczynek, światło, ogień, brudną pościel, służącą, pchły i uśmiech; zatrzymywać przechodniów, wypróżniać małe sakiewki, a dużym przyzwyczajenie przychodzić z pomocą, aby schudły; z szanowaniem przyjmować na nocleg podróżującą rodzinę, obdrzeć mężczyznę, oszukać kobietę, wyzyskać dziecko; nałożyć cenę na otwarte okno, na zamknięte okno, na miejsce przy kominku, na fotel, krzesło, stół, stołeczek, piernat, materac i siennik; wiedzieć, ile się zużywa lustra przez każde odbicie, i to otaksować, i do kroćset tysięcy diabłów, kazać podróżnemu płacić za wszystko, nawet za muchy, które jego pies połyka!

Ten mąż i ta żona – to była chytryść i wściekłość zaślubione z sobą; stadło ohydne i straszne.

⁸ Pewną sumę (łac.)

Ludzie potrzebują wina, a konie wody

Przybyło czterech nowych podróżnych. Kozeta dumiała sobie smutnie; bo choć miała dopiero osiem lat, tyle już wycierpiała, że twarz jej przybierała wśród zamyślenia posepny wyraz staruszki.

Jedną powiekę miała siną od pięści Thénardierowej, która też, spoglądając na nią, mruzczała od czasu do czasu:

– Istny potwór z tym guzem nad okiem!

A Kozeta myślała sobie, że jest już noc, głęboka noc, że wypadnie może napęlić dzbanki i karafki nowo przybyłym podróżnym, a w beczce wody już nie ma.

Jedno ją uspokajało nieco – w domu Thénardierów niewiele pijano wody. Ludzi spragnionych nie brakowało, ale pragnienie to chętniej gaszono z butelki niż z dzbanka. Kto by wśród tych szklanek wina prosił o szklankę wody, ten wszystkim wydałby się dzikusiem. A jednak w pewnej chwili dziecko zdrzało; Thénardierowa podniosła pokrywkę garnka gotującego się na kominie, potem wzięła szklankę i żywo zbliżyła się do beczki. Odkręciła kurek, dziecko podniosło głowę i śledziło jej każdy ruch; cienka strużka wody popłynęła z kurka i napęliła pół szklanki.

– Oho – rzekła – nie ma wody!

Potem umilkła na chwilę.

Dziecko wstrzymało oddech.

– No! – mówiła dalej Thénardierowa, przypatrując się szklance z wodą. – Wystarczy.

Kozeta zabrała się znów do roboty, ale przez dobry kwadrans serce gwałtownie skakało jej w piersiach.

Rachowała upływające minuty, pragnąc jak najprędzej doczekać się jutra.

Czasem pijący za stołem, wyglądając na ulicę, wołali: – Ciemno jak w piecu! – lub: – Jeden kot nie zabłądziłby bez latarki na taki czas! – I Kozeta drżała.

Nagle wszedł wędrowny handlarz, który stanął na nocleg w oberży, i rzekł gniewnie:

– Nie napojono mojego konia.

– Gdzież tam, napojono – odezwała się Thénardierowa.

– Powiadam ci, matko, że nie napojono – odparł handlarz.

Kozeta wylazła spod stołu.

– Ależ tak, panie, koń pił, pił, z pełniutkiego wiadra, sama mu podawałam wodę i nawet mówiłam do niego. Nie było to prawdą, Kozeta kłamała.

– Patrzajcie ją, nie większa od pięści, a łże, aż ściany trzeszczą zawołał handlarz. – Powiadam ci, mała hultajko, że nie pił! Kiedy nie jest napojony, dyszy w taki sposób, że poznam to zaraz.

Kozeta upierała się, dodając głosem ochrypłym od trwogi, tak że ledwo go było słycać.

– I to jak jeszcze pił!

– No, dość! – zawołał kupiec ze złością. – Napoić mego konia i basta!

Kozeta wróciła pod stół.

– Pewnie! – rzekła Thénardierowa. – Jeżeli koń nie pił, trzeba go napoić.

Potem, oglądając się, dorzuciła:

– A ta gdzie się znowu podziała?

Schyliła się i znalazła Kozetę skurczoną w drugim końcu stołu, prawie pod nogami pijących.

– Chodź mi tu zaraz! – wrzasnęła.

Kozeta wyszła z ukrycia.

Thénardierowa mówiła dalej:

– Panno Suczko, jak cię tam zwa, ruszaj po wodę dla konia.
– Ależ, proszę pani – rzekła Kozeta po cichu – nie ma wody.
Thénardierowa otworzyła na rozcież drzwi od ulicy.
– To idź po wodę!
Kozeta spuściła głowę i wzięła próżne wiadro stojące przy kominie.
Wiadro było większe od niej; dziecko wygodnie by mogło w nim usiąść.
Thénardierowa wróciła do pieca i próbując warzącą potrawę, która się gotowała w garnku, mruzczała pod nosem:
– W źródle jest dosyć wody. Nie bądź taka mądra. Chyba lepiej będzie przetrzeć cebulę.
Potem pogrzebała w szufladzie, gdzie leżały miedziaki, pieprz i czosnek.
– Słuchaj, panno Ropucho – dodała – wracając weźmiesz duży bochenek chleba od piekarza. Masz tu piętnaście su.
Kozeta nie powiedziała ani słowa, wzięła pieniądz i włożyła do kieszonki w fartuchu.
Potem stała nieruchomo z wiadrem w ręku, jakby czekała, czy jej kto nie poratuje.
– Ruszajże! – zawołała Thénardierowa.
Kozeta wyszła. Drzwi się za nią zamknęły.

Na widowni ukazuje się lalka

Jak już wiemy, rząd rozstawionych na ulicy kramów ciągnął się od kościoła aż do oberży Thénardierów. Ponieważ przed północą mieszkańcy Montfermeil przechodzić mieli tędy na pasterkę, kramy oświetlone były świecami w papierowych rurach, co, jak mówił bakałarz, w tej chwili siedzący za stołem u Thénardierów, tworzyło „czarodziejski widok”. Za to na niebie nie było ani jednej gwiazdy.

Ostatnia buda na wprost drzwi Thénardierów była kramem z zabawkami dla dzieci, który aż błyszczał od szkiełek, świecidełek i cudownych przedmiotów z blachy. Na przedzie straganu kramarz ustawił na tle białych serwetek ogromną lalkę, wysoką na prawie dwie stopy, w sukni z różowej krepy, z wieńcem złotych kłosów na głowie, mającą prawdziwe włosy i emaliowane oczy. Codziennie przechodnie w wieku do lat dziesięciu, z szeroko otwartymi ustami, podziwiali to чудо; w całym Montfermeil nie znalazła się matka tak bogata lub tak rozrzutna, aby ją kupić dla swego dziecka. Eponina i Anzelma całymi godzinami przypatrywały się lalce; nawet Kozeta ośmieliła się rzucić na nią spojrzenie, ukradkiem co prawda.

Kiedy Kozeta wyszła z wiadrem w ręku, choć tak smutna była i znękana, nie mogła się oprzeć pokusie i spojrzała na cudowną lalkę, na „damę”, jak ją nazywała. Biedne dziecko osłupiało ze zdumienia. Nie widziała jeszcze z bliska tej lalki. Cały kram wydał się jej pałacem, lalka nie była lalką, ale jakimś cudnym przywidzeniem. Radość, przepych, bogactwo, szczęście ukazały się w ułudnym blasku nieszczęśliwej małej istocie, tak głęboko wtrąconej w ponurą i zimną nędzę. Kozeta z naiwną i smutną przenikliwością dzieciństwa mierzyła przepaść dzielącą ją od tej lalki. Mówiła sobie, że trzeba być królową lub przynajmniej księżniczką, by mieć „coś” takiego jak to. Wpatrywała się w piękną różową sukienkę, w piękne puszyste włosy i myślała: Jaka szczęśliwa musi być ta lalka! – Nie mogła oderwać oczu od fantastycznego kramu. Im dłużej patrzyła, tym bardziej ją olśniewał. Zdawało się jej, że widzi raj. Prócz tej wielkiej były i inne lalki, które wydały się jej wrózkami i czarodziejami. Kupiec, przechadzający się w głębi baraku, sprawiał na niej wrażenie Pana Boga.

Zapatrzywszy się tak z uwielbieniem, zapomniała o wszystkim, zapomniała nawet, po co ją posłano. Nagle szorstki głos Thénardierowej zbudził ją z rozmarzenia i wrócił do rzeczywistości: – Ach, ty błaznico! Jeszcze nie poszła? Poczekaj, dam ja tobie! Ciekawam, co ten bęben tam robi? Mały potworze, marsz mi zaraz!

Thénardierowa wyrzuciła na ulicę i zobaczyła Kozetę stojącą w zachwyceniu.

Kozeta porwała wiadro i zaczęła biec, jak mogła najspieszniej.

Dziecko samo

Oberża Thénardierów znajdowała się w części wioski położonej w pobliżu kościoła. Kozeta musiała więc iść po wodę do źródła w lesie, w stronę Chelles.

Kozeta przeszła labirynt krętych i pustych uliczek, którymi kończy się wioska Montfermeil od strony Chelles. Dopóki po obu stronach drogi były domy, a nawet choćby tylko ploty, szła dość śmiało. Czasem promień światła przenikał przez szczelinę okiennicy – było tam światło, było życie, byli ludzie, i to dodawało jej odwagi. Im dalej jednak szła przed siebie, tym bardziej zwalniała kroku, jakby nieumyślnie. Minąwszy róg ostatniego domu, Kozeta zatrzymała się. Czuliła, że niepodobieństwem jest pójść naprzód. Postawiła kubek na ziemi, zanurzyła palce we włosach i zaczęła drapać się w głowę, jak to zwykły czynić dzieci przerażone i niepewne. Było to już nie Montfermeil, lecz pole. Roztaczała się przed nią pusta i ciemna przestrzeń. Z rozpaczą patrzyła w tę noc, w której nie było ludzi, w której krążyły tylko dzikie zwierzęta, może i upiory. Patrzyła przed siebie i słyszała stapanie zwierząt po trawie, wyraźnie widziała poruszających się wśród drzew nieboszczyków. Wówczas porwała wiadro, strach dodał jej odwagi: – Trudno! – rzekła powiem jej, że już nie było wody!

I śmiało zawróciła do Montfermeil.

Uszedłszy ze sto kroków, znów przystanąła i znowu zaczęła się drapać w głowę. Teraz ukazała się jej Thénardierowa, straszliwa Thénardierowa z gębą hieny i iskrzącymi się od gniewu oczyma. Dziecko rzuciło żalosne spojrzenia przed siebie i za siebie. Co począć? Gdzie się obrócić? Dokąd pójść? Przed nią widmo Thénardierowej, za nią wszystkie widma nocy i lasów. Thénardierowa wydała się jej straszniejsza. Zawróciła w stronę źródła i zaczęła biec. Przebiegła wioskę, wpadła do lasu, nie patrząc już na nic, nie słuchając niczego. Zwolniła kroku, gdy jej tchu zabrakło, ale nie stanęła. Szła przed siebie szybko, jak nieprzytomna.

A kiedy tak biegła, jakże chciało się jej płakać!

Nocne drżenie lasu ogarniało ją całą. Przestała myśleć, przestała patrzeć. Przed tym niewielkim stworzeniem otworzyła się niezmierna noc. Z jednej strony cała ciemność świata, z drugiej ta drobina.

Od skraju lasu było do źródła siedem czy osiem minut drogi. Kozeta znała ją dobrze, bo chodziła tędy kilka razy dziennie. I dziwna rzecz, nie zabłądziła. Prowadziły ją jakieś resztki instynktu. A jednak nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, bojąc się, by nie ujrzeć czegoś w gałęziach czy w krzakach. Tak doszła do źródła.

Kozeta nie zatrzymała się nawet, żeby odpocząć. Noc była ciemna, ale dziecko wiedziało, jak się czerpie wodę z tego źródła. Lewą ręką poszukała w ciemnościach młodego, pochylego dębu, który rósł tam, a na którym zwykle się opierała, chwyciła gałąź, zawiesiła się na niej, pochyliła i zanurzyła kubek w wodzie. Była tak przejęta, że w tej chwili potrożyły się jej siły. A gdy schyliła się tak, nie zwróciła uwagi, że z kieszeni jej fartuszka wypadł pieniądz. Kozeta nie widziała i nie słyszała, jak wpadł do źródła. Wydostała wiadro prawie pełne i postawiła je na trawie.

Wtedy poczuła, że wyczerpały się jej siły. Chciałaby wracać jak najprędzej, ale tak się wysiliła, by zaczerpnąć wody, że ani kroku postąpić już nie mogła. Musiała usiąść. Padła na trawę i skuliła się.

Zamknęła oczy, potem, nie wiedząc dlaczego, otworzyła je znowu. Czuła, że musi spojrzeć.

Obok niej woda chybocząca się w kuble tworzyła kręgi podobne do wężyków białego ognia.

Nad jej głową niebo okryte było gęstymi chmurami, niby kłębam dymu. Tragiczna maska nocy zdawała się pochylać nad tym dzieckiem.

Od pola dął chłodny wiatr. Las był ciemny, nie szumiały liście, nie było świeżej łagodności letniej nocy. Gałęzie przerażająco wyciągały chude ramiona. Z wątlých i bezkształtnych krzewów na polankach wydobywał się przeciągły gwizd. Wysokie trawy smagane wiatrem wiły się niby węgorze. Ciernie wyciągały jak gdyby długie ręce ze szponami szukającymi łupu; suche gałązki wrzosu pędzone podmuchem przesuwały się szybko, jakby ze strachem uciekając przed czymś, co nadchodziło. Posępne przestrzenie otaczały ją ze wszystkich stron.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co doświadczała, Kozeta czuła, że porywa ją ten czarny ogrom natury. Nie przerażenie ją ogarniało, ale coś jeszcze bardziej przerażającego od przerażenia. Drżała. Braknie słów do wyrażenia, jak dziwny był ten dreszcz, przesywający ją lodem do głębi serca. W oczach dziecka ukazało się szaleństwo. Zdawało się jej, że może nie potrafi się zmusić do powrotu w to miejsce, nazajutrz o tej samej godzinie.

Wówczas, jakimś instynktem wiedzona, by wyjść z osobliwego a niepojętego stanu, który ją przerażał, zaczęła głośno rachować: raz, dwa, trzy, cztery, aż do dziesięciu, a skończywszy rozpoczynała na nowo. To przywróciło jej prawdziwy obraz otaczających ją rzeczy. Poczowała, że zimno jej w ręce, które zamoczyła czerpiąc wodę. Podniosła się. Wrócił strach, strach naturalny i nieprzezwyyczajony. Ogarnęło ją jedno tylko pragnienie żeby uciec, uciec co tchu, przez lasy, przez pola, aż do domów, aż do okien, aż do zapalonych świec. Spojrzenie jej padło na stojące przed nią wiadro. Thénardierowa budziła w niej tak wielką trwogę, że nie śmiała uciec nie zabrawszy kubła z wodą. Chwyciła oburącz za pałąk. Ledwo zdołała podnieść wiadro.

Zrobiła kilkanaście kroków, ale wiadro, pełne wody, było ciężkie i musiała znowu postawić je na ziemi. Odetchnęła przez chwilę, po czym z powrotem chwyciła za pałąk i zaczęła iść, tym razem trochę dłużej. Ale znowu musiała się zatrzymać. Pomyślała z trwogą, że upłynie godzina, nim powróci do Montfermeil, że Thénardierowa ją zbije. Z tą trwogą łączyła się druga trwoga była sama w nocy w lesie. Już upadała ze znużenia, a jeszcze nie wyszła spośród drzew. Doszedłszy do starego kasztana, który znała dobrze, zatrzymała się dłużej, żeby wypocząć, zebrała wszystkie siły, podniosła wiadro i odważnie ruszyła w dalszą drogę. Nie mogła tylko, biedne maleństwo, wstrzymać okrzyku: – O mój Boże! Mój Boże!

W tej chwili poczuła nagle, że wiadro już jej nie ciąży. Jakaś ręka, która jej się wydała ogromna, porwała za pałąk i silnie dźwignęła. Podniosła głowę. Wysoka czarna postać szła przy niej w ciemności. Był to jakiś człowiek, który szedł za nią, a którego kroków nie słyszała. Człowiek ten, nie powiedziawszy ani słowa, chwycił za pałąk wiadra, które niosła.

Każdemu spotkaniu w naszym życiu odpowiada specjalny instynkt. Dziecko nie zlekło się.

Boulatruelle nie był może pozbawiony inteligencji

Tej samej Wilii Bożego Narodzenia 1823 roku jakiś mężczyzna przechadzał się dość długo po południu po najsamotniejszej części bulwaru Hôpital w Paryżu. Człowiek ten zdawał się szukać mieszkania i zaglądał do najniepozorniejszych domów tego zaniedbanego krańca przedmieścia Saint-Marceau.

Później przekonamy się, że w istocie najął izbę w tej odludnej dzielnicy.

Z ubioru i całej postaci mężczyzna ten wyglądał na to, co można by nazwać żebrakiem z lepszego towarzystwa; największa nędza łączyła się w nim z nadzwyczajną czystością. Jest to typ rzadki, a budzący w zacnych sercach podwójny szacunek – dla wielkiego ubóstwa i poczucia własnej godności. Miał na sobie okrągły kapelusz bardzo stary, połyskujący od częstego czyszczenia szczotką, wytarty surdut z grubego sukna koloru żółtej ochry, który w owym czasie nie budził zdziwienia, długą kamizelkę z kieszeniami odwiecznego kroju, czarne spodnie, na kolanach poszarzałe od wytarcia, czarne wełniane pończochy i obszerne trzewiki z mosiężnymi sprzączkami. Wziąć go można było za nauczyciela z dobrego domu, który wrócił z emigracji. Sądząc z włosów jak śnieg białych, pomarszczonego czoła, wybladłych ust i z twarzy, która wyrażała znękanie i znużenie życiem, rzekłbyś, że ma lat przeszło sześćdziesiąt. Ale wnosząc z chłodu, pewnego choć powolnego, i ze szczególnej siły, uwidoczniającej się we wszystkich jego poruszeniach, nie dałbyś mu więcej nad lat pięćdziesiąt. Regularne zmarszczki czoła usposobiłyby przychylnie każdego, kto by mu się z uwagą przypatrzył. Usta jego zaciśnięte były jakoś dziwnie, skrzywienie ich, pozornie surowe, w istocie wyrażało pokorę. W głębi jego spojrzenia była jakaś smutna pogoda. W lewej ręce niośł zawiniątko w chustce, prawą wspierał się na drewnianym kijku. Kij był starannie ostrugany i prezentował się całkiem przyzwoicie: zdobiły go słoje powstałe po ociosaniu sęków i okrągła gałka z czerwonego laku udającego koral, ta prosta pałka wyglądała jak laska.

Mało kto przechodzi tym bulwarem, zwłaszcza w zimie. Mężczyzna ten, w sposób nieznaczący zresztą, zdawał się raczej unikać, niż szukać przechodniów.

Kwadrans na piątą, gdy noc już zapadła, przechodził koło teatru „Porte-Saint-Martin”, w którym wystawiano dnia tego *Dwóch galerników*. Afisz, oświetlony latarnią teatralną, zwrócił jego uwagę, a chociaż szedł prędko i widocznie się śpieszył, przystanął, żeby przeczytać. Po chwili skręcił w ślepią uliczkę Planchette i wszedł do domu „Pod Cynowym Talerzem”, gdzie wówczas było biuro poczty do Lagny. Dylizans odjeżdżał o wpół do piątej. Konie były zaprzężone, podróżni, wzywani przez woźnicę, z pośpiechem wdrapywali się po stromych schodkach omnibusu.

Mężczyzna zapytał:

- Czy jest jeszcze miejsce?
- Jedno tylko, przy mnie, na koźle – odpowiedział woźnica.
- Biorę je.
- Niech pan siada.

Nim jednak ruszono z miejsca, woźnica obrzucił okiem lichą odzież podróżnego, jego małe zawiniątko i zażądał zapłaty..

– Pan jedzie do Lagny? – zapytał.

– Tak – odparł podróżny.

I zapłacił aż do Lagny.

Ruszono w drogę. Przejechawszy rogatki woźnica chciał nawiązać rozmowę, ale podróżny odpowiadał tylko półsłówkami. Zawiedziony woźnica zaczął pogwizdywać i kłać konie.

Woznica owinał się płaszczem. Było zimno. Podróżny zdawał się nie myśleć o tym. Tak przejechali Gournay i Neuilly nad Marną.

Około szóstej wieczorem stanęli w Chelles. Konie były zmęczone, woznica dla odpoczynku zatrzymał się przed oberżą furmańską, urządzoną w starych budynkach królewskiego opactwa.

– Zostanę tu – rzekł podróżny.

Wziął paczkę i kij i zeskoczył z kozła.

Po chwili zniknął w ciemnościach. Do oberży nawet nie wstąpił.

Kiedy po kilku minutach powóz odjechał do Lagny, już go nie spotkał na gościńcu wiodącym z Chelles.

Woznica odwrócił się do podróżnych siedzących wewnątrz powozu.

– To jakiś nietutejszy człowiek – rzekł. – Nie znam go wcale. Wygląda, jakby nie miał ani grosza, a nie dba o pieniądze; płaci do Lagny, choć jedzie tylko do Chelles. Noc, wszystkie domy zamknięte, nie wstępował do oberży, a nigdzie go nie widać. Chyba się zapadł pod ziemię.

Człowiek nie zapadł się pod ziemię, ale szybko przeszedł po ciemku przez główną ulicę Chelles, później nie dochodząc do kościoła, skręcił na lewo, na boczną drogę wiodącą do Montfermeil, pewnym krokiem, jakby doskonale znał miejscowość, jakby nieraz tu był.

Doszedłszy do miejsca, gdzie ścieżkę przecina stary gościniec wysadzany drzewami, który idzie z Gagny do Lagny, usłyszał kroki. Prędko skrył się w rowie i czekał, aż się oddalą przechodzący ludzie. Ostrożność ta była niemal zbyt duża, bo jakeśmy powiedzieli, działo się to w noc grudniową, bardzo ciemną. Ledwie kilka gwiazd błyszczało na niebie.

W tym właśnie miejscu zaczynało się wzgórze. Podróżny nie wszedł na drogę do Montfermeil, lecz zawrócił na prawo i przez pola zmierzał spieszenie do lasu.

Gdy był już w lesie, zwolnił kroku i zaczął oglądać starannie wszystkie drzewa, stąpając ostrożnie, powoli, jakby szukał tajemnej drogi znanej tylko jemu. W pewnej chwili przystanął niezdecydowany, jak gdyby błdził. Na koniec po długim krążeniu po omacku wyszedł na łączkę, gdzie leżał stos dużych białych kamieni. Podbiegł ku kamieniom i przypatrywał się im uważnie w ciemności nocnej, jakby je przeglądał. O kilka kroków dalej stało grube drzewo pokryte naroślami, które są tym dla roślin, czym brodawki dla ludzi. Podszedł do drzewa, pociągnął ręką po korze pnia, jakby chciał poznać i policzyć wszystkie brodawki.

Naprzeciw tego drzewa, a był to jesion, stał odarty z kory, chorowity kasztan, opasany cynkową obręczą. Wspiął się na palcach i dotknął obręczy.

Potem zaczął chodzić bardzo wolno po przestrzeni między drzewem i kamieniami, jakby chciał się upewnić, czy grunt nie został świeżo poruszony.

Po czym znów rozejrzał się i dalej poszedł lasem.

Ten to właśnie człowiek spotkał Kozetę.

Idąc przez zarośla ku Montfermeil, spostrzegł jej malutki cień poruszający się z lękiem, widział, jak składała jakiś ciężar na ziemi, jak potem podnosiła go i szła znowu. Przybliżył się i poznał, że było to małe dziecko dźwigające ogromne wiadro wody. Wówczas zbliżył się i w milczeniu ujął dłonią pałąk wiadra.

Kozeta w ciemności z nieznanym

Kozeta, jak powiedzieliśmy, nie przelękła się. Mężczyzna odezwał się do niej. Mówił głosem poważnym i cichym:

– Moje dziecko, przecież to dla ciebie bardzo ciężkie.

Kozeta podniosła głowę i odpowiedziała:

– Tak, proszę pana.

– Daj – mówił dalej mężczyzna – ja ci to zaniosę.

Kozeta puściła wiadro. Mężczyzna szedł obok niej.

– To rzeczywiście ciężkie – szepnął jakby do siebie. Potem dodał: – Ile masz lat, mała?

– Osiem, proszę pana.

– A z daleka tak idziesz?

– Od źródła w lesie.

– A dokąd, czy daleko jeszcze?

– Dobry kwadrans drogi.

Mężczyzna umilkł na chwilę, potem zapytał nagle:

– Więc nie masz matki?

– Nie wiem – odpowiedziało dziecko.

Nim mężczyzna miał czas zadać nowe pytanie, dodała:

– Zdaje mi się, że nie. Inne dzieci mają matki. Ja nie mam.

A po chwili odezwała się znowu:

– Chyba nigdy nie miałam matki.

Mężczyzna zatrzymał się, postawił wiadro na ziemi, pochylił się i położył obie ręce na ramionach małej, usiłując przypatrzeć się w ciemnościach jej twarzy.

Trudno było rozpoznać rysy chudej i mizernej Kozety przy bladym świetle nocnego nieba.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Kozeta.

Mężczyzna doznał jakby elektrycznego wstrząsu. Popatrzył jeszcze na Kozetę, zdjął ręce z jej ramion, podniósł wiadro i znów zaczął iść.

Nareszcie zapytał:

– Gdzie mieszkasz, dziecko?

– W Montfermeil, może pan zna tę wieś?

– Czy tam idziemy?

– Tak, proszę pana.

Po chwili milczenia zapytał znowu:

– I któż to cię postał o tej godzinie do lasu po wodę?

– Pani Thénardier.

Mężczyzna odrzekł głosem, który dziwnie drżał, choć go chciał uczynić obojętnym:

– Co to za jedna ta twoja pani Thénardier?

– To moja pani – rzekło dziecko. – Ma oberżę.

– Oberżę? – powtórzył mężczyzna. – To dobrze, zanocuję tam. Zaprowadź mnie.

– Tam właśnie idziemy – odpowiedziało dziecko.

Mężczyzna szedł dość prędko. Kozeta bez wysiłku dotrzymywała mu kroku. Nie czuła już znużenia. Niekiedy podnosiła oczy ku temu człowiekowi z jakimś spokojem i niewymownym zaufaniem. Nigdy jej nie uczono zwracać myśli do Opatrzności i modlić się. W tej chwili jednak uczyła coś niby nadzieję i radość, idącą gdzieś ku niebu.

Upłynęło kilka minut. Mężczyzna zapytał:

– Czy u pani Thénardier nie ma służącej?

– Nie ma, proszę pana.

– Tylko ty tam jesteś?

– Tak, proszę pana.

Znów umilkł. Po czym Kozeta odezwała się pierwsza:

– To jest, są jeszcze dwie dziewczynki.

– Co to za dziewczynki?

– Ponina i Zelma.

Dziecko upraszczało w ten sposób romansowe imiona, tak drogie Thénardierowej.

– Któż to są Ponina i Zelma?

– To panienki pani Thénardier, jak by to powiedzieć, jej córki.

– A cóż one robią?

– O! – rzekła mała – one mają piękne lalki i takie różne rzeczy ze złotem, i pełno śliczności. Bawią się.

– Cały dzień?

– Tak, proszę pana.

– A ty?

– Ja pracuję.

– Cały dzień?

Dziewczynka podniosła wielkie oczy, pełne łez, których nie było widać w ciemności, i odpowiedziała cicho:

– Tak, proszę pana.

Po chwili milczenia dodała:

– Czasem, jak skończę robotę i pozwolą mi, to się też bawię.

– A jak się bawisz?

– Jak mogę. Zostawiają mnie samą. Ale niedużo mam zabawek. Ponina i Zelma nie pozwalają mi się bawić swoimi lalkami. Mam tylko małą szabelkę ołowianą, ot taką długą.

I dziecko wysunęło swój mały paluszek.

– Tępa pewnie, nic nie kraje?

– Owszem, proszę pana – odpowiedziała mała – kraje sałatę i głowy muchom.

Doszli do wioski. Kozeta prowadziła podróżnego przez ulice. Przechodzili obok sklepu piekarza, ale Kozeta zapomniała, że kazano jej przynieść chleb. Mężczyzna przestał wypytywać i milczał ponuro. Gdy minęli kościół, widząc tyle kramów, zapytał Kozetę:

– Jarmark?

– Nie, proszę pana, to Boże Narodzenie.

Gdy się zbliżali do oberży, Kozeta nieśmiało trąciła go w ramię.

– Proszę pana...

– Co, moje dziecko?

– Jesteśmy już koło domu.

– Więc co?

– Niech pan pozwoli, teraz ja wezmę wiadro.

– Dlaczego?

– Boby mnie pani wybiła, gdyby zobaczyła, że mi je ktoś niesie.

Mężczyzna oddał jej wiadro. W chwilę potem stanęli u drzwi szynku.

Kłopoty wynikające z przyjmowania u siebie biedaka, który jest może bogaczem

Kozeta nie mogła powstrzymać się od spojrzenia jeszcze raz na wielką lalkę, wciąż stojącą na straganie sprzedawcy zabawek; potem zastukała. Drzwi otworzyły się. Ukazała się pani Thénardier ze świecą w dłoni.

– A, to ty, mała łajdaczko! chwala Bogu! a co tak długo? Pewnieś się bawiła, hultajko?

– Proszę pani – odpowiedziała Kozeta drżąc cała – ten pan przychodzi zanocować.

Thénardierowa szybko zmieniła gniewną minę na uprzejmy grymas, jak to się często zdarza oberżystkom, i chciwie szukała oczyma nowo przybyłego.

– To pan? – zapytała.

– Tak, pani – odpowiedział mężczyzna, przykładając rękę do kapelusza.

Bogaci podróżni nie bywają tak grzeczni. Ruch ten i obejrzenie jednym rzutem oka odzieży i zawiniątka nieznanego sprawił, iż grymas uprzejmości znikł z twarzy Thénardierowej i wróciła gniewna opryskliwość. Odparła oschle:

– Wejdźcie, dobry człowieku.

„Dobry człowiek” wszedł.

Thénardierowa spojrzała na niego powtórnie, obejrzała dokładniej jego całkiem już wytarty surdut, kapelusz pogięty nieco i kiwnięciem głowy, zmarszczeniem nosa i mrugnięciem oka porozumiała się z mężem, który w dalszym ciągu pił z furmanami. Mąż odpowiedział nieznacznie poruszeniem wskazującego palca i nadęciem warg, które w takich razach znaczyło zupełna golizna.

Wobec tego Thénardierowa zawołała:

– Doprawdy, poczciwy człowieku, przykro mi bardzo, ale wszystkie izby są zajęte.

– Niech mnie pani umieści gdziekolwiek – rzekł podróżny – w stodole, w stajni. Zapłacę jak za pokój.

– Czterdzieści su.

– Niech będzie czterdzieści su.

– Ano dobrze.

– Czterdzieści su! – rzekł cicho jakiś furman do Thénardierowej. – Przecież bierzecie tylko dwadzieścia su.

– Dla niego czterdzieści – odparła Thénardierowa równie cicho. – Za mniejszą opłatą nie przyjmuję na noc ubogich.

– Pewnie! – dodał łagodnie jej mąż. – Przyjmowanie takich ludzi szkodzi tylko firmie.

Tymczasem podróżny, położywszy na ławce zawiniątko i kij, usiadł przy stole, na którym Kozeta skwapliwie postawiła butelkę wina i szklanę. Kupiec, który się upominał o wodę, sam zaniósł wiadro do stajni. Kozeta siadła na swym miejscu pod stołem kuchennym i zabrała się do robienia pończochy.

Podróżny ledwie że umoczył usta w szklance wina i przypatrywał się dziecku z dziwną uwagą.

Kozeta była brzydka. W szczęściu może by była ładniejsza. Opisaliśmy już rysy tej smutnej twarzyczki. Kozeta, chuda i blada, kończyła osiem lat, a wyglądała ledwie na sześć. Jej wielkie oczy, otoczone głębokimi cieniami, zagasy prawie od ciągłego płaczu. Kąciki ust jej przybrały ów wyraz przerażenia, który spostrzegamy u skazanych na śmierć i u beznadziejnie chorych. Ręce jej, jak odgadła matka, były całe odmrożone. Ogień, oświetlając ją w tej chwili, uwydatnił jej sterczące kości i straszną chudość. Ciągłe drżąc z zimna, przyzwyczaiła się do ściskania kolan. Cała jej odzież była łachmanem budzącym litość latem, a zimą zgrozę. Miała na sobie tylko podarte płótno, ani strzępka nawet wełny. Tu i ówdzie świeciła naga skóra z sinymi lub czarnymi piętnami od uderzeń Thénardierowej. Bose nogi były chude i czerwone. Na płacz się zbierało, patrząc na wgłębienia pod jej obojczykami. Cała postać tego dziecka, ruchy, postawa, dźwięk głosu, przerwy między jednym a drugim wyrazem, wzrok, milczenie, najmniejszy ruch wyrażały i tłumaczyły jedną tylko myśl: strach.

Nagle Thénardierowa zawołała:

– Ale! A chleb?

Kozeta, jak zwykle, gdy tylko Thénardierowa podnosiła głos, wyskoczyła spod stołu.

Zupełnie zapomniała o chlebie. Uciekła się do pospolitego wybiegu zastraszonych dzieci. Skłamała.

– Proszę pani, piekarz był zamknięty.

– Trzeba było stukać.

– Stukałam, proszę pani.

– I co?
– Nie otworzyli.
– Dowiem się jutro, czy to prawda – rzekła Thénardierowa – a jeżeli kłamiesz, będziesz się miała z pyszna. Tymczasem oddaj piętnaście su.
Kozeta wsunęła rękę do kieszeni fartuszka i zzieleniała. Pieniądza nie było.
– No! – krzyknęła Thénardierowa. – Czyś nie słyszała?
Kozeta wywróciła kieszeń, była pusta. Gdzie się podział pieniądz? Nieszczęśliwe dziecko nie mogło wyrzec słowa. Stało jak wryte.
– Co, zgubiłaś piętnaście su? – warknęła Thénardierowa. – A może chcesz mi je ukraść?
I wyciągnęła rękę po dyscyplinę zawieszoną w rogu komina. Ten ruch przywrócił przytomność Kozecie. Zawołała:
– Łaski, pani, pani, już więcej nie będę!
Thénardierowa zdjęła dyscyplinę.
Tymczasem człowiek w żółtym surducie poszukał nieznacznie w kieszeniach kamizelki. Inni podróżni pili lub grali i nie zwracali uwagi na to, co się dzieje.
Przeżrana Kozeta wcisnęła się z przestachem w kąt komina, usiłując skurczyć i skryć swe biedne, półnagie ciało.
Thénardierowa podniosła rękę.
– Za pozwoleniem pani – rzekł człowiek – w tej chwili widziałem, że coś wypadło z kieszeni tej małej. Może to to.
Pochylił się i zdawał czegoś szukać na ziemi.
– Oto proszę – rzekł podnosząc się.
I podał Thénardierowej srebrną monetę.
– Ta sama – odpowiedziała.
Nie była to ta sama. Było to dwadzieścia su, ale Thénardierowa ujrzała w tym oczywisty zysk. Schowała pieniądz do kieszeni i rzuciła tylko dzikie spojrzenie na dziecko mówiąc: – Żeby mi tego drugi raz nie było, pamiętaj!
Kozeta wróciła do swego, jak to Thénardierowa nazywała, „legowiska” i jej wielkie oczy, utkwione w podróżnym, przybrały wyraz, jakiego nigdy jeszcze nie miały. Było to naiwne zdziwienie, połączone z ufnością i osłupieniem.
– A, prawda? Czy będziecie jeść kolację? – zapytała podróżnego Thénardierowa.
Nie odpowiadał. Zdawał się być głęboko zamyślony.
– Co to może być za człowiek? – mruknęła pod nosem. – To jakiś straszny nędzarz. Nie ma grosza na wieczerzę. Może nie zapłaci mi za nocleg? Wielkie to szczęście, że nie przyszło mu do głowy skraść pieniądza leżącego na ziemi.
Drzwi się otwały, weszły Eponina i Anzelma. Były to w istocie ładne dziewczynki, wyglądające raczej na dzieci z miasta niż na chłopki; jedna miała brązowe, błyszczące loki, drugiej spadały na plecy czarne warkocze, obie były żywe, schludne, tłuściutkie, świeże i zdrowe, oczy się radowały patrząc na nie. Odziane były ciepło, ale z tak wielką dbałością macierzyńską, że gruby materiał w niczym nie ujmował wdzięku ubiorowi. Przewidziano zimę, nie zatracając wiosny. Obie małe jaśniały szczęściem. Prócz tego widać było, że królowały w domu. W ich stroju, wesołości, krzyku było coś wszechwładnego. Gdy weszły, Thénardierowa odezwała się do nich tonem niby to zrzędnym, a pełnym zachwytu: A, przyszyście wreszcie!
Jedną po drugiej przyciągała ku sobie, gładziła włosy, poprawiała kokardy i poszturchując je tym właściwym matkom ruchem, puszczała wołając: – A to się postroiły!
Dziewczynki siadły przed kominkiem. Miały lalkę, którą obracały na kolanach, szczebiocząc radośnie. Niekiedy Kozeta podnosiła oczy znad pończochy i ponuro przyglądała się ich zabawie.

Lalka sióstr Thénardier była zniszczona, stara i potłuczona, niemniej jednak wydawała się cudowna Kozecie, która nigdy w życiu nie miała lalki, „prawdziwej lalki” – że użyjemy wyrażenia, które rozumieją wszystkie dzieci.

Nagle Thénardierowa, krzając się po izbie, spostrzegła, że Kozeta nie uważa i zamiast pracować, patrzy na bawiące się dzieci.

– A, złapałam cię! – wrzasnęła. – To ty tak pracujesz! Nauczę ja cię pracować dyscypliną.

Nieznamy, nie wstając z krzesła, odwrócił się ku Thénardierowej.

– Proszę pani! – rzekł z uśmiechem prawie lęklwym. – Niech się dziecko pobawi!

Gdyby to życzenie wyraził inny podróżny, który by zjadł kawał baraniny, wypił parę butelek wina i nie miał miny „straszego nędzarza” – byłoby ono rozkazem dla Thénardierowej. Ale żeby człowiek w takim kapeluszu ośmielił się mieć życzenie! Ale żeby człowiek w takim surducie pozwolił sobie mieć wolę! Tego właścicielka oberży nie mogła znieść. Odparła więc kwaśno:

– Musi pracować, bo je. Nie na to ją żywię, żeby próżnowała.

– A cóż to ona robi? – pytał nieznamy głosem łagodnym, dziwnie kontrastującym z ubraniem żebraka i barkami tragarza.

Thénardierowa raczyła odpowiedzieć:

– Pończochy, alboż nie widzicie? Pończochy dla moich córeczek, które ich jakby nie miały, i ot muszą teraz chodzić boso.

Człowiek spojrział na biedne, czerwone nóżki Kozety i mówił dalej:

– A jak skończy tę parę pończoch?

– Ma jeszcze roboty na dobre trzy lub cztery dni, mały leń.

– A ile może być warta para takich pończoch?

Thénardierowa spojrzała na niego pogardliwie.

– Najmniej trzydzieści su.

– Oddałaby je pani za pięć franków? – zapytał człowiek.

– Do diaska! – zawołał parszcząc grubym śmiechem furman, który się przysłuchiwał. – Pięć franków! Chyba kpi sobie! Pięć franków!

Thénardier uznał za stosowne zabrać głos:

– Niezawodnie, jeżeli pan masz taką fantazję, oddamy parę pończoch za pięć franków. Niczego nie odmawiamy podróżnym.

– Ale trzeba natychmiast zapłacić – dodała Thénardierowa krótko i stanowczo, po swojemu.

– Kupuję tę parę pończoch – odpowiedział wyjmując z kieszeni pięć franków i kładąc je na stole, dodał: – Płacę zaraz.

Potem odwrócił się do Kozety:

– Teraz twoja praca do mnie należy. Baw się, moje dziecko.

Thénardierowa nie miała już nic do powiedzenia. Zagryzła wargi, twarz jej przybrała wyraz nienawiści.

Ale Kozeta trzęsła się. Ośmieliła się wreszcie zapytać:

– Proszę pani, czy to prawda? Czy mogę się bawić?

– A baw się! – rzekła Thénardierowa przerażającym głosem.

– Dziękuję pani – odpowiedziała Kozeta.

A kiedy ustami dziękowała Thénardierowej, cała jej dusza składała dzięki podróżnemu.

Thénardier siadł znowu do picia. Żona szepnęła mu do ucha:

– Co to może być za jeden ten żółty człowiek?

Thénardier odpowiedział tonem wyroczeni:

– Widziałem milionerów w takich samych surdutach.

Kozeta odłożyła pończochę, lecz została pod stołem. Zawsze starała się jak najmniej poruszać, by nie ściągnąć na siebie uwagi. Z pudła stojącego za nią wyjęła kilka starych gałganków i ołowianą szabelkę.

Eponina i Anzelma nie zwracały najmniejszej uwagi na to, co się działo dokoła nich. Udało im się nie lada przedsięwzięcie – złapały kota. Rzuciły już lalkę na ziemię i Eponina, starsza, owijała go w mnóstwo czerwonych i niebieskich gałganków i szmatek, mimo że miauczał i kręcił się. Wykonując tę poważną i trudną pracę, mówiła do siostry tym rozkosznym językiem dziecięcym, którego urok, podobny w tym do barw motyli skrzydeł, znika, gdy się go próbuje utrwalić:

– Widzisz, że ta lalka jest ładniejsza od tamtej, bo się rusza, krzyczy i jest ciepła. Więc będziemy się nią bawić. To będzie moja córka. Ja będę damą i przyjdę do ciebie z wizytą. Ty zaczniesz jej się przyglądać. Zobaczysz jej wąsy i się zdziwisz. Potem zobaczysz jej uszy, potem ogon i znowu się zdziwisz. Zawołasz: O mój Boże! – A ja ci na to odpowiem: Tak, proszę pani, to jest taka moja córeczka. Teraz dziewczynki takie się rodzą.

Anzelma słuchała Eponiny z podziwem.

Tymczasem pijący goście zaczęli śpiewać sprośną piosenkę, która ich pobudzała do tak gwałtownych wybuchów śmiechu, że aż trząśł się sufit. Thénardier nie szczędził im zachęty i sam się przyłączył do chóru.

Tak samo jak dla ptaków wszystko się nadaje do budowy gniazda, tak dziecko robi lalkę z byle czego. Kiedy Eponina i Anzelma owijały kota, Kozeta owijała swoją szabelkę. Dokonawszy tego, wzięła ją w ramiona i zaczęła jej cichutko śpiewać kołysankę.

Lalka jest jedną z najgwałtowniejszych potrzeb i zarazem najmilszych instynktów dzieciństwa kobiety. Pielęgnować, ubierać, stroić, rozbierać, znowu ubierać, uczyć, łąjąc trochę, kołysać, pieścić, usypiać, wyobrażać sobie, że ta rzecz to istota żyjąca – w tej zabawie dziecka jest cała przyszłość kobiety. Tak marząc, i szczebiocząc, robiąc pieluszki, szyjąc sukienki, staniki i fartuszki, dziecko staje się dziewczynką, dziewczynka dziewczyną, dziewczyna kobietą. Pierwsze dziecko jest dalszym ciągiem ostatniej lalki.

Dziewczynka bez lalek jest prawie tak samo nieszczęśliwa i tak samo niemożliwa jak kobieta bezdzietna.

Kozeta więc zrobiła sobie lalkę z szabelki.

Thénardierowa zaś podeszła do „żółtego człowieka”.

Mój mąż ma słuszność – pomyślała w duchu. – Może to sam pan Laffitte? Bogaci bywają tacy dziwaczni!

Oparła się łokciami o stół.

– Panie... – rzekła.

Usłyszawszy ten wyraz „panie”, człowiek się odwrócił. Oberżystka nazywała go dotychczas „pocziwcem” lub „dobrym człowiekiem”.

– Widzi pan – mówiła dalej, przybierając słodziutką minę, z którą jej nasrożona zwykle twarz wydawała się jeszcze potworniejsza – chętnie pozwalam na to, żeby dziecko bawiło się, nic nie mam przeciwko temu, ale to dobre na jeden raz, bo pan jesteś szczodry. Widzi pan, nic to nie ma... musi pracować.

– Więc to nie córka pani, to dziecko? – zapytał podróżny.

– O mój Boże, panie, skądże znowu! To znajda, którą przygarnęliśmy z litości. Przygłupia trochę. Musi mieć wodę w głowie. Widzi pan, jaką ma dużą głowę! Robimy dla niej, co możemy, bo sami nie jesteśmy bogaci. Piszemy i piszemy tam, skąd pochodzi, a już od pół roku nie ma odpowiedzi. Widać jej matka umarła.

– U! – rzekł podróżny i znow pogrążył się w zadumie.

– Ta jej matka nie była dużo warta – dodała Thénardierowa. Zaniedbywała dziecko.

W trakcie całej tej rozmowy Kozeta, jakby pouczona instynktem, że dotyczyła ona jej matki, nie spuszczała oczu z Thénardierowej. Nasłuchiwała i od czasu do czasu wpadało jej w ucho jakieś słowo.

Pijące towarzystwo, teraz już prawie całkiem nieprzytomne, powtarzało plugawy refren ze zdwojoną werwą. Thénardierowa podeszła bliżej, żeby wziąć udział w tej wesołości. Kozeta, wciąż pod stołem, patrzyła w ogień, który się odbijał w jej zamysłonych oczach. Zaczęła znowu kołysać owiniętą szabelkę i jednocześnie nuciła półgłosem: – Moja matka umarła! Moja matka umarła! Moja matka umarła!

Na nowe nalegania gospodyni żółty człowiek, „milioner”, zgodził się wreszcie zjeść wieczerzę.

– Co pan rozkaże?

– Chleba i sera – rzekł.

E! To jednak żebrak – pomyślała pani Thénardier.

Pijacy śpiewali wciąż swą piosenkę, a dziecko pod stołem również nuciło swoją.

Nagle Kozeta umilkła. Odwróciła się i spostrzegła lalkę małych Thénardier, którą porzuciły dla zabawy z kotkiem. Leżała na ziemi koło kuchennego stołu.

Upuściła więc owiniętą w gałganki szabelkę, która w połowie tylko zaspokajała jej potrzebę tkliwości, i z wolna powiodła oczyma dokoła izby. Thénardierowa szeptała coś mężowi i liczyła pieniądze. Ponina i Zelma bawiły się kotem, podróżni jedli, pili lub śpiewali, nikt nie patrzył na nią. Nie było chwili do stracenia. Wypełzła spod stołu, czółgając się na kolanach i rękach, raz jeszcze upewniła się, że jej nie szpiegują, przysunęła się żywo do lalki i schwyciła ją. Po chwili była znów na swoim miejscu, nieruchoma, ale odwrócona, aby ukryć lalkę, którą trzymała na rękach. Szczęście bawienia się lalką spotykało ją tak rzadko, że kryło w sobie całą gwałtowność rozkoszy.

Nikt jej nie widział prócz podróżnego, który powoli spożywał swoją skromną wieczerzę.

Radość ta trwała prawie kwadrans.

Chociaż Kozeta bardzo troskliwie ukrywała lalkę, jednakże jedna jej noga wystawała, a ogień z komina oświetlał ją bardzo wyraźnie. Ta noga, różowa i jasna, wynurzająca się z cienia, zwróciła uwagę Anzelmy, która powiedziała do Eponiny:

– Patrz, siostró!

Obie siostry były oburzone. Kozeta ośmieliła się wziąć lalkę. Eponina wstała, nie puszczając kota, podeszła do matki i pociągnęła ją za suknię.

– Daj mi spokój! – rzekła matka. – Czego chcesz?

– Mamo – szepnęła dziewczynka – patrz tam!

I wskazała palcem Kozetę.

Kozeta, oddana zachwytowi posiadania, nie widziała i nie słyszała, co się dokoła niej działo.

Twarz Thénardierowej przybrała szczególny wyraz strasznej złości, wywołanej przez jakże drobną, nieważną przyczynę, wyraz, który kobietę tego rodzaju nakazuje nazwać jędrą.

Tym razem obrażona duma rozjątrzyła jej gniew. Kozeta przekroczyła wszelkie granice, Kozeta powążyła się dotknąć lalki „panienek”!

Taką chyba minę miałaby carowa patrząc, jak muzyk przymierza błękitną wstęgę jej syna.

Zawołała głosem zdławionym z oburzenia:

– Kozeto!

Kozeta zadrżała, jakby pod nią ziemia się zatrzęsła. Odwróciła głowę.

– Kozeto! – powtórzyła Thénardierowa.

Kozeta cichutko położyła lalkę na ziemi, z czcią jakby i z rozpaczą. Nie odrywając od niej oczu, założyła ręce i – straszna to rzecz, że o małym dziecku tak powiedzieć trzeba – załamała je. Potem czego nie mogło wydobyć z niej żadne ze wzruszeń tego dnia, ani wędrówka przez las, ani ciężar wiadra z wodą, ani zgubienie pieniędzy, ani widok dyscypliny,

ani nawet ponure słowo, które wyrzekła Thénardierowa – zapłakała. Wybuchnęła głośnym płaczem.

Podróżny wstał tymczasem.

– Co się stało? – zapytał Thénardierowej.

– Czy pan nie widzi? – odparła Thénardierowa, pokazując palcem na *corpus delicti*⁹ u stóp Kozety.

– No więc co? – powtórzył.

– Ta łajdaczka – odpowiedziała Thénardierowa – ośmieliła się dotknąć lalki moich dzieci!

– I o to tyle hałasu! – rzekł podróżny. I cóż w tym złego, że się bawiła lalką?

– Ośmieliła się dotknąć jej swymi brudnymi łapami! – mówiła dalej Thénardierowa. – Swymi szkaradnymi łapami.

Kozeta łkała coraz głośniej.

– Będziesz ty cicho! – wrzasnęła Thénardierowa.

Podróżny podszedł do drzwi od ulicy, otworzył je i wyszedł. Kiedy wyszedł, Thénardierowa, korzystając z jego nieobecności, kopnęła Kozetę pod stołem tak silnie, że dziecko zakrzyczało wniebogłosy.

Drzwi się otworzyły, wszedł podróżny, niosąc w obu rękach bajeczną lalkę, tę samą, o której mówiliśmy, a którą dzieciaki wioski podziwiałały od samego rana, i postawił ją przed Kozetą mówiąc:

– Masz, to dla ciebie.

Od godziny już siedząc tu, pogrążony w zadumie, spostrzegł widać stragan z zabawkami tak wspaniale oświetlony lampionami i świecami, że można go było dojrzeć przez szybę karczmy niby iluminację.

Kozeta podniosła oczy i patrzyła na mężczyznę podchodzącego ku niej z tą lalką, jakby patrzyła na wschodzące słońce, i usłyszała niesłychane słowa: „To dla ciebie”; spojrzała na niego, spojrzała na lalkę, potem zaczęła cofać się powoli i skryła się w najciemniejszy kąt pod stołem.

Nie płakała już, nie krzyczała, zdawało się, że nie śmie odetchnąć.

Thénardierowa, Eponina, Anzelma stały jak posągi. Nawet pijacy powstali od stołu. Całą karczmę zaległa uroczyista cisza.

Thénardierowa, nieruchoma i niema, gubiła się w domysłach: Co to za jeden, ten stary? Nędzarz? Czy milioner? A może jedno i drugie, czyli złodziej.

Na twarzy małżonka Thénardier ukazał się grymas występujący na oblicze ludzkie, ilekroć przemożny instynkt błysnie na nim z całą swą zwierzęcą potęgą. Oberżysta patrzył to na lalkę, to na podróżnego i zdawał się obwąchiwać tego człowieka, jakby obwąchiwał worek z pieniędzmi. Trwało to krótką chwilę tylko. Zbliżył się do żony i rzekł po cichu:

– Ta heca kosztuje najmniej trzydzieści franków. Proszę cię, żadnych głupstw! Plackiem przed tym człowiekiem!

Bydlęce natury mają tę wspólną cechę z naturami naiwnymi, że gwałtownie przerzucają się z ostateczności w ostateczność.

– Cóż, Kozeto – rzekła Thénardierowa głosem złych kobiet, który chciałby być słodki, a jest jak zgorzkniały miód – czemu nie bierzesz swojej lalki

Kozeta ośmieliła się wyjść ze swego schronienia.

– Moja Kozetko – dodał pieszczotliwym tonem Thénardierpan daje ci lalkę. Weźże. To dla ciebie.

Kozeta ze strachem patrzyła na cudowną lalkę. Twarz jej była jeszcze zalana łzami, ale w oczach, niby słońce w brzasku porannym, pojawiły się już błyski radości. Doświadcziała w tej chwili uczucia, jakiego by doznała, gdyby jej nagle powiedziano: Mała, jesteś królową Francji.

⁹ Dowód winy (łac.)

Zdawało się jej, że gdy dotknie lalki, piorun z niej wyskoczy.

I pod pewnym względem miała rację, bo pewna była, że Thénardierowa ją wyłaje i obije.

Ale pokusa zwyciężyła. Po długim wahaniu zbliżyła się i szepnęła bojaźliwie, obracając się ku Thénardierowej:

– Czy mogę, proszę pani?

Żaden wyraz nie odda tego tonu pełnego rozpaczony, przestachu i zachwyty:

– A jużci! – odpowiedziała Thénardierowa. – To twoje, kiedy pan ci daje.

– Naprawdę, proszę pana? – rzekła Kozeta. – Naprawdę? To dla mnie, ta dama?

Nieznajomy zdawał się mieć oczy pełne łez. Wzruszenie jego było tak wielkie, że bojąc się rozplakać, nie mógł wymówić ani słowa. Za całą odpowiedź skinął głową i włożył rękę „damy” w rączkę Kozety.

Kozeta żywo usunęła swe ręce, jakby ją oparzyła ręka „damy”, i wbiła wzrok w podłogę. Zmuszeni jesteśmy dodać, że w tej chwili przesadnie wyciągała język. Nagle obróciła się i namiętnie porwała lalkę.

– Będzie miała na imię Katarzyna – powiedziała.

Dziwna to była chwila, gdy łachmany Kozety zetknęły się i połączyły ze wstążkami i świeżymi, różowymi muślinami lalki.

– Proszę pani – odezwała się znowu – czy mogę ją posadzić na krześle?

– Owszem, moje dziecko – odpowiedziała Thénardierowa.

Teraz z kolei Eponina i Anzelma patrzyły zazdrośnie na Kozetę. Kozeta posadziła Katarzynę na krześle, usiadła przed nią na ziemi i nieruchoma, słowa nie mówiąc, pożerała ją oczyma.

– Baw się, Kozeto – rzekł nieznajomy.

– Przecież ja się bawię – odpowiedziało dziecko.

Ten nieznajomy, ten obcy, który był niby Opatrzność przybyła w odwiedzinach do Kozety, był w tej chwili istotą, której Thénardierowa nienawidziła najbardziej na świecie. Musiała jednak się powstrzymać. Lecz zbyt wiele wzruszeń spadło na nią, jakkolwiek przywykła do udawania, bo starała się naśladować we wszystkim swego męża. Pośpiesznie posłała córki spać i zapytała żółtego człowieka, czy „pozwoli” także pójść spać Kozecie, „która jest dziś bardzo zmęczona” – dodała z macierzyńską troskliwością. Kozeta poszła spać, unosząc na rękach Katarzynę.

Thénardierowa co chwila przechodziła na drugi koniec izby, do męża, żeby, jak mówiła, „ulżyć swemu sercu”. Zamieniała z nim szeptem kilka słów i złość wzbierała w niej coraz bardziej, gdyż nie śmiała ich głośno wypowiedzieć.

– Stary dureń! Czy go diabeł opętał? Po co tu przylazł? Każe się bawić temu małemu potworowi! Daje mu lalki! Daje lalki za czterdzieści franków suczce, którą bym oddała za czterdzieści su! Zobaczysz, niedługo nazwie ją królewską mością, jak księżnę de Berry! Gdzie tu rozum? Czy ten stary dziwak oszalał?

– Czemu? Nic prostszego – odparł Thénardier. – Jeżeli go to bawi? Ciebie bawi, kiedy mała pracuje, jego bawi, kiedy nic nie robi. Jego prawo. Podróżny może robić, co mu się podoba, byle płacił. Jeżeli ten stary jest filantropem, co nas to obchodzi? Jeżeli jest niedołągą, nic nam do tego. Po co się w to mieszasz, kiedy ma pieniądze!

Słowa gospodarza i rozumowanie oberżysty – nie mogła się im sprzeciwić, musiała poddać się.

Podróżny wsparł się łokciem na stole i znowu pograżył się w marzeniach. Wszyscy inni podróżni, kupcy i furmani, usunęli się nieco i przestali śpiewać. Patrzyli na niego z daleka z pewną obawą i uszanowaniem. Jegomość ten, tak biednie odziany, z taką łatwością dobywający z kieszeni pieniądze i obdarzający ogromnymi lalkami brudasów w sabotach, był na pewno człowiekiem dostojnym i groźnym.

Na koniec Thénardier zdjął czapkę, zbliżył się po cichu i odważył zapytać:

– Czy pan nie pójdzie na spoczynek?

„Nie pójdzie spać” wydawało mu się nazbyt poufałym. „Spoczynek” tracił wytwornością i wyrażał uszanowanie. Tego rodzaju wyrazy mają tajemniczą i przedziwną własność mnożenia liczb nazajutrz rano, przy rachunku. Izba, w której się „śpi”, kosztuje dwadzieścia su. Izba, do której się „idzie na spoczynek”, kosztuje dwadzieścia franków.

– Prawda! – odpowiedział nieznajomy. – Ma pan słuszość. Gdzie wasza stajnia?

– Panie – rzekł z uśmiechem Thénardier – ja sam pana zaprowadzę.

Wziął świecę, człowiek zabrał swój kij i zawiniątko i Thénardier zaprowadził go na pierwsze piętro do pokoju umeblowanego w sposób wyszukany, z mahoniowymi sprzętami i dużym łóżkiem osłoniętym firanką z czerwonego perkaliku.

– Co to za izba? – zapytał podróżny.

– To nasz własny pokój ślubny odpowiedział oberżysta. – Teraz moja żona i ja sypiamy w innym. Tu wchodzi się ledwie trzy lub cztery razy do roku.

– Wolałbym stajnię – odparł szorstko podróżny.

Thénardier udał, że nie słyszy tej niegrzecznej uwagi.

Zapalił dwie woskowe nowiuteńkie świece, stojące na kominku, w którym palii się dość dobry ogień.

Na tym kominku leżał pod szklanym kloszem welon kobiecy, tkany srebrem i ozdobiony kwiatami pomarańczowymi.

– A to co znowu? – zapytał nieznajomy.

– Panie – odpowiedział Thénardier – to welon ślubny mojej żony.

Podróżny spojrział na to wzrokiem zdającym się mówić: „No proszę, ten potwór był kiedyś dziewczycą!”

Zresztą Thénardier kłamał. Gdy najmował tę rudere na oberżę, pokój ów zastał w takim właśnie stanie i kupił meble wraz z kwiatami pomarańczowymi, w przekonaniu, że to upoetyzuje nieco „jego małżonkę” i wzbudzi pewien szacunek dla zakładu.

Kiedy podróżny odwrócił się, gospodarza już nie było. Thénardier wysunął się dyskretnie, nie śmiąc życzyć dobrej nocy, bo to wydawało mu się zbyt poufałością względem człowieka, którego nazajutrz rano postanowił obedrzeć po królewsku.

Oberżysta odszedł do swego pokoju. Żona leżała już, ale nie spała. Gdy usłyszała wchodzącego męża, odwróciła się do niego i rzekła:

– Wiesz, jutro wypędzę Kozetę.

Thénardier odpowiedział chłodno:

– A toś się rozgorączkowała!

Nie mówili już więcej i po kilku chwilach ich świeca zgasła.

Podróżny tymczasem położył w kącie swój kij i zawiniątko. Po odejściu gospodarza usiadł na fotelu i przez pewien czas trwał w zamyśleniu. Następnie zdjął buty, wziął do ręki jedną z dwóch świec, zdmuchnął drugą, otworzył drzwi i wyszedł z pokoju, rozglądając się dokoła jak człowiek, który czegoś szuka. Przebył korytarz i dotarł do schodów. Usłyszał tam lekki szelest, przypominający oddech dziecka. Kierując się według tego odgłosu, trafił na coś w rodzaju trójkątnego zagłębienia urządzonego pod schodami albo, dokładniej mówiąc, utworzonego przez schody; to zagłębienie było bowiem ich wewnętrzną stroną. Tam, wśród najrozmaitszych starych koszy i skorup, w kurzu i pajęczynach, znajdowało się jakieś łóżeczko jeżeli może być nazwany łóżkiem dziurawy siennik, z którego widać było wszystką słomę, i dziurawa kołdra, przez którą prześwitywał siennik. W dodatku ani kawałka prześcieradła. Leżało to bezpośrednio na posadzce. W tym łóżku spała Kozeta.

Podróżny podszedł bliżej i przyjrzał się jej.

Spała głębokim snem. Położyła się w ubraniu. Zimą zawsze tak szła do łóżka, żeby mniej marznąć.

Tuliła do siebie lalkę, której szeroko otwarte oczy lśniły w mroku. Co kilka chwil wzdychała głęboko, jak gdyby miała się obudzić, i niemal konwulsyjnie ścisnęła wtedy w ramionach swoją lalkę. Koło łóżka stał tylko jeden jej sabot.

W pobliżu komórki Kozety otwarte drzwi pozwalały dostrzec duży pokój, pogrążony w ciemnościach. Nieznajomy przekroczył jego próg. W głębi, poprzez oszklone drzwi, widać było dwa bardzo białe i zupełnie jednakowe łóżeczka. Spały w nich Anzelma i Eponina. Za łóżeczkami stała, widoczna tylko do połowy, wiklinowa kołyska bez zasłony, gdzie leżał chłopczyk, który krzyczał przez cały wieczór.

Ten pokój stykał się zapewne z sypialnią Thénardierów. Nieznajomy miał się już cofnąć, kiedy jego spojrzenie padło na kominek, jeden z tych wielkich kominków, jakie się spotyka w oberżach i gdzie płonie zawsze taki mały ogień, jeżeli się w nich w ogóle pali, a na których widok robi się człowiekowi tak zimno. W tym kominku nie było ognia ani nawet popiołu, było jednak coś, co przyciągnęło uwagę podróżnego – dwa dziecinne trzewiczki, bardzo eleganckie i nierównej wielkości. Podróżny przypomniał sobie uroczy i od niepamiętnych czasów datujący się zwyczaj, który każe dzieciom w dzień Bożego Narodzenia kłaść obuwie do kominka, aby dobra wróżka wrzuciła tam jakiś piękny upominek. Eponina i Anzelma oczywiście nie zapomniały o tym i każda ustawiła w kominku po jednym ze swoich trzewiczków.

Podróżny pochylił się. Wróżka, to znaczy matka, złożyła tu już wizytę i w każdym trzewiczku lśniła nowiutka półfrankówka.

Nieznajomy wyprostował się i ruszał już ku drzwiom, gdy w głębi, z boku, w najciemniejszym kącie paleniska, zauważył jeszcze jakiś przedmiot. Przyjrzał mu się i rozpoznał sabot, okropny sabot z najordynarniejszego drzewa, popękany, cały pokryty popiołem i zaschłym błotem. Był to sabot Kozety. Z tą wzruszającą ufnością dziecięcą, która co dzień może być narażona na zawód i nigdy się nie zniechęci, ona też postawiła w kominku swój sabot.

Nadzieja u dziecka, które nigdy nie zaznało nic prócz rozpacz, ma w sobie wielką wzniosłość i słodycz.

Ten sabot był pusty.

Nieznajomy sięgnął do kamizelki, schylił się i włożył do sabota Kozety luidora.

Potem wrócił na palcach do swojego pokoju.

Thénardier działający

Nazajutrz rano, na dwie godziny co najmniej przed świtem, pan Thénardier siedział w izbie gościnnej z piórem w ręku, przy stole, na którym paliła się świeca, i układał rachunek dla podróżnego w żółtym surducie.

Żona, pochylona nad nim, śledziła oczami poruszenia jego ręki. Nie mówili do siebie ani słowa. Z jednej strony panowało głębokie zamyślenie, z drugiej – religijny podziw, z jakim się patrzy na rodzący się i rozwijający cud ludzkiego rozumu. Słysząc było ruch w domu: Skowronek zamiatał schody.

Po dobrym kwadransie i kilku przekreśleniach Thénardier stworzył następujące arcydzieło:

Rachunek dla pana spod nr 1:

Wieczera	3 franki
Pokój	10

Świece	5
Ogień	4
Obsługa	1
	<u>Razem: 23 franki</u>

– Dwadzieścia trzy franki! – zawołała żona z entuzjazmem, w którym przebijało pewne wahanie.

Jak wszyscy wielcy artyści, Thénardier nie był jeszcze zadowolony.

– Phi! – odpowiedział tonem Castlereagha redagującego na Kongresie Wiedeńskim rachunek dla Francji.

– Masz słuszność, panie Thénardier, wart tego – mruzczała żona, myśląc o lalce danej Kozecie na oczach jej córek – to sprawiedliwie, ale za wiele. Nie zechce zapłacić.

Thénardier roześmiał się zimno i rzekł:

– Zapłaci.

Ten śmiech był najwyższą oznaką pewności i władzy. Musiało się spełnić to, co było powiedziane takim tonem. Żona nie nalegała. Zaczęła ustawiać stoły, mąż przechadzał się wzdłuż i wszerz po izbie. Po chwili dodał:

– Zadłużyłem się na tysiąc pięćset franków! Usiadł przed kominem i rozmyślał, z nogami na ciepłym popiele.

– Ale! – odezwała się żona. – A pamiętasz ty, że dziś wyrzucam za drzwi Kozetę? To potwór! Wciąż mi na sercu leży ta jej lalka. Wolałabym zaślubić Ludwika XVIII, niż trzymać ją w domu jeszcze przez jeden dzień.

Thénardier zapalił fajkę i puszczał kłęby dymu, odpowiedział:

– Oddasz rachunek temu człowiekowi.

Potem wyszedł.

Ledwie opuścił izbę, gdy wszedł do niej podróżny. Thénardier zjawił się natychmiast za nim i stanął nieruchomo w na pół otwartych drzwiach, widziany tylko przez żonę. Żółty człowiek miał w ręku swój kij i swoje zawiniątko.

– Tak wcześniej! – rzekła Thénardierowa. – Już pan nas opuszcza?

Mówiąc tak, z zakłopotaniem obracała w rękach rachunek i składała go w kilkoro, przesuując po złożeniach paznokciami. Gruba jej twarz wyrażała niezwykle dla niej uczucie onieśmienia i wahania. Podać taki rachunek człowiekowi, który miał tak najzupełniej wygląd „żebraka”, było dla niej rzeczą niełatwą.

Podróżny, który wydawał się roztargniony i czymś zajęty, odpowiedział:

– Tak, proszę pani, odchodzę.

– Więc pan – mówiła dalej – nie miał interesów w Montfermeil?

– Nie. Byłem tu tylko przejazdem. Ile jestem winien? – zapytał.

Thénardierowa, nie odpowiadając, podała mu złożony rachunek.

Podróżny rozłożył kartkę i spojrzał na nią, ale najwidoczniej myślał o czym innym.

– Proszę pani – zapytał – czy dobrze się wam powodzi w Montfermeil?

– Nie bardzo – odpowiedziała Thénardierowa zdumiona, że nie widzi innej zgoła reakcji na podany rachunek. Mówiła więc dalej żałośnie i płaczliwie:

– O, panie, ciężkie czasy! Przy tym tak mało mieszczan w naszych stronach! Sami wieśniacy, jak pan widzi. Nie wiem, co by było, gdyby czasami nie zajrzeli do nas podróżni hojni i bogaci jak pan! Mamy ogromne wydatki. Ot, na przykład, dla tej małej zupełnie się zarzynamy.

– Dla jakiej małej?

– Przecież pan wie, która to, Kozeta! Skowronek, jak ją tu nazywają!

– A – powiedział podróżny.

Thénardierowa mówiła dalej:

– Jacy głupi ci wieśniacy ze swoimi przezwiskami; prędzej ma minę nietoperza niż skowronka. Widzi pan, my nie prosimy o jałmużnę, ale też i dawać jej nie możemy. Nic nie zarabiamy, wydatki są duże. Koncesja, podatki, opłaty od drzwi i okien, komunalne! Pan wie, że rząd wymaga szalonych pieniędzy. A ja mam własne córki. Nie potrzebuję żywić cudzego dziecka.

Podróżny głosem, który drżał trochę, choć usiłował mówić obojętnie, odpowiedział:

– A gdyby pani zdjęto ten kłopot z głowy?

– Jaki kłopot? Kozetę?

– Tak.

Czerwona, apoplektyczna twarz karczmarki zajaśniała ohydłą radością.

– Ach, panie mój, dobry panie! Bierz ją pan, trzymaj, prowadź, zabieraj, osłódź, wypchaj, wypij, zjedz, i niech ci błogosławi Najświętsza Panna i wszyscy święci niebiescy.

– Zgoda.

– Naprawdę? Zabiera ją pan?

– Zabieram.

– Zaraz?

– Zaraz. Proszę zawołać dziecko.

– Kozeto! – krzyknęła Thénardierowa.

– A tymczasem – mówił dalej człowiek – zapłacę moją należność. Ile to tam?

Rzucił okiem na papier i mimo woli zawołał zdziwiony:

– Dwadzieścia trzy franki?

Spojrzał na oberżystkę i powtórzył:

– Dwadzieścia trzy franki?

Ton, jakim dwukrotnie wymówił te trzy słowa, zawierał w sobie całe przejście od wykrzyknika do znaku zapytania.

Thénardierowa zdążyła przygotować się na wybuch. Odpowiedziała więc z pewnością siebie:

– Dalibóg, tak, panie, dwadzieścia trzy franki.

Podróżny położył na stole pięć pięciofrankowych monet.

– Niech pani przyprowadzi małą – rzekł.

W tej chwili Thénardier wyszedł na środek izby i powiedział:

– Jest pan winien tylko dwadzieścia sześć su.

– Dwadzieścia sześć su?! – zawołała żona.

– Dwadzieścia su za pokój – dodał zimno Thénardier – a sześć su za wieczerę. Co się tyczy małej, chciałbym chwilę pomówić z panem. Zostaw nas samych, moja żono.

Ta nieprzewidziana błyskawica talentu olśniła Thénardierową. Uczuła, że wielki aktor występuje na scenę, nie odpowiedziała ani słowa i wyszła.

Kiedy zostali sami, Thénardier podał krzesło podróżnemu. Podróżny usiadł, Thénardier stał przed nim, a jego twarz przybrała niezwykle wyraz dobroduszości i prostoty.

– Muszę panu powiedzieć, proszę pana – rzekł – że ja ubóstwiam tę małą.

Nieznajomy spojrzał na niego uważnie:

– Jaką małą?

Thénardier mówił dalej:

– Śmieszna rzecz! Człowiek się przywiązuje. Co mi po tych wszystkich pieniądzech? Zabierz pan swoje pięciofrankówki. Nie o nie mi chodzi, ja ubóstwiam to dziecko.

– Które dziecko? – zapytał nieznajomy.

– Ależ naszą Kozetkę! Wszak pan chce ją nam zabrać? Otóż powiadam panu szczerze i prawdziwie, jakeś pan uczciwy, że się na to zgodzić nie mogę. Brakowałoby mi tego dziecka. Urosła pod moim okiem. Prawda, że nas dużo kosztuje, prawda, że ma wady, prawda, że nie jesteśmy bogaci, prawda, że zapłaciłem przeszło czterysta franków za lekarstwa dla niej w

czasie jednej tylko choroby! Ale trzeba coś zrobić dla Pana Boga. Nie ma to ani ojca, ani matki, sam ją wychowałem. Starczy chleba i dla mnie, i dla niej. Doprawdy, to dziecko jest mi drogie. Pan pojmuje, człek się przywiązuje; jestem głupi osioł, nie rozumię, Kocham tę małą; moja żona jest porywcza, ale także ją kocha. To, proszę pana, jakby nasze rodzone. Przywykłem, żeby to szczebiało w domu.

Nieznajomy ciągle patrzył mu w oczy. Thénardier mówił dalej:

– Z przeproszeniem wielmożnego pana, nie oddaje się swojego dziecka ot, tak sobie, pierwszemu lepszemu przechodniowi. Czy nie mam racji? Zresztą nie mówię tego do pana, jest pan bogaty, ma pan minę bardzo uczciwego człowieka. Gdybym przynajmniej wiedział, że to zapewni jej szczęście, ale trzeba by wprzód się przekonać. Rozumie pan? Przypuśćmy, że się poświęcę i pozwolę ją zabrać, chciałbym przynajmniej wiedzieć, gdzie jest, nierad bym jej stracić z oczu, pragnąłbym widzieć, u kogo jest, żeby czasami ją odwiedzić, żeby nie wątpiła, że jej przybrany ojciec pamięta o niej i czuwa nad jej losem. Są jednak rzeczy, na które nie można się zdecydować. Nie znam nawet pańskiego nazwiska. Weźmie ją pan, a ja zostanę i powiem: A Skowronek? Gdzie poleciał? – Chciałbym przynajmniej widzieć jaki taki papier, kawałek paszportu, cośkolwiek.

Nieznajomy, nie przestając patrzeć nań wzrokiem przenikającym, żeby tak rzec, aż do głębi sumienia, odpowiedział poważnie i z mocą:

– Panie Thénardier, nie bierze się paszportu w podróż o pięć mil za Paryż. Jeżeli mam zabrać z sobą Kozetę, to ją zabiorę bez żadnych ceremonii. Nie dowie się pan mojego imienia, nie dowie się pan mojego adresu, nie dowie się pan, gdzie będzie Kozeta, i pragnę, żeby już pan nigdy w życiu jej nie widział. Zrywam sznurek, którym była przywiązana za nogę, i mała odchodzi. Przystaje pan na to? Tak czy nie?

Jak demony i geniusze poznają z pewnych znaków obecność wyższego boga, podobnie Thénardier zrozumiał, że ma do czynienia z kimś bardzo mocnym. Był to rodzaj intuicji; poznał tę wyższość od razu; pijąc z furmanami, paląc fajkę i śpiewając tłuste piosenki, nie przestawał cały wieczór śledzić nieznajomego, czając się jak kot i studiując jak matematyk. Śledził go z własnego popędu, dla przyjemności i zarazem szpiegował, jakby mu za to płacono. Ani jedno spojrzenie, ani jeden ruch człowieka w żółtym surducie nie uszły jego uwagi. Nim jeszcze nieznajomy tak wyraźnie okazał, że zajmuje się losem Kozety – już Thénardier to odgadł. Widział głębokie spojrzenie starca ciągle zwrócone na dziecko. Skąd to zainteresowanie? Kim był ów człowiek? Dlaczego miał tyle pieniędzy w sakiewce i tak nędzne suknie? Takie zadawał sobie pytania, nie mogąc ich rozwiązać, i to go gniewało. Myślał o tym całą noc. Ojcem Kozety być nie mógł. Może to dziadek? To czemuż się nie dał poznać od razu? Kto ma prawo, sam o nim mówi. Widocznie ten człowiek nie miał prawa do Kozety. A więc, któż to był? Thénardier gubił się w domysłach. Przewidywał wszystko, a nie wiedział nic. Mimo to jednak, zawiązując rozmowę z owym człowiekiem i mając pewność, że kryje się tu jakaś tajemnica, pewność, że owemu człowiekowi bardzo zależy na tym, aby pozostać w cieniu, Thénardier czuł się mocny; ale gdy otrzymał odpowiedź nieznajomego tak krótką i węzłowatą, gdy poznał, że ta osoba tajemnicza jest tajemniczą po prostu i bez żadnych ogródek, uczuł się słaby. Nie spodziewał się tego. Pierzchły wszystkie jego domysły. Zebrał myśli i w jednej sekundzie rozważył wszystko. Thénardier był z tych ludzi, co obejmują położenie jednym rzutem oka. Uznał, że nadeszła chwila, by zmierzać wprost do celu. Jak wielcy wodzowie w momentach stanowczych, które oni tylko poznać umieją, odsonił nagle swą baterię.

– Panie – rzekł – potrzeba mi tysiąca pięciuset franków.

Nieznajomy wyjął z kieszeni stary pugilares z czarnej skóry, otworzył, wyjął trzy banknoty i położył je na stole. Potem przycisnął je palcem i rzekł do oberżysty.

– Przyprawdź Kozetę.

A co tymczasem robiła Kozeta, kiedy się to wszystko działo?

Obudziwszy się pobiegła do swego trzewika. Znalazła w nim złoty pieniądz. Nie był to napoleon, ale jedna z tych nowych monet dwudziestofrankowych z czasów Restauracji, na których zamiast wieńca wawrzynowego odcisnięto harcapy pruski. Kozeta była olśniona. Los zaczynał ją odurzać. Nie wiedziała, co to jest złoty pieniądz, nie widziała go nigdy, schowała go szybko do kieszeni, jakby go skradła. Czuła jednak, że był jej własnością, odgadła, kto go mógł włożyć do trzewika, i cieszyła się jakąś radością pełną lęku. Była zadowolona, ale nade wszystko była zdumiona. Rzeczy tak wspaniałe i ładne nie zdawały się jej rzeczywiste. Lalka ją przestraszała, złoty pieniądz także ją przestraszał. Drżała wobec tych wszystkich wspaniałości. Tylko nieznanego nie bała się. Przeciwnie, napawał ją spokojem. Od wczoraj, we śnie i na jawie, jej dziecinny umysł marzył o tym człowieku, który miał minę ubogiego i smutnego starca, a był tak bogaty i dobry. Od chwili gdy spotkała go w lesie, wszystko się dla niej jakby odmieniło. Kozeta, mniej szczęśliwa od najdrobniejszej jaskółki na niebie, nigdy nie wiedziała, co to przytulić się do matki, schronić pod opiekuńcze skrzydło. Od pięciu lat, to jest jak daleko sięgały jej wspomnienia, biedne dziecko tylko trzęsło się i drżało. Zawsze była naga na ostrym wicherze niedoli, teraz jej się zdało, że ktoś ją odział. Dawniej zimno było jej duszy, teraz było jej ciepło. Kozeta mniej się już bała Thénardierowej. Nie była sama, ktoś nad nią czuwał.

Wcześniej zabrała się do porannej roboty. Luidor, spoczywający w kieszonce, z której wczoraj wypadło piętnaście su, ciągle zaprzętał jej myśli. Nie śmiała dotknąć go, ale po kilka minut wpatrywała się weń – dodać trzeba – z wyciągniętym językiem. Zamiatając schody zatrzymywała się i bez ruchu, zapomniawszy o miotle i o całym świecie, patrzyła na tę gwiazdę błyszczącą w głębi kieszeni.

Właśnie na jednej z takich kontemplacji przyłapała ją Thénardierowa.

Na rozkaz męża poszła jej szukać. Rzecz niesłychana, nie dała jej szturchańca ani nie zwymyślała.

– Kozeto – rzekła niemal łagodnie – chodź prędko.

W chwilę później Kozeta weszła do izby gościnnej. Nieznajomy wziął zawiniątko, które miał z sobą, i rozwiązał je. Były w nim: wełniana sukienka, fartuszek, kaftanik, spódniczka, chustka, wełniane pończochy, trzewiki, całkowite ubranie dla siedmioletniej dziewczynki. Wszystko to było czarne.

– Moje dziecko – rzekł – weź to i idź przebierz się prędko.

Świtało, kiedy mieszkańcy Montfermeil, którzy już zaczęli otwierać drzwi swoich domów, ujrzeli idącego ulicą Paryską jakiegoś jegomościa odzianego ubogo i prowadzącego za rękę dziewczynkę w żałobie, która niosła różową lalkę. Zmierzali ku Livry.

Byli to nasz podróżny i Kozeta.

Nikt nie znał tego człowieka, mało kto poznał Kozetę, bo nie miała na sobie swoich zwykłych łachmanów.

Kozeta odchodziła. Z kim? Nie wiedziała. Dokąd? Nie wiedziała także. Jedno tylko rozumiała, że zostawia za sobą szynk Thénardierów. Nikt nie myślał się z nią żegnać ani ona nie żegnała się z nikim. Opuszczała ten dom znieawidzona i nienawidząca.

Biedna cicha istotka, której głos serca był dotychczas tłumiony nieustannie.

Kozeta szła poważnie, otwierając wielkie oczy i patrząc w niebo. Włożyła swego luidora do kieszeni nowego fartuszka. Niekiedy schylała głowę i rzucała nań okiem, potem patrzyła na nieznanego. Czuła się trochę tak, jakby szła przy Panu Bogu.

Kto szuka lepszego, może znaleźć gorsze

Thénardierowa, wedle swego zwyczaju, nie wtrącała się do tego, co robi mąż. Spodziewała się jednak ważnych wypadków. Kiedy podróżny i Kozeta odeszli, Thénardier odczekał dobry kwadrans, potem wziął ją na stronę i pokazał tysiąc pięćset franków.

– Wielka mi rzecz! – rzekła z lekceważeniem.

Po raz pierwszy, od czasu jak się pobrali, ośmieliła się skrytykować czyn swego pana.

Cios był dobrze wymierzony.

– Prawda, masz słusność – rzekł – jestem ciemięga. Daj mi kapelusz.

Złożył trzy banknoty, schował je do kieszeni i wyszedł z pośpiechem, ale omylił się w drodze, zwracając się naprzód na prawo. Sąsiedzi, których się rozpytywał, skierowali go na właściwy ślad; widzieli bowiem, że Skowronek z nieznanym poszli ku Livry. Poszedł w tę stronę wielkimi krokami, mówiąc głośno do siebie:

– Oczywiście ten człowiek jest milionerem na żółto ubranym, a ja jestem głupi jak bydlę. Dał naprzód dwadzieścia su, potem pięć franków, potem pięćdziesiąt franków, potem tysiąc pięćset franków, zawsze z taką samą łatwością. Dałby piętnaście tysięcy franków. Ale zaraz go dogonię.

A przy tym to zawiniątko z ubraniem dla małej, zawczasu przygotowane, czyż to nie dziwne? W tym wszystkim tkwi jakaś tajemnica. Głupi puszcza tajemnice, które trzyma w ręku. Tajemnice bogaczy są gąbkami pełnymi złota, trzeba umieć je wycisnąć. Takie myśli snuły mu się po głowie.

– Jestem bydlę – mówił do siebie.

Za Montfermeil, na zakręcie drogi prowadzącej do Livry, roztacza się przed oczami szeroka płaszczyna. Doszedłszy tam Thénardier był pewien, że zobaczy nieznanego i małą. Patrzył, jak tylko wzrok mógł osiągnąć, i nic nie zobaczył. Rozpytywał się jeszcze, a tymczasem czas uciekał. Przechodnie powiedzieli mu, że człowiek i dziecko, których szuka, zawrócili ku lasowi w stronę Gagny. Pośpieszył w tym kierunku.

Wprawdzie odległość była duża, ale dziecko idzie powoli, a on szedł szybko. Przy tym doskonale znał okolicę.

Nagle stanął i uderzył się w czoło, jak człowiek, który zapomniał o najważniejszej rzeczy i gotów jest zawrócić.

– Powiniennem być wziąć strzelbę – rzekł do siebie.

Thénardier należał do tych podwójnych charakterów, co niekiedy bez naszej wiedzy kręcą się pośród nas i znikają nie poznane, bo los odsłonił tylko jedną ich stronę. Przeznaczone jest wielu ludziom żyć tak na wpół w mroku. W zwykłych, spokojnych warunkach życia Thénardier miał wszystkie przymioty potrzebne, żeby wydawać się – nie powiadamy: być w istocie – tym, co nazywają pospolicie uczciwym kupcem, dobrym mieszczaninem. A równocześnie w pewnych okolicznościach, przy wstrząsach, które wydobywały na jaw dno jego natury, znajdowało się w nim wszystko, co jest potrzebne, żeby stać się zbrodniarzem. W tym kramarzu mieszkał potwór. Czart nieraz musiał przykucać w kącie budy zamieszkanego przez Thénardiera i przyglądać się w rozmarzeniu temu ohydnemu arcydziełu.

Po chwili wahania pomyślał:

Ba! Mogliby mi jeszcze uciec!

I szedł dalej prędko, stanowczy, uważny jak lis, który zwąchał stado kuropatw.

W istocie, okrążywszy stawy i przeszedłszy w poprzek wielką łąkę na prawo od drogi do Bellevue, gdy doszedł do zielonej ścieżki, okrążającej wzgórze i przykrywającej sklepienie starego kanału wodnego opactwa Chelles, ujrzał nad krzakami ów kapelusz, na którym

zbudował tyle projektów. Był to kapelusz owego człowieka. Krzaki były niskie, Thénardier domyślił się, że nieznajomy i Kozeta usiedli. Dziecka nie widział, bo było małe, ale wyraźnie dostrzegł głowę lalki.

Thénardier nie mylił się. Podróżny usiadł, żeby Kozeta trochę odpoczęła. Oberżysta okrążył krzaki i zniecała ukazał się oczom tych, których szukał.

– Przepraszam, bardzo przepraszam pana – rzekł zdyszany – ale oddaję tysiąc pięćset franków.

Mówiąc to wyciągnął ku nieznajomemu trzy banknoty.

Nieznajomy podniósł oczy:

– Co to ma znaczyć?

Thénardier odpowiedział z uszanowaniem:

– To znaczy, panie, że odbieram Kozetę.

Kozeta zadrżała i przytuliła się do obcego człowieka. Ten, przesywszy na wskroś wzrokiem Thénardiera, odpowiedział z wolna, wymawiając każdą zgłoskę:

– Odbiera pan Kozetę?

– Tak, panie, odbieram. Powiem panu, dlaczego namyśliłem się. W gruncie rzeczy nie mam prawa jej oddać. Jestem uczciwy człowiek, jak pan widzi. Ta mała nie należy do mnie, ale do matki. Matka mi ją powierzyła, tylko matce mogę ją oddać. Powie mi pan: matka umarła. Dobrze. W takim razie oddam dziecko tylko tej osobie, która przyniesie pismo od matki, że je mam jej oddać. Przecież to jasne.

Nieznajomy, nie odpowiadając, sięgnął do kieszeni i Thénardier ujrzał znowu pugilares z pieniędzmi.

Oberżysta zadrżał z radości.

Dobrze! – pomyślał – trzymajmy się! Chce mnie przekupić!

Nim otworzył pugilares, podróżny obejrzał się dokoła. Miejsce było zupełnie puste. Żywej duszy w lesie i w dolinie. Rozłożył pugilares i wyjął nie garść banknotów, których spodziewał się Thénardier, lecz zwyczajny kawałek papieru, który rozwinął i podał otwarty oberżystce, mówiąc:

– Ma pan słusność. Proszę przeczytać.

Thénardier wziął papier i przeczytał:

Montreuil-sur-mer, 25 marca 1823 r.

Panie Thénardier! Oddasz pan Kozetę oddawcy tego listu. Zapłaci panu wszystkie drobne długi.

Mam zaszczyt pozdrowić pana z szacunkiem

Fantyna

– Zna pan ten podpis? – zapytał nieznajomy.

Był to podpis Fantyny. Thénardier poznał go.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Miotał nim gniew podwójny: był zły, że musi się zrzec spodziewanych pieniędzy, był zły, że go pokonano. Nieznajomy dodał:

– Może pan sobie zachować ten papier dla spokoju sumienia.

Thénardier związał chorągiewkę, nie tracąc przytomności umysłu.

– Podpis jest nieźle podrobiony – mruknął pod nosem. – Zresztą, niech i tak będzie!

Potem zdobył się na rozpaczliwy wysiłek.

– Dobrze. Skoro pan jesteś oddawcą listu – rzekł. – Ale trzeba mi zapłacić „wszystkie drobne długi”. A należy się niemało.

Nieznajomy wstał i powiedział, strzepując niedbale kurz z wytartego rękawa:

– Panie Thénardier, w styczniu matka liczyła, że winna ci jest sto dwadzieścia franków, w lutym wysłała jej rachunek na pięćset franków, otrzymałaś w końcu lutego trzysta franków i

drugie trzysta na początku marca. Od tego czasu upłynęło dziewięć miesięcy; po piętnaście franków, według umówionej ceny, to czyni sto trzydzieści pięć franków. Dostałeś ponad sto franków. Należy ci się trzydzieści pięć franków. Dałem ci teraz tysiąc pięćset franków.

Thénardier stał jak wilk, który się czuje schwycony w żelazne kleszcze zastawionej pułapki.

A to diabeł, nie człowiek! – pomyślał.

I postąpił sobie jak wilk: silnie wstrząsnął matnią. Śmiałość raz już wyszła mu na dobre.

– Mój panie, którego nazwiska nie znam – rzekł zuchwale, usuwając na bok wszelkie oznaki uszanowania. – Albo mi zapłacisz pięć tysięcy franków, albo zabiorę Kozetę.

Nieznajomy rzekł spokojnie:

– Chodź, Kozeto:

Podał Kozecie lewą rękę, a prawą podniósł kij leżący na ziemi.

Thénardier spostrzegł, że pałka była ogromna, a miejsce zupełnie samotne.

Nieznajomy wszedł z dzieckiem w las, zostawiając za sobą nieruchomego i zdumionego karczmarza.

Kiedy się oddalali, Thénardier przypatrywał się jego szerokim barom, przygarbionym nieco, i ogromnym pięściom.

Później wzrok jego padł na własne, nędzne ramiona i wychudłe ręce. Dalibóg, trzeba być kompletnym osłem – pomyślał – żeby nie wziąć strzelby, skoro szedłem na polowanie!

A jednak jeszcze nie dał za wygraną.

– Muszę wiedzieć, dokąd pójdzie – rzekł i poszedł za nimi z daleka. Zostały mu w rękach dwie rzeczy: lichy świstek podpisany przez Fantynę i na pociechę tysiąc pięćset franków.

Nieznajomy prowadził Kozetę w kierunku Livry i Bondy. Szedł z wolna, z pochyloną głową, jakby zamyślony i smutny. Zima przeredziła las i Thénardier nie tracił ich z oczu, choć trzymał się z daleka. Niekiedy tamten odwracał się i patrzył, czy kto za nim idzie. Nagle spostrzegł Thénardiera. Szybko skręcił wraz z Kozetą w zarośla, w których mogli się skryć oboje.

– Do diaska! – rzekł Thénardier i przyspieszył kroku.

Krzaki były tak gęste, że aby ich nie zgubić, musiał zmniejszyć odległość. Kiedy weszli w najciemniejszy gąszcz, nieznajomy odwrócił się. Thénardier chciał się schować za gałęzie, ale na próżno, tamten zobaczył go, spojrzał na niego niespokojnie, potrząsnął głową i poszedł dalej. Oberżysta znów puścił się w pogoń za nim. Nagle nieznajomy obejrzał się jeszcze raz. Zobaczył oberżystę. Tym razem spojrzał tak ponuro, że Thénardier osądził, iż byłoby „zbyteczne” iść dalej. I zawrócił do domu.

Numer 9430 ukazuje się znowu i Kozeta wygrywa go na loterii

Jan Valjean nie umarł.

Wpadając albo raczej rzucając się do morza, był, jak widzieliśmy, bez kajdan. Płynął czas jakiś między dwoma prądami, aż dostał się pod stojący na kotwicy okręt, do którego przywiązana była szalupa. Znalazł sposób, żeby ukryć się w tej szalupie aż do wieczora. W nocy rzucił się wpław i dotarł do brzegu niedaleko przylądka Brun. Tu, ponieważ pieniędzy mu nie brakowało, kupił sobie ubranie. W okolicy Balaguier stała karczma, w owym czasie dostarczająca odzieży zbiegłym galernikom, co przynosiło jej znaczne zyski. Później, jak wszyscy ci smutni zbiegowie, usiłujący zmylić pogoń prawa i przekleństwo społeczeństwa, wędrował Jan Valjean krętymi i ciemnymi drogami. Pierwsze schronienie znalazł w

Pradeaux, w pobliżu Beausset. Następnie udał się do Grand-Villard w pobliżu Briancon, w górnych Alpach. Ucieczka niespokojna, po omacku, krecia droga o nieznanym korytarzach. W końcu dostał się do Paryża. A teraz widzieliśmy go w Montfermeil.

Przybywszy do Paryża natychmiast kupił żałobne ubranie dla dziewczynki siedmio lub ośmioletniej i najął mieszkanie. Następnie udał się do Montfermeil.

Pamiętamy, że zaraz po pierwszej ucieczce z więzienia odbył gdzieś w te strony tajemniczą podróż, o której władze sądowe miały pewne wiadomości.

Uważano go zresztą za umarłego i to zgęszczało ciemności, którymi się otoczył. W Paryżu wpadł mu w rękę dziennik opisujący ważniejsze wydarzenia w kraju. Przeczytawszy wiadomość o swej śmierci, uczuł się bezpieczny, prawie spokojny, jakby rzeczywiście umarł.

Wieczorem tego dnia, w którym wydobył Kozetę ze szponów Thénardierów, Jan Valjean powracał do Paryża. Wracał wraz z dzieckiem, o zmroku, przez roгатkę Monceaux. Tu wsiadł do kabrioletu, którym dojechał na esplanadę Obserwatorium. Wsiadł, zapłacił woźnicy, wziął Kozetę za rękę i oboje, ciemną nocą, poszli przez samotne ulice ku bulwarowi Hôpital.

Dzień ten był dla Kozety niezwykle i pełen wzruszeń; jedli pod płotami chleb i ser, kupione w samotnych szynkach, często wsiadali na wozy, wysiadając, gdy dojeżdżali do wsi; szli pieszo większą część drogi, ale dziewczynka się nie skarżyła. Była jednak znużona i Jan Valjean spostrzegł to, bo idąc coraz mocniej ciągnęła jego rękę. Wziął ją na plecy; Kozeta, nie puszczając Katarzyny, oparła głowę na ramieniu Jana Valjean i zasnęła.

Rozdział czwarty

RUDERA GORBEAU

Gniazdo sowy i sikorki

Przed czterdziestu laty samotny przechodzień, który by odważył się zapuścić w puste okolice Salpêtrière, idąc bulwarem aż do rogatek Włoskich, zaszedłby w miejsce, gdzie, rzecz można, nikał Paryż. Nie było to pustkowie, bo spotykało się przechodniów, nie wieś, bo były kamienice, nie miasto, bo ulice zarastały trawą i zorane były koleinami jak gościńce, nie miasteczko wreszcie, bo domy były zbyt wysokie. Cóż to więc było? Było to miejsce mieszkalne, w którym nikt nie mieszkał, pustynia, na której żyli ludzie; był to bulwar wielkiego miasta, ulica Paryża, dziksza w nocy niż las, posepniejsza we dnie niż cmentarz.

Była to stara dzielnica Targów Końskich.

Gdyby ów przechodzień zapuścił się dalej, za wałące się cztery mury Targów Końskich, gdyby miał odwagę przejść przez ulicę Małego Bankiera pozostawiając na prawo ogródek otoczony wysokimi murami, dalej plac, na którym stały kopce zmielonej kory dębowej, podobne do domków jakichś olbrzymich bobrów, dalej podwórko zavalone materiałem ciesielskim, stosami pieńków, trocin i wiórów, na których szczycie szczełało ogromne psisko, potem mur, długi i rozwalony, z czarną żalobną bramą porośłą mchem, który okrywał się kwiatami na wiosnę, a dalej jeszcze szkaradny budynek w gruzach, na których widniał napis wielkimi literami: NIE NALEPIAĆ – śmiały ten przechodzień stanąłby na rogu ulicy Vignes-Saint-Marcel, w miejscu mało znanym geografii. Tu, przy fabryce, pomiędzy dwoma murami ogrodu, stała w owym czasie rudera, która na pierwszy rzut oka zdawała się mała jak chata, a w istocie była wielka jak katedra. Od ulicy widziano tylko jedną jej ścianę, szczytową, i dlatego wydawała się tak niewielka. Cały prawie dom był ukryty. Widać było tylko drzwi i jedno okno.

Schody prowadziły do wnętrza, które było bardzo obszerne i podobne do wozowni przerobionej na dom mieszkalny. Budynek ten miał za przewód pokarmowy długi korytarz, z którego na prawo i na lewo wchodziło się do izb różnego rozmiaru, jako tako nadających się do zamieszkania, ale przypominających raczej szopy niż mieszkania. Okienka ich wychodziły na rozciągające się wokoło nie zabudowane place. Wszystkie izby były ciemne, przykre, melancholijne, grobowe; wiało w nich albo zimnym przeciągiem, albo mroźnym wiatrem, wedle tego, czy szczeliny były w drzwiach, czy w dachu. Ciekawą i malowniczą osobliwością tego rodzaju mieszkań jest wielkość gnieźdzących się w nich pajaków.

Listonosze nazywali tę rudere numerem 50/52, a w swej dzielnicy znana była jako dom Gorbeau.

Przed tą właśnie rudere Gorbeau zatrzymał się Jan Valjean. Niby dziki ptak, obrał to samotne miejsce na swe gniazdo.

Poszukał w kamizelce, wyjął coś w rodzaju wytrycha, otworzył drzwi, wszedł, potem zamknął je starannie i zaczął się wspinać na schody, niosąc Kozetę.

Wszedł na górę, wyjął z kieszeni drugi klucz i otworzył drugie drzwi. Pokój, do którego wszedł, natychmiast zamykając drzwi za sobą, był rodzajem obszernego poddasza; stało tam kilka krzeseł, stół, a na ziemi leżał materac. Piec, w którym węgiel żarzył się czerwono, znajdował się w rogu. Latarnia z bulwaru oświetlała słabo to ubogie wnętrze. W głębi był alkierzyk z tapczanikiem. Jan Valjean zaniósł tam dziecko i położył nie budząc.

Skrzesał ogień i zapalił świecę – wszystko było zawczasu przygotowane na stole i tak jak poprzedniego dnia, począł wpatrywać się w Kozetę wzrokiem pełnym zachwytu i rozczulenia, dochodzącego prawie do obłąkania. Dziewczynka ze spokojną ufnością, jaka właściwa jest najwyższej sile lub najwyższej słabości, zasnęła nie wiedząc nawet, kto jest przy niej, i spała ciągle, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Jan Valjean pochylił się i pocałował rękę dziecka.

Dziewięć miesięcy temu całował rękę jej matki, która także zasnęła.

To samo uczucie bolesne, religijne, przejmujące, przepelniało jego serce.

Ukląkł przy łóżku Kozety.

Był już dzień biały, a dziecko wciąż spało. Błady promień grudniowego słońca przedarł się przez okno poddasza i rozrzucił u pułapu długie snopy światła i cienia. Nagle ogromny wóz. Ciężko naładowany węglem, jadąc bulwarem, wstrząsnął rudera jak huk piorunu, że zadrżała od góry do dołu.

– Jestem, proszę pani! – zawołała Kozeta, zrywając się z łóżka. – Już, już!

Zeskoczyła na podłogę, z oczyma na wpół zamkniętymi pod ciężarem snu, i wyciągnęła rękę ku ścianie.

– O mój Boże, gdzie moja miotła? – zapytała.

Wreszcie całkiem otworzyła oczy i ujrzała uśmiechniętą twarz Jana Valjean.

– Ach, tak! Prawda! – rzekło dziecko. – Dzień dobry panu.

Dzieci od razu i po prostu przyjmują radość i szczęście, bo z natury są same szczęściem i radością.

Kozeta zobaczyła Katarzynę w nogach swego łóżka, wzięła ją i bawiąc się zadawała tysiące pytań Janowi Valjean: Gdzie jest? Czy Paryż jest bardzo wielki? Czy pani Thénardier jest daleko? Czy nie wróci itd., itd. Nagle zawołała:

– Jak tu ładnie!

Izba była szkaradna, ale dziecko czuło się w niej wolne.

– Czy mam zamieść? – zapytała w końcu.

– Baw się – rzekł Jan Valjean.

Tak przeszedł cały dzień. Kozeta, nie troszcząc się, że nic nie rozumie, była niewymownie szczęśliwa z tą lalką i z tym starcem.

Dwa nieszczęścia razem tworzą szczęście

Nazajutrz o świcie Jan Valjean jeszcze siedział na łóżku Kozety. Patrzył i nieruchomo czekał, aż się obudzi.

Jakieś nowe uczucie napełniało jego duszę.

Jan Valjean nic nigdy nie kochał. Od dwudziestu pięciu lat był sam jeden na świecie. Nie znał uczuć ojca, kochanka, męża, przyjaciela. W więzieniu był zły, ponury, czysty, ciemny, dziki. Serce tego starego galernika było dziewicze. Po siostrze i jej dzieciach zostały mu dalekie i blade wspomnienia, które w końcu rozwiały się prawie zupełnie. Robił, co mógł,

żeby odszukać swych bliskich, lecz nie znalazłszy, zapomniał. Taka jest natura człowieka. Inne tkliwe uczucia młodości, jeśli ich kiedy doznał, wpadły w przepaść.

Kiedy zobaczył Kozetę, kiedy zabrał ją i oswobodził, uczył, że coś ruszyło mu się we wnętrznościach. Wszystko, co było w nim serdecznego i namiętnego, rozbudziło się nagle i pobiegło ku temu dziecku. Siadał przy łóżku, na którym spała, i drżał z radości, doznawał uczuć matki i nie pojmował, co to znaczy; jest to bowiem rzecz bardzo tajemnicza i miła zarazem – owo wielkie i dziwne poruszenie serca, które zaczyna kochać.

Biedne stare serce, jeszcze nie tknięte!

Ale że miał pięćdziesiąt pięć lat, a Kozeta osiem, cała miłość, jaką mógł mieć w swoim życiu, stopiła się w jakieś niewysłowione światło.

Było to drugie jasne zjawisko, które mu się ukazało. Biskup wzeszedł na jego widnokręgu jutrzeńką cnoty, Kozeta weszła jutrzeńką miłości.

Pierwsze dni minęły wśród tego olśnienia.

Ze swej strony Kozeta, biedna mała istotka, także stawała się inna, sama nie wiedząc o tym. Matka opuściła ją tak wcześnie, że wcale jej nie pamiętała. Jak wszystkie dzieci, podobne młodym pędom winnym, czepiającym się wszystkiego, próbowała kochać. Ale na próżno. Wszyscy ją odpychali: Thénardierowie, ich dzieci i obce dzieci. Kochała psa, ale zdechł. A później nikt już jej nie lubił, żaden człowiek, żadne stworzenie. Smutne to, ale Kozeta, jak już powiedzieliśmy, w ósmym roku życia miała serce wystudzone. Nie była to jej wina, nie brakło jej zdolności kochania; niestety, brakło możliwości. Toteż od pierwszego dnia wszystko, co w niej czuło i myślało, jęło kochać tego dobrego człowieka. Uczuła coś, czego dotąd nigdy jeszcze nie zaznała – że jej dusza rozwija się jak kwiat.

Jan Valjean dobre sobie obrał schronienie. Mógł się tu czuć zupełnie bezpieczny.

Izba i alkierzyk, które zajmował wraz z Kozetą, miały okno wychodzące na bulwar. Jedyne to było okno w całym domu, nie trzeba się było przeto lękać spojrzeń sąsiadów ani z boku, ani z przeciwka.

Parter numeru 50/52, rodzaj krytego ganku walącego się w gruzy, służył za skład warzyw i owoców ogrodnikom paryskim i nie miał żadnego połączenia z pierwszym piętrzem; dzieliła je drewniana podłoga bez żadnych schodów i drzwi, niby przepona tej rudery. Na pierwszym piętrze, jak już mówiliśmy, znajdował się szereg izb i kilka strychów, z których jeden tylko zamieszkiwała stara kobieta, usługująca Janowi Valjean. Reszta stała pusta.

To ta staruszka właśnie, nosząca szumne imię „główniej lokatorki”, a w rzeczy samej pełniąca obowiązki dozorczyńni, odnajęła mu mieszkanie w Wilię Bożego Narodzenia. Powiedział jej, że jest rentierem, który stracił na bonach hiszpańskich i chce zamieszkać w tym domu ze swą wnuczką. Zapłacił za pół roku z góry i polecił starej umeblować izbę i alkierzyk. Ta właśnie staruszka napaliła w piecu i przygotowała wszystko w wieczór ich przybycia.

Upływały tygodnie. Te dwie istoty wiodły szczęśliwe życie w tej nędznej izbie.

Kozeta od świtu śmiała się, rozmawiała, śpiewała. Dzieci śpiewają rankiem jak ptaki.

Niekiedy zdarzało się, że Jan Valjean ujmował jej czerwoną, odmrożoną rączkę i całował. Biedne dziecko, przywykłe do bicia, nie wiedziało, co to znaczy, i odchodziło zawstydzone.

Czasami stawała się poważna i patrzyła na swą czarną sukienkę. Kozeta nie chodziła już w lachmanach, lecz w żałobie. Wyszła z nędzy, weszła w życie.

Jan Valjean zaczął ją uczyć czytać. Gdy sylabizował z nią, przychodziło mu niekiedy na myśl, z jak złymi zamiarami uczył się czytać na galerach. A skończyło się na tym, że teraz uczył czytać dziecko. Wtedy stary galernik uśmiechał się zamyślonym uśmiechem aniołów.

Czuł w tym jakiś boski zamysł, czyjaś wolę nadludzką, i pogrążał się w zadumie. Dobre myśli mają swe otchłanie, jak złe.

Uczyć czytać Kozetę i pozwalać jej się bawić, to było prawie całe życie Jana Valjean. Prócz tego opowiadał jej o matce i przyzwyczaił modlić się.

Mówiła do niego „ojcze” i nie przypuszczała, że mogłaby go nazywać inaczej.

Całymi godzinami przypatrywał się, jak ubierała i rozbierała lalkę, i przysłuchiwał się jej szczebiotaniu. Życie wydawało mu się ciekawe, ludzie dobrzy i sprawiedliwi, nikomu w duchu nie czynił żadnych wyrzutów, nie widział przyczyny, dla której by nie miał dożyć późnej starości, teraz, kiedy miał przy sobie to kochające dziecko. Niby rozkoszne światło, Kozeta oświetliła całą jego przyszłość. Najlepsi ludzie nie są wolni od myśli samolubnych. Były chwile, kiedy Jan Valjean z pewną radością stwierdzał, że Kozeta będzie brzydka.

Jest to zresztą tylko nasza opinia prywatna, ale jeśli mamy naszą myśl wypowiedzieć do końca, musimy wyznać, że wówczas gdy Jan Valjean zaczął kochać Kozetę, kto wie, czy nie potrzebował tego pokrzepienia duszy, aby wytrwać w dobrym. Ujrzał złość ludzką i nędzę społeczeństwa w nowych postaciach, w postaciach niepełnych, które ukazywały jedną tylko stronę prawdy, los kobiety streszczony w Fantynie, władzę publiczną uosobioną w Javercie: powrócił na galery tym razem za to, że postąpił dobrze; pił z kielicha nowych goryczy; czuł znowu wstręt i znużenie, nawet wspomnienie biskupa zaczynało się zaćmiewać, by później dopiero ukazać się tym jaśniejsze i tym bardziej triumfujące; ale tymczasem to święte wspomnienie zblakło. Kto wie, czy Jan Valjean nie był bliski zniechęcenia i upadku? Pokochał i znów stał się silny. Niestety! Nie mniej był wątpliwy i słaby od Kozety. Dał jej opiekę, ona go wzmocniła. Dzięki niemu mogła iść przez życie: dzięki niej mógł dalej iść drogą cnoty. Był opieką dla dziecka, a dziecko stało się jego punktem oparcia. O niezgłębiona i boska tajemnico równowagi ludzkich losów!

Spostrzeżenia głównej lokatorki

Jan Valjean przez ostrożność nigdy nie wychodził we dnie. Co wieczór przechadzał się o zmroku godzinę lub dwie, czasem sam, często z Kozetą, wybierając boczne aleje i najsamotniejsze bulwary i wstępując do kościołów, gdy się ściemniło. Chętnie chodził do św. Medarda, który był najbliższym kościołem. Kozeta, jeżeli nie brał jej ze sobą, zostawała ze staruszką, ale największą jej uciechą były spacerzy z opiekunem. Przekładała czas spędzony razem z nim nad rozkoszną zabawą z Katarzyną. Szedł trzymając ją za rękę i opowiadał jej różne śliczne rzeczy.

Kozeta była bardzo wesoła.

Stara zajmowała się gospodarstwem i kuchnią i chodziła do miasta po sprawunki.

Żyli skromnie, bez większych wyrzeczeń, ale jak ludzie niezamożni. Jan Valjean nic nie zmienił w pierwotnym urządzeniu mieszkania; tylko zamiast szklanych drzwi kazał zrobić w alkierzyku Kozety drzwi drewniane.

Nosił wciąż ten sam żółty surdut, czarne spodnie i stary kapelusz. Na ulicy brano go za ubogiego. Zdarzało się, że dobre kobiety przystawały i dawały mu jałmużnę. Jan Valjean przyjmował ją i kłaniał się głęboko. Zdarzało się również, iż on spotkał jakiego nędzarza proszącego o jałmużnę; wtedy oglądał się, czy go kto nie widzi, ukradkiem podchodził do nędzarza, kładł mu na rękę pieniądz, często srebrny, i szybko się oddalał. Miało to swoją niedogodną stronę. Zaczynano go nazywać w dzielnicy „żebrakiem, który rozdaje jałmużnę”.

Stara „główna lokatorka”, stworzenie zgorzkniałe i tchnące zazdrością względem bliźniego, bacznie śledziła Jana Valjean, choć się tego nie domyślał. Była trochę głucha, co ją czyniło gadatliwą. Z przeszłości pozostały jej dwa zęby, jeden u góry, drugi u dołu, które wciąż o siebie stukwały. Wypytywała Kozetę, lecz ta o niczym nie wiedziała i tyle tylko mogła powiedzieć, że przybyła z Montfermeil. Pewnego poranku szpieg ten spostrzegł, że Jan Valjean wszedł do jednej z nie zamieszkanymi izb rudery, mając w wyrazie twarzy coś, co się

wydało kumoszce niezwykajne. Poszła za nim krokami starej kotki i niewidzialna patrzyła przez szparę drzwi. Jan Valjean, zapewne przez większą ostrożność, obrócił się do tych drzwi plecami. Stara widziała, jak wyjął z kieszeni igielnik, nożyczki i nici, jak potem odpruł podszewkę surduta, wydobyl stamtąd kawałek złotawego papieru i rozwinął. Baba z przerażeniem poznała, że to był banknot tysiącfrankowy. Od czasu jak przyszła na świat, był to drugi czy trzeci, który zdarzyło się jej oglądać. Uciekła, bardzo przestraszona.

W chwilę później Jan Valjean przyszedł do niej i poprosił, aby poszła rozmienić ten tysiącfrankowy banknot, dodając, że to półroczna rata jego renty, którą odebrał poprzedniego dnia. Gdzie? pomyślała stara. – Wszedł dopiero o szóstej wieczór, a kasy skarbowe nie bywają chyba otwarte o tej porze. – Baba pobiegła zmienić pieniądze, czyniąc rozmaite domysły. Ten tysiącfrankowy banknot, skomentowany i rozmnożony, stał się przedmiotem mnóstwa podnieconych rozmów pomiędzy kumoszkami z ulicy Vignes-Saint-Marcel.

Jednego z następnych dni Jan Valjean, tylko w kamizelce, piłował drzewo na korytarzu. Stara sprzątała w izbie. Była sama, bo Kozeta wyszła przyglądać się w zachwycie piłowaniu drzewa; stara ujrzała wiszący na gwoździu surdut i obejrzała go starannie. Podszewka była zaszyta. Baba obmacała ją z uwagą i wyczuła w połach i pod pachami jakieś papiery. Z pewnością inne banknoty tysiącfrankowe.

Prócz tego wykryła w kieszeniach mnóstwo najprzeróżniejszych rzeczy. Nie tylko igły, nożyczki i nici, które już widziała, ale gruby pugilares, długi nóż i – rzecz podejrzana – kilka peruk w rozmaitych kolorach. Każda kieszeń tego surduta wydawała się jakby przygotowana na najbardziej nieprzewidziany wypadek.

Tak mieszkańcy rudery doczekali ostatnich dni zimy.

Pięciofrankówka padając na ziemię wydaje dźwięk

Pod kościołem św. Medarda siadywał zwykle na cembrowaniu starej, zasypanej studni żebrak, któremu Jan Valjean chętnie dawał jałmużnę. Rzadko się zdarzało, żeby przechodząc nie wsunął mu w rękę kilku su. Czasami też rozmawiał z nim. Zazdrośnicy mówili, że ten żebrak „należy do policji”. Był to siedemdziesięcioletni dziad kościelny, który bez przerwy szeptał pacierze.

Pewnego wieczoru Jan Valjean, przechodząc sam, bez Kozety, zobaczył żebraka na zwykłym miejscu, pod niedawno zapaloną latarnią. Człowiek ten, wedle swego zwyczaju, zdawał się modlić i siedział nisko pochylony. Jan Valjean podszedł do niego i dał mu zwykłą jałmużnę. Żebrak szybko podniósł oczy, spojrział bystro na Jana Valjean i spuścił głowę równie prędko. Ruch ten był jak błyskawica. Jan Valjean zadrzał. Zdawało mu się, że przy blasku latarni ujrzał nie głupkowatą i spokojną twarz kościelnego dziada, lecz oblicze przerażające i znajome. Doznał wrażenia, jakby spotkał się nocą oko w oko z tygrysem. Cofnął się, przerażony i osłupiały, nie śmiać odetchnąć ani przemówić, ani zostać, ani uciekać, i patrzył na żebraka, który spuścił okrytą łachmanem głowę i zdawał się nie wiedzieć, że jeszcze tu stoi. W tej dziwnej chwili jakiś instynkt, zapewne tajemniczy instynkt zachowawczy, sprawił, że Jan Valjean nie wyrzekł ani słowa. Żebrak miał ten sam wzrost, te same łachmany i tę samą postać co i co dzień. Ba! – rzekł do siebie Jan Valjean. – Chyba zwariowałem! Śni mi się. To niepodobna! – Ale powrócił do domu głęboko poruszony.

Zaledwie ośmielił się wyznać samemu sobie, że owa twarz, którą ujrzał, wydała mu się twarzą Javerta.

Rozmyślając nad tym w nocy, żałował, że nie odezwał się do tego człowieka, żeby zmusić go do podniesienia głowy po raz drugi.

Nazajutrz, gdy zmrok zapadł, wrócił tam znowu. Żebrak był na swoim miejscu. – Dzień dobry, poczciwy człecze – rzekł śmiało Jan Valjean, podając mu monetę. Żebrak podniósł głowę i odpowiedział żalonym głosem: – Dziękuję łaskawemu panu. – Był to bez wątpienia stary dziad kościelny.

Jan Valjean uspokoił się zupełnie i zaczął się śmiać. Skąd, u licha, przywidział mi się Javert? – pomyślał. – Czyżby mi się w oczach ćmiło? – I przestał o tym myśleć.

W kilka dni później, około ósmej wieczór, siedział w pokoju i słuchał, jak Kozeta głośno sylabizuje, kiedy nagle usłyszał, że drzwi rudery otworzyły się i zamknęły. Wydało mu się to rzeczą niezwykłą. Staruszka, która sama jedna mieszkała z nim w tym domu, kładła się zwykle spać o zmroku, by nie palić świecy. Jan Valjean dał znak Kozecie, żeby była cicho. Ktoś szedł po schodach. Ostatecznie mogła to być staruszka; może zachorowała i chodziła do apteki. Jan Valjean nasłuchiwał. Chód był ciężki, męski; ale stara nosiła grube trzewiki, a nic nie jest podobniejsze do chodu mężczyzny jak stąpanie starej kobiety. Jednakże Jan Valjean zgasił świecę.

Posłał Kozetę do łóżka, mówiąc jej na ucho: – Połóż się po cichu. – A kiedy ją całował w czoło, kroki zatrzymały się. Jan Valjean siedział, milczący, nieruchomy, tyłem do drzwi, na krześle, którego nie ruszył, powstrzymując w ciemności oddech. Po dość długiej chwili, nic nie słysząc, odwrócił się bezszelestnie, spojrzał na drzwi swego pokoju i w dziurce od klucza zobaczył światło. Światło świeciło jak złowroga gwiazda wśród czerni drzwi i ściany. Widocznie stał tam ktoś ze świecą w ręku i podsłuchiwał. Upłynęło kilka minut i światło znikło. Ale nie usłyszał już stąpania, z czego wniósł, że podsłuchujący pod drzwiami zdjął trzewiki. Jan Valjean rzucił się w ubraniu na łóżko i przez całą noc nie mógł zmrużyć oka.

Nad ranem, kiedy zdrzemnął się wreszcie ze znużenia, rozbudził go zgrzyt jakichś drzwi otwierających się w głębi korytarza, a potem usłyszał kroki człowieka, który poprzedniego dnia wchodził po schodach. Zerwał się z łóżka i przybliżył oko do dość dużej dziurki od klucza, spodziewając się, że zobaczy tego, co wszedł nocą do rudery i podsłuchiwał pod drzwiami. W istocie, przechodził jakiś mężczyzna, lecz tym razem nie zatrzymał się przed izbą Jana Valjean. Na korytarzu zbyt było jeszcze ciemno, by rozpoznać rysy jego twarzy, ale gdy człowiek ów doszedł do schodów, promień światła z zewnątrz uwydatnił jego sylwetkę i Jan Valjean zobaczył go z tyłu w całej postaci. Był wysokiego wzrostu, odziany w długi surdut, miał pałkę pod pachą. Była to straszna postać Javerta.

Jan Valjean mógłby go jeszcze zobaczyć z okna wychodzącego na bulwar, ale trzeba by je było otworzyć, a nie śmiał.

Najwidoczniej człowiek ten wszedł z kluczem, jakby do własnego domu. Kto mu dał klucz? Co to mogło znaczyć?

O siódmej rano, gdy staruszka weszła, żeby posprzątać w izbie, Jan Valjean spojrzał na nią badawczym wzrokiem, ale o nic nie zapytał. Kobięcina zachowywała się jak co dzień.

Zamiatając izbę rzekła:

– Chyba słyszał pan, że ktoś wchodził tej nocy?

Dla osoby w tym wieku i na tym bulwarze mieszkającej ósma wieczór to głęboka noc.

– A właśnie – odpowiedział niby od niechcienia. – Któż to taki?

– To nowy lokator – odrzekła stara.

– A jak się nazywa?

– Nie pamiętam dobrze. Dumont czy Daumont, tak jakoś.

– Co za jeden, ten pan Dumont?

Stara spojrzała nań kunimi oczkami i odpowiedziała:

– Rentier jak i pan.

Powiedziała tak może bez żadnego specjalnego celu. Jan Valjean jednak tak właśnie zrozumiał jej słowa.

Kiedy staruszka odeszła, złożył w rulonik sto franków, które miał w szafie, i schował do kieszeni. Chociaż bardzo ostrożnie układał pieniądze, jedna pięciofrankówka wysunęła mu się z ręki i z brzękiem potoczyła po podłodze.

O zmroku wyszedł przed sień i rozejrzał się uważnie po bulwarze na wszystkie strony. Nie było widać nikogo. Bulwar zdawał się zupełnie pusty. Co prawda, za drzwiami mógł się ktoś ukrywać.

Powrócił do izby.

– Chodź – rzekł do Kozety.

Wziął ją za rękę i oboje wyszli.

Rozdział piąty

NA PIEKIELNYCH ŁOWACH NIEME OGARY

Zygzaki strategiczne

Jan Valjean szybko opuścił bulwar i skręcił w boczne uliczki, robiąc jak najczęściej zygzaków, zawracając niekiedy, aby się upewnić, czy nie jest ścigany.

Takiego sposobu zwykł używać osaczony jeleń. Na gruntach, gdzie pozostają ślady, sposób ten ma między innymi tę korzyść, że myli strzelców i psy odciskami stóp idących w przeciwnych kierunkach. W myślistwie nazywa się to kluczeniem.

Tej nocy księżyc świecił w pełni. Jan Valjean był temu rad. Księżyc, dość jeszcze nisko na widnokregu, dzielił ulice na wielkie płachty cienia i światła. Jan Valjean mógł przesuwając się pod murami i domami stroną ciemną i widzieć, co się dzieje po stronie oświetlonej. Nie dość może zastanowił się nad tym, że strona ciemna wymykała się jego uwadze. Jednakże na wszystkich samotnych uliczkach sąsiadujących z ulicą Poliveau był prawie pewien, że nikt za nim nie idzie.

Kozeta szła nie zadając pytań. Sześćoletnie cierpienia lat dziecinnych wyrobiły pewną bierność w jej charakterze. Przy tym – z naciskiem zaznaczyć tu musimy – nie wiedząc dobrze dlaczego, przyzwyczaiła się do niezwykłego postępowania swego opiekuna i do dziwactw losu. Czuła się zresztą bezpieczna przy jego boku.

Jan Valjean nie więcej od Kozety wiedział, dokąd idzie. Powierzał się Bogu, jak ona powierzała się jemu. I jemu zdawało się, że trzymał za rękę kogoś potężniejszego od siebie; czuł, jakby go prowadziła jakaś niewidzialna istota. Nie miał zresztą żadnego planu ani projektu. Nie był nawet zupełnie pewny, czy rzeczywiście spotkał Javerta, a choćby to był i Javert, to przecie mógł nie poznać w nim Jana Valjean. Czyż nie był przebrany? Czyż nie uważano go zaumarłego? A jednak od kilku dni działy się rzeczy dość osobliwe. Więcej nie było mu potrzeba. Postanowił nie wracać już do domu Gorbeau. Jak zwierz wypłoszony z legowiska, szukał nory, aby się ukryć, zanim znajdzie dogodniejsze schronienie.

Jan Valjean przewędrował przez kilka zawikłanych labiryntów w dzielnicy Mauffetard, śpiącej już, jakby istniała tam jeszcze średniowieczna dyscyplina i prawo nakazujące gaszenie światła o oznaczonej godzinie; z uczoną strategią przebiegł w różnych kierunkach ulicę Censier i ulicę Copeau, ulicę Battoir-Saint-Victor i ulicę Puits-l'Ermitte. Były tam oberże, ale do nich nawet nie wstępował, bo nie zdawały mu się stosownym schronieniem. Nie wątpił zresztą, że gdyby przypadkiem śledzono jego tropy, nie zgubiono by ich.

Gdy wybiła jedenasta na kościele św. Stefana, przechodził przez ulicę Pontoise, koło biura komisarza policji, mieszczącego się pod numerem 14. W kilka chwil później instynkt, o którym mówiliśmy wyżej, kazał mu obejrzeć się. I oto zobaczył wyraźnie przy świetle latarni, stojącej przed biurem, trzech ludzi, którzy, idąc za nim z dość bliska, przeszli kolejno pod tą

latarnią na ciemną stronę ulicy. Jeden z nich skręcił w alejkę wiodącą do domu komisarza. Idący na przodzie wydał mu się bardzo podejrzany.

– Chodź, moje dziecko – rzekł do Kozety – i śpiesznie opuścił ulicę Pontoise.

Okrażył pasaż Patriarchów, zamknięty z powodu późnej godziny, przeciął na ukos ulicę Epée-de-Bois i Arbalète i zapuścił się w ulicę Poczтовую.

Jest tu skrzyżowanie koło kolegium Rollina, gdzie się rozpoczyna ulica Nowa św. Genowefy.

Księżyc rzucał jaskrawe światło na skrzyżowanie ulic. Jan Valjean przyczał się pod bramą, przypuszczając, że jeśli ci ludzie będą go dalej śledzić, przyjrzy się im dokładnie podczas przechodzenia przez oświetlony pas ulicy.

W istocie, nie upłynęły trzy minuty, kiedy tamci się ukazali. Było ich teraz czterech, wszyscy wysokiego wzrostu, w długich brunatnych surdutach i okrągłych kapeluszach, z grubymi kijami w rękę. Złowrogi ich krok w ciemnościach nie mniej niepokoił niż ogromne postacie i potężne pięści. Rzekłbyś, cztery upiory w mieszczańskich strojach.

Przystanęli na środku skrzyżowania, jak gdyby się naradzali. Na twarzach ich malowała się niepewność. Ten, który wyglądał na przewodnika, odwrócił się i żywo wskazał prawą ręką kierunek, w którym poszedł Jan Valjean; inny z pewną uporczywością pokazywał kierunek przeciwny. Kiedy ten pierwszy odwrócił się, księżyc oświetlił jego całą twarz. Jan Valjean wyraźnie rozpoznał Javerta.

Całe szczęście, że na moście Austerlickim jest ruch kołowy

Dla Jana Valjean ustała zatem wszelka niepewność; na szczęście, trwali w niej jeszcze tamci czterej. Skorzystał z ich wahania, zyskiwał czas, który tracili. Opuścił bramę, w której był ukryty, i skręcił w uliczkę Poczтовую ku dzielnicy Ogrodu Botanicznego. Kozeta zaczynała zwalniać kroku, wziął więc ją na rękę i niósł. Nikt nie przechodził, latarni nie zapalono, bo świecił księżyc.

Przyśpieszył kroku.

Minął ulicę Clef, minął studnię św. Wiktora, obszedł Ogród Botaniczny dolnymi ulicami i dotarł do wybrzeża. Tu się obejrzał. Wybrzeże puste. Ulice puste. Nikt za nim nie szedł. Odetchnął.

Doszedł do mostu Austerlickiego.

W owym czasie istniało jeszcze mostowe.

Zatrzymał się przed budką i dał jeden su.

– Należy się dwa su – rzekł inwalida pilnujący mostu. – Niesiecie dziecko, które już może chodzić. Zapłaćcie za dwoje.

Zapłacił, niezadowolony, że jego przejście wywołało jakieś spostrzeżenie. Każda ucieczka powinna polegać na prześlizgiwaniu się.

Duży wóz przejeżdżał przez Sekwanę, w tym samym kierunku.

To się przydało. Mógł przejść przez most ukryty w cieniu wozu. Na środku mostu Kozeta, której zdrtwiałały nogi, chciała też iść.

Postawił ją na ziemi i wziął za rękę.

Przeszedłszy most ujrzał na prawo składy drzewa i udał się w tym kierunku. Żeby dojść do nich, należało przebyć dość dużą przestrzeń, pustą i oświetloną. Nie zawahał się. Ci, co go ścigali, widocznie zgubili trop i Jan Valjean uczuł się bezpieczny. Szukali go zapewne, ale już nie szli za nim.

Między dwoma składami drzewa, otoczonymi murem, leżało wejście w uliczkę zwaną Chemin-Vert-Saint-Antoine, wąską, ciemną, jakby umyślnie zrobioną dla niego. Nim wszedł, obejrzał się za siebie.

Z miejsca, w którym się znajdował, mógł widzieć most Austerlicki w całej jego długości.

Cztery cienie weszły właśnie na most.

Te cienie odwróciły się tyłem do Ogrodu Botanicznego i skierowały ku prawemu brzegowi.

Te cztery cienie byli to ci sami czterej ludzie.

Jan Valjean zadrżał jak zaszczute zwierzę.

Jedna zostawała mu nadzieja – może ci ludzie nie weszli jeszcze na most i nie spostrzegli go, kiedy trzymając Kozetę za rękę przechodził przez oświetlony plac. W takim razie, jeżeli zepuści się w uliczkę, którą miał przed sobą, i zdoła dotrzeć do składów, glinianek, ogrodów, pól uprawnych, nie zabudowanych terenów – ucieknie.

Wydało mu się, że tej cichej uliczce może zaufać. Wszedł w nią.

Patrz plan Paryża z roku 1727

Uszedłszy trzysta kroków stanął w miejscu, gdzie ulica rozwidła się na dwie odnogi, z których jedna skręca na lewo, druga na prawo. Jan Valjean miał przed sobą jakby dwa ramiona litery Y. Które wybrać?

Bez wahania wybrał prawe.

Dlaczego?

Bo lewe ramię prowadziło na przedmieście, to jest do miejsc zamieszkałych, a prawe w pole, to znaczy ku pustkowiom.

Teraz jednak nie mogli już iść bardzo prędko. Zmęczenie Kozety opóźniało ucieczkę Jana Valjean.

Wziął ją znowu na ręce. Kozeta oparła głowę na jego ramieniu i nie odzywała się.

Czasami odwracał się i patrzył w tył. Stale trzymał się ciemnej strony ulicy. Kiedy się oglądał za siebie, widział ją całą jak na dłoni. Za pierwszym, za drugim i za trzecim razem nie zobaczył nikogo, cisza była zupełna, szedł więc dalej, trochę spokojniejszy. Nagle po jeszcze jednym odwróceniu głowy wydało mu się, że w tej części ulicy, którą minął, daleko w ciemnościach coś się rusza.

Rzucił się naprzód w nadziei, że znajdzie jakąś boczną uliczkę, w której się skryje, i jeszcze raz zmyli pogoń.

Doszedł do muru.

Mur ten wszakże nie zagrażał drogi, szedł on wzdłuż poprzecznej uliczki, do której doprowadzała ta, którą Jan Valjean uciekał.

I tu znów trzeba się było zdecydować – w prawo albo w lewo.

Spojrzał na prawo. Uliczka wiodła między budowlami, które wyglądały na wozownie i stodoły, i kończyła się ślepo. W głębi widać było wyraźnie wysoki biały mur.

Spojrzał na lewo. Z tej strony uliczka była otwarta i po jakichś dwustu krokach schodziła się z inną ulicą, do której była prostopadła. Ocalenie znajdowało się więc po tej stronie.

Kiedy Jan Valjean miał już zawrócić na lewo, żeby dojść do ulicy, którą widział z daleka, spostrzegł na jej rogu coś niby czarny, nieruchomy posąg.

Był to jakiś człowiek, którego niewątpliwie postawiono tam na straży i który czekał zagrażając przejście.

Jan Valjean cofnął się.

Punkt Paryża, w którym się teraz znalazł, położony między przedmieściem św. Antoniego i la Râpée jest jednym z tych, które niedawne roboty publiczne zmieniły doszczętnie, szpecąc według jednych, według innych przeobrażając. Znikły ogrody, składy drzewa i stare budynki. Dziś są tam wielkie, zupełnie nowe ulice, place, cyrki, hipodromy, dworce kolei żelaznej i więzienie Mazas, postęp, jak widzimy, razem ze swoim uzupełnianiem.

Przed pół wiekiem miejsce, do którego właśnie dotarł Jan Valjean, nazywało się Petit-Picpus, w tym samym języku ludowym, utkanym z tradycji, który do dziś uparcie nazywa Instytut „Czterema Narodami”, a Operę „Teatrem Feydeau”. Petit-Picpus, który właściwie prawie nigdy nie istniał jako odrębna dzielnica, miał niemal klasztorny wygląd hiszpańskich miast. Rzadko spotykało się tam bruk i rzadkie były zabudowania. Z wyjątkiem dwóch lub trzech ulic, o których będziemy mówić, widać tam było tylko mury i pustkowia. Ani jednego sklepu, ani jednego pojazdu; ledwo tu i ówdzie jakaś świeca paliła się w oknie; światło gasło wszędzie o dziesiątej wieczorem. Ogrody, klasztory, składy drzewa, mokradła, nieliczne niskie domy i długie mury tejże wysokości co domy.

Tak wyglądała ta dzielnica w zeszłym stuleciu. Już rewolucja traktowała ją opryskliwie. Edylowie republikańscy zabrali się do jej burzenia i przebijania przez nią ulic. Wyznaczono tam miejsca, gdzie się zwoziło gruz. Trzydzieści lat temu zaczęły tę dzielnicę przekreślać nowe budowle. Obecnie jest już całkiem wykreślona. Petit-Picpus, po którym nie ma ani śladu na dzisiejszych planach miasta, został dosyć wyraźnie utrwalony na planie z roku 1727, wydanym w Paryżu u Dionizego Thierry, ulica św. Jakuba, naprzeciwko ulicy du Plâtre, i w Lyonie u Jana Girin, ulica Mercière, „Pod Opatrznością”. W dzielnicy tej, jakieśmy powiedzieli, ulice tworzyły Y – ulica Chemin-Vert-Saint-Antoine dzieliła się na dwa rozgałęzienia, z których lewe nosiło nazwę uliczki Picpus, a prawe ulicy Polonceau. Te dwa rozgałęzienia litery Y były połączone na swych wierzchołkach jak gdyby poprzeczką. Poprzeczkę tę stanowiła ulica Droit-Mur. Ulica Polonceau kończyła się w miejscu, gdzie się z nią stykała, uliczka Picpus zaś szła jeszcze dalej, ku placowi Lenoir. Człowiek, który idąc od Sekwany dotarł do krańca ulicy Polonceau, miał po lewej ręce skręcającą gwałtownie pod prostym kątem ulicę Droit-Mur, przed sobą ścianę i po prawej ślepe przedłużenie ulicy Droit-Mur, zwane zaułkiem Genrot.

Tam znalazł się Jan Valjean.

Jak pamiętamy, ujrawszy czarną sylwetkę pilnującą rogu ulicy Droit-Mur i uliczki Picpus, cofnął się. Nie było wątpliwości. To widmo czyhało na niego.

Co robić?

Nie miał już czasu na zawrócenie z drogi. Poruszające się sylwetki, które przed chwilą dostrzegł w ciemnościach w pewnej odległości za sobą, to był niewątpliwie Javert i jego oddział. Javert znajdował się pewno na początku ulicy, na której drugim końcu stał Jan Valjean. Javert, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znał ten mały labirynt i zabezpieczył się, wysyłając jednego ze swoich ludzi, żeby pilnował wyjścia.

Te przypuszczenia, tak podobne do oczywistości, zawirowały natychmiast w znękanym umyśle Jana Valjean jak garść kurzu, która ulatuje w nagłym podmuchu wiatru. Spojrzał w zaułek Genrot – zaporą nie do przebycia. Spojrzał w uliczkę – Picpus wartownik. Widział tę ciemną figurę odcinającą się ostro na bruku zalanym światłem księżyca. Pójść naprzód – to znaczyło wpaść w ręce tego człowieka. Zawrócić – to oddać się Javertowi. Jan Valjean poczuł, że jest schwytywany jakby w sieć, która się powoli zaciska. Zrozpaczony, podniósł oczy ku niebu.

Poszukiwanie drogi wyjścia

Dla lepszego zrozumienia tego, co nastąpi, trzeba sobie dokładnie przedstawić uliczkę Droit-Mur, a szczególnie narożnik, który pozostawał po lewej ręce, kiedy wchodziło się na tę uliczkę z ulicy Polonceau. Wzdłuż całej uliczki Droit-Mur, aż do uliczki Picpus ciągnął się po prawej stronie rząd domków ubogich z wyglądu; po lewej stał gmach o surowych liniach, złożony z kilku budynków mieszkalnych, stopniowo wznoszących się w górę o piętro lub dwa, w miarę jak się zbliżały do uliczki Picpus, tak że cała budowla, wysoka od strony uliczki Picpus, była dosyć niska od ulicy Polonceau. Tu, na rogu, o którym mówiliśmy, kończyła się ona niskim murem. Mur ten nie stanowił właściwego rogu ulicy, ale był wklęsniętą ścianą, której dwa węgły zasłaniały widok temu, kto by patrzył z ulicy Polonceau czy z ulicy Droit-Mur.

Od dwóch węglów tej ściany mur ciągnął się ulicą Polonceau, aż do domu oznaczonego numerem 49, i ulicą Droit-Mur, gdzie był nierównie krótszy, aż do posępnej budowli, o której mówiliśmy, a której szczyt przecinał tworząc jeszcze jeden kąt wklęsły. Szczyt ten miał ponury wygląd; było w nim jedno tylko okno, a raczej dwie okiennice, pokryte blachą i zawsze zamknięte.

Wnękę w murze wypełniało coś przypominającego ogromną i bardzo zniszczoną bramę. Było to bezkształtne i składało się z wielkiej ilości pionowych desek, u góry szerszych, u dołu węższych, połączonych poziomo żelaznymi listwami. Obok znajdowała się druga brama, normalnych rozmiarów, po której widać było, że ją tu wmurowano nie dawniej niż przed jakimś pięćdziesięciu laty.

U góry wystawały gałęzie rosnącej po drugiej stronie lipy; mur od ulicy Polonceau był obrośnięty bluszczem.

W niebezpieczeństwie, które zawisło nad Janem Valjean, ten ponury gmach tchnął pustką i samotnością, pociągającą dla niego. Zlustrował go pośpiesznym spojrzeniem. Pomyślał, że jeżeli uda mu się dostać do środka, będzie może ocalony. Myśl i nadzieja przyszły w jednej chwili.

Środkowa część gmachu od strony ulicy Droit-Mur miała pod oknami na wszystkich piętrach stare ołowiane zbiorniki, do których ściekała woda deszczowa. Rozgałęziające się ku nim od głównej rynny mniejsze rury tworzyły na fasadzie rodzaj drzewa. Te rozmaicie powyginane rozgałęzienia przypominały zeschnięte i bezlistne pędy winorośli, które wiją się arabeskami po frontach starych domów wiejskich.

Jan Valjean zwrócił od razu uwagę na ten dziwaczny szpaler blaszanych gałęzi. Posadził Kozetę na ziemi, opierając ją plecami o kamień i nakazując, żeby była cicho, po czym pobiegł do miejsca, gdzie rynna dotykała bruku. Może dałoby się wspiąć po niej i wejść do domu? Ale rynna była zupełnie zniszczona i ledwo się trzymała ściany. Zresztą wszystkie okna tego milczącego budynku, nawet na mansardach, były zaopatrzone w grube żelazne kraty. A poza tym księżyc jasno oświetlał fasadę i człowiek, który z rogu ulicy śledził Jana Valjean, zobaczyłby jego wspinaczkę. I wreszcie, co zrobić z Kozetą? Jak ją wciągnąć na szczyt trzypiętrowego domu?

Zrezygnował z wejścia po rynnie i czołgając się pod ścianą, wrócił na ulicę Polonceau.

Kiedy stanął we wgłębieniu, gdzie zostawił Kozetę, zauważył, że tu nikt nie może go widzieć. Jakaśmy to tylko co wyjaśnili, był z każdej strony zasłonięty przed ludzkim wzrokiem. Ponadto znajdował się w cieniu. I były jeszcze te dwie bramy. Może którąś z nich uda się wyważyć? Mur, ponad którym widział lipę i bluszcz, wychodził najwidoczniej na ogród, w którym można się było jako tako ukryć, chociaż nie było jeszcze liści na drzewach, i przepędzić resztę nocy.

Czas upływał. Należało działać szybko.

Obmacał bramę i przekonał się natychmiast, że była zabita i od i wewnątrz, i od zewnątrz.

Z większą nadzieją zbliżył się do drugiej bramy. Była bardzo stara i zniszczona; sam jej ogrom czynił ją mniej trwałą, deski były przegniłe, wiązania żelazne, których było tylko trzy, przeżarte rdzą. Wyglądało, że te spróchniałe wrota dadzą się rozbić.

Przypatrzwszy się dobrze, stwierdził, że to nie była brama. Nie miała ani zawiasów, ani wiązadeł, ani szczeliny pośrodku. Tu i ówdzie przybite były poprzeczne sztaby żelazne, nie połączone ze sobą. Przez szpary w deskach widział mur i grubo ociosane kamienie, które przechodnie mogli tam oglądać jeszcze przed dziesięciu laty. Z przerażeniem poznał, że pozorną bramą była po prostu drewnianym oszalowaniem budowli, do której przylegała. Łatwo było oderwać deski, ale za deskami natrafiało się na mur.

Co byłoby niemożliwe przy oświetleniu gazowym

W tej chwili dał się słyszeć z pewnej odległości głuchy, miarowy hałas. Jan Valjean ośmielił się rzucić okiem zza węgła. Oddział, złożony z siedmiu lub ośmiu żandarmów, wszedł na ulicę Polonceau. Widział ich błyszczące bagnety. Szli w jego stronę.

Żandarmi ci, na których czele rozpoznał wysoką postać Javerta, posuwali się wolno i ostrożnie. Często zatrzymywali się. Najwidoczniej przetrząsali wszystkie zakamarki murów, wszystkie zakątki bram i zaułków.

Łatwo można było się domyślić, że był to patrol, który Javert spotkał i zawezwał do pomocy.

Obaj podwładni Javerta szli w ich szeregach.

Sądząc po ich kroku i po postojach, jakie robili, potrzeba im było mniej więcej kwadransa, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie stał Jan Valjean. Moment był straszliwy; kilka minut dzieliło Jana Valjean od przerażającej otchłani, która się przed nim otwierała po raz trzeci. A galery znaczyły teraz już nie same galery, ale i utratę Kozety na zawsze, czyli życie podobne do wnętrza grobu.

Pozostawało tylko jedno.

Jan Valjean tym się odznaczał, że miał jak gdyby dwie torby; w jednej nosił myśli człowieka świętego, w drugiej ponure talenty galernika. Sięgał do jednej torby lub do drugiej według tego, co dyktowały okoliczności.

Wśród różnych swoich sposobów, jak czytelnik pamięta, dzięki licznym próbom ucieczki z galer tulońskich, posiadał w stopniu mistrzowskim tę nieprawdopodobną sztukę wspinania się w załomie dwóch prostopadle zbiegających się ścian, bez drabiny, bez haków, za pomocą samej tylko siły mięśni, opierając się karkiem, ramionami, biodrami i kolanami, ledwo korzystając z rzadkich wypukłości muru – jeżeli potrzeba, aż do szóstego piętra.

Jan Valjean zmierzył oczyma mur, ponad którym widział lipę. Miał do osiemnastu stóp wysokości. Kąt, który tworzył z przednią ścianą wielkiego budynku, u dołu był zapełniony ceglami spojonymi w kształt ostrosłupa, po to zapewne, aby ten kącik uchronić od nieczystości. Ta masa cegły miała najmniej pięć stóp wysokości. Od jej szczytu do wierzchołka muru pozostawało nie więcej niż czternaście stóp.

Na murze leżał płaski kamienny parapet.

Jedyną trudność stanowiła Kozeta – Kozeta nie umiała się wdrapywać na mury. Porzucić ją? O tym Jan Valjean nie pomyślał ani na chwilę. Zabrać ją było niepodobieństwem. Wszystkie siły człowieka są potrzebne, żeby wykonać pomyślnie takie niecodzienne przedsięwzięcie. Najmniejszy ciężar niweczy równowagę i spycha na ziemię.

Potrzebny był sznur. Jan Valjean nie miał go. Gdzie szukać sznura o północy na ulicy Polonceau?

We wszystkich sytuacjach ostatecznych zdarzają się błyskawice, które niekiedy oślepiają, a innym razem oświecają człowieka.

Zrozpaczone spojrzenie Jana Valjean padło na słup latarni w zaułku Genrot.

W owym czasie Paryż nie znał jeszcze oświetlenia gazowego. Kiedy noc zapadała, zapalało się stojące w pewnych odległościach lampy, które spuszczano i podnoszono sznurem umieszczonym w rowku słupa. Kółko, na którym sznur się obracał, zamknięte było w małej żelaznej szafce, od której klucz miał zapalający światło, sam zaś sznur był chroniony metalową rurą.

Jan Valjean z energią, jaką daje ostateczna walka, jednym skokiem przebiegł ulicę, podważył końcem noża zamek szafki i po chwili wrócił do Kozety. Miał sznur.

Słysząc było coraz wyraźniej kroki zbliżającego się patrolu.

– Ojcie – rzekła cicho Kozeta – boję się. Kto to idzie?

– Cicho – odparł nieszczęśnik – to Thénardierowa.

Kozeta zadrżała. Dodał jeszcze:

– Ani słówka. Nie przeszkadzaj mi. Jeżeli krzykniesz albo zapłaczesz, Thénardierowa tylko czeka, żeby cię znowu zabrać.

I nie śpiesząc się zbyt, odwiązał chustkę z szyi, opasał nią Kozetę pod pachami, ostrożnie, żeby jej nie zrobić krzywdy, przywiązał chustkę do jednego końca sznura na supeł, w marynarce jaskółczym zwany, drugi koniec sznura wziął w zęby, zdjął trzewiki i pończochy, przrzucił je za mur, wskoczył na podmurowanie i zaczął wdzierać się do góry w rogu ściany z taką pewnością i mocą, jak gdyby miał szczeble pod piętami i łokciami. Nie upłynęło pół minuty, a już kłęczał na szczycie.

Kozeta patrzyła na niego osłupiała, nie mówiąc ani słowa.

Rozkaz Jana Valjean i nazwisko Thénardierowej sprawiły, że odrętwiała z grozy.

Nagle usłyszała głos Jana Valjean, który wołał po cichu:

– Oprzyj się plecami o ścianę. Usłuchała.

– Nie mów ani słowa i nie bój się – dodał.

Uczuła, że jakaś siła podnosi ją z ziemi.

Nim zdążyła zrozumieć, co się z nią dzieje, już była na szczycie muru.

Jan Valjean porwał ją, zarzucił sobie na plecy, dwie jej rączki chwycił w lewą rękę, przywarł brzuchem do muru i przyczołgał się do narożnej ściany. Jak przewidywał, stał tam budynek, którego dach łagodną pochyłością opuszczał się prawie do samej ziemi, dotykając lipy.

Okoliczność bardzo szczęśliwa, gdyż mur z tej strony był nierównie wyższy niż od ulicy; Jan Valjean widział ziemię głęboko w dole pod sobą.

Właśnie spuścił się na dach, uczepony jeszcze rękoma za szczyt muru, gdy rozległy się krzyki nadchodzącego patrolu. Słysząc było gromki głos Javerta:

– Przeszukać zaułek! Ulica Droit-Murjest strzeżona, ulica Petit-Picpus także! Ręczę, że jest w zaułku!

Żandarmi rzucili się w zaułek Genrot.

Jan Valjean zsunął się z dachu, podtrzymując Kozetę, przedostał się do lipy i zeskoczył na ziemię. Kozeta nawet nie pisnęła. Skórę na dłoniach miała trochę startą.

Początek zagadki

Jan Valjean znalazł się w obszernym i osobiwie wyglądającym ogrodzie, w jednym z tych smutnych ogrodów, które zdają się umyślnie przeznaczone na to, żeby je oglądać zimą i w nocy. Miał on kształt podłużny, w głębi aleję wysokich topoli, po kątach grupy dosyć starych drzew leśnych i w środku przestrzeń pozbawioną cienia, gdzie można było rozróżnić jedno ogromne, samotne drzewo, dalej kilka drzew owocowych, powykręcanych i jeżących się jak krzaki, kwadratowe zagony warzyw, grządki melonów nakrytych kloszami, które błyszczały w świetle księżyca, i starą studnię. W kilku miejscach stały kamienne ławki, wyglądające, jakby były czarne od mchu. Niewielkie krzewy, ciemne i sterczące do góry, rosły wzdłuż ścieżek zarośniętych w jednej połowie trawą, w drugiej zieloną pleśnią.

Jan Valjean miał tuż obok siebie budynek, po którego dachu właśnie się ześliznął, i stos chrustu, a za tym stosem, koło samego muru, kamienny posąg, którego okaleczona twarz była już tylko bezkształtną maską, niewyraźnie majaczącą w ciemnościach.

Budynek był to na pół rozwalony, niegdyś zamieszkały dom. Widać było jeszcze opustoszałe pokoje, a jeden, cały wypełniony rupieciami, służył widocznie za lamus.

Wielki budynek od ulicy Droit-Mur, sięgający uliczki Picpus, wystawał na ogród dwiema prostopadłymi do siebie fasadami. Te wewnętrzne fasady wyglądały jeszcze tragiczniej niż zewnętrzne. Wszystkie okna były zakratowane. W żadnym nie paliło się światło. Na wyższych piętrach okna miały ukośne kłapy drewniane, jak w więzieniach. Jedna z fasad rzucała na drugą cień, który padał też na ogród jak ogromny czarny całun.

Nie można było sobie wyobrazić czegoś bardziej niesamowitego i bardziej opuszczonego niż ten ogród. To, że był pusty o tej porze, nie miało w sobie nic szczególnego, ale to miejsce nie wydawało się przeznaczone na to, żeby powstała w nim noga ludzka nawet w samo południe.

Jan Valjean przede wszystkim odszukał trzewiki i obuł się, po czym wszedł wraz z Kozetą do lamusa. Uciekającemu wydaje się, że nigdy nie jest dość ukryty. Dziecko ciągle myślało o Thénardierowej i jakby pchane tym samym instynktem, szukało najciemniejszej kryjówki.

Kozeta drżała i tuliła się do swego przybranego ojca. Z zewnątrz słychać było patrol przetrząsający zaułek: uderzenia kolb o kamienie, głos Javerta nawołującego żandarmów, których rozstawił na czatach, i jego przekleństwa zmieszane ze słowami, których nie można było zrozumieć.

Po upływie kwadransa burzliwa wrzawa poczęła się oddalać. Jan Valjean ledwie oddychał.

Nagle wśród głębokiej ciszy rozległ się nowy dźwięk, niebiański, boski, niewysłowiony, równie zachwycający, jak tamten był okropny. Był to hymn wychodzący z ciemności, olśniewający wzlot modlitwy i harmonii w mroku i groźnym spokoju nocy; śpiewały jakieś głosy kobiece, wplatając w tony dziewiczej czystości naiwny ton dzieciństwa – był to chór nieziemski z rodzaju tych, które jeszcze słyszą nowo narodzone dzieci i które już słyszą umierający. Śpiew płynął z ponurego gmachu górującego nad ogrodem. Rzekłbyś, że to śpiewający aniołowie zbliżali się pośród mroków, w miarę jak oddalał się hałas złych duchów.

Kozeta i Jan Valjean padli na kolana.

Nie pojmowali, co to znaczy, nie wiedzieli, gdzie są, ale oboje, mężczyzna i dziecko, pokutnik i niewinna istota, uczyli, że trzeba uklęknąć.

Śpiew umilkł. Znowu nastała cisza. Żadnego szmeru na ulicach ani w ogrodzie. I to, co groziło, i to, co uspokajało, wszystko ucichło. Tylko suche liście, poruszane wiatrem na parapecie muru, szeleściły łagodnie i smutnie.

Dalszy ciąg zagadki

Zerwał się chłodny nocny powiew, co wskazywało, że już musiało być między pierwszą a drugą po północy. Biedna Kozeta nie odzywała się. Siadła przy nim, wsparłszy głowę na jego ramieniu, i Jan Valjean myślał, że usnęła. Schylił się i spojrzął na nią. Kozeta miała szeroko otwarte oczy, a twarzyczkę tak smutnie zamysłoną, że Janowi zrobiło się nieswojo. Drżała nieustannie.

– Chce ci się spać? – zapytał Jan Valjean.

– Zimno mi – odpowiedziała.

I dodała po chwili:

– Czy ona jeszcze jest tutaj?

– Kto? – zapytał Jan Valjean.

– Pani Thénardier.

Jan Valjean zapomniał już, jakiego użył sposobu, żeby skłonić Kozetę do milczenia.

– Ach! – rzekł – już sobie poszła. Nic się nie bój.

Dziecko westchnęło, jakby ciężar spadł mu z piersi. Ziemia była wilgotna, szopa otwarta ze wszystkich stron, wiatr coraz chłodniejszy. Jan zdjął z siebie surdut i okrył nim Kozetę.

– Ciepłej ci teraz? – zapytał.

– O tak, ojczel!

– No to poczekaj tu chwilę, zaraz wrócę.

Wyszedł z rudery i poszedł wzdłuż wielkiego budynku, szukając lepszego schronienia. Napotkał drzwi, ale zamknięte. Wszystkie parterowe okna były opatrzone kratami.

Kiedy idąc ogrodem minął róg budynku, spostrzegł, że ma przed sobą okna kończące się u góry łukami i słabo oświetlone. Wspiął się na palcach i zajrzał przez jedno z nich. W środku widać było obszerną salę z marmurową posadzką, z filarami i arkadami, nieco światła i bardzo wiele mroku. Światło szło od małej lampki płonącej w kącie. Sala była pusta i nic się w niej nie ruszało. Ale dobrze się rozejrzawszy, ujrzał na posadzce coś, co było jakby przykryte całunem i przypominało ludzką postać. Leżało to rozpląszczone, twarzą obrócone do kamieni, z rozrzuconymi rękami, jakby znieruchomiałe w śmierci. Coś węzowatego wiło się po marmurowej posadzce, sprawiając wrażenie, że ta złowroga postać ma na szyi stryczek.

Cała sala była skąpana w tej mglistej poświacie, która zawsze wypełnia miejsca słabo oświetlone i potęguje grozę.

Jan Valjean często później wspominał, że chociaż w jego życiu dużo przesunęło się grobowych widziadeł, nic jednak nie widział okropniejszego i bardziej przejmującego dreszczem niż ta zagadkowa postać, która dokonywała po nocy jakiegoś tajemniczego obrzędu w tym ponurym miejscu. Strach było pomyśleć, że to może nieboszczyk, jeszcze straszniej, że to żywy człowiek.

Zdobył się na tyle odwagi, żeby przycisnąć czoło do szyby i popatrzeć, czy postać się porusza. Na próżno czekał czas pewien, który wydał mu się bardzo długi; kształt rozciągnięty na posadzce trwał w bezruchu. Nagle zdjął go lęk tak niewymowny, że uciekł. Biegł bez pamięci ku szopie, nie śmiąc obejrzeć się. Zdawało mu się, że spojrzawszy za siebie, zobaczy ową postać, idącą za nim wielkim krokiem i potrząsającą rękami.

Zdyszany, dobiegł do rudery. Kolana uginały się pod nim, zimny pot ściekał po plecach.

Gdzież to znalazł się? Kto by mógł wyobrazić sobie, że coś tak podobnego do grobowca istnieje w samym środku Paryża? Czym był ten dziwny dom? Gmach pełen nocnych tajemnic, nawołujący dusze z ciemności głosem aniołów, a kiedy przyjdą, dający im nagłe i

przerażające widowiska, obiecujący otworzyć promieniste wrota niebios, a otwierający straszne drzwi mogiły! I był to prawdziwy budynek, dom mający swój numer na ulicy, a nie żaden sen! Aby temu uwierzyć, czuł, że musi dotknąć jego ściany.

Zimno, trwoga, niepokój, wzruszenia wieczora nabawiły go prawdziwej gorączki i wszystkie te myśli były się w jego mózgu.

Zbliżył się do Kozety. Spała.

Zagadka staje się coraz trudniejsza

Dziewczynka położyła głowę na kamieniu i usnęła.

Usiadł przy niej i patrzył. Powoli, wpatrując się w Kozetę, uspokajał się i odzyskiwał swobodę umysłu.

Jasno ujrzał tę prawdę, która dotąd miała być treścią jego życia, że dopóki Kozeta pozostanie przy nim, wszystko, czego będzie potrzebował – to tylko dla niej, czego będzie się lękał – to jedynie z jej powodu. Nie czuł nawet zimna, bo zdjął surdut po to, żeby ją okryć.

Tymczasem poprzez zadumę, w jaką zapadł, słyszał od kilku minut dziwny dźwięk, jakby brzęk grzechotki. Dźwięk pochodził z ogrodu. Słyszał go wyraźnie, chociaż był dość cichy. Podobne to było do odgłosu dzwoneczków bydła na pastwisku w nocy.

Jan Valjean obrócił głowę na ten dźwięk.

Spojrzał i zobaczył, że w ogrodzie ktoś jest.

Istota podobna do człowieka chodziła między szklanymi kloszami meloniarni, podnosząc się, pochylając i zatrzymując, wykonując miarowe ruchy, jakby coś ciągnęła po ziemi i rozkładała. Zdawała się przy tym utykać na nogę.

Jan Valjean zadrżał nie ustającym drżeniem ludzi nieszczęśliwych. Wszystko jest im nieprzyjemne i podejrzane. Nie ufają dniowi, bo dzień pomaga ich dostrzec, nie ufają nocy, bo noc pomaga ich zaskoczyć. Przed chwilą drżał na myśl, że ogród jest pusty, teraz zląkł się, bo ktoś tu był.

Z urojonej trwogi wpadł w rzeczywistość. Pomyślał, że Javert i żandarmi może nie odeszli, że zapewne zostawili czaty na ulicy, że jeśli ten człowiek zobaczy go w ogrodzie, narobi alarmu i wyda go policji. Wziął po cichu na ręce uspioną Kozetę i położył za stosem starych sprzętów, w najciemniejszym kącie szopy. Kozeta nie poruszyła się.

Stąd przypatrywał się ruchom człowieka w meloniarni. Dziwne było, że wszystkim jego poruszeniom towarzyszył brzęk dzwonka. Gdy człowiek się zbliżał, dźwięk również się zbliżał, gdy się oddalał i dźwięk się oddalał, gdy zrobił jakiś nagły ruch, rozlegało się drganie dzwonka, gdy stawał, dźwięk cichł. Widocznie dzwonek był przywiązany do tego człowieka; ale w takim razie cóż to miało znaczyć? Kim był ów człowiek, na którym wisiał dzwonek, jak na byku czy baranie?

Zadając sobie to pytanie, dotknął rąk Kozety. Były zimne jak lód.

– O Boże! – rzekł.

I zawołał po cichu:

– Kozeto!

Nie otworzyła oczu.

Potrząsnął nią mocno.

Nie obudziła się.

Czyżby umarła? – pomyślał i wstał, drżąc cały.

Najokropniejsze myśli bezładnie snuły mu się po głowie. Są chwile, w których najstraszniejsze przecucia trapią nas jak gromada jędz i gwałtownie rozsadzają komórki

naszego mózgu. Kiedy chodzi o życie tych, których kochamy, nasz rozsądek nie przebiera w szaleństwach. Przypomnił sobie, że w chłodną noc, na świeżym powietrzu sen może być śmiertelny.

Kozeta, blada, nieruchoma, leżała na ziemi u jego nóg.

Posłuchał jej oddechu; oddychała, ale słabym, zamierającym tchnieniem.

Jak ją rozgrzać? Jak rozbudzić? Wszystko znikło wobec tej jednej myśli. Jak obłąkany, wybiegł z rudery.

Nim kwadrans upłynie, Kozeta musi koniecznie znaleźć się koło ognia, w łóżku.

Człowiek z dzwonkiem

Szedł prosto do człowieka, którego zobaczył w ogrodzie. drodze wydobyl z kieszeni kamizelki rulon pieniędzy.

Człowiek ów miał głowę schyloną i nie widział nadchodzącego. W kilku susach Jan Valjean stanął przed nim i zawołał:

– Sto franków!

Człowiek drgnął i podniósł wzrok.

– Sto franków do zarobienia – powtórzył Jan Valjean – jeżeli m dacie schronienie na tę noc!

Promienie księżyca padły na pomieszana twarz Jana Valjean.

– Patrzajcie, to wy, ojciec Madeleine! – rzekł człowiek.

Na to nazwisko, wymówione tym tonem, o tak późnej godzinie, w tym obcym miejscu, przez nieznanego człowieka, Jan Valjean cofnął się.

Przygotowany był na wszystko, z wyjątkiem tego jednego. Ten, który to powiedział, był starcem zgarbionym, kulawym, odzianym prawie jak wieśniak, nad kolanem miał opaskę rzemienią, u której wisiał spory dzwonek. Twarzy nie można było rozpoznać, bo stał w cieniu.

Zdjął z głowy czapkę i zawołał, drżąc cały:

– O mój Boże, jakże się tu dostaliście, ojciec Madeleine? Którędyście weszli? Chryste Panie! Spadacie jak z obłoków. To prawda, że jeśli spadniecie kiedy, to stamtąd. A jakże to wyglądacie? Bez chustki na szyi, bez kapelusza, bez surduta! Wiecie, że nastraszylibyście każdego, kto by was nie znał! Bez surduta! Panie Boże, czyżby teraz święci wariowali? Ale jakżeście tu weszli?

Starowina rozgadał się, lecz ta gadatliwość wieśniacza nie była niepokojąca. W mowie jego dźwięczało tylko zdziwienie i szczerza dobroduszość.

– Kim jesteście i co to za dom? – zapytał Jan Valjean.

– O do licha, tego już za wiele! – zawołał stary. – Jestem ten, któremuście tu dali miejsce, a ten dom, to dom, w którym daliście mi miejsce. Jak to? Nie poznajecie mnie?

– Nie – rzekł Jan Valjean. – A skąd wy mnie znacie?

– Wyście mi uratowali życie – rzekł człowiek:

Odwrócił się, promień księżyca ukazał rysy jego twarzy i Jan Valjean poznał starego Fauchelevant.

– A! – rzekł Jan Valjean – to ty? Tak, teraz cię poznaję.

– Chwała Bogu! – rzekł stary tonem wyrzutu.

– A co tu robisz o tej porze? – zapytał Jan Valjean.

– Ja? Okrywam moje melony!

Rzeczywiście, kiedy Jan Valjean zaczął stary Fauchelevant, trzymał on w ręku koniec rogózki, którą okrywał właśnie inspekty. Położył już sporo rogózek, bo prawie od godziny pracował w ogrodzie. Przy tej właśnie czynności robił owe dziwne ruchy, które zauważył z szopy Jan Valjean.

Stary mówił dalej:

– Powiedziałem sobie: Księżyc jasny, będzie przymrozek, a gdyby tak przyodziać moje melony w surduty? – I dodał z głośnym śmiechem, patrząc na Jana Valjeana: – Dalibóg, powinniście to samo uczynić! Ale jakeście się tu dostali?

Jan Valjean widząc, że ten człowiek go poznał, przynajmniej pod nazwiskiem Madeleine, postępował teraz bardzo ostrożnie. Zadawał jak najwięcej pytań. Rzecz dziwna, role były jakby odwrócone. On, niespodziewany przybysz, rozpytywał.

– Cóż to za dzwonek macie u kolana?

– To? – odpowiedział Fauchelevant – to, żeby mnie unikano.

– Jak to? Żeby was unikano?

Stary Fauchelevant mrugnął okiem z miną nie dającą się opisać.

– A, do licha! Tu w tym domu są same kobiety; dużo młodych dziewcząt. Podobno mógłbym być niebezpieczny, gdyby mnie spotkały. Dzwonek je ostrzega. Kiedy zbliżam się, odchodzą.

– Cóż to za dom?

– Ba, albo to nie wiecie?

– Ależ nie, nie wiem.

– Wszakżeście mnie tu umieścili jako ogrodnika!

– Odpowiadajcie, jakbym o niczym nie wiedział.

– A więc, przecież to klasztor Petit-Picpus!

Jan Valjean wreszcie przypomniał sobie. Przypadek, to jest Opatrzność sprowadziła go właśnie do klasztoru w dzielnicy św. Antoniego, w którym stary Fauchelevant, kaleka od czasu jak go przygniótł wóz, przyjęty został na jego polecenie przed dwoma laty. Powtórzył, jakby mówiąc sam do siebie:

– Klasztor Petit-Picpus!

– Ale wracając do rzeczy – zapytał z kolei Fauchelevant – w jaki, u licha, sposób dostaliście się tutaj, ojczyste Madeleine? Prawda, że jesteście świętym, ale zawsze mężczyzną, a mężczyźni tu nie wchodzi.

– Przecież wy tu jesteście?

– Tylko ja jeden.

– A jednak – powiedział Jan Valjean – muszę tu zostać.

– O mój Boże! – zawołał Fauchelevant.

Jan Valjean zbliżył się do starca i rzekł poważnym głosem:

– Ojczyste Fauchelevant, ocaliłem ci życie.

– Ja pierwszy przypomniałem o tym – odpowiedział Fauchelevant. – Otóż dziś możecie zrobić to dla mnie, co niegdyś ja uczyniłem dla was.

Fauchelevant ujął starymi, pomarszczonymi i drżącymi rękoma dwie silne ręce Jana Valjeana i przez kilka chwil nie mógł wyrzec ani słowa. Na koniec zawołał:

– Och, byłoby to błogosławieństwo boże, gdybym mógł odpłacić wam choć trochę! Ja mam wam ocalić życie! Panie merze, rozporządzaj mną, starym!

Ta piękna radość jakby przeistoczyła starca. Zdawało się, że twarz jego promienieje.

– Co mam uczynić? – zapytał.

– Zaraz wam wytłumaczę. Macie izbę?

– Mam za ruinami starego klasztoru, tam, w ustronnym miejscu, chałupę, której nawet i zobaczyć znikąd nie można. A w niej izb aż trzy.

W istocie, chałupa była tak dobrze schowana przed okiem ludzkim za ruinami, że Jan Valjean nie spostrzegł jej.

– Dobrze – rzekł Jan Valjean. – Teraz żądam od was dwóch rzeczy.

– Jakich, panie merze?

– Najprzód, żebyście nie powiedzieli nikomu, co o mnie wiecie. Po wtóre, nie będziecie się starali dowiedzieć nic więcej.

– Pańska wola. Wiem, że pan nic nieuczciwego nie może zrobić i że zawsze był pan bożym człowiekiem. A przy tym pan mnie tu umieścił. Pan wie, co robi. Jestem na pańskie rozkazy.

– Dobrze. A teraz chodź ze mną. Zabierzemy dziecko.

– A! – rzekł Fauchelevant. – Jest jeszcze i dziecko!

Nie dodał ani słowa i poszedł za Janem Valjean, jak pies za panem.

W niespełna pół godziny później Kozeta, znowu rumiana dzięki płomieniom porządnego ognia, spała w łóżku starego ogrodnika. Jan Valjean włożył chustkę i surdut, odszukano i podniesiono przerzucony przez mur kapelusz; gdy Jan Valjean wdziewał surdut, Fauchelevant odpasął ramię z dzwonkiem, który teraz, zawieszony na gwoździu przy koszu, ozdabiał ścianę. Dwaj mężczyźni grzali się oparci łokciami o stół, na którym Fauchelevant położył bochenek czarnego chleba, kawał sera, postawił butelkę wina i dwie szklanki, stary rzekł do Jana Valjean, kładąc rękę na jego kolanie:

– Ach, ojczyzno Madeleine! Nie poznaliście mnie od razu! Ocalacie życie ludziom, a potem ich nie poznajecie! To źle! A oni pamiętają o was! Jesteście niewdzięczny!

W jaki sposób Javert spudłował

Wypadki, których, żeby tak rzec, lewą stronę oglądaliśmy przed chwilą, dokonały się w sposób całkiem prosty.

Kiedy Jan Valjean w nocy tego samego dnia, w którym Javert aresztował go przy śmiertelnym łożu Fantyny, uciekł z więzienia miejskiego w Montreuil-sur-mer, policja domyśliła się, że zbiegły galernik musiał obrać drogę do Paryża. Paryż jest malstromem, gdzie wszystko gubi się i znika w mrowisku ludzkim jak we wnętrzu morza. Żaden bór lepiej nie ukryje człowieka niż ta ciżba. Wiedzą o tym zbiegowie wszelkiego rodzaju. Idą do Paryża jak do otchłani, w której głębiach znaleźć mogą ocalenie. Wie o tym i policja, toteż w Paryżu szuka tego, co gdzie indziej zgubiła. Szukała też tam i byłego mera miasta Montreuil. Javert powołany został do Paryża, żeby kierować poszukiwaniami. W istocie Javert walnie przyczynił się do ujęcia Jana Valjean. Gorliwość i rozum, jakich dał dowód w tej okoliczności, zwróciły na niego uwagę pana Chabouillet, sekretarza prefektury przy hrabi Angles. Pan Chabouillet, który zresztą już przedtem protegował Javerta, kazał umieścić inspektora z Montreuil-sur-mer w policji paryskiej. Tu Javert okazał się różnorodnie i – dodajmy, choć słowo to wyda się dziwne jako określenie tego rodzaju usług – uczciwie pożyteczny.

Nie myślał już o Janie Valjean – tego rodzaju psy gończe zapominają o wczorajszym wilku dla dzisiejszej zwierzyny – gdy w grudniu 1823 roku przeczytał jakiś dziennik, on, który nigdy nie czytywał gazet; ale Javert, człowiek przekonanych monarchistycznych, pragnął dowiedzieć się o szczegółach triumfalnego wjazdu „księcia generalissimusa” do Bayonne. Kiedy kończył czytanie artykułu, który go zajmował, przypadkiem rzuciło mu się w oczy nazwisko Jana Valjean wydrukowane u spodu gazety. Dziennik donosił, że galernik Jan Valjean zmarł, i ogłaszał ten fakt w sposób tak urzędowy, że Javert nie miał żadnych

wątpliwości. Powiedział tylko: – Teraz siedzi już pod dobrą kłódką. – Odłożył dziennik i przestał o tym myśleć.

Po pewnym czasie prefektura policji Sekwany i Oise'y przestała do prefektury policji paryskiej meldunek o porwaniu dziecka, co miało miejsce, jak opowiadano ze szczegółami, w gminie Montfermeil. Mała dziewczynka siedmio- czy ośmioletnia – głosił meldunek – powierzona przez matkę miejscowemu oberżyscie, została ukradziona przez nieznanego człowieka: ta mała, imieniem Kozeta, była córką dziewczyny imieniem Fantyna, zmarłej w szpitalu, nie wiadomo gdzie i kiedy. Meldunek ten dostał się w ręce Javerta i dał mu wiele do myślenia.

Znał dobrze nazwisko Fantyny. Przypomniał sobie, że Jan Valjean zmusił jego, Javerta, do śmiechu, prosząc o trzydniową zwłokę, aby mógł odszukać dziecko tej kreatury. Przypomniał sobie, że Jan Valjean został aresztowany w Paryżu, w chwili gdy wsiadał do dylizansu jadącego do Montfermeil. Kilka wskazówek naprowadzało go już nawet w owym czasie na domysł, że po raz drugi wsiadał do dylizansu i że poprzedniego dnia odbył pierwszą wycieczkę w okolice wioski, bo w samej, wiosce go nie widziano. Po co jeździł do Montfermeil? Nie można było odgadnąć. Javert też zrozumiał. Znajdowała się tam córka Fantyny, Jan Valjean jeździł po nią. Otóż dziecko zostało skradzione przez nieznanego. Kto mógł być owym nieznanym? Może Jan Valjean? Ale Jan Valjean umarł. Nie mówiąc nic nikomu, Javert wsiadł do dylizansu odchodzącego spod „Cynowego Talerza” przy ulicy Planchett i odbył podróż do Montfermeil.

Spodziewał się, że wiele tam wyjaśni, a pogmatwało mu się w głowie jeszcze bardziej.

W pierwszych dniach rozzłoszczeni Thénardierowie wygadali wszystko. Zniknięcie Skowronka narobiło w wiosce hałasu. Powstały najprzeróżniejsze wersje tego wydarzenia, aż stało się ono ostatecznie kradzieżą dziecka. Stąd meldunek policji. A kiedy przeszła pierwsza złość, Thénardier, wiedziony swoim niezawodnym instynktem, zrozumiał szybko, że nigdy się nie opłaca poruszenie pana prokuratora królewskiego i że jego skargi z powodu „porwania” Kozety przede wszystkim zwróciłyby iskrzącą źrenicę sprawiedliwości na niego, Thénardiera, i na wiele jego ciemnych sprawek. A sowy nade wszystko nie chcą, żeby im zapalano świeczkę. Po pierwsze jakżeby się wykręcił z otrzymanych tysiąca pięciuset franków? Zwinął więc chorągiewkę, zakneblował gębę żonie i udawał zdziwionego, gdy mu mówiono o „ukradzionym dziecku”. Nie pojmował, o co idzie; prawda, że się żalił w pierwszej chwili, gdy mu tak prędko „porwano” to małe kochanie, i z czułości opiekuna rad był je zatrzymać jeszcze przez dni parę; ale przyszedł po nie jego „dziadek” i zabrał w sposób najnaturalniejszy w świecie. Dodał tego dziadka dla lepszego wrażenia. Na tę właśnie historię trafił Javert przyjechawszy do Montfermeil. Wobec dziadka rozwiła się postać Jana Valjean.

Jednakże Javert zapuścił kilka pytań, niby sondy, w historię Thénardiera. – Któż to taki ów dziadek i jak się nazywa? – Thénardier odpowiedział z prostotą: – To bogaty rolnik. Widziałem jego paszport. Zdaje mi się, że się nazywa Wilhelm Lambert.

Lambert to nazwisko pocziwe i budzące zaufanie. Javert powrócił do Paryża.

– Jan Valjean naprawdę umarł – powiedział do siebie. – Jestem stary kiep!

Zaczynał już zapominać o całej tej historii, gdy w marcu 1824 roku usłyszał o dziwnym osobniku mieszkającym w parafii św. Medarda i nazywanym „żebrakiem, który daje jałmużnę”. Osobnik ten, jak mówiono, był rentierem, nazwiska jego nikt nie znał dokładnie. a mieszkał samotnie z ośmioletnią dziewczynką, która tyle wiedziała, że pochodzi z Montfermeil. Montfermeil! Nazwa ta wracała nieustannie i kazała Javertowi nastawić uszu. Stary żebrak i szpicel zarazem, dawny kościelny, któremu ów jegomość dawał jałmużnę, dodał kilka szczegółów. Ów rentier był bardzo nietowarzystki, wychodził tylko wieczorami, nie rozmawiał z nikim, czasem tylko z ubogimi, i nikt nie mógł do niego przystąpić. Nosił okropny stary żółty surdut, który jednak wart był kilka milionów, bo cały był podszyty banknotami. Podnieciło to ciekawość Javerta. Aby przypatrzeć się z bliska niezwykłemu

rentierowi i nie spłoszyć go, pożyczył pewnego dnia od dziada jego nędzną odzież i miejsce, gdzie stary szpicel siadywał wieczorami, mamrocząc pod nosem pacierze i podsłuchując przechodniów poprzez modlitwę.

„Podejrzane indywiduum” w istocie podeszło do przebranego Javerta i dało mu jałmużnę; wtedy Javert podniósł głowę i wstrząs, jakiego doznał Jan Valjean, sądząc, że poznaje Javerta. Był nie mniej silny od wstrząsu, jakiego doznał Javert, któremu się wydało, że poznaje Jana Valjean.

Poszedł za nim aż do rudery Gorbeau i pociągnął za język dozorczyńnię, co nie było trudne. Potwierdziła ona historię o surducie podszytym milionami i opowiedziała epizod z tysiącfrankowym banknotem. Widziała na własne oczy! Dotykała! Javert wynajął pokój w ruderze i tegoż dnia w nim zamieszkał. Podsłuchiwał pod drzwiami tajemniczego lokatora, mając nadzieję, że usłyszy jego głos, ale Jan Valjean zauważył blask świecy wpadający przez dziurkę od klucza i pomieszał szyki szpicelowi, zachowując zupełne milczenie.

Nazajutrz Jan Valjean porzucił mieszkanie. Ale hałas upadającej pięciofrankówki zwrócił uwagę starej, która pomyślała, że jej lokator liczy pieniądze przed wyprowadzką, i spieszenie zawiadomiła Javerta. W nocy, kiedy Jan Valjean wychodził, Javert czekał na niego, ukryty z dwoma ludźmi za drzewami bulwaru.

Dlaczego Javert nie aresztował Jana Valjean? Miał jeszcze wątpliwości.

Trzeba pamiętać, że w owych czasach policja nie czuła się całkiem swobodnie. Krępowała ją niezależna prasa. Parę bezpodstawnych aresztowań, napiętnowanych przez dzienniki, rozległo się echem aż w parlamencie i onieśmieliło policję. Zamach na wolność osobistą był rzeczą poważną. Agenci bali się omyłek, prefekt pociągał ich do odpowiedzialności – omyłka oznaczała dymisję. Łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakie by wywołała w Paryżu taka krótka notatka powtarzana przez dwadzieścia dzienników: „Pewien siwowłosy starzec, nieskazitelny rentier, spacerujący wczoraj ze swoją ośmioletnią wnuczką, został zatrzymany i zaprowadzony do prefektury jako zbiegły galernik!”

Przypomnijmy poza tym, że Javert miał swoje osobiste skrupuły, nakazy jego sumienia szły w tym samym kierunku co wskazówki prefekta. Javert rzeczywiście miał wątpliwości.

Później dopiero, na ulicy Pontoise, przy jasnym świetle padającym z okien szynku, rozpoznał Jana Valjean ostatecznie.

Na tym świecie są dwie istoty, które potrafią doznać naprawdę głębokiego wstrząsu: matka, odnajdująca swoje dziecko, i tygrys, który odnajduje ofiarę. Takiego właśnie wstrząsu doświadczył Javert. Gdy już na pewno poznał Jana Valjean, groźnego galernika, spostrzegł, że razem z towarzyszami było ich tylko trzech, i zażądał pomocy od komisarza policji przy ulicy Pontoise. Nim się chwyci w garść cierniową gałąź, trzeba wdziać rękawicę.

Przez to opóźnienie i zatrzymanie się na skrzyżowaniu Rollin dla narady z agentami o mało nie stracił tropu swej zwierzyny. Prędko jednak odgadł, że Jan Valjean będzie chciał odgrodzić się rzeką od myśliwców. Pochylił głowę i rozmyślał, jak ogar, który wodzi nosem po ziemi, żeby lepiej zwietrzyć trop. Javert, wiedziony potężną trafnością instynktu, poszedł prosto na most Austerlicki. Jedno słowo poborcy mostowego objaśniło go do reszty.

– Widzieliście człowieka z dziewczynką?

– Zażądałem od niego dwa su – brzmiała odpowiedź.

Javert wszedł na most dość wcześnie, aby ujrzeć po drugiej stronie rzeki Jana Valjean, jak prowadząc Kozetę za rękę przechodzi przestrzeń oświetloną promieniami księżyca. Widział, jak zawracał w kierunku ulicy Chemin-Vert-Saint-Antoine; pomyślał o zamkniętej jak pułapka uliczce Genrot i o jedynym wyjściu z ulicy Droit-Mur na uliczkę Picpus. Obstawił zwierzynę, jak mówią myśliwi, i pośpiesznie wyprawił okrężną drogą jednego ze swych agentów, aby strzegł tego wyjścia. Zatrzymał patrol wracający do Arsenału i kazał mu iść z sobą. W tego rodzaju grach żandarmi są atutami. Zresztą jest zasada, że dla upolowania dzika trzeba umiejętności myśliwskiej i licznej sfory psów. Po wydaniu tych wszystkich zarządzeń,

czując, że Jan Valjean zostanie schwytyany pomiędzy ślepią uliczką Genrot z prawej strony, agentem z lewej strony, a nim, Javertem, z tyłu, zadowolony z siebie zażył tabaki.

Potem zaczął się bawić. Była to chwila rozkoszna i piekielna. Pozwolił swej ofierze iść przed siebie, pewny, że ją trzyma w ręku, lecz pragnąc opóźnić, ile możności, chwilę jej uwięzienia; szczęśliwy, że wpadła w matnię, choć jeszcze czuje się swobodna, pożerał ją oczyma z rozkoszą pajaka, który pozwala trzepotać się musze, i kota, co puszcza na chwilę mysz. Szpony mają potworną zmysłowość; ruchy zwierza uwięzionego w ich kleszczach podniecają je. Cóż za rozkosz to powolne duszenie!

Javert rozkoszował się. Oka jego sieci były mocno związane. Pewny był powodzenia; pozostawało mu tylko przykryć ofiarę ręką.

Mając tak silną eskortę, nie przewidywał żadnego oporu, jakkolwiek energiczny, mocny i zrozpaczony mógł być Jan Valjean.

Kiedy doszedł do środka pajęczyny – nie znalazł tam muchy.

Można sobie wyobrazić jego wściekłość.

Rozpytywał swoją placówkę z ulic Droit-Mur i Picpus; agent, który stał spokojnie na swoim miejscu, nie widział nikogo.

Mimo to jednak, kiedy spostrzegł, że Jan Valjean wymknął mu się, Javert nie stracił głowy. Pewny, że zbiegły galernik nie może być daleko, rozstawił czaty, urządził pułapki i zasadzki, przez całą noc przetrząsał dzielnicę. Od razu spostrzegł, że sznur latarni jest ucięty. Cenna wskazówka, która jednak zmyliła go o tyle, że wszystkie poszukiwania skierował ku zaułkowi Genrot. W zaułku tym są dość niskie mury ogrodów sąsiadujących z rozległymi ugorami. Widocznie Jan Valjean uciekł tędy. Prawda, że gdyby nieco wcześniej wszedł w zaułek Genrot, prawdopodobnie uczyniłby tak i byłby zgubiony. Javert przepatrzył ogrody i pola, jakby szukał igły.

O świcie zostawił na straży dwóch bystrych ludzi i wrócił do prefektury policji, zawstydzony jak szpicel, którego schwytał złodziej.

Rozdział szósty

CMENTARZE BIORĄ, CO SIĘ IM DAJE

O sposobie wchodzenia do klasztoru

Jan Valjean dostał się do klasztoru Petit-Picpus przez narożny mur ogrodu od ulicy Polonceau. Ów hymn anielski, który słyszał o północy, była to jutrznia śpiewana przez zakonnice; sala, którą widział w ciemnościach, była kaplicą; widmo rozciągnięte na ziemi było siostrą spełniającą akt przebłagania; dzwonek, który go tak zadziwił, był dzwonkiem ogrodnika, przywiązany do kolana ojca Fauchelevant.

Gdy Kozeta usnęła w łóżku, Jan Valjean i Fauchelevant spożyli przy dobrym ogniu kominka wieczerzę złożoną ze szklanki wina i kawałka sera; potem każdy z nich położył się na wiązce słomy, bo jedyne łóżko w domku zajęła Kozeta. Jan Valjean, nim usnął, oświadczył: – Trzeba mi tu zostać. – Słowa te przez całą noc snuły się po głowie Fauchelevant.

O świcie, dobrze się namyśliwszy, ojciec Fauchelevant otworzył oczy i zobaczył pana Madeleine, który siedząc na wiązce słomy patrzył na śpiącą Kozetę. Fauchelevant usiadł na posłaniu i zapytał:

– Teraz, kiedy pan tu już jest, co pan robi; żeby tutaj wejść?

Słowa te, streszczające całe położenie, ocknęły Jana Valjean z zadumy.

Obaj zaczęli się naradzać.

– Najprzód – rzekł Fauchelevant – zaczniemy od tego, że ani pan, ani mała nie wychylicie się nawet z tej izby. Jeden krok na ogród i wszystko bierze w łeb.

– Rzeczywiście.

– Panie Madeleine, przybywa pan w bardzo szczęśliwej chwili, chciałem powiedzieć, bardzo nieszczęśliwej: jedna z tych świętych niewiast jest ciężko chora. Z tego powodu nie będą się za wiele nam przyglądać. Zdaje się, że umiera. Odprawiają czterdziestogodzinne nabożeństwo. Całe zgromadzenie jest w ruchu. To je zajmuje. Ta, która ma ten padół opuścić, jest świętą. Prawda, że my tu wszyscy jesteśmy trochę święci; cała różnica między nimi i mną jest ta, że one mówią „nasza cela”, a ja mówię „moja buda”. Będą modlitwy za konających, a potem modlitwy za umarłych. Dziś możemy być spokojni, ale za jutro nie odpowiadam.

– Jednakże – zauważył Jan Valjean – ta chałupa stoi w kącie między murami, zasłonięta tamtą ruiną, rosną tu drzewa, z klasztoru jej nie widać.

– A ja dodam, że zakonnice nigdy się tu nie zbliżają.

– A więc? – zapytał Valjean.

Pytający ton tego „a więc?” znaczył: Zdaje mi się, że można tu się ukryć. – W odpowiedzi na ów znak zapytania Fauchelevant rzekł:

– Są małe.

– Jakie małe?

Gdy Fauchelevent otwierał usta, aby wytłumaczyć to, co powiedział przed chwilą, rozległo się pojedyncze uderzenie dzwonu.

– Zakonnica umarła – rzekł. – To dzwon za umarłych.

I skinął na Jana Valjean, żeby słuchał. Dzwon uderzył powtórnie.

– To za umarłych, panie Madeleine. Będą tak dzwonić co minutę przez całą dobę, aż do wyprowadzenia zwłok z kościoła. Otóż widzi pan, małe się bawią. W czasie rekreacji niech tylko piłka potoczy się w tę stronę, zaraz przylecą i przewracają we wszystkich kątach. To istotne diablęta, te aniołki.

– Które? – zapytał Jan Valjean.

– Małe. Oho, zaraz by pana znalazły. Zaczęłyby wołać: O! mężczyzna! – Ale dziś nie ma niebezpieczeństwa. Nie będzie rekreacji. Cały dzień muszą się modlić. Słyszysz pan dzwon? Jak panu mówiłem, dzwonią co minuta. To za umarłych.

– Pojmuję, ojcie Fauchelevent. Są tu pensjonarki.

I Jan Valjean pomyślał:

Można powiedzieć, gotowa edukacja dla Kozety.

Fauchelevent zawołał:

– Do licha! Dziewczynki! A jakby krzyczały na pana widok! Jakby uciekały! Tu mężczyzna znaczy tyle co zapowietrzony. Widzi pan, że mi przywiązują do nogi dzwonek jak dzikiemu zwierzowi.

Jan Valjean zamyślał się coraz głębiej.

– Ten klasztor – szepnął – może nas ocalić. – I dodał głośno: – Tak, najtrudniejsza rzecz, to tu zostać.

– Nie – odpowiedział Fauchelevent. – Najtrudniejsza – to wyjść stąd.

Jan Valjean uczył, że wszystka krew spływa mu do serca.

– Wyjść!

– Tak, panie Madeleine, żeby tu powrócić, musi pan wyjść.

I zaczekawszy, aż dzwon wybije, dodał:

– Nie mogą zastać pana, ot tak, ni z tego, ni z owego. Skąd pan przyszedł? Dla mnie spada pan z nieba, bo pana znam, ale dla zakonnic trzeba wchodzić drzwiami.

Nagle usłyszano dość skomplikowane dzwonenie innego dzwonu.

– A! – rzekł Fauchelevent – dzwonią na matki głosujące. Zbiera się kapituła. Zawsze odbywa się kapituła, kiedy któraś umrze. Umarła nad ranem. Zwykle umiera się nad ranem. A czy nie mógłbyś pan wyjść tędy, którądy pan tu wszedł? Ja o nic nie pytam, ale którądy pan wszedł?

Jan Valjean zbladł. Na samą myśl, że ma wrócić na ulicę, przejmował go dreszcz. Wydostań się z lasu pełnego tygrysów, a kiedy jest on już za tobą, wyobraź sobie, że przyjaciel radzi ci tam powrócić. Jan Valjean ujrzał przed sobą całą policję szperającą w dzielnicy, agentów na czatach, wszędzie placówki, straszne pięści wyciągnięte ku jego kołnierzowi; może sam Javert czyha na któryś rogu.

– Niepodobna! – rzekł.

– Ojcie Fauchelevent, przypuść, żem spadł z obłoków.

– Ależ ja wierzę panu, wierzę – odparł Fauchelevent. – Nie potrzebuje mi pan o tym mówić. Pan Bóg wziął pana w rękę, żeby się panu przypatrzeć z bliska, a potem puścił. Ale jeżeli chciał pana zrzucić do męskiego klasztoru, to zaszła mała pomyłka. Oho, jeszcze dzwonią. To uderzenie znaczy, że odźwierny ma zawiadomić władze miejskie, żeby posłały po lekarza, który przyjdzie stwierdzić zgon. Takie są ceremonie z tym umieraniem. Nasze pocziwe damy nie bardzo lubią te odwiedziny. Taki lekarz to w nic nie wierzy. Podnosi zasłonę. Czasem nawet podnosi i co innego. Ale jak one się dziś pośpieszyły z postaniem po lekarza! Co to znaczy? Pańska mała ciągle śpi. Jak jej na imię?

– Kozeta.

– To pana córka? Chciałem powiedzieć, jest pan jej dziadkiem?

– Tak.

– Tej łatwo będzie stąd wyjść. Moje drzwi służbowe wychodzą na podwórko. Stukam. Odźwierny otwiera, mam kosz na plecach, małą w koszu i wychodzę. Ojciec Fauchelevant wychodzi z koszem, nic zwykleszego. Powie pan małej, żeby siedziała spokojnie. Kosz przykryję rogożą. Zostawię ją, na ile trzeba będzie, u mojej starej przyjaciółki, głuchej przekupki przy ulicy Chemin-Vert. Jest tam u niej małe łóżeczko. Krzyknę w ucho przekupce, że to moja siostrzenica, i poproszę, żeby ją zatrzymała u siebie do następnego dnia. Potem mała wróci z panem. Boja pana sprowadzę, to się zrobi. Ale w jaki sposób wyjdzie pan stąd?

Jan Valjean potrząsnął głową.

– Cała rzecz w tym, żeby mnie nikt nie zobaczył, ojcie Fauchelevant. Znajdź sposób, żebym mógł wyjść jak Kozeta, w koszu i pod rogożą.

Fauchelevant podrapał się w koniec ucha środkowym palcem lewej ręki, dowód poważnego zakłopotania.

Trzecie dzwonienie przerwało jego myśli.

– Już lekarz umarłych wychodzi – rzekł. – Spojrzał i powiedział: – Umarła, no dobrze. – Kiedy lekarz postawi wizę na paszporcie do rajy, przyjeżdża karawan z trumną. Jeżeli umarła matka, wkładają ją do trumny matki, jeżeli siostra, to siostry. Potem ja zabijam wieko. To należy do moich ogrodniczych obowiązków. Ogrodnik to zawsze coś jakby grabarz. Stawiają ją na katafalku w dolnym kościele, którego drzwi wychodzą na ulicę i gdzie nie może wejść żaden mężczyzna oprócz lekarza umarłych. Za mężczyzn nie liczę grabarzy i siebie. W tym dolnym kościele zabijam trumnę. Grabarze przychodzą po nieboszczkę, karawaniarz zaczyna konie i wio! Tak to się jedzie do nieba. Przynoszą puste pudło, a zabierają pełne. To się nazywa pogrzeb. *De profundis*.

Poziomy promień słońca musnął twarz śpiącej Kozety, która otworzyła nieco usta i wyglądała na pijącego światło aniołka. Jan Valjean znowu zaczął patrzeć na nią i nie słuchał już ojca Fauchelevant.

Kiedy rozmówca nie słucha, to jeszcze nie powód, żeby milczeć. Poczciwy stary ogrodnik ględził dalej w najlepsze:

– Grób kopie się na cmentarzu Vaugirard. Powiadają, że ten cmentarz Vaugirard będzie zniesiony. To stary cmentarz, nie według przepisów, nie ma munduru jak się należy i dostanie dymisję. Szkoda, bo bardzo wygodny! Mam tam przyjaciela, ojca Mestienne, grabarza. Tutejsze zakonnice mają przywilej, że je wynoszą na cmentarz w nocy. Istnieje specjalny rozkaz prefektury. Ale ile to wypadków od wczorajszego dnia: matka Crucifixio umarła, a ojciec Madeleine...

– Jest pogrzebany – dodał Jan Valjean uśmiechając się smutnie.

Fauchelevant podchwycił to słowo:

– Do licha! Gdyby pan został tutaj, rzeczywiście byłbyś pogrzebany.

Rozległ się czwarty dzwon. Fauchelevant żywo zdjął z gwoźdźcia ramię z dzwonkiem i zapiał u kolana.

– Teraz to na mnie dzwonią. Matka przełożona woła mnie. A to dopiero, ukłułem się spinką. Panie Madeleine, niech się pan stąd nie rusza i czeka na mnie. Zaszło coś nowego. Jeżeli panu zachce się jeść, tam jest wino, chleb i ser.

I wyszedł z domu powtarzając: – Już! Już!

Jan Valjean patrzył, jak stary biegł przez ogród, na ile mu tylko pozwalała kulawa noga, spoglądając w przelocie na swoje melony.

Nie upłynęło dziesięć minut i oto ojciec Fauchelevant, którego dzwonek ploszył po drodze zakonnice, zastukał do drzwi, a cichy głos odpowiedział z wnętrza: – Na wieki wieków. – Na wieki wieków, czyli: Wejdźcie!

Drzwi te prowadziły do parlatorium, w którym rozmawiano z ogrodnikiem, kiedy trzeba było wydać mu jakieś polecenia. Parlatorium przytykało do sali kapituły. Przełożona, siedząc na jedynym krześle w parlatorium, czekała na Faucheleventa.

Fauchelevant w obliczu trudności

Pewne charaktery i pewne stany, zwłaszcza kapłani i zakonnice, miewają w chwilach krytycznych sobie tylko właściwy wyraz twarzy, poważny i zgorączkowany. Kiedy Fauchelevant wszedł, ten podwójny, kłopotliwy wyraz dobitnie rysował się na fizjonomii przełożonej, którą była uczona i miła panna Blemeur, matka Innocenta, zazwyczaj wesoła.

Ogrodnik skłonił się bojaźliwie i zatrzymał u progu celi. Przełożona, która przebierała palcami ziarnka różańca, podniosła oczy i rzekła:

– A, to wy, ojcie Fauvent.

Ten klasztor skracał jego nazwisko.

Fauchelevant znowu się skłonił.

– Ojcie Fauvent, kazałam was przywołać.

– Jestem na rozkazy, przewielebna matko.

– Mam wam coś do powiedzenia.

– Ja także – rzekł Fauchelevant ze śmiałością, której się zląkł w duchu – pragnąłbym coś powiedzieć przewielebnej matce.

Przełożona spojrzała na niego.

– O, chcielibyście mi coś powiedzieć?

– Mam prośbę.

– Więc mówcie.

Pocziwy Fauchelevant, czując, że jest ceniony, śmiało wygłosił do wielebnej przełożonej przemowę wiejską, dość rozwlekłą, a bardzo głęboką. Długo mówił o swym wieku, kalectwie, niemocy, o nadmiarze pracy, o wielkości ogrodu, o nocach bezsennych, jak na przykład wczorajsza, w której musiał okrywać rogózką inspekty z melonami, bo księżyc świecił w pełni, i zakończył tym, że ma brata (przełożona poruszyła się niespokojnie), brata niemłodego już (drugi ruch przełożonej), spokojnego, że gdyby pozwolono, ten brat mógłby z nim mieszkać i pomagać mu; że był doskonałym ogrodnikiem, że zgromadzenie dużo by na tym zyskało, więcej niż na nim, że w przeciwnym razie, gdyby nie przyjęto jego brata, on, starszy, czując się już zniedołężniały i nieodpowiedni do swej służby, musiałby, choć z wielkim żalem, oddalić się z klasztoru; że jego brat ma wnuczkę, którą by przyprowadził z sobą, żeby się chowała po bożemu w klasztorze, i kto wie, może z czasem zostałaby zakonnicą.

Kiedy skończył, przełożona przestała przesuwając palcami ziarnka różańca i rzekła:

– Czy możecie znaleźć do wieczora mocną sztabę żelazną?

– Do czego?

– Żeby mogła posłużyć za lewar.

– Mogę, wielebna matko – odpowiedział Fauchelevant.

Przełożona, nie dodawszy ani słowa, powstała i weszła do sąsiedniego pokoju, który był salą kapituły, gdzie matki głoszące prawdopodobnie już się zebrały. Fauchelevant został sam.

Matka Innocenta

Upłynął prawie kwadrans. Przełożona wróciła i znowu usiadła na krześle.

Obie rozmawiające z sobą osoby zdawały się czymś zaabsorbowane. Powtórzmy tu, jak można najwierniej, dialog, jaki się między nimi zawiązał:

- Ojczy Fauvent?
- Słucham, wielbna matko!
- Znacie kaplicę?
- Mam tam małą klatkę, z której słucham mszy świętej i nieszpórów.
- Wchodziliście kiedy na chór dla jakiej roboty?
- Dwa, może trzy razy.
- Chodzi o podniesienie kamienia.
- Ciężkiego?
- Tafla posadzki, która znajduje się obok ołtarza.
- Ten kamień, co zamyka wejście do podziemia?
- Tak jest.
- Przydałoby się dwóch mężczyzn do tej roboty.
- Matka Ascension wam dopomoże, silna jest jak mężczyzna.
- Kobieta to zawsze nie mężczyzna.
- Tylko kobieta może wam u nas dopomóc. Każdy robi, co może. Dlatego że ojciec Mabillon podaje czterysta siedemnaście listów świętego Bernarda, a Merlonus Horstius tylko trzysta sześćdziesiąt siedem, bynajmniej nie gardzę Merlonusem Horstiusiem.
- Ja również nie.
- Zasługą jest pracować według swoich sił. Klasztor nie jest warsztatem.
- Ani kobieta mężczyzną. Ale mój brat to dopiero mocny człowiek!
- No i będziecie mieli lewar.
- To jedyny rodzaj klucza, który pasuje do takich drzwi.
- Przy kamieniu jest kółko.
- Wsadzę w nie lewar.
- Kamień jest tak osadzony, że może się obracać.
- To dobrze, wielbna matko. Otworzę podziemie.
- W obecności czterech matek kanterek.
- A kiedy będzie otworzone?
- Trzeba będzie je zamknąć.
- To wszystko?
- Nie.
- Czekam na wasze rozkazy, przewielebna matko.
- Fauvent, mamy do was zaufanie.
- Jestem tu, żeby robić wszystko.
- I milczeć o wszystkim.
- Tak jest, wielbna matko.
- Kiedy podziemie będzie otworzone...
- Zamknę je.
- Ale przedtem...
- Co, wielbna matko?
- Trzeba będzie coś spuścić do podziemia.

Nastąpiło milczenie. Przełożona, poruszywszy dolną wargę, jakby wahając się, dodała:

- Ojciec Fauvent?
- Słucham wielbnej matki!
- Wiecie, że dziś rano umarła jedna matka?
- Nie.
- Toście nie słyszeli dzwonu?
- W głębi ogrodu nic nie słychać!
- Doprawdy?
- Ledwie że odróżniam mój dzwon.
- Umarła o świcie.
- A przy tym rano wiatr nie wiał w moją stronę.

– To matka Crucifixio. Błogosławiona.

Przełożona umilkła, poruszyła ustami, jakby w duchu odmawiając modlitwę, i dodała:

– Przed trzema laty, widząc tylko, jak matka Crucifixio modliła się, jansenistka, pani Bethune, została nawrócona...

- A tak, słyszę teraz dzwon za umarłych, wielbna matko.
- Matki zaniosły ją do sali zmarłych, która się łączy z kościołem.
- Wiem.
- Żaden inny mężczyzna prócz was nie może i nie powinien wejść do tej sali. Pamiętajcie o tym. To byłoby okropne, gdyby mężczyzna wszedł do pokoju zmarłych!

– Jeszcze by też!

– Co?

– Jeszcze by też

– Co mówicie?

– Mówię: jeszcze by też.

– Jeszcze by też co?

– Wielbna matko, nie mówię: jeszcze by też co, mówię: jeszcze by też.

– Nie rozumiem was. Dlaczego mówicie jeszcze by też?

– Żeby powiedzieć to samo co wy, wielbna matko.

– Ale ja tego nie mówiłam.

– Wielbna matka nie powiedziała, ale ja powiedziałem, żeby powiedzieć tak, jak wielbna matka. W tej chwili wybiła dziewiąta.

– O dziewiątej i o każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza – rzekła przełożona.

– Amen – dodał Fauchelevant.

Godzina wybiła w samą porę. Przerwała rozmowę o tym „jeszcze by też”. Gdyby nie to, prawdopodobnie ani przełożona, ani Fauchelevant nie wybrnęliby z tej płataniny.

Fauchelevant otarł czoło.

Przełożona zaczęła znowu szeptać jakąś modlitwę, po czym rzekła głośno:

– Za życia matka Crucifixio nawracała grzeszników, po śmierci będzie czynić cuda.

– O, będzie czynić cuda! – odpowiedział Fauchelevant, dotrzymując jej kroku i dbając, żeby się już więcej nie potknąć.

– Ojciec Fauvent, błogosławieństwo zgromadzenia było w matce Crucifixio. Prawda, że nie wszystkim dano umierać jak kardynał Berulle, przy mszy świętej, i Bogu oddać ducha wymawiając słowa: *Hanc igitur oblationem*¹⁰. Ale choć nie dostąpiła tak wielkiego szczęścia, matka Crucifixio miała bardzo piękną śmierć. Zachowała przytomność do ostatniej chwili. Mówiła do nas, potem do aniołów. Dała nam swoje ostatnie polecenia. Gdybyście mieli trochę więcej wiary i mogli wejść do jej celi, uleczyłaby waszą nogę samym dotknięciem. Uśmiechała się. Czulo się, że zmartwychwstaje w Bogu. Raj był w jej śmierci.

¹⁰ Tę więc ofiarę (łac.)

Fauchelevant, myśląc, że przełożona odmawia modlitwę, rzekł, gdy umilkła:

- Amen.
- Ojcie Fauvent, trzeba spełniać wolę zmarłych.

Przełożona przesunęła kilka ziarenek różańca. Fauchelevant milczał. Zakonnica mówiła dalej:

– Radziłam się w tej kwestii wielu duchownych, pełnych Jezusa Chrystusa, których życie kapłańskie wydaje cudowne owoce.

- Wielebna matko, daleko tu lepiej słyszeć dzwoniące za umarłych niż w ogrodzie.
- Zresztą, to więcej niż umarła, to święta.
- Jak wy, wielebna matko.

– Sypiała w trumnie od lat dwudziestu, za specjalnym pozwoleniem naszego Ojca świętego, Piusa VII.

- Tego, co koronował ces... Buonapartego?

Człowiek tak zręczny jak Fauchelevant nie w porę wybrał się z, tym przypomnieniem. Na szczęście przełożona nie usłyszała, zajęta swoimi myślami. Mówiła dalej:

- Ojcie Fauvent?
- Słucham wielebnej matki!

Święty Diodor, arcybiskup Kapadocji, chciał, żeby napisano na jego grobie ten jeden wyraz: *Acarus*, co znaczy robak; stało się, jak żądał. Czy prawda?

- Prawda, wielebna matko.

– Błogosławiony Mezzocane d’Aquila chciał być pochowany pod szubienicą; stało się, jak żądał.

- To prawda.

– Święty Terencjusz, biskup Portu, przy ujściu Tybru do morza, żądał, żeby wryto na jego kamieniu grobowym znak, jaki kładziono na mogiłach ojcobójców, w nadziei, że przechodnie będą plwali na jego grób. Stało się, jak żądał. Trzeba spełniać wolę zmarłych.

- Amen.

– Ciało Bernarda Guidonis, urodzonego we Francji pod Roche-Abeille, stosownie do jego ostatniej woli i pomimo zakazu króla Kastylji przeniesione zostało do kościoła Dominikanów w Limoges, chociaż Bernard Guidonis był biskupem Tuy w Hiszpanii. Czy można temu zaprzeczyć?

- Pewnie, że nie, wielebna matko.

– Fakt ten poświadcza Plantavit de la Fosse. Znowu przesunęło się w milczeniu kilka ziarenek różańca. Przełożona mówiła dalej:

– Ojcie Fauvent, matka Crucifixio złożona będzie do trumny, w której sypiała od dwudziestu lat.

- Słusznie.
- To jakby dalszy ciąg snu.
- Więc mam zabić ciało w tej trumnie?
- Tak.
- I niepotrzebna będzie trumna karawaniarzy?
- Właśnie.
- Jestem na rozkazy przewielebnego zgromadzenia.
- Cztery matki kantorki dopomogą wam!
- Do zabicia trumny? Nie potrzebuję ich pomocy.
- Nie. Do spuszczenia trumny.
- Gdzie?
- Do podziemia?
- Do jakiego podziemia?
- Pod ołtarzem.

Fauchelevant podskoczył.

- Do podziemia pod ołtarzem!
- Pod ołtarzem. Ale...
- Będziecie mieli żelazną sztabę.
- Tak, ale...
- Kamień ma kółko, za które go podniesiecie sztabą.
- Ale...
- Trzeba spełniać wolę zmarłych. Być pogrzebaną w grobach pod ołtarzem kaplicy, nie być przeniesioną na ziemię świecką, pozostać umarłą tam, gdzie się modliła za życia – taka była ostatnia wola matki Crucifixio. O to nas prosiła, tak nam rozkazała.
- Ale to jest zakazane.
- Zakazane przez ludzi, nakazane przez Boga.
- Gdyby się o tym kto dowiedział?
- Ufamy wam.
- O, ja jestem jak kamień w waszym murze.
- Kapituła zebrała się. Matki głosujące, których opinii zasięgnęłam i które jeszcze obradują, uradziły, że matka Crucifixio, stosownie do swej woli, pochowana będzie w trumnie pod naszym ołtarzem. Osądź sam, ojcze Fauchelevant, czy nie będą się tu dziać cuda! Jaka chwała boża dla zgromadzenia! Cuda wychodzą z grobów.
- Ale, wielbna matko, gdyby urzędnik komisji zdrowia...
- Święty Benedykt II w przedmiocie grzebania umarłych oparł się Konstantemu Pogonatowi.
- Jednakże komisarz policji...
- Chonodemariusz, jeden z siedmiu królów niemieckich, którzy wtargnęli do Galii za panowania cesarza Konstancjusza, wyraźnie uznał prawo zakonników do spoczywania po śmierci zgodnie z religią, to jest pod ołtarzem.
- Ale inspektor prefektury...
- Świat jest niczym wobec krzyża. Marcin, jedenasty generał kartuzów, dał taką dewizę swemu zakonowi: *Stat crux dum volvitur orbis*¹¹.
- Amen – rzekł Fauchelevant nie zmieszany; w ten sposób zawsze wydobywał się z kłopotu, ilekroć słyszał łacinę.
- A zatem zamkniecie trumnę, siostry zanoszą ją do kaplicy. Odmówimy nabożeństwo za umarłych, potem wrócimy do klasztoru. Między jedenastą i dwunastą o północy przyjdziecie ze sztabą żelazną. Wszystko odbędzie się w największej tajemnicy. W kaplicy będą tylko cztery matki kantorki, matka Ascension i wy.
- I siostra odźwierna.
- Ta się nie odwróci.
- Ale usłyszysz.
- Nie będzie słuchała. Zresztą, co wie klasztor, o tym świat się nie dowie.
- Po chwili milczenia przełożona znów się odezwała:
- Zdejmiecie z nogi dzwonek. Nie trzeba, żeby siostra odźwierna spostrzegła waszą obecność.
- Wielbna matko?
- Co, ojcze Fauvent?
- Czy lekarz zmarłych odbył już wizytę?
- Odbędzie ją dziś o czwartej. Uderzono w dzwonek, który sprowadza lekarza. Czy nie słyszycie żadnego dzwonięcia?
- Uważam tylko na dzwonek, który mnie wzywa.
- To dobrze, ojcze Fauvent.

¹¹ Krzyż stoi, póki ziemia się obraca

– Wielebna matko, sztaba musi mieć najmniej sześć stóp.

– Skąd ją weźmiecie?

– Gdzie jest dużo krat, tam znajdują się i żelazne sztaby. Mam w ogrodzie cały stos żelastwa.

– Mniej więcej trzy kwadransy przed północą, nie zapomnijcie.

– Wielebna matko?

– Co?

– Jeśli by wielebna matka miała kiedy jeszcze podobne roboty, to mój brat jest bardzo mocny! Jak Goliat!

– Sprawcie się jak najspieszniej.

– Ja się nie mogę zbyt śpieszyć. Jestem ułomny i dlatego chciałbym pomocnika. Kuleję.

– Kuleć to nie grzech, może nawet to jest błogosławieństwo boże. Cesarz Henryk II, który walczył przeciw antypapieżowi Grzegorzowi i przywrócił Benedykta VIII, ma dwa przezwiska: Święty i Kulawy. Ojciec Fauvent, namyśliłam się, że lepiej będzie zacząć wcześniej. Bądźcie ze sztabą żelazną punkt o jedenastej przy wielkim ołtarzu. Nabożeństwo rozpoczyna się o północy. Trzeba wszystko skończyć o kwadrans wcześniej.

– Zrobię wszystko, żeby dowieść mej gorliwości dla zgromadzenia. Więc postanowione. Przybiję wieko trumny. Punkt o jedenastej będę w kaplicy. Będą tam matki kantorki, będzie także matka Ascension. Byłoby lepiej dwóch mężczyzn, ale mniejsza o to, będę miał lewar. Otworzymy groby, spuścimy trumnę i zamkniemy kamień. Żaden ślad nie pozostanie. Rząd ani się domyśli. Wielebna matko, czy to już wszystko?

– Nie.

– Czego jeszcze trzeba?

– Zostaje pusta trumna.

Nowa przerwa. Fauchelevent zamyślił się. Przełożona zamyśliła się.

– Ojciec Fauvent, co zrobić z trumną?

– Zabiorą ją na cmentarz.

– Pustą?

Znowu milczenie. Fauchelevent machnął lewą ręką, jakby odpędzając niepokojącą myśl.

– Wielebna matko, ja zabijam trumnę w dolnym kościele, nikt prócz mnie wejść tam nie może, a trumnę przykryję całunem.

– Tak, ale grabarze, kładąc ją na karawan i spuszczać do dołu, czują, że wewnątrz nic nie ma.

– A, do dia...! – zawołał Fauchelevent.

Przełożona podniosła rękę, żeby się przeżegnać, i surowo spojrzała na ogrodnika. „Bła” uwięzło mu w gardle.

Śpiesznie wymyślił sposób, żeby zapomnieć o przekleństwie.

– Wielebna matko, nasypię ziemi do trumny. I będzie się wydawało, że ktoś w niej leży.

– Macie słuszność. Ziemia to samo co człowiek. Więc załatwicie sprawę pustej trumny?

– Biorę to na siebie.

Twarz przełożonej, dotychczas zmieszana, niespokojna, teraz się wypogodziła. Skinieniem, jakim zwierzchnik odprawia podwładnego, dała mu znać, że może odejść. Fauchelevent postąpił ku drzwiom. Kiedy już miał wyjść, przełożona odezwała się nieco głośniejszym głosem:

– Ojciec Fauvent, jestem z was zadowolona; jutro po pogrzebie przyprowadźcie mi swego brata; powiedzcie mu też, żeby zabrał z sobą wnuczkę.

Można by przysiąc, że Jan Valjean czytał Austina Castillejo

Kroki chromego są jak spojrzenie jednookiego; nieprędko docierają do celu. A przy tym Fauchelevant był zakłopotany. Przez piętnaście minut wracał do domku w ogrodzie. Kozeta obudziła się. Jan Valjean posadził ją przy ogniu. Kiedy Fauchelevant wchodził, Jan Valjean pokazywał jej kosz ogrodnika zawieszony na ścianie i mówił:

– Posłuchaj mnie uważnie, Kozetko. Musimy wyjść z tego domu, ale wrócimy tu i będzie nam dobrze. Poczciwy gospodarz wyniesie cię w koszu. Zaczekasz na mnie u jednej pani. Przyjdę tam po ciebie. Pamiętaj, jeżeli nie chcesz, żeby Thénardierowa cię zabrała, bądź posłuszna i nie mów ani słówka!

Kozeta poważnie skinęła głową.

Na odgłos drzwi otwieranych przez Fauchelevantą, Jan Valjean odwrócił się.

– No i cóż?

– Wszystko urządzone i nic z tego nie ma – rzekł Fauchelevant. Mam pozwolenie na wprowadzenie was, ale trzeba by was wprzód wyprowadzić. W tym sęk. Z małą łatwą sprawą.

– Wyniesiesz ją?

– A czy zachowa się cicho?

– Ręczę za nią.

– A wy, ojczy Madeleine?

I po chwili przykrego milczenia Fauchelevant zawołał:

– Niech pan wyjdzie tą drogą, którą tu pan wszedł!

Jan Valjean, jak za pierwszym razem, odpowiedział tylko:

– Niepodobna.

Fauchelevant, mówiąc raczej do siebie niż do niego, mruzczał pod nosem:

– Jedno mnie dręczy. Powiedziałem, że nasypię ziemi zamiast ciała. Ale zdaje mi się, że ziemia w trumnie nie zastąpi człowieka, będzie się przesypywać. Ludzie, którzy będą nieść, poczują. Pojmujecie, ojczy Madeleine, rząd się spostrzeże.

Jan Valjean popatrzył mu w oczy i pomyślał, że staruszek bredzi.

Fauchelevant mówił dalej:

– Jak u dia...ska wyjdziecie? Bo to wszystko trzeba zrobić jutro! Jutro mam was przyprowadzić. Przełożona czeka na was.

I wytłumaczył Janowi Valjean, że to przyjęcie było nagrodą za usługę, którą on, Fauchelevant, wyświadcza zgromadzeniu. Że do jego obowiązków należało brać udział w grzebaniu zmarłych, że zabijał wieko trumny i pracował z grabarzem na cmentarzu. Że zmarła rano zakonnica prosiła o pochowanie jej w trumnie, w której sypiała, i nie na cmentarzu, ale pod ołtarzem kaplicy. Że przepisy policyjne na to nie pozwalają, ale nieboszczce nie chciano odmówić. Że przełożona i matki głoszące postanowiły wykonać życzenie zmarłej. Że tym gorzej dla rządu. Że on, Fauchelevant, zabije wieko trumny w kaplicy, podniesie płytę kamienną przy ołtarzu i spuści nieboszczkę do grobów. I że przez wdzięczność za to przełożona przyjmie do klasztoru jego brata na ogrodnika, a bratanicę na pensjonarkę. Że jego bratem jest pan Madeleine, a bratanicą Kozeta. Że przełożona kazała mu przyprowadzić brata jutro wieczór po fikcyjnym pogrzebie na cmentarzu. Ale że nie może sprowadzić pana Madeleine z miasta, dopóki pan Madeleine nie wyjdzie na miasto. Że na tym właśnie polega pierwsza trudność, a drugą jest pusta trumna.

– Co znowu za pusta trumna? – zapytał Jan Valjean.

Fauchelevant odpowiedział:

– Trumna skarbowa.

– Jaka trumna? Dlaczego skarbowa?

– Zakonnica umiera. Przychodzi lekarz miejski i mówi: Umarła zakonnica. Rząd przysłała trumnę. Nazajutrz przysłała karawan i żałobników, żeby zabrali trumnę i zawieźli na cmentarz. Żałobnicy przyjdą i podniosą trumnę; będzie pusta.

– Trzeba tam coś włożyć.

– Trupa? Nie mam.

– Nie. Więc co?

– Żywego człowieka.

– Jakiego żywego człowieka?

– Mnie – rzekł Jan Valjean.

Fauchelevant, który usiadł, zerwał się, jakby pod jego krzesłem wybuchła petarda.

– Pana?

– Czemu nie?

Jan Valjean uśmiechnął się tym rzadkim uśmiechem, który zjawiał się na jego twarzy jak błysk światła na zimowym niebie.

– Pamiętacie przecież, Fauchelevant, żeście mówili; „Matka Crucifixio umarła”, a ja dodałem: „A ojciec Madeleine pogrzebany”. To właśnie się stanie.

– Ale pan tak mówi na żarty, nie serio.

– Zupełnie serio. Trzeba stąd wyjść, prawda?

– Niewątpliwie.

– Mówiłem wam, żebyście i dla mnie znaleźli kosz i rogożę.

– A więc?

– Kosz będzie jodłowy, a rogoża z czarnego sukna.

– Naprzód, nie z czarnego, ale z białego. Zakonnice przykrywają białym całunem.

– Niech będzie biały.

– Nie jesteście takim samym człowiekiem jak inni, ojciec Madeleine.

Spotkanie z podobnym pomysłem, który nie jest czym innym jak dzikim i zuchwałym wynalazkiem galer i oto pojawia się nagle wśród otaczającego go spokoju i miesza w to, co nazywał codziennym życiem klasztoru, wprawiło ojca Fauchelevant w osłupienie, jakiego by doznał przechodzień, widząc mewę pływającą po rynsztoku ulicy św. Dionizego.

Jan Valjean mówił dalej:

– Chodzi o to, żeby mnie nikt nie widział, kiedy będę wychodził. Właśnie nadarza się sposobność. Ale wprzód wyjaśnij mnie. Jak się to odbywa? Gdzie jest ta trumna?

– Pusta?

– Tak.

– W dolnym kościele, w tak zwanej sali umarłych. Stoi na katafalku o dwóch stopniach, okryta całunem.

– Jaka jest długość trumny?

– Sześć stóp.

– Co to jest ta sala umarłych?

– Pokój na parterze, z okratowanym oknem od ogrodu, które zamyka się od wewnątrz okiennicą, i z dwójgiem drzwi: jedno od klasztoru, drugie od kościoła.

– Jakiego kościoła?

– Kościoła od ulicy. Kościoła dla wszystkich.

– Macie klucze do tych drzwi?

– Nie. Mam klucz do drzwi od klasztoru; odźwierny ma klucz od kościoła.

– Kiedy odźwierny otwiera te drzwi?

– Tylko raz, kiedy wpuszcza żałobników przychodzących po trumnę. Kiedy trumnę wyniosą, drzwi się zamykają.

– Kto zabija trumnę?

– Ja.

– A kto ją okrywa całunem?

– Też ja.

– Jesteś sam?

– Żaden mężczyzna, oprócz lekarza policyjnego, nie może wejść do sali umarłych. To jest nawet wypisane na ścianie.

– Czy dziś w nocy, kiedy wszyscy usną w klasztorze, możesz mnie ukryć w tej sali?

– Nie. Ale mogę pana ukryć w małej ciemnej izdebce, tuż przy sali umarłych, gdzie składam moje grabarskie narzędzia; mam od niej klucz.

– O której godzinie przyjedzie jutro karawan?

– Około trzeciej po południu. Pogrzeb odbędzie się z wieczora. Cmentarz Vaugirard jest dosyć daleko.

– Trzeba będzie siedzieć w izdebce przez całą noc i cały ranek. A jedzenie? Będę głodny.

– Przyniosę jedzenie.

– Możecie przyjść zabić mnie w trumnie o drugiej?

Fauchelevant cofnął się i trzasnął palcami.

– Ależ to niemożliwe!

– Ba! Wziąć młot i wbić gwoździe w deski!

Fauchelevant, ochłonawszy nieco, zawołał:

– Ale jakże pan będzie oddychał?

– Będę oddychał.

– W tym pudle? Na samą myśl o tym już się duszę.

– Masz pewnie świder, przewierczysz kilka dziurek około ust i niezbyt szczelnie przybijesz wieko.

– Dobrze! A jeżeli pan zakaszle lub kichnie?

– Kto ucieka, nie kaszle i nie kicha.

I Jan Valjean dodał:

– Ojcie Fauchelevant, trzeba wybrać jedno z dwojga: albo dać się wziąć tutaj, albo zgodzić się na wywiezienie karawanem. Jedno mnie tylko niepokoi, co się stanie na cmentarzu.

– Właśnie o to najmniej się kłopotę! – zawołał Fauchelevant. – Jeśli pan na pewno poradzi sobie z trumną, ja jestem pewny, że wydobędę pana z grobu. Grabarzem jest pijaczyna, mój kompan. Ojciec Mestienne. Taki stary moczymorda. Grabarz ma swoich nieboszczyków w grobie, a ja mam grabarza w kieszeni. Opowiem panu, jak to będzie na cmentarzu. Przyjedziemy już prawie o zmroku, na trzy kwadrans przed zamknięciem bramy. Karawan zajedzie pod sam dół. Ja będę szedł za nim, to mój obowiązek. Zabiorę ze sobą młotek, dłuto i obcęgi. Karawan się zatrzymuje, żałobnicy obwiązują sznurem trumnę i spuszczają pana do dołu. Ksiądz odmawia modlitwy, robi znak krzyża, kropi święconą wodą i wynocha. Zostaję sam z ojcem Mestienne. Powiadam panu, że to mój kompan. Jedno z dwojga – albo będzie pijany, albo nie będzie pijany. Jeżeli nie będzie pijany, powiem mu: Chodź na butelczynę, póki jeszcze otwarty szynk „Pod Dobrą Pigwą”. Zabiorę go, spoję, ojcu Mestienne niedużo trzeba, bo zawsze ma zalaną pałę; ułożę go pod stołem, zabiorę jego przepustkę na cmentarz i wrócę bez niego. Będzie miał pan tylko ze mną do czynienia. A jeżeli już będzie pijany, powiem mu: „Idź spać, zrobię wszystko za ciebie”. Odejdzie, a ja wyciągnę pana z dziury.

Jan Valjean podał mu rękę, na którą Fauchelevant rzucił się z rozczulającym wylaniem wieśniaczym.

– Rzecz ułożona, ojcie Fauchelevant. Wszystko pójdzie dobrze.

Byle nic się nie popsuło – pomyślał Fauchelevant. – To może się strasznie skończyć!

Nie wystarczy być pijakiem, żeby stać się nieśmiertelnym

Nazajutrz, tuż przed zachodem słońca, nieliczni przechodnie na bulwarze Maine zdejmowali kapelusze przed staroświeckim karawanem, ozdobionym trupimi główkami, piszczelami i czarnym suknem wyszywanym w srebrne łyzy. Na karawanie spoczywała trumna okryta białym całunem, a na całunie leżał wielki czarny krzyż podobny do dużego nieboszczyka ze zwieszonymi rękoma. Żałobnie udrapowana karetka, w której siedział ksiądz w komży i ministrant w czerwonej piusce, toczyła się za karawanem. Po obu stronach karawanu szli dwaj żałobnicy w szarych strojach z czarnymi wyłogami. W tyle szedł stary kulawy człowiek w roboczym ubraniu. Karawan kierował się ku cmentarzowi Vaugirard.

Z kieszeni kulawego wyglądała rękojeść młotka, koniec dłuta i obcęgi.

Słońce jeszcze nie zaszło, gdy karawan z białym całunem i czarnym krzyżem wtoczył się w aleję cmentarza Vaugirard. Idący za nim kulawy człowiek był to nie kto inny jak Fauchelevant.

Cmentarz Vaugirard stanowił wyjątek wśród cmentarzy paryskich. Miał swoje szczególne zwyczaje. Bernardynki z żułka Petit-Picpus korzystały, jakżeśmy mówili, z przywileju urządzania swoich pogrzebów w osobnej kwaterze i w porze wieczornej, ponieważ ten teren należał niegdyś do ich zgromadzenia. Grabarze, którzy wskutek tego pracowali wieczorami, a zimą aż do nocy, podlegali tu specjalnej dyscyplinie. Bramy cmentarzy paryskich zamykały się w owych czasach o zachodzie słońca, a że było to zarządzenie ogólne, cmentarz Vaugirard stosował się do niego, tak jak wszystkie inne. Jeżeli któryś grabarz zostawał dłużej na cmentarzu, nie mógł wyjść bez legitymacji wystawionej przez władze miejskie. Na okiennicy u dozorca umieszczone było coś w rodzaju skrzynki na listy. Wychodzący wrzucał w nią swoją legitymację i dozorca, słysząc w skrzynce stuknięcie karty, pociągał za sznur, którym, nie ruszając się z domu, otwierał drzwi dla pieszych. Jeżeli grabarz nie miał przy sobie dowodu, to mówił tylko swoje nazwisko, dozorca – czasami już wstając z łóżka – wychodził na zewnątrz, sprawdzał, który to, i otwierał drzwi kluczem; w takim jednak wypadku grabarz płacił piętnaście franków kary.

Pochowanie matki Crucifixio w grobach pod ołtarzem, wyjście Kozety, wprowadzenie Jana Valjean do sali umarłych, wszystko dokonało się bez najmniejszej przeszkody i trudności.

W chwili gdy korowód żałobny skręcił w ulicę wiodącą na cmentarz, Fauchelevant spojrzawszy na karawan i uszczęśliwiony zatarł swoje duże dłonie, mówiąc półgłosem:

– A to ci dopiero komedia!

Wtem karawan się zatrzymał; stanął przed bramą. Należało pokazać pozwolenie na pogrzebanie zwłok. Żałobnik zaczął rozmowę z odźwiernym. Podczas tej rozmowy, trwającej zwykle około dwóch minut, jakiś nieznajomy stanął za karawanem obok ojca Fauchelevant. Był to robotnik, miał na sobie kaftan z obszernymi kieszeniami, a pod pachą motykę.

Fauchelevant spojrzawszy na nieznajomego.

– Kto wy jesteście? – zapytał.

Ów odpowiedział:

– Grabarz.

Człowiek, który by przeżył uderzenie kuli armatniej w samą pierś, miałby taką samą minę jak Fauchelevant w tej chwili.

– Grabarz?

– Był.

- Jak to, był?
- Umarł.

Fauchelevant wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego, żeby grabarz mógł umrzeć. A jednak tak się stało! Nawet grabarze umierają. Wśród tylu grobów, które kopią dla innych, przygotowują jeden i dla siebie.

Fauchelevant otworzył szeroko usta. Ledwie miał siłę wybełkotać:

- Ależ to niemożliwe!
- Możliwe.
- Przecież – mówił dalej słabym głosem – grabarzem jest ojciec Mestienne.
- Po Napoleonie Ludwik XVIII. Po Mestienne – Gribier. Nazywam się Gribier, chłopie. Poblady Fauchelevant przyjrzał się temu Gribierowi.

Był to mężczyzna wysoki, chudy, siny, typ idealnie pogrzebowy. Wyglądał jak niedoszły lekarz, który spadł do rangi grabarza.

Fauchelevant parsknął wesoło.

– A to kupa śmiechu! Umarł ojciec Mestienne. Ojczulek Mestienne umarł, ale niech żyje ojczulek Lenoir! Wiecie, co to takiego ojczulek Lenoir? Kubek czerwonego wina przy szynkwasiu, za sześć su. Sureńskie wino, do stu beczek piorunów, prawdziwe sureńskie z Paryża! Ach, umarło się staremu Mestienne! Przykra historia, bo to był dobry kompan. Ale i ty nie wylewasz za kołnierz, prawda? Pójdziemy zaraz na jednego.

Gribier odpowiedział:

- Byłem w szkołach. Skończyłem cztery klasy. Nie biorę alkoholu do ust.

Karawan ruszył z miejsca i potoczył się główną aleją cmentarza.

Fauchelevant zwolnił kroku. Kulał teraz bardziej jeszcze ze strachu niż z kalectwa.

Grabarz szedł przed nim.

Fauchelevant raz jeszcze przyjrzał się temu nieoczekiwanemu Gribierowi.

Był to jeden z tych ludzi, co już za młodu wyglądają staro, a mimo chudości są bardzo silni.

- Przyjacielu! – zawołał Fauchelevant.

Grabarz odwrócił się.

- Jestem grabarzem z klasztoru.
- A zatem łączy nas koleżeństwo – odpowiedział Gribier.

Fauchelevant, chociaż nieuczony, ale przebiegły, zrozumiał, że ma do czynienia ze stworzeniem niebezpiecznego gatunku, z krasomówcą.

Wymamrotał:

- Znaczy się, że ojciec Mestienne nie żyje.

Tamten odpowiedział:

– Całkowicie. Pan Bóg zajrzał do swojego terminarza. Kolej przypadła na ojca Mestienne i ojciec Mestienne umarł.

Fauchelevant powtórzył bezmyślnie:

- Pan Bóg...
- Pan Bóg – rzekł Gribier z powagą. – Dla filozofów Ojciec Przedwieczny; dla jakobinów Istota Najwyższa.
- Więc nie zawrzemy znajomości? – bąknął Fauchelevant.
- Jużeśmy ją zawarli. Wy jesteście wieśniakiem, a ja paryżaninem...
- Póty nie ma znajomości, póki się nie wypije razem. Kto otwiera butelkę, ten otwiera serce. Pójdziemy sobie popić. Tego się nie odmawia.
- Najprzód robota!

Fauchelevant pomyślał: Jestem zgubiony. Jeszcze kilka obrotów koła dzieliło karawan od małej alei prowadzącej do zakątka, w którym grzebano zakonnice. Grabarz odezwał się jeszcze:

– Wieśniaku, mam siedmioro dzieciaków do wyżywienia. Ponieważ one muszą jeść, ja nie mogę pić.

I dodał z wyższością człowieka, który lubi wyrażać się pompatycznie:

– Ich głód jest wrogiem mojego pragnienia.

Karawan zawrócił za cyprysowym gajem, z wielkiej alei wjechał na małą drożynę, między krzaki. Wskazywało to, że grób jest już blisko. Fauchelevant zwolnił kroku, ale nie mógł zatrzymać kara wanu. Na szczęście ziemia, miękka i przesiąknięta zimowym deszczem, lepiła się do kół i utrudniała ich obroty..

Fauchelevant zbliżył się do grabarza.

– Jest takie pierwszorzędne winko Argenteuil – szepnął.

– Wieśniaku – odparł tamten – nie powinienem być zostać grabarzem. Mój ojciec był odźwiernym w Prytaneum. Kierował mnie na pisarza. Ale spotkały go nieszczęścia. Stracił na giełdzie. Musiałem wyrzec się literatury. Wszelako jestem jeszcze pisarzem publicznym.

– A więc nie jesteście grabarzem? – odpowiedział Fauchelevant, czepiając się tej wątej nitki nadziei.

– Jedno nie przeszkadza drugiemu. Ja oba te zajęcia kumuluję.

Fauchelevant nie zrozumiał ostatniego słowa.

– Chodźmy pić – rzekł.

Tu trzeba jeszcze zrobić jedną uwagę. Fauchelevant, jakkolwiek przerażony, zapraszał do szynku, ale pomijał jeden szczegół: kto będzie płacił. Zazwyczaj on zapraszał, ale płacił ojciec Mestienne. Zaproszenie na wino wynikało oczywiście z nowej sytuacji, powstałej przez zjawienie się nowego grabarza, i wypadało z tym wystąpić, ale stary ogrodnik nie bez rozmysłu odsuwał w cień przysłowiowy kwadrans Rabelais’go. Mimo wzruszenia wcale nie miał ochoty fundować.

Grabarz mówił dalej z uśmiechem wyrażającym poczucie własnej wyższości: Trzeba jeść. Wziąłem na siebie funkcje zmarłego ojca Mestienne. Kiedy się prawie ukończyło szkoły, to się jest filozofem. Pracuję ręką w podwójnym znaczeniu słowa. Mam budkę pisarską na targu przy ulicy Sevres. Wiecie chyba? Bazar „Pod Parasolami”. Wszystkie kucharki z okolic placu Czerwonego Krzyża przychodzą do mnie. Układałam im miłosne wyznania do różnych fircyków. Rano pisuję czułe listy, a wieczorem kopię groby. Takie jest życie, przybyszu ze wsi.

Karawan posuwał się coraz dalej. Fauchelevant, niespokojny do najwyższego stopnia, rozglądał się na wszystkie strony. Grube krople potu ściekały mu z czoła.

– Ale – mówił grabarz – nie można służyć dwóm panom. Będę musiał wybrać między piórem a łopata. Łopata psuje mi rękę.

Karawan zatrzymał się. Z karety wysiadł ministrant, za nim ksiądz. Jedno z przednich kół karawanu wjechało na sam brzeg stosu ziemi, za którą widniał otwarty dół.

– A to ci dopiero komedia! – powtórzył zafrasowany Fauchelevant.

W czterech deskach

Kto był w trumnie? Wiemy dobrze. Jan Valjean.

Jan Valjean ułożył się w niej jakoś i choć nie bez wysiłku, oddychał.

Aż dziwne, do jakiego stopnia spokój sumienia daje człowiekowi pewność, że wszystko rozwiąże się pomyślnie. Plan działania, obmyślony przez Jana Valjean, już drugi dzień wcielał się w życie bez przeszkód. Liczył, jak i Fauchelevant, na ojca Mestienne. Nie wątpił o

szczęśliwym zakończeniu. Nigdy położenie nie było krytyczniejsze, a spokój bardziej zupełny.

Cztery deski trumny zawierają w sobie jakąś straszną ciszę. W spokoju Jana Valjean było jakby coś ze spokoju umarłych.

Z wnętrza trumny mógł śledzić i śledził wszystkie fazy niebezpiecznego dramatu, który rozgrywał się między nim a śmiercią.

Kiedy Fauchelevent skończył zabijanie wieka, Jan Valjean uczył, po upływie krótkiej chwili, że go wynoszą, a później, że go wiozą. Gdy zmniejszyło się trzęsienie, poznał, że z bruku zjechali na bitą drogę, czyli że z ulic wydostali się na bulwary. Z głuchego turkotu odgadł, że karawan przejeżdżał przez most Austerlicki. Przy pierwszym postoju zrozumiał, że zatrzymano się przed cmentarzem; przy drugim postoju powiedział sobie: – A oto grób.

Nagle uczył, że jakieś ręce chwytają trumnę, potem coś otarło się głucho o deski; domyślił się, że zawiązywano sznur dookoła trumny, żeby ją spuścić do grobu.

Potem na chwilę stracił przytomność.

Prawdopodobnie trumna zakołysała się, przy czym karawaniarze i grabarz spuścili ją głową na dół. Przyszedł do siebie, gdy poczył, że leży poziomo i nieruchomo. Znalazł się na dnie grobu. Uczuł lekki chłód.

Nad nim rozległ się głos, zimny i uroczysty. Mógł dokładnie usłyszeć, jedno po drugim, słowa łacińskie, których nie rozumiał:

– *Qui dormiunt in terrae pulvere, evigilabunt; alii in vitam aeternam et alii in opprobrium, ut videant semper*¹²

Dziecinny głos odpowiedział:

– *De profundis*¹³.

Poważny głos rozpoczął znowu:

– *Requiem aeternam dona ei, Domine*¹⁴.

Dziecinny głos odpowiedział:

– *Et lux perpetua luceat ei*¹⁵.

Na deskę, którą był przykryty, spadło coś lekkiego jak krople deszczu. Prawdopodobnie była to woda święcona.

Pomyślał sobie: Niedługo się to skończy. Jeszcze trochę cierpliwości. Ksiądz odejdzie. Fauchelevent zabierze Mestienne'a na wino. Zostawią mnie. Potem wróci Fauchelevent sam i wyjdę. Potrwa to pewnie z godzinę.

Poważny głos odezwał się:

– *Requiescat in pace*¹⁶.

Dziecinny odpowiedział:

– Amen.

Jan Valjean wyteżył słuch i usłyszał jakby oddalające się kroki.

Odchodzą – pomyślał. – Jestem sam.

Nagle usłyszał nad głową huk, który mu się wydał uderzeniem piorunu.

To łopata ziemi spadła na trumnę.

Po niej druga.

Jeden z otworów, przez które oddychał, zatkał się.

Spadła trzecia łopata ziemi.

Potem czwarta.

¹² Którzy śpią w prochu ziemi, obudzą się: jedni do życia wiecznego, drudzy na sromotę, aby widzieli ją zawsze (łac.)

¹³ Z głębokości (domyślnie: wołam do Ciebie, o Panie!)

¹⁴ Wieczne odpoczywanie daj jej, Panie

¹⁵ I światłość wiekuista niechaj jej świeci (łac.)

¹⁶ Niech odpoczywa w pokoju (łac.)

Bywają rzeczy silniejsze od najsilniejszego człowieka. Jan Valjean zemdłał.

Tu dowiadujemy się, jak powstało powiedzenie, „nie gub karty”

A oto co działo się nad trumną, w której leżał Jan Valjean. Kiedy karawan się oddalił, kiedy ksiądz z ministrantem wsiedli do karety i odjechali, Fauchelevent, który nie spuszczał z oczu grabarza, zobaczył, że ten schyla się i ujmuje łopatę tkwiącą w stosie ziemi.

Wtedy Fauchelevent zdobył się na krok ostateczny. Stał między grobem i grabarzem, skrzyżował ręce na piersi i rzekł:

– Ja płacę!

Grabarz spojrzał nań zdziwiony i zapytał:

– Co, wieśniaku?

Fauchelevent powtórzył:

– Ja płacę!

– Za co?

– Za wino.

– Jakie wino?

– Argenteuil.

– Gdzie i jakie Argenteuil, u licha?

– „Pod Dobrą Pigwą”.

– Idź do diabła! – rzekł grabarz.

I rzucił łopatę ziemi na trumnę.

Trumna wydała głuchy dźwięk. Fauchelevent zachwiał się na nogach i o mało sam nie wpadł do dołu. Krzyknął głosem ochryplym, rzeźącym już prawie:

– Chodź, stary, nim zamkną „Dobrą Pigwę”!

Grabarz nabrał ziemi na łopatę. Fauchelevent powtórzył:

– Ja płacę!

Schwycił grabarza za ramię.

– Posłuchaj, stary. Jestem grabarzem klasztornym, przyszedłem, żeby ci pomóc. Robotę możemy skończyć w nocy. Wypijmy naprzód butelczynę.

Kiedy tak mówił, czepiając się rozpaczliwie nadziei, że grabarz jednak ulegnie, dręczyła go ponura myśl: Gdyby nawet i wypił, czy da się spoić?

– Człowieku z prowincji – rzekł grabarz jeśli koniecznie chcesz, zgadzam się. Pójdziemy się napić. Po robocie, nigdy pierwszej.

I wziął się do dzieła. Fauchelevent zatrzymał go.

– To Argenteuil po sześć su!

– Ach, ach – rzekł grabarz – jesteś jak dzwonnik, wciąż tylko „dęda, dęda”. Nic innego nie potrafisz. Możesz się dać wypchać.

I cisnął drugą łopatę ziemi.

Fauchelevent już sam nie wiedział, co mówi.

– Ale chodź napić się – krzyknął – przecież ja płacę!

– Jak ułożymy dziecko, dobrze – rzekł grabarz.

I rzucił trzecią łopatę ziemi.

Potem nabrał jej znowu i dodał:

– Widzicie, noc będzie zimna, nieboszczka wolałaby za nami, gdybyśmy ją zostawili bez kołdry.

W tej to chwili, nabierając ziemi na łopatę, grabarz schylił się i otworzyła się kieszeń jego kaftana.

Obląkany wzrok ojca Fauchelevant machinalnie trafił na tę kieszeń i zatrzymał się na niej.

Słońce jeszcze nie skryło się za widnokrąg; było jeszcze dość widno, żeby dojrzeć w głębi coś białego.

Całe światło błyskawicy, jakie może zapłonąć w oku pikardzkiego wieśniaka, przebiegło przez źrenicę ojca Fauchelevant. Miał już pomysł.

Grabarz, zajęty nabieraniem ziemi na łopatę, nie spostrzegł się, że Fauchelevant wsunął mu z tyłu dłoń do kieszeni i wyjął ów biały przedmiot, który się tam znajdował.

Grabarz wrzucił w dół czwartą łopatę ziemi.

Kiedy odwrócił się, żeby jej nabrać po raz piąty, Fauchelevant spojrzał na niego z niezmaconym spokojem i zapytał:

– Ale, ale, panie nowy, czy ty masz swoją kartę?

Grabarz przerwał robotę.

– Jaką kartę?

– Słońce już zachodzi.

– Dobranoc, niech kładzie szlafmycę.

– Zamkną bramę cmentarza.

– No to co?

– A masz kartę?

– Ach, moją legitymację? – rzekł grabarz.

I pogrzebał w kieszeni.

Przeszukawszy jedną, zabrał się do drugiej. Przetrzęsął kamizelkę i znów powrócił do kaftana.

– Rzeczywiście, nie mam karty. Widać zapomniałem.

– Piętnaście franków kary – rzekł Fauchelevant.

Grabarz zzieleniał. Kolor zielony jest bladeścią ludzi sinych.

– O Jezuu, mój Boże, do kroćset tysięcy! – zawołał. – Piętnaście franków kary!

– Trzy sztuki po sto su – dodał Fauchelevant.

Grabarz wypuścił z rąk łopatę.

Teraz przyszła kolej na ojca Fauchelevant.

– No – rzekł – nie rozpaczaj, rekrucie. Nie warto, żebyś sobie życie odebrał i skorzystał z tego gotowego dołu, Piętnaście franków to piętnaście franków, a zresztą możesz ich nie zapłacić. Jestem stary, a ty nowicjusz. Znam wszystkie przebiegi i wykrety. Dam ci przyjacielską radę. Jedna rzecz jest jasna, że słońce zachodzi, że dotyka kopuły Inwalidów i że cmentarz zamkną za pięć minut.

– To prawda – odpowiedział grabarz.

– Przez te pięć minut nie zasypiesz dołu, bo jest diabelnie głęboki, i nie wyjdiesz za bramę, nim ją zamkną.

– Masz słuszność.

– W takim razie piętnaście franków kary.

– Piętnaście franków.

– Ale masz jeszcze czas... Gdzie mieszkasz?

– Dwa kroki od rogatki. Kwadrans drogi stąd. Ulica Vaugirard 87.

– Wziąwszy nogi za pas, zdążysz jeszcze wyjść z cmentarza.

– To prawda.

– Kiedy będziesz za bramą, pobiegiesz do domu, zabierzesz kartę i wrócisz; odzwierny otworzy ci bramę. Mając kartę nic nie zapłacisz. Potem pogrzebiesz swoją nieboszczkę. Ja zostanę tu i będę pilnował, żeby ci nie uciekła.

– Ocalasz mi życie, chłopie!

– No to już cię tu nie ma – rzekł Fauchelevant. Grabarz, odurzony wdzięcznością, uściskał mu dłoń i pobiegł. Kiedy zniknął w gęstwinie, Fauchelevant nasłuchiwał jeszcze, póki nie ucichły kroki, potem nachylił się do dołu i zawołał półgłosem:

– Ojczy Madeleine!

Żadnej odpowiedzi. Fauchelevant zadrżał. Raczej stoczył się w rów, niż wskoczył weń, przypadł do trumny, w miejscu gdzie znajdowała się głowa, i zawołał:

– Jesteś tam?!

Milczenie w trumnie.

Fauchelevant, któremu drzenie nie pozwalało odetchnąć, porwał za dźwigo i młot i wysadził wieko. Ukazała się w mroku twarz Jana Valjean, blada, z zamkniętymi oczyma.

Włosy zjeżyły się na głowie ojca Fauchelevant, powstał, potem oparł się plecami o ścianę grobu, bliski omdlenia, i patrzył na Jana Valjean.

Jan Valjean leżał blady i nieruchomy.

Fauchelevant wyszeptał po cichu:

– Umarł!

Prostując się i krzyżując ręce tak gwałtownie, że zaciśnięte pięści uderzyły w ramiona, krzyknął:

– Więc tak go ocalałem!

Tu poczciwina zaczął szlochać i głośno mówić do siebie samego, błędnie bowiem utrzymując, że monolog nie leży w naturze człowieka. Silne wstrząsy często wyrażają się głośno.

– To wina ojca Mestienne. Po co ten dureń umarł? Co go tak gnało, żeby trzasnąć kopytami, kiedy się tego nikt nie spodziewał? To on zabił pana Madeleine! Leży teraz w trumnie na amen. Skończone. Czy był w tym rozum, żeby wyrabiać takie rzeczy? O Jezusie, umarł! A co ja zrobię z jego małą? Co powie przekupka? Do czego to podobne, mój ty Boże, żeby taki człowiek umierał w ten sposób! Pomyśleć, że wlaź pod mój wóz! Ojczy Madeleine! Ojczy Madeleine! Dalibóg, udusił się, a mówiłem, że tak będzie. Nie chciał mi wierzyć. Taką chryję zrobił! I umarł zacne człowieczysko, najpoczciwsze pod słońcem! A jego mała? O, nie, ja już tam nie wrócę. Zostaję tu. Ładny interes! Żeby dwa stare chłopcy strugały wariatów! A swoim porządkiem, jak on wszedł do klasztoru? To już był zły początek. Takich rzeczy nie powinno się robić. Ojczy Madeleine! Ojczy Madeleine! Panie Madeleine! Panie merze! Nie słyszy! No i rób, co chcesz.

I wrywał sobie włosy z głowy.

Z daleka, spoza drzew, rozległ się ostry zgrzyt. Zamykano bramę cmentarza.

Fauchelevant pochylił się ku Janowi Valjean i nagle podskoczył, cofając się, ile tylko pozwolił grób. Jan Valjean miał oczy otwarte i patrzył na niego.

Straszną jest rzeczą oglądać śmierć, prawie równie straszną zobaczyć zmartwychwstanie. Fauchelevant jakby skamieniał; blady, nieprzytomny, wzburzony nadmiarem wzruszeń, nie wiedział, czy ma przed sobą żywego, czy nieboszczyka, i patrzył na Jana Valjean, a tamten patrzył na niego.

– Usypiałem – rzekł Jan Valjean.

I usiadł.

Fauchelevant padł na kolana.

– Najświętsza Panno, a toś mnie pan nastraszył!

Potem wstał i zawołał:

– Dziękuję, ojczy Madeleine!

Jan Valjean zemdlął tylko. Świeże powietrze przywróciło mu przytomność.

Radość jest odpływem przerażenia. Fauchelevant przychodził do siebie z równą prawie trudnością co Jan Valjean.

– Więc pan nie umarł! O, jaki pan mądry! Wołałem, aż pan odzyskał przytomność. Kiedy zobaczyłem, że ma pan zamknięte oczy, powiedziałem sobie: kłapa, udusił się! Wściekłym się, oszalał, zostałbym prawdziwym wariatem w kaftanie! Co bym robił, gdyby pan umarł. A pana mała? Przekupka nie wiedziałaby, co to znaczy. Rzucają jej na kark dziecko, a dziadek umiera! Co za historia! Święci niebiescy, co za historia! Ale pan żyje, to najważniejsze.

– Zimno mi – rzekł Jan Valjean.

To słowo zupełnie już wróciło ojca Fauchelevent do rzeczywistości, która wymagała spieszego działania. Obaj, nawet odzyskawszy przytomność, nie wiedząc dlaczego, byli niespokojni i czuli w duszy coś niewyraźnego, co im się udzielało z grozy tego ponurego miejsca.

– Chodźmy stąd jak najprędzej – zawołał Fauchelevent.

Poszukał w kieszeni i wyjął flaszkę, w którą się zaopatrzył na wszelki wypadek.

– Ale najprzód proszę wypić! – rzekł.

Flaszka dokonała tego, co rozpoczęło świeże powietrze. Jan Valjean wypił łyk wódki i zupełnie przyszedł do siebie.

Wydobył się z trumny i pomógł ojcu Fauchelevent zabić wieko.

W trzy minuty później wyszli z grobu.

Fauchelevent był zresztą spokojny. Czasu mieli dosyć. Cmentarz zamknięto. Nie obawiał się nadejścia grabarza Gribier. Ten „rekrut” był u siebie w domu, zajęty szukaniem karty, której znaleźć nie mógł, bo miał ją w kieszeni Fauchelevent. Bez karty nie mógł wrócić na cmentarz.

Fauchelevent wziął łopatę, Jan Valjean motykę i zagrzebali razem pustą trumnę.

Kiedy dół zasypano, Fauchelevent rzekł do Jana Valjean:

– Wychodźmy. Ja biorę łopatę, niech pan niesie motykę.

Noc zapadała.

Jan Valjean ruszał się i chodził nie bez trudu. W trumnie zeszywniał i stał się jak gdyby trochę trupem. Bezwładność śmierci chwyciła go między czterema deskami. Musiał niejako odtajać z grobowego mrozu.

– Skostniał pan – rzekł Fauchelevent. – Szkoda, że jestem kulawy, moglibyśmy się rozgrzać grając w podbijanego.

– To nic – odpowiedział Jan Valjean – po czterech krokach odzyskam siłę w nogach.

Weszli w aleję, którą przejechał karawan. Przyszedłszy do zamkniętej kraty i mieszkania odźwiernego, Fauchelevent, który trzymał w ręku kartę grabarza, rzucił ją do pudła, odźwierny pociągnął za sznurek, drzwi się otwarły i wyszli.

– Wszystko idzie jak z płatka! – rzekł Fauchelevent. – Świetny mieliście pomysł, ojczyste Madeleine!

Przeszli roгатkę Vaugirard bez najmniejszej przeszkody. W okolicach cmentarza łopata i motyka to dwa paszporty.

Ulica Vaugirard była pusta.

– Ojczyste Madeleine – rzekł Fauchelevent, idąc i patrząc na domy macie lepsze oczy ode mnie. Pokażcie mi numer 87.

– To tu właśnie – rzekł Jan Valjean.

– Na ulicy nie ma nikogo – mówił Fauchelevent. – Dajcie mi motykę i zaczekajcie parę minut.

Fauchelevent wszedł do domu numer 87, wdrapał się na najwyższe piętro, wiedziony instynktem, który zawsze prowadzi biedaka pod strych, i zastukał po ciemku do drzwi poddasza. Jakiś głos odpowiedział:

– Proszę wejść.

Był to głos Gribiera.

Fauchelevant pchnął drzwi. Mieszkanie grabarza, jak wszystkie takie ubogie mieszkania, było norą nie umeblowaną, a zawaloną gratami. Duże pudło, może trumna, zastępowało komodę, dzieża od masła – kubeł na wodę, siennik spełniał rolę łóżka, podłoga – krzesel i stołu.

W kącie, na łachmanie, strzępku starego kobierca, siedziała chuda kobieta i gromadka skupionych koło niej dzieci. W ubogiej izbie wszystko było przewrócone do góry nogami. Można by pomyśleć, że się tu odbyło prywatne trzęsienie ziemi. Stracone pokrywki, rozrzucone szmaty, dzban w skorupach, matka ze śladami łez, dzieci zapewne zbite – skutki poszukiwań nerwowych i gwałtownych. Widać było, że grabarz zapamiętałe szukał swej karty i za jej zniknięcie czynił odpowiedzialnym wszystko na poddaszu, od dzbanka do żony. Miał wygląd człowieka zrozpaczonego.

Ale Fauchelevant bardzo się śpieszył, żeby już raz przygodzie położyć kres, i nie zważał na smutne skutki swego powodzenia.

Wszedł i powiedział:

– Odnoszę wam motykę i łopatę.

Gribier spojrzał zdumiony.

– To wy, wieśniaku?

– A jutro rano znajdziecie swoją kartę u odźwiernego cmentarza.

Położył łopatę i motykę na podłodze.

– Co to ma znaczyć? – spytał Gribier.

– To ma znaczyć, że karta wypadła wam z kieszeni, że znalazłem ją na ziemi, kiedyście już odeszli, że pogrzebałem zmarłą, zasypałem dół, że zrobiłem za was robotę, że odźwierny odda wam kartę i że nie zapłacicie piętnastu franków. Rozumiesz, rekrucie?

– Dziękuję, chłopku kochany! – zawołał olśniony Gribier. – Na drugi raz ja stawiam.

Badania z dobrym wynikiem

W godzinę później, ciemną już nocą, dwaj mężczyźni i dziecko stanęli przed numerem 62 w zaułku Picpus. Starszy z nich podniósł kołatkę i zastukał.

Byli to Fauchelevant, Jan Valjean i Kozeta.

Wstąpili obaj po Kozetę do przekupki na ulicy Chemin-Vert, gdzie ją wczoraj zostawił Fauchelevant. Kozeta spędziła te dwadzieścia cztery godziny w strachu i milczeniu, nic a nic nie pojmując z tego, co się działo. Zaczyna przekupka zadawała jej tysiące pytań, ale za całą odpowiedź otrzymywała tylko nieufne, zawsze jednakowe spojrzenia. Kozeta nie powiedziała ani słówka o tym, co od dwóch dni widziała i słyszała. Domyślała się, że następował jakiś przełom. Czuła aż do głębi, że powinna być „grzeczna”. Któż nie wypróbował wszechmocnej potęgi tych trzech wyrazów wyszeptanych z naciskiem do ucha przestraszonego dziecka: Nie mów nic!

Odźwierny, który otrzymał już instrukcję, otworzył furtkę służbową z podwórza do ogrodu, którą jeszcze przed dwudziestu laty widać było w murze w głębi dziedzińca, naprzeciw głównej bramy. Wprowadził ich wszystkich troje przez tę furtkę, po czym weszli do parlatorium, w którym wczoraj Fauchelevant otrzymał rozkazy od przełożonej.

Przełożona czekała z różańcem w ręku. Przy niej stała matka głosująca, zasłonięta spuszczonego welonem. Dyskretna świeca oświetlała, czy może raczej udawała, że oświetla parlatorium.

Przełożona obejrzała Jana Valjean. Nic tak dokładnie nie bada jak spuszczone oko.

Potem zapytała:

- To wy jesteście bratem?
- Tak jest, wielbna matko – odpowiedział Fauchelevant.
- Jak się nazywacie?

Fauchelevant odpowiedział:

- Ultym Fauchelevant.

Rzeczywiście, miał brata imieniem Ultym, który umarł.

- Z jakiej pochodzicie okolicy?

Fauchelevant odpowiedział:

- Z Picquigny, pod Amiens.
- Ile macie lat?

Fauchelevant odpowiedział:

- Pięćdziesiąt.
- Wasze zajęcie?

Fauchelevant odpowiedział:

- Ogrodnik.
- Czy jesteście dobrym chrześcijaninem?

Fauchelevant odpowiedział:

- W naszej rodzinie są sami dobrzy chrześcijanie.
- Ta mała jest wasza?

Fauchelevant odpowiedział:

- Tak, wielbna matko.
- Jesteście jej ojcem?

Fauchelevant odpowiedział:

- Dziadkiem.

Matka głosząca rzekła półgłosem do przełożonej:

- Dobrze odpowiada.

Jan Valjean przez cały czas nie wyrzekł ani słowa. Przełożona z uwagą spojrzała na Kozetę i rzekła po cichu do matki głoszącej:

- Będzie brzydka.

Obie matki przez kilka minut rozmawiały ze sobą półgłosem w kącie parlatorium, po czym przełożona odwróciła się i powiedziała:

- Ojcie Fauvent, przyszykujcie drugi pasek z dzwonkiem. Teraz potrzebne będą dwa.

W istocie, nazajutrz usłyszano w ogrodzie dwa dzwonki i zakonnice nie mogły się powstrzymać od uchylecia rąbka zasłony. W głębi pod drzewami, stojąc obok siebie, kopało ziemię dwóch mężczyzn:

Fauvent i jakiś inny. Niezwykła sensacja. Milczenie zostało naruszone do tego stopnia, że z ust do ust kursowały słowa: „To pomocnik ogrodnika”.

Matki głoszące dodawały: – To brat ojca Fauvent. Tak oto Jan Valjean został formalnie przyjęty; na nodze miał rzemienny pas z dzwonkiem; był odtąd oficjalistą klasztornym. Nazywał się Ultym Fauchelevant.

Przyczyną, która ostatecznie zdecydowała o przyjęciu go do klasztoru, była uwaga przełożonej o Kozecie: „Będzie brzydka”.

Przełożona, wyrzekłszy tę przepowiednię, od razu polubiła Kozetę i dała jej z litości bezpłatne miejsce na pensji.

Jest to całkiem logiczne. Nic to nie znaczy, że w klasztorze nie ma zwierciadeł; kobiety mają instynkt w sprawach urody; otóż dziewczynki, które czują, że są ładne, niełatwo zostają zakonnice, a że powołanie do habitu jest zwykle odwrotnie proporcjonalne do urody, matki zakonne więcej spodziewają się po brzydkich niż po ładnych. Stąd wielkie upodobanie do brzydkich dziewczynek.

Cała ta przygoda podniosła znaczenie pocziwego ojca Fauchelevant; udało mu się potrójnie: ocalił i przytulił Jana Valjean, grabarz Gribier był pewien, że wybawił go od kary pieniężnej, a klasztor dzięki niemu, chowając trumnę z matką Crucifixio pod ołtarzem kaplicy, ominął, co cesarskie, i zadowolili, co boskie. W klasztorze Petit-Picpus leżała trumna z trupem, a na cmentarzu Vaugirard trumna bez trupa; musiało to głęboko zakłócić porządek publiczny, ale jakoś tego nie spostrzeżono. Co do klasztoru, wielką była jego wdzięczność dla ojca Fauchelevant. Fauchelevant stał się najlepszym ze sług i najszacowniejszym z ogrodników. Przy pierwszej wizycie arcybiskupa przełożona opowiedziała jego wysokości wypadek, trochę się spowiadając, a trochę chlubiąc. Arcybiskup, opuściwszy klasztor, opowiedział zdarzenie z aprobatą i w sekrecie księdzu de Latil, spowiednikowi brata królewskiego, późniejszemu arcybiskupowi Reims i kardynałowi. Podziw dla ojca Fauchelevant zaszedł bardzo daleko i dosięgnął aż Rzymu. Mamy przed oczyma liścik pisany przez panującego wówczas papieża Leona XII do jednego ze swych krewnych, monsignora w nuncjaturze paryskiej, jak on nazwiskiem Della Genga; czytamy w nim następujące wyrazy:

„Zdaje się, że w jednym z klasztorów paryskich jest doskonały ogrodnik, święty człowiek nazwiskiem Fauvent”. Ale odgłosy tej sławy nie doszły do domku ojca Fauchelevant, który jak i przedtem szczepił, kopał, grabił, okrywał rogożą melony, nic nie wiedząc o swej doskonałości i świętości. Nie więcej domyślał się swej chwały niż wół z Durham lub z Surrey, którego portret ukazuje się w „Illustrated London News” z podpisem: „Wół, który otrzymał pierwszą nagrodę na wystawie rogacizny”.

Kluczura

W klasztorze Kozeta milczała w dalszym ciągu.

Uważała się całkiem po prostu za córkę Jana Valjean. Zresztą, nie wiedząc o niczym, nie mogła nic powiedzieć i w żadnym razie nic by nie powiedziała. Wspomnieliśmy już raz, że nic tak nie uczy dzieci milczenia jak nieszczęście. Kozeta cierpiała tyle, że wszystkiego się bała, nawet mówienia, nawet oddychania. Tak często lada słowo ściągało na nią nawałnicę! Zaledwie zaczynała się uspokajać, odkąd wziął ją do siebie Jan Valjean. Prędko przyzwyczaiła się do klasztoru. Żałowała tylko Katarzyny, ale nie śmiała powiedzieć tego. Raz jednak powiedziała do Jana Valjean: – Ojczy, gdybym była wiedziała, byłabym ją wzięta z sobą. Kozeta, zostawszy pensjonarką w klasztorze, musiała ubrać się w mundurek wychowanic tego zakładu. Jan Valjean poprosił, żeby mu oddano jej dawną odzież. Była to żalobna sukienka, ta sama, w którą ją ubrał, kiedy opuszczała oberżę Thénardierów. Nie była jeszcze bardzo zniszczona. Jan Valjean te szmatki, wełniane pończoszki i buciki zapakował do małej walizeczki, którą kupił sobie, nasypawszy obficie do środka kamfory i różnych pachnideł, których tak wiele znaleźć można w każdym klasztorze. Kuferek ustawił na krzeselku przy łóżku, a klucz od niego miał zawsze przy sobie. Ojczy – zapytała pewnego dnia Kozeta – co jest w tym pudle, że tak ładnie pachnie?

Ojciec Fauchelevant, oprócz chwały, o której opowiedzieliśmy tu, a o której nie wiedział, otrzymał i inną nagrodę za swój dobry uczynek: najprzód – sprawił mu on radość; a po wtóre – o wiele mniej miał roboty, bo dzielił ją z nim Jan Valjean; na koniec, lubiąc bardzo zażywać tabakę, miał tę korzyść z obecności pana Madeleine, że trzy razy więcej zażywał jej niż dawniej i z nierównie żywszą rozkoszą, bo kupował mu ją pan Madeleine.

Imię Ultym nie przyjęto się wśród zakonnic; nazywały one Jana Valjean „drugim Fauventem”.

Gdyby owe święte panny miały coś z przenikliwości Javerta, zauważyłyby z czasem, że kiedy trzeba było załatwić coś dla ogrodu poza obrębem klasztoru, wychodził zawsze starszy Fauchelevant, zgrzybiały, kaleka, chromy, a nigdy drugi; ale czy to dlatego, że oczy, zawsze zwrócone ku Bogu, nie umieją szpiegować, czy też dlatego, że wolały raczej szpiegować się nawzajem, dość, że wcale na to nie zwróciły uwagi.

Zresztą Jan Valjean dobrze wyszedł na tym, że siedział cicho i się nie ruszał.

Przez przeszło miesiąc Javert nie spuszczał z oka tej dzielnicy.

Klasztor był dla Jana Valjean niby wyspą otoczoną przepaściami. Te cztery mury stały się dla niego całym światem. Dość dużo widział nieba, żeby mieć pogodę ducha, dość często widział Kozetę, żeby być szczęśliwym.

Rozpoczęło się dla niego spokojne, radosne życie.

Tak upłynęło kilka lat. Kozeta rosła.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Korekta: Joanna Bednarek